

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

~~~~~  
ROK TRZYDZIESTY. — TOM CXVIII.  
~~~~~

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1913.



KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1913.

LISTY ZE WSI.



I.

STRONNICTWO ARYSTOKRACYI NARODOWEJ.

Nie przypuszczam, abym w krótkim liście wyczerpał wszystko, coby się dało powiedzieć w sprawie obowiązków ludzi, zajmujących wybitne stanowiska w społeczeństwie, ale chcę rzucić kilka uwag, które popchną pewne przodujące warstwy do myślenia, a może ktoś wprawniejszy potrafi, pobudzony temi uwagami, rzecz wszechstronnie opracować i dać całość obowiązków spadających na tak zwane klasy uprzywilejowane.

W każdym społeczeństwie są pewne warstwy ludzi przodujących z pewnych przyczyn stanowiskiem rodowym, umysłem, lub tylko pieniążnem; tworzą te warstwy rodzaj tak zwanej arystokracji, korzystającej z pewnych przywilejów. W dawnych czasach przywileje te bywały prawnie zatwierdzone, dziś są one tylko przywilejami towarzyskimi, połączonymi, niestety, bardzo często z cierniami i dokuczaniem wskutek zawiści od dołu i pseudodemokratycznych poglądów, panujących w szerokich kołach niższych urzędników. Większe lub mniejsze prześladowanie warstw wyższych, zwykle bogatszych, znalazło nawet prawne potwierdzenie w ustawodawstwach niektórych państw ulegających trwodze przed rozwojem przewrotnych mrzonek socjalistycznych. Pomimo to nie da się zaprzeczyć, że dziś nawet, obok pewnych niewygód związanych z przynależnością do warstw tak zwanych uprzywilejowanych,

są jeszcze liczne udogodnienia, z których warstwy te korzystają po części z powodu uroku, jaki jeszcze na niektórych ich stanowisko wywiera, po części dlatego, że posiadają środki pieniężne, które zawsze stanowiły *nervus rerum*, a w końcu dlatego, że się ludzie z tych warstw obracają w środowisku lepiej wychowanym i bardziej od środowiska ludowego uprzejmem. Ten urok, który tak zwana arystokracja wywiera, widocznym jest nawet w demokratycznych Stanach Zjednoczonych Ameryki, nawet w socjalistycznej Francji, które nie mogą się pozbyć tradycji swej kulturalnej i poszanowania starszych w hierarchii społecznej. W jednej, zdaje się, tylko barbarzyńskiej Rosji, ani wyższość rodowa, ani kulturalna, ani nawet wyższość zasług niekoniecznie imponuje, wywołuje jedynie zawiść i chęć zniszczenia. Nigdzie jednak na świecie niema przywilejów bez obowiązków. W epoce feudalnej szlachta jedynie miała dostęp do pewnych dobrze wynadgradzanych godności tak świeckich, jak i duchownych, szlachta jedynie posiadała ziemię, ona też korzystała z bezpłatnej pracy swych chłopów, za to jednak na niej jedynie ciążył obowiązek obrony kraju przed nieprzyjacielem zewnętrznym, stawania na każde zawołanie przy swym królu w jego wyprawach wojennych. W Polsce, choć feudalizm nigdy nie był się rozwinął w zupełności, były też podobne warunki. Rzecz oczywista, że przy takim stanie rzeczy, na szlachtę jedynie spadał zaszczyt budowania państwa, tworzenia jego siły i im więcej w zasadzie kto zasług dla budowania ojczyzny i jej chwały położył, tem więcej na niego spadało zaszczytów i dóbr ziemskich, tem wyżej on się podnosił sam i ród jego, tworząc pierwszą arystokrację. Pomimo, bowiem, zasady o równości między szlachtą, która to zasada dopiero za Jagiellonów się rozwinęła, takowej nigdy nie było, ale od początku mieliśmy różne warstwy, nawet wśród szlachty, szczególnie u nas w Polsce, gdzie wcześniej już, wskutek rozradzania się rodzin i nierównych warunków ekonomicznych w poszczególnych dzielnicach naszego obszernego kraju, mieliśmy liczny gmin szlachecko-rycerski, a nad nim karmazynów i magnatów. Wszyscy oni jednak w mniejszym lub większym stopniu przyczynili się do budowy naszej

świetnej przeszłości w czasach, kiedy jedynie męstwo i liczba szlachty stanowiły o sile państwowej, gdy pieniądź nie miał jeszcze tego znaczenia, co dziś. Wskutek tego stanu na szlachtę też w znacznej części spada dziś odpowiedzialność za błędy w budowie naszej ojczyzny, która tak krótko kwitnęła i trwała i tak rychło upadła. Przez przyjęcie w XV. i XVI. wieku przez naszą szlachtę dzisiejszych nazwisk wzamian za nazwy herbowe i zawołania rodowe, które do tego czasu były w użyciu, w wielkiej części zatraciły się ślady, które rody szczególniejszej o budowy naszej ojczyzny się zasłużyły. Wiele z tych rodów wymarło, tak, że obecnie mało kto może się poszczycić tem, że pochodzi w prostej linii od tych, którzy krajowi szczególniejszej służyli i wielkość jego stworzyli za Piastów, razem z nimi Polskę budowali. Oprócz tego, wskutek podniesienia się majątkowego i wzbogacenia, przeważnie na kresach wschodnich, w szeregi karmazynów i magnatów wtargnęło wielu ludzi, których przy budowie ojczyzny nie było, a nawet wielu takich, którzy na słabości rządu i upadku Polski się wzniesli, wyłudzając od bezsilnych i skrupowanych przywilejami szlachty królów wielkie nadania i starostwa, a także miejsca w senacie, często nawet łącząc się z najeźdźcami, lub intrygując z stronnictwami wrogami królom. Rządy rozbiorowe, chcąc pozyskać sobie możniejsze rody polskie, obsypały zaszczytami i tytułami, których w Polsce nie było, wielu przedstawicieli ziemian polskich za zasługi rzeczywiste, lub urojone, nie mające często nic wspólnego z dobrem prawdziwej ojczyzny, Polski, a często właśnie za grzeszną obojętność na niedolę kraju, lub, co gorsza, za uświadomione, lub nie, działanie na jego szkodę. W ten sposób mamy obecnie majątkowo, lub społecznie przodujące warstwy w naszym kraju, o bardzo różnej przeszłości i tradycji z obcymi tytułami, będącymi często zapłatą zdrady, lub służalstwa. Jakby jednak nie było, warstwy te istnieją i jak się wyżej mówiło, korzystają z pewnych przywilejów towarzyskich, społecznych, często nawet i finansowych. Zastanówmy się więc nad tem, jakie obowiązki z tymi przywilejami są połączone

i jak się u nas warstwy nimi obdarzone z tych obowiązków wywiązują.

Na całym świecie ci, którzy się uważają za arystokratów, czują się w obowiązku być konserwatystami, t. j. chronić dawny obyczaj, dawne poglądy, dawne wierzenia, wskutek tego chcą oni bronić Kościoła i religii, o ile liczą się do katolików; tak samo jest i u nas. Mamy jednak wielu konserwatystów zaślepionych, którzyby radzi bezkrytycznie wszystko konserwować, niebacznici, że wiele chcą zachować wad z przeszłości pozostałych, tych właśnie, które nasz kraj o upadek przypawiły. W mniemaniu tych zaślepieńców w przeszłości wszystko było cnotą samą, nie widzą, że nigdy świat nie stał na miejscu, lecz że się z lepszym lub gorszym powodzeniem wciąż przeobrażał, dążąc naprzód do urzeczywistnienia szczęścia na ziemi. Według tych poglądów należałoby konsekwentnie powrócić do pierwotnego stanu ludzkości z jej barbarzyństwem, odrzucić wszystkie przez przemysł ludzki wprowadzone udogodnienia w życiu, gdyż i w najdawniejszych czasach znajdujemy ślady, że zawsze bywali ludzie niezadowoleni z współczesnego stanu i tęskniący do przeszłości, którą wychwalali. Chcąc bronić religii u nas najczęściej warstwy arystokratyczne nie widzą, że same jej nie znają, chciałyby mieć jakąś religię dostosowaną do ich każdorazowych wygód. Toteż widzimy, że nasi ludzie ze stanowiskiem bywają w kościele, poszczą, lub uczęszczają do świętych sakramentów tylko nieraz przygodnie w wielkich okolicznościach, o ile im się to złoży, bez przekonania, że praktyki te są konieczne, choćby tylko jako objawy posłuszeństwa Kościołowi, do którego się chce należeć. Mamy więc organy prasy konserwatywnej, których współpracownicy w nic nie wierzą, a za pieniądze tak piszą, jak im popierające koła arystokratyczne rozkazują, bardzo często wbrew zasadom Kościoła. Mamy towarzystwa dobroczynności i inne analogiczne związki, kierowane przez ludzi, którzy nigdy w kościele nie bywają i przepisów Kościoła nie szanują. Mamy szkoły, w których nauczyciele z konieczności tylko z uczniami do kościoła chodzą, wywołując zgorszenie swem zachowaniem się w domu Bożym. Wielu mamy takich, którzy w duszy wiary

zupełnie nie mają, uważają ją jedynie za hamulec potrzebny dla dzieci, kobiet i warstw ludowych. Niejeden, który biada nad zepsuciem wieku, nad upadkiem religii, który bardzo nierad, gdy jego służący, lub oficjalista do spowiedzi wielkanocnej nie uczęszcza, sam jemu przykładu nie daje; pozwalając żonie pościć dla przykładu w domu, sam, o ile jest w mieście, w postne dni wymyka się do restauracyi, gdzie nic sobie z przepisów kościelnych nie robi, tłumacząc się czasem przyczyną szkodliwości postu dla jego zdrowia. To mu nie przeszkadza, gdy jakiś niemiecki lekarz wymyśli nowy sposób leczenia, bez szkody dla zdrowia i z wiarą, że mu to dobrze robi, dłuższy czas pościć daleko ostrzej, niż tego Kościół wymaga. Tak samo widzimy w miastach naszych ciągle łamanie przykazania kościelnego o hucznych uciechach w czasach zakazanych przez oficjalnych obrońców Kościoła, często niby w celach dobroczynnych. Czem się różnią u nas zwykle zabawy wielkopostne od zabaw karnawałowych? I tu i tam widzimy ten sam przepych w strojach często z uszczerbkiem kieszeni, widzimy tę samą hałaśliwą wesołość, to samo próżniactwo, główną wadę sfer naszych przodujących, to samo przejadanie się, często z uszczerbkiem zdrowia. Do tych zabaw zaciąga się młodzież, która jeszcze uczyć się powinna, nie dając jej już za młodu nawyknąć do tej tak u nas potrzebnej pracy. Służba, często ze wsi sprowadzona, która wcale nie potrzebuje być głupią, myśleć i krytykować nieraz umie, widzi to wszystko, rozumuje i pyta w duchu, dlaczego ci sami państwo tak nieraz na wsi skrupulatni w wymaganiu od podwładnych spełniania obowiązków religijnych, w mieście samowolnie wszelkie przepisy Kościoła łamią. W dawnych czasach zaprowadzono po kościołach na ostatnie dni zapust czterdziestogodzinne nabożeństwa na przebłaganie Boga za grzechy w tym czasie jakoby szczególnie popełniane; zdawałoby się nieraz, że u nas takie nabożeństwo byłoby szczególnie w poście potrzebnem, gdy do zwykłej zabawy przyłącza się jeszcze łamanie przepisów kościelnych.

To samo, co z praktykami religijnymi dzieje się u nas i z moralnością, bo w przekonaniu wielu religia w obrządkach kościel-

nych się zawiera, a w życiu żadnego wpływu mieć nie potrzebuje. Wiadomo, że próżniactwo jest matką wszelkiego grzechu, to też ludzie, których potrzeba do ciągłej pracy nie zmusza, z próżniactwa puszczają się na różne wybryki. Niewielu jest takich, którzy, choćby tylko dla przykładu niższych warstw, u siebie na wsi i w domu jako tako swą niemoralność ukrywają, odłupując się za to sowiec po miastach; daleko więcej jest u nas takich między niby katolicką młodzieżą z warstw przodujących, którzy nie boją się siać zgorszenia i otwarcie źle się prowadzą. Niejedna matka, która pilnie strzeże tego, co córka jej czyta, sama uczęszcza na niemoralne przedstawienia, o czym ta córka wie doskonale. W ten sposób już w wychowaniu domowym wprowadza się ten fałsz logiczny i moralny, że pewne przykazania obowiązują tylko dzieci i warstwy ludowe, to też w takim domu wychowany wyrostek lub panienka marzy tylko o tem, kiedy już i on, czy ona, będą mogli niczem się nie krępować, uczęszczać na niemoralne widowiska i przynajmniej na scenie oglądać owoc zakazany.

Oczywiście, że i lud patrzący na takie traktowanie przepisów Boskich, rozumie, że cała moralność jest tylko konwencyonalnym frazesem, wymyślonym przez panów przeciw gminowi, że majątek i stanowisko od tej uciążliwej moralności oswobodzią, że mądry człowiek, jak się uda, powinien dążyć do pozyskania wszelkimi godziwymi lub niegodziwymi środkami możliwości wyzwolenia się z więzów religii. Jeżeli często słyszymy z ust warstw uprzywilejowanych narzekania na bezbożność i niemoralność warstw niższych, zapominamy o tem, że przykład zawsze idzie z góry, że każda choroba, każdy proces społeczny idzie swym naturalnym porządkiem i potrzebuje dłuższego czasu, aby się rozwinąć, dojść do ostateczności i przez to samo się przesilić i wywołać naturalną reakcję. Bieg wypadków trudno cofnąć, ale można pracować dla przyszłości i nie wprowadzać w organizm społeczny zarodków nowych chorób i nowych fermentów. Dzisiejsza niewiara warstw najniższych jest dalszym rozwojem niewiary, wprowadzonej przez przedstawicieli wyższych warstw na przełomie wieku XVIII i XIX, a nie-

stety i dziś jeszcze panującej w duszach bardzo licznych przedstawicieli tychże warstw. Ubolewania godny dzisiejszy socjalizm, który nieraz mąci sen klas posiadających, który strachem przejmuje rządy i wyższe towarzystwo, który doprowadza dzierżących władzę nieraz do bolesnych ustępstw na rzecz mrzonek, jest logicznym wynikiem niewiary, chęci używania niczem już nie krępowanej i materyalizmu.

Ponieważ u nas wiara i narodowość są nierozzerwalnie połączone i faktem jest, że najpiękniejszymi kartami w naszych dziejach są te, które przedstawiają czyny nasze dla rozszerzenia wiary podjęte, że także najwięksi i najzasłużeńsi nasi mężowie byli wiernymi synami Kościoła, głęboko religijnymi, powinniśmy więc i w polityce naszej trzymać się szczerze Kościoła, a cała nasza działalność powinna być opartą na służbie Kościołowi i Ojczyźnie. Co do tego panuje u nas w wyższych kołach, niestety, straszna dezoryentacja. Wielu mamy bardzo pobożnych, choć nie głęboko pojmujących religię ludzi, którzy sobie wystawiają, że ponieważ Kościół jest instytucją międzynarodową, więc i katolik może być mniej więcej kosmopolitą. Nie rozumieją, że właśnie religia dobrze zrozumiana nakazuje kochać swą ojczyznę z jej przeszłością historyczną, i że każdy dobry katolik, pracując dla Kościoła, powinien jednocześnie i przez to samo pracować dla ojczyzny. Niektórzy u nas w wyższych warstwach nie, umieją zachować miary w swym lojalizmie dla rządów rozbiorowych, często dochodzą do służalstwa; chętnie oni tłumaczą się słowami Chrystusa Pana: „Oddajcie cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest Jego“. Nie przeszkadza to jednak oddać też ojczyźnie co do niej należy, czemu Pan Jezus całem swem życiem nie przeczył. Wielu patryotyzm wydaje się „*peu comme il faut*“, gdyż u nas, niestety, warstwy demokratyczne, a co gorzej demagogiczne, wzięły patryotyzm w swój wyłączny monopol. Jedynym sposobem odebrania im tego monopolu jest postawienie przeciw ich złe zrozumianemu patryotyzmowi frazesu prawdziwego patryotyzmu czynu, szanującego uczucia gorętsze miłości ojczyzny u drugich; taki prawdziwy patryotyzm nie powinien się kryć gdzieś głęboko tak, żeby się go nikt nie domyślał, ale powinien

śmiało i otwarcie wszędzie się stwierdzać, co mu nawet wrogów szacunek uzyska. U nas w wyższych warstwach zbyt często przez tchórzostwo i oportunizm unika się wszelkich objawów patryotyzmu, aż do zaparcia się swej narodowości, niektórzy ludzie, niby intelektualni, uważają za objaw wyższości umysłowej wyszydzać u drugich szczerze, choć nie w porę głoszone hasła narodowe; tymczasem, przeciwnie, nie wolno światła pod korcem ukrywać, lecz należy właśnie ludowi pokazywać, że się ojczyznę równie jak i on, lub i więcej kocha od niego, ale, że się umie tem uczuciem kierować i do pożytecznej i rozumnej pracy dla kraju prowadzić. Wskutek niektórych błędów naszej narodowej demokracji, a może głównie z powodu nazwy, którą przybrała, która razi wielu uważających siebie za arystokrację, ludzie z obozu pseudokonserwatywnego, którzy chcą wszystko konserwować, nie wyłączając naszych wrogów, nie umieli nic mędrszego wymyśleć, jak utworzenie stronnictwa realistów, lub ugodowców. Na kresach, aby jeszcze mniej drażnić obcych, których wkrótce razić będzie samo nasze istnienie, i żeby się przypadkiem nie zdradzić z tem, że się jest Polakiem, nazwano to stronnictwo krajowem. Ta maska oczywiście nikogo w błąd nie wprowadza. Nasi wrogowie nie są dosyć subtelni, aby tę cienkość zrozumieć, wolą oni widzieć szczerze uczucia i poglądy polskie wszelkich odcieni, niż tę ugodowość, której nie ufają, podejrzewając w gruncie jakieś utajone uczucia narodowe, których niestety, przeważnie już nie ma. Pomimo wszystkich błędów z narodowych demokratów można jeszcze pracowników dla odbudowania ojczyzny wykrzesać, z zimnych i ostrożnych ugodowców trudno; aspiracye swoje oni gotowi zcieśniać do minimum i każą nam się kiedyś cieszyć i uważać za tryumf swej polityki, gdy otrzymamy autonomię na Krakowskiem przedmieściu z placem zamkowym łącznie. W każdym kraju, mającym uczciwie i logicznie myślące społeczeństwo, w przeciwieństwie do stronnictwa narodowej demokracji, byłoby powstało stronnictwo narodowej arystokracji. Takby było w Anglii, gdzie stale się ścierają stronnictwa torysów i whigów, ale oba te stronnictwa prześcigają się w miłości

ojczyzny i w pracy dla jej chwały. Stronnictwo, któreby w Anglii swój patryotyzm ukrywało, któreby się jego wstydziło, nie mogłoby istnieć trzech dni, zdyskredytowane i zhańbione oburzeniem narodu. U nas jedynie mógł powstać taki dziwoląg, jak owe stronnictwo, które nazywa się realnem, a prowadzi najnierealniejszą politykę w świecie, systematycznie odtrąca od siebie wszystko, co choć zdaleka czuć szlachetnem jakkolwiek bądź uczuciem miłości ojczyzny, i koniecznie chce przeprowadzić jakąś ugodę z przeciwnikiem, który, albo jej potrzeby nie odczuwa, albo za niemieckie pieniądze odtrąca ją, żeby przez zgodę Słowian sprawa niemiecka nie była zagrożoną. Jestto elementarną zasadą w każdym handlu, a więc i w polityce, która niczem innem nie jest jak handlem, że, gdy się chce coś uzyskać, nie krzyczy się na dachu, że się do tego dąży, ale się udaje, że się tego wcale nie pragnie, a doprowadza się odpornem swem stanowiskiem do tego, że przeciwna strona zażąda tego, co nam potrzeba. Dotąd w Galicyi z wyższych warstw złożone stronnictwo byłych Stańczyków, a w Królestwie tacyż realiści powołują się wciąż na powagę swych protoplastów, na Szujskiego, Popiela, Wielopolskiego, tymczasem, znając gorące narodowe uczucia tych mężów, twierdzić można z pewnością, że, gdyby oni z grobów powstałi, przeraziliby się roboty swych niby następców i zupełnie inaczejby działali w obecnych zmienionych warunkach. Tu i tam katolikom-Polakom-konserwatystom przewodzą ludzie bez żadnej wiary, często świeżo zaciągnięci z kół demokratyczno-postępowych i prowadzą ich dokąd im się podoba. Prawdziwie czasem aż zadziwia, jak w różnych polemikach i sporach politycznych stale organa pseudokatolickie i konserwatywne walczą obok najskrajniejszych pism i działaczy wrogo dla Kościoła usposobionych jedynie w celu zwalczania dzienników i ludzi narodowo usposobionych, lub narodowe hasła głoszących, co przecież samo przez się nie jest jeszcze zbrodnią. U nas właściwie, wobec ciągłych walk z obcymi, jest miejsce tylko na jedno stronnictwo narodowe, w którym mogą być na wewnątrz odcienia pewne arystokratyczne i demokratyczne, lub trzymające się

innej polityki ekonomicznej, ale na zewnątrz wolno nam tylko zawsze razem występować.

Mówiąc o wadach obecnych naszych warstw przodujących i obowiązkach ich na przyszłość, wspomnieć jeszcze należy o tem, że nigdzie tak jak u nas, wskutek próżniactwa i złęzonego z niem plotkarstwa, lekkomyślnie się nie dotyka sławy bliźniego. Ludzie uważający się za arbitrów honoru i uczciwości rzucają cień na czyjąś działalność, szczególnie gdy chodzi o osobę z innego obozu politycznego, ogół nie zadaje sobie trudu zbadania sprawy i powtarza bezmyślnie: „tam coś było“. W ten sposób paraliżuje się u nas nieraz pracę bardzo pożytecznych ludzi, a przecież nie mamy nadmiaru ludzi pracujących. Tem to jest dziwniejszem, że jednocześnie niema kraju, w którymby panował taki brak opinii publicznej, znani szkodnicy społeczni i narodowi, marnotrawcy dobra narodowego mogą być pewni przebaczenia i dobrego przyjęcia, dopóki mają środki pieniężne i używając sami, drugim dają możność używania także. Wytworzone u nas pod wpływem zetknięcia z armią Napoleona na początku przeszłego wieku drażliwe poczucie honoru, jako nieoparte na głębszej podstawie religijnej, nie wytrzymało próby, to też u nas w interesach między ludźmi o znanem nazwisku nieraz zdarzają się objawy niezwykle nierzetelności; przytem smutnym jest objawem, że stale wszelkie upadki materyalne połączone są z upadkiem moralnym, gdyż brak głębszych zasad religijnych dopuszcza wchodzenie w układy z sumieniem, które się stopniowo zaciemnia i nie odróżnia już tego co jest dozwolonem od tego, na co się zgodzić nie można.

Po tem wszystkiem, cośmy powiedzieli, rozpatrzywszy tak liczne błędy i wady naszych sfer przodujących, wypada, że nie badając, kto u nas ma prawo uważać się za arystokratę z rodu, czy stanowiska, powinniśmy stworzyć własną arystokrację, nie wyłącznie rodową, choćby bez tytułów, arystokrację zasług, pracy na polu służby Bogu i ojeczyźnie. Praca nawet dla własnej korzyści, o ile jest uszlachetnioną wyższą pobudką, pożytek przynosi ogółowi i może być uważaną za pracę dla kraju

i Boga. W Anglii, kraju najklasyczniejszego ustroju arystokratycznego warstwy przodujące wciąż się odświeżają nowemi zasługami dawnych rodów i powoływaniem nowych ludzi do służby krajowej. W tym samym duchu miała działać zbytnie w ostatnich czasach przez krytykę historyczną poniewierana Konstytucya 3 Maja, uszlachcając stopniowo cały naród, nie przez poniżenie szlachty, ale przez podniesienie ludu. Bądźmy wierni tej szlachetnej tradycyi. Niech warstwy przypadkowo dziś stojące na świeczniku przenikną się do głębi tem przekonaniem, że, chcąc stworzyć coś trwałego, najlepiej zespolić losy naszego narodu z losami Kościoła, który jeden na świecie ma przyrzeczenie samego Boga, że do końca świata nie upadnie. Warstwy przodujące, które mają po części w swej przeszłości dużo kart ciemnych, które nieraz przeciw interesom narodowym występowały i przez to straciły zaufanie niższych, niech pracują nad tem, aby im przebaczone ich nieraz z nieczystego źródła, lub z ręki wrogów za oddane im usługi otrzymane tytuły, niech staną w szeregu do rzetelnej pracy na każdym polu za wiarę i ojczyznę tak w życiu codziennem, jak społecznem i narodowem. Każde szlachectwo, aby się nie zaćmić, potrzebuje ciągłej pracy, ciągłego odświeżania się nowemi zasługami. Galicya, która najwięcej ma wolności i najwięcej zdziałać może, niech się otrząśnie ze swego wiedeńsko-urzędniczego patryotyzmu, niech się przejmie uczuciem, że powinna być wzorem i pokazać, co my, Polacy, możemy zrobić i dokonać, gdy mamy władzę. Niech każdy arystokrata galicyjski czuje się przedstawicielem i obywatelem całej Polski odpowiedzialnym za jej cześć i dobre imię. Pod względem społecznym i politycznym musi Galicya powierzyć swe losy nie rękóm marnych karyerowiczów, ale prawdziwych obywateli kraju, których muszą wydać z siebie warstwy arystokracji rodu i rozumu, chcące przodować. To samo naturalnie dotyczy warstw przodujących w innych dzielnicach, choć w mniejszym stopniu. Ponieważ, jak wyżej powiedziano, przykład idzie zawsze z góry, niech ta nasza przyszła arystokracja miłości Boga i ojczyzny i dobrej woli nie da się na żadnem polu prześcignąć w pracy innym warstwom. Niech

polski arystokrata lepiej kocha Kościół i lepiej mu służy niż polski chłop. Niech polski arystokrata lepiej kocha swój kraj i lepiej mu służy, niż polski mieszczanin, lub tak zwany miejski intelligent i dziennikarz. Stwórzmy arystokrację najlepszych sług Kościoła i ojczyzny.

Jan Mańkowski.

Z pośmiertnej teki Orzeszkowej.

TRZY UDERZENIA DZWONU.

Dwór to był wiejski, nie wspaniały, nie rozległy, tylko w lipy rozłożyste i w topole strzeliste bogaty, barwami kwiatów niewymysłnych świecący przed domem, którego białe ściany nie wysoko wznosiły się nad ziemią, okryte dachem może i nie ze słomy uczynionym, ale do strzechy słomianej podobnym.

Dzień letni, pogodny skończył się był przed chwilą, słońca na niebie już nie było i tam gdzie ostatni rąb ognistej tarczy jego zniknął, łagodna zorza wieczorna zalala skłon nieba bładem złotem i jasną purpurą. Od ziemi szły w powietrze pachnące oddechy kwiatów i wstępował w nie zmierzch powolny, nad którym w górze zaświeciło trochę drobnych gwiazd. Ku górze wzbijały się w zmierzchu strzeliste linie topoli i widać było na tle złotej zorzy, równie jak one ciemną i cięższą niż one dzwonnice kościelną.

Ganek domu pełen był niewyraźnych postaci ludzkich. W zmierzchu i wśród gęsto po słupach ganku wijących się pnączy, rysy i kształty ich stawały się niewyraźne i zmaćcone, ale widać było głowy ciemne, płowe, siwe, ruchy ramion silnych, wątlých, prędkich, powolnych i słychać było rozmawiające głosy męskie, niewieście, młodzieńcze. Siedziały niewyraźne postacie te na ławkach, u samej prawie ziemi, stały u słupów, mając zielonych pnączy gałęzie na głowach i ramionach, przybliżały się ku sobie i od siebie oddalały, znikwały w głębi domu i powracały znowu.

Głosy ich zniżały się, przyciszały, spadały do cichego szmeru. Nadeszła pora milczenia natury, wyraźnej na tle zorzy strzelistości topoli, smętnego dogorywania blasków dnia . . .

Zniżony głos kobiecy na ganku przemówił :

— Zaraz na Anioł Pański zadzwonią . . .

Inny męski monotonny podjął :

— W Polsce na Anioł Pański dzwonią inaczej niż na szerokim świecie . . .

Ktoś dźwięcznie zagadnął :

— Te trzy uderzenia dzwonu ?

Kto inny odpowiedział :

— Te, pomiędzy trzema strofami do modlitwy wzywającymi ; trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu . . .

— Takie przewlekłe głębokie i dźwięczne . . .

— Trzy uderzenia dzwonu za tych . . .

— Za kogo ?

— Gdzieindziej uderzeń tych niema . . .

— Tych trzech uderzeń kościelnego dzwonu . . .

— Bo modlitw niema za tych . . .

— Za kogo ?

— Co piekło na ziemi przebyli . . .

— Za tych są te trzy uderzenia . . .

— Te, pomiędzy trzema strofami do modlitwy wzywającymi, trzykroć powtórzone trzy uderzenia dzwonu . . .

Wojna bałkańska w r. 1912/13.

Kilka lat temu Japończycy wzniesli w mieście Kobe pomnik kommodorowi Perry. Perry odegrał w dziejach rolę kamyczka górskiego, nieświadomego, że swem osunięciem się całą lawinę wprawił w ruch. Prawdopodobnie nigdy w najśmielszych swych marzeniach nie przypuszczał, że potomność uczci go pomnikiem. A co najdziwniejsze, że pomnik wystawili mu nie rodacy, lecz upokorzeni nieprzyjaciele. Coprawda Japończycy wzniesli pomnik raczej na cześć własną. Przed pojawieniem się na wodach japońskich w r. 1854 okrętów wojennych Stanów Zjednoczonych pod wodzą kommodora Perry, państwo wschodzącego słońca było niemal zupełnie odcięte od świata z własnej woli. Rząd japoński nie pozwalał Japończykom odwiedzać obcych krajów i cudzoziemcom osiedlać się w Japonii nawet w celach handlowych. Zdarzały się wyjątki, ale nieliczne. Rząd Stanów Zjednoczonych pod naciskiem sfer kupieckich postanowił przemocą nawiązać stosunki handlowe z Japończykami, a w tym celu zmusić ich rząd do cofnięcia ustaw, wytwarzających ów stan odosobnienia, który przeszkadzał kupcom amerykańskim w urzeczywistnieniu ich zamiarów, skierowanych ku rozwinięciu handlu z Japończykami. Perry otrzymał polecenie bombardowania ludnych miast japońskich, gdyby rząd japoński nie chciał zastosować się do życzeń Stanów Zjednoczonych. Japończycy uzbrojeni łukami i dzidami, zrozumieli, że nie mogą walczyć z działami okrętów amerykańskich. Traktat z r. 1854 dozwalał cudzoziemcom osiedlać się w Japonii. Zapewniał im przywileje

podatkowe i wyjęcie z pod władzy sądów japońskich. Mieli podlegać sądownictwu konsulów, mianowanych przez państwa zagraniczne. Japończycy zrozumieli i głęboko odczuli zamach na ich niepodległość, zniewagę, wyrządzoną przez użycie przemocy. Postanowili przyswoić sobie technikę europejską gwoli obrony swej niezależności i starodawnej kultury, zagrożonej najściem nieprzyjaciela. Wytrwali na drodze, którą poszli i zwyciężyli. Dziś już niema mowy o wykonywaniu sądownictwa w Japonii przez konsulów obcych państw lub o jakimkolwiek innem uprzywilejowaniu cudzoziemców. Dziś już niema mowy o tem, ażeby ktoś bezkarnie odważył się nastawać na niezależność Japonii lub naruszać jej żywotne interesa. Doświadczyła tego niedawno armia rosyjska na pobojuwiskach Liaojanu i Mukdena. Japonia przeżyła nowy okres rozwoju, którego mimowolnym sprawcą stał się Perry.

Nie każdy naród pobity i zagrożony w swym bycie państwowym zdobywa się na równie stanowczy odruch. Turcja w roku 1878 znalazła się w położeniu jeszcze gorszem, niż dziś. Dnia 17-go i 18-go listopada 1912 r. armia turecka, pobita pod Kirkilisse i Lülle-Burgas zdołała odeprzeć atak bułgarski na linii obronnej Czataldży. W roku 1878 wojskom rosyjskim, które w pogodny dzień ze wzgórz Czataldży widziały minarety Stambułu, żadna już armia turecka nie mogła zastąpić drogi. Wszystkie były do szczytu rozbite lub obleżone w twierdzach. A jednak wojska rosyjskie zatrzymały się w zwycięskim pochodzie. Nie przekroczyły bram Carogrodu. Flota wojenna angielska przepłynęła Dardanele, zarzuciła kotwice tuż pod Konstantynopolem. Austro-Węgry mobilizowały swe wojska na granicy rosyjskiej. W umyśle Abdul-Hamida przebieg wypadków pozbawił niezatarte wrażenie, że Turcja może zawsze liczyć na sprzeczność interesów angielskich i rosyjskich. Japończycy, zagrożeni przez wroga zewnętrznego, zabrali się przede wszystkim do wzmocnienia własnych sił. Abdul-Hamid przez cały czas swego długiego panowania (1876—1909) kierował się przekonaniem, że najpewniejszym zabezpieczeniem całości Turcji jest wygrywanie jednego państwa europejskiego przeciwko dru-

giemu. Mniej kładł nacisku na reformy wewnętrzne, skierowane ku dźwignięciu sił gospodarczych i wojskowych. Ich urzeczywistnienie stało się hasłem rewolucji młodotureckiej (lipiec 1908). Może uratują dla Turcyi jej posiadłości azyatyckie. Nie zdołali uratować resztek posiadłości europejskich i afrykańskich (Tripolis). Z chwilą porozumienia Anglii z Rosyą w roku 1907 odpadła podstawa, na której budował Abdul-Hamid. Na przebieg najnowszych wypadków bałkańskich wywarły rozstrzygający wpływ rewolucya młodoturecka i zmiany w międzynarodowych stosunkach politycznych, wywołane antagonizmem angielsko-niemieckim i poniekąd wojną rosyjsko-japońską. O tych dwóch grupach zjawisk w ich związku z wojną bałkańską chcę słów kilka napisać.

Turcya Abdul-Hamida nie była ani państwem nowożytnem, ani równie niezależnem, jak wiele innych. W rządach współdziałały państwa obce. Cudzoziemcom przysługują przywileje podatkowe i sądowe (sądownictwo konsularne), Turcya nie może po dziś dzień podwyższyć celi bez zezwolenia państw obcych. Wierzyteli państwa tureckiego przez swych przedstawicieli zarządzają częścią podatków państwowych, które stanowią pokrycie dla należnego im oprocentowania i umorzenia ich wierzytelności. W kierownictwie tej instytucyi (*Dette ottomane*) współdziałają zastępcy tych państw, których poddani wypożyczyli swe kapitały Turcyi. Obce państwa uważają się za opiekunów chrześcijan, zamieszkałych w Turcyi i z tego tytułu wtrącają się do spraw wewnętrznych Turcyi. Rosya roztacza swą opiekę nad prawosławnymi, Austria kazała sobie przyznać w dawnych traktatach, z Turcyą zawartych, protektorat nad katolickimi Albańczykami, zamieszkałymi w Albanii północnej, w pobliżu jej granicy, w okolicach miasta i jeziora Skutari. Art. 23 traktatu berlińskiego przewidywał reformy na korzyść chrześcijan w Macedonii. W ostatnich latach rządów Abdul-Hamida Europa zdołała Turkom w Macedonii narzucić coraz to więcej urzędników różnego rodzaju, opłacanych przez Turcyę, ale mianowanych przez sześć wielkich mocarstw europejskich (organizacya żandarmeryi i innych władz). Istniało osobne

szkolnictwo tureckie, osobne chrześcijańskie, tureckie w stanie oplakany, chrześcijańskie od Turków niemal zupełnie niezależne, natomiast podległe wpływow państw obcych. Niektóre państwa utrzymywały nawet w Turcyi europejskiej własne urzędy pocztowe (Austria w Salonice). Nie mówię już o licznych cudzoziemskich przedsiębiorstwach, popieranych przez ambasadorów, a stanowiących rozsądniaki zagranicznych wpływów.

Turcyja Abdul-Hamida nie była państwem nowożytnem. Przeważał pierwiastek teokratyczny. Abdul-Hamid czuł się w pierwszym rzędzie kalifem (naczelnikiem religijnym) wszystkich muzułmanów. Przynależność do religii wpływała rozstrzygająco na stosunek jednostki do państwa. Gminy religijne tworzyły organizacje, posiadające pewną odrębność polityczną i współdziałające w administracyi państwowej. Na muzułmanach ciążył obowiązek służby wojskowej. Dostarczali państwu prawie wszystkich urzędników. Podatków niemal nie opłacali. Ich ciężar spoczywał przeważnie na barkach chrześcijan, nie powoływanych do służby wojskowej i od sprawowania urzędów państwowych w zasadzie wykluczonych. Rozbicie wyznaniowe nie ograniczało się do terenu religijnego. Siegało głęboko w życie polityczne i gospodarcze. Muzułmanie tworzyli warstwę rządzącą, wojskową, urzędniczą i rolniczą. Handel i przemysł pozostawili w znacznej mierze w rękach chrześcijan. Zapobiegliwość gospodarcza Zachodu była im obcą.

Wyjątkowo także i różnice narodowe wpływały na ukształtowanie stosunku jednostki do państwa. Dla przebiegu wypadków, o których piszę, pierwszorzędne znaczenie miało uprzywilejowane stanowisko Albańczyków bez różnicy wyznań. Każdy Albańczyk, katolik, prawosławny, czy muzułmanin miał prawo noszenia broni, surowo zakazanego innym chrześcijanom i korzystał zeń. Podatki płacili Albańczycy bardzo nieregularnie i to tylko niektóre, a w wojsku służyli, ale dobrowolnie. Nie narzucał im sułtan przymusu służby wojskowej. Otaczał ich szczególnymi względami i łaskami. Wiedział, co robił. Uważał ich słusznie za podstawę panowania tureckiego w Europie. Żywiol turecki w Europie był stosunkowo nielicznym.

W samym Konstantynopolu żyły setki tysięcy Greków. Poza Konstantynopolem stosunek był dla Turków znacznie niekorzystniejszym, a co najgorsze, że Turcy cofali się wobec naporu chrześcijan. Okazywali się gospodarczo słabsi, mniej uzdolnieni do działalności zarobkowej. Tem większego znaczenia nabierało poparcie Albańczyków, żyjących w odwiecznych zatargach z Serbami i innymi ludami chrześcijańskimi. Był to jedyny żywioł, który okazywał żywotność, odporność wobec naporu serbskiego, bułgarskiego i greckiego. Związanie jego interesów z interesami państwa tureckiego, popieranie go w opanowaniu jak największych przestrzeni było stałą linią wytyczną polityki Abdul-Hamida. Toteż z biegiem lat coraz więcej wsi i miast niegdyś serbskich stawało się siedzibą ludności przeważnie albańskiej. W zdobywaniu tych nowych stanowisk przemoc, cierpiana przez władze tureckie, była nieraz rozstrzygającym czynnikiem. Wiemy z dzienników, że obecnie Albania ma się stać państwem niezależnem. Chodzi o jej granice. Serbowie, popierani przez Rosyę, domagają się, żeby miasta Ipek, Prizrend, Diakowa, Dibra przypadły im w udziale i powołują się na to, że jeszcze przed kilkudziesięciu laty były w znacznej mierze serbskimi. Ale dziś zamieszkują je przeważnie Albańczycy, którzy w ostatnich latach poczynili znaczne postępy pod opiekuńczymi skrzydłami rządu tureckiego.

Tym stosunkom przeciwstawili Młodoturcy hasło równouprawnienia wszystkich poddanych i przeprowadzenia na tej zasadzie reform, któreby odebrały państwom zagranicznym możliwość mieszania się w sprawy wewnętrzne Turcyi. Chcieli pozbyć się uciążliwej kontroli i współdziałania w administracyi państwowej mocarstw obcych. Nie jest przypadkiem, że spisek wojskowy młodoturecki powstał w obrębie korpusu macedońskiego i że jego władza naczelna „komitet jedności i postępu“ obrał za swą siedzibę Salonikę, największe miasto Macedonii i miejsce stałego pobytu jeneralnego sztabu korpusu macedońskiego. W roku 1907 doszło do skutku porozumienie Anglii z Rosyą, którego zewnętrznym wyrazem stał się zjazd w Rewalu w czerwcu 1908 r. Mikołaja II z Edwardem VII. Młodoturcy

zrozumieli niebezpieczeństwo tego zwrotu, lecz go nie docenili. Odczuli jego najbliższe skutki, nie zaprzęтали sobie głowy możliwościami dalszych. Tym najbliższym skutkiem było wymuszone na Abdul-Hamidzie przez Anglię i Rosyę wzmocnienie kontroli europejskiej w Macedonii, polegające na nasłaniu dalszego zastępu urzędników europejskich, którym niejednokrotnie tureccy mieli podlegać. Rosya odczuwała potrzebę wzmocnienia swych wpływów na Bałkanie. Po rozczarowaniach na „Dalekim Wschodzie“ szukała powodzeń, odświeżających blask korony carskiej nieco przyblakły pod Liaojanem i Mukdenem, na Bałkanie. Pod naciskiem Zofii i Belgradu chciała ponownie wystąpić w roli obrońcy chrześcijan. Anglia uważała, że potrzebuje pomocy Rosyi przeciwko Niemcom, zgodziła się więc poprzeć zamiary bałkańskie Rosyi. W ten sposób doszły do skutku dalsze reformy w Macedonii. Młodoturcy odczuli żywo ten nowy zamach na niezależność państwa tureckiego. Porozumienie Anglii z Rosyą przyspieszyło wybuch spisku wojskowego młodotureckiego.

Pierwsza rewolucya młodoturecka dokonała się szybko i nadspodziewanie łatwo wśród powszechnego entuzjazmu bez rozlewu krwi. Sułtan Abdul-Hamid, opuszczony nawet przez Albańczyków, zgodził się na powołanie rządu zależnego od komitetu. Nowi władcy przeżyli kilka miodowych miesięcy dzięki brataniu się wszystkich narodowości i wyznań, zwalczających się poprzednio nieraz i z bronią w rękę, a obecnie pozyskanych dla nowego rządu i pogodzonych przyrzeczeniem równouprawnienia. Młodoturcy przywrócili krótkotrwałą konstytucyę Midhata-paszy z r. 1876, której twórca podobno został zamordowany z rozkazu Abdul-Hamida. Art. 8 tej konstytucyi wyraźnie nakazuje nazywać wszystkich poddanych Otomanami bez względu na religię przez nich wyznawaną. Wedle art. 17-go wszyscy Otomani są równi wobec prawa. Mają wobec państwa te same prawa i obowiązki. „Komitet jedności i postępu“ chciał zrównać wszystkich poddanych tureckich wobec państwa. Chciał ich zjednoczyć gwoili wzmocnienia i obrony wspólnymi siłami państwa tureckiego. Za najwłaściwszy sposób

przeprowadzenia swych zamiarów uznał centralizację administracyjną. Postanowił zjednoczyć siły państwowe przez ściśnięcie autonomii prowincjonalnej, w obrębie której odrębności wyznaniowe i narodowe znajdowały poprzednio silny punkt oparcia. W ich rozumieniu silny i wszechwładny rząd centralny był niezbędnym gwoździem szybkiego i zupełnego przeprowadzenia obszernego programu reform, których urzeczywistnienie postawili sobie za cel. Rozszerzenie zakresu działania władz konstantynopolikańskich z ujmą dla samorządu miejscowego było równoznaczne ze wzmocnieniem żywiołu tureckiego, wszechwładnego w ministeriach konstantynopolikańskich. Abdul-Hamid popierał ideę panislamizmu. Skupiał koło tronu kalifa wszystkich muzułmanów bez różnicy narodowości. Młodoturecki ruch wszczął się w Salonice, w mieście przeważnie żydowskim, w którym od dawien dawna żywą działalność rozwijały łóże wolnomularskie. Jeden z najwybitniejszych przywódców młodotureckich, minister skarbu Djavid-bey jest „deunme“, żydem, który przeszedł na mahometanizm, pochodzącym z Saloniki. Młodoturcy zacierali różnice wyznaniowe w indyferentyzmie religijnym, ale siłą rzeczy tem silniej wysunęli naprzód odrębności narodowe. Pogłębili przeciwieństwa, zachodzące między Turkami i Arabami, którzy mimo wspólności religijnej miewali nieraz zatargi ze sobą. Jeneralny szef sztabu, dziś naczelny wódz armii tureckiej, Izzet-pasza znajdował się w Arabii w chwili wybuchu wojny, zajęty tłumieniem powstania.

Zaraz po zwycięstwie rewolucyi młodotureckiej przywódcy czet bułgarskich, greckich i serbskich, które dawniej wojowały w górach macedońskich z Turkami, ale także i między sobą, zjawili się w Salonice, bratając się ze sobą i z Turkami. Abdul-Hamid był mistrzem w szczuciu na siebie Bułgarów i Serbów, Greków i Bułgarów. W r. 1870 Turcy utworzyli egzarchat, przeciwstawiając osobną organizację kościelną bułgarską greckiemu patriarchyatowi. Turcy umiejętnie podsycali waśnie między klerem bułgarskim a greckim o pozyskanie jaknajwiększej liczby owieczek. Przez spory wyznaniowe pogłębiali przeciwieństwa narodowe. Młodoturcy złączyli chrześcijan za-

mieszkałych w Turcyi w pierwszej chwili w jej obronie, później mimowoli w zamiarze zniszczenia panowania tureckiego w Europie, a nawet usunięcia Turków z Europy. Chrześcijanie zrozumieć rychło, że nadzieje równouprawnienia chrześcijan z Turkami, które wzbudziła w nich rewolucya, są złudne. Przez równouprawnienie rozumieć chrześcijanie co innego, co innego znów Młodoturcy. Jedno i to samo słowo było wyrazem bardzo różnych dążeń. Chrześcijanie rozumieć przez równouprawnienie chwyć w swe ręce, może nie w Konstantynopolu, atoli conajmniej na obszarach przez chrześcijan przeważnie zamieszkałych. Mieli na myśli szeroką autonomię prowincjonalną i gminną, opartą w znacznej mierze na radach powiatowych i gminnych, pochodzących z wyborów, przyczem chrześcijanie korzystaliby z czynnego i biernego prawa wyborczego, a dzięki swej przewadze liczebnej i gospodarczej mieliby większość w owych radach. Młodoturcy chcieli rządzić za pośrednictwem parlamentu, posiadającego szeroki zakres działania, a w którym posłowie narodowości tureckiej stanowili większość. Ich nacyonalistyczny i centralistyczny program zjednoczył chrześcijan w walce z Turcyą. Musiał wywołać opozycję, obejmującą także i żywioły niechrześcijańskie, a grupującą się pod sztandarem autonomicznym.

Tą drogą poszli Albańczycy. Zatarg z nimi był jednym z najdonioślejszych w następstwach błędów młodotureckich, osłabił bowiem Turcyę w przeddzień wybuchu wojny bałkańskiej. Albańczycy rychło pojęli, że pomylili się, udzielając swego poparcia Młodoturkom, głoszącym równość praw i obowiązków wszystkich poddanych. Prawami byli hojnie obdarowani przez kalifa, a od obowiązków przeważnie uwolnieni. Młodoturecki program reform wymagał znacznych ofiar pieniężnych. Młodoturcy zabrali się energicznie do nakładania i ściągania podatków nawet w Albanii. Chcieli wzmocnić siły wojskowe, a więc powołać także Albańczyków do przymusowej służby wojskowej. Niekarni górale postanowili przywrócić władzę swemu dawnemu opiekunowi, który od kilku miesięcy był już tylko malowanym sułtanem. W porozumieniu z nim urządzili

kontrrewolucję w kwietniu 1909 roku pod przewodem Ismael Kemal-beya, który jest dziś naczelnikiem tymczasowego rządu niezawisłej Albanii w Valonie nad morzem Adryatyckiem. Jak wiadomo, Abdul-Hamid tylko kilka dni cieszył się odzyskaną władzą. Na wiadomość o wybuchu kontr-rewolucyi trzeci korpus armii tureckiej ruszył z Saloniki do Konstantynopola pod wodzą Mahmuda Szeftket-paszy, który sprawuje urząd wielkiego wezyra w chwili, gdy piszę te słowa. Abdul-Hamid został pozbawiony tronu fetwą szeika-ul-islam (także i jego bezpośredni poprzednik był w ten sam sposób złożony z tronu), wywieziony do Saloniki, a Ismael Kemal-bey uciekł do Albanii celem organizowania zbrojnego oporu w swej ojczyźnie. W latach 1910 i 1911 wojska tureckie tropiły Albańczyków w górach w zamiarze zmuszenia do posłuszeństwa i rozbrojenia, co się tylko częściowo powiodło. Młodoturcy w swej niezręczności doprowadzili do tego paradoksalnego wyniku, że niektóre szczepy albańskie, mieszkające na pograniczu Czarnogóry i prowadzące odwieczne wojny z tamtejszymi góralami, pogodziły się z nimi, u nich szukały schronienia przed Turkiem, tam zaopatrywały się w żywność i broń do dalszej walki z Turkami. W połowie roku 1912 władza wyslizgła się ponownie z rąk młodotureckich (obecnie sprawują ją za trzecim nawrotem). Nowy rząd postawił sobie za zadanie przedewszystkiem porozumieć się z Albańczykami. Było już za późno. Powstanie albańskie kosztowało Turcyę dużo pieniędzy, osłabiło jej wewnętrzna spójnię, a w chwili wybuchu wojny bałkańskiej Albańczycy zrażeni do Turcyi nie poparli jej całą swą siłą.

Nawet reorganizacya armii lądowej i floty przedsięwzięta przez Młodoturków, zwróciła się poniekąd przeciwko Turcyi. Abdul-Hamid nie zaniedbał całkowicie tej sprawy, ale przecie dopiero Młodoturcy zajęli się nią gruntowniej. W roku 1910 odbyły się pierwsze manewry nowoczesne pod Adrianopolem, skutkiem których rząd przystąpił do wzmocnienia twierdzy. Zamówił także dwa dreadnoughty, obecnie budowane w Anglii, ale jeszcze nie skończone. Przygotowania wojenne Turcyi wywołały wśród chrześcijańskich państw bałkańskich chęć przyspie-

szenia biegu wypadków pod wpływem obawy, że w razie rzeczywistego wzmocnienia potęgi wojskowej tureckiej, wojna z nią będzie znacznie trudniejszą, niż obecnie, t. j. w chwili przeprowadzania reorganizacji, w chwili, gdy armia turecka znajduje się w stanie przejściowym, na razie osłabiającym jej bitność. Armia Abdul-Hamida była religijnie jednolitą, obejmującą wyłącznie muzułmanów, silną wiarą i przywiązaniem do padyszacha i kalifa w jednej osobie. Ruch młodoturecki umniejszył powagę tronu sultańskiego, osłabił wierzenia religijne, w myśl równości wszystkich poddanych włączył do szeregów chrześcijan, których część podobno nie chciała walczyć z wojskami najeźdców, złożonymi z ich współwyznawców. Nagła zmiana wiekowej tradycji niekorzystnie wpłynęła na jednolitość i bitność armii, ponieważ jeszcze nie miała czasu dostosować się do niej. Stała wobec wroga politycznie rozdwojona. Spisek wojskowy utorował Młodoturkom drogę do władzy. Ich przeciwnicy chwycili się w walce z nimi tego samego środka. Obalił Młodoturków w połowie zeszłego roku spisek wojskowy, a kilka tygodni temu inna grupa oficerów zmusiła przemocą wielkiego wezyra Kiamila-paszę do wnieśsienia dymisji i narzuciła sultanowi gabinet młodoturecki.

Metody rządzenia młodotureckie także i z innych powodów okazały się szkodliwe. Gdy w lipcu 1908 roku po raz pierwszy doszli do władzy, gdy ich zwolennicy zasiedli w ministerstwie, komitet jedności i postępu nie rozwiązał się. Urzędował dalej i wydawał rozkazy ministerstwu. Obok rządu jawnego wykonywanego przez ministrów istniał drugi, tajny komitetu. Żadnego udziału rzeczywistego w rządzie nie bierze sultan Mahomet V, powołany na tron w r. 1909 przez Młodoturków. Jest podobno zupełnie biernym widzem wypadków. Objaw ten jest również nienormalnym. Nic dziwnego, że pojawiły się pogłoski o bliskim ustąpieniu Mahometa V-go.

Najfatalniejszą w następstwach okazała się młodoturecka polityka zagraniczna. Nie zrozumieli zmian, które zaszły w ostatnich latach w sytuacji międzynarodowej. Te zmiany umożliwiły Bułgarom rozpoczęcie od dawna upragnionej wojny z od-

wiecznym wrogiem. Zanim przejdę do ich przedstawienia, chcę wyraźnie zaznaczyć, że, pisząc o błędach młodotureckich, które przyspieszyły wojnę i wpłynęły na jej niekorzystny przebieg, nie wydaję *eo ipso* wyroku potępiającego, ani o całej ich działalności, ani nie chcę wywoływać wrażenia, jakobym nie uznawał ich zasług, o których nie piszę. Główną winę wypadków można nie bez słuszności przypisywać zaniedbaniom Abdul-Hamida, utraceniu przezeń konstytucyi z r. 1876, nieprzeprowadzeniu reform skarbowych i wojskowych, nie wybudowaniu sieci kolejowej, ułatwiającej mobilizacyę, aczkolwiek równocześnie chrześcijańskie państwa bałkańskie, czyhające na całość Turcyi, zdobyły się na przeprowadzenie tych wszystkich reform. Jeżeli po wojnie Turcyja azyatycka stanie się niezależnem i silnem państwem, w co zresztą wątpię, wówczas zapewne przyszli historycy przyznają nie bez słuszności zasługę tego przeobrażenia Młodoturkom, odczuciu przez nich i stanowczemu postawieniu na porządku dziennym problemu przeobrażenia Turcyi w państwo nowoczesne. Nie uratowali Turcyi europejskiej może dlatego, że było ją zapóźno ratować, może z powodu niepomysłnych stosunków. Trudno jednak przeoczać popełnione błędy, z których część prawdopodobnie dałaby się uniknąć *ad maiorem gloriam* ich ojczyzny.

Nie rzucam kamieniem potępienia na Młodoturków jeszcze z jednego powodu: przypominają mi ich usiłowania dzieje Konstytucyi 3-go maja. Wzmocnienie tym sposobem Polski nie leżało w interesie mocarstw zaborczych. Usiłowania wzmocnienia Turcyi przyspieszyły wojnę, ponieważ zaborcze państwa bałkańskie nabrały przekonania, że to już ostatnia chwila spełnienia ich zamiarów. Rewolucya młodoturecka przypomina mi Konstytucyę 3-go maja także i z innego powodu. Twórcy obu zawiedli się, licząc na pomoc Hohenzollernów.

* * *

Starsi ludzie w Krakowie jeszcze pamiętają przemarsz wojsk austriackich w r. 1854, dążących piechotą (nie było

wówczas kolei) z Zachodu przez Kraków na granicę wschodniogalicyską i bukowińską. Rosya rozpoczęła wojnę z Turcyą. Anglia i Francya stanęły w jej obronie. Pod ochroną swych flot przewiozły przez Dardanele i Bosfor na wody morza Czarnego armię, którą wysadziły na ląd na półwyspie Krymskim. Anglicy i Francuzi, dziś sprzymierzeńcy Mikołaja II-go oblękali wówczas wojska Mikołaja I-go w Sewastopolu. Franciszek Józef I. był zdania, że właściwie należałoby wziąć udział w wojnie z Rosyą razem z Anglią i Francją. Jak zawsze, gdy na Bałkanie wojna się toczy, Austria zmobilizowała część swych sił. Groziła zajęciem ówczesnych Mołdaw i Wołowszczyzny, dzisiejszej Rumunii. Pozostała jednak bezczynnym widzem wypadków, ponieważ Prusy okazywały chęć przyjścia w pomoc Rosyi. W roku 1863 Hohenzollernowie pozyskali nowe tytuły do wdzięczności rosyjskiej. Austria, Francya i Anglia wysyłały papierowe noty dyplomatyczne do Rosyi, biorące w obronę powstańców, ale nie poparte rzeczywistym zamiarem prowadzenia wojny. Pruski minister spraw zewnętrznych, Bismark opowiedział się stanowczo po stronie rosyjskiej. Moskale nie poskąpili Prusom czynnych dowodów wdzięczności. Gdy późniejszy cesarz niemiecki Wilhelm I. na czele wojsk pruskich zdruzgotał pod Sadową potęgę austriacką, Rosya zachowała życzliwą neutralność. Pobita Austria szukała ratunku w porozumieniu z Francją. W r. 1867 doszło do skutku zbliżenie austriacko-francuskie. Nie wydało jednak żadnych owoców podczas wojny niemiecko-francuskiej w latach 1870-71. Austria nie przeszkodziła z bronią w ręku Wilhelmowi I. w wyzyskaniu zwycięstwa pod Sedanem, ponieważ obawiała się interwencji rosyjskiej na korzyść Prus. W r. 1876 zanosilo się na wojnę Rosyi z Turcyą. Austria czuła się mocno zaniepokojona prawdopodobnem znacznem powiększeniem się wpływów rosyjskich na Bałkanie. Rozpoczęły się rokowania. Na ich podstawie doszła do skutku tajna umowa w Reichstadt w roku 1876 między Austrią i Rosyą. Rosya przyrzekła Austrii Bośnię i Hercegowinę, należącą jeszcze wówczas do Turcyi, wzamian za neutralność Austrii w postanowionej przez Rosyę wojnie z Turcyą. Gdy w r. 1878 wojska tureckie dotarły do bezbron-

nego Konstantynopola, Austrya razem z Anglią okazywały wielkie niezadowolenie, a nawet czyniły przygotowania wojenne. Anglia rozgłaszała *urbi et orbi*, że ma zamiar przywieść część wojsk z Indyi na Bałkan. Austrya obawiała się, że Rosya zagarnie za wiele w stosunku do Bośni i Hercegowiny, które jej przyrzekła. Domagała się więc kongresu europejskiego, któryby przeprowadził rewizyę traktatu, zawartego w San-Stefano pod murami Konstantynopola, między Rosyą i Turcyą. Aleksander III zgodził się na kongres w Berlinie, licząc na energiczne poparcie ze strony Niemiec przy sposobności rokowań, które w Berlinie miały być przeprowadzone. Już poprzednio spodziewał się pomocy niemieckiej, gdy Austrya celem zmuszenia Rosyi do współudziału w kongresie, rozpoczęła kampanię dyplomatyczną, popartą przygotowaniami wojskowymi. Zawiódł się. Sądził, że Niemcy podczas kongresu zajmą stanowisko życzliwsze dla Rosyi w imię dawnej przyjaźni, dotąd tak korzystnej dla obu współników. Zawiódł się ponownie. Dlaczego? Niemcom zależało bardzo na przyjaźni rosyjskiej, ale bały się Rosyi zbyt silnej, od której poparcia mogłyby się stać zbyt zależne. Widziały w monarchii austro-węgierskiej potrzebną przeciwwagę. Kto wie zresztą, czy Bismark nie szukał odwetu za niepowodzenie roku 1875-go? Pomawiają go nie bez powodu o zamiar ponownego napadu na Francję, która, pouczona smutnymi doświadczeniami, jego zdaniem zbyt szybko przeprowadziła reorganizacyę swej siły zbrojnej. Przejeżdżał wówczas przez Berlin Aleksander III i miał powiedzieć Bismarkowi, że nie ścierpi drugiej wojny z Francyą, któraby zbyt wzmocniła Niemcy. Bismark wystąpił na kongresie berlińskim w charakterze, jak sam mawiał, „uczciwego pośrednika“, a raczej rozjemcy, silnego wspomnieniami Sadowy i Sedanu, narzucającego waśniącyom się stronom swój wyrok. Wypadł na niekorzyść Rosyi. Zwalczały ją Austrya i Anglia, która za swą pomoc wy mogła na Abdul-Hamidzie tajny układ, przyrzekający jej wyspę Cypr, stanowiącą po dziś dzień część rozległego państwa angielskiego. Niewiele mogła pomódz Rosyi Francya mimo najszczerzej chęci zaskarżenia sobie na przyszłość jej czynnej wdzię-

czności. Wiedziała, że nie może liczyć w najbliższym czasie na pomoc Rosyi, osłabionej wojną. Nie chciała, bo nie mogła narazić się Niemcom przez zbyt stanowcze poparcie żądań rosyjskich, niezgodnych z życzeniami Bismarka. Nie łudził się ani na chwilę Bismark nadzieją utrzymania nadal dobrych stosunków z Aleksandrem III i z jego kanclerzem Gorczakowem. Wiedział, że we Francyi ma nieubłaganego nieprzyjaciela, wobec którego nie może już liczyć na życzliwość Rosyi. Zrozumiał, co szybko uczynić trzeba dla wzmocnienia stanowiska Niemiec. Zresztą już od dawna przygotowywał przymierze z Austryą, podpisane w Wiedniu 7-go października 1879 roku przez austriackiego ministra spraw zewnętrznych i jej pierwszego pełnomocnika na kongresie berlińskim, hr. Andrassego i przez posła niemieckiego w Berlinie Henryka VII ks. Reuss wbrew cichej opozycji Wilhelma I-go, który sercem całem sprzyjał spokrewnionemu dworowi rosyjskiemu, związanemu z Hohenzollernami tradycją wiekowej przyjaźni. Umowa była przymierzem odpornem na wypadek wojny zaczepnej Rosyi (a nie innych państw), zwróconej przeciwko jednemu z państw związkowych. O istnieniu dwuprzymierza na razie zachowano milczenie. Ogłoszenie umowy nastąpiło dopiero w r. 1888 po dalszem oziębieniu się stosunku Niemiec do Rosyi znowu z powodu wypadków bałkańskich.

W roku 1885 Aleksander Battenberg, ówczesny książę Bułgaryi przyłączył do swego państwa Rumelię wschodnią bez wojny z Turcyą. Pobił Serbów pod Śliwnicą, którzy zaniepokojeni wzrostem Bułgaryi wtargnęli do jego kraju. Zdaniem Rosyi nie był jej dość powolnym. Pod wpływem jej intryg zrzekł się tronu w roku 1886. Rosya chciała narzucić Bułgaryi swą kreaturę. Austrya znowu czyni przygotowania wojskowe w Galicyi. Bismark pośredniczy pod hasłem uniknięcia wojny, boć „cała kwestya bałkańska niewarta jest dla Niemiec kości jednego pomorskiego grenadyera“. Chce Austrii dochować wierności i nie zerwać ostatecznie z Rosyą. W roku 1887 księciem Bułgaryi został oficer austriacki, ks. Ferdynand koburski. Rosya oburzona na Niemcy zaczyna się skłaniać do Francyi, ciągle poszukującej sprzymierzeńców celem wzmocnienia swego

stanowiska wobec Niemiec. Rok 1888 jest rokiem ogłoszenia umowy austriacko-niemieckiej. W roku 1889 car Aleksander III, goszcząc w Petersburgu księcia Nikitę czarnogórskiego, wznosi kielich na cześć „swego jedyne go przyjaciela“. Zerwanie Niemiec z Rosyą staje się coraz widoczniejsze. Bismark wykreśla papiery rosyjskie z listy papierów wartościowych, na zastaw których wolno bankowi Rzeszy udzielać pożyczek. Przeszkadza ich nabywaniu przez Niemców, ale wszelkimi sposobami stara się powstrzymać Rosyę na drodze do przymierza z Francją, od którego odstręcza ją republikańska forma rządu i przewaga żywiołów demokratycznych we Francji. Na rozkaz Wilhelma II-go Bismark 8-go marca 1890 roku wniósł podanie o dymisyę, którą cesarz przyjął. Z radością stwierdził, że zbliżenie Francji z Rosyą, które zwalczał od szeregu lat doszło do skutku dopiero po jego ustąpieniu. Niedawno jeden z wybitnych pisarzy politycznych francuskich nazwał zastępy czarnogórskie „korpusem rosyjskim, rzuconym na południową granicę Austrii“. Ale przyjaźń Czarnogóry, choć cenna, nie mogła Rosyi wystarczyć. W roku 1891 zawinęła flota francuska do Kronstadu. „Samowładca Wszystkich Rosyan“, stojąc, wysłuchał pieśni bojowej rewolucyi francuskiej Marsylianki, zagranej na jego rozkaz w chwili, gdy pił w ręce admirała Gervais na pomysłość państwa, którego Gervais miał zaszczyt być przedstawicielem w ważnej historycznej chwili. Francya pozyskała sprzymierzeńca na wypadek ewentualnej wojny z Rosyą. Rosya w poddanych francuskich szczodrych wierzycieli, którzy chętnie kupowali jej zapisy dłużne, opiewające na miliardy franków. Część tych olbrzymich kapitałów zużyła Rosya na azyatyckim „dalekim wschodzie“. W ostatnich latach doznała zawodów na Bałkanach. Rumunia już od czasu kongresu berlińskiego czuła głęboką urazę do Rosyi, ponieważ Rosya niepomna zbrojnej pomocy rumuńskiej w czasie wojny z Turcyą uzyskała zamianę rumuńskiej Besarabii, przyłączonej od tej chwili do Rosyi, na dawniej turecką Dobrudżę, która wówczas przypadła Rumunii w udziale. Rosya chciała w ten sposób, choć częściowo odbić niepowodzenia na innych polach. Odtąd Rumunia ciąży do

Niemiec i Austrii. Bułgaria coraz wyraźniej okazywała chęć wyswobodzenia się z pod uciążliwej opieki rosyjskiej (gabinet Stambułowa). O postawie Niemiec pisałem poprzednio. Rosya rozczarowana do spraw bałkańskich, szuka łatwiejszych zdobyczy w Azji. Zajmuje olbrzymie obszary. Zrywa tradycyjną przyjaźń z Chinami. Obsadza „chwilowo“ chińską Mandżuryę wraz z Portem Artura, który przed kilku laty Japonia zdobyła i który Chiny jej odstąpiły w traktacie pokojowym. Pod naciskiem Rosyi Japonia oddała Port Artura Chinom i przystąpiła do przygotowywania wojny z Rosyą. Umocniła ją w tym zamiarze widoczna chęć Rosyi zagarnięcia także i pobliskiej Korei, która w ubiegłych wiekach dwukrotnie była w rękach japońskich, a której przejście pod panowanie Rosyi istotnie zagrażało niepodległości japońskiej. Car Mikołaj II panowanie swe rozpoczął manifestem pokojowym. Dał inicjatywę do zwołania pierwszej konferencji pokojowej w Hadze. Pragnął pokoju. Jeszcze na dwa tygodnie przed wybuchem wojny z Japonią zapewniał w najlepszej wierze zgromadzonych ambasadorów, że nie będzie wojny. Wierzył w to, czego pragnął. Nie umiał dostosować swych czynów do zamiarów pokojowych. Pozostał głuchym wobec wywodów ambasadora japońskiego, który domagał się wycofania z chińskiej Mandżuryi wojsk rosyjskich, przyrzeczonego uroczyście przez dyplomację rosyjską. Mikołaj II-gi wbrew ostrzeżeniom posła rosyjskiego w Tokio nie przypuszczał, że Japonia odważy się na wojnę. Mikado Mutsihito wysłał w lutym 1904 roku swe wojska do Mandżuryi gwoili wyparcia z niej Moskali, atoli nie w zamiarze oddania jej Chinom. Klęski rosyjskie uprzytomniły Francyi, że przymierze z Rosyą przestało spełniać swe zadanie ochrony przed ewentualnością wojny z Niemcami w pojedynkę. Francya poszukała sobie nowego sprzymierzeńca w Anglii. Już w kwietniu 1904 roku doszło do skutku porozumienie Anglii z Francją.

Anglia królowej Wiktoryi nie szukała sprzymierzeńców. Jeżeli chciała rozszerzać swe posiadłości, czuła się dość silną przeprowadzić swe zamiary na własną rękę. Chroniona potężną flotą nie obawiała się cudzej napaści — oto *splendid isolation*

Anglii. Zmieniły się stosunki wraz z wstąpieniem na tron Edwarda VII-go. Wraz z nim pojawił się na widowni geniusz dyplomatyczny, którego brakło od chwili ustąpienia Bismarka. Pierwszy kanclerz państwa niemieckiego ugruntował przewagę Niemiec w Europie na długie lata. Edward VII zburzył jego dzieło. Ziarno, które posiał, daje dziś obfite żniwa. Zbiera je na rzecz Anglii Sir Edward Grey. Rozbiór Turcyi europejskiej nastąpił wbrew woli Niemiec. Nad ustaleniem nowej mapy politycznej Bałkanu nie obradują w Berlinie dyplomaci pod przewodnictwem niemieckiego kanclerza, jak ongi w roku 1878. Zmieniły się czasy, bo zmienił się stosunek sił politycznych. Dziś układy toczą się w Londynie. Przewodniczy im nie tylko *pro forma* angielski sekretarz stanu dla spraw zagranicznych. Jemu przypadła w udziale zaszczytna rola rozjemcy poważnionej Europy. Trójporozumienie Anglii, Francyi i Rosyi, dokonane przez Edwarda VII-go, umożliwiło wojnę bałkańską i zapewniło Anglii głos przeważny w ustalaniu jej wyników.

Gdy Edward VII. wstąpił na tron w r. 1901, Anglia toczyła ostatecznie zwycięską, ale kosztowną i uciążliwą wojnę z Bu-rami. Wówczas główną troską rządu angielskiego było zawarcie pokoju. Wojna krępowała jego swobodę ruchów. Uniemożliwiała mu skuteczną obronę rozlicznych interesów angielskich, obejmujących wszystkie pięć części świata. Niepokojące były postępy Rosyi w Persyi, zabór innych części Azji w jej pochodzie na daleki Wschód, zakusy wzmoczenia wpływu rosyjskiego w Tybecie, zbliżanie się Rosyi ku angielskim Indyom, obsadzenie chwilowe chińskiej Mandżurii. Temu wszystkiemu musiała się przypatrywać beczynnje Anglia, zajęta, a później wyczerpana wojną w południowej Afryce. — Przybył do Petersburga margrabia Ito, jeden z głównych twórców nowożytnej Japonii, późniejszy namiestnik Korei, zdobytej w wojnie z Rosyą, zamordowany na tem stanowisku przez nacyonalistów koreańskich. Dawał do zrozumienia w Petersburgu, że wojna Rosyi z jego ojczyzną jest do uniknięcia za cenę przymierza, zapewniającego Japonii odpowiedni udział w zaborze wielkich obszarów azyatyckich. Moskale czuli się na siłach dokonania zabo-

rów na własny rachunek bez dzielenia się z kimkolwiek. Petersburskie ministerstwo spraw zewnętrznych wówczas nie uważało japońskiego pełnomocnika za poważnego partnera. Margrabia pojechał do Londynu. Rząd angielski w lot uchwycił nadarżającą się sposobność powstrzymania zaborczej Rosji cudzym orężem — nie pierwszy to raz Anglia zwyciężała tym tanim sposobem. W bardzo krótkim czasie rokowania doprowadziły do pomyślnego wyniku. Już 30 stycznia 1902 r. podpisali w Londynie margr. Ito imieniem Japonii, margr. Landsdowne imieniem Anglii umowę, wedle której oba państwa przyrzekały sobie wzajemnie pomoc na wypadek zaczepnej wojny ze strony trzeciego. Margr. Ito powrócił do ojczyzny, upewniwszy się, że w razie wojny z Rosyą, Anglia będzie przeciwdziałać ewentualnej interwencji innych państw, zwróconej przeciwko Japonii.

Powstrzymanie Rosji nie było w tej chwili ani jedyną, ani może nawet główną troską Anglii. Podczas wojny z Burami cesarz Wilhelm II-gi wysłał do prezydenta Transwaalu Krügera znaną depeszę, zachęcającą go do oporu przeciw Anglii. Co prawda w rozstrzygającej chwili nie podjął walki z nią. Opuścił wczorajszego przyjaciela, ale przecie depesza dodała odwagi Burom, zachęciła ich do wojny. W Anglii zapanowało oburzenie, podsycane ciąglą budową nowych pancerników niemieckich. Anglicy poczuli się zagrożeni w swej przewadze na morzu, o którą nie bez powodu usilnie dbają. Powiedzieli sobie, że, przysparzając Niemcom wrogów na lądzie, wzmacniając ich stanowisko, utrudnią zakusy niemieckie opanowania morza.

Niegdyś Anglia zawierała przymierza z władcami Prus przeciwko Francji Ludwika XIV-go i Napoleona I-go. Wierna tej samej myśli politycznej, natchnionej dobrze zrozumianym własnym interesem, łączy się dziś z Francją przeciw cesarstwu niemieckiemu. Tylko powierzchowny świadek wypadków widzi w tym zbiegu okoliczności dziwną przemianę ról. Zmienił się tylko zewnętrzny przebieg wypadków. Nic się nie zmieniło w istocie rzeczy, uwarunkowanej działaniem niemal niezmiennych motywów psychicznych. Anglia zwalczała zawsze najpotężniejsze mocarstwo lądowe, jako najgroźniejszego ewentual-

nego nieprzyjaciela. Troskliwie pilnowała osłabienia zaborczej Francji Ludwika XIV-go i Napoleona I-go przez wojnę z Prusami. Popierała wówczas Hohenzollernów, bo byli na dorobku. Dziś przysporzyli sił tyle, że nienasyчени zwycięstwami na lądzie, kuszą się o odegranie pierwszorzędnej roli na morzu. Anglia siłą rzeczy musiała poszukać porozumienia z Francją przeciwko Niemcom. Same Niemcy pchnęły ją na drogę, zatarasowaną dawnymi sporami kolonialnymi. Najpierw trzeba było tę przeszkodę usunąć.

Wiekowe spory i wojny Francji z Anglią miały swe źródło w znacznej mierze w przeciwnieństwach kolonialnych. Jedno państwo zazdrościło drugiemu zdobyczy pozaeuropejskich. Przed rokiem 1870 przeciwnieństwa te zlagodniały. Anglia niemal wszędzie zwyciężyła. Po utracie Alzacji i Lotaryngii Francja rozpoczęła gorączkową działalność zwróconą ku powiększeniu swych posiadłości kolonialnych, szukając ze znacznem powodzeniem w nabytkach terytoryalnych pozaeuropejskich odszkodowania za utratę Alzacji i Lotaryngii. Cieszył się Bismarck, że zapomina o Europie, że przestaje myśleć o szukaniu odwetu na Niemcach, że na tej drodze wejdzie w zatarg z Anglią. Przewidywania początkowo się ziściły. Dotarcie przed laty piętnastu francuskiej wyprawy wojskowej z nad wybrzeży atlantyckich Afryki Zachodniej, należących już do Francji przez Sudan aż do górnego Nilu, uważała Anglia za zagrożenie Egiptu, w którym usadowiła się na dobre, za chęć zakwestyonowania jej władztwa nad całym Nilem. Zniosła cierpliwie niejedno powodzenie kolonialne Francji w ostatnich latach, ale tego ścierpieć nie chciała. Groźbą wojny zmusiła Francję do odwołania kapitana Marchanda z Faschody (1898). A jednak w sześć lat później doszła zgoda do skutku na podstawie wzajemnych ustępstw, do których oba państwa okazały się skłonnymi pod wpływem jednego i tego samego czynnika, pod wpływem zamiaru zabezpieczenia się przed Niemcami. Wraz z nią przepadło jeszcze jedno z ogniów polityki Bismarka: Chciał utrzymać dobre stosunki z Rosją, zwalczał jej zbliżenie się do Francji, liczył na chłodne stosunki Anglii z Francją. Słowem jej odoso-

bnienie stawiał sobie za cel. Przymierze Francyi z Rosyą było pierwszym wyłomem w tej politycznej budowie. Dalsze były następstwem działalności Edwarda VII-go, który zerwał z dobrowolnem *splendid isolation* Anglii w zamiarze odosobnienia Niemiec wbrew ich woli. Już ze względu na przyczyny swego powstania umowa paryska miała ostrze anti-niemieckie. Podpisał ją imieniem Francyi Delcassé, od lat kilku minister spraw zewnętrznych rzeczypospolitej. Odtąd Edward VII i Delcassé są w Niemczech najbardziej zniechodzonymi dyplomata-
tami zagranicznymi. Umowa z kwietnia 1904 roku była obszernym traktatem, załatwiającym ogół spraw kolonialnych spornych między Anglią i Francją, ciągnących się nieraz już od szeregu lat. Anglicy i Francuzi nie zawarli przymierza ani od-
pornego, ani zaczepno-odpornego, ale zgodne załatwienie sporów kolonialnych miało być w myśl twórców układu środkiem, umożli-
wiającym współdziałanie polityczne w wielkich, rozstrzygających kwestyach polityki europejskiej. Nie było przymierza, ale nastąpiło angielsko-francuskie porozumienie, oparte na wzajemnej szcze-
rości: *entente cordiale* nazywają Francuzi swój stosunek do Anglii. Pod względem formalnym zupełnie tak samo przedstawia się sprawa układu angielsko-rosyjskiego z roku 1907. I ten układ jest wyłącznie kolonialnym, ale został zawarty także w zamiarze współdziałania politycznego wogóle, nazywanego porozumieniem angielsko-rosyjskiem, ponieważ nie stwierdza wy-
raźnie istnienia przymierza. Na tej podstawie nazwano współ-
działanie polityczne Francyi, Anglii i Rosyi trójporozumieniem (*triple-entente*) w przeciwstawieniu do trójprzymierza, do Nie-
miec, Austro-Węgier i Włoch, związanych pisemnem przymie-
rzem. Trójporozumienie obejmuje przymierze Francyi i Rosyi i porozumienie (*entente*) Anglii z tymi dwoma państwami. Poro-
zumienie jest formalnie mniej wiążącym. Zdaje mi się, że w czasie wojny bałkańskiej okazało się naogół silniejszym łącznikiem, niż przymierze.

Cała wartość dla Francyi porozumienia z Anglią tkwiła we wciągnięciu Rosyi do równoległego działania politycznego z pań-
stwami złączonemi nowozawartem szczerem porozumieniem.

Na wypadek starcia z Niemcami Francya potrzebuje pomocy przedewszystkiem na lądzie. Póki Anglia nie zaprowadzi powszechnego obowiązku służby wojskowej, można liczyć tylko na pomoc Anglii na morzu. Pomoc lądowa byłaby nieznaczną. Toteż przyjaźń angielska jest dla Francyi cenna, ale drugorzędna w porównaniu z rosyjską. Gdyby Rosya zażądała, żeby Francya wybrała pomiędzy nią a Anglią, Francya oczywiście wybrałaby przyjaźń rosyjską. Francya parla zatem całą siłą do porozumienia angielsko-rosyjskiego, upragnionego także i przez Anglię, działającą pod wpływem ciągle wzrastających niemieckich zbrojeń morskich, budzących niepokój w Anglii i zmuszających ją do kosztownego współzawodnictwa w budowaniu coraz to nowych angielskich pancerników, gwoli utrzymania przewagi na morzu, umniejszonej w porównaniu z przeszłością. Po wojnie z Japonią Rosya nabrała przekonania, że przynajmniej na razie dobre stosunki z Japonią są dla niej najbardziej wskazane. Nie chciała być biernym świadkiem dalszego rozpadania się Chin. Musiała więc szukać porozumienia z Japonią. Wobec wyników wojny straciła ochotę do działania wbrew Japonii. Skutkiem wojny ustąpiła z południowo-wschodniej Mandżuryi, ale znaczną część jej *de facto* zatrzymała. Podział Mandżuryi pociągnął za sobą podział Mongolii również na rzecz Rosyi i Japonii, której ma przypaść wschodnia Mongolia na razie, jako sfera wpływów. Układ rosyjsko-japoński ułatwił porozumienie Rosyi z Anglią, do którego skłoniły ją znaczne ustępstwa angielskie. Dawniej polityka angielska uważała niemal za dogmat unikanie bezpośredniego sąsiedztwa terytoryalnego z Rosyą. Anglia dążyła do odgraniczenia się w Azji od Rosyi łańcuchem państw pół-niezależnych (*état tampon*, *Pufferstaat*), których niezagarnięcie przez żadnego z obu współzawodników miało zmniejszać niebezpieczeństwa starcia, wynikające ze zbyt bliskiego sąsiedztwa. Wbrew tej zasadzie godzi się w r. 1907 na rodzaj podziału Persyi, wielce dla Rosyi korzystny. Porozumienie w dalszym ciągu doprowadziło do wzajemnego uznania uprzywilejowanego stanowiska Anglii w Tybecie, Rosyi w chińskiej Mongolii, nie bez cichej

zgody ze strony Japonii. Przedewszystkiem chodziło Rosyi o sprawy bałkańskie, którymi postanowiła na nowo gorliwie się zająć z chwilą, gdy jej polityka azyatycka stała się na razie mniej zaborczą. Ten zwrot mają Francuzi na myśli, gdy piszą o tak dla nich pożądanym powrocie Rosyi do Europy z wyprawy na daleki Wschód. Żywią wdzięczność dla Izwolskiego, ówczesnego ministra spraw zewnętrznych, a dziś ambasadora Rosyi w Paryżu, którego uważają za sprawcę powrotu do Europy i porozumienia się Rosyi z Anglią. Dawne układy w sprawach bałkańskich z Austryą z r. 1897 i 1903 chciała Rosya zastąpić porozumieniem z Anglią, z którego obiecywała sobie więcej korzyści. Także i pod tym względem Anglia okazała gotowość do daleko idących ustępstw — kosztem Turcyi. W ten sposób doszło do skutku trójporozumienie, zrodzone z antagonizmu angielsko-niemieckiego, a zbiegiem okoliczności fatalne w skutkach dla państw muzułmańskich. Nietylko dla Persyi i Turcyi, ale także dla Marokko — jeszcze jedno państwo, którego upadku dożyliśmy w ostatnich latach.

W umowie z roku 1904 Francya uznała prawa Anglii do Egiptu, dawniej zaprzeczane, a Anglia zobowiązała się nie przeszkadzać Francyi w umacnianiu swego stanowiska w Marokko pod warunkiem, że Hiszpanii przypadnie w udziale część państwa marokkańskiego w razie jego zagarnięcia przez Francję. Istniało już poprzednio porozumienie Francyi z Włochami o Marokko, na które obecnie Anglia się zgodziła bez żadnych zastrzeżeń. Francya przyrzekła Włochom nie przeszkadzać im w Tripolisie, jeżeliby doszło do zajęcia Marokko przez Francję. Umowa z r. 1904 została ogłoszona zaraz po zawarciu. Początkowo Niemcy przyjęły ją z udaną obojętnością. Po bitwie pod Liaojanem poczuły się bardzo pokrzywdzone. Zmierzkały, że nadeszła chwila, w której można pogrozić pięścią. Wilhelm II nie zadowolnił się depeszą. Osobiście odwiedził Tanger (1905 r.). Podlegał do oporu sultana marokkańskiego. Wygrywał Hiszpanię przeciw Francyi. Siedmioletni spór Francyi z Niemcami o Marokko skończył się w jesieni r. 1911 wytargowaniem przez Niemców dużych przestrzeni w Kongo fran-

cuskiem i obsadzeniem Marokka przez wojska francuskie. Różne były koleje sporu. Początkowo podczas konferencji w Algesiras (1906 r.) Rosya nie była całkiem pewną, czy ma poprzeć Francję? Była zdania, że nie doznała z jej strony dostatecznej pomocy w czasie wojny z Japonią. Ale potrzebowała wówczas więcej niż kiedykolwiek kapitałów pieniężnych, których tylko paryscy bankierzy mogli jej dostarczyć. Otrzymała je i głosowała z Francją i z Anglią, z którą rok później zawarła układ. Na ogół trójp porozumienie wyszło zwycięsko z tej ogniowej próby. Żaden wuj chyba tyle nie dokuczył siostrzeńcowi, co Edward VII Wilhelmowi II. Mocarstwa trójp porozumienia działały łącznie przeciw Niemcom zgodnie z zamiarami jego twórców. Wojna bałkańska jest dalszym ciągiem tego współdziałania. Coprawda podczas przesilenia marokańskiego ciężar kampanii dyplomatycznej spoczywał na Francji i w Anglii, a Rosya raczej trzymała się w odwodzie, a dziś wysuwają się naprzód Rosya i Francya, a Anglia stoi w odwodzie. Ale w obu wypadkach trójp porozumienie działa zgodnie przeciw Niemcom. Z chwilą, gdy we wrześniu 1911 r. Niemcy ostatecznie zgodziły się na zajęcie Marokka, Włosi wylądowali w Tripolisie 4-go października 1911 roku.

Związek chrześcijańskich państw bałkańskich był już jednokrotnie przedmiotem obrad. W chwili wybuchu wojny włosko-tureckiej podjęto ponowne rokowania dyplomatyczne, które podobno w marcu czy kwietniu doprowadziły do zawarcia trzech układów: Bułgaryi z Serbią i Grecją, Serbii z Czarnogorą. Układ Bułgaryi z Serbią podobno przewiduje dokładne rozgraniczenie terytoryalne przyszłych zdobyczy, czego nie zawiera układ z Grecją. Już z tego widać, że Bułgarya jest dzięki swej sile wojskowej także i dyplomatycznie ośrodkiem związku bałkańskiego.

We wrześniu 1912 roku w chwili, gdy związek bałkański już mobilizował swe wojska przeciw Turcyi, wyszedł trzeci zeszyt kwartalnika naukowego *Political Science Quarterly*, wydawanego w Stanach Zjednoczonych, w którym jeden z tamtejszych profesorów uniwersytetu ogłosił artykuł o Macedonii. Przeczytał źródła i literaturę, był na miejscu i postawił smutne horoskopy.

W Macedonii panuje anarchia. Niema bezpieczeństwa życia i mienia. Nie jest prawdopodobną rychłą, a stanowczą zmianą stosunków na lepsze. Turcyja nie jest w stanie zaprowadzić ładu i porządku. Europa jest skazana na bezczynność z powodu przeciwności między trójporozumieniem a trójprzymierzem. Trudno przewidzieć, czy się te stosunki nie zmienią. Tylko jedno wydaje się pewnem profesorowi: uważa za wykluczone dojście do skutku związku państw bałkańskich celem wyzwolenia Macedonii z pod rządów tureckich, ponieważ wzajemna niechęć Bułgarów i Serbów, Greków i Bułgarów zbyt głębokie zapuściła korzenie. Pomyłka Amerykanina nie zaważyła na szali wypadków. Ale daleko sięgające były skutki, także i dla nas, wyznawania tego samego poglądu przez kierowników wiedeńskiej i konstantynopolitańskiej polityki zagranicznej. Władcy Turcyi nie wierzyli w zbiorowy najazd chrześcijańskich państw bałkańskich. Zdawało im się, że w razie pochodu Bułgarów na Konstantynopol, wojska rumuńskie przekroczą Dunaj i zagrożą ich tyłom. Nie wierzyli w przystąpienie Grecyi do prawdopodobniejszego związku Serbii z Bułgaryą. A przedewszystkiem liczyli na Berlin i Wiedeń. Dlaczego się zawiedli, na to pytanie będę szukał odpowiedzi w artykule „Stanowisko Austro-Węgier wobec wojny bałkańskiej“.

Adam Krzyżanowski.

Najnowsza biografia Lutra.

Człowiek, który tak głęboko zapisał się w dziejach ostatnich cywilizacji zachodniej, jak Luter, uwielbiany przez jednych, potępiony przez drugich, należy do najciekawszych ale także najtrudniejszych zagadnień historycznych. Doświadczenie wykazało, że dla gruntownej i ściśle naukowej oceny jego osobistości nie wystarcza obraz życia i dzieła jego na tle czasu i stosunków ówczesnych, trzeba dotrzeć do ukrytych wewnętrznych sprężyn intelektualnych i moralnych, trzeba znajomości duszy Lutra, aby dla obiektywnego tłumaczenia zawitych i sprzecznych często zjawisk w życiu reformatora mieć klucz w ręku. Pracy tej olbrzymiej podjął się znany historyk H. Grisar T. J. w trytomowym dziele swoim o Lutrze.

Obraz Lutra także w literaturze protestanckiej bardzo różnie się przedstawia według różnych faz, które protestantyzm w kolei wieków przeszedł. Czasy najbliższe Lutra, czasy ortodoksyi protestanckiej kreślą obraz dogmatycznego Lutra w nadludzkiej wielkości z aureolą trzeciego Eliasza albo drugiego Mojżesza, który wybawił lud wybrany z niewoli egipskiej. Znajdują nawet przepowiednie, odnoszące się do reformatora w piśmie św., jako owego anioła objawienia, który przed barankiem niesie wieczną ewangelię, aby ją oznajmić całemu światu (Obj.

Luther. Von Hartmann Grisar S. J. Professor der Universität Innsbruck. Herder. Freiburg i. B. I. Band: Luthers Werden. Grundlegung der Spaltung bis 1530. (XLVI + 656 S.). II Band: Auf der Höhe des Lebens. (XVIII + 820 S.). III. Band: Am Ende der Bahn. Rückblicke. (XVIII + 1108. S.).

14, 6.) Jest to więc Luter w nadprzyrodzonym oświeceniu z całą powagą boskiego posłannictwa.

Pietyzmowi, który kładzie nacisk na pobożny nastrój i wewnętrzne objawy religijne, nie uśmiechała się zmiana i często sprzeczna nauka Lutra, za to zaś cenił wysoko przejawiający się u niego mistycyzm i skonstruował sobie Lutra, nie jakim był, lecz jakim powinien być być według urojeń pietystów.

Fantastyczny i od realnego świata odwrócony Luter pietystów był niezrozumiały dla czasów oświecenia, pełnych chęci życia i używania i dlatego Luter Herdera, Goethego, Wielanda, Walcha i innych nosi znowu zupełnie inne rysy: jest przede wszystkim Niemcem, pogromcą papiestwa, religijnym oswobodzicielem, apostołem wolnej myśli i humanitaryzmu.

Nowożytny obraz Lutra mieni się w najróżnorodniejszych kolorach, w szczególności u najnowszych przedstawicieli potrójny Luter walczy ze sobą o palmę pierwszeństwa: Luter reformator religijny, u którego sprężyną działania i kluczem wszystkich tajemnic jest jego świadomość o Chrystusie jako o Bogu łaskawym, świadomość, która go postawiła na czele całej reformacji; Luter działacz kulturalny, który, jeżeli nie jest źródłem całej nowożytnej kultury, to przynajmniej jej główną sprężyną, i — Luter polityk, który nie tylko spowodował największy przewrót w świecie politycznym, ale także oparł całe dzieło swoje na silnej politycznej podstawie. Wobec tych zmiennych zapatrywań protestantów na osobistość Lutra słusznie można powiedzieć, że dotychczasowa ich historyografia nie daje nam jego portretu prawdziwego, lecz nawiązując do rysów prawdziwych przedstawia różne typy tej samej osobistości według ideałów pewnego czasu.

Ze strony katolickiej literatura o Lutrze nosi od samego początku raczej polemiczny charakter, od którego dopiero w ostatnim wieku starała się uwolnić. Tak Dollinger, Jansen, Pastor starają się już z wszelką obiektywnością historyczną na podstawie źródeł przedstawić osobę i dzieło Lutra, ale osobą reformatora więcej ubocznie się zajmują w ramach całej epoki reformacji. Senzacją naukową było dzieło uczonego dominikanina Deniflego

pod tytułem: *Luther und Luthertum*. Z nadzwyczajną erudycją rozstrząsa ono naukę Lutra i prawie wyłącznie zajmuje się rozbiorem krytycznym jego pism. Gruntowna znajomość literatury przedreformacyjnej i scholastycznej uzdolniła Demflego, że mógł przedstawić znakomity obraz literackiej działalności Lutra na tle czasów poprzednich. I w tem jego największa i nawet od protestantów uzpana zasługa, że wykazał o ile Luter ze swoją nauką stoi pod wpływem otoczenia, co przejął od dawniejszych mistrzów a co jest jego własnością i o ile jego opozycja do nauki Kościoła i instytucji katolickich słuszna lub niesłuszna. Śmierć nie dozwoliła uczonemu autorowi dokończyć swej pracy, a to, co napisał i ogłosił z powodu może zbyt ostrych wycieczek przeciw protestantyzmowi, na które czasy nasze bardzo są wrażliwe, raczej wzmogło antagonizmy między katolicyzmem i protestantyzmem aniżeli je złagodziło.

Nowa biografia Lutra, pochodząca od znanego insbruckiego historyka ks. Grisara T. J., obiera inną drogę. Podaje ona historyczną i psychologiczną charakterystykę pod wieloma względami zagadkowej osobistości Lutra. Zewnętrzne dzieje jego życia i działalności wyczerpująco już zostały przedstawione w rozlicznych pracach, stąd głównem zadaniem autora nowej biografii były badania nad psychą Lutra na podstawie własnych jego słów i pism. Dla początków wewnętrznego rozwoju reformatora w ważnych latach 1515/16 mógł już autor skorzystać z ogłoszonego drukiem komentarza Lutra do listów św. Pawła do Rzymian, na który Denifle pierwszy zwrócił uwagę i w swoim dziele o Lutrze szeroko uwzględnił.¹

Zadanie śledzenia wszędzie wewnętrżnych sprężyn działania reformatora, aby w nich znaleźć rozwiązanie licznych zagadnień jego życia i głębsze zrozumienie tej tak wybitnej indywidualności, jest oczywiście bardzo pojętne, ale z góry da się przewi-

¹ Denifle miał pod ręką tylko kopię tego cennego komentarza, napisaną ręką Aurifabra, znajdującą się teraz w bibliotece watykańskiej. W roku 1903 znaleziono w państwowej bibliotece berlińskiej oryginał ręką samego Lutra skreślony, i według niego z uwzględnieniem kodeksu watykańskiego wydany został komentarz przez profesora strasburskiego, Jana Fickera w roku 1908.

dzieć, że wynikiem pracy raczej będzie pogłębienie dotychczasowych wiadomości o osobie Lutra, aniżeli nieznane dotąd nowiny historyczne. Impulzywną naturą Lutra, nie umiejącą ukrywać się z popędami swymi, często ujemnymi, pozwala zwyczajnie badaczowi głęboko zajrzeć w tę ciekawą psychę. Jeżeli dla katolickiego historyka jest rzeczą z góry przesądzoną, jakie stanowisko zajmie i zająć musi wobec nauki Lutra, tam gdzie tenże znajduje się w opozycji do jasno określonych dogmatów Kościoła, to nie zawsze łatwem będzie dla niego zachować wobec osoby samego reformatora równowagę bezstronnego historyka. Tyle bowiem w tej nadzwyczajnej postaci światła i cieni, dodatnich i ujemnych stron, że często trudno oprzeć się pewnej sympatii dla człowieka przy wszelkiej antypatii do reformatora czyli raczej rewolucjonisty religijnego, który tyle klęsk i walk zaciętych sprowadził na chrześcijaństwo. Grisar wogóle trzyma się ustawicznie zasady, że co dobre, choćby było najpochlebniejsze dla osoby Lutra, trzeba w nim uznać, jeżeli za tem przemawiają wystarczające powody, co zaś ujemne, choćby było bardzo brudne, trzeba odsłonić z wszelką bezwzględnością, ale może pewne, szlachetne liczenie się z uczuciami dzisiejszych protestantów skłoniło go do tego, aby ze skrupulatną pilnością usunąć wszystko co bez dostatecznych dowodów rzuca ujemne światło. Stąd we wszystkich trzech tomach formalną nagonkę urządza na legendy, które z biegiem czasu powstały i niemało się przyczyniły do skoślawienia obrazu Lutra. Niemilosierny i bystry krytyk nic z nich nie pozostawił, naturalnie i tam nie, gdzie legendy te przedstawiają Lutra w korzystnem świetle. Harnack¹ nie bardzo mu wdzięczny za tę przysługę, ponieważ sądzi, że przez to obraz Lutra w głównych swoich rysach nic się nie zmienia a świetlana legenda także do obrazu wielkiego człowieka należy — ale trudno dogodzić wszystkim. Grisar nie waha się uznać w Lutrze geniusza, wielki dar popularnej porywającej wymowy, niezmordowaną pracę, usposobienie religijne, wierną przyjaźń dla zwolenników swoich, czułe staranie o biednych i inne liczne dodatnie

Theologische Literaturzeitung 1911 N. 10 p. 305.

strony, ale, czytając te uznania wielkich przymiotów Lutra, zawsze ma się wrażenie, jakby autor czuł za plecami surowego cenzora, z którym się liczy, bo nierzadko tuż zaraz za pochwałą umieszcza skrzętnie znaczne jej ograniczenia. Zresztą autor bez ogródek także podnosi bardzo ujemne strony w obrazie reformatora: jego dumę, bezbrzeżny gniew, rubasność i brudny sposób wyrażania się, pijaństwo, brak sumienności moralnej, nie zgadza się zaś z często napotykanem twierdzeniem, jakby sprężyną zbroczeń religijnych Lutra były grzechy cielesne. Grisar upatruje raczej w dumie najgłębszą przyczynę postępowania Lutra.

Główną część trzytomowego dzieła wypełnia psychologiczne tłumaczenie różnych faz w życiu, nauce i działalności Lutra. Niektóre z nich jakby problematy są osią całej biografii, jak n. p. nauka o imputacji t. j. odpowiedzialności człowieka, jego wolnej woli, usprawiedliwieniu, wierze, niezwykłej namiętności. Skutek jest ten, że całe dzieło nie sprawia wrażenia jednolitego obrazu, lecz raczej krytycznego przedstawienia pojedynczych problematów z działalności Lutra. Jest to metoda, której się autor trzymał także w innych swoich pracach, bardzo gruntowna, ale niekoniecznie przyjemna dla czytelnika i nużąca dla nieuniknionych powtórek tego samego tematu w różnych fazach rozwoju psychiki reformatora. Przemawiał za tym sposobem traktowania względ na stopniowe kształtowanie się pomysłów Lutra, bo znane jest, że Luter nie stanął do walki z wykończonym programem i systemem nowej ewangelii: dopiero z czasem cegielkę do cegielki dorzucał, często także swoje zdanie zmienia i poprawia, nierzadko także w późniejszym wieku przeciwnie twierdzi jak w początkach swej działalności — ale autor w tej analizie psychologicznej chyba za daleko idzie, usiłując niemal oznaczyć godzinę, w której pewna myśl w głowie Lutra powstała. Za punkt wyjścia wszystkich zbroczeń religijnych Lutra uważa i Grisar jego spór z obserwantami we własnym zakonie, który go pchał do energicznych występów przeciw tak zwanej *Werkheilligkeit*, uświęcaniu się czynnemu przez dobre uczynki. Tak dobitnie to pierwszy Grisar wskazał i zaakcen-

tował znaczenie tego sporu w życiu reformatora. Stoi ten spór też w związku z podróżą Lutra do Rzymu, z której ze zmianą przekonań, powrócił w lutym 1511. Przedtem sam zwolennik ściślejszej obserwacji, od tego czasu przerzucił się na stronę Staupitza i stanął do obserwantów w opozycji.

W dalszym rozwoju Lutra rozróżnia Grisar dwie fazy: pierwsza do roku 1517, druga obejmuje lata 1517 i 1518. Dla pierwszej fazy najważniejszym źródłem jest jego wykład listu św. Pawła do Rzymian, który prowadził przez lata 1515/16. Tu wyraźnie występuje jego nauka o naturze ludzkiej zupełnie przez grzech pierwotny skażonej i o zupełnym braku wolnej woli człowieka i wewnętrznej łaski poświęcającej, o niemocy do zwyciężania pożądliwości i o imputacji zasług Chrystusa, ale nie przez wiarę lecz pokorę. Niema tu jeszcze mowy o owej pewności zbawienia, którą daje sama wiara. Znać więc z tego komentarza, że Luter w tym czasie walczy i szuka, że nie ma jeszcze jasności.

W rezolucjach wydanych w sierpniu 1518 r. przedstawia Luter w jaskrawych słowach udręczenia swej duszy z powodu niepewności zbawienia. Można by je uważać za szczyt jego walk wewnętrznych. Już przy końcu roku 1518 wykładając drugi raz psalmy uczy wyraźnie o absolutnej pewności zbawienia przez samą wiarę. (*Operationes in psalmos*). Istotna treść nowej ewangelii stanęła już przed nią i ugruntowała dostatecznie: *credo me esse saluum*. To samo zapatrywanie zawiera w tym czasie wydany komentarz do listów św. Pawła do Galatów, jakoteż *sermo de triplici iustitia i sermo de duplici iustitia*: wydane na końcu roku 1518 i na początku roku 1519. Już jasno mu było, że sprawiedliwość boża objawiona w ewangelii, o której mowa w słynnym wierszu 17 rozdziału listu św. Pawła do Rzymian, to nie karząca sprawiedliwość boża, lecz sprawiedliwość boża w duszy człowieka, czyli jego usprawiedliwienie na podstawie samej wiary (*ex fide in fidem*). O ile takie matematyczne rozgraniczenie stopni i faz w zapatrywaniach Lutra zgadza się z jego faktycznym rozwojem wewnętrznym, trudno powiedzieć, pisma jego niewątpliwie do tego uprawniają.

Z tych pierwszych wewnętrznych walk reformatora, już jasno wynika, że zupełnie mylną jest apriorystyczna konstrukcja Weissa, który wydając dalsze tomy dzieła Denifle'go wyraża się tak, jakoby Luter z początku stanął na gruncie naturalistycznym a potem dopiero się posunął do pozytywnego protestantyzmu. Zupełnie przeciwnie; od samego początku występuje u niego przesada w pojęciu nadprzyrodzonej zawisłości od Boga, jak również nigdy nie zrywa zupełnie z indywidualizmem i subiektywizmem swej nauki. Tylko w pojęciu jego o Kościele stanowczy nastąpił zwrot, gdy swawolą zwolenników swoich zmuszony niewidzialny kościół zamknąć musiał w swój widzialny „porządek kościelny“ i demokratyczne pojęcie gminy chrześcijańskiej zamienił na absolutystyczny kościół państwowy. Ten oportunizm, do którego zmusiło go częste kłopotliwe jego położenie, rządzi nim także w innych kwestiach: jak w kwestyi dóbr kościelnych, małżeństwa, władzy centralnej cesarskiej i wojen tureckich.

Najgłębsza może przyczyna niezwyklej energii, przekonania o dobroci i słuszności swej sprawy i porywającej siły słów jego to niewzruszone przeświadczenie o boskiem posłannictwie swoim, przynajmniej od 1518 lub 1519 roku, kiedy to sądził, że osobne objawienie stworzyło mu zrozumienie pisma świętego. Grisar, który wogóle skłonny jest wierzyć wszędzie w dobrą wiarę Lutra i tutaj sądzi, że to przeświadczenie jest poprostu duszą Lutra. Bez niego przestałby być Lutrem. Wszędzie przypomina reformator swój specjalny charyzmat, zarówno wrogom i przyjaciółom swoim, z niego też czerpie dla siebie najgłębsze i najpilniejsze uzasadnienie swej nauki. Ustawicznie wracają u niego wyrażenia takie: „to słowo boże, to dzieło boże, to sprawa boża, nie od ludzi, lecz z nieba samego przez Jezusa Chrystusa, jak Paweł św., mamy ewangelię swoją“. Tem przeświadczeniem tłumi wszelkie wątpliwości, rozcina zawile kwestye, stawia całemu światu opór — to źródło jego idei o papieżu jako antychryście i bezbrzeżnej do niego i do Kościoła nienawiści. Prof. Schmidlin¹ wątpi o szczerości tego przeświad-

¹ *Germania, Wissenschaftliche Beilage* 1911 N. 43 str. 338.

czenia z powodu śmieszności cudów i prorocत्व, na które Luter dla uzasadnienia swej misji się powołuje i trzyma się tu raczej przeciwnego zdania Deniflego albo przypuszcza może pewien rodzaj obłędu. Prawda, że te cuda nam nie udowadniają, jednak wobec subiektywnego nastroju Lutra czy dla niego samego nie były wystarczającym potwierdzeniem jego przekonania? Trudno też zrozumieć Lutra, odrzucając jego głębokie niewzruszone przeświadczenie o boskiem swem posłannictwie i w niem też może tkwi ta częściowa magiczna siła, z którą wpłynął na swój czas i wieki następne.

Grisar nie przeoczył także rażącego faktu, że praktyczne życie reformatora często stoi w rażącym przeciwieństwie do roli boskiego posłannika, (II tom, rozdz. XVII), ale nie upatruje w tem momencie osłabiającego szczerłość przekonań w Lutrze. Przekonanie to u Lutra także wystąpiło na podstawie jego dogmatu o zupełnie skażonej naturze ludzkiej i o braku wolnej woli w człowieku; choć się do pochwalenia grzechu nie posunął, jednak miał o grzechu zupełnie inne pojęcie. Stąd też zrozumieć można, że jakoś potrafił godzić w sobie rzeczy do nie pogodzenia: mimo występnego życia uważać się za boskiego posłannika. Naturalnie u ludzi innego przekonania będzie ten fakt zawsze jednym z najsilniejszych dowodów przeciw boskiemu posłannictwu reformatora.

Ważną dla zrozumienia duszy Lutra jest kwestya, o ile uzasadniony jest zarzut kłamliwości. Pod tym względem nikt ściślej nie trzymał się zdania: cel uświęca środki, jak Luter. Szczególnie w kłopotliwych położeniach bez skrupułu uciekał się do kłamstwa i udowodnioną jest rzeczą, że za dozwolone kłamstwo uważał, które może człowiekowi przynieść jakiś pożytek. Na tę ujemną stronę jego charakteru wpływa w wielkiej części jego usposobienie i popęd do retorycznej przesady i humor jego, który powagę twierdzeń często łagodził, nadto patologiczna autosugestia, sprawiająca, że sam wierzył w swoje paradoksy.

Podobnie rzecz się ma z jego namiętym gniewem, który nierzadko w polemice jaskrawo występuje na jaw. Pod tym względem nikt mu nie dorówna; w obelżywych słowach nie zna gra-

nie, — szczególnie gdzie mowa o papieżu i rzymskim Kościele. Ten system obrzucania obelgami przeciwnika, da się psychologicznie tłómaczyć jego gwałtownem, cholerycznem usposobieniem, przeświadczeniem o boskiem posłannictwie, nadmiarem retorycznego zapалу i nierzadko także potrzebą przytłumienia w sobie wyrzutów sumienia, ale pozostaną one plamą na nim na zawsze, od której nikt go nie uwolni. Współcześni nawet z powodu wściekłości, z którą się rzucał i demonicznej nienawiści do każdego przeciwnika uważali go za opętanego ; nierzadkie też są ustępy w jego pismach, które to wrażenie usprawiedliwiają. W związku z poprzednimi uwagami warto tutaj także wspomnieć o roli, którą dyabeł odgrywa w jego wierzeniach i wyobrażeniach. Wiara w potęgę dyabła nad światem i ludzkością przeradza się u niego z czasem w demonomanię. Bardzo obfita jest demonologia w jego pismach, a barwna jego wymowa nie mało przyczyniła się do zaostrenia walki przeciw czarownicom i szerokiego uwzględnienia demonologii w literaturze protestanckiej. Chorobliwa ta demonomania Lutra ma bez wątpienia swe źródło także w jego nauce. Człowiek bez wolnej woli jest niejako ślepem narzędziem dyabła a pomimo usprawiedliwienia człowieka przez wiarę, zostaje w nim grzech pierworodny, który w istocie swojej jest pożądliwością naszą ; z nią zaś człowiek podlega panowaniu dyabła i jest obrazem jego. Siła, z jaką u Lutra występuje to przeświadczenie o wpływie dyabła, bez wątpienia wpływa z nieustannych walk, zwłaszcza wewnętrznych, których dyabeł był wygodnem tłómaczeniem. Chorobliwe stany duszy Lutra, jak domniemane prywatne objawienia, częste iluzje zmysłów, demonomania, częsta melancholia i inne, lekarzom i historykom nasunęły podejrzenie, że reformator przynajmniej peryodycznie podlegał obłędowi. Kwestya ta jeszcze nie jest dostatecznie zbadana, wobec zaś olbrzymiej nieprzerwanej prawie twórczości Lutra, Grisar sądzi, że raczej excytacya nerwowa była powodem tego wszystkiego.

W końcu warto zwrócić uwagę jeszcze na jeden fakt z życia Lutra, który Grisar słusznie podnosi jako ważny moment dla obiektywnego osądzenia reformatora. W późniejszym życiu swo-

jem, jak Grisar konstatuje, dopiero po roku 1525, przedstawia Luter pobyt swój w zakonie w najkorzystniejszym świetle. Mówi o nim jako czasie bardzo ostrej pokuty, wielkiej pobożności, ustawicznych a szczerych walk w celu zrealizowania ideału zakonnego i innych wszelkich cnót chrześcijańskich. Porównywując te późniejsze wynurzenia jego z tem, co pisał o sobie w latach swego zakonnego życia, spostrzega się, że opisy jego nie bardzo się godzą z sobą. W zapiskach zakonnika mowa jest o zadowoleniu i szczęściu w zakonie a podnoszona pewna szkrupulatność w życiu zakonnem trwała u niego na samym początku tylko krótki czas. Dopiero później poczęła go prześladować myśl o predestynacji, kiedy już nowe idee zaczęły w nim kiełkować. Za to własne jego słowa od samego początku brzmią nutą jakiejś nieszczerzej fałszywej pokory, która była tylko zewnętrznym płaszczykiem wielkiego o sobie mniemania. Przepowiednie przyjaciół rokujących mu wielką przyszłość i sława zostały mu w pamięci aż do starości. Wybujałość uczuć religijnych, przesada i nadmiar fantazyi cechują życie jego zakonne. Korzystne światło, w którym siebie lubi w późniejszym wieku przedstawić, ma wyraźny cel polemiczny, aby tym sposobem zjednać sobie więcej wiary i uznania.

Bogata treść monografii Grisara o Lutrze nie da się ująć w ramy krótkiego referatu, mieści ona w sobie obok sumiennej i nadzwyczajnej pracy rzadką znajomość źródeł i subtelnych obserwacji historycznych i psychologicznych. Protestancka krytyka po wielkiej części uznała szlachetną tendencję dzieła unikania wszelkiej polemiki przy całej obiektywności historycznej. Nawet tak nieprzychylna krytyka, jak Harnaka, musi uznać, że praca Grisara na niejednym punkcie posunęła o wielki krok naprzód znajomość osoby i dzieła Lutra. Zarzut katolickiej stronnictwo, podnoszony ze strony protestanckiej, nie dziwi nikogo. Można się go było spodziewać z góry, podnoszą go oni zawsze i wszędzie — ale zwyczajnie zarzut ten niczem innem nie jest, jak ukrytem żądaniem uznania stanowiska protestanckiego. Zresztą każdy, czytając dzieło Grisara, uzna, że sąd jego o Lutrze wypada według najła-

godniejszych norm moralnych. Że nie może zadość uczynić żądaniu Harnaka, aby wszędzie za sprężynę działania uznać w życiu Lutra głęboką jego religijność, to nie wina Grisara, lecz prawdy historycznej.

Zasługi Lutra dla wydoskonalenia języka niemieckiego, na polu szkolnictwa i katechizacyi nawet zalety jego w tłumaczeniu Pisma św. uznaje autor z całą lojalnością, a jeżeli ogranicza pochwałę protestantów pod niejednym względem, to miał do tego słuszne prawo i silne bardzo powody. Nikt, ani sam Grisar nawet nie sądzi, że jego praca jest ostatniem słowem w kwestyi Lutra, ale jest ona bez wątpienia najgruntowniejszem dziełem o Lutrze, ze strony przynajmniej katolickiej. Jest ona także dowodem, że na drodze obiektywnej nauki i pewnej religijnej wyrozumiałości mogą się zbliżyć nawet dwa tak zasadniczo wrogie obozy. Protestancka krytyka przyznaje także, że Luter w świetle katolickiem jest znakomitą kontrolą Lutra w świetle protestanckiem, jak wogóle ścieranie się zdań jest utartą drogą do prawdy.

Ks. A. Starker.

Estetyka Cohna.

P. t. *Allgemeine Aesthetik* wyszło w Lipsku w r. 1901 dzieło Dra Jonasza Cohna, docenta uniwersytetu we Fryburgu Ba-deńskim (obecnie profesora tamże), który w przedmowie zazna-cza otwarcie, iż chce tę swoją próbę ogólnego zarysowania systemu estetyki jako krytycznej umiejętności wartości oprzeć na gruncie przygotowanym przez Kanta. Na czym zaś polega w jego rozumieniu kancyanizm przy uzasadnianiu me-tody i zadań estetyki, to nam wyjaśnia autor zaraz we wstępie, rozpoczynając rzecz swoją od stwierdzenia możliwości dwoja-kiego sposobu traktowania jakiegokolwiek specjalnej umiejętności filozoficznej.

„Albo wychodzi się z podstawowych prawd jakiegoś sy-stemu filozoficznego, określa się stanowisko danej umiejętności w tym systemie i wyprowadza się jej pojęcia zasadnicze z jego ogólnych pierwocin (pryncypiów), albo szuka się podwalin dla poszczegółnej nauki w jej właściwym zadaniu, aby z tych przesłanek ostatecznie ustalić jej ogólniejsze filozoficzne zna-czenie“. Cohn obiera tę ostatnią drogę i oświadcza się zarówno przeciw budowaniu estetyki z ogólnych założeń metafizycznych, z przewodnich idei, których wcieleniem miałyby być piękno i sztuka, jak i przeciw podporządkowywaniu jej psychologii tak, iżby zadanie estetyki wyczerpywało się w psychologicznych analizach, w wyjaśnianiu przyczyn podobania się rzeczy pięknych i tworzenia artystycznego. Przyjawszy stanowisko Kanta, iż

pięknem jest to, co bez względu na jakiekolwiek obiektywne cele jest podmiotowo t. j. dla mających je ująć czynności spostrzegawczych, celowem i wyłącznie z powodu swej formy odpowiedniej dla organizacyi uchwytyjającego podmiotu domaga się bezinteresownego powszechnego uznania w uczuciu niezależnie od rozumowań, snuje C. dalsze konsekwencye tego poglądu w tym kierunku, iż estetyka jako nauka o pięknie i o tworzeniu go przez człowieka t. j. o sztuce, jest przede wszystkim umiejętnością, zajmującą się pewnym odrębnym rodzajem wartości a dopiero z charakterystycznych znamion tych wartości, wydobywającą normy piękna, czyli ogół warunków co do treści i formy, którym rzecz pewna musi uczynić zadość, ażeby uzasadnionem było nazwanie jej piękną. Jak zaś faktycznie powstaje odczucie piękna w jednostce i w społeczno-dziejowym rozwoju, ta kwestya przedstawia mu się już — jeżeli nie całkiem obojętną — to drugorzędną, ponieważ geneza przedmiotu nie wyjaśnia nam jego wartości, śledzenie form i praw połączeń elementów psychicznych nie daje miary dla oceny, o ile to połączenia są piękne; zaś historyk sztuki musi już posługiwać się probierzami wartości, które mniej lub więcej bezwiednie zapożyczają od estetyki.

Tak więc główną wytyczną przy ugruntowaniu tej nauki stanowi mu problem, czym jest wartość estetyczna w odróżnieniu od innych wartości. A ponieważ w każdym sądzie oceniającym (*Werturteil* str. 17) mieszczą się trzy składniki: oceniany przedmiot (logiczny podmiot sądu), przypisywana mu wartość (czyli predykat tego sądu) i określony rodzaj oraz zakres ważności tej oceny (*Art der Geltung, Geltungsbereich*) powszechny lub konieczny albo i nie, przeto w osobnych rozdziałach zajmuje się C. tymi trzema składnikami w zastosowaniu do dziedziny estetycznej. Najpierw wypowiada i stara się obronić od zarzutów tezę, iż wszystko estetycznie cenione jest przedstawieniem plastycznym, poglądem (*Anschauung*). Bezpośredniości plastycznej działania piękna nie obala, zdaniem jego, istnienie t. zw. matematycznej piękności formuł oderwanych, ani mechanicznej piękności konstrukcyi, gdyż odsłaniają się

one doświadczonemu, wytrawnemu, wzrokowi znawcy tylko przy sprowadzeniu elementu pojęciowego do żywych, przejrzystych oglądań w bardzo uproszczonej postaci. Także fakt, iż na ten sam przedmiot zewnętrznego doświadczenia różni ludzie (zwłaszcza odmiennych zawodów i przejść poprzednich) rozmaicie patrzą, nie dowodzi wedle argumentacji C., iżby do odczucia piękna oprócz bezpośredniego przedstawienia, potrzebną była jakaś wiedza lub rozumowanie, bo wszystko to, czego osobnik dawniej zaznał, przyłącza się i zlewa w akcie oglądania bezwiednie w żywą, rzeczywistą jedność i dopiero wtedy powstaje estetyczne ujęcie, gdy zdołamy zapomnieć, że ów do nowego spostrzeżenia dołączony zapas naszych poprzednich doświadczeń i wiadomości jest czemś odrębnem, na innej drodze uzyskanem. To też tłumaczy wielką ilość wypadków pośrednich, o czystości zmaczonej, między abstrakcyjnym poznaniem a plastycznym, pogładowem doświadczeniem. Do predykatu ocen estetycznych odnosi się druga teza autora, mianowicie, iż estetyczna wartość jest czysto wgłębną (wzięną: *rein intensiv* str. 23) w przeciwieństwie do konsekwentnej, t. j. wartości mierzonej celami osiągalnymi przez psychiczny przedmiot względnie przez logiczny podmiot wartości jako środek wziętej. (O tem pisał także w *Beiträge zur Theorie der Wertungen* w *Zeitschrift für Philosophie* T. 110). Ta wewnętrzna, niezależna wartość odpowiada podkreślonemu już przez tylu poprzedników, a zwłaszcza przez Kanta znamieniu bezinteresowności ocen estetycznych. Autor nie przemilcza łatwo nasuwających się zarzutów, że i wartości etyczne, dobrej woli i logiczne, prawdy poznawanej, mogą być uważane za wewnętrzne. Przeciwstawia jednak tym zarzutom to, że prawdziwość sądów nabiera pełnej wartości dopiero, gdy je wcielono w jakąś zgodną całość poglądu, zaś wartość moralnego dobra t. j. dobrej woli polega na zgodności z powinnością, na kierowaniu się poznaniem jej. Tak więc różnica tych dwóch innych wartości od wartości piękna polegać ma na tem (str. 27), że one poza poszczególny konkretny przedmiot (logiczny podmiot) ocen wykraczają, (*transgredient* w przeciwieństwie do *immanent*), wiążą się z jakąś powszechną ca-

łością dążenia i myślenia, a przeciwnie wartość piękna tkwi, spoczywa, zupełnie w poszczególnym, zamkniętą całość dla siebie stanowiącym przedmiocie pięknym, n. p. pojedynczem dziele sztuki. Bezinteresowność upodobań estetycznych nie znaczy, (jak dowodzi autor przeciw tym, co ją podają w wątpliwaniu), żeby treść piękna nie pozostawała w bardzo ścisłych i żywych odniesieniach do ludzkich interesów, do tego, co się kocha lub się nienawidzi (str. 30), albo czego się pragnie (n. p. danego utworu artystycznego, obrazu, rzeźby i t. p.). Wykazuje na użytym przez Kanta przykładzie pałacu, który może dla widza pozostać pięknym, choćby go uważał wraz z Rousseau za plód próżności ludzi możnych — iż interesowność jest przywiązywaniem osobistym wagi do istnienia przedmiotu. „Zależy mi na tem, ażeby rzecz była“. Wywód ten byłby lepiej zabezpieczonym od zarzutów, gdyby w nim dodano, że miłośnikowi piękna zależy najpierw i przede wszystkim na formie przedmiotu wogóle, t. j. na tem, żeby on jakąś, niekoniecznie ściśle określoną, byle podobającą się formę miał; a potem dopiero, wśród pewnych danych okoliczności może mu zależeć na tem, żeby ten przedmiot był zachowanym w swoim specyficznym sposobie istnienia, n. p. piękne krajobrazy naturalne, nad których oszpecaniem przez budowę kolei żelaznych ubolewał Ruskin, albo jako zabytek sztuki. Jeżeli zaś ktoś będąc miłośnikiem i znawcą dzieł sztuki, zajmuje się ponadto ich zbieraniem, to jego pragnienia, skierowane ku nabyciu i zachowaniu takich dzieł, nie odbierają jeszcze charakteru bezinteresowności uciechom, jakie znajduje w ich oglądaniu, pod warunkiem, jeżeli te uciechy są ugruntowane w formie przedmiotów i tylko o tyle, o ile tych uciech nie podsycają względy natury postronnej, n. p. myśl, że się jest szczęśliwym posiadaczem tych przedmiotów, lub że one przedstawiają znaczną wartość pieniężną. Tych dopełnień i objaśnień domaga się pojęcie bezinteresowności estetycznej i „wglębionej“ wartości piękna. Natomiast za zupełnie trafne uznać należy uwagi C., skierowane przeciw identyfikowaniu pociągu estetycznego z pociągiem do gry, co uzasadnia tem, iż poważne tworzenie piękna

niema nic wspólnego z igraszką, a użycie wyrazu „gra“ o stanach estetycznych przez Kanta i Schillera było spowodowane głównie myślą o swobodnej od przymusu potrzeb i obowiązków grze władz spostrzegawczych i wyobraźni. Jeszcze więcej zamiętu wywołało przekonaniem autora w pojęciu niezależnej wartości piękna wprowadzenie teorii estetycznego pozoru (*ästh. Schein*), mającej główne źródło w idealistyczno spekulacyjnych założeniach metafizycznych (jak u Hegla) mianowicie, iż piękno jest uzmysłowieniem prawdziwej istoty rzeczy (idei). Ziarno prawdy miałoby tu tkwić tylko w fakcie, iż piękno działa na nas samym swoim wyglądem bez względu na realne powiązanie przedmiotu pięknego, jako konkretnego czynnika ze skutkami, które z niego i z jego otoczenia się wywiązują. Jednakże tutaj lęk autora przed przemycaniem metafizyki do estetyki zdaje się iść za daleko. Jeżeli bowiem jakiś pogląd na świat — a takim n. p. był idealizm grecki w swych trzech zróżniczkowanych postaciach platonizmu, arystotelizmu i neoplatonizmu — stara się uprawdopodobnić, iż w pewnych stronach lub rysach wyglądu rzeczy przebija się ich trwała istota, nie dziw, że i wewnętrzną, wgłębianą, na sobie samej spoczywającą, wartość piękna, poglądy te tłómaczą jakimś jądrem bytu absolutnego, formy czystej, istotnej, uświadamiającej się duchowi, który tworzy lub odbiera piękno przy ujęciu jakiegoś przedmiotu wysokiej oceny estetycznej. Z wgłębieniem wartości piękna łączy omawiany tu pisarz jako naturalne następstwo (*Correlatbegriff* str. 35) dążność do izolacji, czyli wyosobnienia, obramienia estetycznego przedmiotu, szczególnie w sztuce, a motywuje to podobnie jak Lipps, od którego na tem miejscu i wogóle gdzieindziej zdaje się być niezależnym, z powołaniem się na przykłady przytoczone przez Sempera w dziele tegoż o stylu. Przypomina też wagnerowski pomysł urządzenia widowisk uroczystych, których uczestnicy mieliby być całkiem wolni od powszednich zabiegów życia, jego interesów i środowiska. Trzecią kardynalną tezą C. jest, iż wartość estetyczna ma charakter postulatu, t. j. wymagania, ażeby ją powszechnie uznano (*Forderungscharakter*). Jestto pewna modyfikacya,

względnie dalsza konsekwencya znanego twierdzenia Kanta (*Kritik der Urteilskraft* I. ks. § 22, wyd. Benno Erdmanna z r. 1884, str. 76), iż pięknem jest to, co bez pojęcia (rozumowania) uznajemy za przedmiot koniecznego upodobania. To znamię wymagalnika przypisane przez naszego autora wartości estetycznej służy mu przedewszystkiem do odróżnienia piękności od przyjemności. Na przykładzie odświeżającego przyjemnie letniego wieczoru dowodzi, że za taką powszechnie i istotnie odgraniczającą cechą nie może uchodzić okoliczność, iż oglądaniem rzeczy pięknej nie zużywa się jej, bo są i rzeczy przyjemne, których nie zmienia użycie. Ale różnicę radykalną upatruje w tem, iż ze stwierdzeniem wartości rzeczy jako przyjemnej nie łączy się — tak jak z oceną pięknej — wymaganie, ażeby ją inni za taką uznali. Czy można nazwać ściśle wymaganiem taką postawę istoty odbierającej wrażenia piękna lub brzydoty, która jest co najwyżej połączona z pewnym ujemnym sądem o stopniu kulturalnego rozwoju istot nie odczuwających piękności względnie szpetności tych samych przedmiotów? U ludzi dostatecznie wyrozumiałych, umiejących przenieść się w bieg cudzych wyobrażeń, w odrębne warunki ich wiązania się i reakcyi uczuciowej, nie będzie to nawet sąd ujemny, tylko stwierdzenie niezwykłego i nieoczekiwanego rozdźwięku w sposobie przedstawiania sobie rzeczy i w wyrokach smaku o tych przedstawieniach. Będzie to może zatem raczej oczekiwanie zgodnych ocen na podstawie pokrewnej organizacyi psychicznej — w pewnych wypadkach objawi się snadnie i dążenie do upodobnienia głosów uczucia estetycznego tak, jak religijnę wierzenia ulegają podobnemu naciskowi jednoczącemu je ze strony środowiska społecznego.

C. przyjmując wartości, których ocenianie występuje jako powinność (*Wertung als ein Sollen* str. 37) i zaliczając do tych wartości estetyczną, znalazł się w koniecznej potrzebie jasnego oddzielenia tych rzekomym głosem powinności obostrzonych i wzmocnionych ocen od ocen etycznych, do których pierwotne i niezaprzeczalne za-

stosowanie mają sądy o tem, iż się coś czynić powinno. Z drugiej strony dostrzegłszy, iż ta przypuszczana przezeń powinność wydawania jakichś sądów estetycznych (o których treści zresztą z góry nie przesądza) polegać może tylko na możliwości i na uprawnieniu ocen roszcujących sobie pretensję do obiektywności i do ważności, musiał się rozprawić z pytaniem, w jakim stosunku takie oceny w dziedzinie wartości estetycznych pozostają do ocen wartości logicznych, t. j. do trafności dróg i owoców rozumowania, które przedewszystkiem dążyć musi do niezachwianej pewności i które jedynie wówczas może zadowolnić się swoimi punktami wyjścia i zawrzeć swoim środkiem pomocniczym, gdy ma podstawę do przewidywania dość silną, że prawa przez nie formułowane zyskają jako ważne dla ogółu istot myślących i temsamem obiektywne, przyznanie tych innych istot, przynajmniej taksamo psychicznie zorganizowanych. Wobec tych trudności wyjaśnienia stosunku powinności etycznej do rzekomej estetycznej po jednej stronie, po drugiej zaś stronie domniemanej estetycznej ważności i obiektywności ocen do takichże zalet myślenia logicznego — autor dzieła omawianego podnosi na razie tylko, iż istnieją wypadki pograniczne, które zbliżają do siebie trzy dziedziny, mianowicie, iż zdarzają się wymagania etyczne, ważne tylko dla jednego indywiduum, jak n. p. to, czego od siebie żąda osoba czująca się religijnym wybawcą (str. 38). Z innego punktu widzenia i estetyczne wartości mogą osiągnąć znaczenie kulturalnie jednoczących społeczeństwa w sensie analogicznym do tego, w jakim spełniają tę misję wartości etyczne. Widocznem tu jest omijanie jaskrawo w oczy bijącej różnicy między kategorycznym nakazem obowiązku a głosem smaku estetycznego podległym niejednej subtelnej fluktuacji, dystynkcyom i zastrzeżeniom. Co do stosunku wartości estetycznych do logicznych przyznaje autor sam, iż pierwsze nie dają się udowadniać, jakkolwiek pewność o ich istnieniu niema być mniejszą (str. 41). Można tylko wykazywać — dodaje — jak pewne dziedziny naszego życia i kultury są zależne od uznania wartości estetycznych i jak z odrzuceniem charak-

teru postulatowego tych ostatnich zanika różnica między pięknem a przyjemnem. Z tych powodów uważa za błąd w estetyce Kanta to, że usiłował dowieść ogólności i konieczności sądów smaku przez pewne nawiązanie ich do dziedziny logicznej, co się mieścić miało już w samym uznaniu piękności za celowość przedmiotu dla sposobu ujęcia go przez rozum, skąd zdaniem autora wynika niezamierzona zresztą przez Kanta przewaga formalnego, ornamentacyjnego pierwiastku w piękności czystej. O treści estetycznej dziedziny wartości w odróżnieniu od omawianej w części pierwszej demarkacyi tej dziedziny traktuje druga część dzieła Cohna. Wychodzi w niej autor od pytania, jak zdobywa sobie plastyczne przedstawienie (ogląd. *Anschauung*) czystą, wgłębianą wartość i jak wartość ta staje się przedmiotem naszych wymagań. Jakoby drogowskaz dla swych poszukiwań wyraża z góry przypuszczenie, iż warunkiem ziszczenia się tych dwóch rzeczy jest: ażeby jedności formalnej przedstawienia odpowiadała też jakaś jedność treści. To zaś nastąpi, jeżeli ukształtowanie pięknego przedmiotu i mieszczący się w nim wyraz będą pozostawały w ścisłym ze sobą związku. W trzech po sobie następujących rozdziałach stara się wykazać najpierw, iż wszystko estetycznie cenione, jest wyrazem jakiegoś życia wewnętrznego, następnie, iż wyraz ten musi wystąpić w odpowiednim dla naszej zdolności ujęcia go ukształtowaniu, wreszcie, że ukształtowanie i wyraz stanowią konieczną jedność w estetycznie doskonałym przedmiocie (str. 48). Jako fakt niewątpliwy, dany w doświadczeniu, uznaje autor, iż bezpośrednio, t. j. bez refleksyi i rozumowań, uchwytujemy w wielkiej, ogromnie przeważającej liczbie ruchów istot nam podobnych, lub za podobne uważanych, objaw ich życia wewnętrznego, a rozmaite odcienie w sposobie tego rozumienia wyrazu zawisły od tego, czy te ruchy przedstawiają nam się mimowolnymi lub zamierzonymi i czy oceniamy ich znaczenie według przychylnych lub nieprzychylnych skutków wywieranych na nas, czy też w ten sposób, że

przenosimy się w te istoty drogą bezwiednego naśladow-
nictwa ich zachowania się. Dostatecznie stwierdzonym jest też
w jego oczach faktem, iż ustalone rysy w fizyonomii tłó-
maczymy sobie bez rozstrząsań śladami poruszeń fizycz-
nych i psychicznych, które się na postaci danej częstszem
powtarzaniem ich wryły. Dążność do ożywiania przyrody
i przerzucania w nią naszych stanów wynikać ma z tego w na-
turze naszej tkwiącego popędu do brania każdego ruchu, obja-
wiającego najdrobniejsze podobieństwo z ruchami naszymi za
wyraz jakiegoś żywego, czującego i czynnego wnętrza, że takie
uchwytywanie jakiegokolwiek przedstawienia, jako
mieszczącego w sobie wyraz, „pełnego wyrazu“ (*ausdrucksvoll*)
lub wyrazistego, już jest samo w sobie aktem estetycz-
nym, stara się C. dowieść stąd, iż „rozumieć“ wyraz, miano-
wicie w dziele sztuki, nie jest już niczem innem, jak ocenia-
niem wartości wyrazowej poszczególnych środków arty-
stycznych. Żądamy w szczególności — jak uwidacznia na przy-
kładach — ażeby ten wyraz był silny, swojski dla nas,
ażebyśmy się całkiem w nim, bez wyodrębniania świadomego
naszej osoby, mogli zanurzyć przy jego użyciu. Osobliwość od-
czuwania wyrazu w życiu estetycznem ma polegać na tem, że
nie postawa objawiającej się w nim istoty wobec nas, przy-
jaźna lub groźna, ale wewnętrzna, zasługująca na
kochanie wartość (*Liebenswürdigkeit*) istoty oglądanej za
pośrednictwem wyrazu, stanowi motyw naszego zajęcia się nim.
Pojęcie artystycznej prawdy tłómaczy się autorowi głównie
zapomocą prawdomówności, z jaką duch artysty wypo-
wiada się w dziele sztuki, obok tego jednak także zapomocą
wewnętrznej, t. j. z sobą samym, zgodności wyrazu. Prze-
ciwieństwem tych wymaganych zalet jest z jednej strony kon-
wencya, t. j. próżnia wzruszeń, brak ich treści i napięcia, z dru-
giej kłamliwość w kreśleniu wzruszeń fałszywych, czyli takich,
które nie istnieją.

Już do samego pojęcia wyrazu należy zdaniem C. to,
iż musi on mieć jakąś plastyczną (poglądową) formę.
Aby jednak możliwem było czyste estetyczne zagłębienie się

weń, musi ta forma wyrazu czynić zadość pewnym specjalnym warunkom, musi to, co istotne we wrażeniu sprawianem przez wyraz, wystąpić jasno, a zakłócające elementa winny odpaść — tak jak już towarzyska ogląda wymaga miary, środka w tonacyi głosu i grze mimiki między powolnością a pośpiechem, niezrozumiałością objawów a ich narzucaniem się. Z tych samych powodów zyskanie jasnego widzenia i objęcia stosunków przestrzennych w sztukach wzrokowych stało się pierwszorzędnym postulatem. Tu powołuje się autor na prace o teorii i technice tych sztuk malarza Hansa von Marées, rzeźbiarza Adolfa Hildebranda, wreszcie miłośnika i zbieracza Konrada Fiedlera. Wypracowanie formy przedmiotu musi następować dopiero po jego zobiektywizowaniu, t. j. wydzieleniu pomysłu z ducha twórcy, w czym autor zdaje się upatrywać ważne przedwstępne studyum kształtowania. Tu już żądanie pewnej zupełności (*Vollständigkeit* str. 8) rzeczy nietylko w pomysśle, ale i w wykonaniu wyosobnić się mającej, występuje jako zgola naturalny i zrozumiały przez się postulat. Także przy formułowaniu innych formalnych wymagań, jak jedności, harmonii, symetrii, jasności, wyrażności kształtów nadawanych wyrazowi, nie wychodzi C. poza znane i do przesytu zbanalizowane już ogólniki, tak, iż cała ta część jego dzieła nietylko nie pociąga żadną świeżością punktów widzenia i oryginalnością poglądów, ale nawet nastrecza wielkie trudności, gdy się chce streścić i sprecyzować te myśli z powodu, iż się rozlewają i gubią w przykładach. Nie nowa też jest i zasada dla odróżnienia poszczególnych sztuk oparta na materyale, służącym do ich obiektywizacyi, a podpadającym pod różne zmysły, jak wzrok, dotyk, słuch i ich kombinacye — a w poezyi przewaga wyobrażenia lub uczucia, rozstrzygająca o rozgraniczeniu jej różnych działów. Autor zwalcza poglądy dawniejsze i nowsze, że sztuka wyrosła głównie z naśladownictwa i że jest ono jej istotnem zadaniem, a to, już to wykazując, że był to tylko jeden z czynników jej powstania, już też uwidaczniając błąd teorii poznania, na którym owe poglądy się opierają. To, coby w myśl ich sztuka miała odtwarzać, „świat“,

czyli całokształt rzeczywistości, nie jest czemś raz na zawsze danem, ale ustawicznie się kształtującym. Jest on zadaniem dla naszego poznawania i działalności i tak samo obraz jego plastyczny zmienia się w miarę przerabiania go w duszy odczuwających i tworzących piękno. Odpowiednio temu stanowisku określa C. prawa stylu, jako zasady artystycznego przekształcania naturalnych zaznawań życia takie, iż odczuwamy je jako wynikające koniecznie z istoty dotyczącego rodzaju sztuki i zamiaru artystycznego, a nieco niżej (str. 122) stylem zwie sumę artystycznych zasad kształtowania, w której odczuwamy węzeł dzieła sztuki stosownie do jego osobnego rodzaju i historycznego stanowiska. Pewna względna stałość jest więc tu tylko wiernością dla dobrowolnie przyjętych założeń.

Do najważniejszych części omawianego tu dzieła należy rozdział o jedności wyrazu i ukształtowania, samodzielny w swym przewodnim pomyśle, iż do powstania wartości estetycznej niezbędnem jest, ażeby wyraz i jego forma wewnętrznie i ściśle do siebie przynależały, ażeby były ze sobą zgodne. Ma to być konieczność w sensie wymagania t. j. iż takim powinien być stosunek formy i wyrazu — podczas gdy samo współlistnienie ich jest koniecznem w znaczeniu faktu. Forma służyć ma wyrazowi ale i odwrotnie wyraz tylko dzięki odpowiedniej formie staje się uchwytym, jasnym, czyni zadość warunkom dodatniego estetycznego działania. Tajemnica genialności artystycznej tkwi w myśl tego poglądu w zbieganiu się określonej potrzeby wyrażenia czegoś z dokładnie odpowiadającymi jej zdolnościami kształtowania (str. 142). Pierwsze zarodki swego zapatrywania o wymaganym ścisłym związku między formą a wyrazem widzi C. już u Kanta i u Schillera — u pierwszego w ujęciu piękna jako symbolu moralności, o ile w niem się przejawia jakaś wolna istota, u Schillera zaś w żądaniu wzajemnego przenikania się życia i kształtu. Z późniejszych podnosi zasługi Lotzego około wykazania powszechności pierwiastku wyrazowego w pięknie i Fryderyka Teodora Vischera w jego charakterystycznym zdaniu, iż estetyka jest połączoną mimiką i harmoniką. (W *kritische Gänge* N. F. VI. 131, 1873).

Hegel natomiast odpycha go swą najwyższą abstrakcyjnością co do sformułowania dwóch głównych składników piękna: idei i zjawiska. U Schellinga zaś podnosi jako dodatni dla estetycznego rozwoju pomysł o wewnętrznym ożywieniu natury i o tem, że piękno powstaje tam, gdzie udaje się zakłąć ducha doskonale w zjawisko.

O modyfikacjach piękna, mianowicie w pięknie czystym, we wzniosłości i komizmie, stara się C. dowieść, iż podstawą ich różniczkowania się jest rozmaity stosunek wyrazu do formy. W pięknie czystym jest, jak się wyraża, życie harmonijnem a harmonia życiem — niema tu żadnego rozdźwięku między dwoma składającymi istotę piękna pierwiastkami. Nawet warunki tego, co jest tylko przyjemnem, stanowią szereg ciągły z formalnymi prawami piękna. Spożytkowując uwagi Hogartha o pięknej linii falistej, zauważa, iż do piękna linii należy powstawanie jej bez trudu, nie nużące powtarzaniem się a żywe — przyczem właściwości odnośnego typu jestestw — o ile one właśnie mają być pięknymi, zachowują się — jakkolwiek sam typ w sobie nie jest pięknym, tylko oznacza pewne granice nieprzekraczalne — jednak zastrzega się, iż nawet przyczyny piękności w typie jako takim upatrywać nie można, gdyż jest wiele typów gatunkowych niewątpliwie wręcz brzydkich. Najczystsza zaś ludzką piękność widzi tam, gdzie zachodzi pełna harmonia różnorodnych sił ludzkich. Piękno obdarzone modyfikacją wzniosłości występywać ma albo w samej wielkości rozmiarów — albo w tem, że coś wydaje się małym i nieznacznym w porównaniu do wywiązywanej przez nie potęgi, albo tam wreszcie, gdzie wielkość jakiejś siły objawia się walką toczoną z całym natężeniem. W ogóle jedność pierwiastku kształtującego z wyrazem ulega rozsadzeniu w rzeczy wzniosłej i bądź to aż na dwie walczące ze sobą siły rozpada się jedna forma, bądź przynajmniej brak jej owej zupełności objęcia (w rzeczach bezmiernych), lub przejrzyistości (tam, gdzie między małym ruchem a wielkim skutkiem jest dysproporcya). Autor zwalcza pogląd Kanta, jakoby wzniosły przedmiot powodował rozszerzenie naszego poczucia osobistego

siłą kontrastu, t. j. naszego przeciwstawienia się mu. Sądzi, że raczej identyfikujemy się z rzeczą wzniosłą i podporządkowujemy jej urokowi. Domieszka przykrości, dołączająca się do uciechy sprawianej przez przedmioty wzniosłe, ma mieć źródło wedle C. nie w uczuciach strachu lub zagrożenia naszej egzystencji ale w przerastaniu siły wrażeń ponad zwykłą miarę naszych narządów, w pewnej niestosunkowości (*Unangemessenheit* str. 186) względnie po stronie organów w ich niedostosowaniu, — także w poszukiwaniu silnych, choćby bolesnych bodźców, w skłonności do utrudniających ruchów. Przyjmuje zresztą graniczące ze sobą o miedzę (jak w *Madonie Sykstyńskiej* i *Tycjana Assuncie*) modyfikacje czystego piękna i wzniosłości. W 1-szej i trzeciej kategorii wzniosłości uważa za możliwy element brzydoty. Poddziałem wzniosłości polegającej na walce a odnoszącym się do ludzkich cierpień i zagłady jest w jego oczach tragizm. Występuje przeciw zbyt ściśłemu stawianiu żądań konsekwencji, zwłaszcza psychologicznej, przeciw zadawaniu pytań, czy wszystko tylko tak się stać mogło jak się stało w dramacie, jakkolwiek za szkodliwy uznaje całkowity brak tej konsekwencji. Z pojęciem winy tragicznej polemizuje bardzo gorąco, głównie z powodu wtrącających się tu postronnych kątów widzenia etycznych, metafizycznych, a nawet kryminalistyczno-prawniczych. Dla wczuwania się w tragizm losów mogą te względy jego zdaniem być tylko z uszczerbkiem — albo sprowadzając się do refleksyi nad rzeczami zrozumiałymi przez się, jak nad ułomnością i skończonością ludzką, nie rozjaśniają niczego. Przestrzega też przed mieszaniem konsekwencji tragicznej z winą. Nie zdaje się jednak autor liczyć z przyrodzonym ustrojem natury ludzkiej, która musiałaby sobie zadawać przymus, jeżeliby chciała patrzeć na koleje ludzkie, a widząc w nich niedolę, cierpienia, zwiechnięcie egzystencji, nie zapytać, czy i czem ten los jest zawiniony — nie buntować się zaś wtedy, gdy nie-szczęście nie jest ani karą, ani wyszlachetniającą próbą. Wielki znawca duszy ludzkiej Stagiryta rozumiał dobrze ten rodzaj wiszącego nad nami psychologicznego przymusu w doszu-

kiwaniu się choćby niewielkich przewinień. Trzecią modyfikację piękna przedstawia autorowi omawianego tu dzieła komizm, jakkolwiek nie jest on w całości objęty dziedziną zjawisk estetycznych i tkwi w wielu przedmiotach bezwartościowych — o tyle jednak ma tenże znaczenie estetyczne, że mieści znaczną przewagę formy, zazwyczaj pretensjonalnej, nad wyrazem, t. j. nad objawieniem się treści w gruncie nikłej, lub w sobie sprzecznej, i że w swoich kategoriach subiektywnych, jak w dowcipie i humorze, przejawia pewien stopień swobody ducha wznoszącego się ponad małości w życiu. Zwraca się jednak C. przeciw zapatrywaniu Lippsa, jakoby w humorystycznym patrzeniu na rzeczy dokonywało się jakieś rzeczywiste zwycięstwo pierwiastku ideowego, znaczącego nad nic nieznaczącem i blahem. Do osiągnięcia efektu humorystycznego wystarcza jego zdaniem „*das innerlich Bedeutende den Hinderungen gegenüber überhaupt erlebbar zu machen*“ (str. 220), to znaczy zamaniestować i wdroyć widzowi, czy czytelnikowi wewnętrzną żywotność i odporność głębszych strun duszy ludzkiej wobec nękających ją drobiazgów. Tak w humorze, jak jeszcze bardziej w satyrze, widzi nasz autor tylko częściowo estetyczne zachowanie się wobec traktowanego u nich przedmiotu, a to z powodu wciągnięcia motywów z praktycznej i umysłowej dziedziny życia, w satyrze w szczególności dlatego, iż dopomagając wprowadzić do idealnego zwycięstwa temu, co cenne, ostatecznie miazdzy cel swoich pocisków i z lubością zatrzymuje się nad nim tylko w zamiarze unicestwienia. Może jednak satyra przyjmować niekiedy i życzliwszy dla swego przedmiotu charakter — przestaje wszakże wówczas być czystą satyrą i staje się czemś pośredniem między satyrą a humoreską. W streszczonem tu rozwinięciu wartości czysto estetycznych i natury mieszanej głównym wynikiem zdaje się być dla autora potwierdzenie jego poglądu, iż piękno w najściślejszem znaczeniu zasadza się na doskonałem dostosowaniu formy i wyrazu, podczas gdy na uboczu, bądź to jako niżej cenione, bądź jako przetkane postronnymi, pozaestetycznymi, motywami

leżą te zjawiska, w których albo wyraz poruszeń duchowych, względnie wyjawiona w nim treść, rozsadza formę, albo odwrotnie forma służy czyto dla pokrycia nikłości treści czy też nawet do odsłonięcia tej nikłości, jej ośmieszenia, zdercia z niej ludzających pozorów.

Gdybyśmy się jednak nawet zgodzili z autorem na jego główny pogląd o wymaganej dla czystego piękna zgodności wyrazu z formą — odczuwa się w tej estetyce brak ścisłego wykazania dróg, na których dochodzi do skutku owo zestrojenie warunków i czynników składających się na powstanie piękności.

Kwestya znaczenia dziedziny estetycznych wartości.

Uznawszy estetykę w pierwszym rzędzie za teorię pewnych specjalnych wartości, względnie ocen tychże, nie mógł C. uchylić się od rozważań, jakie jest stanowisko tych wartości wobec innych, czy i jaki zachodzi stosunek powiązania ich, ewentualnie zależności, podporządkowania, czy może raczej obojętności lub nawet kollizyi z innymi wartościami — w szczególności z bezwzględными, jakimi są logiczne i estetyczne. Autor przyznaje w ustępie do tej (III.) części swego dzieła (str. 225), że osobne rozważanie dziedziny wartości estetycznych jest w porównaniu z faktycznem współdziałaniem wszelkich rodzajów ocen abstrakcją, jakkolwiek łatwo się nasuwającą i mającą w sobie coś naturalnego, dlatego, że w wielu wypadkach występuje przewaga tego jednego rodzaju oceny nad innymi. Jednak nie tylko w t. zw. sztukach stosowanych współdziała wartość estetyczna z użytkową — ale często, mianowicie w budownictwie, trudno oznaczyć, o ile ma się do czynienia z czystą sztuką. Zachodzi też pewien stosunek odwrotności między wypadkami, w których to, co jest z istoty swej estetycznem, ulega rozpatrywaniu z punktu widzenia postronnego n. p. pedagogicznego, a innymi, w których znów coś, co istotnie leży poza estetyką, jak n. p. przedstawienie prawd naukowych lub urządzenie realnych stosunków, bywa ocenianem estetycznie. Kategorję jeszcze ściślejszych i bardziej znaczących połączeń dwoistych sposobów

oceny widzi C., gdzie się one jego zdaniem jednoczą, w uznaniu jednej i jedynej nowej wartości, jakoby pośredniej, a do takich zalicza piękność moralną i piękne rozwiązanie problemu matematycznego. Otóż celem systematycznej wiedzy o wartościach tak, jak ją autor pojmuje, ma być wzniesienie się ponad wszystkie tego rodzaju, mające czysty charakter, zlewania się i mieszania ocen, a dopiero po wydzieleniu odrębnych dziedzin i charakterów różnych przedmiotów cennych wykrycie porządku ogólnego, w którego ramach te różne poszczególne wartości się mieszczą, czy to choćby tylko dla subiektywnej orientacji w tem, co im wszystkim jest wspólnem, a każdej z nich właściwem, czy też i dla odsłonięcia rzeczywistego, organicznego, celowego związku między podstawowymi działami, który jako hipoteza, niepozba-wiona nadziei sprawdzenia jej, przyświeca autorowi. Tu otwiera mu się możliwość dwóch przypuszczeń. Albo powiemy, że wartości niezależne, t. j. niebędące środkami do dalszych celów, wgłębiane w siebie, jakimi są wartość poznania prawdy (logiczna), wartość dobrej woli (etyczna) i wartość piękna, służą przecież jakiemuś powszechnemu planowi wychowawczemu ludzkości i w ten sposób podporządkowują się jakiejs wyższej wartości, albo, iż zachowują w ogólnym systemie dóbr cennych własne odrębne, niepochłonięte przez wyższy punkt widzenia stanowisko, jakoby swą autonomię, i mają się tak do siebie jak członki zwierzęcia lub człowieka, równie niezbędne dla życia całości, ale niemogące uchodzić za cel całego organizmu. Pierwsze przypuszczenie swą treścią właściwie nie wyklucza drugiego, bo w jednolitym planie dziejów mogłaby się dobrze mieścić taka niezatracałna odrębność dziedzin prawdy, dobra i piękna, o czem autor zamilczał — uważa on je jednakże za mniej nadające się ze względów metodycznych, jako uwarunkowane daleko sięgającymi założeniami o porządku dziejowym i o całości bytu.

Odrębność dziedziny estetycznej wartości, w jej przeciwstawieniu i stosunku do innych dziedzin ma polegać wedle C. na czysto w siebie wgłębianem udzielaniu stanów i poruszeń swego wnętrza innym ludziom (*rein intensive Mitteilung*),

t. j. na takim udzielaniu z jednej a uczestniczeniu (*Teilnehmen*) z drugiej strony, w którem komunikująca się treść przez samą postać swego wyjawienia zyskuje samodzielne znaczenie, gdzie więc nie chodzi o dalsze skutki ani w praktycznym życiu ani w rozszerzaniu wiedzy — ale gdzie cel jest osiągnięty po stronie tworzącego samem zadowoleniem potrzeby wylewu jego wzruszeń, po stronie zaś odbierających w danej im możliwości przeniesienia się w życie objawionego wnętrza. Widzimy tu, że autor wyprowadza istotę udzielania się estetycznego w pierwszym rzędzie z cech piękna występującego w sztuce a działanie piękna przyrodzonego wyobraża sobie według analogii z pięknem dawanem przez artystę, mianowicie, iż naturę rozumiemy i odczuwamy tak, jak gdyby ona podobnie swe wewnętrzne życie nam komunikować chciała.

Dążność i zdolność do rozszerzania się w środowisku społecznym, a temsamem uprzedmiotawiania się, są właściwe także dobrom umysłowym i etycznym, ale tam one, jak stara się wykazać C., dochodzą do urzeczywistnienia na innych drogach. W poznawaniu współdziałają w duchu wyznawanego przezeń kantyizmu dwa całkiem różne i niezależne od siebie czynniki: ogólne formy myślenia, konieczne, pierwotne, niezawisłe od wszelkiej konkretnej treści a więc i od właściwości danego myślącego osobnika, narzucające mu się ze swymi żądaniami, jakoby „nadindywidualne ja“, i treść jakaś szczegółowa, dana, niewyprowadzalna z owych form, jakkolwiek bez nich pomyśleć się niedająca, jak i odwrotnie żadnej ogólnej zasady bez przywiązania do niej pewnej treści nie można sobie pomyśleć. Aby tę przypadkowość danej z zewnątrz treści opanować ogólnymi zasadami, płynącymi z duchowego wnętrza i roszcującymi sobie prawo do powszechnej pozaindywidualnej ważności, musi osobnik myślący wejść w kontakt porozumienia z innymi myślącymi jestestwami (co już nie jest ścisłą konsekwencją kantyizmu) — ale to dążenie do powiązania i ustalenia danych obserwacji przez współudział w niej większej ilości jednostek nie może się zakończyć na jednym akcie skomunikowania się, gdyż ma przed sobą zgola niewyczerpany

materyał i zadanie: ogarnięcia i spożytkowania wszelkich możliwych doświadczeń. Analogicznie i w życiu moralnem ideał zgodności między działaniami a poczuciem obowiązku może być celem dążeń tylko na tle pożytku społecznego z krzyżującymi się pragnieniami jednostek i z usiłowaniami sprzągnięcia ich do wspólnej pracy a nawet spotężnienie osobowości i towarzyszącego jej rozwinieciu poczucia jej wartości nie jest wolnem od tego warunku wzajemnego komunikowania sobie treści pragnień i zabiegów życiowych. Etycznego ideału, t. j. stanowczego i ostatecznego przezwyciężenia pobudek zmysłowych i egoistycznych głosem powinności, nie można również osiągnąć w jednym konkretnym momencie tutejszej egzystencji. A tak to niekończenie się ludzkich usiłowań, zarówno w dziedzinie umysłowej, jak etycznej, domaga się istnienia jakiejś trzeciej wartości idealnej, t. j. na sobie opartej, intensywniej, któraby się dawała osiągnąć i zaznać jako przedmiot w sobie zamknięty i zaokrąglony, a nie należała do czystej indywidualnej dziedziny przyjemności zmysłowych. Tą trzecią wartością godzącą interesy społecznej i duchowej pracy kulturalnej z potrzebami psychicznych wzruszeń i zadowoleń jednostkowych jest w oczach autora wartość estetyczna. Uciech, dających się zaliczyć do tej kategorii, doznaje z tego punktu widzenia już badacz, któremu w nagrodę żmudnych dociekań odsłania się naraz w jednym rzucie oka daleka perspektywa (C. nazywa ją nieściśle „nieskończoną“ str. 240) nowych wejrzeń w badany przedmiot, tak iż pomyślny, harmonijny, wynik dłuższej pracy staje przed nim w jednym momentalnym widzeniu. Podobnież człowiekowi, który powziął i wykonał ważne, etycznie dodatnie postanowienie, daje świadomość doniosłości, rozległych, zbawieńnych, konsekwencji uczynionego kroku, radosne, ale co prawda na krótko tylko całkowicie zaspakajające poczucie spełnionych zadań. Ale i poza tymi stanami wyjątkowego duchowego podniesienia, w potocznym życiu jednostki, współdziałającej z innymi około wytwarzania i zachowywania owoców kultury, nieodzowna daje się odczuwać potrzeba takich zaznań wartości, ażeby jednostka przy postępującym podziale pracy i zacieśnianiu jej

obróbów nie była przygniatała wrażeniem, iż jest tylko kółkiem w maszynie, niezdolnem do świadomego współdziału w życiu zbiorowem, do przejrzenia i oceniania celów ogólniejszych i mających je urzeczywistniać również ogólniejszych środków. Podstawę dla takiego ściślejszego duchowego węzła między jednostką a życiem zbiorowem społeczności kulturalnych widzi omawiany tu autor w tem, co nazywa formami żywymi lub życiowymi (*Lebensformen*), do których należy jego zdaniem w pierwszym rzędzie mowa, obok niej jednak także cały szereg innych, uprzedmiotowionych przez społeczną wymianę i temsamem względnie ustalonych, wszelako ciągłemu rozwojowi żywotnemu podległych związków plastycznych przedstawień, przy pomocy których jednostka zaznaje a zarazem objawia wspólność swych uczuć, przekonań i dążeń z innemi wchodzącemi w skład tejsamej szerszej lub ciśniejszej prupy społecznej, począwszy od kółek towarzyskich i zawodowych a skończywszy na narodowościach i wyznaniach. Obecne hasłom ucisku państwowego i hołdujące idei bezwzględnej sprawiedliwości w życiu politycznem stanowisko autora widnieje w wypowiedzianem przy tej sposobności pięknem zdaniu, iż słusznie (*mit Recht*) walczą dziś narodowości zacięcie o utrzymanie swego języka, jako najważniejszego środka ich egzystencji (str. 243).

Forma życiowa, jako mająca z natury swej pewną płynność, bo związana z jednostkami, w których żyje i z którymi razem rozwija się, domaga się uwieńczenia i ustalenia wyników pracy, kształtującej przedstawienia plastyczne, w wytworach zupełnych i skończonych, któreby już nie dawały punktu zaczepienia dla jakichkolwiek zmian w nich, a o ile posługują się mową, utrwały też i stwarzany w nich język literacki. Autor przyznaje wprawdzie istnienie wypadków wyjątkowych, mianowicie, że są formy życiowe będące zarazem kreacjami artystycznymi jak eposy ludowe (nazywane przezeń narodowemi może w zbyt obszernem znaczeniu, bo gdzie jeszcze nie ma poczucia narodowości w sensie już dziś ustalonym, tam użycie tego terminu może wywołać nieporozumienie). Podnosi jednak, iż to uszczuplenie samoistości dzieła sztuki wynagradza się sowiec wewnętrzną

jednością wyrazów i form ludowych tradycyi i uświadomienia. Poza tem każdy utwór artystyczny staje się rezultatem wyso-
bnionym, niezależnym, działalności owych form żywych —
a gdy już one same są najlepszymi spójniami i wyrazami
łączności kulturalnej, sztuka kreacyami swemi
tę łączność utrwała, potęgując pogłębia zaznawanie uciech
z wartości estetycznych, a ponadto wedle trafnej uwagi autora,
udostępnia wzajemne zrozumienie się i przenikanie
społeczności kulturalnych dotąd sobie całkiem ob-
cych, tworzenie się ogólnoludzkich ideałów piękna.

Szczególną, może zbytęzną, usilność poświęca autor dowo-
dzeniom, że odsłanianie prawdy niestanowi jeszcze istoty piękna.
Widocznie nie uważa za rzecz wykluczoną odzicia w zmienionej
szacie tych teorii dawniejszych, które głębokością oddanych
prawd mierzyły wartość estetyczną. Ostrze tych argumentacyi
jego jest zwrócone głównie przeciw mającemu znów w ostatnich
czasach i to nietylko w Niemczech, ale i w Anglii i u nas wielbi-
cieli, Hegłowi. Mniej ma obaw o pomieszanie wartości ety-
cznych z estetycznymi. Wykazuje tylko, że forma, naprężonych
konfliktów między skłonnością a obowiązkiem, jaką przybierają
etyczne czyny, odpowiada raczej modyfikacyi wzniosłości,
aniżeli czystego piękna, podczas gdy natomiast ustalony etyczny
charakter może wystąpić jako estetycznie cenny w odpowie-
dniej formie pięknej, że jednak nie nakrywają się te wartości
wobec istnienia piękna zgoła obojętnego pod względem etycznym
i możliwej wzniosłości demonicznej. Harmonijna swoboda w pię-
knie, taka, jaką ją rozwijając myśl Kanta, uważał Schiller za sym-
bol moralności, może mieć zdaniem C. zastosowanie tylko do naj-
wyższego szczebla etycznego, do doskonałej świętości, której
zgoła naturalnem jest być taką bez przebywania walk. Uchodzić
więc może tylko za symbol takiego ideału, w którym moralność
pokonała wszelkie zewnętrzne, empiryczne zapory, i odsłania
ścisłą łączność ideałów ostatecznych, jednak nie dowodzi takiejże
łączności ich przedmiotów t. j. wartości różnych rozwijanych
w kierunku ku tym ideałom. Zaprzeczenie tożsamości piękna,
dobra i prawdy nie wyklucza w duchu tego poglądu bardzo

ścisłych oddziaływań przyczynowych między wartościami tych trzech kategorii — a w szczególności służy piękno prawdzie w artystycznym sposobie jej oddania, zwłaszcza prawd historycznych, ale i w ogóle we wszelkiej przejrzystości i prostocie przedstawienia, w systematycznie wyczerpującym przeglądzie każdej kwestyi. Naodwrot prawdę dopomaga piękno już zasobem wiadomości u patrzącego na piękno w przyrodzie i widzącego je dzięki tym wiadomościom inaczej, pełniej i głębiej, następnie działa naukowe przygotowanie w technice i w poglądzie na świat artysty — w osobny zaś sposób nabyta zdolność zdawania sobie sprawy z wrażeń i teorya sztuki u jej krytyka. Oddziaływanie zachowania się estetycznego na etyczne wyjaśnia się naszemu autorowi w świetle wymaganego przez Kanta poszanowania osobistości ludzkiej, jako rzeczy w sobie cennej, tem, iż uzdolnionemu oglądaniem i trafnem ocenianiem piękna do przenoszenia się we wnętrze innych istot łatwiej jest wyrobić sobie zrozumienie wszystkiego, co w nich jest dodatniem, godnem ochrony i pielęgnowania. Zresztą spotęgowana zdolność wzajemnego udzielania się sobie i duchowego współżycia, idąca za rozwinięciem wartości estetycznych, nie może być obojętną życiu etycznemu. To ostatnie naodwrot dostarcza zaznawaniom estetycznym szczególnie znaczącej treści i może przy należytem uświadomieniu wspólności interesów duchowych obu dziedzin zamieniać w obowiązek, a to nietylko u artysty całkowite oddanie się dziełu, ale i u wszystkich wrażliwych na piękno, kształcenie i rozszerzanie ich wrażliwości. Z tych wszystkich powodów kollizye między trzema wartościami: prawdy, dobra i piękna, zdają się mieć źródło w przemijających obłędach i jednostronnościach, a nie w istocie rzeczy; w znacznej zaś części tłómaczą się przełomami w poglądach, podminowywaniem żywych form tradycyjnych, obyczaju i wyobrażeń przez krytykę rozumową, podstawiającą nowe wartości w miejsce dawnych. Postępującego łagodzenia tych konfliktów spodziewa się C. od stanowiska, które, dalekiem będąc od mieszania piękna z zagadnieniami umysłowemi, dotyczącemi związków rzeczywistości i z zadaniami etycznymi, odnoszącemi się do celów działania,

będzie w pięknie widzieć tylko symbol ideału a bacząc na to, że religia jest wiarą w ideał w najszerszym pojęciu, w koniecznie potrzebne, ale dla nas własnymi wyłącznie siłami niedościgłe dopełnienie wszelkich duchowych dążeń, będzie starało się zadzierzgnąć ściślejszy węzeł między tem symbolizowaniem ideału a wierzeniem wień, co o ile myśl autora trafnie rozumiemy, mogłoby następować jedynie na drodze oczyszczania wierzeń religijnych od samolubnych motywów życzenia i obawy, a potęgowania w nich czynnika społecznego zrzeszenia, duchowego zbliżania się i komunikowania nawzajem sobie wewnętrznej treści.¹

Dr. W. Rubczyński.

¹ Trafne są uwagi krytyczne dra Sobeskiego w cytowanym dziele (na str. 104 i 105) o ile zarzuca estetyce Cohna poświęcenie doświadczenia pewności naukowej i nieokreślone ujęcie stosunku między świadomością indywidualną a świadomością w nauce uprzedmiotowioną, która wyrasta w konsekwencji na coś nadindywidualnego (a więc zgoła niezrozumiałego i przeciwnego pierwotnemu sposobowi powstania pojęcia jaźni i jego empirycznemu źródłu).

Co to jest scholastyka?

Zanim podamy określenie scholastyki, przytaczamy definicje, które nie dają właściwego pojęcia o rzeczy. Pomijamy takie określenia, jak to, według którego scholastyka to „córka szkół“ (Picavet) lub „scholastyka jest to filozofia, która się posługuje językiem perypatetycznym“ (Huet), albo definicję Diderot’a : „Scholastyka jest nie tyle systemem filozoficznym, jak raczej metodą dowodzenia suchego i ścisłego, pod którą filozofię Arystotelesa podciągnięto“. Również definicya filozofa angielskiego Baldwin’a : „Scholastyka jest to sposób myślenia, nacechowany wyrafinowaną przesadą i subtelnością, tworzenie formalistycznych dystynkcyj bez właściwego celu“¹ nie jest naukowa. Te i tym podobne określenia są często przenośniami, albo starają się raczej ośmieszyć scholastykę, niżeli dać jasne o niej pojęcie.

Zwróćmy się ku naszej literaturze filozoficznej. Z polskich filozofów O. Morawski z właściwą sobie głębookością i szerokością poglądów pisał o scholastyce i nikt na tem polu jeszcze go nie przewyższył.² Inni, jak Bartoszewicz, Wiśniewski, Krupiński, Chmielowski, Chrzanowski traktują scholastykę pobieżnie i błędnie. Owiani duchem szkoły transcendentalnej lub pozytywistycznej, teoretycy literatury wszyscy prawie są wrogo usposobieni dla scholastyki. O. Morawski określa scho-

¹ *Dictionary of Philosophy and Psychology* 1902.

² „Filozofia i jej zadanie“ wyd. 3. 1899. Rozdział X.

lastykę, „jako filozoficzno-teologiczną szkołę chrześcijańską w średnich wiekach“. Niema w tej definicyi błędu, ale jest brak cech wewnętrznych scholastyki, bez których określenie nie może być zupełne; jest to raczej podanie i zaznaczenie, gdzie treści scholastyki szukać trzeba i jakie stanowisko zajmuje scholastyka w ogólnych prądach średniowiecza. Z tej wskazówki znakomitego myśliciela skwapliwie skorzystamy. Wszystko bowiem, co O. Morawski o scholastyce napisał, opiera się na znajomości filozofii i teologii scholastycznej i może służyć do wyrobienia sobie trzeźwego poglądu na tę trudną kwestyę. Z najnowszych historyków literatury p. Chrzanowski twierdzi, że filozofia scholastyczna miała za cel objaśniać i udowadniać dogmaty.¹ Twierdzenie takie świadczy o nieznajomości scholastyki, chociaż jest usprawiedliwione zapędami racjonalistycznymi niektórych filozofów, lub zbytnią zależnością od dogmatu. Filozofię określić trzeba przez treść jej przedewszystkiem, a nie przez cel jej, który choćby był taki w rzeczywistości, nie stanowi istoty scholastyki.

Twardowski w pracy „o filozofii średniowiecznej“ takie daje określenie: „Filozofią scholastyczną nazywa się filozofia uprawiana w szkołach średniowiecznych“. Lecz co to za filozofia? Czy żydowska, czy arabska, czy bizantyjska, czy to jest panteizm, czy idealizm, tego nie wiemy! „Wyraz „filozofia scholastyczna“ posiada jeszcze znaczenie inne, ciaśniejsze, gdy służy do scharakteryzowania sposobu filozofowania, który się w szkołach średniowiecznych urobił“. Lecz gdyby mię kto zapytał: „Co to jest hegelianizm? tobym mu odpowiedział: „Jest to, ściślej się wyrażając, sposób filozofowania, jaki się w szkołach niemieckich na początku 19-go wieku urobił“. Zapewne niktby z tej odpowiedzi nie poznał kierunku nazwanego hegelianizmem. Filozofia to nie sposób żaden, lecz zawartość naukowa systemu lub szkoły. Autor stwierdza raczej fakt, co ludzie rozumieją przez „wyraz filozofia scholastyczna“, a nie mówi, co przezeń rozumieć powinni. Pisz bowiem: „wyraz filozofia scholastyczna

¹ „Historya literatury polskiej“. Tom I.

posiada jeszcze znaczenie inne, ciaśniejsze“. Lecz zadaniem historyka filozofii nie jest tłumaczyć znaczenie, jakie dzisiejsze pokolenie wyrazom podkłada, lecz ma on odtworzyć minioną rzeczywistość, która pod wyrazem się kryje; przecie słowniczek wyrazów obcych nie jest historią rzeczy, ani ich określeniem. Ks. Radziszewski w oryentacyjnej swej rozprawie „Odrodzenie filozofii scholastycznej“ utożsamia określenie scholastyki z definicją metafizyki, podanej według Arystotelesa.

Więc niema jeszcze w naszej literaturze zupełnego, jasnego i naukowego określenia scholastyki. Dlatego taki zamęt pojęć o tym przedmiocie, dlatego wszystkie subtelne i w eterach gdzieś wirujące nedorzecznosci filozofów oznacza się często nazwą scholastyki. Ale i w zagranicznych literaturach wykończono pojęcie scholastyki nie podano. Z francuskich autorów Wulf stara się utworzyć naukową definicję scholastyki i poświęca temu zadaniu osobne dziełko.¹ Nie podaje jednak definicji naukowej ścisłej, lecz szeroką, opisową, przez długie wyliczenie cech działów filozoficznych. Jest ona następująca: „Przedewszystkiem scholastyka nie jest systemem monistycznym. Dualizm aktu czystego (Boga) i bytów złożonych z aktu i potencyi (stworzeń) czyni scholastykę na zawsze zdecydowaną nieprzyjaciółką wszelkiego panteizmu. Złożoność z materyi i formy, z pierwiastka indywidualnego i powszechnego, rozróżnienia między realnością podmiotu poznającego, a przedmiotu poznanego, pomiędzy substancją zbawionej duszy, a substancją Boga, który jej władze zapełnia, są to nauki nie dające się pogodzić z monizmem. Teodycea scholastyczna jest kreacyonistyczną i osobową. Jej metafizyka o bycie przygodnym jest dynamizmem umiarkowanym (akt i potencya, materya i forma, istota i istnienie), a zarazem jest otwartem stwierdzeniem indywidualizmu. Ten sam dynamizm rządzi zjawianiem się i znikaniem substancyj w przyrodzie; z innego punktu widzenia świat materyalny tłumaczy się ewolucjonistycznie i ce-

¹ *Introduction a la philosophie néo-scholastique* r. 1904. Z tego dzieła najwięcej korzystamy do naszej pracy.

lowo. Zwróćmy dalej uwagę i na to, że psychologia scholastyczna jest spiritualistyczna, a nie materyalistyczna, — doświadczalna, a nie apriorystyczna lub idealistyczna, — obiektywistyczna, a nie subiektywistyczna; samo określenie filozofii zawiera możliwość ujęcia przez rozum rzeczywistości pozaumysłowej. Oparta na danych psychologii i metafizyki logika, oddaje należyte prawa metodzie analityczno-syntetycznej. Co do etyki, to ona z psychologii bierze przeważnie charakter ją odróżniający: jest eudaimonistyczną i przyjmuje wolną wolę“.

Oto definicya Wulfa. Jest ona bardzo cenna i jasna, z niej może każdy dowiedzieć się, jaka jest treść scholastyki; lecz jest zbyt rozwlekła, a mimo to niezupełna. Gdyby podanie treści filozofii było jej definicyą zupełną, to zgodzilibyśmy się na to określenie. Lecz tak nie jest. Szanowny autor postępuje konsekwentnie, gdyż tę definicyę uważa za naukową, która podaje tylko wyniki pewnej nauki.¹ Jego określenie spełnia to zadanie. Lecz my nie godzimy się na taki sposób definiowania. Bo gdy się znajdzie druga taka sama filozofia (o co, jak historia uczy, nietrudno), to jeszcze nie będzie ona scholastyką. A ostatecznie w czemże zasadniczem różni się neo-scholastyka od starej szkoły? Wszystkie cechy przez autora podane można co do jednej, najściślej do neo-scholastyki stosować, a przecie nikt nie powie, że scholastyka i neo-scholastyka, to jedno i to samo? Definicya człowieka odpowiada każdej istocie, która ma podobne cechy, bo pojęcie jest powszechne. Ale zupełnie inaczej ma się rzecz z scholastyką. Jest ona nie tylko nauką z pewną treścią, która w głównych zarysach może się jeszcze powtórzyć w historii ludzkości, ale jest też faktem historycznym, faktem jednostkowym w czasie i w przestrzeni; zatem pojęcie scholastyki musi być jednostkowe. Definicya jej ma zawierać cechy odróżniające ją od każdej innej filozofii, nawet takiej, któraaby miała podobną zawartość naukową. Aby definicya była dobrą, t. j. aby wywołała w umyśle pojęcie tej

¹ *Toute définition doctrinale est définition terminale et non initiale*, p. 131. oper. cit.

jednej, indywidualnej, konkretnej filozofii, nie wystarczy podać treść naukową, lecz trzeba koniecznie dodać także cechy indywidualne, bo filozofia scholastyczna, to nie byt metafizyczny, ale konkretny fakt w umysłowym życiu ludzkości. Podobnie jak pojęcie ogólne jest ogólne w treści, lecz jest jednostkowym bytem, o ile jest modyfikacją umysłu, tak i filozofia, której treść może na ziemi w różnych odmianach się powtarzać, jest nie tylko nauką, teorią, lecz jest także zdarzeniem historycznym, jest prądem umysłowym, który od innych zdarzeń i prądów historycznych, o tej samej nawet treści naukowej, odróżnionym być musi. Tego zaś nie czyni definicya Wulfa. Zresztą jego określenie pomoże nam do postawienia nowego. Jego definicya podaje jedną tylko cechę filozofii scholastycznej, t. j. jedność duchową w rozwiązaniu najistotniejszych zagadnień. Dlatego na niej nie poprzestajemy, lecz korzystając z dobrej myśli lowańskiego historyka, pójdziemy dalej. Jeszcze jeden brak ważny widzimy w definicyi Wulfa, który później poruszymy, gdy słuszność zarzutu lepiej przygotujemy. Jest to pominięcie stosunku do objawienia; przecież scholastyka to filozofia katolicka nawskróś. Praca nasza jest też próbą naukowej definicyi scholastyki. Postępować będziemy drogą indukcyjną i zdobywać jedną cechę po drugiej, aż się cała definicya złoży; przez to samo damy spokojną odpowiedź na wszystkie inne określenia.

Gdybyśmy chcieli określić renesans, to bez wątpienia uważalibyśmy go za wielki przewrót kulturalny i umysłowy; również przewroty na polu czysto naukowem nie są odosobnione, lecz są owocem pracy wielkiej grupy uczonych jednej szkoły. I tak mamy n. p. kartezyanizm jako szkołę filozoficzną, zabarwioną racjonalizmem, empiryzm Bacona i jego zwolenników. Takim prądem filozofii nowożytnej jest kantyzm z szkołą transcendentalną niemiecką. Nie jest to jeden system z głowy filozofa wysnuty, ale zbiór systemów pokrewnych sobie, opartych na podobnych, lub tychsamych założeniach i dążących do coraz dalszych konsekwencyj. Pod hasłem Kanta postępuje filozofia nowożytna. Temu prądowi przeciwstawia się nie sy-

stem jeden, lecz także szkoła, scholastyka, stara jak dynastia Habsburgów, tylko nie zawsze na tronie umiejętności siedząca. Scholastyka jest to całość kształtu wiedzy chrześcijańskiej, utworzony przez największych mistrzów średniowiecza, a zaczerpnięty ze źródeł przyrodzonych i nadprzyrodzonych.

Ale my określamy nie całą scholastykę, która obejmuje teologię, filozofię, sztuki wyzwolone i mistykę, lecz szukamy określenia samej filozofii scholastycznej i to scholastyką nazywamy. Niektórzy historycy odmawiają istnienia takiej filozofii; twierdzą, że myśl filozoficzna przez 1000 lat skuta w kajdany dogmatu religijnego wcale się nie rozwijała. Radzą przeto, aby w traktowaniu historii filozofii przeskoczyć czas od r. 529 t. j. od zamknięcia akademii platońskiej, aż do r. 1637 t. j. do wydania przez Descartes'a „Rozprawy o metodzie“. Zostawiają ten okres historykom religii i teologii, bo o filozofii samostnej — według nich — w średnich wiekach mowy być nie może. Że przesadne jest to żądanie, to się pokaże z naszej pracy. Teraz przypatrzmy się, że filozofia scholastyczna jest zbiorem systemów. Filozofia jest to umiejętność traktująca o pierwszych przyczynach wszechrzeczy. System filozoficzny będzie to jednolity i harmonijny całość poglądów na pierwsze przyczyny wszechświata, czyli na to wszystko, co tylko siła rozumu objąć może. Czy filozofia scholastyczna jest takim jednym systemem? Żeby to było, mówimy „a priori“; tak źle nie było, mówi historia „a posteriori“. Jest niepodobieństwem, aby przez kilka wieków ludzie o wszystkim jednakowo myśleli. Filozofia schol. obejmuje prace wstępne 9 i 10 wieku i systemy, których zarys w 11 wieku się pojawia i ciągnie aż do początków 15 wieku. System Erygeny nie należy do scholastyki, ponieważ jest jej zupełnie przeciwny teoretycznie, a na rozwój scholastyki wpływu nie miał. Treść tego systemu panteistyczna zawiodłaby była scholastykę na inne tory, a tymczasem jest ona dyamentalnie przeciwna Erygenie, więc nie mogła z jego systemu pochodzić. Zresztą zanim jakikolwiek system scholastyczny się

pojawił, już filozofia Erygeny została przez kościół potępioną i usuniętą w r. 1055.

Oprócz prac dyalektycznych i pojedynczych traktatów takiego Alkuina, Bedy, Rabana Maura, Gilbert'a de la Porree, Alana de Lilles, do filozofii wchodzi i jądro stanowią systemy: Św. Anzelma w 11 wieku, Abelarda w 12 wieku, Aleksandra z Hales, Wilhelma z Auvergne, Alberta Wielkiego, Tomasza z Aquino, Bonawentury i Dunska Scota w 13 wieku. Dzielnymi magistrami lub autorami byli też: Henryk z Gandawy, Wincenty z Beauvais w 13, a Durandus i Okkam w 14 wieku. Ci dwaj ostatni zwalczali zasadnicze twierdzenia przeszłej scholastyki, lecz nie mieli godnych siebie przeciwników. Niektóre prace scholastyczne 14 i 15 wieku, z których dzisiejsze pokolenie bierze pochop do potępienia całej scholastyki, są często zwyrodniałemi resztkami dawnej filozofii. Nikt w historii literatury nie sądzi z początków 18 wieku, nacechowanego barbarzyństwem formy i treści o wieku Skargi i Kochanowskiego; żaden wykształcony człowiek z makaronicznego kazania o noworocznej kokosze z pypciem i bez pypcia, którą kaznodzieja obdarza słuchaczy, nie ocenia kazań sejmowych Skargi. Zarówno nie można z Lullusa i lullistów sądzić wieku Tomaszów i Skotów. A jednak z filozofią scholastyczną tak się dzieje. N. p. p. Chrzanowski, który tak trafnie odróżnia wiek 18 od 16 w literaturze, gdy jednak mówi o filozofii scholastycznej, przytacza na wyrobienie pojęcia o niej same niedorzeczności podupadłej scholastyki.

Otóż zbiór tych systemów stanowi jedną wielką szkołę filozoficzną. Nie jest to synteza systemów, ani abstrakcja, nie jest jakiś synkretyzm, zespolenie całego prądu umysłowego w jeden system, taki nie istniał w historii, a historyk ma określać to, co było; nie zaś abstrakcję, które on sobie o fackie historycznym utworzył. Określenia istotne dają tylko istotę rzeczy, tak, iż każdy byt mający podobną istotę, da się pod nie podciągnąć. Ale zupełnie inaczej ma się rzecz na polu historycznym. Tu nie istotę samą, lecz i fakt określić trzeba, więc nie można abstrahować bez pogwałcenia prawdy historycznej. Definicja

scholastyki musi się tylko odnosić do jednej historycznej filozofii, jak określenie rewolucyi francuskiej musi oznaczać tę jedną rewolucyę z roku 1789. Ponieważ więc synteza wszystkich systemów nie istniała, niema jej co określać. Systemy zaś scholastyczne były indywidualne, z licznymi odcieniami, lecz wszystkie nawiązywały do siebie, uwzględniały się nawzajem, jeden wpływał na rozwój drugiego, jeden drugim się uzupełniał. Trudno podać wszystkie różnice i styczne punkty. Dwie główne szkoły zarysowały się w jednej ogólnej szkole. Jedna dominikańska, druga franciszkańska; najlepiej uwydatnia się to w 13 wieku. Obie przyjmują materję i formę, lecz św. Tomasz i tomiści tylko w bytach materyalnych, Bonawentura stosuje tę teorię nawet do aniołów; w osiągnięciu przyczyny celowej św. Tomasz akcentuje pierwiastek rozumowy, kontemplacyę prawd metafizycznych, Skot bije na pierwiastek woluntarystyczny i na miłość, św. Bonawentura łączy jedno i drugie. Co do przyczyny sprawczej, to św. Tomasz przyjmuje rozum Boga, jako niezmienny model stworzenia, Skot znów woli wszystko przypisuje i twierdzi (jak później Descartes), że Bóg mógłby również tak urządzić stworzenie, iżby go błuźnierstwami chwaliło, bo to nie od archetypów rozumu, ale od woli Boga zależało. Tu zaznaczyliśmy tylko różnice, które się odnoszą do 4 przyczyn pierwszych, stanowiących jądro scholastyki, t. j. przyczyn: materyalnej, formalnej, sprawczej i celowej. Wszyscy je przyjmują, to dowód jedności zasadniczej szkoły, lecz wszyscy nawet na te najistotniejsze czynniki filozofii swej inaczej się zapatrują, to dowód różnaitości i życia. Jeśli jednak w tych kwestyach się różnią, to cóż dopiero w innych drobniejszych! Skoro z idealnego współzawodnictwa o prawdę, jakie między świętymi i najszczerszymi przyjaciółmi istniało, powstała po ich śmierci rywalizacya o przewagę partyi, lub kłótnia o wyższość mistrzów, jak to na dobre się rozpanoszyło po śmierci Tomasza i Skota, wtedy scholastyka zaczęła tracić szlachetny charakter nauki, a nabierać cech szkolarskiej zwady. Systemy polemizujące z sobą w 13 wieku wykazywały sobie wartość wszystkich idei filozoficznych, ich trwałość, roz-

przestrzeniły poglądy, wogóle przyczyniły się do rozwoju scholastyki. Otóż to jest filozofia scholastyczna, wzięta ze swej zewnętrznej strony.

Mamy zatem już jedną cechę jej t. j.: Filozofia scholastyczna jest to ogół systemów filozoficznych, jest to jedna wielka szkoła. Teraz przejdziemy do drugiej cechy, której w stosunku filozofii do wiary szukać należy.

Rozum średniowieczny, stojąc na gruzach kultury po tylu przewrotach i spustoszeniach, ogładał się za jakąś podporą zewnętrzną, za powagą. I tego za złe brać mu nie można. Wszak dziecko bez powagi zewnętrznej prawie nigdy się nie rozwinie; gdy dorośnie zda sobie sprawę samo z wielu rzeczy, a w większej części swej wiedzy do śmierci na powagach polegać musi. W filozofii scholastycznej powaga zajmowała ważne stanowisko. Posługiwanie się i liczenie się z powagami jest rzeczywiście ważną cechą scholastyki. Byle tylko powaga rozumnie była wyzyskana! Wtedy największe korzyści przynosi i nikomu nie ubliża. Nowożytny liberalizm znieść tego nie może, iż filozofia scholastyczna zgadza się zawsze z dogmatem; to jest kamieniem obrazy dla wszystkich wolnomyślicieli. Z tej przyczyny nie chcą scholastyki uważać za filozofię, lecz za tłumaczenie, lub udowadnianie dogmatów. *Überweg* — *Heinze* powiada: „Scholastyka jest filozofią w służbie naonczas istniejącej nauki kościoła, lub przynajmniej w takim podporządkowaniu do niej, iż na wspólnem polu teologia za absolutną normę uchodziła“. ¹ Baldwin, psycholog amerykański, mówi: „wieki średnie, w których filozofia była podporządkowana teologii, mają za swój cel wykład dogmatu chrześcijańskiego w jego stosunkach do rozumu“. ² Inni zgorszeni zasadą „filozofia służebnica teologii“ widzą w niej podłą służkę, roześciętą na torturach inkwizycji kościelnej, by doszła do normy dogmatów. Przypatrzmy się krytycznie stosunkowi filozofii do teologii najpierw teoretycznie, potem historycznie.

¹ *Geschichte der Philosophie*. II.

² *Dictionary of Philosophy and Psychology*. „philosophy... having for its aim the exposition of christian dogma in its relations to the reason“.

Co do zależności filozofii od dogmatu, to może więcej potrzebuje dogmat filozofii, niż filozofia dogmatu, tak, iż o zależności właściwej, pozytywnej mowy być nie może. Według św. Pawła wiara chrześcijanina ma być „rozumną służbą“, więc wierzyć mamy rozumnie. Wiara bowiem, choć nie jest aktem samego rozumu, lecz także aktem woli (a przedewszystkiem darem Ducha św.), jednak podstawy wiary są wnioskami samego, przyrodzonego rozumu. Rozum ma udowodnić dwie przesłanki: 1. Że istnieje Bóg, Stwórca, nieskończenie dobry i nieomylny; jeśliby On podzielił się z nami swą wiedzą, to prawdy przez Niego dane będą pewne. Tego może sobie rozum sam dowieść bez objawienia. To jest prawda filozoficzna, to owoc każdej zdrowej filozofii. Nie potrzebuje filozofia udowadniać dogmatu, bo każda rzetelna nauka prawd objawionych broni. Doświadczenie tego uczy. Pomijam największych uczonych i filozofów zarazem, jak Arystotelesa, Newtona, Kepplera i t. d., wymienię tylko dwu najnowszych. Reinke, profesor botaniki w Kiel, wyznaje, że niezależnie od wszelkiego dogmatu doszedł do poznania Boga.¹ Wprawdzie w późniejszych latach życia doszedł do tego, o czem katolik wie z katechizmu, lecz ta praca będzie zasługą jego życia przed Bogiem. „Jest mi tem milej, powiada, iż w tym punkcie panuje zupełna niezależność pracy umysłowej dwóch badaczy przyrody. W takiej zgodności widzę najważniejszy dowód na słuszność poglądów“. I cytuje sławnego astronoma Flammarion'a, który dotychczas w dziełach swych nic o Bogu nie mówił. „Szukałem Boga. Przyroda objaśniań w świetle wiedzy ukazała mi Go w szczególniejszym charakterze. Jest On tam, widzialny jako wewnętrzna siła każdej rzeczy. Pozostajemy tylko w sferze obserwacji i doświadczenia. Z tego stanowiska oświadczamy, iż chociaż nauka nie zajmuje się bezpośrednio problemem o Bogu, to z drugiej strony skoro stosujemy nasze zdobyte poznania do tego problemu, bynajmniej nie wymagają one Jego zaprzeczenia, lecz przeciwnie stwierdzają rozumność i mądrość praw, rządzących przy-

¹ *Die Welt als Tat*. 5 Aufl. 1908.

rodą. Mówiąc szczerze, rozum Stwórcy przedstawia mi się jako nieskończenie więcej pewny i więcej niezłomny, niż rozum ateuszów francuskich i zagranicznych". Możliwy bez końca mnożyć przykłady. Nie mogę oprzeć się pokusie, aby nie przytoczyć przepięknych słów entymologa Fabra: „W Boga nie tylko wierzę, ale Go widzę. Bez Niego wszystko mi jest ciemnością, bez Niego nie pojąć nie mogę w naturze. Ateizm jest tylko kaprysem obecnych czasów. Nie, raczej mi życie odbiorą, niż wiarę w Boga“.¹ Tak mówił uczony, który przez lat 40 owady badał. Można więc bez teologii dowieść istnienia i mądrości Boga; jeśli taki Bóg co nam objawi, to jest prawdą i uznać to trzeba. Już zaś niewątpliwie nam objawił pewne prawdy i to jest drugą przesłanką do wiary, której dowodzi historia. Więc wniosek rozumu, że trzeba Mu wierzyć! Oto zależność wiary od rozumu. Bez tych dwu prawd wiara jest nierozumna, ślepa, a takiej nigdy Bóg od nas nie żądał. Obie przesłanki konieczne są do rozumnej wiary. Głupio wierzy, kto nie zna wartości świadectwa, któremu daje wiarę. Te przesłanki, chociaż dowieść ich mam niezależnie od wiary, (bo byłyby pobudką do wiary owocem błędnego koła), to jednak nie potrzebują być udowodnione niezależnie od siebie nawzajem. To zakres rozumu, więc wolno mi postąpić, jak chcę, bylebym logiki nie obraził. Logicznie zaś dadzą się dowieść podstawy wiary z samej historii, nie potrzeba do tego żadnej metafizyki i spekulacji. Z historii udowadniamy tego, że Bóg mówił do ludzi, że żył na ziemi, że ślady czynów swych zostawił. Gdy patrzę na historię kościoła, to widzę tam takie sprawy, iż nieuprzedzony rozum musi uznać w nich palec Boży, bo jest to dzieło, które ma na sobie niezatarte piętno boskiego pochodzenia. Gdy widzę dokładne spełnienie się przepowiedni Chrystusa, przekonuję się, iż On jest nieomyślny. Tak już nie z dzieł Boga w przyrodzie drogą metafizyki, ale z nadprzyrodzonej ingerencji Boga w dzieje ludzkości drogą historyczną poznam istnienie i nieomyślność Boga i fakt, że dał nam swe objawienie. Ta droga prostsza i ła-

¹ *Revue philosophique*, 1910. September.

twiejsza od spekulacyjnej. Może nie zdobędę się na poznanie Boga z dzieł przyrody, nie to nie szkodzi, bylebym tylko możliwości tego poznania nie przeczył, bo to prawda wiary. (Sobór wat.). Pierwszy punkt zależności wiary od rozumu jest, że rozum udowadnia podstawy wiary. Jeśli zatem coś w filozofii się znajdzie, co z wiarą jest niezgodne, to tem samem będzie sprzecznem z dwoma przesłankami wiary, czyli z dwoma prawdami rozumu już udowodnionemi i pewnemi; sprzeczność rozumu z wiarą jest sprzecznością z samym rozumem, który podstawy wiary uzasadnia. Bardzo trafną uwagę robi Pattison.¹ „Usiłowanie, powiada, aby uzasadnić dowodami powagę wiary jest w rzeczywistości nieświadomem uzasadnieniem powagi rozumu“. Scholastyka, nie mogąc dać z rozumu dowodów na tajemnice wiary, usiłuje rozumowo uzasadnić kompetencję powagi, której się poddaje. Tym sposobem i rozum zachowuje swe prawa i wiara zostaje nietkniętą. Tak, to może z tryumfem mówić filozof katolicki.

Drugi stosunek filozofii do wiary ukazywał się w jej odniesieniu do kościelnej powagi. Kościół nigdy nie tworzył z niczego nowych prawd dogmatycznych, nie powiększał zakresu objawienia, ilość prawd objawionych zawsze jest ta sama. On tylko objaśnia i określa to, co w objawieniu już jest zawarte; w tem ma zapewnioną od Chrystusa nieomyłność. Jeśli więc jakaś filozofia uczy czegoś przeciwnego nauce objawionej, to on ją potępi, jako fałszywą, bo ten sam Bóg dał objawienie i nieomyłność Kościołowi w rzeczach religijnych i urzeczywistnił wszelką prawdę, którą w stworzeniach poznajemy. Rozum zaś wierzący, który, jak dopiero co widzieliśmy, przekonał się z historii o rozumności podstaw wiary, musi konsekwentnie uznać i taki wyrok Kościoła za rozumny, a rzekomą filozoficzną prawdę za fałsz. Autorowie jednak piszący o tym przedmiocie, często nie umieją zdobyć się

¹ „But we may go further and say that, in spite of their acceptance of authority, the Scholastics are not the antagonists of reason. The attempt to establish by argument the authority of faith is in reality the unconscious establishment of the authority of reason“. *Encyclopaedia Britannica*, t. 24 *Scholasticism*.

na bezstronność. N. p. p. Twardowski, który zdaje się być dla scholastyki niezbyt wrogo usposobiony, uważa dogmaty Kościoła za wytwór czysto ludzki; nie więc dziwnego, że zależność filozofii od wiary ujemnie mu się przedstawia. Wyznajemy, że gdyby dogmaty były tem, za co je p. Twardowski ma, to nie byłoby żadnej racji na nie zważać; my pierwsi rzucilibyśmy hasło: „Precz z niewolą dogmatu, precz z autorytetem, filozofia ma być wolną zupełnie“. Lecz skoro Bóg najmędrszy, który mi dał rozum do filozofowania, objawił też pewne prawdy do wierzenia, to liczyć się z objawieniem jest rzeczą najrozumniejszą. P. Twardowski zda się nie nie wiedzieć o boskiem pochodzeniu dogmatów. Píše bowiem: „Nauka¹ Kościoła i filozofia Arystotelesa w jedną, zwartą całość zwały się w umyśle i pismach Tomasza z Aquinu, dzięki czemu niektóre określenia sformułowane przez Greka i poganina Arystotelesa stały się dogmatami kościelnymi, jak przedtem już inne określenia sformułowane przez żyda Filona“. W rzeczywistości nie treść czerpano z filozofii Arystotelesa lub innej, jako materyał dla oznaczeń dogmatycznych; zapożyczono z niej tylko formę, w którą ujmowano i wyrażano bardziej systematycznie i ściśle treść przechowywanego w wierze Kościoła objawienia Bożego. Takie posiłkowanie się filozofią w dziedzinie teologicznej nie jest ani niewolą pierwszej ani jej ubliża, jak nie ubliża matematyce czy fizyce, jeśli używa się ich w innej dziedzinie nauki, np. w astronomii. Teologia potrzebuje filozofii, bo umysł ludzki postępuje od rzeczy widomych do niewidomych. Pojęcia i metody filozoficzne są teologii również potrzebne. I dlatego mógł Suarez napisać: „Ponieważ niemożliwem jest, aby ktoś stał się doskonałym teologiem, jeżeli wpierv nie założył mocnych fundamentów w metafizyce, dlatego zawsze sądziłem, iż opłaci się przed napisaniem komentarzów teologicznych to dzieło pilnie opracowane przesłać. W czasie pisania metafizyki co dzień jaśniejszem od słońca mi się stawało, jak owa boska i nadprzyrodzona teologia potrzebowała tej ludzkiej na-

¹ „O filozofii średniowiecznej“.

turalnej.“¹ Z tego widzimy, że raczej racjonalizmu w teologii baćby się należało, niż dewocji w filozofii, jak to i historia pokazała. A teraz przypatrzmy się, jak było w historii scholastyki.

Już filozofia stoicka stała się za cesarzy rzymskich systemem religijnym, jak to widać u Marka Aureliusza. Neoplatonizm był szkołą raczej mistyczno-religijną, niż filozoficzną. W tym samym czasie ojcowie Kościoła, zwłaszcza św. Augustyn, starali się stworzyć syntezę wiedzy objawionej i przyrodzonej. Już Arystoteles dał hasło okrzyczane i scholastykom przypisywane: „filozofia służebnica teologii“. Rozumiał on je w ten sposób, że filozofia druga, t. j. fizyka i nauki opisowe, mają służyć metafizyce, którą nazwał także teologią, nauką o rzeczach boskich. Arystoteles i św. Tomasz nazywają metafizykę jedynie nauką wolną, bo ona żadnej nauce nie służy. Wszelka inna nauka nie jest ostatnią odpowiedzią na pytanie rozumu ludzkiego, po osiągnięciu każdej można iść dalej. Ale kto posiadał metafizykę, już dalej iść nie może. Tu kres i szczyt ludzkiej wiedzy. Rodzi się w sercu tęsknota za wiedzą nieskończoną, za intuicją całej prawdy, jest to przygotowanie do jasnowidzenia Boga po oswobodzeniu duszy z więzienia ciała. Metafizyka jest to wiedza najwięcej uduchowniająca człowieka, wyzwala ją z kajdanów materii, ona najwięcej zbliża go do Boga. Dlatego przed przyjściem Chrystusa ona spełniała rolę religii, a św. Klemens nazwał filozofię „pedagogiem do Chrystusa“. Przeto Kościół katolicki najwięcej ją z nauk ludzkich uprawiał, nie, że nie nie kosztuje i z pojęć snuć się da, lecz iż prawdom objawionym najwięcej usług oddaje. Jasno oddziela teologię od filozofii, wiarę od wiedzy Albert Wielki. Są to u niego dwie nauki, filozofia czerpie z rozumu, teologia z objawienia; ta mówi o Bogu, jako o przedmiocie wiecznego szczęścia i o dziełach Boga uczynionych dla zbawienia ludzi, filozofia mówi o Bogu, jako o bycie pierwszym. Gdzie zaś idzie o badanie prawd objawionych, tam wiara poprzedza ro-

¹ „In dies tamen luce clarius intuebar, quam illa divina ac supernaturalis Theologia hanc humanam et naturalem desideraret et requireret“. *Metaphysicarum disputationum*, t. I. r. 1599. Wstęp.

zum. Niema więc chaosu pojęć; chociaż razem traktuje teologię i filozofię, jasno zdaje sobie sprawę z różności obu nauk.

Zupełnie zdecydowane i jasne stanowisko zajął św. Tomasz. Zamiast deklamacyi o niewoli myśli filozoficznej i służalstwie jej wobec teologii, radzimy wszystkim, co o tej kwestyi piszą, otworzyć pierwsze kartki sumy teologicznej św. Tomasza, aby się naocznie przekonać o stosunku filozofii do wiary. Na wstępie stawia św. Tomasz pytanie: „Czy potrzebna jest oprócz nauk filozoficznych jeszcze inna umiejętność?” Bo zdaje się, iż człowiek nie powinien wdziarać się do tego, co przewyższa jego rozum, a filozofia traktując o wszelkim bycie i Boga obejmuje. Poco więc nowa nauka o Bogu? I odpowiada, że do zbawienia duszy potrzebna jest znajomość objawienia, aby człowiek cel swój poznał i lepiej do niego dążył; prawdy dostępne rozumowi Bóg też objawił, bo przeważna część ludzi ich nie znała, a przecie są one do szczęścia konieczne. „Więc potrzeba, aby oprócz nauk filozoficznych, które sobie rozum sam zdobywa, była święta nauka oparta na objawieniu“. Jest tedy teologia nauką różną od filozofii, bo opiera się na założeniach podanych przez samego Boga. Jak świadomość dotyka wszystkich aktów psychicznych, ale pod pewnym tylko względem, t. j. o ile są modyfikacyami obecnemi podmiotowi, tak teologia „może rozważać to, o czem traktują różne działy filozofii, ale pod jednym względem t. j. o ile te rzeczy są przedmiotem objawienia“. Jak na kwiat patrzy malarz lub estetyk pod innym względem, t. j. piękna barw i woni, a botanik bada jego skład i czynności życiowe, tak teologia i filozofia mogą mieć ten sam przedmiot, tylko w inny sposób go traktują. Że w jednym i tem samym dziele niekiedy obie umiejętności znajdują uwzględnienie, to chyba dziecinny umysł z tego wyprowadzi zarzut, że scholastycy dwie nauki pomieszali. A cóż sądzi św. Tomasz o dowodzeniu prawdziwości dogmatu przez filozofię? Zupełnie co innego, niż p. p. Chrzanowski i Twardowski. „Chociaż dowody rozumu ludzkiego, mówi św. Tomasz, nie mają zastosowania w dowodzeniu prawd należących do wiary, to jednak ta nauka (teologia) dowodzi na podstawie prawd wiary innych rzeczy. Nauka ta może otrzymać coś od nauk filozoficznych,

nie iżby ich koniecznie potrzebowała, lecz dla lepszego wyjaśnienia swojego przedmiotu. Albowiem nie bierze swoich zasad od innych nauk, lecz bezpośrednio od Boga, . . . posługuje się innymi naukami, jako sługami. A to że się nimi posługuje, nie pochodzi z jej braków, jakoby sama sobie nie wystarczała, lecz z powodu ułomności rozumu naszego, który z rzeczy poznanych naturalnymi siłami łatwiej da się doprowadzić do rzeczy przewyższających rozum, a które ta nauka (teologia) podaje“.

Po takich oświadczeniach jasnem jest, że myli się całkowicie P. Twardowski, kiedy twierdzi: „U św. Tomasza z Aquino filozofia sama staje się istotną częścią składową nauki („wiary katolickiej“ pag. 64.), staje się treścią jej i właśnie dzięki temu ta nauka wypowiada się słowami filozofii“. A zatem filozofia i teologia są to dwie nauki; teologia posługuje się filozoficzną metodą nie z konieczności wewnętrznej, leżącej w naturze teologii, lecz z konieczności czysto pedagogicznej. Powiada dalej św. Tomasz: „Chociaż dowód z powagi opartej na rozumie ludzkim jest najslabszy, to dowód z powagi opartej na boskiem objawieniu jest najskuteczniejszy. Używa jednak teologia i rozumu ludzkiego nie do udowodnienia wiary, lecz do objaśnienia innych rzeczy, które podaje . . . Posługuje się pracami filozofów, gdzie samym rozumem mogli poznać prawdę. Lecz tego rodzaju powagami posługuje się jako dowodami zewnętrznymi i prawdopodobnymi“. Oto stanowisko św. Tomasza. Podobne zajmuje nawet przeciwnik jego Duns Scotus. A jeśli w epoce przekwitania powstał prąd sceptyczny u Okkama, lub skrajnie racjonalistyczny, jak u Rajmunda z Sabundy, to takie poglądy nie są modłą ani scholastyki, ani żadnej prawdziwie chrześcijańskiej filozofii. Są to plody poronione bez wpływu na rozwój filozofii scholastycznej. Bo gdyby teologia opierała się na dowodach filozoficznych, to nie miałyby racyi odrębnego od filozofii istnienia, musiałaby runąć. Stosunek jej do filozofii jest więcej przypadkowy, zewnętrzny. Podobnie jak botanika, doprowadziwszy Reinkego do poznania Boga, nie straciła przez to w jego oczach wartości nauki, tak filozofia, chociaż prowadzi do wiary i służy jej, pozostaje zawsze u scholastyków osobną nauką. Matematyka służy fizyce, cała

dynamika i mechanika to fizyka matematyczna, a czy przez to matematyka przestaje być odrębną i niezależną nauką?

Takie stanowisko zajmuje św. Tomasz i jego szkoła. Że teologię uznano za królową nauk, to nie tylko chrześcijanina ale człowieka rozumnego gorszyć nie powinno. Najpierw to jej panowanie nie tak się rozumieć powinno, iżby do jej zasad inne nauki naciągać należało, pozbawiać je wolności, teologia nie wpływa pozytywnie na treść nauk. Lecz w porządku podmiotowym, jeśli chodzi o wykształcenie człowieka, to teologia ma być koroną jego wiedzy. Jest ona królową nauk, bo umysłowi kształcącemu się w niej mają pomagać wszystkie nauki, już poprzednio niezależnie od teologii zdobyte. Powtóre najmędrszy nawet człowiek uzna, że Bóg się nie myli, że nasz rozum, choćby najgruntowniej wykształcony, przed boskim ustąpić powinien. Tęga uczy nie tylko teologia i dogmat, ale każda filozofia, która nie tylko się nazywa, ale jest istotnie filozofią chrześcijańską.

Pierwsza więc racja, dla której filozofia scholastyczna zowie się chrześcijańską jest, że się nią teologia posługiwała do objaśnienia i uprzystępnienia prawd wiary. Lecz to przyczyna zbyt zewnętrzna. Druga przyczyna, o wiele ważniejsza jest, iż filozofia scholastyczna nie zawiera świadomie nic przeciwnego wierze. Skąd to pochodzi? Czy filozofia ta naciąga swoje twierdzenia do modły wiary, czy „*a priori*“ poddaje wszystko pod normy teologii? Bynajmniej; teologia jest dla filozofii normą tylko negatywną. Filozof sam sobie dowiódł, że Bóg jest nieomylny w tem co człowiekowi objawił. Jeśli filozofia dojdzie do wniosków przeciwnych prawdom wiary, to sama sobie powie, że popadła w sprzeczność i odrzuca takie wnioski, jako niedorzeczności zarówno jako błąd przeciwny wierze. Dlatego w treści takiego systemu nie przeciwnego wierze się nie znajdzie. Nie jest to objawem nie woli, ale postulatem rozumu. Tu rozum korzy się tylko przed Mądrością niestworzoną i nieskończoną; taka niewola to udział w boskiej nieomyślności, to opieka boskiego rozumu nad słabym ognikiem ludzkiej wiedzy, którą od rozpacz i od bezcelowego błakania się ochrania. I to szczęście, ta komunikacja rozumu ludzkiego z Bogiem była zaletą scholastyki i będzie każdej filo

zofii prawdziwie chrześcijańskiej. Aby ochłodzić nieco oburzenie liberalnych umysłów, przypatrzmy się historii. Do czego doszła starożytność ze swą filozofią i mądrością? Nawet z idealnym Platonem, nawet z tym wszechstronnym olbrzymem Arystotelesem doszła do zupełnego zwątpienia w filozofii, w obyczajach do kultu zbrodni, w stosunkach zaś społecznych do uprawnienia bydlęcej iście niewoli klas pracujących. Nie pomogły protesty filozofów, upadającej ludzkości nie wyleczył żaden filozof ani uczony. „Jeszcze się nie zdarzyło, mówi z przekąsem Wolter, aby jaki filozof nawrócił do swego systemu mieszkańców choćby jednej ulicy, na której dłuższy czas mieszkał“. Stąd się poznaje wielkość dobrodziejstwa Bożego, że o prawdach do szczęścia niezbędnych objawieniem nas upewnił. A w historii nowożytnej wszystkie teorie naukowe i hipotezy przeciwne wierze wałą się jedne po drugiej.

Filozofia scholastyczna była chrześcijańską, ale możliwa jest filozofia nie scholastyczna, a mimo to chrześcijańska, jeśli te cechy mieć będzie, które na nazwę „chrześcijańskiej filozofii“ składają się, a które już wymieniliśmy. Gdzież dziś mamy takie? Wszystkie wybitniejsze systemy i szkoły nowożytnej filozofii są tego pozbawione. Kartezyanizm jest chrześcijański więcej z intencji autora, niż z wewnętrznej swej wartości. Prowadzi bowiem do niemożliwości poznania prawd objawionych przez swą teorię poznania, z pojęcia zaś substancji wiedzy do panteizmu, który Spinoza rzeczywiście z niego wysnuł. Filozofia Kanta już nie do prawd objawionych, ale do ateizmu ludzkość prowadzi. Pozytywizm Comte'a głosi hasło, aby filozofia tylko rejestrowała fakta doświadczeniem zmysłowym zdobyte, a myślną treść wykluczyła, jako nie krytyczną. Stąd to, chociaż *in abstracto* możliwa jest filozofia chrześcijańska a nie scholastyczna, faktycznie jednak jedna filozofia scholastyczna jest prawdziwie chrześcijańską filozofią. Ona wiodła największych geniuszów w krainy mistyki. Od obserwacji zjawisk do spekulacji, potem do teologii, wreszcie do kontemplacji rozkosznej całokształtu wszelkiej wiedzy ludzkiej i boskiej. Jej więc nazwa filozofii chrześcijańskiej właściwie przystoi.

Scholastyka jako okres budzenia się nowego życia u nowych narodów po katastrofach społecznych, rozwijająca się na ruinach świata starożytnego, oglądała się za powagami. Jest to charakterystycznym dla wieków średnich. Jest to zupełnie naturalne i konieczne nawiązanie do zdobyczy umysłowych przeszłości, zwłaszcza w początkach. Stosunek rozumu ówczesnych filozofów do powag jest piętnem charakterystycznym myśli średniowiecznej. Siega to znamię do głębi każdego systemu scholastycznego i dlatego nie można go pominąć w określeniu scholastyki. Zaś Wulf zupełnie o tem zamilcza i to uważamy za poważny brak jego definicyi. Najistotniejsza treść każdego systemu zaczerpnięta jest z filozofii starożytnej. Z początku panował neoplatonizm, lub platonizm w szacie neoplatońskiej ; najwybitniejszą osobistością dla scholastyki do 12 wieku był św. Augustyn. Mniejszy wpływ mieli filozofowie arabscy, zwłaszcza Avicenna i Aerroes. W 13 wieku zapanował nad umysłami Arystoteles. Nawet u św. Tomasza widać skutki tego rozwoju ; pełno u niego poglądów platońskich i dowodów, chociaż jest perypatetykiem ; są i wpływy arabskie, zwłaszcza w zakresie nauk przyrodniczych. Biorąc objawienie za normę negatywną, a z początku nawet za pozytywną, posługując się z drugiej strony pracami filozofów starożytnych, tworzyli scholastycy syntezę ówczesnej wiedzy. U każdego myśliciela przeważa jeden system, obok poglądów dobrych z innych systemów. Tak n. p. u Abelarda przeważa platonizm, u Aleksandra z Hales przechyla się szala ku Arystotelesowi i ku jego arabskim komentatorom, za Aleksandrem idzie Bonawentura. Albert wielki jest perypatetykiem chrześcijańskim, a uczeń jego Tomasz z Aquino pogłębia ten kierunek, i buduje dalej na podwalinach perypatetycyzmu. Henryk z Gandawy, zamaszysty myśliciel, opiera się na Arystotelesie, lecz i platońskie czynniki ważną grają rolę. Duns Scotus wprowadza perypatetycyzm, ale zupełnie odrębny od tomistycznego.¹ Każdy system ma podwaliny przejęte z pracy innych ; dlatego twierdzimy że scholastyka to szkoła eklektyczna, a nie zupełnie oryginalna

¹ *Histoire de la philosophie médiévale*. Wulf.

Więcej tu syntezy tego, co było dane, niż samodzielnej twórczości. Filozofię stanowi ogromna literatura komentarzy do dzieł starożytnych mistrzów. Każdy z największych przedstawicieli pisze komentarze i dobiera sobie zdań, jakie mu się lepszemu wydają. Stąd charakter eklektyczny systemów. Na tej podstawie nazywamy scholastykę szkołą eklektyczną. Niema w niej ani jednego systemu tak oryginalnego, jak perypatetyzm Arystotelesa, system Descartes'a lub Kanta. Jest to peryod, w którym barbarzyńskie narody musiały najpierw się uczyć, aby potem móżdż tworzyć.

Skutkiem tej łączności scholastyki z przeszłością słyszy się nieraz, że jest ona tylko kompilacją z Platona i ojców Kościoła, lub że to gromada przeżuwaaczy Arystotelesa. Bulliot określa scholastykę jako „fazę arystotelizmu”.¹ Żaden filozof nie spada z nieba, ale epoka go wydaje. Sam Arystoteles nie byłby nigdy tem, czem jest, gdyby mu poprzednicy drogi nie utorowali. Nikt przeto nie może wymagać od scholastyki absolutnej niezależności. Od samych początków był Arystoteles mistrzem w logice; inne działy filozofii, o ile istniały, ulegały przemożnemu wpływowi Platona, neoplatonczyków i św. Augustyna. W 12 wieku poznano wszystkie dzieła logiczne Arystotelesa i zreformowano zaraz logikę. Na tem polu wpływ Arystotelesa jest najtrwalszy. Przecie do dnia dzisiejszego filozofia nowożytna niewiele do logiki Arystotelesa dorzuciła. Natura ludzka jest od pojawienia się człowieka cywilizowanego w historii ta sama, więc niezmiennie są i prawa myślenia. Gdy raz je się wykryje i sztuką udoskonali, to można zaprzestać ich badania, a do poznania przedmiotów się zabrać. Od początków scholastyki, t. j. od 9—12 wieku, przeważał wpływ Platona i Augustyna; są też ślady wpływu pytagoreizmu, atomistów i stoików. Arystoteles dopiero w 13 wieku zyskał zupełną przewagę; nazywano go „poprzednikiem Chrystusa w rzeczach przyrodzonych”. Rozwój filozofii w 13 wieku zaczął się od objaśniania Arystotelesa; był to najprzy-

¹ „Bulliot considère la scolastique comme une simple phase de l'aristotélisme”. Wulf, *Introduction à la philosophie neoscholastique*.

mayıwniejszy sposób wykłádów w szkole, a pisania w ksiąŹkach. Sam św. Tomasz napisał komentarz do Arystotelesa, którego dzieła przełóŹone z arabskiego na łacinę okóło 1230, stały się skarbnicą dla scholastyków. PoniewaŹ św. Tomasz znał Arystotelesa tylko z tłumaczeń, więc odmawiają jego komentarzowi ścisłości prawdy. LecZ to raczej podziw budzić powinno, iż on tak głęboko wniknął i rozwinął system Arystotelesa, Źe pod skromną nazwą komentarza nowe światy filozofii stworzył. CzemuŹ humaniści nie zachwycili świata nową jakąś filozofią, na lepszym poznaniu Arystotelesa opartą, skoro go w oryginale znali! Wiele nowych poglądów, obcych Arystotelesowi i staroŹytnym, jest owocem pracy scholastyków. Przecie nie tylko to jest postępem, co się tylko do nowych pozytywnych odkryć dorzuci; praca myślowa, czysto logiczna jest również zdobywaniem prawdy. W każdym razie scholastycy 13 wieku więcej opierali się na wiedzy przyrodniczej, niż taki Hegel w 19 wieku. Albert W. przyswoił sobie całą wiedzę przyrodniczą Arystotelesa i sam daleko ją posunął, zwłaszcza w mineralogii. Św. Tomasz wiedzy przyrodniczej nie posuwał, lecz przyswoił ją sobie i całą siłą oddał się filozofii, a jeszcze więcej teologii. NiemoŹliwym jest, aby jeden człowiek w przeciągu 50 lat Źycia przyswoił sobie całą mądrość swego czasu, był profesorem na uniwersytetach, zakonnikiem, niezmordowanym kaznodzieją, aby dał syntezę całej wiedzy współczesnej w 19 tomach foliów i jeszcze nauki przyrodnicze rozwijał.

Zapytajmy się, co jest nowego w scholastyce, czego niema u Arystotelesa? Jaki jest postęp właściwy?

(Dok. nast.)

J. Szoldrowski.

Z pośmiertnej teki Deotymy.

Królowa Jadwiga czyli Xięga Miłości.

Druga część Prologu.

NA ZIEMI.

W Luxemburgu pod Wiedniem.

Ogród. — Z jednej strony grzędy z kwiatami, z drugiej gaj. Pod gajem ławeczki i stół z białej kory. — W głębi widać wodę i zamek jeszcze niedokończony, z rusztowaniem przy jednej połowie.

W ogródku kwiatowym stoi ALBRECHT RAKUSKI (przezwany „Z warkoczem“), siwiejący w białej opończy, z włosami w tyle zaplecionymi i schowanymi w szarym, jedwabnym woreczku.

Przy nim porozrzucane leżą narzędzia stolarskie i ogrodnicze. Xiążę hebluje deszczułkę i śpiewa „Godzinki“.

JADWIGA, mała dziewczynka, ze złotymi kędziorami, w błękitnem ubraniu, stoi przy nim i spogląda to na jego robotę, to na ogród.

JADWIGA.

Powiedz mi, stryжку, co to są za kwiaty
Czerwone, z taką w środku czarną plamą?

XIĄŻĘ ALBRECHT.

To jaskry wschodnie. Twój święty dziadulo,
Francuski Ludwik, przywiózł je z krucyaty.
O! to kwiat rzadki. Wszystkiego nam z laty
Przybywa. Dawniej znaliśmy jedynie
Żółte, co kwitną w rowach i przy wodach.
A dzisiaj oto, ja w moich ogrodach
Mam te, co rosły tam aż w Palestynie.

JADWIGA.

A! W Palestynie? Więc to może one
Od krwi Jezunia są takie czerwone?

XIAŻĘ ALBRECHT.

patrzy na nią z podziwieniem.

Co też to dziecko nie wymyśli sobie?

Zabiera się znów do roboty.

Zobaczysz, jaka rzecz cudna tu stanie ;
W tym płotku znaki wiązane porobię,
H. — znak Habsburgów. — Chodź no tu kochanie,
Podaj mi deszczkę.

Jadwiga podaje mu deszczulkę.

No cóż, moja mała,
Mężyk przyjechał? Musisz mu być rada?
Jużeś podobno go rok nie widziała?

JADWIGA.

Cieszę się bardzo, bo mi opowiada
O mamie, ojeu, o tej pięknej Budzie,
Gdzie tyle koni, tacy zwawi ludzie.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Tęsknisz do Węgier? Już ci tu zaczyna
Być źle?

JADWIGA całuje go w rękę.

Ze stryjkiem dobrze mi jest wszędzie.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Bo z ciebie dobra, śliczna dziewczynina,
A i z Wilhelma ładny chłopiec będzie.
W tym roku trochę nam urósł nareszeie ;
Ale błdziuchny, znać, że siedzi w mieście.

Po chwili milczenia.

Ja jednak wolę, że on się tam chowa
Przy twoim ojeu. To król! To mi głowa.

Tu w domu miałby nietęgę przykłady:
Łup źle nabyty, podstępny i zdrady.
Mój brat Leopold, — niech mu Bóg odpuści —
Kłótnik, całemu nie przepuszcza świata.

JADWIGA.

Doprawdy? Więc on niedobry?

XIAŻĘ ALBRECHT.

A juści.

Mnie rodzonemu nie przepuścił bratu.
Wszystko mi zabrał, nawet siedzieć nie da
W pocziwym Wiedniu.

Wzdycha.

Oj, ciężka to bieda
Z takim rodzeństwem. I moja bratowa ...
Niezła, lecz także ... prawdziwa Visconti,
Siarka i ogień ...

Uderza się w czoło.

Głupie gadam słowa.

Przepadło — Prawda, że masz rok dziewiąty;
Niedługo wyjdiesz już na słuszną pannę;
Trzeba cię ostrzedz. Otóż moje dziecię,
Jak się z Wilhelmem kiedyś pobierzecie,
Zanoś do Boga modły nieustanne,
I męża skłaniaj, aby żył inaczej
Niż ... wielu innych. Niech oto zobaczy,
Jak ja się rządę. Niech zarybia stawy,
Buduje zamki, zakłada ogrody,
Ale wojennej niech się strzeże sławy,
Bo wojna wiecznie żyje z cudzej szkody.

JADWIGA.

On bić się nie lubi.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Tak, lecz dumna sztuka,
A duma zawsze tej tam chwały szuka.

JADWIGA.

Dumny, to prawda.

XIAŻĘ ALBRECHT.

I w dodatku próżny,
Jakby dziewczyna. Wołam go dziś rano, —
Niema. Wilhelma nigdzie nie widziano.
Wchodzę do niego, a tu sprzęt podróżny,
Jak u niewiasty, po ziemi się wała :
Sprzączki, wstążeczki. On siedzi, jak lala,
A dwóch pacholków, jakby przed obrazkiem,
Skacze, przyklęka i jakimś żelazkiem
Włosy mu piecze. Ładne mi zajęcia,
A pfe, dla chłopca! Dla przyszłego księcia!

JADWIGA.

Ależ, stryjasku, trzeba przypiec loki.
To tak jest ładnie.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Ach, to jest szkarada,
Śmieszna, niechlujna. Trzymam się za boki,
Gdy mężom, zamiast zbroicy pradziada,
Sto takich rurek aż do pasa spada
I codzień inne : to lniane, to krucze,
To czerwone...

JADWIGA.

Stryjek jest na świetle
Jeden, co włosy tak zabawnie plecie
I kładzie w worek.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Ja wszystkich nauczę.
Dzisiaj się z mego warkocza śmiejecie,

A kiedyś wszyscy będą tak nosili,
Bo to wygodnie i schludnie.

*Od zamku zbliża się Ojciec Furseusz, Dominikanin, kapelan ksią-
żęcy.*

OJCIEC FURSEUSZ.

Ach panie,
Idę od księżny. Przyjechał w tej chwili,
Gość i powstało wielkie zamieszanie.

XIAŻĘ ALBRECHT *drwiąco*.
To rzecz u księżnej nierzadka, jak sądzę.

OJCIEC FURSEUSZ.

Komtur krzyżacki przywiózł te pieniądze,
Na które czekał wasz brat.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Są do wzięcia?
Więc wszystko dobrze.

OJCIEC FURSEUSZ.

No tak, ale księcia
Jak na przekorę znowu niema w domu.

XIAŻĘ ALBRECHT *nie przestając pracować*.
I nie wiadomo, gdzie jest?

OJCIEC FURSEUSZ.

Czyż to komu
Kiedy wiadomo? Przepadł bez pamięci.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Grabi tam kogo. To zagadka cała.

OJCIEC FURSEUSZ.

A tutaj Krzyżak bez jego pieczęci
Nie chce wypłacić. Xiężna obiecała,
Że wy, mój książe, podpiszecie kwity.

XIĄŻE ALBRECHT *podnosi głowę.*

Ja? Ani myślę. Czy ja w ciemię bity,
 Abym miał ręczyć za braterskie długi?
 Niech sobie Krzyżak wraca po raz drugi.
 Zresztą się nie troszcz. Jest w pieniądzach dziwny
 Czar. Niech Leopold poczuje tu grzywny,
 A wnet się zjawi.

Bierze się znów do roboty.

Wróćmy do hebelka,
 Najlepsze drewno ; cierpliwość w niem wielka.

OJCIEC FURSEUSZ *do Jadwigi.*

Cóż, są paciorki, te z Rzymu perłowe?

JADWIGA.

dobywa z fartuszka różaniec.

Są. Już dzisiaj zmówiłam połowę.

*Od zamku nadchodzą: Xiężna z Viscontich Wiryda, żonu Xięcia
 Leopolda i Komtur Winryk.*

*Wkoło nich biegną czterej niedorośli synowie Wirydy: Wilhelm,
 Fryderyk, Leopold i Ernest.*

Za nimi kilku Dworzan i Paziów.

*Oprócz Komtura ubranego po krzyżacku, wszyscy mężczyźni
 mają pstre, obciste ubiory, z rękawami zwistłymi prawie do ziemi
 i loki rurkowane, po pas długie.*

*Xiąże Albrecht przygląda się nadchodzącym i nagle wypuszcza
 z ręki hebel.*

XIĄŻE ALBRECHT.

Co ja spostrzegam? A jak mi Bóg miły,
 Wszak to jest Winryk? Witajże mój drogi!
 Jakież cię dobre losy sprowadziły?

KOMTUR WINRYK.

Wdzięczny za pamięć, — ściele się pod nogi
 Waszej xiążęcej mości.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Ach Wirydo,
To mój przyjaciel i towarzysz broni.
Dzielny towarzysz. Jak on robi dzidą!
A przytem zacny. Serce jak na dłoni,
Ale jedynie dla swoich. Obcemu
Dobrze dokuczy ręką i językiem.
Siadajże proszę. Siadajmy.

Xiąże Albrecht, xieżna Wiryka, komtur i kapelań siadają na ławeczkach brzozowych wkoło stołu.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Ach, czemu
To my nie w puszczy, pomiędzy tem dzikiem
Pogaństwem! Pyszne były te przygody,
Najlepsze lata mojego żywota.

KOMTUR WINRYK.

Prawda mój xiąże, bo tam wasza cnota
Rycerska w pełni zabłysła.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Człek młody
Znosił wesoło i głody i chłody.
Ach czy pamiętasz, jak to myśmy chórem
Nieraz po nocy, na mrozie śpiewali?

KOMTUR WINRYK.

Siarczyście.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Tobie, jak widzę, i dalej
Dobrze się wiodło? Zostałeś komturem,
z goryczą

Co mnie, to poszło nie po różach życie.

XIĘŻNA WIRYDA

przeruwając niecierpliwie.

Wy nam o chłodach i głodach mówicie,
A i tu głodno jak w puszczy Litwina.

XIĄŻĘ ALBRECHT.

Prawda. No dalej, pierników i wina!

do Xiężny Wirydy.

Lub nawet, wiesz co? każ dać marcepany.

CHŁOPCY *skacząc.*

Oh, marcepany.

XIĘŻNA WIRYDA

wstaje.

Fiu, fiu! To dopiero

Hojność.

Skinąwszy na dworzan, wydaje im rozkazy na boku. Xiąże Albrecht wstaje także i zbliża się do niej.

XIĄŻĘ ALBRECHT

jednemu z dworzan oddając klucz, mówi półgłosem:

Ten przynieś, co jest nadkrajany —
Całego nie bierz.

XIĘŻNA WIRYDA

półgłosem.

A nie bądź-że sknerą,
Zakuty Niemcze. Gość sobie pomyśli,
Że do jakiegoś przyjechał biedactwa.

XIĄŻĘ ALBRECHT.

Oszczędność, xiężno, jest matką bogactwa,
Bez niej do długów i mybyśmy przyszli.

XIĘŻNA WIRYDA.

Kiedy u mego ojca Barnabasza
Jest uczta, każdy, ile chce, to zgarnia.

XIAŻĘ ALBRECHT.

To też i prędko zje się uczta wasza,
A tutaj moja Habsburska spiżarnia
Z latkami sobie pod kluczem urośnie.

*Xiężna Wiryda, ruszywszy ramionami, wraca do stołu, Xiążę
Albrecht powoli także wraca i siada.*

XIAŻĘ ALBRECHT.

Więc tak, mój dobry, zacny przyjacielu
Jak ci mówiłem : na świecie żałośnie.
Z tych naszych jak to pomarło już wielu!

KOMTUR WINRYK.

A czy też żyje ów mąż osobliwszy,
Co tyle krajów dalekich zwiedziwszy,
Przyjechał wkońcu pod waszym rozkazem
Aż do Malbarga?

XIAŻĘ ALBRECHT.

Kto?

KOMTUR WINRYK.

Ten, co był razem
I bohaterem i minnesingerem.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Suchenwirt?

KOMTUR WINRYK.

Właśnie.

XIAŻĘ ALBRECHT.

O! żyje w najlepsze,
Tu, w moim zamku. Weciąż pisze.

Do jednego z paziów.

Gomterze!

Pójdź-no do mistrza-lutnisty na wieżę,

Proś, niech raz przecie swój rygiel odeprze
I zejdzie do nas.

Paż odchodzi.

KOMTUR WINRYK

patrzac na przebiegającą Jadwigę.

Jak motylki ściga
Zgrabnie ta cudna panienka! Któż ona?

XIEŻNA WIRYDA.

To jest królewna węgierska, Jadwiga,
Z naszym najstarszym synem zaręczona;
Siedem lat mając wzięła pierwsze śluby.

KOMTUR WINRYK.

Anielskie dziecko.

XIEŻNA WIRYDA.

O tak. Słodziuteczka,
Choć bardzo żywa. Nieraz ją dla próby
Sfukam, to wszystko zniesie jak owieczka.
Dbam o ten związek. Dla naszego domu
Wiele on wróży korzyści i chluby,
To też Jadwigi nie oddam nikomu,
Od roku wzięłam ją na wychowanie,
I jak dla córki tysiąc starań lozę.
A nasz syn znowu chowa się na dworze
Króla Loisa. W tej mądrej zamianie,
Dzieci przywykną zwolna do zwyczajów
I do języka swoich obu krajów.

KOMTUR WINRYK.

Więc nie zobaczę tu waszego syna?

XIEŻNA WIRYDA.

Owszem, trafiacie na chwilę wybraną
Jakby umyślnie. Przyjechał dziś rano.

KOMTUR WINRYK.

A! to szczęśliwa dla wszystkich godzina.

XIĘŻNA WIRYDA.

Król nam go z Węgier niekiedy przysyła,
Aby rodzina się nim nacieszyła.

XIAŻĘ ALBRECHT.

I aby przyszłej przypomniał się żonie.

KOMTUR WINRYK *patrzac na chłopców.*
Któryż to z xiażąt?

XIAŻĘ ALBRECHT.

Ten, co mdlejące
Oczka. O!... właśnie na piasku coś kreśli.

XIĘŻNA WIRYDA.

Chodź tu, Wilhelmie!

*Komtur Winryk wstaje i głęboko się kłania. Wilhelm odpowiada
lekkiem skinieniem głowy.*

KOMTUR WINRYK.

Urocze pacholę!
Ile spokoju na tem jasnem czole.

XIĘŻNA WIRYDA.

Może aż nadto... Kto się tu domysli,
Że krew italska w jego żyłach płynie?
Młodzi nie tacy. Chodź no tu Erneście.

Gładząc włosy Ernesta, który przybiegl.
O, to mi chłopiec! W tej cudnej dziecinie
Istny Mars kipi.

KOMTUR WINRYK.

Kiedys on zasłynie
Na rozkosz matki w rycerskim wawrzynie.
Wskazując na Wilhelma.
Ten będzie za to brał serca niewieście.

XIAŻĘ ALBRECHT.

A z sercem trony. To grunt.

*Z wieży zamkowej wychodzi minnesinger Suchenwirt, w długiej
ciemno-różowej delii, przepasanej czarną wstęgą, u której wiszą
przybory pisarskie.*

MINNESINGER SUCHEWIRT.

Co ja słyszę?

Winryk!

Nadbiega i ściska się z Winrykiem.

Nie dziwno, że się znachodzimy.

Dwaj przyjaciele są jako dwa rymy,

Zawsze się znajdują.

XIAŻĘ ALBRECHT.

O! Ja się nie piszę

Na to. Wszak my tu aż trzech towarzysze

Z litewskiej wojny.

MINNESINGER SUCHEWIRT.

Nie na tem nie straci

Zgoda. Trzy rymy, to jeszcze bogaciej.

*Pacholki przynoszą wino w złocistych dzbankach, srebrne
kubki i tace ze słodkimi przekąskami.*

XIĘŻNA WIRYDA.

Siadajcież znowu.

Do komtura Winryka.

Gościu do kielicha!

KOMTUR WINRYK.

Jeżeli wolno, prosiłbym o piwko . . .

To stosowniejsze dla biednego mnicha.

OJCIEC FURSEUSZ.

I ja głosuję za piwną polewką.

XIEŻNA WIRYDA.

O! jeśli chcecie umartwiać się oba,
To właśnie pijcie niemieckie kwasidło.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Tej pani u nas nic się nie podoba,
Lecz nam, co nasze, jeszcze nie obrzydło,
Pij to, Winryku, jako Niemiec prawy.
A z łatwowiernych nie drwij sobie dalej:
Daj Boże w raju tak rozkosznej strawy,
Jak u nas. Gdyście na Żmudzkiej granicy,
Stół honorowy dla nas zastawiali
Człek się mógł cały utopić w małmazyi.

KOMTUR WINRYK.

To dla was, gości. Lecz my, zakonnicy . . .

OJCIEC FURSEUSZ.

Nie gadaj, bratku. Tam podobno w Azyi
Toście pościli. Lecz dziś, Zakon drzemie,
Drzemie i tyje. Mówią o tem w Rzymie.

Wszyscy się śmieją.

XIAŻĘ ALBRECHT *do Xieżnej Wirydy.*
Dajże i dzieciom.

Xieżna Wiryda ularuje kawałki marcypanu.

ERNEST *skacząc.*

O! to się uraczę.

JADWIGA

odbierając swój kawałek.

Mamo, największy dla Wilhelma.

XIEŻNA WIRYDA.

Czemu?

JADWIGA.

Bo on najstarszy.

XIĘŻNA WIRYDA.

Nie. Dam najmłodszemu.
On najgłodniejszy, bo najwięcej skacze.
Na, — macie wszyscy po dobrym kawale.

WILHELM.

Dziękuję matce, jam niegłodny wcale
odchodzi na bok.

XIĘŻNA WIRYDA.

Co to za jakieś dasy Loisowe?
Oj, niech kto dzieci do obcych wysyła,
Już ich nie pozna.

JADWIGA

na stronie do Wilhelma rozłamując swój kawalek.

Ja ci dam połowę.

WILHELM.

Od ciebie przyjmę, boś ty mnie broniła.

KOMTUR WINRYK.

Paradne winko! No cóż, mój poeto,
Zawsze dwoista zdobywa się sława,
Mieczem i lutnią?

MINNESINGER SUCHENWIRT.

Ehe. To już nie to,
Co dawniej. Miecz mój zardzewiał na ścianie.

XIĄŻĘ ALBRECHT.

Ale piosenki sypie jak z rękawa.

OJCIEC FURSEUSZ *podnosząc rękaw Suchenwirta.*

A rękaw duży.

KOMTUR WINRYK.

Cobym ja dał za to,
Aby raz jeszcze słyszeć to śpiewanie,
A w niem odnaleźć młodzieńcze me lato!

XIAŻĘ ALBRECHT.

Mistrzu! Dla gościa takiego nie szkoda
Nucić i wszystkich nas ucieszyć.

MINNESINGER SUCHENWIRT.

Zgoda.

DZIECI

skacząc.

Będzie piosenka.

MINNESINGER SUCHENWIRT.

Zaśpiewam, lecz którą?

WILHELM

się zbliża.

Ach, najpiękniejsza ta, gdzie to pod górą
Rzuca się woda okropnie wezbrana.
Graf na Habsburgu spotyka plebana,
Co z Przenajświętszym Sakramentem czeka
Szedł do chorego, a tu w poprzek rzeka.
Więc graf na swego konia go zaprasza,
Boga przewozi przez wodę wzburzoną:
I stąd się wzięła cała wielkość nasza,
Bo też go za to cesarzem zrobiono.

ERNEST.

E! Ja tej nie chcę. To piosenka xięża.
Zaśpiewaj lepiej Litewskie wesele,
Tam jest o dzieciach, tam się biją wiele.

MINNESINGER SUCHENWIRT.

Ciebie posłucham, bo mówisz junacko.
Tak, na uczczenie krzyżackiego męża
Najlepiej śpiewać wyprawę krzyżacką.

KOMTUR WINRYK.

A którą?

MINNESINGER SUCHENWIRT.

Naszą. Czyż nie pamiętacie,
Jakie to w lasach spotkaliśmy gody.

XIAŻĘ ALBRECHT

do księżnej Wirydy.

Tak, to jest piosenka z prawdziwej przygody,
Co zaszła w naszej litewskiej krucyacie.

MINNESINGER SUCHENWIRT

do jednego z paziów.

Pójdź, Edelbercie, przynieś sobie lutnię,
Będziem śpiewali, ty słodko, ja smutnie

*Paż bierze leżącą na jednej z ławek lutnię, staje przy minnesingerze
i cicho przygrywa.*

MINNESINGER

wstaje i śpiewa.

Śmiej się, paziu złotowłosa,
Ale twarde struny weź,
Bo śpiewamy na dwa głosy,
Wesele i rzeź.

PAŻ

śpiewa.

Puszcza zdrađną ciszą mami —
Jakby w morzu tam spokojnie ;
Siedzi wioska za puszczami,
Nie wie nic o wojnie.

MINNESINGER.

Wstań rycerzu pasowany,
Złotą trąbą wszystkich zbudź.
Pojedziemy na pogany —
Na Litwę i Żmudź.

Wdziewaj pancerz z karaceny,
 Kratkę od przyłbicy zniż.
 Niech północne Saraceny
 Znając, co to krzyż!

PAŹ.

Spowinięte płachtą białą,
 Gdzie te družki niosą ziele?
 Co to w puszczy zaśpiewało?

Litewskie wesele

Jak sen płynie to wesele
 W pośród leśnych, długich cieni,
 Par sześćdziesiąt, a na czele

Nowo-zaślubieni

Ach, kochanek to z kochanką
 Jakby leń z niezapominką.

MINNESINGER

ponuro.

Tak, lecz poganin z poganką
 To Litwin z Litwinką.

PAŹ.

Już wrócili od guślarzy,
 Zakopana wśród wadołów,
 Cicha wioska znagła gwarzy,
 Zasiada do stołów,

Oj, najedzą-ż się do woli —
 Zbytek! Istna Babilona!
 Czarne mleko, ser bawoli

I rzepa pieczona.

Śmiech między słuchaczami.

MINNESINGER.

Dla nich, ba! i to za wiele.
 Już za długi mieli wczas,
 Trzeba przerwać to wesele.
 Bracia, dalej w las!

Lecz którądy? Przez te bory,
 Tam przeleci chyba ptak.
 W górę dłonie i topory!
 Wyrąbiemy szlak.

PAŻ.

Co tak w borze dziwnie klaszcze,
 Szepcze jakby na cmentarzu?
 Błysło . . . Jada białe płaszcze!
 Ratuń nas, guślarzu!

MINNESINGER.

Nie pomogą czary piekła;
 Guślarz pierwszy głowę dał.
 Stał krzyżacka w lot wysiekła
 Stos pogańskich ciał.
 Ziemia czarna od posoki.
 Sześćdziesiąty pada trup.
 Matki z dziećmi bierzmy w troki
 Dobry dzisiaj łup.
 Z całej wioski kupka zgłiszczy,
 Otóż teraz macie Znicz!
 Po co ta dzieciarnia piszczy?
 Daj mi na nią bicz.
 Co ją spędzę, to mi zmyka;
 Ani zliczyć, ile głów.
 Hej! Do żerdzi brać je w łyka,
 Jakby sforę psów.

*Słuchacze śmieją się i klaszczą w ręce. Jadwiga z przestraczem przy-
 tula się do Wilhelma.*

JADWIGA.

Ach! Jakże tam jest okropnie,
 Kiedy on z tą żerdzią leci . . .

WILHELM.

Ależ bać się nieroztropnie,
 Wszak my nie litewskie dzieci.

PAŻ

dalej śpiewa.

Czego płaczesz panno młoda?

Że spłonęły twoje ściany?

Że Litwina twego szkoda?

Leży zarąbany!

Niewolnico! Płacz nad sobą.

Znałem ja niewolnic wiele...

PAŻ i MINNESINGER

razem.

Tak skończyło się żałoba,

Litewskie wesele.

Ogólny okłask. Komtur Winryk rzuca się Minnesingerowi na szyję.

KOMTUR WINRYK.

Niechże uściskam cię, Minnesingerze.

Pyszna pieśń!

XIAŻĘ ALBRECHT.

Pyszna, Aż ochota bierze,

Znowu się puścić na żywot wojaczy.

Jakie to szczęście, że wy te włochate

Litwiny macie przy sobie, — inaczej

Czlekby już nie miał gdzie iść na krucyatę.

OJCIEC FURSEUSZ.

A Ziemia Święta? A murzyńskie kraje?

Czy to za mało?

XIAŻĘ ALBRECHT.

E! to za daleko.

Rycerstwo coraz leniwsze się staje.

Szukaj tam pogan za dziesiątą rzeką,

Lub i za morzem! Do Malborga blisko.

Ujrzysz, jak bajce przecudne zamczyisko;

Sale na słupach, wysłane szkarłatem,

Gdzie cię ugoszczą i smaczno i miękko,

A z nich do Litwy tylko sięgnąć ręką.
 Że jako żywo widziałeś pogany,
 Potem się możesz pochwalić przed światem,
 I na ich ziemi byłeś pasowany.

OJCIEC FURSEUSZ.

Daj, Boże, przecież koniec tej krucyacze!

Zwraca się do komtura Winryka.

Już to Litwini, — jeśli wieść nie myli, —
 Nieraz podobno o chrzest was prosili,
 A ludzie mówią . . . — ja temu nie wierzę, —
 Lecz ludzie mówią . . . że wy przeszkadzacie.

KOMTUR WINRYK.

nagle się zapalając.

Fałsz! Niby proszą, ale to nie szczerze.

XIAŻĘ ALBRECHT.

Kto tutaj biegnie?

Od zamku nadbiega Dworzanin.

DWORZANIN.

Z Wiednia przybył goniec
 Xiażę Leopold powrócił z wyprawy.
 Dziś jeszcze, wieczór tu będzie.

XIEŻNA WIRYDA.

Nakoniec!

XIAŻĘ ALBRECHT

półgłosem.

Ach, to i koniec już naszej zabawy.

Do Winryka.

Mój gościu, wstańmy. Nim słońce zagaśnie,
 Chciałbym ci jeszcze pokazać dokładnie
 Mój zamek, moje ogrody i stawy.
 Cacka, któremi xiażę jednej wioski,
 Wydziedziczony, omyla swe troski.

KOMTUR WINRYK.

Najchętniej. Bardzo jestem ich ciekawy.

Xiążę Albrecht odchodzi z Winrykiem i Suchenwirtem. — Xieżna z Ojcem Furseuszem. Trzej młodzi xiążątka biegną za niemi. —

Paziowie i dworzanie odchodzą.

Na scenie zostaje tylko Wilhelm i Jadwiga.

WILHELM.

Ach, przecie poszli z tą nudną rozmową.

Teraz się bawmy.

JADWIGA.

A w co? Mam sposoby;

Aby motyla złapać, tak — nad głową.

WILHELM.

Bawmy się lepiej w dorosłe osoby.

Ja będę królem, ty będziesz królową.

Patrz, ta ławeczka to nasze dwa trony.

Siadają uroczyście.

No, jest król Wilhelm obok swojej żony.

Szkoda, że twoja sukienka niebieska,

Bo tyś powinna przecie być w purpurze.

Wiesz co? Rozsypię na ciebie te róże.

Zrywa z krzaka róże i listkami ich obsypuje Jadwigę.

A teraz pójde po twojego pieska,

Niech on nam służy.

JADWIGA.

Po co? Mamy blisko

Drzewiny, trawy, to nasi poddani.

O patrz, jak z wiatrem kłaniają się nisko.

WILHELM.

A ba! Nie wszyscy, — są i zbuntowani.

Widzisz ten badył, jak stoi bez ruchu?

Gdybym miał berło, dałbym ja mu ducha.

JADWIGA.

Ułam gałązkę — a berło gotowe.

WILHELM.

Prawda, Jadziuniu. Ty masz mądrą głowę.

Ulamuje sobie gałązkę, uderza nią badyl, potem siada wspaniale.

Jest płaszcz, jest berło. Koron tylko niema.

JADWIGA.

Cóż łatwiejszego? Z kwiatków je uplotę.

WILHELM.

A, to wybornie! Weź te żółte, złote,

I z nich zrób dla mnie wysokie djadema,

Nasamprzód ubierz tę czerwoną różę,

A do kolutka niechaj sterczą pączki,

Jak na prawdziwych koronach.

Mówiąc wstaje, zrywa różne kwiaty i podaje kolejno Jadwidze, która zaczyna pleść wianeczek. Wilhelm jej się przygląda.

WILHELM.

Ty dużo

Przez rok urosłaś. I większe masz rączki.

A cóż pierścioneek nie ciasny?

JADWIGA.

Okropnie.

Pokazuje paluszek.

Patrz, kto go ściągnie, no — ten sztuki dopnie.

WILHELM.

To dobrze. Nigdy nie zdejmuj pierścionka.

Tak winna robić każda wierna żonka,

Która chce służyć małżonkowi skromnie.

Milczenie.

Powiedz mi, czy ty myślisz czasem o mnie?

JADWIGA.

Tak, ile razy modłę się za ciebie.

WILHELM.

O! to za rzadko.

JADWIGA.

To nie rzadko wcale.

Ja myślę prawie cały dzień o niebie,
Jak to tam będzie ślicznie i wspaniale,
Tylko się martwię

WILHELM.

Czem?

JADWIGA.

Ach! mam żal...

WILHELM.

Jaki?

JADWIGA.

Że tyle pogan jest jeszcze na świecie.

Wybucha płaczem.

Oni do nieba nie pójda biedaki.

WILHELM.

Eh! nie psuj oczu dla tych łotrów. Przecie
Krzyżacy ciągle niosą im krzyż Pański,
Czemuż uparcie w ciemnocie pogańskiej.
Jak ja dorosnę, to twoją modlitwę
Wysłucham. Zrobię wyprawę na Litwę
Tam wszystkich pogan precz zapędzę w rzekę
I ochrzczę, — albo jak nie, to wysiekę.

JADWIGA *podnosi na niego oczy.*

Poproś ich ładnie, namów na spokojny
Chrzest.

WILHELM.

A i owszem, ja nie lubię wojny.

Milczenie. Jadwiga dobiera kwiatki.

(Dok. nast).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Wacław Michał Zaleski przez *K. Ostaszewskiego-Barańskiego*. Zarys biograficzny. Słowo wstępne napisał A. Krechowiecki, Lwów, 1912. Str. XVI+387. Nakład drukarni M. Schmitta i Sp.

Pisma przeróżnych odcieni łączą się w zgodnym głosie pochwał dla Sz. Autora książki o Zaleskim. Treść tego dzieła wymagała wytrawnego pióra, aby przedstawić się z całą grą barwnych szczegółów i przykuć uwagę czytelnika do pracy duchowej, przez którą wyrobił się taki mąż, jak Zaleski. Ta ośnowa myśli znalazła właśnie u Sz. Autora pióro niezwykle, ledwo nie pędzel, z pod którego wytworzył się obraz równie żywy jak ciekawy i pełen nauk doniosłych. Wystarczy tu rzutem oka objąć przebieg pracy wewnętrznej, przez którą Zaleski stanął wśród najzasłużeńszych wobec narodu: czytelnik dostrzeże, jaką dla siebie ucztę duchową znajdzie, kiedy w samym dziele omawianem rozpatrzy dokładnie szczegóły tknięte tu tylko dla wskazania myśli przewodniej dzieła.

Wacław Zaleski przełamał się pracą ducha przez stosunki najmniej pomyślne¹. Dzieckiem jeszcze stracił matkę a wnet i cały polski wpływ domu rodzinnego, odwieziony do Lwowa na naukę w szkole państwowej. Był to warsztat niemieczyny, wbijanej przez kary i utrzymywanej ohydnie przez wzajemne donosicielstwo. Wychowanie takiej uczelni nabywał bardzo mało pojęć o P. Bogu, o cnocie, o obowiązku wobec społeczeństwa; nie umiał pisać po polsku, a nawet niemieckim językiem piśmiennym nie władał: za to nabywał

¹ O. c. str. 4.

wprawy w niemczyźnie potocznej i znakomicie wyrabiał pamięć ze szkodą innych władz umysłowych. Ze szkół początkowych Wacław w r. 1813 przeszedł do średnich, gdzie również nie znalazł pomocy do rozwoju umysłowego ani pod względem wychowawczym ani nawet państwowym. Wykładowy język obcy oraz rzemieślnicza ciasnota głów nauczycielskich nie przynosiły pożytku w rozwoju poglądów naukowych, o narodowej samowiedzy pojęcia nie dawały, a nadomiar przynosiły plon, jakiego żaden wychowawca nie pragnie. Młodzież przeładowana nauką, pamięciową, schła bez pokarmu dla ducha; niechętna cudzoziemcom, najczęściej dobieranym do grona nauczycielskiego, ledwo z musu przyswajała sobie wiedzę, przydatną przyszłym służbistom rządowym, albo szumiała, nie powściągana w krewkich popędach żadną pobudką wznioślejszą. Pozostały nam aż nadto wymowne o tem przykłady w niejednem piśmie świadków naocznych, jak Prek, Powidaj i wielu innych.

Takiem powietrzem oddychał od młodych lat Zaleski, ale już wtedy zaczął się opierać zaraźliwemu wpływowi: przynajmniej co dotyczy obyczajów, bez skazy się zachował dzięki częstym listom ojca, pełnym zdrowych rad i rozumnych wskazówek: wyznał sam w pamiętnikach, że z początku ślepo szedł drogą ojcowskich przestróg, później sam o ich prawdziwej cenie się przekonał i z przekonania został uczciwym człowiekiem.¹ A stracił tę podporę duchową w ojcu, nim jeszcze skończył gimnazjum. W najcięższych przytem znalazł się stosunkach, bo już bez wszelkiej od kogobądź pomocy musiał o zapracowanym chlebie utrzymywać się aż do końca nauk na wydziale prawniczym w r. 1825.² Od ich początku zdawał znakomicie egzamina wszystkie aż do ostatniego, nie tylko dzięki umysłowi rozwiniętemu nad wiek, ale i woli niezłomnej w pracach najcięższych. Niespożyty zapął do pracy i sumienie nadzwyczaj czułe na obowiązek: oto dwa piętna duszy, niczem niezatarte przez cały żywot Wacława.

Ale pracownik ten niestrudzony, równocześnie różnił się o całe niebo od przeciętnych molów książkowych, czy wołów roboczych:³ udzielał się towarzystwu, należał do każdej zabawy, tańczył zapamiętane, i... poza godzinami żelaznej pracy, poza wieczorami, ochoczo spędzonymi w zapusty, znajdował czas jeszcze na rozrywkę najmielszą: pisał wiersze i pamiętniki.

¹ O. c. str. 5.

² O. c. str. 6.

³ O. c. str. 278.

Czas,¹ w którym Zaleski zdobywał miejsce poczesne wśród pisarzy polskich, — to okres największego zastoju ducha w Małopolsce. Więcej niż przez pół wieku od zaboru nie widzimy tu ruchu umysłowego ani nadziei świtu piśmiennictwa. W dobie zastoju, wśród powszechnego zalewu obczyzny, przez długie lata teatr polski był jedynym przytułkiem języka i myśli narodowej, jedynym, acz słabutkiem tęt-
nem, które świadczyło o niedogasłej iskrze żywota. Kamiński przekładał dramaty Schillera i w swoje ślady pociągnął młodzież na wszech-
nicy: powiał duch poetycki, objawiający się zapalem do przekładów Goethego, Byrona, Shakespeara, aż wreszcie do Lwowa doszły utwory Mickiewicza.² Zaczęły powstawać kółka literackie, zajęte głównie poezją z hasłem jej unarodowienia, skąpania w zdroju słowiańskim. Wyznawcy tego hasła usiłują przeszczepić piśmiennictwo na konary swojskie, nadać mu barwę własną, ożywić sokiem rodzinnym i ojczystym owiać je duchem. Nie szukają już wzorów w samej obczyźnie, ale oglądają się na pieśni ludu, na jego tło pojęć i poglądy, podawane z wieku na wiek. Za tymi prądami myśli żwawo spieszył Zaleski i w każdym kolejno brał udział. Najcenniejszą jego pracą był zbiór pieśni ludowych, ale pierwocinę jego literacką stanowi dziennik³ pierwotnie pisany po niemiecku. Dopiero po paru latach Zaleski odnajduje w sobie Polaka: i to tylko na razie „wyrozumowanego“. W r. 1820 odpoczywa po egzaminach u stryja w Królestwie i tam już przekonywa się, że się czuje szczerze Polakiem: więc zaczyna pisać dziennik w języku ojczystym i spostrzega, że zarazem co do treści zapisuje uwagi już głębsze.

Z owego czasu ocalała przed ogniem część lirycznych utworów,⁴ która wymownie piętnuje duszę po męsku marzycielską, pochopną do pracy twórczej, a przytem rozważną oraz świadomą zamiarów i dróg. Wiersze te, nawet gorąco patryotyczne, wypowiadają nieraz smutnie skargę same na siebie, iż płyną z pod pióra niedość wprawnego w ojczystym języku; dziwnie szczerzy ten samosąd przeszkodził Zaleskiemu drukować wiele wierszy, któreby się pewnie podobały, kiedy nawet mniej udatne innym pisarzom przysparzały wawrzynów. Nie poprzestał młody wierszopis na odach i balladach: kilka razy doświadcza sił w dramacie, nieraz kilkuaktowym.

Na szerszą widownię występuje jako recenzent teatralny, —

¹ O. c. str. 271—273.

² O. c. str. 275—276.

³ O. c. str. 281—282.

⁴ O. c. str. 283.

pierwszy, który długim ciągiem prac urobił pojęcie, jak wygląda umiejętna uprawa pola sztuki.¹ Następnie ogłaszał rozprawy o literaturach obcych, zachodnich i słowiańskich, zwłaszcza czeskich.² Tak zdobywał sobie poczesne miejsce w dziejach piśmiennictwa polskiego, a nie krępował się obawą, że wawrzyny literackie mogą ściągnąć na niego niełaskę zwierzchników.³ Rząd rakuski gniewnem okiem wtedy spoglądał na urzędnika, który zamiast szukać rozrywki w niemieckiem kasynie, polskimi wierszami głowę sobie rozmarzał; a Zaleski po ukończonych naukach wszedł w służbę rządową.

Znajomi jego i przyjaciele radzili mu, żeby po świetnie ukończonych prawach ohrął zawód sadowniczy. Zaleski zastanawiał się długo nad wyborem stanowiska, — w końcu oświadczył, że wstępuje do służby rządowej, bo jakżeby w danym razie Małopolska mogła korzystać z praw do samorządu, gdyby nie wyrobiła zawczasu zawodowych urzędników?

Z tą myślą o dodatnim wpływie na społeczeństwo objął wykłady matematyki na wszechnicy: wyzyskał nawet tak suchy przedmiot, aby zbliżyć się do młodzieży i tak ją podbić, że dowodnie widział ją z duszy i serca do siebie przywiązaną. Więc po wykładach słuchacze nie opuszczali młodego profesora, ale rozprawiali z nim już nie o różniczkach i całkach, tylko o wierszach

Wkrótce przed listopadowem powstaniem Zaleski powołany do namiestnictwa doznawał szczególnych łask ze strony ks. Lobkowicza, który zaufał mu zupełnie. Wybuch powstania przymnożył obaw rządowi lwowskiemu a roboty jego urzędnikom, zmuszonym śledzić stan umysłów w kraju. Zaleski znalazł się na drodze równie zawrotnej jak przykrej; zarówno przysiedze urzędniczej jak sumieniu narodowemu wiernym być chciał bez namysłu i . . . oględny na każdym kroku, przebył najniebezpieczniejsze miesiące bez cienia zarzutu. Ale nie koniec na tem. Nieszczęśliwy wynik wypadków w Królestwie odbił się na stosunku rządu rakuskiego do Małopolski. Zaleski z pod władzy Lobkowicza dostaje się pod Kriega, którego rękę ciężko czuli Polacy; ale już wyrobił sobie przez sumienną służbę takie u rządu stanowisko, że choć pod nowym zwierzchnikiem musiał przetrwać jedną i drugą chwilę, w której ustąpić już myślał⁴, to przecie poświęcił osobiste go rycze dla myśli wznioślejszej. Więc pod nowym zwierzchnikiem

¹ O. c. str. 311.

² O. c. str. 329.

³ O. c. str. 10.

⁴ O. c. str. 19—20.

umie tak służyć krajowi, że posuwa się na szczyble urzędów coraz wyższych: przy tem wywiązuje się ze spraw coraz donioślejszych dla rodaków, ale dla niego coraz mniej bezpiecznych.¹ W sierpniu 1834-go otrzymał policyjne zapiski, wedle których miał zdać sprawę z pobytu królewiaaków, zbiegłych po upadku powstania do Galicji. Wobec tego doniósł swoim władzom, że zachorował poważnie.

Od tej chwili nie znajdujemy już śladu rozkazów równie wstrętnych dla Polaka: widocznie władze zaczęły się liczyć z wnętrzem duszy urzędnika, nieprześcignionego jako wzór służby państwowej, ale wiernego narodowym zasadom. Inne jednak sprawy spadały na niego ciężką nawałą. Była to dla rządu rakuskiego doba najżywszych obaw przed rozruchami. Najdrobniejszy wypadek znajdował donosiciela do Wiednia, a Wiedeń nakazywał ściśle śledztwo i żądał o nim szczegółów drobiazgowych. Być może, że i mniej bystre umysły wyznajdowały wprost figle, aby śmiać się z popłochu lwowskich władz, kiedy te, jakby na wojnę z ościennem mocarstwem, zbroiły całe wojsko i odbywały walne narady, zaledwie doszło do ich wiedzy, że gdzieś pod miastem dał się słyszeć wystrzał, wymierzony w kapelusz oficera, albo że znalazła się bezimienna zapowiedź zbrojnego napadu na prochownię. Ale sprawcy tych figli po krótkim śmiechu widywali następstwa nieznośne dla miasta, — obostrzony nadzór policyi oraz nagonki i śledztwa. Rządowi wiedeńskiemu, który kipiał na domniemane spiski, trzeba było po mistrzowsku zdawać sprawę z właściwego drobiazgu, aby zapewnić przełękłych, że władze lwowskie czujnie zapobiegają wszelkiemu niebezpieczeństwu.² Znowu ta praca sprawozdawcza spadała na Zaleskiego. Ale jedną z największych wtedy zasług był tak zwany referat amnestyjny.

W pierwszej połowie roku 1833 cesarz Franciszek, niepewny swego zdrowia, postanowił na wypadek śmierci zapewnić synowi opiekę cara Mikołaja; zjechał się więc z nim w Muenchengraetz, gdzie go tak wzruszył, że car kląkł i z wyciągniętą ręką jak do przysięgi obiecał domowi rakuskiemu pomoc w każdej potrzebie. Zadzierżgnięty tak węzeł przyjaźni z Petersburgiem na długie lata naprężył stosunek między Wiedniem a Polakami. Wróg ich zaciekle, radca Wittman, wyzyskiwał cienie pozorów, byle prześladować i więzić obywateli, nawet najniewinniejszych. Zapowiadała się olbrzymia rozprawa sądowa; pościg za rzekomymi powstańcami niepokoił miasta i wsie dniem i nocą;

¹ O. c. str. 27—32.

² O. c. str. 33—41.

rozmiary śledztwa przerażały; kraj się burzył coraz widoczniej. Minął rok, mijał drugi; sprawa ciągle „w toku“ groziła coraz donioślejszemi nieszczęściami. Tedy Krieg w r. 1835 wziął ze sobą Zaleskiego do Wiednia; tu po rozmowie z naczelnemi warstwami polecił mu zdać na piśmie sprawę samemu Władcy. Cesarz odpowiedział najpomyślniej na wnioski Zaleskiego, kazał je mieć sędziom na oku przy rozprawie, prowadzić śledztwo najspieszniej, a nawet zaraz wypuścić znaczną część uwięzionych. Wobec tej porażki zamiarów Wittmana przeżył Zaleski jeden z najpogodniejszych dni swoich.

Nie uniknął jednak sam niebezpiecznej przygody¹; dostał się na tajny spis ludzi podejrzanych. Sprawę wyjaśnia list Kriega, który prezydentowi policyi, Sedlnitzky'emu, donosi o dwu bardzo podejrzanych zapiskach, znalezionych przypadkiem, a które podawały nazwiska wielu wybitnych ludzi z uwagami o ich patryotycznym nastroju. Uwagi te określały jednych, że ten czuje jak dobry patryota, ów poprzez ruch bezwzględnie, inny godzien wiary itd. — drugie nazwiska dostawały dopisek przeciwny: głupi austryak, — panicz arystokrata, — wielki austryak, — obłudnie udawał patryotę, — albo podobne. Otóż znalazł się w dopisku także Wacław Zaleski, jako utajony patryota i pełen zasługi za skrytą pomoc, udzielaną młodzieży prześladowanej. Krieg jednak tak mocno ufał już Zaleskiemu, że sam do owego dopisku niebezpiecznego dodał uwagę, przez którą powstrzymał wszelkie nad Zaleskim śledztwa; dokonał tego cicho tak, że Zaleski podobno do śmierci o przygodzie nie wiedział.

Tak ceniony, choć młody jeszcze urzędnik, stanął w roku 1835 wśród tych, którym najwięcej rząd ufał i powierzał samodzielne stanowiska, właśnie zamianowawszy Zaleskiego naczelnikiem departamentu, do którego należały sprawy kupieckie i rolnicze. Ale prócz tego obowiązku spadał na Zaleskiego inne, dostateczne, aby obarczyć dwu ludzi. Do niego należało zdawać sprawę z wniosków wydziału wyznań i oświaty, z prac wydziału Stanów, z uchwał sejmowych; nadto miał uwiadamiać Kriega i arcyksięcia namiestnika o toku wypadków w kraju całym, w razie, gdyby ci dwaj naczelnicy rządu wyjeżdżali ze stolicy kraju czy to w sprawach urzędowych, czy dla odpoczynku nad Adryatykiem albo Dunajem; a wyjazdy takie zdarzały się często. Poza tym ogromem pracy Zaleski miał co chwila coś

¹ O. c. str. 43—46.

nowego, bo Krieg zastrzegł sobie, że go używać będzie zawsze do pracy ważniejszej.

Zaleski nie dał się złamać temu nawałowi obowiązków: przede wszystkim rozumiał, czem przysłużyć się może rodakom w departamencie kupiectwa i rolnictwa; zostawił w stosach pism sprawozdawczych dowód, ile pragnął zdziałać dla ziomków uciśnionych, zwłaszcza ciężarem podatków¹.

Jako badacz ścisły stosunków społecznych, sprawdzał stan ich okropny: rolnictwo stało na stopniu niskim; przemysł darmo szukał dla siebie dróg, kiedy żelazna ręka urzędu tłumila jego zarodki; kupiectwo ostatkami sił stawiało opór cudzoziemcom, bo i w tej dziedzinie rząd przedsiębiorczym Polakom utrudniał wolność ruchu tyśiącem przepisów i przeszkód². A tymczasem ucisk podatkowy rósł, kraj niszczał, póki nie znalazł obrońcy w Zaleskim. Jego rzeczowy opis stosunków poruszył wpływowe czynniki o tyle, że rząd odpisał część podatku gruntowego, równą podatkowi nadzwyczajnym, że ułatwił nadzór nad innymi podatkami i z wnioskami sejmu zaczął się liczyć. Ponadto trzeba było walczyć przeciw przeszkodom, które urzędy utrudniały rozwój bogactw krajowych. Zatem sprawa fliśactwa, chów bydła i jego wywóz, gospodarstwo rolne i jego nauka, uprawa tytoniu, ogrodnictwo i sadownictwo: słowem — cały zakres potrzeb kraju rolniczego znalazł w Zaleskim niepośledniego znawcę i gorliwego rzecznika, a sprawozdawcza jego praca dostarczy źródeł nieprzebranych dla dziejopisa. Prócz potrzeb natychmiastowych widział Zaleski dalekonośne braki w gospodarce krajowej i żądał środków zaradczych, mianowicie ochrony okolic nadrzecznych przed powodzią, koniecznej budowy dróg splawnych, zwłaszcza między Wisłą a Dniestrem, żelaznej kolei od Lwowa do Wiednia, porta pocztowego, przedewszystkiem naprawy stosunków w urzędach cłowych i straży skarbowej; do tej naprawy rzeczywiście przyczynił się skutecznie przez pomysły, z głębokim rzeczoznawstwem opracowane.

I rozwój krajowych uzdrowisk zalicza Zaleskiego do pierwszych siewców myśli doniosłej.³ Zaleski usilnie popierał lecznicę solankową w Wieliczce: o jej pomyslnych zawiązkach świadczy ówczesny dziennik, że n. p. w r. 1839 używało kąpeli w zakładzie osób 648, ledwo nie w połowie przybyłych z poza kordonu rakuskiego. W pobliżu ła-

¹ O. c. str. 52.

² O. c. str. 52—55.

³ O. c. str. 57—59.

zienek coraz więcej przybywało domów mieszkalnych, ulic brukowanych, wygod potrzebnych letnikom i chorym, aby przez przyjemny pobyt w krajowej lecznicy odwieść ich od wyjazdów w obczyznę.

Na innem znówu polu pracy narodowej Zaleski¹ pierwszy usuwa spiętrzone przeszkody, mianowicie w dziedzinie rozwoju przemysłu krajowego. Nie mogło za owych czasów powstać w Małopolsce czasopismo, choćby o wywarze piwa, jeżeli na jego czele miałby stać ktoś podejrzany o cień ducha polsko-powstańczego. A właśnie nietylko cień, ale najstraszliwszy zarzut padał na Kasperowskiego, który dośłużył się stopnia majora w wojsku kongresowem i uczestniczył w powstaniu, — następnie zarabiał na chleb jako oficjalista przy gorzelniach i browarach, a wyrobiony zawodoowo w tej gałęzi przemysłu, zamierzał o niem wydawać czasopismo. Oczywiście zamiar jego nie rokował żadnej nadziei wobec stanowiska rządu, który czuł się bezpieczny, kiedy w kraju pozwolił wydawać tylko swój dziennik: „Gazetę Lwowską“ z dodatkiem „Rozmaitości“, a poza tem tylko miesięcznik teologiczny i już więcej nie zgola. Zaleski umiał tak przedmiotowo uspokoić obawę władz przed Kasperowskim, że po raz pierwszy rząd przejrzał, jak pożytecznie dla rozwoju przemysłu może wychodzić czasopismo, choćby powstańca, a nie knuć tem samem spisków ani grozić przewrotem państwowym. Najwdzięczniejszą może zaskarbił sobie u rodaków pamięć Zaleski przez umiejętną obronę zakładu Ossolińskich. Dyrektor tego zakładu pozwolił w jego drukarni odbijać pisemka w duchu rewolucyjnym². Wiedeń zamierzał wyzyskać nierozważny postęp dyrektora, aby raz na zawsze zabezpieczyć się przed wpływem narodowego zakładu: zażądał od władz lwowskich wywodu prawnego, jakby można przez dodatek do aktu fundacyjnego uszczuplić prawa kuratora i zapewnić je państwu. Znowu Małopolska poczytała sobie za szczęście, że w rządzie ma Polaka tój powagi, jaką zdobył Zaleski. Wezwany, żeby wygotował ów wywód, przeniknął zamiary wiedeńskie, ale nie w ich myśl opracował odpowiedź, tylko im przeszkodził, bo uwydatnił prawniczo, co w akcie fundacyjnym przemawiało za samorządem i prawami Zakładu i z naciskiem podniósł, że zasady powyższe są nietykalne, gdyż je już cesarz potwierdził. Odpowiedź ta dokazała, że wiedeńska kancelarya ledwo na kilka lat zamknęła zakład pod pozorem, że szuka zaufanej osoby do zarządu. Przewlekać sprawy pod

¹ O. c. str. 60—62.

² O. c. str. 65—67.

tym pozorem nie można było bez końca: Zakład po paru latach na nowo otwarty, wrócił na drogę rozwoju.

Mniej już niebezpiecznem, a dla Zaleskiego najmilszem polem pracy były obowiązki obywatelskie, których podjął się w sprawie Towarzystwa Kredytowego; wywiązywał się z nich chlubnie jako członek Stanów w Królestwach Galicyi i Lodomeryi, później jako deputat do Wydziału Stanów.

Sprawa Towarzystwa kredytowego wlokła się, jak po grudzie, przez dziesiątki lat, nim ją na gładką drogę wprowadził Zaleski¹.

Jeszcze w r. 1822 Stany skreśliły w prośbie na Najwyższe Ręce oplakany obraz kraju i przedstawiły potrzebę zakładu kredytowego. Otrzymały odpowiedź w r. 1824, że Władca nie znajduje przeszkody, czemu Stany nie miałyby przed odnośnemi władzami przedłożyć wniosku o takim zakładzie, ale rząd okazał się nieprzychylnym i utrudniał sprawę: albo ją odwlekał, albo zastrzegał sobie w jej statucie przepisy i porządki, wymyślane bez końca. Dopiero Zaleski przedstawił całą rzecz w świetle, przy którym nie mogły się dłużej utrzymać wykręty przeciwników; i w r. 1839 wstąpił, jako członek najczynniejszy, do prowizorycznej komisji nadzorczej postanowionego już w zasadzie Stanowego Towarzystwa Kredytowego. Od tej pory sprawa rażnym krokiem ruszyła naprzód.

W ciągu tych lat Zaleski kupił majątek ziemski, a tem samem nabył prawa do jeszcze szerszego udziału w pracy obywatelskiej, wybrany członkiem Stanów a następnie deputatem Wydziału². Na tem stanowisku zostawił pamiętkę niezwykle ważną dla dziejów Małopolski: wspaniałą adres w imieniu przewodnich warstw społeczeństwa do Władcy; w tem piśmie uderza zwłaszcza poważna prośba o swobodny rozwój ojczystego języka.

Tak służył Zaleski ojczyźnie, wierny obowiązkowi dla państwa, aż r. 1845 naród zdumiony usłyszał, że ten jego zasłużony syn odjeżdża do Wiednia na stanowisko — jak dziś nazywamy, — ministra dla Galicyi.³ Widok rodaka wezwanego do udziału w rządzie, przedstawiał się w owe czasy jako wypadek ledwie zrozumiały, zwłaszcza, że Zaleski nie „czapką i papką“ zniewalał sobie przedstawicieli władzy, tylko sumienną pracą i duszą podniosłą.

We Wiedniu nie poprzestaje Zaleski na obowiązkach urzędowych, choć na nich trawi do dziewięciu godzin codziennie a nieraz i więcej;

¹ O. c. str. 72—77.

² O. c. str. 74—79.

³ O. c. str. 81—84.

jeszcze wynajduje czas i korzysta z nadarzonej chwili, aby sferom rządzącym otworzyć oczy na ciężki stan społeczeństwa w Galicyi. Na najwyższem miejscu staje śmieie ze szczerem słowem o sposobach, jakto podrzędni przedstawiciele władz często drażnią mieszkańców i znacznie przyczyniają się do stosunków napiętych, a w to zarzewie dmuchają wysłannicy związków przewrotowych, wywołując zapowiedzi ruchów zbrojnych: więc należałoby siły wojska wzmocnić, aby i zapaleńców opamiętać i rozważnych ubezpieczyć na stanowisku odpornem.

Przez kilka tygodni dopiero Zaleski we Wiedniu łamał przesady lecz nim zdążył rozszerzyć pogląd prawdziwy, już nadeciągnęły pierwsze gońce ze szczegółami o rzezi. Kanclerz Inzaghi użył przeważnych wpływów, aby zaraz wysłać Zaleskiego na widownię zbrodni z władzą pełnomocnego komisarza. Takie posłannictwo nie olśniło Zaleskiego, świadomego powiązanych z niem niebezpieczeństw: jako pełnomocnik władcy miał rozpatrywać dorobek pracy swoich do niedawna zwierzchników, — a na czele ich widział arcyksięcia — namiestnika, zazdrośnie czulego na swoją powagę. Rozumiał Zaleski, czem to grozi, jaką miał rządowi wyświadczyć usługę Polak, wysłany na sprawozdawcę z rzezi: swoim świadectwem miał to usprawiedliwić, czego usprawiedliwiać nie mógł w sumieniu, a nie chciał ze serca.¹

Ledwo wstąpił na ziemię ojczystą, już z Wadowic donosi Zaleski Wiedniowi, że w części powiatu przeciągają ogromne kupy rabusiów, palą i niszczą pod dowództwem urlopników. Gdzieindziej trwa spokój dzięki głównie listowi pasterskiemu biskupa Woytarowicza; ale i tu chłopci gniewnie powtarzają, że cesarz zniósł pańszczyznę i darował im pola dworskie, tylko urzędnicy nie wykonali rozkazu. W dalszym ciągu podróży Zaleski dodaje coraz wymowniejsze szczegóły do obrazu, który jasno dowodzi, że rabacya była dziełem rządu. A równocześnie do Wiednia idą rządowe opisy zasług ludu, który wierny cesarzowi, powstał przeciw buntowniczej szlachcie i połapanych przewódców rokoszu odstawia do urzędów, ale obchodzi się z jeńcami najbardziej po ludzku, chyba wyjątkowo którego uderzy, zniecierpliwiony ostatecznie zuchwalstwem wybryków.

Takie przeciwieństwa między świadectwem Zaleskiego a pismami władz skończyły się ich zwycięstwem. Zaleskiego odwołano; wrócił do Wiednia znękany, aż mu i żyć stało się męką...

¹ O. c. str. 92—95.

Ala jeszcze cięższą mękę przyjął na siebie mąż niezłomny: odważył się na wysiłek woli, jakby już żadnej tylko przepraw z wrogami narodu. Mianowany namiestnikiem, poszedł w drogę piętzącą się coraz wstrętniejszymi przeszkodami; wkrótce odwołany, stanął na rozkaz we Wiedniu, przeznaczony na stanowisko, na którym nie miał służyć Polsce... Pod wpływem zrodzonego stąd bólu padł śmiertelnie chory i w parę dni skonał.

Żywot takiego męża podnosi ducha, jakby bohaterski dramat o dniach chwały dziejowej narodu. Nie dziw, że czytelnicy tej książki zgodnymi głosami dziękują autorowi za pracę, w której widzą niepospolity czyn obywatelski.

Ks. Konstanty Czaykowski.

Konferencye pasyjne. *Ks. Jan Tarnkowski.* Brody, 1912. Str. 87, w 16-ce.

Zaczynam sprawozdanie od napisu, gdyż ten wydaje mi się w związku z całą treścią książeczki źle dobranym. W kategorii różnych utworów kaznodziejskich nazwa „konferencyi“, za przewodem głośnych mowców francuskich i włoskich, przypada tym, które mają za przedmiot zasadnicze prawdy religijne w kierunku przeważnie apologetycznym i uzasadniają je głównie przez racje rozumowe. Autor nie miał chyba tego celu przed sobą, wydając drukiem siedm nauk pasyjnych, gdyż na tle ważniejszych epizodów z męki Pańskiej osnuł cały szereg luźnych nauk praktycznych. Tak n. p. w I nauce w związku z pojmaniem Zbawiciela w ogroju prawi o modlitwie, o samotności, o strachu przed cierpieniem; w II nauce zdrada Judasza daje mu sposobność do wykazania mocy i miłości Bożej; w IV jest mowa o grzechach języka i o niechęci świata do Kościoła katol.; w V przedstawia ciężkość grzechu rozpusty i obowiązek kierowania się w życiu sprawiedliwością; w VI o stanowisku pogan (Szymon Cyrenejczyk) i niewiast wobec krzyża Chrystusowego; w VII o potrzebie cierpienia i rozlicznych przyczynach nienawiści do Chrystusa P. W żadnej tedy z tych nauk niema tematu jednolitego, wyłącznie a szczegółowo obranego i opracowanego tak, jak go wymaga konferencya, ale raczej są tu różnorodne, luźnie tylko i przygodnie obok siebie zestawione, w miarę tego, jak ich zdawały się dostarczać po kolei epizody męki Pańskiej. Wskutek tak epizodycznie poruszanych tematów żadnego z nich nie mógł autor rozwinąć gruntownie i wyczerpująco, wprost dla braku czasu do należytego rozwinięcia

kilku tematów w obrębie jednej nauki, załatwiać się z nimi musi po-bieżnie, powierzchownie, zaledwie „po łebkach“. Jedynie III nauka o ubóstwie Chrystusa P. mogłaby odpowiedzieć warunkom rzetelnej konferencyi, gdyby i do niej nie przyłączył był autor sporo mate-ryału (St. Zak.), który do tematu ściśle nie należy.

Z uznaniem dla autora można stwierdzić, że tematy stare, do przesyty znane i wielokrotnie już rozwinięte wszechstronnie, usiłował opracować samodzielnie a oryginalnie w tym zwłaszcza kierunku, że dał im nową szatę i uwzględnił w nich społeczne prądy, w życiu religijnem nurtujące, a przecie ze stanowiska duszpasterskiego — pochwytnie. Utwory te kaznodziejskie, oddane jako konferencye passyjne do druku, wskazują, że autor ma zamiłowanie w piśmiennej pracy kaznodziejskiej, że czyta wiele, a z wszystkiego, co czyta, zbiera pokłosie dla ambony. Stąd jednak zdarza się, że nie zawsze czyni wybór trafny, bo wierszykom i przysłowiom daje przewagę nawet nad cytatami biblijnymi, żeby już nie wspominać o patrystyce. Co więcej: cytatom z dzieł świeckich takie przypisuje przesadne znaczenie, że usiłuje je wpieść w kontekst nawet bez względu, czy one się tam właśnie nadają, czy są potrzebne i pożyteczne. Obszerne odczytanie autora widoczne jest także w stylu, który sobie z utworów Młodej Polski (zwłaszcza powieściowych) żywcem przyswoił, a teraz wprowadza w swych elaboratach na mównicę Pańską. Ma to być styl niby lakoniczny, lapidarny, zamknięty w zdaniach krótkich, nie-kiedy jednym wyrazem zastąpionych, częściej wyrażony w oder-wanych od ciągłego związku aforyzmach, dobry może w utworach poetyckich i beletrystycznych, ale mniej podatny do kazań (por. str. 11, 24—36, 41, 43, 55, 59, 67, 72, 76—78, 81, 86, 87). Wątpię nawet można, czy takie zdania lub zwroty ucinkowe, jakby rąbane, a luźnie obok siebie stojące, dadzą się łatwo zachować w pamięci. W każdym razie styl taki jest chyba zbyt oryginalnym i moder-nistycznym w zakresie utworów kaznodziejskich, wymagających ciągłości akcji, związku ścisłego w opowiadaniu, nauczaniu, a nawet w obudzaniu uczuć. Pomijając już pytania lakoniczne na wzór „Więc co?“ (11), trudno chyba zadowolić się odpowiedziami i objaśnieniami w tym guście: „A tak (10), Otóż to (11, 18), No — nie (14), Ale (15) w znaczeniu „bynajmniej“, Tak (24, 26), A jednak (27), A znów (28), Tych (32), Więc co to dużo mówić? (18)“ itp. To wszystko chyba zbyt lakoniczne.

Czy również na karb oryginalności policzyć wypadnie wyrazy

i zwroty trywialne i gminne, rażące niechybnie na ambonie, jak n. p. „Wisieluch (11), wyleźli na górę (12), grzechy jakby wylażyły na niego (7), sadowiły się (na Chrystusie 7), Piłat połapał się (38), Barabasza nalał dosyć za skórę żydom gorącego sadła (szyk! 45), jego wola kiwa się (53), zawody ich gryzą (29), użerania (38), bezbóg (zam. ateusz — bezbożnik 10), nitki się zlatują (13), gryzą się na kupie (40), złapać Jezusa (10), bij — zabij (29—77), żydzi jeszcze na krzyżu (sic!) docinali Chrystusowi (73) itd. W liczbie porównań czy podobieństw użytych przez autora, czyta się, że „Jego (Chrystusa) Matka jak owa łania, której tygrys żywcem wypruwa wnętrzności“ (7), indziej nazywa ją autor „Niobą chrześcijańską“ (62); „Siepaczy w tej chwili, żeby piorun raził“ (12) to brzmi jak złorzeczenie, a zapewne miało być porównaniem: „jak żeby piorun raził“. Tak nam trzeba pilnować Kościoła, jak „pilnowali rycerze celtyccy swego tajemniczego Graalu“ (49); „Jak w ślad za buntem kozackim następowała kara hetmańska, tak za buntem przeciw Bogu nastać musi karanie Boże“ (67); „nie wynajdzie on prochu, bo kochanek prawdy musi być dziewicą“ (53). Także przysłowia, aby miały prawo obywatelstwa na ambonie kościelnej, powinny być skrzętnie dobrane i trafnie dostosowane. Do takich nie można jednak zaliczyć: „Nie daj Boże z Iwana Pana (19), wykreślił się sianem (50), mówiąc Bogiem a prawdą (64), na miód dziadek zęby szczerzy, a sam poszedł bez wieczerzy“ (60). Są one zbyt prozaiczne na mównicę kościelną. Podobnie ma się rzecz z niektórymi anegdotami, jak n. p. o Suworowie (40), o panach, którzy N. P. Maryę uznali Bogiem (42), a zwłaszcza o żydku Berku Guziku (z noweli Klemensa Junoszy (47). Tego rodzaju anegdoty niewiele przyczyniają się do wyjaśnienia lub uzasadnienia rzeczy, a mogą się stać na ambonie skandalicznymi, jako *pias aures offensivae*. Wątpić należy, czy sam Junosza spodziewał się kiedy, że jego Berek będzie debiutował na kazalnicy kościelnej.

W kazaniach X. Tarnkowskiego spotyka się nadto liczne uchybienia przeciw czystości języka, tak pod względem szyku wyrazów, jak nawet w zakresie gramatyki. Autor (z jednym wyjątkiem na str. 49) pisze zresztą wszędzie: trza (6, 12, 17, 23, 64), — czego (4, 6, 16, 18, 78, 84) zam. czemu? — ino (52) zam. tylko, jeno — dlatego prócz tego (8) — przystanijmy (20) — szukać za czemś (52) — raz (37) zam. po pierwsze — tym razem w ogroju był (4) — zrobić z niczego co (34) — Ktoś im powiedział, mógł nawet Bóg (23) — Raczej i Piłat oby dla nas był przestroga (43) — bo tam wiele (niewiast)

wianków pogubiło (57) — Żle świadczy o nim (21) o pośpiechu czy o sądzie? — Przecie w matematyce prawie (?) niema powiedziane (!?), że niema Boga i że nie trza wierzyć (17) itd. Są też w tych 7 kazaniach miejsca nie dość ściśle, nawet pod względem teologicznym. Nie uchodzi kaznodziei głosić, że „w imię Ojca, Ducha i Syna — to nasza modlitwa“, choćby to nawet była strofa poetycka (ale tak ona nie opiewa); definicje cudu i proroctwa jako „odbłysku“ Bożej wszechmocy i wszechwiedzy (25 i 26) są niedokładne; autor wie wprawdzie, co w talmudzie „pisane jest“ (sic! 35), ale nie wie, „gdzie jest powiedziane, że Bogu służyć to tyle, jak królować“ (15), więc używa słowa „gdzieś“; podobnie ma się rzecz z cytatem na str. 5, w. 1 — cyt. z Jan. 18, 4 ma być: 18, 6. Należałoby też zapytać, skąd wie autor, że Zbawiciel siepaczy „ostro“ spytał (12), że 100 żołnierzy brało udział przy cierniem koronowaniu (58), a choćby i to, że pajak muchę „połyka“ (11) lub, że u żydów na znak oburzenia rozdzierano szatę od wierzchu aż do dołu (22). Pytanie Kaifasza, czy Chrystus jest Synem Bożym, należało do zakresu urzędu sędziowskiego, jako odnoszące się do charakteru i tożsamości osoby, więc przez samo to pytanie Kaifasz (m. zd.) nie zmienił roli sędziego w oskarżyciela, jak to autor utrzymuje (22). Podobnej zmiany napisu na krzyżu („Król żydowski“ na „on powiadał: Jestem król żydowski“ Jan 19, 21) nie żądali żydzi z pobudek religijnych, a już wcale nie z obawy o posądzenie ich o zbrodnię bogobójstwa (69). Także z metodą liczenia godzin u żydów autor niezupełnie jest w zgodzie, a przynajmniej nie trzyma się jednolitej, gdyż na str. 69 jest wzmianka, że Chrystus wisiał na krzyżu koło godz. 11, zaś na str. 83 szczegół uzupełniający, że około godz. 3 zaczęło się ciemno robić. (Powinno zaś być: około godz. 6; por. Mat. 27, 45, Łuk. 23, 44). Dowolność w interpretowaniu pisma św. przez autora charakteryzuje nadto choćby taka oto drobnostka: Jan św. w swej ewangelii zamyka chwilę zgonu Zbawiciela słowami: „a skłoniwszy głowę, ducha oddał“. Owóż autor utrzymuje, że taka krótkka wzmianka stąd zapewne pochodzi, iż św. ewangelista przy tych słowach rzewnie zapłakał, zaczętem wysnuwa wniosek, że i my powinniśmy przy opowiadaniu męki Pańskiej płakać. Niema to, jak ułatwić sobie logiczne przejście na temat z góry założony choćby fikcyjnem i fantastycznem „zapewne“!

Na ogół zauważyć się daje w tych utworach kaznodziejskich brak podniosłości i namaszczenia, przymiotów nieodzownych w każdej kategorii homiletyki, a przedewszystkiem w kazaniach pasyjnych.

Tego rodzaju kazania domagają się nadto wyzyskania i ożywienia wszelakich uczuć religijnych u słuchaczy, gdyż sam temat wszędzie je niejako porusza, uwydatnia, doprasza się prawie, aby się z niemi liczyć i celowo je pokierować, wzmocnić i utrwalić. Tymczasem u X. Tarnkowskiego ta strona retoryczna za mało jest uwzględniona i wyzyskana; autor załatwia się z tem pobieżnie i sumarycznie w kilku słowach i zadowala się przeważnie przytoczeniem w epilogu jakiegoś wiersza z pieśni pasyjnych.

Nie znam autora, ani go mówiącego z ambony nie słyszałem, nie mogę przeto wytworzyć sobie wyobrażenia, czy i jak potrafi w dykcei wywiązać się z trudnych wymagań oratorskich, w jakie tekst jego kazań obfituje, a zwłaszcza, czy łatwo podola ominąć szkoły stylowe, którymi ten tekst jest najeżony. Jeżeli jednak wydać mam sąd na podstawie siedmiu jego kazań drukowanych, do oceny mi podanych, to nie podobna mi oszczędzić mu uwagi, że 1) nie docenia należycie znaczenia słowa drukowanego i odpowiedzialności, jaką autor przyjmuje za nie wobec czytelników, że 2) może nie dość liczy się z faktem, iż ambona kościelna jest zawsze jeszcze najwyższą i najpoważniejszą mównicą świata, więc też zasługuje niechybnie, aby dla jej zadań i na jej usługę oddać utwory, jeżeli nie wprost doskonałe, to przynajmniej wolne od usterek językowych i stylowych. Także w tych utworach powinien błyszczeć język literacki i styl ogładzony, a zawsze szlachetny. Wątpić chyba nie wolno, że autor podola w przyszłości tym wymaganiom nawet bez utraty oryginalności; jego piękny dar opowiadania, widoczny we wstępach kazań, jego łatwość w przyswajaniu sobie nowszych form literackich, jego czytanie wszechstronne uprawniają do tego oczekiwania.

Ks. Dr. A. Jougan.

Kazania na niedziele całego roku kościelnego. *Ks. Józef Adamski T. J.* Tom III. Str. 313 dużej ósemki.

Autor, a zapisany już chlubnie na kartach rodzimej bibliografii kaznodziejskiej, podał właśnie w dalszym toku wydawnictwa swych kazań niedzielnych — jako tom trzeci z rzędu — cykl kazań od niedz. 5 po Świątkach do 14 włącznie, po 3 na każdą niedzielę. Razem więc jest ich 30 w tym tomie, przeciętnie każde z nich obejmuje 16 stron. O głównych cechach i wartości homiletycznej zarówno, jak praktycznej, kazań X. Adamskiego wypowiadają się już niejednokrotnie

czasopisma kościelne; od lat bowiem 10 wypełniały w nich recenzje jego produkeyi kaznodziejskich sporo miejsca w dziale bibliograficznym.

Tom niniejszy wypełniony jest prawie wyłącznie tematami treści moralnej, nawet ostatnie z nich (o Opatrzności) mają przeważnie ten kierunek na względzie; jedynie homilia na 6 niedz. po Świątkach ma wraz z odmienną formą także temat więcej dogmatyczny, ale już druga taka (na 8 niedz.) obraca się znowu wyłącznie w sferze moralnej, co zresztą wskazane było samą treścią perykopy, przedstawiającej — jak wiadomo — trudny problem dla prawidłowej egzegezy homilijnej. Ta wyłączność etycznych tematów (w tym tomie) umożliwiła autorowi pełniejsze zwrócenie uwagi na tematy aktualne w dziedzinie społecznej, tak wielce dziś zajmującej umysły, patrzące trzeźwo w przyszłość i o dobro rzetelne społeczeństwa troskliwe. Tu należą tematy: o chrzesc. miłosierdziu (32—40), gdzie autor odpiera zwycięsko marne wymówki ludzi światowych, uchylających się od tego obowiązku; dalej: o jałmużnie (85—96), gdzie w dalszym niejako ciągu i w podobny sposób zajmuje autor słuchaczy tą sprawą żywotną; do tego działu zaliczyć należy również oba kazania na 14 niedz. po Św. na temat: troska o dobra doczesne (272—281) i o nierówności dóbr doczesnych (282—293). Temat o łasce sakramentalnej — rzadko spotykany w kazaniach drukowanych — przedstawia autor (236—246) w odniesieniu do korzeni moralności i jej oddziaływania na rozwój cnót ewangelicznych, a co mu dodaje wartości praktycznej, to metoda posługiwania się w nim terminami katechizmowymi i takim przyjętym w wyjaśnianiu i uzasadnianiu nauk katechizmowych. Ta sama metoda widoczna jest także w rozwinięciu tematu o miłości Bożej (222—235), gdzie po kolei zajmuje się autor jej istotą, motywami i własnościami. Temat, z natury swej za obszerny na jedno kazanie, jedynie przy zastosowaniu metody katechizmowej staje się tu możliwym do całkowitego wyczerpania. Na szczególniejszą uwagę zasługuje kazanie o nieczystości (247—257), jako wzór, jak można i należy temat drastyczny o poszanowaniu ciała dla zachowania życia naturalnego i nadnaturalnego omówić prawie wyraźnie, a jednak z zachowaniem rezerwy i delikatności w wyrażeniach, a dyskrecyi w omijaniu szczegółów uzupełniających, a dla celu nauki zbędnych. Kazanie to, równie jak inne o namiętnościach (196—208) zazwyczaj w innych wydaniach pomijane lub szkopułów pełne, a jednak b. potrzebne, tak jest misternie ułożone, że można je w całej rozciągłości

zastosować na egzortę szkolną. Do tego samego celu posłużyć mogą również oba ostatnie kazania o Opatrzności w stosunku do problemu cierpienia fizycznego i do rozwielenienia się grzechu na świecie. To drugie jednak (304—313) nie wydaje się dość wyczerpującem — są w niem szczegóły drugorzędne i dla tematu zbędne, natomiast odczuwa się jakby jakiś brak w zachowaniu ścisłości i jedności tematu, coś w rodzaju przeskoku w dowodzeniu rzeczy, a wymijaniu nagromadzonych dziś powszechnie sofizmatów w tym przedmiocie. Co prawda, jest to wogóle temat za obszerny na jedno kazanie, a dla wyczerpania zarzutów, równie jak dla przekonywującego odparcia tychże, wypadłoby poświęcić mu jeszcze więcej miejsca. Za to jednak wybornie udało się autorowi obalenie fałszywych zasad światowych w zakresie praktyk religijnych (53—61), a nie mniej świetnie wykazuje (142—146), czem się dzieje, że słowo Boże zmienia się w słowo ludzkie. Gdyby nie ograniczenie miejsca dla recenzji, brałaby ochota przepisać tu całe ustępy lub wyimki ze str. 143, 145; co tam podano, przyda się nie tylko słuchaczom, ale i niektórym kaznodziejom po miastach wielkich, goniącym za wygodną dziś wszędzie popularnością.

Jak indziej, tak i w tym tomie, poczytuję za wybitne i prawie że wyróżniające cechy kazań X. Adamskiego: 1) staranny dobór tematów; unika bowiem oklepanych i w każdym podręczniku kazań powtarzających się, a stara się wszędzie o świeże, aktualne, do potrzeb bieżącej doby zastosowane, wchodzące zarówno ogólnie w dziedzinę społeczną, jak szczegółowo w fazy życia duchowego jednostek, czem zapełnia dotkliwą lukę w dziale nauk ascetycznych w naszym kaznodziejstwie. Tematy obrane opracowuje zawsze 2) gruntownie, prawie że wyczerpująco, ku czemu ułatwia mu zadanie 3) świetny rozkład tematu i podział części jego składowych; są one wszędzie 4) logicznie i formalnie rozdzielone i należycie odmierzone, nie wpadają w obcą dziedzinę, rzadko tylko dopuszczają miejsca szczegółom drugorzędnym, nie kłocą się ze sobą, ale umiarkowo i w sposób zrównoważony zmierzają wszystkie do swego głównego zadania. Co im jeszcze dodaje mocy w argumentowaniu, to 5) staranna egzegeza cytowanych ustępów biblijnych i 6) znakomite uwzględnienie psychologii słuchacza. Autor zna dusze ludzkie na wylot w ich ułomnościach i walkach, w ich dźwiganiu się i dążnościach szlachetnych i dlatego umie w zastosowaniach praktycznych, w wskazówkach i zachętach w epilogu zachować wszędzie właściwą miarę i żąda tylko tego, co w danych warunkach da się bez ujmy dla zasady imperatywnej, ale i bez trud-

ności dla zwyczajnych sił ludzkich przy Bożej pomocy osiągnąć i wykonać. Zdarzają się — co prawda — u X. Adamskiego tu i ówdzie za ciężkie wywody filozoficzne i zbyt może specjalizowane spostrzeżenia psychiczne, (jak n. p. czas nawiedzenia i opuszczenia od Boga, istota namiętności i rola ich w życiu), ale wtedy sam autor wskazuje na nie w odsyłaczu (p. str. 184) i zaraz podaje następny temat w duchu więcej praktycznym nie tylko dla wykształconych, ale dla wszelkiej kategorii słuchaczy (n. p. o zwalczaniu namiętności str. 196—208). Czegoby jeszcze życzyć sobie wypadało w tych kazaniach, to chyba więcej przykładów praktycznych w tym rodzaju, jak n. p. na str. 144, lub porównań świetnych na str. 306 i n.).

Podobnie jak w poprzednich tomach wskazuje autor niekiedy w odsyłaczach na źródła, z których czerpie bądź myśli, bądź całe ustępy dosłownie przytacza, jakoto: z kazań Kajsiewicza (309, 328), z Mistyki Semeneńki (67), z Wieczorów nad Lemanem Morawskiego (296), z Filozofii życia Peszha (160, 164, 169), z Taulera (83, 297), z de Maistre'a (217, 242), czem wymownie odpiera zarzut gołosłowny jednego z recenzentów dawniejszych, jakoby czerpał jedynie z kaznodziejów francuskich. Styl i dykcja są wszędzie staranne, jeden tylko wyraz (błędnik — 54) technicznie neologizmem. X. Dr. Jougan.

Ostatnie powieści Gruszeckiego.

Maryawita. Powieść. *Artur Gruszecki.*

Królewiacy. Powieść współczesna. *Artur Gruszecki.* Nakład Gebethnera i Wolffa. 1912.

Rodzaj talentu Gruszeckiego znamionują dwie cechy. Pierwsza z nich, to zdolność autora wchłaniania i przetwarzania w kształt powieściowy wszelkich spraw aktualnych, świeżo w życiu społecznym się ujawniających. Druga, ujemna, to brak na palecie Gruszeckiego barw pośrednich pomiędzy kolorem jasnym a czarnym. Gruszecki stale albo przesadza w idealizowaniu osób, występujących w jego powieściach, albo przesadza w przedstawianiu ludzi w jak najczarniejszych kolorach. Stąd pochodzi małe prawdopodobieństwo rzeczywistości życiowej jego bohaterów lub bohaterek, którzy skutkiem tej maniery nie są indywidualnościami, ale typami dodatnimi lub ujemnymi, jak to bywało przed laty w powieściach i w tragediach. Gruszecki zna tylko białe i czarne charaktery.

Tak też jest i w powieści: „Maryawita“. Księży, w niej występujących, dzieli autor na dwie, wręcz sobie przeciwne, grupy. Są to, zaznaczamy dla dokładności, księża świeccy, proboszczowie i wikarzy wiejscy, osiedli po wsiach Królestwa Polskiego. Otóż podział ten na dwie części jest taki. Jedni z nich to egoiści, sybaryci, dbający jedynie o kieszeń i żołądek — drudzy zaś, młodzi, to idealisci, abstynenci, asceci. Ci drudzy to twórcy powstającego Maryawityzmu. Wprawdzie autor bohaterowi swemu, idealnemu księdzu Kęckiemu, przy końcu powieści porzucić każe i Maryawitów, gdyż i wśród nich powstaje cynizm i sobkowstwo, ale to nie ratuje Gruszeckiego przed zarzutem, że właściwej szkodliwości Maryawityzmu nie zrozumiał, nie zgłębił i tego w utworze swym nie przedstawił.

Że wśród duchownych katolickich, żyjących pod obuchem rządu rosyjskiego, jest jakaś ilość księży, trzymających się nieraz bardziej zewnętrznych pozorów, aniżeli istotnej treści, zgodzićby się można z pewnemi zastrzeżeniami, a przedewszystkiem z tem, że równocześnie tam najwięcej także znajdujemy wśród duchowieństwa katolickiego zaparcia się, poświęcenia, a nawet bohaterstwa.

Ale patrząc jednostronnie, Gruszecki tego nie dojrzał, dojrzał tylko plamy — a wszelkie światła skupił na postaciach przyszłych Maryawitów. I stąd pewność, że Gruszecki nie rozumie całej szkodliwości Maryawityzmu.

Przecież najbardziej idealny Maryawityzm, a takim w rzeczywistości on nie jest wcale, jest podwójnem złem: naprzód dlatego, że niszczy jedność Kościoła katolickiego, w której to jedności jego siła i potęga; a po drugie, że Maryawityzm niszczy równocześnie odporność społeczeństwa polskiego przeciw zakusom Rosyi. A że tak jest, świadczy najbardziej stanowisko rządu rosyjskiego wobec Maryawitów. Rząd rosyjski przyjął to odszczepieństwo z otwartemi ramionami, poparł je z całych sił, bo wiedział dobrze, iż wprowadzając niezdrowy ferment w szeregi księży polskich, równocześnie podkopuje jedność nie tylko katolicyzmu, ale i jedność polskości duchowieństwa polskiego. Tego nie uwzględni Gruszecki w swej powieści, i w tem największa jej wada.

A ta jednostronność w oświeclaniu wszelkich spraw społecznych jest stałą wadą Gruszeckiego. Spostrzegamy ją i w ostatniej jego powieści: „Królewiaczy“. Tu znów samych czarnych barw z swej palety użył on, gdy kreślił postacie mieszkańców Krakowa; wszystkich zaś jasnych barw użył do odmalowania postaci Królewaków,

którzy po rewolucyi do Galicyi przybyli. A rozmieszczenie to jest tak rażące, że typy nieraz przechodzą w karykaturę; wiadomo zaś, że przesadzona karykaturalność szkodzi bardzo każdemu dziełu sztuki, a więc i powieści.

Adam Stodor.

Z piśmiennictw obcych.

Beati Petri Canisii Soc. Jesu Epistulae et Acta. Collegit et adnotationibus illustravit *Otto Braunsberger S. I.* Vol. Sextum 1576—1571. Friburgi Brisgoviae 1913. Str. 66+818 in 8°.

Pomnikowego dzieła w całym tego słowa znaczeniu ukazał się świeżo tom VI. Jak w poprzednich tomach, tak i w tym uderza ogromna znajomość historii kościelnej, teologii i życia religijnego we wszystkich jego objawach i walkach z protestantyzmem, w najbliższych latach po Soborze Trydenckim. I nie dziw, bo też sam Piotr Kanizy był wielką postacią, prawdziwą kolumną Kościoła w Niemczech; o godności nie dbał, nie przyjął nawet purpury kardynalskiej, jaką go w r. 1568 papież Pius V przyozdobić zamysłał¹. A jak do naszego Hozyusza kardynała biskupa, tak i do Kanizego lgnęły wszystkie wyższe umysły, zasięgając jego rozumnej rady, nieraz w trudnych i zawitych sprawach. A do tego O. Otto Braunsberger włożył w swe wydawnictwo niemały kapitał pracy, szerokiej wiedzy i mozolnych poszukiwań w 138 kodeksach, przechowanych w 40 archiwach i bibliotekach po rozmaitych krajach. Obejmuje ten tom listów w całej rozciągłości 161, a między nimi widzimy 101 po łacinie, 57 po włosku, 3 po niemiecku; inne 138 podano sumarycznie, tak, że wszystkie razem dosięgły cyfry 299. Prócz tego znajdują się tu jeszcze tak zwane Monumenta Canisiana w liczbie 178.

W pobieżnem sprawozdaniu nie mogę się oczywiście zapuszczać, choćby w ogólnikowe streszczenie tego lub owego działu listów, tyle tylko nadmienię, że pisał je Kanizy do Franciszka Borgiasza, generała zakonu w Rzymie, do Ferdynanda II, arcyksięcia Tyrolu, do Wilhelma V, księcia bawarskiego, do Heleny, arcyksiężnej austriackiej, do Stanisława Hozyusza, kardynała biskupa warmińskiego, do Ottona Truchsessa, kardynała biskupa augsburskiego i do rozma-

¹ Monum. Canisiana nr. 1071 sive var. 7. p. 731—733.

itych innych wybitnych osób, duchownych i świeckich, które znów odwzajemniając się za listy Kanizemu, zaszczycały go swoją własną korespondencją. Wszystkie listy Kanizego i do niego pisane, zaopatrzył O. Braunsberger doskonałymi komentarzami, w których skupił cały arsenał historycznej, źródłowej erudycji; wszystkie jego noty, każdy szczegół wykończony, zaokrąglony, jakby ze spiżu odlany; badaczom dziejów, którzy w te gąszcze przeszłości zapuszczać się zechcą, nie nasuną się chyba żadne poważne wątpliwości. A co powiedzieć o rejestrach na końcu dzieła? Jakież tu bogactwo, jakie szczegółowe i umiejętne zestawienie najdrobniejszych rzeczy, rozproszonych na różnych miejscach w tak obszernym tomie!

Jednego przynajmniej szczegółu z listów Kanizego, który nas bliżej obchodzi, nie mogę tu pominąć. Św. Stanisław Kostka, nie mogąc uzyskać od O. Wawrzyńca Magiusza, prowincyała austriackiego, przyjęcia do zakonu w Wiedniu, bo nie miał na to pozwolenia ojcowskiego z Polski, puścił się w drogę do Augsburga w Bawarii, gdzie przebywał bł. Piotr Kanizyusz, prowincyał Wyższych Niemiec. Kanizyusz zajął się szczerze losem świętego młodzieniaszka, a niebawem wyprawił go wraz z dwoma innymi: z Jakóbem de Levanto Genuńczykiem i Reinerem Fabrycem, Belgijczykiem z Leodjum, do św. Franciszka Borgiasza, generała zakonu w Rzymie, z polecającym listem. Pod dniem 25 września 1567 r. pisze on z Monachium do Franciszka Borgiasza: „Posyłam wraz z dwoma innymi do Rzymu Stanisława Polaka, szlachetnego, cnotliwego i pilnego młodzieńca, którego nasi Wiedeńczycy nie śmieli przyjąć do nowicyatu, nie chcąc się przez to narazić na gniew jego rodziny w Polsce. Gdy do nas zawitał, i chciał spełnić swój dawny ślub, (albowiem już przed kilku laty zobowiązał się ślubem wstąpić do Towarzystwa naszego), przepędził czas niejaki na próbie w konwikcie w Dylyndze, gdzie okazał się wiernym w posłudze i zawsze statecznym w powołaniu swoim. Tymczasem zapragnął udać się do Rzymu, ażeby tam w oddaleniu od swoich (krewnych), których bał się prześladowania, mógł większe postępy w pobożności uczynić. Nie żył dotąd z naszymi nowicuszami: będzie go można przyjąć w Rzymie do nowicyatu, żeby tam swe próby nowicyackie odprawił; wielkich rzeczy spodziewamy się po nim. Niech to nie sprawia przykrości Przewielebności Waszej, że posyłam go do Rzymu, choć nie wezwanego, nie tylko dlatego, ponieważ się dobra do tego nadarzyła sposobność, lecz także,

ponieważ, nie będąc jeszcze ode mnie ostatecznie przyjęty do zakonu, sam pragnął koniecznie do Rzymu się dostać¹.

Niezadowolony tem gorącym poleceniem, w kilka dni później, 4 paźdź. 1567 r. pisał Kanizyusz z Augsburga ponownie do generała: „Przeszłego tygodnia wysłaliśmy do Rzymu najdroższych braci: Jakóba Genuenńczyka, magistra Reinera z Leodyum, profesora retoryki i Stanisława Polaka, dobrego i szlachetnego młodzieńca“².

I nie zawiódł się Kanizy w oczekiwaniach swoich, bo Stanisław Kostka, po 10-miesięcznym pobycie w nowicyacie rzymskim wraz z O. Stanisławem Warszewickim, zakończył swój anielski żywot i zasłynął w Kościele Chrystusowym koroną nieskazitelną świętości i cudów. O. Urban Ubaldini S. I. Lwówianin, zmarły w Jarosławiu 1 maja 1664 r. wymienia w swym rękopisie „Stanislaus Kostka“ z wielką dokładnością 112 autorów, którzy głosili pochwały Stanisława w rozmaitych językach, w latach 1570—1659³.

Szereg listów bł. Piotra Kanizego nie wyczerpany dotąd. Z lat 1572—1597, kiedy właśnie Kanizy we Fryburgu szwajcarskim zakończył pracowity żywot, przybędą jeszcze 2 spore tomy. Uczonemu zaś wydawcy życzymy szczerze, żeby doprowadził szczęśliwie do końca swe źródłowe i nader pożyteczne dzieło.

Ks. Jan Sygański.

Geschichte der Jesuiten in den Ländern deutscher Zunge. *Bernhard Duhr* S. J. I. Band: Geschichte im XVI Jahrhundert. Freiburg im Breisgau 1907 in 8°, XVI+876, mit 163 Abbildungen. II. Band: Geschichte in der ersten Hälfte des XVII Jahrhunderts. I. Teil Freiburg 1913, XVIII+703, mit 90 Abb. II. Teil, X+786, mit 92 Abbildungen.

Od chwili, kiedy wielki mecenas nauk, papież Leon XIII, otworzył gościnne podwoje watykańskich archiwów dla badaczy przeszłości, wzgmół się nadzwyczajny ruch na polu historyi po wszystkich krajach. Akademie, jak krakowska, budapeszteńska, praska, wiedeńska, monachijska, petersburska etc., wysyłają tam corocznie ludzi żądnych nauki i wiedzy, którzy z obfitym plonem powracają do kraju, by swą mozolną zdobyczą podzielić się z współziomkami

¹ Epist. Can. nr. 1500 p. 63—64.

² Epist. Can. nr. 1510 p. 84.

³ *Analecta Bollandiana* T. IX, XI, XIII—XVI.

swyni. Zabrano się już do opracowania epoki przed Soborem Trydenckim, zaczęto wydawać poszczególne działy nuncjatury papieskiej,¹ zestawiono sumarycznie zawartość wielu rękopiśmiennych woluminów biblioteki watykańskiej, słowem niczego nie pominięto, coby mogło rozjaśnić dzieje polityczne i kościelne w rozmaitych krajach. Wobec tego ogólnego naukowego ruchu, nie pozostali też na uboczu członkowie zakonu T. J. Dzieje tegoż zakonu w Polsce opracował bardzo obszernie O. Stan. Załęski. A choć jego pracy możnaby niejedno zaizucić pod względem metodycznym, wytknąć tu i ówdzie pomyłki i niedokładności historyczne, mimo to wszystko przyznać musimy, że on pierwszy precyzyjnie się przez gęste bór nieprzebyte dotąd i dał nam historię na szerokiem tle przeszłości dziejowej Polski. Za jego przykładem poszedł O. Antoni Astrain w Hiszpanii,² O. Henryk Fouqueray we Francji,³ O. Piotr Tacchi Venturi we Włoszech,⁴ wreszcie O. Bernard Duhr w Niemczech, jak wyżej wymieniono w nagłówku.

Nielatwą było to rzeczą zgromadzić najprzód rozproszony, a potem opanować i ugrupować należycie bogaty i obszerny archiwalny materiał. A jednak autor, pomimo tylu piętrzących się trudności, potrafił wywiązać się szczęśliwie ze swego zadania. Nie krepował się bynajmniej historią pojedynczych kolegiów i ich drobiazgowymi rzeczami, boć przecie w codziennem życiu zakonem przesuwają się, jak w kalejdoskopie, podobne zajęcia i czynności. On umiał swą historię metodycznie zestawić i nadać jej powabną szatę, przez co jego praca zyskała na jasności i przejrzystości — a to jest właśnie największą zaletą każdego dobrego dzieła z zakresu historii.

Wiek XVI, jak gdzieindziej, tak i w Niemczech, był epoką gorzkiej i zaciętej walki. Wierzącym katolikom rozechodziło się o swe istnienie lub nieistnienie. A ponieważ przeciwnicy katolickiego Kościoła żadnego nie pomijali środka, ażeby zniweczyć pozostałe szczątki Kościoła w Niemczech, przeto tem bardziej musieli też katolicy stać na straży i bronić zagrożonych interesów swoich. Po takiej treściwej, zwięzłej ujętej przedmowie, oraz po przytoczeniu najgłówniejszych

¹ *Nunziaturberichte aus Deutschland 1541—1544, 1587—1589, 1603—1606.* Berlin-Paderborn 1911—1912.

² *Historia de la Compañia de Jesús en la Asistencia de España.* Tom I—III (1540—1615) Madrid 1902—1909.

³ *Histoire de la Comp. de Jésus en France.* Tom I. (1528—1575) Paris 1910.

⁴ *Storia della Compagnia di Gesù in Italia.* Vol. I. Roma 1910.

źródeł, czerpanych z bibliotek włoskich, hiszpańskich, holenderskich, belgijskich, austriackich i niemieckich, przystępuje autor do samej historyi. Kreśli w niej naprzód pobyt trzech z pomiędzy towarzyszy św. Ignacego de Loyola w Niemczech: bł. Piotra Fabra, Klaudyusza Jajusa i Mikołaja Bobadylli, następnie opisuje początki kolegium w Wiedniu (1552) i w Ingolstadzie (1556), wreszcie omawia działalność bł. Piotra Kanizego w Kolonii, Wiedniu, Augsburgu i Insbruku (1543—1563). W XVI wieku istniały dwie prowincye zakonne w Niemczech: austriacka i nadreńska; pojedyńczym kolegiom tychże prowincyi poświęcił autor zwięzłe i treściwe wspomnienie. Przy kolegiach były szkoły, odpowiadające dzisiejszym gimnazjom, w których uczono religii, języka łacińskiego, greckiego, niemieckiego, matematyki i historyi; nauki jednak przyrodnicze nie stały jeszcze wówczas na takim poziomie rozwoju, jak je widzimy dzisiaj. Na uniwersytecie w Ingolstadzie wykładano teologię, filozofię i prawo; objaśniano też św. Tomasza z Akwinu i Aristotelesa. W Wiedniu, Gracu, Dylindze i Fuldzie mieli Jezuici pod swym zarządem seminarya papieskie, dla kształcenia świeckiego kleru. Naukę młodzieży urozmaicano popisami szkolnymi, uroczystem rozdawaniem nagród, scenicznymi przedstawieniami, dramatai oraz innymi dyalogami. W celu zaszczerpienia i utrzymania ducha moralności pomiędzy młodzieżą, zakładano i kierowano kongregacyą Maryańską. Dla młodzieży uboższej utrzymywano osobne konwikty i bursy. Cały pedagogiczny kierunek uwzględniony jest podług ówczesnych pojęć, wymagań i ducha czasu; nie potrzeba chyba wspominać, że różga była jeszcze wówczas ważnym czynnikiem w szkole; istniał też i karcer (*Studentenkarzer*).

Ale nie dla samych wyłącznie szkół poświęcali Jezuici swe siły. Widzimy ich również zajętych pracą około uświęcenia dusz. Miewali kazania po wielkich miastach i po wsiach dla prostego ludu, katechizowali podług metody i podręcznika bł. Piotra Kanizego, słuchali spowiedzi, dawali misye i rekolekcyje, przez co nawracało się wielu zbłąkanych do dawnej wiary ojców. Spełniali też posługi duchowne dla więźniów, dla chorych po szpitalach i dla żołnierzy w obozach. A ponieważ w czasie reformacyjnych zamieszek w Niemczech, podupadło i rozluźniło się życie zakonne po różnych klasztorach męskich i żeńskich, przeto i o nich nie zapomnieli Jezuici, wprowadzając w nich pierwotne zachowanie ustaw. Niektórzy z Ojców, jak Wawrzyniec Maggio, Jerzy Scherer, Stefan Rimel, Henryk Blyssem,

Kasper Torrentin i inni jeszcze, byli spowiednikami i kaznodziejami panujących książąt w Wiedniu, Gracu i Monachium, o czym nawet historycy niemieccy, jak Schreiber i Riezler, z uznaniem wspominają.

O. Duhr, chcąc zaokrąglić swą pracę, opisuje w osobnych rozdziałach stosunki Jezuitów do papieży, udzielnych książąt, nuncjuszów i biskupów; dalej duchowe i naukowe wykształcenie członków zakonu w nowicyacie i w czasie studyów; zestawia i ilustruje budowę niektórych kościołów, jak w Augsburgu, Dylindze, Insbruku, Ingolstadzie, Monachium, Koblencji, Kolonii, Monasterze, Paderbornie i Regensburgu, które świadczą aż dotąd o dobrym smaku i wytwornej architekturze. Niemaló też miejsca poświęcił autor bibliografii XVI wieku, nakoniec podał charakterystykę życia niektórych zasłużonych i wybitnych członków zakonu. A ponieważ zakon, obok licznych przyjaciół i dobrodziejów, miał także swych nieprzyjaciół, przeto gruntownymi wywodami odpowiedział na różne potwarze i śmieszne baśnie (*Jesuitenfabeln*), rozszerzane przez protestantów w Niemczech; w celu zohydzenia i podkopania dobrej sławy zakonu.

Tom II historii O. Duhra obejmuje czasy od r. 1600—1650. Do tej epoki tyle autor nagromadził szczegółów, że ją na dwie obszerne części podzielić musiał. I nic dziwnego. Przybyło w tym okresie mnóstwo nowych kollegiów i rezydencyi, czyli stacyi misyjnych, z tego powodu utworzono następujące, osobne prowincye zakonne: dolną nadreńską, górną nadreńską, górną niemiecką, austryacką i czeską, nazwaną później czesko-ślaską, a w każdej z nich były liczne gimnazya i konwikty. Samych uniwersytetów posiadali Jezuici dwanaście, mianowicie w Wiedniu, Gracu, Ingolstadzie, Dylindze, Fryburgu w Bryzgowii, Lucernie, Kolonii, Paderbornie, Monasterze, Osnabrücku, Molsheimie i Bambergu. Wojna jednak 30-letnia (1618—1648), wywołana w Niemczech przez niezgodę, wynikłą ze skutków reformacyi religijnej, do której i polityczne przymieszały się powody, dała się dobrze we znaki także Jezuitom, ich szkołom i fundacyom, jak wspomina o tem autor na wielu miejscach. Mimo to wszystko, praca zakonu, nawet w tym niepomysłnym czasie wypadków dziejowych, była wcale pokaźną i wydatną we wszystkich kierunkach, podobnie, jak w XVI wieku. Pokojem westfalskim, w Monasterze i Osnabrücku 24 paźdz. 1648 r. zakończono ową pamiętną walkę. Zasada protestancka: *cuius regio, eius religio*, „jakim jest panujący, taką jego religia“, datująca się od sejmu w Augsburgu

1555 r., musiała teraz ustąpić, a Kościół katolicki mógł się swobodnie rozkrzewiać dalej.

Wartość niepospolitą całemu dziełu przydają rozliczne, wybornie wykonane ilustracye; jest ich ogółem w obydwóch tomach 345. Prawie każde kollegium z kościołem jest ozdobione gustownym sztychem; prócz tego znajdujemy wiele wizerunków fundatorów, dobrodziejów i książąt, a między nimi trzech młodych Radziwiłłów; Jana Jerzego, Wojciecha Władysława i Krzysztofa Mikołaja, którzy kształcili się u Jezuitów w Augsburgu, jak świadczy dzieło: *Viridiarium Sanctorum* 1604, dedykowane im przez O. Macieja Radera S. I., nadto niektórych członków zakonu, jak poety O. Jakóba Baldego i wielu innych wraz z podobizną ich pisma; wreszcie *facsimilia* rozmaitych druków z XVI i XVII wieku, z ciekawymi nieraz allegorycznymi postaciami i exlibrisami. Wszystko to razem stanowi, jakby wspaniałą mozaikę wielkiej kultury z ubiegłych wieków, która będąc w lepszych warunkach, nie zniszczona wśród wojen i pożog, jak u nas w Polsce, mogła zachować swój niezatarty charakter aż dotąd.

Jeden tylko zarzut muszę uczynić zasłużonemu autorowi. Nieśluszenie zaliczył on kollegia w Brunsberdze, Bydgoszczy, Gdańsku, Grudziądzu, Malborgu, Szotlandzie i Toruniu¹ do niemieckich kollegiów. Prawda, że niektóre z tych miejscowości uległy obecnie już znacznemu, a nawet prawie zupełnemu zgermanizowaniu. Inaczej jednak było w XVII wieku. Należały one podówczas i później aż do rozbioru kraju do prowincyi polskiej. Jezuici uczyli w nich, obok łaciny i polskiego, także niemieckiego języka, bo tego wymagały miejscowe stosunki, a jednak z tego powodu nie można ich jeszcze nazywać kollegiami niemieckimi. Wszak i dzisiaj w rządowych gymnazyach Galicyi, język niemiecki należy do obowiązkowych przedmiotów, a przecież z tego względu nie podobna tych szkół nazywać niemieckimi, bo są czysto polskimi.

Ks. Jan Sygański.

Lexicon der Pädagogik im Verein mit Fachmänner und unter besonderer Mitwirkung von Hofrat Professor Dr. Otto Willmann, herausgegeben von Ernst M. Roloff, Latainschuldirektor a. D. I. Band. Freiburg im Breisgau 1913, Herdersche Verlagshandl.

W rzędzie cennych wydawnictw Herder'owskich jedno z pierwszych miejsc zajmie zapewne nowo zapowiedziany leksykon, któ-

¹ O. Załęski w tomie IV „Jezuici w Polsce“ poświęcił im niemało miejsca.

rego pierwszy tom leży właśnie przed nami. Dzieła tego rodzaju posiadamy wprawdzie, lecz wskutek niesłychanego postępu pedagogii w ostatnich czasach, już dla tego samego ustąpić one muszą pierwszeństwa nowemu. Lecz nie na tem zasadza się główne jego dla nas i dla dzieła wychowania znaczenie; charakter wiedzy — jak to wydawca zaznacza w przedmowie — osiągnąć może pedagogia tylko pod tym warunkiem, że stanie na silnej podstawie pozytywnego poglądu na świat, a takim jest przedewszystkiem pogląd chrześcijański; jest to więc wydawnictwo rdzennie katolickie, które korzystając i wciągając wszystkie zdobycze nowoczesnej wiedzy i doświadczenia, łączy je i opiera na niewzruszonych i nigdy nie zawodzących prawdach wiary katolickiej.

Wydawcą tej pracy jest E. Roloff, długoletni profesor i praktyk w kwestyach pedagogicznych a w liczbie około dwustu współpracowników z całego świata naczelne miejsce zajął powszechnie znany Otto Willmann, który pomimo 74 lat życia nieustrudzenie pracuje na tem polu i kilka miesięcy temu brał czynny udział na odbytym w Wiedniu międzynarodowym kongresie dla spraw wychowania chrześcijańskiego.

Przyglądnijmy się materyałowi, jaki objąć ma to dzieło. Posiadamy dopiero część jego i stąd nie zamierzamy wchodzić bliżej w właściwą rzecz t. j. pogląd i teorye tamże rozwinięte; zajmiemy się tem szczegółowiej po ukazaniu się całości, która pozwoli nam wejrzeć w poszczególne punkta i zestawzić je systematycznie. Obecnie — opierając się na przedmowie wydawcy, powiemy krótko, na jakie pola rozciągnąć się ma treść leksykonu, co i jak starano się w nim uwzględnić, wprowadzić lub ulepszyć a zarazem ocenimy, o ile sprawdza się to w wydanyim pierwszym tomie.

Zbytecznem jest wspominać, że w zakres dzieła wchodzi przedewszystkiem tak zwana pedagogia elementarna, z wykluczeniem społecznej, która ma właściwe miejsce w socyologii; nadto zaznacza wydawca, że uwzględniać będzie głównie szkoły ludowe i średnie oraz najważniejsze fachowe, jakkolwiek nie pomija bynajmniej i najwyższych instytucyi naukowych. Kwestya ścisła wychowania, traktowana zarówno teoretycznie jak praktycznie, główne tu oczywiście zajmuje miejsce jakkolwiek nie wyłączne. Oprócz zagadnień właściwych znajdują tu szczegółowo miejsce kwestye pokrewne i wszelkie gałęzie wiedzy, jakie postępy nowoczesnej pedagogii złączyły z tym działem jak n. p. psychologia doświadczalna, wychowanie estetyczne, higiena, psychologia dziecka itp. Do tego dołącza się wykaz odpowiedniej li-

teratury, bogaty dział historyczny i biograficzny (z pominięciem żyjących pedagogów) oraz pokaźny wykaz statystyczny, podający stan szkolnictwa w Niemczech i w stołecznych miastach wszystkich prawie krajów świata, zredagowany przez będących na miejscu współpracowników. Oczywiście przy znacznej tychże liczbie z natury rzeczy wyniknąć musiała dość barwna i pstra różnorodność a ta niemało kłopotu i trudu przysporzyła wydawcy, który z wielkim nakładem pracy starał się o usunięcie wszelkich sprzeczności; znaczną też jego zasługą i niezmiernie cenną dla całości rzeczą jest wprowadzenie wszędzie jednolitej terminologii i ortografii.

Jeżeli teraz otworzymy leżący przed nami tom i przyjrzymy się mu dokładniej, uderza nas miła niespodzianka, bo widzimy, że wydawca podaje nam, zarówno co do zawartości jak co do sposobu przedstawienia, znacznie więcej aniżeli obiecał. I tak co do treści wychodzi dzieło poza ramy ścisłej kwestyi wychowawczej, poruszając zagadnienia dotyczące oświaty i kultury wogóle, wkraczając w różnorodne odległe kwestye a wreszcie rozbierając, i to szczegółowo, pojedyncze gałęzie wiedzy. Przez to stosunkowo tak dokładne obrobienie nadaje się to dzieło bardzo do użytku tych wszystkich pedagogów, którzy, nie będąc w stanie oddawać się badaniom naukowym, pragną jednak stać na ich poziomie przez ogólne zapoznanie się z nimi bądź przez otrzymanie informacyi o literaturze, którą ich szerzej o tem pouczyć może.

Przejrzystość, której potrzebę odczuwa głęboko każdy, kto więcej ma do czynienia z książkami, nie pozostawia tu nic do życzenia; zarówno druk jak zwłaszcza rozkład materiału objętego danym tytułem, ułatwia znakomicie szybkie zorientowanie się i osładza trudy nieznosnego szukania. Nadto rozkład na części jest tego rodzaju, że dzięki niemu w jednym artykule mieści się materiał, któryby wystarczył do paru odrębnych. I tak np. wstęp, zatytułowany „Praca“, składa się z czterech osobnych części, z których pierwsza mówi o pojęciu pracy, druga o pracy jako obowiązku, trzecia o tejże jako środku wychowawczym a czwarta o wychowaniu, któreby wyrobiło zamiłowanie pracy. W innym rozdziale, o koloniach wakacyjnych, poszczególne części traktują o następujących kwestyach: rodzaje kolonii i ich rozwój, kolonie jako obowiązek społeczny, dodatnie ich skutki, dzisiejsza ich forma, korzyści własnych tego rodzaju instytucyi, urządzenie i zarząd kolonią, zaopatrzenie dzieci, daty statystyczne, literatura. Jeżeli rozważymy, że podobnie zredagowane są i pozostałe

działy, to zaprzeczyć nie podobna, że rzecz przedstawia się imponująco i nie dziwnego, że berlińska *Lehrerzeitung* zaliczyła to wydawnictwo do najwybitniejszych z pośród nowożytnej literatury pedagogicznej.

Całość obejmuje pięć tomów, z których pierwszy liczy 1346 kolumn na 673 stronach. O zwięzłość starano się tu umyślnie, ze względu na wymagania stawiane obecnie każdemu dziełu naukowemu, które ma znaleźć w praktyce szersze zastosowanie. Kilka rodzajów druku użyto w celu ułatwienia przejrzystości i — przyznać trzeba — cel osiągnięto, bo pobieżny rzut oka wystarczy, by ogarnąć wytyczne punkta rzeczy zawartej na każdej stronie. Co do zewnętrznej strony dzieło posiada wszystkie zalety znanych skądinąd wydawnictw Herderowskich. Dodać jeszcze można, że ilustracje — według uwagi wydawcy — pominięto z umysłu i zdecydowano się raczej w razie potrzeby wydać osobny z niemi atlas.

Jeżeli zestawimy powyżej wymienione zalety, którym dotychczas nie przeciwstawiliśmy żadnych wad, to nowe to dzieło przedstawi się nam jako ze wszech miar zasługujące na uznanie i to tem większe, że dotyczy jednej z najważniejszych kwestyi życia indywidualnego i społecznego; polecić je i dodam — ręczyć za to można, że zawarte w niem zasady w istotnych swych punktach na pewnych opierają się podstawach, że zatem zastosowanie ich niechybnie przyczyni się do prawdziwego i w skutkach swoich błędnego wychowania. Stąd znajdować się powinno to dzieło w wszystkich zakładach wychowawczych i naukowych, nie tylko średnich ale i ludowych, oraz u tych wszystkich, którzy z zawodu zajęci są pracą wychowawczą a wielki też z pewnością pożytek przyniesie każdej rodzinie, dbałej o umiejętne a pewne prowadzenie swych dzieci.

Stanisław Podoleński.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Mowa przy rozpoczęciu obchodu Konstytucji 3-go Maja. *Ks. Kazimierz Zimmermann.* Odbitka z „Gazety kościelnej“ Lwów, 1912.

Tematem tej mowy jest przystośność treści pierwszego artykułu Konstytucji do naszych współczesnych wa-

runków narodowych. Autor rozwija obszerny program religijno-społeczny, a zaraz na wstępie (co może lepiej nadać się mogło na konkluzję) doradza wysyłać do ciał prawodawczych posłów szczerze katolickich i wspólnie z nimi pracować nad objawieniem się (?), roz-

wojem i wzmocnieniem religii w narodzie. Mowca prawi dalej o mocy religii prawdziwej, lecz aby ta moc religii okazała się w czynach, trzeba ją pojąć należycie, dać jej właściwą formę zrozumiałą epoce obecnej, skryształizować ją w hasła i programy zgodne z Objawieniem (str. 6), ale zarazem przystępne i potrzebne dzisiejszym ludziom i społeczeństwom. Dalszy ustęp mowy poświęcony jest wielkości wiary chrześcijańskiej, a w szczególności uzasadnieniu, że ona uzdalnia jednostki i społeczeństwa do wypełniania swych zadań kulturalnych (10) i do wytworzenia harmonijnego ustroju społecznego. Czego Konstytucja jeszcze uczynić nie zdołała, to dzisiejsze pokolenie spełnić powinno, a mianowicie doprowadzić do równouprawnienia obywatelskiego warstw pracujących, wcielić je w organizm narodowy. To jest postulatem i rozumu politycznego i interesu narodowego. „Dzisiaj trzeba tylko (1) warstwom pracującym poświęcać swój czas i swoją pieczę” (12)... bez tego niema co mówić o innej przyszłości Polski“. W zakończeniu wzywa mowca słuchaczy, aby program społeczny, gospodarczy, polityczny Konstytucji dalej w miarę rozwoju stosunków urzeczywistniali przy Bożej pomocy.

Mowa ta, obfitująca w głębsze myśli, ale może zbyt jednostronnie trąską jedynie o warstwy pracujące przepojona i przeważnie interesom tej tylko gałęzi społeczeństwa poświęcona, nadaje się dogodnie do odczytów na zebraniach publicznych, lepiej jeszcze niż na ambonę kościelną.

Ks. Dr. A. Jougan.

Kazania homiletyczne o synu marnotrawnym. Ks. K. Smógor. Poznań, 1912. Str. 141.

Napis nie odpowiada treści. Nie są to bowiem kazania wedle norm homi-

letyki, ale zwykle nauki duchowne, proste a praktyczne. Jeszcze mniej odpowiada im przydawka „homiletyczne“, ani co do treści, ani co do formy. Przypowieść o Synu marnotrawnym, rozwinięta w pierwszej nauce, w dalszych służy tylko na wstępie do przejścia na temat obrany, niekiedy wzmianka z przypowieści ogranicza się w tych naukach ledwie do kilku wierszy, a są i takie (9, 10, 11, 12 i 15), w których nawet przełotnej nawet wzmianki nie ma o tle z przypowieści. Autor polski opracował te nauki wedle obszernego dzieła w języku angielskim O. Michała Muellera, ze Zgromadzenia Najśw. Zbawiciela, z 29 obszernych „Rozmyślań praktycznych“ oryginału wybrał 16 i oddał je w języku polskim w znacznem skróceniu. Żałować trzeba, że znakomicie w oryginale rozwiniętych warunków Sakramentu pokuty nie przyjął do swej przeróbki, ku czemu tak świetnie nadaje się ta przypowieść, ale ograniczył się tylko do dwóch, tj. spowiedzi i skruchy; na dobitkę nauka o skrusze nie może nawet skromnych wymagań zadowolić. Wogóle jest w opracowaniu tych nauk wielka rozmaitość, początkowe (od nauki „o przeznaczeniu człowieka“ do nauki „o sądzie“) wykazują staranność i względną gruntowność; natomiast dalsze (o piekle, o modlitwie, o spowiedzi (zwłaszcza zaś o skrusze) i o niebie są dość powierzchowne i w treść dydaktyczną ubogie.

Zasługa ks. Smógora przy wydaniu tych nauk na tem polega, że przyswoił je językowi polskiemu, że dążył wszędzie do celów praktycznych, co się uwidocznia w trafnych zastosowaniach i dobrze dobranych przykładach historycznych, którymi przynajmniej po jednym każdą naukę urozmaicił. Niektóre wyrazy nie są dość szczęśliwie użyte np. „marudzić“ zamiast rozpaczać (72), Jezus zawodzący od

placzu (97), dziwactwo (99). Przy naukach postnych lub rekolekcjach ludowych nauki te mogą oddać dobrą usługę.

Ks. Dr. A. Jougan.

Ciało Pańskie a ciała zmartwychwstanie. *Ks. Dr. Antoni Szlogowski.* Warszawa, 1912. Str. 38.

Pod tym napisem ogłosił autor drukiem swój referat teologiczny, odczytany na ostatnim kongresie eucharystycznym w Wiedniu. Prawdę wiary, że Eucharystya jest rękomią chwalebnego zmartwychwstania ciał ludzkich, opiera autor (16—18) na ustawicznej wierze Kościoła, widocznej w najstarszych liturgiach i w ikonografii chrześcijańskiej, przedobrażonej w figurach St. Testamentu, utrwalonej w zwyczajach Kościoła, udokumentowanej w dziełach Ojców, po których idą świadectwa naszych starych teologów polskich, jak Karnkowski, Wujek, Skarga, Birkowski. Podstawą tej wiary są słowa obietnicy Zbawiciela, danej w Kafarnaum, do których autor przydał krótką, ale jędrną egzegezę (19—22). W części III referatu (22—38) rozwija autor przymioty błogosławionych ciał, zmartwychwstałych na wzór chwalebnego ciała Chrystusowego, uwidatnia za Suarezem i Franzelinem, że wskutek godnego przyjmowania Eucharystyi za życia ziemskiego ciała ludzkie otrzymają szczególne, wyjątkowe i odrębne prawo do chwalebnego zmartwychwstania po śmierci, a za przewodem kard. de Lugo usiłuje nadto dalej wykazać, że Eucharystya przyniesie nam nie tylko prawo nowe, ale i d a r n o w y i szczególny przymiot w zmartwychwstaniu i przyszłej chwale w niebie, który „odbije się i na ciele uwielbionem w szczególnych jemu właściwych zarysach: wzmoczonej, szczególnej chwały i świetności“.

Piękna to idea, a raczej życzenie prawdziwie pobożne zacnego autora.

ale dla uzasadnienia teologicznego wymaga nieco więcej innych argumentów, niż ich podaje referat (30—35). Nawet owo „gdyśmy zaś zgodzili się“ (33) nie jest jeszcze zupełnie przekonującym przy niedostatku słów Pisma św., bardziej wyraźnych i dobitnych. Na razie chyba o kwestyi tej, mimo że do niej „rwie się dusza“, powtórzyć wypadnie sąd Suareza: *Sed haec sententia... quia nullum habet fundamentum, relinquenda est.* (Disp. LXIV. sec. 2.). Teolog ten wcale nie pisze, że w to zdanie wierzyć można.

Język autora świetny i swobodny, nawet w zakresie terminów teologicznych, (z wyjątkiem „uchrystusowany, nieuchrystusowany“ (36), styl uroczysty, nastrój podniosły, owiany głębokiem przekonaniem i zapalem aż do ostatniej zwrotki referatu.

Ks. Dr. A. Jougan.

Czasopiśmiennictwo polskie wieku XIX w Królestwie, na Litwie i w Rusi, oraz na emigracyi. (Zarys bibliograficzno-historyczny). *Jan Kucharzewski.* Warszawa 1911.

Tytuł podaje już ogólną treść pracy. Autor tworzy trzy grupy: prasa w Królestwie, prasa na Litwie i w Rusi, wraz z pismami wydawanymi w Petersburgu składa się na drugą grupę, trzecią stanowi prasa emigracyjna. Autor skreśla ściśle, co rozumie przez emigracyę. Miano to, zresztą ogólnie już przyjęte jako termin techniczny, określa wskutek wypadków politycznych. W rozworu pracy rozróżnia autor następujące okresy: pierwszy okres do 29 listopada 1830; tu rozważa oddzielnie prasę Litwy i Królestwa. Epoka powstania listopadowego stanowi okres odrębny. Trzecia epoka obejmuje czas od roku 1831 do r. 1863 włącznie; tu zaprezentowane są wszystkie trzy grupy. Okres ostatni trwa od r. 1864 do ostatnich dni.

Czasopisma grupuje autor wedle kierunków, charakteryzując pokrótce podłoże, na którym powstały.

Choć zestawienie czasopism nie jest wyczerpujące, jak to sam autor przyznaje, praca ma doniosłą wartość historyczną i dla badacza stosunków jest niezbędną, jako źródło pomocnicze.

Dr. A. B.

Na obu półkulach. Wrażenia i listy z podróży. Antoni Stadnicki. Kraków, Warszawa 1911.

Z notatek i listów z licznych podróży, związanych przeważnie z zawodem piszącego, z wrażeń i szkiców, drukowanych już poprzednio, złożyły się dwa spore tomy, zatytułowane przez wydawcę Dra Lucyana Rydla wspólnym mianem „Na obu półkulach”. Jak zapewnia wydawca w przedmowie, starał się jak najmniej przerabiać spuściznę rękopiśmienną; to nam poręcza, że to, co czytamy, daje wierny wizerunek myśli, fizjognomii duchowej i, że użyję utartego wyrażenia, faktury literackiej piszącego.

Te dwa tomy, to podobno nie jedyna literacka spuścizna przedwcześnie zgasłego Antoniego Stadnickiego. Choćby jednak ponadto nic więcej nie zostało, stanowią pomnik dla zmarłego może nie *aere perennius*, ale w każdym razie zapewniający mu trwałą pamięć u potomnych.

Podróżował wiele, bo podróżować musiał, i podróżować zapewne miał ochotę. Ale trzeba dodać i umiał podróżować. Umiał patrzeć, robić spostrzeżenia, a to co widział, umiał przełożyć na papier w formie wytwornej, lekkiej, przyjemnej do czytania, umiał okresy nasuwające się mu uplastyczyć dla czytelnika. A niejednokrotnie swe spostrzeżenia i wrażenia ujmując w sposób głębszy; w całym zbiorze spotykamy liczne uwagi natury ogólnej, spo-

łecznej, historycznej, czy estetycznej, dające syntezę jego spostrzeżeń lub powstałe pod wpływem kojarzenia się ich z wyobrażeniami lub ideami. A te dygresje wskazują umysł głęboki, wysoką inteligencję i wielki zapas wykształcenia.

Przed oczami naszymi przesuwają się barwne obrazy „Krainy ogniem i mieczem”, Bośni i Dalmacyi, Tangeru, Gibraltaru, Hiszpanii i jej specyficznie właściwej zabawy walki byków. W drugim tomie druga półkula, Ameryka. Podróż morzem, Nowy Jork, Niagara, podróż przez Stany Zjednoczone, po tem Meksyk.

Z Meksyku do ziemi Faraonów, gdzie bezlitosna śmierć przerwała nie młodego i obiecującego życia.

Dr. B.

Pamięci Syrokomli. Litwa i Ruś. Tom III. Zeszyt II. Sierpień 1912.

Zeszyt sierpniowy ub. r. miesięcznika „Litwa i Ruś” poświęcony jest w całości pamięci Syrokomli.

Składają się na tę udatną wiązkę: rozprawka wstępna, ciepło napisana, Józefa Wierzyńskiego p. t. Syrokomla; rozprawka krytyczna Kościakowskiej (Syrokomla jako lirnik); artykułik wyjaśniający na przykładach, o ile poeta korzystał z poezji ludowej (Poezja ludowa w utworach Syrokomli); opis wycieczki do Borejkowszczyzny, nieopodal Wilna, gdzie ongi Syrokomla mieszkał, przez I. O. (Wycieczka do Borejkowszczyzny); dwa ciekawe artykuły Jana Obsta (Syrokomla jako dziennikarz) i L. Uziębły (Z humorystyki Syrokomlowej). Z poezji pomieszczono wiersz białomski, napisany ku czci Syrokomli przez Janka Kupałę p. t. „Lirnik wiaskowy” i nieznaną wiersz Syrokomli.

Zeszyt zdobią prócz tego liczne ilustracje: portret Syrokomli (przez Ry-

pińskiego) trzy rysunki F. Ruszczyca, trzy ilustracje do gawęd Syrokomli Wacławy Flerówniej, oraz fotografia redakcyi „Kuryera Wileńskiego“, do której składu poeta należał.

Całość przedstawia się bardzo mile tak pod względem treści, jak i pod względem zewnętrznym.

Ad. Str.

Planty krakowskie. Napisał *Fr. Klein*. Wydawnictwo Towarzystwa ochrony piękności Krakowa i okolicy. W druk. „Czasu“ 1911. Str. 102.

W wytwornie wydanem tem dziele przez „Towarzystwo ochrony piękności miasta Krakowa i okolicy“ zebrał znany autor wszystko najważniejsze, co się do historii, estetyki i architektury plant odnosi. Zwięźle i jasno kreśli założenie i historję plant, dzieląc ją na trzy okresy. Potem przechodzi do budowy t. j. architektury plant. Jest to strona estetyczna dzieła. Podając różne przykłady ujemne wykazuje, co zdoła a co szpeci ten naokoło miasta ciągnący się ogród. Nie pomija i technicznej strony plant. Nie szczędzi słów prawdy komisji plantacyjnej za przewinienia i usterki gospodarskie, daje wiele rad i wskazówek na przyszłość, a wszystko z wielkiem i głębokiem zrozumieniem rzeczy. Cel zatem dzieła: estetyczny i dydaktyczny; widzimy nietylko piękno i wdzięk ogrodu, lecz i błędy, do których usunięcia podaje autor odpowiednie sposoby.

Jeśli się weźmie pod uwagę skąpy materiał archiwalny i biograficzny, na jakim autor mógł się oprzeć, — musi-

my zaznaczyć, że wywiązał się znakomicie z swego zadania, stwarzając studjum jedyne w swoim rodzaju w literaturze polskiej.

K. G.

Astronomia dla wszystkich. *Simon Newcomb*. (Przełożył z angielskiego i według drugiego wydania niemieckiego uzupełnił R. Merecki. Warszawa 1912.

Słusznie taki tytuł nadał autor niniejszej książki. Kto bowiem posiada choćby elementarne wykształcenie z dziedziny kosmografii, może czytając ten popularny wykład zjawisk niebieskich, zapoznać się w sposób bardzo przystępny z najważniejszymi elementami astronomii.

Autor wprowadza naprzód czytelnika w to, co samo wpada w oczy, uczy go czytać na sklepieniu niebieskiem. Następnie wskazuje mu narzędzia, jakimi się badacz posługuje, i które głównie przyczyniły się do poznania odległych światów. A tak przygotowanego czytelnika obznajmia krok za krokiem z ruchami słońca, ziemi i księżyca. W części czwartej uczy ruchu planet i praw rządzących ich biegiem. Wreszcie wiedzie czytelnika poza ten układ słoneczny i ukazuje mu odległą a olbrzymie światy gwiazd stałych.

W tem wszystkiem wykład jasny i przystępny i stopniowe udzielanie wiadomości ułatwia rozumienie rzeczy. Przekład polski poprawny, starannie wykonane ryciny i piękny druk podnoszą jeszcze wartość książki.

A.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Uważnione
małżeństwa
mieszane.

W ucisku Kościoła cios dla tysięcy wiernych zabójczy spada w państwach, gdzie ustawodawstwo albo układ stosunków nie zawsze narzeczoną pozwala zawierać ważny związek małżeński — każe im nieraz żyć w stadle nieprawem. Takiego zamachu na sumienie może wielu nie uważa za możliwy wśród naszego społeczeństwa, a przecie „te tylko małżeństwa są ważne, które się zawierają przy świadkach wobec proboszcza albo jego zastępcy pełnomocnego”: tak wedle prawa trydenckiego orzekł znowu Rzym w niedawnej ustawie *Ne temere*, — nieprawym małżonkiem zostaje katolik, który nie w obliczu Kościoła ślub zawarł, choćby skłoniony naciskiem władz prześladowczych. Otóż ustawodawstwo prawosławne bezwzględnie wymaga od narzeczonych katolickich, żeby poza oczyma swoich proboszczów w tym wypadku kojarzyli małżeństwo nieprawe, kiedy mają poślubić osobę prawosławną. Do takichże małżeństw zmuszają w Niemczech władze inowiercze — nie na ustawodawstwie wprawdzie oparte, ale na sile: umieją bardzo złem okiem spoglądać na podległego urzędnika, a tem gorzej na woj-

skowego, który przy małżeństwie mieszanem ślubuje wiarę narzeczonej w kościele; kiedy nie zawarł w zborze związku nieprawego, niech tedy rzeka się z góry wszelkich u rządu względów za lata wiernej jego służby w urzędzie czy wojsku. Podobna przemoc wolnomularskiego rządu na Węgrzech mnoży tam stadła nieprawnie kojarzone między katolikami a inowiercami. Słowem blisko nas i na naszych rodakach nad Wartą i Odrą, nad Dźwiną i Dnieprem ciężą stosunki, które zapędzają spółwyznawców naszych o sercu mniej bohaterskiem w drogę sprzeczną z sumieniem.

Na taką klęskę dla społeczeństwa katolickiego radę znaleźli pierwsi biskupi w dzierżawach niemieckich: zasługę ich wieki dziejów zapamiętają. Pius X. oparł się na dogmatycznej prawdzie o istocie sakramentu małżeństwa i wbrew wszelkim zwyczajom dotychczasowym określił ustawę tej treści, że odtąd małżeństwa mieszane, zawarte *clandestine*, a nie w obliczu Kościoła, pozostają już tylko, jak dawniej, niegodziwemi, ale w Niemczech odtąd ważnie się zawierają pomimo trydenckich przepisów.

Przez taki czyn Pius X. okazał się niepospolitym duszpasterzem, niezrównanie dbałym o spokój sumień w jednej dzielnicy kościoła prześladowanego: to też po innych dzielnicach otucha wstąpiła w serca duchowieństwa, zbolalego na widok wiernych w związku nieprawym; zaraz na Węgrzech biskupi gromadnie przedstawili stan swoich dyecezyj pod przemocą wolnomularstwa i uprosili najwyrozumialszego Sługę sług bożych o takąż jak w Niemczech ulgę w uchwale trydenckiej.

Śpiesznie też i nasi biskupi nad Wisłą i dalsi na Wschód zakrzętnęli się o ulgę, uproszoną już dla zachodnich dyecezyj pod berłem niemieckiem. Potrzebowała ta sprawa opieki, bo od pięciu lat zawisł nad nami imienny wyrok kongregacyi, że „dekret *Ne temere* rozciąga się między innemi na cesarstwo rosyjskie i Królestwo Polskie i dla tego małżeństwa mieszane, kojarzone jedynie przed duchownym akatolickim, pozostają nadal nieważne“. Grom padł na tysiące sumień, ale przez chwilę

minister Stołypin dopuścił nadzieję, że przestanie katolikom przeszkadzać do ważnego małżeństwa. Mianowicie przez cenzurę przepuścił całkowicie ustawę papieską *Ne temere*, czyli pozwolił ogłosić ją w państwie i wykonywać wiernie, a nie zastrzegł nic dla państwowej ustawy o ślubach pozakościelnych, nie przeciw papieskiej woli, żeby katolik składał małżeńską przysięgę przed proboszczem, który ją uroczyście odbierze i do ksiąg wpisze. Zatem duchowieństwo gdzieś zaczynało ustawę papieską stosować przy małżeństwach mieszanych, aby je uważniać. Ale nie długo mogli katolicy iść za głosem sumienia przynajmniej pod tym względem bez przeszkód państwowych. W dwa lata po ogłoszeniu rządowo piśmie papieskiem, minister Stołypin odwołał je częściowo — mianowicie ogłosił, że pismo to, choć ogłoszone całkowicie, nie miało się rozumieć za ogłoszone w ustępach, które potępiały stadło skojarzone poza oczyma duszpasterza: więc Stołypin każdemu z osobna biskupowi zapowiedział, że kary ksiądz żaden nie ujdzie, który na podstawie papieskiego pisma uważni małżeństwo mieszane. Od trzech lat tedy katolicy łączyli się znowu z prawosławnymi *clandestine* w związki nieprawe.

Zamęt stąd sumień skłonił Papieża do nowego ustępstwa: ulgę najpożądańszą przyniosło ostatnie pismo Piusa X. dla wiernych; ustaje przy małżeństwach mieszanych przepis, żeby proboszcz uroczyście pytał nowożeńców o zgodę i przyjmował ich przysięgę. Skoro państwo nie pozwala Kościołowi wieść katolików zaręczonych z osobą prawosławną przed ołtarz, ani im błogosławić i wręczać obrączek, ani nawet wymówić słów: *Ego vos coniungo* — tedy ksiądz w kancelaryi bez komży, stuły i świec zapalonych, tylko przy świadkach dowiaduje się od narzeczonych, że zgadzają się żyć w małżeństwie ze sobą — zatem może do ksiąg zapisać małżeństwo to, jako już ważne... przynajmniej!

Martwią już tylko te małżeństwa, jako niegodziwie zawierane wbrew zakazom, których Kościół cofnąć nie może. Ale i na to szukają księża rady i podają w swoich pismach — jak *Myśl katolicka* i *Wiadomości Archidiecezyi mohilewskiej* —

sposób księdza Dunne'a w Stanach Zjednoczonych. I tam jedną z klęsk Kościoła stanowią małżeństwa mieszane; otóż ks. Dunne przeciwdziała im przymyślnie: nie dopuszcza do ślubu, póki strona akatolicka nie przesłucha przez kilka tygodni wykładu Wiary Powszechnej. Ksiądz zastrzega się odrazu, że nie zamysła przez te wykłady przeciągnąć na łono Kościoła, tylko zamierza dziejowo przedstawić prawdę, aby przesady nie wiodły do niesnasek nieszczęśliwych w mieszanem małżeństwie. Nadto chce uświadomić jaśniej stronę katolicką o zasadach i obowiązkach Wiary: zatem zaprasza oboje narzeczonych na wykłady przez trzy tygodnie. Pomysł ten okazał się radą skuteczną przeciw małżeństwom zakazanim, bo, w przeważnej części wypadków, pod koniec wykładów, już oboje narzeczeni w oweczarni Kościoła przysięgali sobie wiarę z jego niezastrzeżonem błogosławieństwem. I księdzu Dunne'owi błogosławią biskupi amerykańscy za radę, z której coraz więcej księży korzysta za Atlantykiem: niestety nie na całej ziemi można żywcem naśladować księdza Dunne'a; ale wprawni pracownicy zwykłym nożykiem rzeźbią posągi, kiedy im dłuta prawo nie daje do rąk.

Pielgrzymki na Straszny cios nie zdruzgotał stolicy częstochowskiej.
Jasną Górę Nie dopisały złogłowym wieszczom ich wróżby, że cmentarna pustka zalegnie na pobojoisku cudów zwycięskich. Pielgrzymki znowu tak liczne, jak dawniej, dążą tam zwłaszcza od maja do września, gdzie czołem bili świata monarchowie. Przeciwnicy zdradzali zawzięty gniew po doznanym zawodzie: czy nie mieliby nie uknuć? Przewidywali coś księży biskupi sandomierski i kalisko-kujawski: więc w okólnikach zapowiadali, że w chwili ciężkiej dla Jasnej Góry nie zbraknie wysiłków, aby lud odwieść od pielgrzymek. Otóż dojrzał pomysł, żeby utrudnić spowiednikom zjazdu na odpust: zniechęci pątników droga daremna bez dostępu do Sakramentów. Oczywiście corocznym setkom tysięcy pątnika trzeba dostarczyć setek księży do posługi i pociechy duchownej: udzielał im odwiecznie gościny przeor Jasnej Góry w klastorze na tak długo, jak wy-

padało przy natłoku rzesz pokutnych. Więc petersburskie ministerium spraw wewnętrznych poleciło konsystorzowi rz.-kat. dycezyalnemu we Włocławku zawiadomić O. Przeora, że nadal nie wolno w klaszorze przyjmować w gościnie przejezdnych księży, ani świeckich ani zakonnych, chyba na krótki czas — nie na całą dobę. Jednocześnie miejscowa władza bezpieczeństwa zażądała, żeby klasztor zgłaszał jej nazwisko każdego gościa wraz z wierzytelnymi dowodami o tożsamości ich osób. Nowina ta spadła jak oczekiwany grom dla czcicieli Królowej Zwycięskiej: bez nadziei spowiedzi czyż nie ustaną pochody? czyż nie dopiszą teraz wróżby złowieszczych ptaków o upadku Stolicy? Ale ledwo przez kilka miesięcy groza ciosu przerażała wiernych: Królowa poddanym radę wskazała. Najprzód potrzebom gromad pokutnych zapobiegli biskupi; następnie dla pojedynczych pątników obmyślili pomoc Paulini. Mianowicie biskupi w okólnikach zarządzili, żeby proboszczowie uwiadomieni kiedybądź o zamierzonej pielgrzymce, zaraz uczestników jej przygotowywali kazaniami pokutnymi do spowiedzi i zapraszali spowiedników z okolicy, aby pątnicy już odchodzili pojednani z P. Bogiem i zyskiwali odpust mimo braku księży na miejscu cudownem. Ze swojej strony Jasna Góra rozesłała po czasopismach okólnik, w którym umie jasno wyrazić, jak żywotna siła Kościoła dokonywa swoich dzieł spokojnie mimo przeszkód na pozór niewzruszonych. Otóż czytamy krótki opis, że najświeższe przepisy Władzy nie pozwalają klasztorowi przyjmować gościnnie księży, przybyłych na Jasną Górę, czy to na czele pątników, czy też pojedynczo z posługą duchowną dla rzesz pobożnych. Posłudze tej wydałaby klasztor, gdyby liczył przynajmniej kilkudziesięciu księży — a skoro liczy zaledwie siedmiu: nie może obejść się bez pomocy duchowieństwa przyjezdnego, dla tego postarał się o trzydzieści pokoi stale gotowych w hotelu krakowskim, tuż obok klasztoru. Mogą tedy spowiednicy w dawnej liczbie przybywać z pomocą w pracy, której po dawnemu wymaga nieustanny natłok pątników.

Księża parafialni odpowiedzieli na hasła biskupie zdwojoną ochotą do pracy, na hasło paulińskie licznym zjazdem do ho-

telu, na koniec na Najwyższe hasło kilku już prośbami do władz, żeby im wolno wstąpić do zakonu św. Pawła.

Okazał się tedy bezskutecznym zakaz zjazdu duchowieństwa i chodzą pogłoski, że zostanie cofnięty. Więc warstwowo złowieszczyemu nastrojowi przydały się bardzo nowe powody popłochu: niejednokrotna obława na szajki rozbójnicze, rzekomo poukrywane w wieżach klasztornych — huki strzałów, trzask bomb, gromkie opisy dziennikarskie o niebezpieczeństwie mienia i zdrowia dla pątników częstochowskich. Obrońcy porządku, troskliwi o bezpieczeństwo pątników z Małopolski, zamknęli jedną ze stacyj granicznych dla zaopatrzonych w przepustki ośmiodniowe. I Mueller kiedyś, z troski o bezpieczeństwo zakonników, chciał obsadzić im klasztor. Można śladem Muellera iść na wojnę z Matką Boską i śladem Muellera uciekać.

Ciche tętna
katolickiego
serca nad
Dnieprem.

Tam, na kresach Europy katolickiej, nad Bohem po Dniepr i Czarne Morze, długo Kościół spisywał duchownych i rycerskich mężów, poległych w nadziei, że krew z ich siejby męczeńskiej zejdzie na żniwo wyznawcom. Cichota krew wsiąkała w czarnoziem stepowy i bez przechwałek wschodziła Kościołowi żniwem wybitnych sług: od brzegów Czarnego Morza szli Hołowińscy, Chołoniewscy, Jełowiccy, Beyzimi nad Sekwanę i Tybr i Nową i skrawki ziemi czy wysp modlić się i pracować dla Królestwa Bożego. I do dziś tętni to serce wierne Kościołowi na obszarach, gdzie dawniej nad owczarnią Chrystusową czuwał liczny zastęp biskupów i officjałów i w Kijowie, i w Kamieńcu, i w Lucku, i w Brześciu, i w Braclawiu, i na koniec w Żytomierzu: dziś ledwo ta ostatnia stolica, ponad rumowiskami tyłu dyecezyi ocalała, wyczekuje następcy po Maciejowskich, Lipskich, Załuskich... i jęki, jak zamieć stepowa, straszne, bolały płaczem na gorszycieli... i znowu umilkły ciche stepowe, aby pozwolić dolecieć do nas tylko silnemu słowu: trwamy we wierze, choć jak śmierć milczymy. Tam cisza, siła! Tam nie wolno Kościołowi okazać w niczem sił twórczych, nie wolno wyciągnąć ręki do kół rzemieślniczych, do związków

młodzieży, do stowarzyszonych sług, do przytuliska sierót, do żadnej warstwy upośledzonej, aby biedaków gromadnie zespolić w samopomocy: więc nie do całych warstw społecznych, ale do każdej z osobna biedy pójdzie ten Kościół niestrudzony i coraz nową myśl tohnie w ziemian, mieszczan, urzędników czy dziennikarzy... i płyną zasiłki na wpisy do szkoły dla Janka, Pietrka, Franka, tylko nie dla młodzieży szkolnej, bo do tej dostęp wzbroniony... i znajdzie się zapomoga dla Pawłowej i Jędrzejowej, dla Zosi i Kasi, ale nie dla wdów i sierót, bo nad nimi opieka zakazana... i pogorzelec, i rękodzielnik bez warsztatu, kasyerka bez kaucyi, i każdy imiennie znajdzie w Kościele opiekę i radę... i dzieci majątniejszych rodzin dowiadują się o rówieśnikach zziębłych przy piecach nieopalonych, przy wieczery bez opłatków: więc w *Dzienniku Kijowskim* ogłaszają, że trzeba drzewa dla rodziców Kubusia, ale i opłatków na wieczrę jego krewniaczkom... i po kilku dniach już paręset złotych inne dzieci złożyły. Ale i tym dzieciom bogatszych rodzin trudno czasem coś zebrać: rodzice muszą się liczyć... ostatni rok klęską sioły zniszczył połowę ziemiopłodów, drugiej połowy sprzedać nie da z braku dowozu, bo pozamykał wsie jak oazy po stepie rozmokłym niby topiel błotnista: niedawno w powiecie żytomirskim staruszka w drodze bagnistej ugrzęzła i padła bez ducha... a kto sprzeda co z pola, i ten wpadł w ręce oszusta, który się w sądzie uniewinni, że nie ma gotówki, bo w Odesie zawałił się brzeg morski z jego willą, albo w Sławucie przy ciągłych pożarach zginęły mu tysiące, albo szajka zbójcka w jednym z częstych napadów na kolei odarła go do szczętu... więc i majątniejsi muszą zaciągać pożyczki na odsetkę 12 od sta... Skądże wezmą pieniądze na tyle dzieł dobroczynnych? Powynajdują sposoby: zamiast życzeń imieninowych czy widowek odświętnych, zamiast sutych święconych czy wili, zamiast wszystkiego, co zbędne: obędą się zwykłą strawą, przeposzczą post na oleju i poślą coś do *Dziennika Kijowskiego* dla tej nauczycielki, co nie ma czem opłacić egzaminu — i poprą budowę kościoła nowego i zasilą proboszcza, znowu skazanego za jakiś chrzest rodziców rzekomo akatolickich... bo ten pro-

boszcz: to dusza ich pracy i zarzewie ich poświęceń — więc kiedy umrze, to go i całemi wiorstami na plecach własnych poniosą z Kamieńca na cmentarz daleki. Więc widzi tam Kościół przed społeczną pracą pozagradzane dla siebie wszelkie drogi pooznaczane napisami Spólek, Związków, Kół, Towarzystw: tedy nie wywiesza żadnych godeł komubądź podejrzanych, nie ujmuje swojej pracy ani w zasadę, ani w nazwę nowoczesną, nie korzysta z bitych gościńców europejskich — ale po staroświecku polnemi drogami idzie w ulewę i w skwar — i jak przed tysiącem lat, tak trybem starodawnym siłę żywotną tam okazuje, gdzie odarty z praw ludzkich, trwa przy prawie boskiem do modlitwy i pracy — i tem prawem cicho mówi: jestem tu... niespożyty walką z Neronami, i starszy od ich prześladowczych dynastyj, i trwalszy...

Ks. K. Czaykowski.

Wydawnictwo poznańskie p. t. „Za prawdę”.

Od roku 1911 ruchliwa i niezmiernie pożyteczna dla szerszych kręgów społeczeństwa polskiego księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu podjęła — obok innych bardzo cennych wydawnictw — peryodyczne wydawnictwo p. t. *Za prawdę*, z którego dotąd (r. 1912 grudzień) jest w obiegu numerów jedenaście. Z tych pięć numerów poświęcono zagadnieniom chwili, więc bardzo aktualnym, jak projekt prawa pruskiego o krematoryach — jak sprawa krwawych zajęć w Częstochowie — jak zabór państwa kościelnego i brutalne zaczepki burmistrza Rzymu, Nathana — jak proces O. Bricarelli'ego z Verdesi'm o tajemnicę spowiedzi — i biografia X. Piotra Skargi z okazji jego jubileuszu (numery: 1, 2, 3, 7, 8.); reszta zaś numerów, więc sześć (mianowicie 4, 5, 6, 9, 10, 11), ma za przedmiot popularne przystępne dla szerokich mas inteligencji miejskiej, młodzieży, robotników i ludu wykłady o charakterze apologetycznym w zasadniczych kwestyach wiary katolickiej i moralności tak prywatnej, jak publicznej, tak w sprawach osobistych, jak i w społecznych. Całość tego wydawnictwa wywołuje wrażenie dodatnie. Broszurki niewielkie, liczące około 30 stron in 16^o, oprawione w sztywną okładkę; druk wyraźny, papier mocny, format wygodny, nawet w podróży. Pisane są stylem ję-

drnym, energicznym, choć miejscami przytwardym — jak to właściwe jest „Poznańczykom“ — ale za to nader żywym, przeważnie obrazowym, plastycznym, zajmująco i zaciekawiająco; odznaczają się nadto sposobem dowodzenia prawdy logicznym, jasnym, dobitnym i dosadnym; przepyszne są w swych niezmiernie przekonywujących porównaniach i objaśnieniach rzeczy przyturdniejszych — dla umysłów mniej wyćwiczonych w filozoficznem myśleniu — zapomocą konkretnych przykładów lub argumentów *ad hominem*. Układ (prócz n. 11) jest zawsze jasny, przejrzysty, zwykle (szkoda, że nie zawsze) osobno na końcu uwidoczniiony. Powyższe zalety w intensywny sposób widać np. w n. 3. „Zabór Rzymu. Burmistrz Nathan“; w n. 4. „Więcej odwagi“; w n. 5. „Czemu jestem katolikiem? Kilka słów o modernizmie“; w n. 6. „O wolnodumstwie dla wychodźców polskich“ (z tą książeczką „obieżysas“ powinienby się nie rozstawać!); w n. 9. „Za grobem“; w n. 10. „Chrystus Pan Bogiem“.

W szczegółach możnaby niejedno zarzucić, nie tylko w treści, ile we formie. W treści n. p. w n. III. nie wyjaśniono krótko a jasno, jakie prawo mieli Pepin i Karol W. do darowizny t. 2. „dziedzictwa św. Piotra“ papieżom; w n. VIII. (o X. Skardze) spotykamy daty lub nazwiska błędne¹; w n. X. na str. 8. nazwani: Wolter, Renan, Strauss i Niemojewski (czy temu ostatniemu nie za wiele wyrządzono zaszczytu?) „myślicielami modernistycznymi“, bez względu na obecne znaczenie cenzury „modernistycznej“; choć to rozprawie nie nie uwłacza, bo właśnie dowodzenie bóstwa Chrystusowego jest tu przeprowadzone jasno, dosadnie, a wszelkie zarzuty, jakie, zwłaszcza w zetknięciu z protestantami lub dzisiejszymi niedowiarkami, katolik w tym względzie napotkać może, odparte są z należytą siłą. Przebieg poprawności języka i stylu wykroczenia bywają częstsze: ograniczę się do kilku przykładów. W zakresie składni spotykamy takie n. p. błędy: „ludy katolickie... nie przestają zanosić... gorące modły“

¹ Np. na str. 8. mowa o „trzechletnim pobyte (Skargi) w Wiedniu“, gdzie bawił najwyżej r. 1560/1; na str. 9. wymieniony kasztelan „Jan Krzysztof Tęczyński“ zam. Jana Krzysztofa Tarnowskiego (tak samo błędnie nazywana jego żona); na str. 12. są bałamuctwa w chronologii pobytu Skargi w Wilnie; na str. 16. „Seplewski“ nazwany (zgodnie z dawnymi biografiami) błędnie Ślepowrońskim; na str. 18. data przełożenia Skargi w domu św. Barbary powinna być poprawiona na 1584—1587; a bractwo św. Łazarza założone dopiero r. 1592, a nie zaraz po arcybr. miłosierdzia (str. 18) i t. p.

(III, 31)¹ zamiast: gorących modłów; „serce człowieka jest nie-spokojne aż nie spocznie w Bogu“ (V, 5) zamiast: dopóki nie spo-cznie; „ale może Kościół katolicki w ogłoszeniu swej nauki się rzeczywiście pomylił, jak twierdził Luter“ (V, 7) zamiast: rzeczy-wicie się pomylił; „Bóg (podług pastora Jatho) jest siłą, o której nie wiemy, czy sama ze siebie powstała, czyli też od wieków rządziła rozumem i mądrością stworzeniem?“ (V, 26) zamiast: rzą-dziła rozumnie i mądrze stworzeniem; „tu i ówdzie pojawia się i u nas anarchia w kształcie nożowników“ (VI, 8) zamiast: anarchia w kształcie nożownictwa; „ich (wolnodumców) twierdzenie posiadałoby pewien pozór prawdy, gdyby Kościół uczył dogmaty nielicujące z rozumem“ (VI, 16) zamiast: uczył dogmatów, nie licujących z rozumem; „religia jest na to, że jest Bóg“ (VI, 20) zamiast: głównem zadaniem religii jest pouczać, że istnieje Bóg...; „gdyby w końcu i lud podał ucho wolnodumcom, wtedy jest niechybnie stracony na zawsze“ (VI, 25) zamiast: gdyby w końcu i lud dał posłuch wolnodumcom, wtedyby niechybnie był na zawsze stracony; „później dam wskazówkę, jak i gdzie to się ma uczynić“ (VII, 14) zamiast: jak się to ma czynić i gdzie; „sąd nie chciał zmu-szać mimo nalegań adwokatów Verdezi'ego na ks. Bian-chi, aby wydał, czego się Verdezi, spowiadał“ (VII, 15) zamiast: sąd, pomimo nalegań adwokatów Verdezi'ego, nie chciał zmuszać ks. B., aby wydał...; „wiedziano w Watykanie dokładnie o wszyst-kiem, co modernistów i ich organizację dotyczy“ (VII, 18) zamiast: ich organizacyi. Zdarzają się nawet czasami wykrocze-nia przeciw poprawnej morfologii n. p. 4 p. liczby pojed. „wolnodum-cy“ zam. „wolnodumcę“ (VI, 4); „Mszą“ (VII, 19) zam. „Mszę“; 1 p. liczby mnogiej w formie przym. „obci“ (VIII, 24) zam. „obcy“; 2 p. l. mnogiej „bluźniercy“ (IX, 18) zam. „bluźnierców“... Z za-kresu semazyologii zjawiają się niekiedy dziwolagi, jak „przestą-pienia z religii katolickiej na protestancką“ (V, 4) zam. „przejścia“; „porządek bieżący“ (VI, 8, 9, 10) zam. „porządek obecny, istnieją-cy“; „wzdrygać ramionami“ (VII, 4) zam. „ru szyć“; „przy posłu-chaniu świadków“ (VII, 14) zam. „przesłuchaniu“; „kanonik tumski“ (VIII, 8 jest to prowincjonalizm wielkopolski) zam. „ka-

¹ Cyfra rzymska oznacza numer wydawnictwa „Za prawdę“, a cyfra arabska stronę.

tedralny“; „pożądliwość złego“ (XI, 8) zam. „zła, grzeszna“; „uczynki zasługne“ (XI, 12) zam. „zasługujące“; „dąb wystawiony na trzяс wiatrów“ (XI, 16) zam. „dąb narażony na wstrząśnięcia skutkiem gwałtownych wiatrów“; „urajając sobie różne choroby“ (XI, 3) zam. „wmawiać w siebie“; „to podpadło trzem synom zamordowanego“ (VII, 24) zam. „to zauważyli...“; nie brak mało zrozumiałych poza Wielkopolską prowincjonalizmów, jak „kopacz“ (XI, 3) zam. „grabarz“; „krukwie“ (XI, 5) zam. „kule“ itp. Cytaty niezawsze są wiernie podane np. z Ody do młodości: „tam sięgać, gdzie ramię nie sięga“ (VI, 17) zam. „wzrök“; albo w tekście św. Pawła: „a który z żoną jest, stara się o to, co Pańskiego jest“ (V, 17) powinno być: „nie stara się o to...“ Wreszcie jest mnóstwo błędów drukarskich n. p. (XI, 31) „opuszcza“ zam. „dopuszcza“; (VI, 14) „przemus“ zam. „przymus“; (VIII, 5) „Wytemberga“ zam. „Witemberga“ itp.

A więc wobec tak długiej litanii zarzutów, zwłaszcza w zakresie formy, wydawnictwo całe uznać chyba należy za niedbałe, barbarzyńskie, bez wartości?

Nie, nawet pod względem stylu i języka broszurki „Za prawdę“ ogółem posiadają niezwykle zalety — i właśnie dlatego wytknąłem niedostatki formalne w szczegółach, że pragnę zwrócić wydawcom uwagę na większą w tym względzie poprawność i pilniejszą kontrolę. Sądzę bowiem, że tego rodzaju książeczki, małe, ulotne, aktualne, są bardzo na czasie, i należy popierać je i udoskonalać nieustrudzenie, aby się mogły stać codziennym, a bodaj niedzielnym i odświeżającym pokarmem ludu i robotników i młodzieży polskiej tak po wszystkich czytelnich jak i poza domem, na tułaczce i wychodźtwie, wśród obcych wiarą, a często wrogo dla polskiego emigranta — najmity usposobionych społeczeństw. Wśród tylu zewsząd ataków czyż nie podniesie na duchu, nie umocni w wątpliwościach religijnych, moralnych i narodowych tego biednego, białego niewolnika, taka przystępnie napisana książeczka, jak „O wolnodumstwie“ (n. VI.), z której się nauczy, jak to podstępnie radykalni bezwyznaniowcy i bezbożni liberali nadużywają tak podniosłych haseł, jakimi są wolność myśli, tolerancja, postęp — jak zgubne są ich zasady — jak Kościół katolicki jest prawdziwym apostołem wolności, tolerancji i postępu — jak się wreszcie na obczyźnie urządzić należy, by w sidła wolnodumców nie wpaść... Albo gdy zalany falami różnowierstwa czyto w kraju czy na obczyźnie poczyną w swej bezradności robotnik nasz tchórzyć,

z swą wiarą katolicką się ukrywać, a może nawet tej wiary się wstydzić: wtedy wspólne lub osobne odczytanie broszury czwartej wydawnictwa „Za prawdę“ z pewnością doda zgębionemu od razu „Więcej odwagi“, bo go nauczy, czemu powinien cenić swą wiarę i jako człowiek i jako Polak — dlaczego to hańbą jest wiary swej się wyrzekać, lub zarzucać jej praktyki — jak marne są wymówki i osłanianie swego indyferentyzmu religijnego apelowaniem do „postępu i kultury“, do „taktu i grzeczności“ towarzyskiej, do „tolerancyi“ itd., skoro właściwem źródłem takiego postępowania jest najnikczemniejsze tchórzostwo...¹ Wszak w obecnych stosunkach bardzo łatwo dostają się do rąk czyto młodzieży kształcącej się dopiero, czyto mało wykształconego ludu lub robotników książki, pisma, gazety antyreligijne, podkopujące wiarę w nieśmiertelność duszy, w bóstwo Chrystusowe, w nauczającą powagę Kościoła: przeciw tym zakusom niewiary skutecznie mogą przeciwdziałać i krytyczniej zamaconą głowę i serce, a przeto i odporniej usposobić na te ataki niewiary tak świetnie a popularnie napisane broszurki, jak (nr. IX) „Za grobem“ Euzebiusza, (nr. X.) „Chrystus P. Bogiem“ Wingolfa, (nr. V.) „Czemu jestem katolikiem?“ tegoż² autora.

W jednym z pism polskich³ czytałem o wydawnictwie, tutaj omówionem, następującą uwagę: „Dla ludu poznańskiego, który

¹ Warto dla przykładu zacytować z tej broszurki ustęp o tem tchórzostwie: „Nasz słownik salonowy, lubujący się tak namiętnie w delikatnych słowkach, nazywa nieraz tchórzostwo grzecznie „ustępstwem“. Ale czy tam, gdzie chodzi o prawdę, gdzie chodzi o dobre zasady, może być mowa o ustępstwie.. W rzeczach wiary tchórzostwo jest zawsze nikczemnością. Zważ tylko dobrze postępowanie tchórze! Działa on z pełną świadomością złego, ażeby przypodobać się ludziom lub żeby ich sobie nie zrazić... (następują bardzo konkretne i aktualne przykłady). Tchórz w rzeczach wiary jest szkodnikiem, mającym na sumieniu upadek niejednej duszy, a im wyższe zajmuje w społeczeństwie stanowisko, tem większe spustoszenie szerzy w otoczeniu, tem cięższa odpowiedzialność jego przed Bogiem... (znowu znakomicie dobrane przykłady). Tchórzostwo u nas (t. j. pod rządem pruskim) zawiniło, że tyle szkół katolickich zamieniono na symultanne, bo katolicycy członkowie dozorów nie śmieli zaprotestować przeciwko temu. Tchórzostwo nasze podaje wiarę katolicką u innowierców w pogardę... Tchórzostwo nasze ułatwia wrogom Kościoła ich niecną robotę i zachęca ich wprost do zaczepek.. bo z tchórzem nikt się nie liczy“ (IV. nr., str. 24—27).

² Nie rozumiem, czemu autorowie omawianych broszur ukrywają się pod tak dziko brzmiącymi kryptonimami!

³ Por. *Przegląd katolicki*, Warszawa, r. 1912., nr. 47.

więcej czyta i jest bardziej uświadomiony i narażony z powodu współżycia z protestantami, może być taka broszura bardzo potrzebna... gdzieindziej w miarę potrzeby dobre odda usługi... gdzie lud ma gorącą wiarę, mogłaby go zgorszyć". Krytyk, zdaje się, miał tu na myśli lud z Królestwa. Otóż jabym sądził, że pogłębienie, ugruntowanie, uzasadnienie i obrona swych przekonań religijnych i zasad moralnych jest każdemu w naszych czasach i stosunkach rzeczą potrzebną, pożyteczną i często konieczną. Prawda jest, że są stopnie różne w tej konieczności. Dla ludu z zaboru pruskiego to głębsze uzasadnienie jest bardziej naglące, bo choć niedawno powiedziano o Wielkopolsce: „W Poznańskim postęp narodu pod względem religijnym idzie w parze z pracą duchowieństwa na polu oświatowym, gospodarczym i społecznym“¹ — to jednak nie brak i głosów, ostrzegających przed naruszeniem lub zwichnięciem tej równowagi, i smutnymi stąd następstwami, jak to niedawno czytaliśmy w „Kronice powszechnej“ (r. 1912 nr. 48., str. 367):² „W ostatnich czasach rozchodziły się po całej Polsce wieści o tem, że Wielkopolska nie utrzymała równowagi pomiędzy dobrami realnymi (może „materyalnymi“ miało być!) a idealnymi i pierwszym dała zbyt wielkie pierwszeństwo; że dla inteligencji cywilizacya niemiecka posiada jakiś nieodparty urok; że warstwy robotnicze coraz bardziej nasiłkają radykalizmem i socjalizmem, a więc także i obojętnością dla wiary, która nie tylko ducha krzepi i podnosi, lecz jeszcze żywi ideały; że wreszcie warstwy zamożne lgną do równych im warstw pruskich i ozywają się jakoby o „bezpłodności“ ofiar, o „bezskutecznych“ wysiłkach... że, słowem, wyradza się szkodliwa dla ducha jednostronność na korzyść materjalizmu...“ Wobec tych wynurzeń trudno wątpić, że nie tylko inteligencya ale i lud pod zaborem pruskim potrzebuje w rzeczach wiary głębszego wychowania i wykształcenia; więc tego rodzaju obronny i ochronny pancerz, jakiego mu dostarcza wydawnictwo „Za prawdę“, odda mu wyborne usługi. Atoli nie można z pewnością twierdzić, że lud z dwu innych zaborów nie potrzebuje takiej obrony i ochrony. Gdy się uwzględni wpływ zgubny już to prasy socjalistycznej i radykalnej, która się wciska wszędy, a zwłaszcza do mas robotniczych polskich, — już to zbrodniczo lekkomyślną propagandę wolnomyslicielstwa naszego,

¹ Por. art. X. Szydełskiego p. n. „Z zakrystyi czy do zakrystyi“ w *Gazecie kościelnej* r. 1912., nr. 48., p. 582.

² W art. p. Rataya p. n. „Wywłaszczenie“.

— a wreszcie demoralizację szerszą przez żydowstwo wśród warstw mało oświeconych: to trzeba będzie tylko ubolewać i... wstydzić się, że podobnych wydawnictw, jak co dopiero omówione, jest na ziemiach naszych tak mało, choćby je w tłumy należało rozrzucić milionami. Zbożnej więc myśli wielkopolskiej braci należy tylko życzyć wytrwałości i jak najrozleglejszej propagandy, a innym zaborom... naśladowania czynem pięknego przykładu.

Ks. Romuald Koppens.

Nowa Biblioteka kaznodziejska.¹

Znane korzystnie wydawnictwo księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, wychodzące w poszytach miesięcznych, ma już za sobą 11 tomów, z tych 6 pod redakcją X. Ignacego Adamskiego. Ostatni tom (XI) podaje kazania i nauki na pierwszą połowę roku kościelnego 1912, t. j. od adwentu 1911 do świąt Zielonych (włącznie) r. 1912, a to w podwójnym podziale i osobnej paginacji. Pierwsza część tego tomu zawiera kazania na niedziele i święta uroczyste, w ich liczbie na III. niedz. Adwentu i IV po trzech Królach podwójne; druga kazania przygodne i odpustowe na uroczystości w tym okresie roku przypadające (więc: na zakończenie starego roku, na uroczystość M. B. Bolesnej i Znalezienie św. Krzyża, na Świętych Pańskich: Barbary, Apolonii, Józefa, Wincentego Ferezyusza, Wojciecha, Floryana i Jana Nepomucena; przygodne przemówienia (2) przy Komunii św. i z okazji zjazdu młodzieży kupieckiej, a nadto dwie serye nauk t. j. na 40-godzinne nabożeństwo (7) i pasyjne (6). Łącznie tedy mieści się w tym tomie 65 kazań i nauk (39 + 26). Złożyli się na nie: w pierwszym rzędzie X. Gryglewicz, który wniósł do tego tomu (podobnie jak do wszystkich poprzednich) 10 utworów, a mianowicie 2 nauki przeciw pijaństwu, 2 kazania na Zwiastowanie i św. Stanisława i cykl nauk pasyjnych (6) o śmierci; po nim idą wedle ilości kazań tu zamieszczonych: X. Warol (7), X. Jaworski (5), X. Pomianowski (4), X. Raczkowski (4), X. Guzikowski (3), X. J. G. (3), X. N. (3), X. Cieszyński (2), X. Formanowicz (2), X. Koterbski (2), X. Fr. Wawrzyniak (2), X.

¹ Miesięcznik poświęcony kaznodziejstwu polskiemu pod redakcją X. Ignacego Adamskiego. Tom XI-ty od grudnia 1911 do maja 1912. Poznań, 1912. Str. 315+223 w 16-ce.

Andersz (2), X. O. (2). X. Jarosiewicz, X. Jeż, X. Jezierski. X. F. G., X. I. F., X. B., X. Kielczewski, X. Kłos, X. Kryzan, X. R., X. Skonieczny i dwaj bezimienni po jednym. Na wyszczególnienie z mnóstwa praktycznych i świeżych zasługują ze względu na tematy aktualne w tym tomie: Wykład pieśni „Witaj święta i poczęta“ (X. Pomianowskiego 8—17), dwie nauki ś. p. X. Andersza o przeszkodach małżeńskich (102 — 119) i przemowa do młodzieży kupieckiej (X. Kłosa 166—176).

Ta właśnie okoliczność, że cały tom, w ślad za poprzednimi, powstał prawie wyłącznie własnymi siłami zbiorowemi kapłanów dyecezyalnych, nadaje temu wydawnictwu szczególniejszą wartość. Świadczy bowiem nie tylko o tem, że tam księża piszą ciągle kazania, ale także o tem, że poczuwając się do solidarności, popierają czynnie wydawnictwo swe dyecezyalne, dostarczając mu potrzebnego materiału, własnym trudem przygotowanego. Z obcych kapłanów dołożyli do tego tomu utwory swe: X. Jarosiewicz, Reformat z Wieliczki (1), X. Jeż, katecheta z Krakowa (1), X. Koterbski, proboszcz z Kamionki wielkiej (2) i X. Warol T. J., misyonarz z Ameryki (7 szkicowych kazań przy nabożeństwie 40-godzinne, świetnie ugrupowanych — jednak na tematy luźne, nie koniecznie z tem nabożeństwem związane). Ogółem tedy obcych utworów jest w tym tomie 11, co w stosunku do całości (65) przedstawia udział wcale skromny.

O wartości homiletycznej utworów w tem wydawnictwie zamieszczanych nieraz już pisano pochlebnie, a oceny owe przedstawiają cechę trwałą, zwłaszcza dlatego, że prawie te same siły składają się corocznie na to zbiorowe wydawnictwo. Wszelkie tematy są praktyczne, elaboraty dobrze podzielone, argumenty należyście ugrupowane, cytaty skontrolowane, a rozmiary ściśle domierzone do czasu na kazanie oznaczonego. W tych warunkach niesie ta Biblioteka kaznodziejska odbiorcom rzetelną pomoc w posłudze kaznodziejskiej, a gdy się zważy, że łącznie z homiletyką wrocławską są to dwa jedyne czasopisma, poświęcone kaznodziejstwu polskiemu, dodawać chyba nie potrzeba, że zasługują na rzetelne poparcie ogółu duchowieństwa polskiego we wszystkich dzielnicach.

Ks. Dr. A. Jougan.

Nadeslano do Redakeyi następujące książki:

Philosophische Propädeutik für den Gymnasialunterricht und das Selbststudium bearbeitet von Dr. Otto Willmann. Erster Teil: Logik. Dritte und vierte verbesserte Auflage. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1912. S. IV + 138.

Ethik. Leitfaden der natürlich-vernünftigen Sittenlehre von Dr. Johann Ude. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1912. S. XIX + 164.

Lehrbuch der Philosophie auf aristotelisch-scholastischer Grundlage zum Gebrauche an höheren Lehranstalten und zum Selbstunterricht von Alfon Lehmen S. J. Dritter Band: Theodizee. Dritte verbesserte und vermehrte Auflage. Herausgegeben von Peter Beck S. J. Herdersche Verlagshandlung. 1912. S. XIII + 305.

Die Liebe zur Wahrheit nach Vernunft und Offenbarung. Erwägungen und Charakterbilder für Lehrende und Studierende von Georg Kolb S. J. Zweite, verbesserte Auflage. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1912. S. XI + 272.

Die Psalmen, Sinngemässe Übersetzung nach dem hebraischen Urtext von Dr. Alois Lanner. Zweite und dritte, verbesserte Auflage. Mit Erläuterungen von Theologieprofessor Dr. I. Nighutsch. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1912. Str. VIII + 233.

Die alleinseligmachende Kirche von Peter Lippert S. J. Sonderabdruck aus den Stimmen aus Maria Laach. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1913. S. 14.

Die Vulgata Sixtina von 1590, eine quellenmässige Darstellung ihrer Geschichte mit neuem Quellenmaterial aus dem venezianischen Staatsarchiv von Dr. Fridolin Amann. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1912. S. XIX + 160.

Die Berner Jetzertragödie im Lichte der neueren Forschung und Kritik von Georg Schuhmann. IX Band, 3 Heft der Erläuterungen und Ergänzungen zu Janssens Geschichte des deutschen Volkes herausgegeben von Ludvig Pastor. Herdersche Verlagshandlung. Freiburg im Breisgau. 1912. S. X + 152.

Katolická mravouha, napsal Dr. Antonín Vřešťál. Díl. II. podrobný. Část první. Podíl (1). Na Rok 1912. Číslo LIV. Nakladem dědictví sv. Prokopa. Tiskem Cyrillo-Methodějské Knihtiskárny V. Kotrby. V Praze 1912. Str. 447. Cena K. 8.

Dějiny a bibliografie české katolické literatury náboženské od roku 1828 až do nynější doby. Sestavili Dr. Jos. Tumpach a Dr. Ant. Podlaha. Vydáno v paměť osmdesátiletého jubilea „Časopisu katolického duchovenstva“ a padisátiletého jubilea „dědictví sv. Prokopa“. Část první. Podíl (2) udů na rok 1912. Číslo LV. Tiskem Cyrillo-Methodějské Knihtiskárny V. Kotrby. Nakladem Dědictví sv. Prokopa. V Praze 1912. Str. 480. Cena K. 10.

The catholic encyclopaedia. Edited by Charles G. Herbermann Volume XV. Robert Appleton Company. New York 1912. 1—800 p.

Cursus Scripturae Sacrae auctoribus R. Cornely, J. Knabenbauer Fr. de Hummelauer aliisque Soc. Jesu presbyteris. Commentarii, in Psalmos. Auctore J. Knabenbauer S. J. Parisiis sumptibus P. Lethielleux editoris. in 8-o pag. 492.

Wydawnictwo przystępnych odczytów do obrazów świetlnych: Nr. 1. Historia Jasnej Góry, odczyt do 50 obrazów, przez Maryana Jastrzębca. Str. 20. — Nr. 2. Artur Grottger i rok 1863 w jego dziełach, przez Adama Kuryle. Str. 20. — Nr. 3. Książę Józef Poniatowski, przez Emmę Bogusławską. Str. 17. — Nr. 4. Rok 1812. Odczyt do 46 obrazów, przez Przemysława Szczyta. Str. 24. — Nr. 5. Sejm czteroletni i Konstytucya 3-go maja. Odczyt do 33 obrazów, przez Maryana Jastrzębca. Str. 16. — Nr. 6. Stanisław Staszic, przez Emmę Bogusławską. Str. 17. — Nr. 7. Sól. Odczyt do 40 obrazów świetlnych, przez F. Piestraka. Nakładem i drukiem Zygmunta Jelenia. Tarnów 1913.

Portrety polskie w XVI—XIX. Wydane przez Maryę z hr. Braniczkiej ks. Jerzową Radziwiłłową, pod red. Dra Jerzego hr. Mycielskiego, prof. Uniw. Jagiell. Zeszyt III z X-ma tablicami; zeszyt IV z X-ma tablicami. N. H. Altenberga. Lwów 1912.

Boecyzus a Kochanowski, przez ks. Izzydora Richtera. Odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego“. Z drukarni Wł. Łozińskiego. Lwów 1912. S. 19.

Słowo o królu Warneńczyku przez Ignacego Kozielskiego. Wydawnictwo „Promethidion“. Z drukarni zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów. 1913. Str. 95.

Pojednani. Obrazek sceniczny w jednym akcie, przerobiony z noweli Bolesława Prusa, przez Jerzego Swajcera. (teatr amatorski Nr. 105). Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie 1912. Str. 56.

Roztrzępana Kazimira. Komedycja w jednym akcie przez Kazimierza Chylińskiego. (Teatr amatorski Nr. 16). Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1912. Str. 35.

Trudy życia. Tragedya w 10 odsłonach przez Juliana Zubczewskiego. Nakładem autora w Zakopanem. Drukiem J. Borka w Nowym Targu i Zakopanem. 1912. Str. 151.

Głos czasu głosem Boga! Napisał Paweł Krzyżny (Wiedza i Prawda VIII). Nakładem (?). Druk L. Bilińskiego i Wł. Maślankiewicza. Warszawa. 1913. Str. 83.

Dzieje Kościoła Polskiego. Tom pierwszy: Wiek X, XI, XII. Początki metropolii polskiej. Napisał Dr. Kamil Kantak. Nakładem Spółki Wydawniczej. Czeionkami „Pracy“. Gdańsk—Poznań. 1912, Str. 292.

Dziennik Franciszka Smolki 1848—1849 w listach do żony. Wydał, wstępem „O ojcu i jego listach“, objaśnieniami opatrzył, załączkami Franciszka Smolki z lat 1841—1848, oraz wielu dokumentami z jego papierów dopełnił Stanisław Smolka. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1913. Str. LXI + 369.

Errata.

W zeszyte marcowym *Przeglądu Powszechnego* wkradły się następujące omyłki drukarskie:

Na str.	409	w.	9	od dołu	wyraz	<i>Że</i>	rozpoczyna nowe zdanie główne.
" "	410	w.	7	" góry	zamiast	<i>składu</i>	ma być <i>składa</i>
" "	410	w.	17	" dołu	"	<i>się</i>	" " <i>je</i>
" "	411	w.	2	" góry	"	<i>ucierpienie</i>	" " <i>cierpienie</i>
" "	412	w.	4	" dołu	"	<i>uznawających</i>	" " <i>osnuwających</i>
" "	412	w.	7	" góry	w adnot. zam.	<i>wymotywanemi</i>	" " <i>wywyotywanemi</i>
" "	413	w.	3	" góry	zamiast	<i>działanie</i>	" " <i>działanie</i>
" "	415	w.	10	" góry	"	<i>i. t. p.</i>	" " <i>t. j.</i>
" "	417	w.	1	" dołu	przed	<i>Jeżeli</i>	" " <i>cudzyśłów</i>
" "	418	w.	9	" góry	po	<i>przedstawienia</i>	" " <i>cudzyśłów</i>
" "	418	w.	5	" dołu	zamiast	<i>norm</i>	" " <i>uczuć</i>
" "	418	w.	2	" "	"	<i>udowodniono</i>	" " <i>uwidoczniiono</i>



Polityka bałkańska Austro-Węgier.

W roku 1804 Napoleon koronował się cesarzem Francuzów. W dwa lata później Franciszek II-gi, pobity pod Austerlitz, zrzeka się tytułu cesarza rzymskiego i ogłasza, że na przyszłość mianować się będzie cesarzem Austrii. Zdaniem wielu współczesnych Habsburgowie stracili bezpowrotnie swe dawne, pierwszorzędne stanowisko wśród mocarstw europejskich. A jednak odzyskali je w znacznej mierze pod koniec wojen napoleońskich. Naczelnym wodzą austriackim ks. Szwarzenberg dowodził wojskami sprzymierzonymi pod Lipskiem. Przedstawiciele państw biorących udział w wojnie zjechali się we Wiedniu (1815 r.) celem porozumienia się o nowe ukształtowanie stosunków politycznych w Europie. Na kongresie wiedeńskim i w ciągu wielu lat późniejszych kanclerz austriacki ks. Metternich zajął pierwszorzędne stanowisko także i poza granicami swej ojczyzny. Po nieszczęśliwych wojnach w roku 1859 i 1866 Austria stała się czynnikiem drugorzędnym w polityce europejskiej. Zjednoczenie Włoch i Niemiec dokonało się jej kosztem. Straciła swe posiadłości włoskie i wszelki wpływ w obrębie Rzeszy niemieckiej, zespolonej w r. 1871 w cesarstwo niemieckie pod berłem Hohenzollernów. Stan rzeczy zmienił się na korzyść Austrii, gdy w r. 1878 przypadła jej w udziale Bośnia i Hercegowina. Zabór tych krajów przynajmniej po części zrównoważył dawniejsze niepowodzenia. Cesarz Franciszek Józef I zrozumiał

i odczuł znaczenie dla państwa i dynastji nowego rozszerzenia granic, które za jego panowania poprzednio niejednokrotnie się kurczyły. Nawet w zewnętrznych drobiazgach zaznaczał, że wielką przywiązuje wagę do tego nabytku. Pułki bośniackie pełnią stale służbę przed pałacem cesarskim we Wiedniu. Walkę z zamiarem przyłączenia Bośni i Hercegowiny uważał cesarz za dowód niezrozumienia interesów państwowych, wykluczający od współudziału w rządach. Niemcy liberalni zwalczali w r. 1878 w austriackiej izbie posłów zamiar zajęcia Bośni i Hercegowiny. Przez dziesięć lat następnych rządził w Austrii gabinet Taaffe-Dunajewski, opierający się na „żelaznym pierścieniu prawicy“, złożonej ze Słowian i z Niemców konserwatywnych.

Przyłączenie Bośni i Hercegowiny wywołało powstanie ludności miejscowej, stłumione nie bez znacznych ofiar, ale nie doprowadziło do wojny z wielkimi mocarstwami. Odpowiadało tradycyjnej polityce austriackiej, niepochoptej do wojen zaczepnych. Austria nie cofała się przed zadaniem ochrony z bronią w rękę już zajętych obszarów. Dbała także o ich powiększenie, ale ten cel starała się osiągnąć, o ile możności, bez kosztownego rozlewu krwi. *Tu Austria felix nube*. Posługiwała się także innym sposobem osiągnięcia tego samego celu, również pokojowym, choć może w mniejszym stopniu, ponieważ łączyły się z nim często pogroźki wojenne. W razie zmiany istniejącego stosunku sił z powodu, że przedsiębiorczy sąsiad powiększył swe państwo zaborami, uzyskanymi przez zwycięską wojnę, Austria domagała się przywrócenia dawnej równowagi przez przyznanie jej odpowiedniego wynagrodzenia terytoryalnego za zachowanie neutralności podczas wojny owego sąsiada z państwem trzeciem, któremu Austria mogła być przyjsć z pomocą. Na tej podstawie Niemcy dostały w r. 1911 od Francji kawałek Konga francuskiego, a Rumunia domaga się obecnie Silistryi od Bułgaryi. W tych dwóch wypadkach sąsiad odstępuje część własnych posiadłości. Zdarza się częściej, że porozumienie dochodzi do skutku kosztem państwa pobitego przez sąsiada, a nawet zdarza się, że koszta ponosi państwo czwarte, niezdolne do obrony, którego obszary

stają się wynagrodzeniem dla strony, czującej się poszkodowaną przebiegiem wypadków. W roku 1768 sułtan zaniepokojony wzrastającym wpływem Rosyi w Polsce, przekonany, że w razie zaboru Polski potęga rosyjska stanie się zbyt groźną dla Turcyi, wypowiada Rosyi wojnę, której przebieg był dla oręża tureckiego wielce niepomysłnym. Postępy wojsk rosyjskich pobudziły Austryę do zbrojeń i pogróżek. W roku 1771 Austrya chciała narzucić swe pośrednictwo walczącym. Zapowiedziała, że przeszkodzi z bronią w rękę przejściu wojsk rosyjskich przez Dunaj. Fryderyk II-gi pogodził Austryę z Rosyą, podsuwając myśl rozbioru Polski. Rosya zrzekła się zamiaru zawładnięcia całą Polską. Austrya przy sposobności pierwszego podziału otrzymała lwią część. A nadto uzyskała od sułtana Bukowinę w zamian za dyplomatyczną pomoc udzieloną przeciw Rosyi. Podobny był przebieg wypadków w roku 1878. Rosya zwyciężyła raz jeszcze Turcyę, a Austrii już z góry przyrzekła Bośnię i Hercegowinę, które to kraje Austrya zajęła bez wojny z Turcyą i bez wojny z Rosyą.

Hr. Andrassy po powrocie z kongresu berlińskiego, składając cesarzowi sprawozdanie o swej działalności, miał powiedzieć: „Najjaśniejszy Panie, bramy Wschodu stoją przed Tobą otworem“. Być może, że i te historyczne słowa są, jak wiele innych, zmyśleniem dziejopisów. Choćby tak było, zapamiętać je warto jako wyraz nadziei, czy obaw, które w umysłach wielu ludzi łączyły się z rozszerzeniem granic monarchii w kierunku południowo-wschodnim. Wyobrażano sobie, że monarchia nie poprzestanie na tym pierwszym kroku, że skończył się okres bezczynności w polityce zagranicznej, do której władcy państwa czuli się zmuszeni po przegranej w r. 1866. Ci, którzy w ten sposób przyszłość pojmowali, uważali zajęcie Bośni i Hercegowiny za przygrzywkę dalszej akcji politycznej, której celem miało być dotarcie do morza egejskiego, opanowanie Saloniki. Austrya, o ile chodzi o dostęp do morza, znajduje się w położeniu znacznie niekorzystniejszym, niż inne wielkie mocarstwa europejskie. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że Rosya pod tym względem nie przewyższa Austrii. Granice

Rosyi sięgają jednak kilku mórz, co prawda dostęp do nich narażenie nie ma pierwszorzędного znaczenia handlowego i strategicznego, toteż Rosya wytrwale dąży do opanowania nowych wybrzeży. Rozstrzygającą jest jednak możność rozszerzania się w Azji. Tamtejsze nabytki rosyjskie mają charakter po części kolonialny. Austria zaś jest jedynym z wielkich mocarstw europejskich, które nie bierze udziału w opanowaniu przez państwa europejskie innych części kuli ziemskiej. Nawet państwo włoskie, zjednoczone dopiero czterdzieści kilka lat temu, zdołało już pozyskać kolonie zamorskie. Austria nie sięga poza Europę, czego jedną z głównych przyczyn jest niewątpliwie utrzymanie w swym ręku jedynie małego skrawka wybrzeży adryatyckich. Ekspanzja na Bałkanie jest dla Austrii tem, czem dla innych państw polityka kolonialna, jest rozszerzeniem dostępu do morza, który w tak małym stopniu Austria zdołała sobie wywalczyć, jest wynagrodzeniem za wyparcie Włoch i utratę wpływów na Zachodzie. Toteż, gdy bramy Wschodu stanęły otworem, należy w tym kierunku działać.

Przecenili Austrię hr. Andrassy i jej nieprzyjaciele, którzy ciągle zwracali uwagę na zaborcze zakusy Austrii, na jej zamiar usadowienia się w Albanii i Macedonii, opanowania doliny Wardaru w pobliżu Saloniki wpadającego do morza egejskiego i stanowiącego naturalny dostęp z Bośni i Hercegowiny do miasta, którego owładnięcie uważano za ośrodek austriackiej polityki bałkańskiej. Austriacy mężowie stanu niejednokrotnie zapewniali w dobrej wierze, że nieprzyjaciele Austrii podsuwają jej zapędy zaborcze, obce jej dążeniom. W rzeczywistości Austria nie ma zamiaru uszczuplać granic Turcyi na swą korzyść. Te dwa twierdzenia napozór tak sprzeczne nie wykluczają się nawzajem. Każde z nich zawiera część prawdy, której wyłuskanie jest niezbędnym warunkiem zrozumienia obecnych zawikłań międzynarodowych i porażki, jeśli nie klęski, przy tej sposobności przez Austrię poniesionej. Austria z pewnością nie miała zamiaru naruszenia granic Turcyi przez swą własną inicjatywę, podjęcia wojny zaczepnej w tym celu. A jednak nie zrzekała się myśli rozszerzenia swych granic ku

morzu egejskiemu, ale zgodnie ze swą tradycją polityczną brała pod uwagę osiągnięcie tego celu odmiennymi sposobami. Liczyła się z możliwością uszczuplenia granic Turcyi przez inne państwa. Wówczas nie mogłaby się przypatrywać biernie wypadkom, które mogłyby w dalszym ciągu stać się dla niej źródłem niebezpieczeństw, zagrażających wprost istnieniu państwa. Wówczas Austria zażądałaby dla siebie wynagrodzenia w Albanii i Macedonii. Kto wie, czy w zamian za Salonikę nie możnaby się zgodzić na usadowienie się Rosyi w Konstantynopolu, którego opanowanie było ostatecznym celem wielu krwawych wojen od dawna przez Rosyę podejmowanych? W tej myśli Austria dbała o wzmocnienie swego wpływu w Albanii i Macedonii. Jej zabiegi przytaczano ciągle jako dowód, świadczący o zamiarach zaborczych Austrii. Dziewięć lat temu nadarzyła się sposobność ich urzeczywistnienia. Austria pozostała bezczynną, ponieważ czynniki rozstrzygające nie żywiły zamiarów zaborczych, o które ją pomawiano. Ówczesna bezczynność dziś się mści.

Hr. Andrassy mógł śmiało mówić o otwarciu bram Wschodu. Traktat berliński nie tylko dawał Austrii Bośnię i Hercegowinę, ale nadto zawierał szereg zastrzeżeń, które dawały Austrii prawne, formalne podstawy mieszania się w tureckie sprawy wewnętrzne w chwili, gdy nadarzą się okoliczności pomyślne, umożliwiające wyzyskanie tych zastrzeżeń gwoili rozszerzenia wpływów, a ewentualnie także i granic austriackich. Wprawdzie traktat berliński nie zawierał uznania protektoratu, który od dawien dawna Austria rościła sobie w stosunku do Albańczyków wyznania katolickiego, zamieszkujących Albanię północną, aczkolwiek zamieszkałe przez nich ziemie stanowiły część państwa tureckiego. Można nawet dowodzić, że pośrednio traktat berliński poniekąd zaprzeczył Austrii tego protektoratu. Mam na myśli artykuł 62-gi, który przyznaje posłom i konsulom wielkich mocarstw, urzędującym w Turcyi prawo ochrony księży, pielgrzymów, mnichów chrześcijańskich, oraz ich osad religijnych, dobroczynnych i innych. W art. 62-gim jest mowa o prawach, przysługujących wszystkim mocarstwom, co zresztą było do pewnego stopnia zgodne z istniejącym stanem rzeczy. Także

i dawniej różne państwa występowały w roli obrońcy chrześcijan. Zachodzi pytanie, czy przyznanie prawa ochrony chrześcijan wszystkim mocarstwom nie wyklucza specjalnych przywilejów jednego z nich? Drugi ustęp art. 62-go wyraźnie uznaje specjalne stanowisko Francji. Niema mowy o protektoracie austriackim, co nie przeszkadza Austrii do powoływania się nań w razie potrzeby. Właśnie teraz niejednokrotnie uzasadnia nim swe żądania. Austrii wystarcza, że traktat berliński nie zniósł protektoratu, a nawet w protokołach kongresu znajduje się wzmianka, przypominająca o jego istnieniu. Na żądanie Austrii i Francji zobowiązała się Turcja nie czynić żadnych zmian w istniejącym ustroju politycznym, w górach, zamieszkałych przez Mirdytów, szczep albański, wyznania katolickiego, od dawien dawna osiadły w pobliżu Skutari w Albanii północnej, niemal niezależny od Turcji.

Traktat berliński przyznawał Austrii prawa cenniejsze, bo dalej sięgające. Art. 25-ty w ustępie pierwszym krótko i węzłowato orzeka: *Les provinces de Bosnie et d'Herzégovine seront occupées et administrées par l'Autriche-Hongrie*. Drugi ustęp zawierał posiew przyszłych zbiorów, które dziś dojrzają na korzyść.... współzawodników. Opiewał, jak następuje: „Austro-Węgry nie mają zamiaru podjąć się administracji sandżaku Novi-Bazar, który rozciąga się między Serbią a Czar-nogorą w kierunku południowo-wschodnim, aż poza Mitrowicę, przeto sandżakiem będą nadal zawiadywać urzędnicy tureccy. Atoli Austro-Węgry zastrzegają sobie prawo utrzymywania załóg wojskowych oraz posiadania dróg wojskowych i handlowych na całym obszarze tej części dawnego wilajetu bośniackiego celem utrwalenia nowego ukształtowania politycznego, niemniej zabezpieczenia wolności i bezpieczeństwa na drogach“. Austro-Węgry nie domagały się prawa wyłącznego obsadzenia sandżaku Novi-Bazar, stanowiącego część tureckiej Bośni. Ale traktat zapewniał im rodzaj condominium w sandżaku. Z tej współwłasności Austria korzystała w sposób bardzo umiarkowany. Utrzymywała aż do r. 1908 małe załogi w trzech miasteczkach, położonych na północ od Mitrowicy. Nie obsadziła

miasta Mitrowicy, oczywiście więc nie posunęła się poza Mitrowicę ku Kosowemu Polu, które sięga niemal aż po Mitrowicę. O prawie posiadania dróg przypomniła sobie Austrya w r. 1907.

Przedtem wyzyskiwała art. 23-ci traktatu berlińskiego celem wzmocnienia swego wpływu na Bałkanach. Turcyja zobowiązała się do ścisłego przestrzegania na wyspie Krecie regulaminu z r. 1868, oraz do wydania podobnych zarządzeń dla innych części Turcyi europejskiej. W tym celu Turcyja ustanowi specjalne komisye, złożone w znacznej mierze z żywiółów miejscowych, które zajmą się opracowaniem w szczegółach nowych regulaminów dla każdej prowincyi (dla każdego wilajetu) Turcyi europejskiej. Chodziło tylko o opracowanie w szczegółach oparte na uwzględnieniu miejscowych stosunków. Ogólne zasady miały być zgodne ze zasadami wyrażonemi w regulaminie dla Krety z r. 1868, który głosił równouprawnienie wyznań. Kładł podwaliny rozległego samorządu gminnego, przez co uszczuplał władzę urzędników tureckich, zapewniał każdemu bezpieczeństwo życia i mienia, dążył do ulepszenia administracyi i wymiaru sprawiedliwości i t. d. Art. 23-ci traktatu berlińskiego nakładał na rząd turecki obowiązek przeprowadzenia zasadniczych zmian w ustroju wewnętrznym Turcyi europejskiej. Dawał sześciu wielkim mocarstwom, których przedstawiciele podpisali wraz z pełnomocnikami tureckimi traktat berliński, prawo żądania od Turcyi przeprowadzenia reform. Nakładał na nie moralny obowiązek wykorzystania tego prawa, gdyby Turcyja nie chciała się zastosować do postanowień art. 23-go. Traktatem berlińskim sułtan zrzekł się części swych posiadłości europejskich. Chrześcijaństwo w tej części zamieszkali przestali podlegać jego władzy. Sułtanowi pozostały jeszcze rozległe obszary w Europie, zaludnione przeważnie przez chrześcijan. Dla nich godzina wyzwolenia z pod panowania tureckiego jeszcze nie wybiła. Ale zyskali uroczyste przyrzeczenie Europy, że panowanie tureckie stanie się mniej uciążliwem, przyrzeczenie, dające im prawo żądania jego wypełnienia.

Od dawien dawna mocarstwa europejskie dążyły do narzucenia Turcyi reform wewnętrznych. Zawierając traktat ber-

liński z r. 1878 nie zadowolniły się utrzymaniem pod tym względem dotychczasowego stanu rzeczy, ale uzyskały od Turcyi zgodę na szereg postanowień, sięgających znacznie dalej. Art. 23-ci stał się najsilniejszym, choć nie jedynym wyrazem polityki reform w stosunku do Turcyi. Wzajemnie za nie mocarstwa zabezpieczyły Turcyi nietykalność jej granic. Noradunghian effendi, uczony wydawca tureckich aktów dyplomatycznych, przed kilku miesiącami minister spraw zagranicznych w gabinecie Kiamila, po bitwie pod Lüle Burgas, zapytany przez dziennikarza o warunki pokoju, wspomniał o istnieniu kilkudziesięciu umów międzynarodowych, stwierdzających nietykalność granic tureckich. W traktacie berlińskim nie brak tego postanowienia. Miało ono stanowić uzupełnienie polityki reform. W rzeczywistości te dwa dążenia niemal wykluczają się nawzajem, jeśli warunkiem urzeczywistnienia reform jest ich narzucenie Turcyi, ponieważ nacisk w tym kierunku wywierany jest uszczupleniem jej niezawisłości państwowej, wejściem na śliską drogę, wiodącą ku uszczupleniu jej granic. Opór Turcyi doprowadza do zbrojnego wkroczenia, a w dalszym ciągu do trwałego zaboru, albowiem państwa, występujące z żądaniem reform, nie zawsze działają bezinteresownie.

Początkowo zwyciężyła idea utrzymania niezawisłości i zachowania nietykalności granic. Turcyja stawiała bierny opór reformom, a mocarstwa nie troszczyły się zbyt o ich przeprowadzenie. Rząd turecki opracował z własnej inicjatywy w r. 1880 projekt ustawy o wilajetach Turcyi europejskiej, który czynił w zupełności zadosyć uchwałom kongresu berlińskiego. Ale nie wprowadził go w życie, prawdopodobnie z obawy zbyt uszczuplenia na tej drodze władzy sułtana i stanowiska żywiołu tureckiego w państwie. Mocarstwa na razie nie naciskały zbyt. Nie było między nimi zgody, stanowiącej niezbędny warunek skuteczności nacisku, a zarazem zabezpieczenie przed możliwością zawikłań wojennych. Niemcy dążyły do powiększenia swego wpływu w Turcyi, toteż stałe popierały sułtana wobec innych państw. Ten stan rzeczy uległ zmianie w r. 1897 skutkiem porozumienia austriacko-rosyjskiego. W lat kilka po

kongresie berlińskim stan rzeczy w Bułgarii dał powód do za-
targów Austrii z Rosyą. Przed gmachem sobrania (parlamentu)
w Sofii stoi pomnik Aleksandra II-go, cara-oswobodziciela.
Bułgarzy są wdzięczni Rosyi, ale równocześnie stoją na straży
swej niezawisłości. Rosya inaczej pojmowała ten stosunek.
Uważała Bułgaryę za swój posterunek na Bałkanach, wysu-
nięty najdalej ku Konstantynopolowi. Aleksander Battenberg
został z ramienia Rosyi księciem Bułgarii. Chciał nim być na-
prawdę, przez co stanął w sprzeczności z Rosyą, która uważała
za prawdziwego władcę swego posła. W księciu bułgarskim wi-
działa tylko wykonawcę jego poleceń. Pierwszy książę bułgarski
szukał i znalazł poparcie w Austrii, niezadowolonej ze zby-
tniego mieszania się Rosyi do spraw wewnętrznych bułgarskich.
Pod wpływem intryg rosyjskich ustąpił, a jego następcą został
popierany przez Austryę i Niemcy ks. Ferdynand koburski.
Prowadził dalej politykę swego poprzednika, skierowaną ku
wzmocnieniu niezawisłości bułgarskiej i posługiwał się dla
osiągnięcia swych celów tymi samymi sposobami, wskazanymi
istotą rzeczy. Wygrywał przeciw sobie Austryę i Rosyę. W ciągu
pierwszych lat jego panowania obowiązki prezydenta rady mi-
nistrów spełniał Stambułow, najwybitniejszy przedstawiciel
kierunku, opierającego bułgarską politykę zewnętrzną na po-
rozumieniu z Austryą. Po jego ustąpieniu i zamordowaniu
ks. Ferdynand koburski rozpoczął starania o porozumienie
z Rosyą, uwieńczone pomyślnym skutkiem. Ks. Ferdynand był
i jest wyznania rzymsko-katolickiego. Na żądanie Rosyi począł
wychowywać w wyznaniu prawosławnem swego małoletniego
syna, następcę tronu, ks. Borysa, który poprzednio był katoli-
kiem (1896 r.). Nie zawadzi dodać, że rokowania toczyły się
w Paryżu ze współudziałem dyplomatów francuskich.

Polepszenie się stosunków bułgarsko-rosyjskich nie wywo-
łało ani wielkiej radości w Petersburgu, ani wielkiego zmartwienia
we Wiedniu. Austrya nie czuła się zagrożoną w swych interesach,
ponieważ Rosya nie okazywała zamiaru wyzyskania porozu-
mienia z Bułgaryą w celu rozwinięcia czynnej polityki na Bał-
kanach. Jej wysiłki zmierzały wówczas do usadowienia się nad

Oceanem Spokojnym i w Persyi. O sprawy tureckie dbała mniej. Chodziło jej tylko o to, ażeby zabezpieczyć się przed zbytniem wzmoczeniem się wpływów austriackich. Oto źródła zbliżenia austriacko-rosyjskiego, łączącego się z pobytem Franciszka Józefa w Petersburgu (1897 r.). Podobno nie zawarto formalnego układu pisemnego. Hr. Gołuchowski, ówczesny minister spraw zewnętrznych powiedział w delegacyach, że nastąpiło jedynie ustne porozumienie. Oba mocarstwa zobowiązały się dążyć do utrzymania *status quo* terytoryalnego w Turcyi. Zobowiązały się nie prowadzić polityki zaborczej wobec niej i zwalczać zapędy zaborcze państw innych, a więc przedewszystkiem chrześcijańskich państw bałkańskich. W roku 1878, w chwili zawierania traktatu berlińskiego nie przypuszczano, że państwka bałkańskie w krótkim czasie staną się znaczną siłą wojсковą i gospodarczą, a w dalszym ciągu nie zdawano sobie sprawy z tego, że przybędzie jeszcze jeden czynnik, który zabierze głos w sprawie przeprowadzenia reform w Turcyi europejskiej.

Traktat berliński nie dawał w tym kierunku żadnych praw państewkom bałkańskim. Turcyja przyrzekła przeprowadzenie reform mocarstwom, biorącym udział w kongresie. Państwka bałkańskie nie brały udziału w kongresie, nie podpisały traktatu. Nie przysługuje im formalnie prawo upominania się wobec Turcyi o jego wykonanie. A jednak państwka bałkańskie, korzystając z przebiegu wypadku, z własnej siły i ze słabości Turcyi poczęły zabierać głos w tej sprawie z widocznym zamiarem wykorzystania jej gwoli rozszerzenia swych granic kosztem Turcyi.

Art. 23-ci traktatu berlińskiego był jakby uroczystem przyrzeczeniem, udzielonem przez Europę chrześcijańskim ludom, które po roku 1878 pozostały nadal pod władzą sułtana, opiekowania się ich losem, popierania ich interesów wobec rządu tureckiego. Traktat nie przewidywał, co się ma stać na wypadek, jeśliby Turcyja nie przeprowadziła reform, a Europa nie wywarła na nią skutecznego nacisku. Traktat berliński pośrednio — zapewne wbrew woli jego twórców — umożliwił ludom chrześcijańskim dochodzenie praw w traktacie uzyskanych.

Tworząc nowe, rozszerzając dawne granice i orzekając zupełną niezawisłość państwek bałkańskich kosztem Turcyi, traktat wyzwolił siły, do których chrześcijańskie ludy odwołać się mogły i musiały. Ludom chrześcijańskim, jeszcze nadal podległym berłu sułtana, państwka bałkańskie są geograficznie bliższe, niż Austria lub Rosya. Silną łączność między ludnością jednych i drugich krajów wytwarza wspólność wiary i języka, wspólna niechęć do Turków. Nic dziwnego, że Bułgarzy macedońscy żądali od niezawisłej Bułgaryi dopomożenia im w przeprowadzeniu reform, przyrzeczonych traktatem berlińskim. Z tem samem żądaniem wystąpili Serbowie i Grecy macedońscy wobec Serbii i Grecyi. Pomijam na razie ich dalej idące żądania. Dyplomaci austriaccy i rosyjscy w r. 1897 zdawali sobie sprawę z tego stanu rzeczy. Zrozumieli, że chcąc utrzymać *status quo* terytorjalne na Bałkanach nie wystarcza samemu nie żywić zamiarów zaborczych, ale trzeba także innych od nich powstrzymać, a w pierwszym rzędzie państwka bałkańskie, najbardziej do czynów pochopne. Chcąc ten cel osiągnąć, należało zasypać źródło, z którego płynęły roszczenia państwek bałkańskich. Austria i Rosya postanowiły w r. 1897 ująć w swoje ręce przeprowadzenie reform w Macedonii. W innych częściach Turcyi europejskiej sprawa przedstawiała się mniej groźnie. W Albanii i Tracyi żywioł turecki był silniejszym, niż w Macedonii, zamieszkałej przeważnie przez chrześcijan, rozdartej niesnaskami wewnętrznymi. Jej mieszkańcy najczęściej odwoływali się o pomoc Europy. Jej obszary stanowiły główny przedmiot pożądliwości sąsiadów. Problem Turcyi europejskiej był w pierwszym rzędzie problemem macedońskim, do którego rozwiązania przyczynić się miała umowa austriacko-rosyjska z r. 1897. Program reform, którego wykonania Austria i Rosya postanowiły domagać się od sułtana był umiarkowanym, ponieważ ani Austria, ani Rosya nie chciały doprowadzić do zatargu z sułtanem, popieranym przez Niemcy.

Równocześnie Austria zawarła uzupełniającą umowę z Włochami. Zjednoczenie Włoch pozbawiło Austryę nie tylko Lombardyi i Wenecyi, ale w dalszym przebiegu wypadków przyspo-

rzyło jej niebezpiecznego, bo silnego współzawodnika na morzu adryatyckim i na Bałkanach. Odtąd Austria w swej polityce albańskiej musi się nie tylko liczyć z Rosją, ale także i z Włochami, dla których każde rozszerzenie granic Austrii byłoby niepożądane, bo oznaczałoby wzmocnienie sąsiada, z którym Włochy niejednokrotnie prowadziły wojnę i z którym, kto wie, czy jej prowadzić nie będą. Najbardziej czułyby się Włochy zagrożone opanowaniem przez Austrię wybrzeży adryatyckich, znajdujących się w rękach tureckich, przez co istniejący stosunek sił na morzu adryatyckim doznałby zmiany na korzyść Austrii. Austria układając się z Rosją o *status quo, eo ipso* zrzekała się dążeń, sprzecznych z interesami Włoch. Nie mogła tego uczynić, nie uzyskawszy zapewnienia wzajemności z ich strony. Zawarła więc również z Włochami umowę, opartą na tej samej myśli przewodniej, która posłużyła za podstawę porozumienia się z Rosją. Oba państwa zobowiązały się dążyć do utrzymania *status quo*. Gdyby jednak usiłowania ich nie miały być uwieńczone pomyślnym skutkiem, zobowiązują się dążyć do utworzenia samoistnej Albanii, do przeciwdziałania usadowieniu się w Albanii państw innych. Zobowiązują się nie podejmować starań o przyłączenie jej w całości lub w części do własnych posiadłości.

W roku 1903 car Mikołaj II-gi zjechał się z cesarzem austriackim w Müritz w Styrii. W tymże samym roku Austria odnowiła swe umowy z Rosją i Włochami. Treść ich nie uległa zmianie w głównych zarysach. Zapewne zostały dokładniej i bardziej szczegółowo określone. Opanowanie Mandżuryi stało się coraz to bardziej ośrodkiem polityki rosyjskiej. Wytyężała i skupiała wszystkie swe siły dla osiągnięcia tego celu, co niewątpliwie przyczyniło się do odnowienia umowy, która już w poprzednim roku zapewniła Rosji znaczne korzyści.

W roku 1902 wybuchło powstanie w Macedonii. Część powstańców żądała przyłączenia Macedonii do Bułgarii. Inni utworzenia samoistnej Macedonii. Jedni i drudzy walczyli o wyparcie Turków. Jedni i drudzy domagali się pomocy rządu bułgarskiego. Kierownicy ruchu obrali bułgarskie miasta za swą

główną siedzibę. Niemal całkiem jawnie gromadzili w Bułgarii fundusze pieniężne i zapasy, tworzyli ochotnicze oddziały powstańcze (czety), złożone z poddanych bułgarskich i wysyłali je do Macedonii. Rząd im nie przeszkadzał. Prawdopodobnie używał im swego czynnego poparcia, a w odpowiedzi na zażalenie posła tureckiego, zbroił się do wojny z Turcją. Prezes ministrów był w przeciwstawieniu do zwolenników Stambułowa za przymerzem z Rosją. Do niej zwrócił się o poparcie. W grudniu 1902 r. przybył do Sofii rosyjski minister spraw zagranicznych hr. Lamsdorff i oświadczył rządowi bułgarskiemu, że Rosja jest przeciwną wojnie Bułgarii z Turcją. Japonia domaga się od niej wycofania wojsk rosyjskich z Mandżuryi. Rosja nie ma zamiaru temu życzeniu zadosyćuczynić, musi więc wzmacniać swe załogi wojskowe w Mandżuryi na wypadek, gdyby Japonia wypowiedziała wojnę. W razie zawikłań wojennych na Bałkanach Rosja musiałaby zająć wobec nich stanowisko i być gotową do ewentualnego zbrojnego poparcia swych życzeń. Nie mogłaby wówczas całej swej siły rzucić w Azji na szalę wypadków. Musiałaby wobec Japonii ustąpić bez wojny, czego sobie nie życzy. (Nie przewidywał hr. Lamsdorff, że kto wie, czy Rosja nie byłaby wyszła lepiej na dobrowolnem wycofaniu się z Mandżuryi?) To samo powtórzył rosyjski minister spraw zagranicznych Serbom w Belgradzie w kilka dni później. Z Belgradu pojechał do Wiednia celem porozumienia się z hr. Gołuchowskim. W myśl umowy, którą jego bezpośredni poprzednik, ks. Łobanow zawarł w r. 1897 z hr. Gołuchowskim zażądał poparcia przez Austrię w Sofii i Belgradzie swych pokojowych rad. Austria nie odmówiła swego współdziałania. Bułgaria musiała ustąpić. Nie mogła prowadzić wojny z Turcją wbrew zgodnej woli Rosji i Austrii. Sprzeciw jednego z tych mocarstw mógł być udaremniony poparciem drugiego, ale trudno było działać wbrew obu.

Austria nie zmieniła swej polityki bałkańskiej pod koniec roku 1904. Można bronić porozumienia z Rosją w latach 1897 i 1903. Trudniej usprawiedliwić wytrwanie na tem samem stanowisku po bitwie pod Liaojanem (1—5 września 1904 r.).

Umowa z Rosyą krępowała swobodę ruchów dyplomacyi austriackiej, wzamian za co zabezpieczała ją przed niespodziankami ze strony rosyjskiej, oczywiście tylko o tyle, o ile Rosya umowy przestrzegala. Samoistna polityka mogla zapewnić większe korzyści za cenę większego ryzyka. Zawierała w sobie podwójne niebezpieczeństwo starcia z Rosyą. Działalność każdego z tych dwóch państw, podejmowana na własną rękę bez porozumienia z sąsiadem mogła stać się źródłem zatargu. Austria mogła być nań narażoną, choćby sama wystrzegala się jego wywoływania z powodu inicjatywy rosyjskiej, sprzecznej z jej interesami. Z porozumieniem łączyła się jeszcze jedna korzyść: Wobec zgodnego współdziałania Austrii i Rosyi głos innych państw poprzestawał ważyć na szali. Po bitwie pod Liaojanem stosunki się zmieniły. Rosya przestała być siłą, z którą trzeba się było liczyć. Bułgaria nie mogła spodziewać się poparcia rosyjskiego, ale też nieprzyjaźń Rosyi przestawała być ewentualnością groźną. Bułgarzy zrozumieli ten stan rzeczy. Sprzyjający Rosyi gabinet Danewa, obecnie prezydenta sobrania, pierwszego pełnomocnika Bułgarii podczas rozbitych rokowań pokojowych w Londynie (grudzień 1912) i jej przedstawiciela w Petersburgu wobec sądu rozjemczego, złożonego z ambasadorów pięciu wielkich mocarstw, obradujących pod przewodnictwem Sazonowa nad rozstrzygnięciem sporu rumuńsko-bułgarskiego o Silistrię (kwiecień 1913) musiał podać się do dymisji, a rządy objął z końcem 1903 r. gabinet Petroff-Petkof, złożony ze zwolenników polityki Stambułowa (także i po jego śmierci nazwisko jego pozostało godłem stronnictwa) tradycyjnie skłonnych do szukania oparcia we Wiedniu.

Nowe ministerstwo zwróciło się o pomoc do Austrii. Klęski rosyjskie w Mandżuryi umożliwiały Austrii rozwiązanie kwestyi macedońskiej w porozumieniu z Bułgaryą, umożliwiały rozszerzenie granic południowo-wschodnich, a może nawet dotarcie do morza Egejskiego. Austrii zależało na tem, żeby jej sąsiedzi Rosya i Serbia nie wzmogły się kosztem Turcyi. Wzmocnienie Bułgarii nie stanowiło dla niej niebezpieczeństwa, a nawet zapewniało jej korzyści, bo utrudniało posuwanie się Rosyi

ku Konstantynopolowi i rozszerzenie się Serbii na Bałkanach. Austria nie wyzyskała chwili wyjątkowo pomyślnej. Zabrakło jej przedsiębiorczości. Zwyciężyły dawne tradycje polityki przeważnie defenzywnej, niezdolnej do inicjatywy, pozbawionej wszelkiego ostrza zaczepnego. Bułgarzy zawiedli się. Uzyskali jedynie głoślowe zapewnienie życzliwości ze strony rządu austriackiego. W Bułgarii utarło się przekonanie, że nawet wśród najpomyślniejszych okoliczności nie można liczyć na poparcie Austrii. Po kongresie berlińskim „bramy Wschodu stały otworem dla Austrii“. Dziś zawarły je sprzymierzone państwa bałkańskie. Powstanie związku bałkańskiego umożliwiła bezczynność Austrii po bitwie pod Liaojanem.

Po roku 1903 nastąpiły pewne zmiany podrzędnego znaczenia w austriackiej polityce bałkańskiej, ale nie mające nic wspólnego z życzeniami bułgarskimi. Wspominam o nich dlatego, że ułatwiają zrozumienie stanowiska Anglii wobec społecznego rozbioru Turcji europejskiej. W latach 1897—1903 Austria z Rosją występowały wobec Turcji z żądaniem przeprowadzenia reform w Macedonii, jakgdyby na podstawie cichego pełnomocnictwa mocarstw, podpisanych na traktacie berlińskim. Powstanie macedońskie w latach 1902 i 1903, pogroźki wojenne Bułgarii skłoniły Austrię i Rosję do rozszerzenia programu reform, oraz do narzucenia sułtanowi pomocy i nadzoru urzędników, wydelegowanych przez mocarstwa, w celu zabezpieczenia ich urzeczywistnienia. Wobec powstania macedońskiego Anglia porzuciła swą dotychczasową rolę biernego świadka wydarzeń. Poczęła domagać się reform dalej sięgających, niż początkowo przewidywane przez Austrię i Rosję i wywierać w tym kierunku nacisk na sułtana. Jej życzeniom stało się w znacznej mierze zadosyć. Coprawda rozszerzenie programu reform wywołało opór sułtana, który nie chciał przyjąć rad udzielonych mu przez mocarstwa. Ambasadorowie zażądali zbiorowego posłuchania. Sułtan nie chciał ich przyjąć. Z końcem października 1905 r. zebrała się flota pięciu wielkich mocarstw w greckim porcie Pireus pod wodzą wice-admirała austriackiego, Krakowianina Rippera, mimo odmowy Niemiec zaproszonych

także do współdziałania czynnego. Flota skierowała się ku wyspie Mytylenie i obsadziła tamtejsze tureckie urzędy celne, pocztowe i telegraficzne. Niemcy powiedziały sułtanowi, że nie pozostaje nic innego, jeno ustąpić, a sułtan posłuchał tej rady. Okazał się bardziej ustępliwym, niż dziś królik Czarnych gór. Coprawda reformy nie zaraz weszły w życie. Poszło o pokrycie kosztów. Sułtan oświadczył, że skarb turecki jest pusty i że jedynym sposobem rozwiązania kwestyi jest podwyższenie cel, którego w myśl istniejących umów międzynarodowych nie mógł wprowadzić w życie bez uprzedniego zezwolenia mocarstw. Stanowisko sułtana było najzupełniej uzasadnione w istniejących stosunkach. Trzeba było się zgodzić na jego życzenie. Anglia, gorliwa orędowniczka reform, najdłużej zwlekała z udzieleniem swego zezwolenia na podwyższenie cel. Ostygła w swym zapale, gdy przekonała się, że koszta reform będą częściowo pokryte z podwyżki cel, nakładanych w Turcyi na towary przez jej poddanych do Macedonii wywożone.

Co właściwie skłaniało Anglię do porzucenia swego dawnego stanowiska przyjaznego Turcyi? W roku 1854 prowadziła wojnę z Rosyą o całość Turcyi. Przed wybuchem ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej Rosya żądała reform, występowała w obronie uciśnionych chrześcijan. Anglia sprzeciwiała się mieszanii się państw zagranicznych do wewnętrznych spraw tureckich. Po wojnie dołożyła starań o uzyskanie dla Turcyi możliwie najkorzystniejszych warunków pokojowych. W roku 1907 doszła do skutku ugoda Rosyi z Anglią, przyczem Anglii chodziło o wzmocnienie swego stanowiska wobec Niemiec. Anglia gwoili pozyskania Rosyi do współdziałania przeciw Niemcom oświadczyła gotowość popierania rosyjskiej polityki bałkańskiej. Ale już przedtem stosunek Anglii do Turcyi był innym, niż dawniej. Po kongresie berlińskim wpływ Niemiec w Konstantynopolu wzrastał. Poparcie ze strony innych mocarstw europejskich musiała Turcyja okupywać ustępstwami terytoryalnemi. Polityka niemiecka nie budziła pod tym względem obaw. Toteż Abdul-Hamid coraz chętniej szukał oparcia w Berlinie. Nawiazanie i ciągle zacieśnianie osobistych przyjaznych stosunków z Wil-

helmem II. stało się zewnętrznym wyrazem nowego zwrotu w polityce tureckiej. Od czasu pobytu cesarza niemieckiego w Konstantynopolu i w Palestynie w r. 1898 wpływ Niemiec w Turcyi znacznie się wzmógł. Niemieccy przemysłowcy otrzymywali dostawy państwowe. Krupp w Essen dostarczał Turcyi dział. Także i reszta przyborów wojennych tureckich, którymi się Turcy posługują w obecnej wojnie jest pochodzenia niemieckiego. Nie rozporządzając rodzimym przemysłem, Turcy musieli zwrócić się do zagranicy. Uskuteczнили zamówienia w Niemczech i wezwali oficerów niemieckich do zreorganizowania armii gwoili utrwalenia politycznego związku z cesarstwem niemieckiem. Wilhelm II-gi zyskał w dziennikach paryskich przydomek „komiwojażera niemieckiego przemysłu“. Zasłużył nań przede wszystkim uzyskaniem koncesyi na budowę kolei bagdadzkiej, udzielonej bankom niemieckim zaraz po odwiedzinach Wilhelma II-go w Konstantynopolu.

Anglia broniła całości państwa tureckiego przeciw zaborczym zakusom Rosyi. Obawa jej rozrostu powodowała działalnością angielskich mężów stanu. Najpewniejszym sposobem zabezpieczenia Turcyi przed Rosyą byłoby wzmoczenie sił tureckich przez przekształcenie Turcyi w mocarstwo nowożytne o silnej armii i flocie. To rozwiązanie nie odpowiadało żywotnym interesom Anglii. Zgadzało się z dążeniami odległych Niemiec, ale zarówno Anglia, jak Rosya nigdy nie popierały szczerze programu reform, skierowanych ku istotnemu wzmoczeniu siły państwowej i wojskowej tureckiej. Silna Turcyja zagrażałaby Egiptowi po dziś dzień prawnie podlegającemu zwierzchnictwu sultana, zagrażałaby kanałowi suezkiemu i dalszemu połączeniu Egiptu z Indyami. Kolej bagdadzka, budowana przez niemieckich inżynierów, stanowiąca przeważnie własność niemieckich kapitalistów, przerzynająca rozległe przestrzenie Turcyi azjatyckiej, wzbogacała społeczeństwo tureckie, ułatwiała mobilizację, wzmacniała władzę sultana, zbliżając do stolicy państwa dalekie prowincye, przedtem luźnie z państwem związane. Kolej bagdadzka zbliżała Europę i Indye, dotychczas nie posiadające połączenia kolejowego, a zatem także, praktycznie

rzecz biorąc, połączenia lądowego z Europą. Zatarg Anglii z Turcyą o Koweit okazał wyraźnie, że Anglia czuła się zagrożoną budową kolei bagdadzkiej. Koweit jest małym miasteczkiem, zbudowanym na wybrzeżach zatoki perskiej, niedaleko ujścia Eufratu i granicy południowej Persyi, która wedle umowy angielsko-rosyjskiej z r. 1907 stanowi sferę wpływów angielskich. Twórcy kolei bagdadzkiej postanowili doprowadzić ją do Koweit. Zarówno oni jak i sułtan uważali Koweit za część Turcyi. Nie wszyscy byli tego samego zdania, Anglia uważała Koweit i najbliższą okolicę za państewko niezależne, znajdujące się pod protektoratem Anglii, czyli powiedzmy jasno, za państewko niezależne od Turcyi, ale zależne od Anglii. Sułtan w roku 1901 zapewne na życzenie Niemiec próbował wykonywać swą władzę zwierzchniczą w Koweit, co wywołało stanowczy sprzeciw Anglii, uwieńczony pomyślnym skutkiem.

W pięć lat później wybuchł nowy zatarg angielsko-turecki znowu o kolej, ale już nie o bagdadzką, lecz o arabską, łączącą Damaszek z Mekką. Także i ta kolej nie dogadzała Anglikom. Ułatwiała sułtanowi wysyłkę wojska do Arabii, opanowanie kraju, który był widownią ciągłych powstań, podsycanych przez Anglików. Ich zdaniem wzrost potęgi sułtańskiej w Arabii oznaczał koniec ich wpływów. Ze względu na bliskość Egiptu i Indyi zależało im na tem, ażeby Arabia nie tworzyła silnej całości politycznej. Póki krajem władał szereg plemion, żyjących w ciągłych walkach między sobą, łączących się jedynie celem wspólnej walki przeciw sułtanowi, wtedy, gdy próbował zmusić ich do posłuszeństwa i do świadczeń na rzecz państwa tureckiego, póty Anglicy byli zadowoleni. Ale zjednoczenie Arabów pod kierunkiem sułtana nie wydawało im się pożądanem. Kolej arabska jeszcze z jednego względu budziła ich obawy. Dochodziła do półwyspu Sinai. Ułatwiała sułtanowi dotarcie na drodze lądowej do kanału suezkiego. Z chwilą wybudowania tej części nowej linii kolejowej powstał zatarg o linię graniczną, rozdzielającą Egipt i Turcyę. Anglicy wprawili w ruch swą flotę i zmusili sułtana do opróżnienia osady Tasbah nad morzem Czerwonem, na pograniczu półwyspu Sinai i Arabii.

Antagonizm wobec Niemiec popierających Turcyę i obawy jej zbytniego wzmożenia się rozstrzygnęły o stosunkach angielsko-tureckich. Być może, że Anglia, żądając daleko sięgających reform w Macedonii widziała w ich przeprowadzeniu jedyny sposób utrzymania jej łączności politycznej z Turcyą. Prawdopodobniejszem wydaje mi się inne wyjaśnienie przebiegu wypadków. Anglia chciała dowieść sułtanowi, że opieka niemiecka nie wiele może mu pomódz w rozstrzygających chwilach, dążyła wprost do osłabienia Turcyi, przygotowywała stopniowe oderwanie Macedonii. Turcyja mimo wygranej wojny z Grecyą (kwiecień i maj 1897 r.) musiała zgodzić się na autonomię Krety, ograniczającą niemal do zera władzę sułtana i łączność z państwem tureckiem. Zapobiegła jedynie formalnemu przyłączeniu Krety do Grecyi. Anglia zapewne wyobrażała sobie rozwiązanie kwestyi macedońskiej wedle wzoru, wypróbowanego na Krecie, a więc w formie bardzo daleko sięgającej autonomii pod nadzorem mocarstw. Uzyskała początkowo poparcie Austrii, która mimo sprzyjających okoliczności nie zdobyła się na rozwiązanie kwestyi macedońskiej w porozumieniu z Bułgaryą w sposób bardziej odpowiadający jej interesom. W kilka lat później Austrija spostrzegła się, że wybrała złą drogę. Zawróciła z niej zapóźno.

W międzyczasie pogorszyło się jej stanowisko na Bałkanach przez zatarg z Serbią, którego przebieg nie był dla niej pomyślnym. 11-go czerwca 1903 r. oficerowie serbscy zamordowali w sypialni bezbronnego króla Aleksandra i jego żonę, poczem powołali na tron obecnie panującego Piotra Karageorgewicza. Nowy król wkrótce po objęciu rządów mianował prezesem ministrów Pasicza, który także podczas obecnej wojny ten urząd spełnia. Pasicz, naczelnik stronnictwa radykalnego, od dawien dawna uprawiał politykę rusofilską i antiaustriacką. Dał jej wyraz już w roku 1905. Bułgarya od samego początku swego istnienia, gotująca się do wojny z Turcyą szukała sprzymierzeńców. Zwróciła się najpierw do Rosyi, później do Austrii. Niezrażona niepowodzeniami rozmyśla nad zawianiem bliższych stosunków ze Serbią. W grudniu 1905 r. Europa dowiaduje się o zamierzonym połączeniu się unią celną Bułgaryi ze

Serbią. Bułgaria działała pod wpływem przyczyn politycznych. Chodziło jej o pozyskanie sprzymierzeńca przeciw Turcyi. Serbia kierowała się w wyższym stopniu myślą gospodarczą. Z końcem roku 1905 wygasał traktat handlowy z Austryą.

Przez zagrożenie unią celną z Bułgaryą chciała wyrzucić nacisk na Austryę celem uzyskania dogodniejszych tariff celnych na przyszłość. Unia celna z Bułgaryą nie doszła do skutku. Natomiast Serbia przetrwała z dobrym wynikiem wojnę celną z Austryą. Uzyskała traktat handlowy z Austryą korzystniejszy, niż dawniejszy. W ciągu zatargu wyłoniły się także i inne sprawy sporne. Ich załatwienie również nie było dla Austrii pomyślnem ani politycznie, ani gospodarczo. Dawniejszy traktat opierał się na zasadzie wzajemnego uprzywilejowania za pośrednictwem ciał różniczkowych. Mieszkańcy Serbii, wysyłając do Austrii zboże i inne towary, opłacali od nich cło mniejsze, niż cło pobierane w razie przywozu towarów tej samej ilości i jakości z innych krajów. Podobne przywileje przysługiwały Austrii. Od wyrobów przemysłowych austriackich Serbowie pobierali cła niższe, niż wymierzane w razie przywozu towarów tej samej ilości i jakości z innych państw n. p. Niemiec lub Włoch. Ten stan rzeczy uległ zmianie w nowszych traktatach. Cła różniczkowe, a wraz z nimi wzajemne uprzywilejowanie znikło. Dziś stosunki celne obu państw opierają się na wzajemnem przyznaniu sobie „największego uprzywilejowania“. Niegdyś celnicy serbscy pobierali na granicy od przywiezionych torebek skórzanych austriackich cło niższe, niż od tejsamej ilości tychże samych torebek, pochodzących z Niemiec lub z innych państw. Dziś stosunki się zmieniły. Celnicy serbscy przestali czynić różnicę. Nie wolno im obłożyć towarów austriackich cłem wyższem, niż pobieranem od towarów, pochodzących z innych państw. Wszelkie ustępstwa celne, które Serbia przyznaje innym państwom, przysługują także towarom austriackim (klausula największego uprzywilejowania), ale Austrya nie ma prawa domagania się ciał niższych, ulg specjalnych, niedostępnych innym współzawodnikom. Austrya straciła stanowisko wyjątkowe z własną szkodą gospodarczą. Głównym powodem pogorszenia się sto-

sunków handlowych ze Serbią były nadmierne wymagania rolników w Austrii i na Węgrzech, którym niestety rząd nie umiał się oprzeć. Rolnicy zwalczali przede wszystkim przywóz bydła ze Serbii, co doprowadziło do obecnej, nadmiernej drożyzny mięsa. Gorsze były następstwa polityczne. Osłabienie w Serbii wpływów austriackich znalazło dobitny wyraz w sprawie o dostawy państwowe. Rząd austriacki podczas rokowań obiecywał Serbom ustępstwa celne, jeżeli zaciagną pożyczkę u bankierów austriackich i jeżeli w Austrii zamówią działa, pociski i proch. Serbowie zaciagnęli pożyczkę w Paryżu i za te pieniądze kupili działa francuskie w Creusot. Austria ociągała się z zawarciem nowego traktatu. Ponieważ dawny przestał obowiązywać, weszły w życie cła wyjątkowo wysokie. Handel między obu państwami zmniejszył się. Serbia wbrew oczekiwaniom Austrii nie okazała się skora do natychmiastowych ustępstw. Częściowo znalazła zbyt na innych targach. Zgodziła się na nowy traktat dopiero w roku 1908 na zasadzie wykluczenia cel różniczkowych.

W październiku 1906 roku hr. Gołuchowski ustąpił, jak wiarygodne dzienniki twierdziły, na życzenie następcy tronu. Cesarz z powodu podeszłego wieku dopuścił następcę tronu do pewnego współudziału w rządach, zachowując jednak sobie rozstrzygnięcie spraw ważniejszych. Następcą tronu niezadowolony z wyników polityki bałkańskiej domagał się zmian w obsadzie najwyższych stanowisk. Następcą hr. Gołuchowskiego, którego ojcu polskie społeczeństwo wystawiło dobrze zasłużony pomnik we Lwowie, został ambasador w Petersburgu, baron Aehrenthal. Chcąc prowadzić energiczną politykę zagraniczną, trzeba być wojskowo gotowym. Szefem sztabu jenerałnego był od lat dwudziestu bar. Beck. Następcą tronu uznał za wskazane powierzyć to stanowisko człowiekowi młodszemu. Na jego wniosek cesarz mianował szefem sztabu jenerałnego bar. Conrada von Hötzendorf, który nim jest po dziś dzień.

Wcześniej, niż we Wiedniu spostrzeżono i wyzyskano w Petersburgu błędy austro-węgierskiej polityki bałkańskiej. Rosyjscy mężowie stanu widzieli jasno bezczynność i brak

wszelkiej przedsiębiorczości ze strony Austrii nawet wśród okoliczności najbardziej sprzyjających inicjatywie austriackiej. Powiedzieli sobie, że można, a więc należy nie liczyć się z Austrią. W ich umysłach dojrzała myśl podjęcia na nowo czynnej polityki na Bałkanach, przerwanej z powodu wyprawy mandżurskiej w nadziei uzyskania korzyści, któreby zrównoważyły częściowe niepowodzenia w Azji. Postanowili wyzyskać słabość Austrii i antagonizm angielsko-niemiecki, siłą rzeczy popychający Anglię do zajęcia nieprzyjawnego stanowiska także i wobec sprzymierzeńca Niemiec, wobec Austrii. Rosji było potrzebne porozumienie z Austrią celem skrepowania swobody ruchów współzawodnika w czasie, gdy nie mogła działać czynnie. Z chwilą załatwienia sprawy mandżurskiej Rosja nie miała już powodu utrzymywania nadal porozumienia z Austrią, przeszkadzającego jej w uzyskaniu specjalnych korzyści, zmuszającego ją do podziału ewentualnych zdobyczy z Austrią. Rosyjscy mężowie stanu postanowili oprzeć swą działalność na Bałkanach w porozumieniu z mniej wymagającą Anglią, gotową do poparcia Rosji wzamian za zawarcie trójporozumienia, zwróconego przeciw Niemcom, przyczem obiecywali sobie, że ewentualna pomoc udzielona Anglii i Francji przez Rosję przeciw Niemcom nie doprowadzi do oziębnego starcia, że ograniczy się do bardziej platonicznych przejawów. Obiecywali sobie uzyskanie pomocy Anglii i Francji na Bałkanach niemal za darmo. W ten sposób doszło do skutku współdziałanie angielsko-rosyjskie na Bałkanach wraz z równoczesnem faktycznem rozbiciem porozumienia rosyjsko-austriackiego. Rosja chciała wykluczyć Austrię od wszelkiej dalszej akcyi na Bałkanach. Chciała rozwiązać problem macedoński na swą wyłączną korzyść ze szkodą Austrii.

We Wiedniu nie spiesono się z wykorzystaniem położenia, stworzonego przez klęski wojenne Moskali w Mandżuryi, może także i dlatego, że kierownicy austriackiej polityki liczyli się z dłużej trwającem osłabieniem Rosji. Liczyli się z możliwością wykorzystania położenia później. Zawiodła ich wiara w przyszłość: „Co się odwlecze, nie uciecze“, ponieważ położenie

zmieniło się w nadspodziewanie krótkim przeciągu czasu na korzyść Rosyi, która z zadziwiającą szybkością zdołała odzyskać swe stanowisko i wpływy, zachwiane niepowodzeniem w Azji. Znaczne są zasługi Izwolskiego w dokonaniu tego dzieła. Po wojnie z Japonią nastąpiła zmiana w kierownictwie rosyjskiej polityki zagranicznej. Następcą hr. Lamsdorffa, któremu przypisywano część winy, został Izwolski, człowiek o wybitnych zdolnościach i temperamentie politycznym. Odrazu położenie dyplomatyczne Rosyi oparł na silnych podstawach przez układ z Japonią i Anglią. Od czasów Bungego, a więc od lat z górą trzydziestu kierownictwo rosyjskiego ministerstwa skarbu znajduje się w dobrych rękach. Przed wojną skarb był pełny. Oczywiście z powodu wojny stosunki się pogorszyły, ale w bardzo krótkim przeciągu czasu stan skarbu poprawił się. Dziś znowu jest pomyślnym, znacznie lepszym, niż wielu innych państw. Prezes gabinetu Stołypin przez stłumienie rewolucyi i reformę agrarną (zniesienie miru, oraz komasacyę) wybitnie przyczynił się do poprawy stosunków wewnętrznych. Podjęto pracę nad reorganizacją armii, o której wynikach różnie sądzą. Słowem Rosya szybko odzyskała swą żywotność chwilowo umniejszoną i zwróciła ją ku Bałkanom przeciw monarchii, w granicach której żyjemy.

Austria nie pozostała dłużną odpowiedzi. Zamiast kłaść nadal nacisk na reformy macedońskie, których program i przeprowadzenie stawało się coraz bardziej dziełem angielsko-rosyjskiem, Austro-Węgry wydobyły z pyłu zapomnienia art. 25-ty traktatu berlińskiego, który dawał Austrii prawo posunięcia swych załóg wojskowych aż poza Mitrowicę i budowy dróg w całym sandżaku. Austro-Węgry ani nie objawiły chęci, ani nie przystąpiły do rozszerzenia terenu wojskowo obsadzonego, a niesięgającego nawet Mitrowicy. Ograniczyły się do wystąpienia z zamiarem budowy kolei wąsko-torowej Uvac-Mitrowica, stanowiącej przedłużenie kolei z Serajewa do Uvac t. j. do granicy austriacko-tureckiej, a zarazem jej połączenie z kolejami tureckimi, których punkt końcowy stanowi Mitro-

wica¹. Austria uzyskała zgodę sultana zapewne wzamian za przyrzeczenie poparcia Turcyi wobec Rosyi i Anglii. 27-go stycznia 1908 r. bar. Aehrenthal oznajmił w delegacyach, że rząd austro-węgierski ma zamiar przystąpić do ostatecznego wytyczenia trasy kolejowej i do dalszych kroków przygotowawczych. Austro-Węgry niewątpliwie byłyby wzmocniły swe stanowisko na Bałkanach, gdyby budowa kolei doszła była do skutku. Kolej zapewniała Austrii pewne korzyści ekonomiczne. Jeszcze większe było jej znaczenie polityczne. Wraz z koleją monarchia Habsburgów zbliżała się ku Albanii i Macedonii, do morza Egejskiego. Docierała do Mitrowicy. Ułatwiała jej to późniejsze sięgnięcie poza Mitrowicę, przewidziane w art. 25-tym traktatu berlińskiego. Kolej przede wszystkim ułatwiała Austrii utrwalenie i rozszerzenie swych wpływów w sandżaku Novi-Bazar. Znaczenie sandżaku dla Austrii polegało na tem, że stanowił klin wcisnięty między Czarnogórę i Serbię, utrudniający ich połączenie. Kolej byłaby ten rozdział zwiększyła. Miała przerzynać sandżak w kierunku południowo-wschodnim, równolegle do granic serbskich i czarnogórskich. Łącząc sandżak z Austryą i Turcyą pośrednio oddalała go od Serbii i Czarnogóry, oddalała zarazem te dwa państwa od siebie.

Zawrzało w Rosyi, Serbii, a nawet w małej Czarnogórze. Przeciwnicy kolei Uvac-Mitrowica rozpoczęli starania o budowę kolei, któraby łączyła Dunaj z morzem Adryatykiem, Serbię z Czarnogórą, a nawet Bułgaryę i Rumunię z tureckimi wybrzeżami Adryatyku, dotąd zupełnie pozbawionemi połączenia kolejowego. Serbia żywiła nadzieję, że przez budowę tej kolei zmniejszy się jej zależność ekonomiczna od Austrii, stanowiącej obecnie główny teren zbytu dla serbskich wytworów. Zbudowanie kolei, łączącej Serbię z Durazzo nad morzem Adryatykiem ułatwiłoby jej szukanie zbytu poza Austryą. Rząd rosyjski nie ograniczył się do starań o budowę kolei Dunaj-Adryatyk. Zaczął domagać się energiczniejszego przeprowadzenia reform

¹ Kolej Uskub—Mitrowica jest odnogą kolei Salonika—Uskub (czyli Skoplje) —Kumanowa—Nisz—Belgrad.

w Macedonii i rozszerzenia ich programu, chcąc skłonić Turcyę do przeszkadzania Austrii w budowie kolei w zamian za po-
niechanie żądań rosyjskich. Prawdopodobnie nie byłby przeszkodził przeprowadzeniu austriackich zamiarów kolejowych. Udaremнили je Młodoturcy.

W pół roku po mowie bar. Aehrenthala Młodoturcy doszli do władzy. Nie brakło ludzi, którzy widzieli w tym zwrocie początek końca Turcyi europejskiej¹. Wprost przeciwny pogląd zwyciężył we Wiedniu. Błędne zrozumienie istoty i mylna ocena przypuszczalnych skutków rewolucyi tureckiej wyrządziły Austrii nieobliczalne szkody. Zdawało się wiedeńskim mężom stanu, że Turcyja teraz ujmie przeprowadzenie reform we własne ręce. Odpadną powody mieszania się obcych państw do wewnętrznych spraw tureckich. Wzrost siły wojskowej tureckiej zapewni niezależność i nietykalność granic tureckich skuteczniej, niż dotychczasowe umowy międzynarodowe. Kto wie, czy zgodne z rzeczywistością poczucie własnej siły nie popchnie Turcyi do kroków, skierowanych ku odzyskaniu krajów, które choć *de facto* znajdują się w ręku państw obcych, dotąd nominalnie podlegają sultanowi? Nie przypuszczano chyba we Wiedniu, że Turcyja odrazu wypowie Austro-Węgrom wojnę celem zmuszenia ich do zwrotu Bośni i Hercegowiny, ale zapewne obawiano się, że zechce robić trudności Austrii, zaznaczając przynależność Bośni i Hercegowiny do Turcyi n. p. domagając się oznaczenia terminu zwrotu Bośni i Hercegowiny na rzecz Turcyi. Może obawiano się, że inne państwa zechcą wywierać nacisk w tym samym kierunku. W Bośni i Hercegowinie nie brak Serbów katolickich, a także prawosławnych. Kto wie, czy Serbia nie będzie domagać się łącznie z Turcyą opróżnienia przez Austryę Bośni i Hercegowiny?

(C. d. n.)

A. Krzyżanowski.

¹ W odpowiedzi na książkę o wymownym tytule Ulara i Isabato: *Der erlöschende Halbmond*, Frankfurt a. M. 1909 ogłosił Jäckh obszerną rozprawę: *Der aufsteigende Halbmond*, Berlin 1911, w której broni wprost przeciwnego zdania. Wilhelm II-gi wyraził mu swe uznanie, stwierdzające raz jeszcze złudną wiarę rządu niemieckiego i austriackiego w siłę odrodzonej Turcyi.

Estetyka Maksa Dessoir'a.

Niezależną i krytyczną postawę wobec wyżej przedstawionych teorii zajmuje M. Dessoir profesor berlińskiego uniwersytetu, znany początkowo z prac odnoszących się do historii filozofii a zwłaszcza dzieła: „Historia psychologii niemieckiej od Leibniza do Kanta“, które w krótkich odstępach czasu (1894 i 1897) doczekało się dwóch wydań, z „Bibliografii nowożytnego hipnotyzmu“ (1888 i 1891), z rozprawy „o podwójnem ja“ w *Schriften der Gesellschaft für Experimental-Psychologie* 1890, „o zmyśle skórnym“ w *Archiv für Anatomie und Physiologie* 1890, „Przyczynków do estetyki“ w *Archiv für systematische Philosophie* T. V. i VI. W r. 1906 wydał w Stuttgarcie dzieło p. t. *Ästhetik und allgemeine Kunstwissenschaft* (476 większej 8-ki ze spisem alfabetycznem poruszanych w niem kwestyi i 19 tablicami przedstawiającemi po większej części dzieła sztuki, jako ilustracye jego wywodów). Ustępy z tego dzieła zwłaszcza z wstępu wyszły już w r. 1905 w czasopiśmie *Neue Rundschau* jako bardzo zwięzłe i przejrzyste zestawienie głównych kierunków dzisiejszej estetyki i zaprzatających ją pytań p. t. *Die Grundfragen der gegenwärtigen Ästhetik*. Jako godne pendant do takiego przeglądowego omówienia ścierających się prądów naukowych w estetyce, godzi się w tem miejscu wymienić dziełko znanego już również z badań specjalnych estetyka, profesora filozofii w Monasterze (dawniej w Zürichu) Z. Meumanna, który w bardzo przystępnem dla szerszych kół wydawnictwie *Wissenschaft und Bildung* wydał w roku 1908 *Einführung in die Ästhe-*

tik der Gegenwart. W ogóle jedną z cech dzisiejszego ożywionego ruchu, odznaczającego się pewną gorączkowością w rodzeniu coraz to nowych, i to nie w szczegółach ale w zasadniczej podstawie, poglądów estetycznych, jest to, że twórcy tych poglądów pracują wśród ustawicznej wymiany myśli, wzajemnego kontrolowania się i krytyki, niepodobni w tem do dawniejszych, bardziej spekulatywnych systematyków, spokojnie i bez oglądania się na współczesność zaokrąglających swoje konstrukcje myślowe. Obok niezaprzeczonych skutków dodatnich, krytycznego zaostrenia i wysubtelnienia analiz psychologicznych, starannego wyróżniania się i wyodrębniania stanowisk ma to i strony ujemne: rzekomo pozytywne wyniki wyrastają przeważnie z tła negatywnego t. j. ze zwalczania poglądów innych, podczas gdy nagromadzenie i wyzyskanie doświadczeń oraz wiedzy historycznej o czynnikach rozwoju poczucia piękna i postępów sztuki powinnyby dostarczać przede wszystkim materiału nowopowstającym teoryom estetycznym.

Dessoir dzięki swoim poprzednim studyom i wyszkoleniu historycznemu w większej od innych mierze unika tych jednostronności. Oryentując się w możliwie wyczerpującym, jednolitym całokształcie różnych stanowisk estetycznych, jakie dadzą się pomyśleć i nie oszczędziwszy im zarzutów z powodu nieliczenia się z pełnem obliczem rzeczywistości, danej w doświadczeniu, stawia sobie problem zasadniczy niezależnie od tych teorii za podniętą ścierających się dążeń i potrzeb współczesnej kultury estetycznej, czyli tak, jak go nasuwa życie. Czy piękno i sztuka są faktami, względnie pojęciami tak identycznymi, że za zadanie sztuki można uważać tylko tworzenie piękna i że z samych znamion estetycznego zachowania się t. j. z warunków i sposobów odczuwania piękna można już wyprowadzić istotę sztuki i jej dążeń? Autor już u wstępu wyraża o tem silne powątpiewanie. Zauważa, iż nasze oddanie się z miłością i podziwem wobec zjawisk przyrody ma już wszelkie cechy zachowania się estetycznego a nie musi z tego powodu osiągać zetknięcia z sztuką. Smak może się rozwijać niezależnie od niej. Naodwrot pobudki i następstwa tworzenia artystycznego zataczają o wiele szersze kręgi

w życiu społecznem, aniżeli je mieć może samo estetyczne wrażenie i jego przedmioty. Uciecha znajdowana w kształtowaniu, dążność do opanowania, przetworzenia, uszykowania materiału, występują także w dziedzinach, niemających z czystym pięknem nic, albo bardzo mało co wspólnego. Mimo to skłania się D. do przypuszczenia nieokreślonej bliżej na razie funkcyjnej zależności obopólnej między poczuciem piękna, a rozwojem sztuki, względnie między odnośniami naukami, t. j. estetyką a teorią sztuki (*Kunstwissenschaft*) i porównuje właściwe ujęcie ich stosunku z tem powiązaniem objawów duchowych i materialnych, jakie pozytywizm wprowadził na miejsce materialistycznego utożsamiania ducha z materią. Niekażdy jednak zapewne zgodzi się ze zdaniem autora, iż ta osobna nauka o sztuce da się wysnuć z czysto teoretycznego rozpatrywania form i praw każdej sztuki bez bliższego badania ich rozwoju historycznego i z tym dodatkiem, że zwierzenia artystów o przebiegu powstawania ich pomysłów i dzieł mogą mieć dla tej nauki tylko drobną stosunkowo wartość. Można na to odpowiedzieć, że każdy wytwór kultury ludzkiej czerpie swą naturę i jej specyficzne różnice od innych ze sposobu swego stawania się, z wylaniającej się w nim treści i formy. Natomiast zupełnie słusznem, niemal zbytecznem przez swą oczywistość, przedstawia się żądanie, aby teoretyk sztuki wyłączał z badania jej praw i objawów istotnych wszystkie elementy kapryśne, przeciwnie celowi, nieracjonalne — tylko sęk cały tkwi w stwierdzeniu, że dany objaw ma rzeczywiście a nie tylko pozornie tego rodzaju cechy. Wyrazistszemi w duchu empirycznej naukowej metody są wymagania D. stawiane estetyce, jako tej nauce, która ma śledzić czynniki składające się na wrażenie estetycznie dodatnie, t. j. na wrażenie piękna. Nie jedność tłumaczącej teorii — ale zupełność tłumaczenia, t. j. ażeby ono nie pomijało żadnej strony faktów i żadnej nie nakreślało do powziętych założeń, ma być ideałem tej nauki tak dalece, iż autor godzi się nawet z niemilą bądź co bądź dla umysłu filozoficznego możliwością różnych, równoległych ze sobą i niedających się

do wyższego, wspólnego punktu widzenia sprowadzić, sposobów objaśnienia, jak przedmioty estetyczne na nas działają — woli taki wynik, byle sumiennem, wszechstronnem rozpatrywaniem osiągnięty, aniżeli teorię jednolitą, ponętną — jednakże dającą powód do zarzutu, iż wtłoczyła i przykroila fakta do formuły nieodpowiadającej ich różnobarwności, uboższej od nich swą treścią.

Po bardzo zwięzłym i przydatnym dla początkujących przez podniesienie głównych rysów przeglądzie dziejów nowszej estetyki, z których przebiegu jednak nie wyciąga wniosków stanowczych dla zagadnień doby obecnej, daje D. dopiero w rozdziale zatytułowanym „zasady estetyki“ a złożonym z trzech części, o obiektywizmie, subiektywizmie i o problemie metody, krytyczne rozstrząsanie wszelkich jego zdaniem możliwych i na wzmiankę zasługujących stanowisk w pojmowaniu piękna i stosunku sztuki do natury. To, że i tę drugą kwestyę, chcąc nie chcąc, wciągnął autor do zakresu estetyki, jest wielce charakterystycznym po tak stanowczych z jego strony domaganiach się osobnej nauki o sztuce, niepodporządkowanej założeniom co do istoty piękna. Tu zaś z owymi węzłami łączącymi ściśle — i to nie tylko w historycznym rozwoju, ale też ilekroć dla celów krytycznych zachodzi potrzeba rozejrzenia się i uporządkowania — z przynależnością naturalną pewnego poglądu na sztukę do pewnych pojęć piękności, musiał się D. siłą faktu liczyć.

Pierwszą podstawę dla podziału estetycznych teorii upatruje w tem, że jedne, objęte przezeń zbiorowem mianem obiektywizmu, zasadzają odrębność tego pola badań na jakości przedmiotu, drugie zaś, podpadające pod kategorię subiektywizmu, na zachowaniu się używającego estetycznie podmiotu. Czy jednak nie jest wykluczony człon trzeci w podziale wedle tej zasady — faktycznie mieliśmy sposobność poznać go w poglądach Witaska, poniekąd i Cohna — mianowicie to stanowisko, które współdziałaniem przedmiotowych i podmiotowych czynników stara się wyjaśnić naturę uczuć estetycznych, daną w sposobie reagowania na przedstawione plastycznie

przedmioty — z tą bardzo po prostu nasuwającą się ewentualnością autor się tu nie rozprawia. W ramach obiektywizmu widzi znów trzy typowe możliwości: naturalizm (z ubocznymi nazwaniami jak weryzm, akcydentalizm, impressyonizm), w którego oczach prawdziwe piękno i sztuka nie mają dawać ani mniej, ani więcej niż rzeczywistość, są z nią jakoby zrównane, idealizmu (zwanego z powodów, które niżej zobaczymy, także essencyalizmem), który wymaga od nich więcej ponad to, co jest dane w zwykłym, potocznym doświadczeniu, wreszcie trzeciej grupy stanowisk bez wspólnego miana, mających jednak ten rys wspólny, że wedle nich piękno i sztuka używają nam mniej aniżeli pełną rzeczywistość, mianowicie tylko pewne jej strony, czyto taką stroną cenną dla estetycznego odczucia, będzie forma przedmiotu (stanowisko formalizmu), czy też pozór, którego ułudności jesteśmy świadomi (stanowisko iluzjonizmu), czy wreszcie plastyczne wrażenie na samej swej powierzchni, zgoła usamodzielnione, bez względu na to, czy ma jakikolwiek realny podkład w działającej na nas istocie przedmiotu (to nazywa D. sensualizmem). Założenia naturalizmu zwalcza autor poczwórną bronią: 1) wykazując, iż przy dokładnym oddawaniu „szmatu przyrody“ występują uczucia pozaestetyczne, których przy oglądaniu oryginału nie było, n. p. przestрах na widok figur woskowych, 2) że wszystkiemu, cokolwiek można nazwać dziełem sztuki, daleko jeszcze do rzeczywistości (n. b. nie można uznać zatakie dzieło obrazów kinematografu), 3) że osiąganie podobieństwa z przedmiotami natury następuje zapomocą zgoła odmiennych od stanu rzeczy w przyrodzie dróg i środków, jest to więc nie naśladownictwo, ale przekładanie (transpozycja) o zgoła odmienną zawartość i możliwie bardzo różnorodnym procederze, 4) że przy ścisłym przeprowadzeniu zasady kopiowania oryginałów w naturze musiałoby się wyłączyć czynnik miarodajny, jakim jest indywidualność artysty, a temsamem sztukę pozbawić życia (str. 62). Powiązanie przez autora naturalizmu estetycznego ze służącym mu za podstawę ogólnie filozoficznym przekonaniem, że tylko zmysłowy świat indywidualu posiada rzeczywistość, jest zupełnie przekonywujące.

Nie można tego natomiast powiedzieć o tuż zaraz dołączonem twierdzeniu, że i całkiem przeciwną pozytywną praktyczno-religijną zasadą optymizmu prowadzi do takich samych następstw, rzekomo z powodu, iż ten, co uważa świat rzeczywisty za najlepszy z możliwych, nie może konsekwentnie pochwalać oddalania się wyobraźni od rzeczywistości. D. miał tu widocznie na myśli Ruskina. Jednakże tylko optymizm przykuty do szczegółów, uznający na sposób Hegla wszystko rzeczywiste za dobre i rozumne, a więc w gruncie bardzo daleki od nastroju religijnego, umacnianego wiarą w etyczny porządek rzeczy i opatrnościowy plan, uważałby każdy wycinek rzeczywistości za doskonały i godny skopiowania i nie czyniłby różnicy między naturą czystą a oszpeconą przez człowieka, jak głośny z tego odróżniania wymieniony tu estetyk angielski. Słuszne żądania naturalizmu redukuje D. do negatywnego warunku, ażeby dzieło nie raziło swą wewnętrzną nieprawdą (byłby to i brak przekonania o przedstawionej wizji) i do wymagania konsekwencji — poza tą zaś sferą przypisuje większej części objawów roszechających sobie pretensję do uznania prądów naturalistycznych, o ile są uprawniającymi, inną w gruncie rzeczy dążność, mianowicie ku zwalczaniu form i poglądów przeżytych.

Stanowisko idealizmu, doszukujące się poza objawami rzeczy pięknych jakiejś wyższej treści, istoty (essencya, stąd nazwa essencyalizm), tłumaczy się wedle D. podstawieniem pojęć w miejsce kształtów spostrzegalnych, a ponieważ w każdym pojęciu mieści się myśl o tem, czem rzecz pod nie podpadająca ma być, dołącza się do widzianego w tem świetle przedmiotu urok spełnionego stałego i powszechnego zadania, urzeczywistnionej normy. Szkopuł główny, o który się rozbiła ocena piękna z tego wyłącznie punktu widzenia, dostrzega D. w tem, że wręcz niemożliwym jest opisać lub scharakteryzować dany utwór wedle rzekomo panującej w nim idei, gdyż może być ona w równej mierze przewodnią w niezmiernej ilości innych przedmiotów, i tak pozostaje w ocenianej rzeczy nieuchwycona ta nadwyżka poza jej treścią ideową. Nie posuwa się jednak nasz autor do zupełnego odrzucenia strony racjonalnej czyli gry czynności

umysłowych w każdym zaznawaniu piękna. Na zacytowanych strofach wiersza Stefana George „bracia boleści“ wykazuje, jak, w pewnych zwłaszcza rodzajach poezji, uprzytomnienie sobie stosunków, tylko myślą uchwytnych, wzbogaca i rozgrzewa nastrój. Ale warunki dla tego nastroju muszą być poprzednio dane skądinąd: musi nastąpić poruszenie uczuć, którego nie wywoła oderwana istota pojęciowa. Intuicji prawd ogólnych, powstającej bez pomocy analitycznej i abstrakcyjnej pracy myślenia, drogą silnego wstrząśnienia uczuciowego i uświadomienia sobie jedności bytu osobistego z rządzącymi nim prawami etycznymi i logicznymi, zarzut ten nie dotyka i w bezpośrednim przejawie duchowych ustrojów może tkwić bardzo wysoki stopień piękna niezachwiany powyższymi dowodzeniami. Jądro częściowej prawdy uznaje D. także w formalizmie estetycznym — ale podobnie jak w naturalizmie tylko pod względem negatywnym, mianowicie, że nie będzie upodobania, jeśli części nie będą w sposób plastycznie przekonywujący do siebie przynależały i wzajemnie jedna do drugiej odsyłały spostrzegacza, tak, ażeby żadna z nich bez dotkliwego uszkodzenia całości nie mogła być opuszczoną (str. 71). Bardzo trafne są uwagi, że jedność w różności (a więc zaletę formalną) napotykamy w wielu wypadkach, w których o zadowoleniu estetycznym niema mowy, i że rygorystyczne (w duchu estetyków formalistów) przedzielanie treści od formy pozbawia odczucia najdelikatniejszego motywu zachodzących w pięknie oddziaływań formy na treść i odwrotnie, prześlizgiwań się wpływów z jednego czynnika na drugi przy wywołaniu estetycznego wrażenia.

Teorii illuzjonistycznej, jako takiej, t. j. tłómaczącej uciechę w pięknie świadomością, iż jest ono tylko pozorem, czemś niższem od rzeczywistości, ale zarazem przez odrywanie się z niej ponad nią górującem, D. nie przyznaje samoistnego uzasadnienia, a w szczególności w tym sensie, jaki nadał jej Konrad Lange z dodatkiem subiektywnego elementu: gry świadomego łudzenia siebie przy oglądaniu przedmiotu estetycznego. To, co w tej teorii jest częściowo trafnem, lepiej jego zdaniem przejął i sformułował estetyczny sensualizm, nakazujący zadowolnić

się faktem jasnego, utrwalonego i wyzwolonego (zwłaszcza w dziele sztuki) ze związku oddziaływań rzeczywistych wrażenia.

Poparcie dla tych poglądów o usamoistnianiu się wyrazu wzrokowego i słuchowego, we wrażeniach, odczuwanych estetycznie, znajduje Dessoir zarówno w płodach tworzenia artystycznego, jak w pewnych szeroko dziś rozpowszechnionych założeniach teoretyczno poznawczych. „Każde dzieło sztuki plastycznej musi przedstawiać jedność przestrzenną. (str. 79) Malarz musi otoczyć jakiś wycinek z swego pola widzenia niejako ramą i zaopatrzyć przestrzennym punktem środkowym, nie śmie traktować barw jako rozprószone plamy, ale musi widzieć w nich współdziałające wartości. Jak ten, co myśli zapomocą pojęć, wydobywa przez abstrakcyę z ciągle zmieniających się form bytu rzeczywistości formę myślową, tak artysta wyjmuje to, co plastycznie jest ogólnem, ze zjawisk niespokojnie zmieniających się i niedających się ani w spostrzeżeniu ani w przypomnieniu nieruchomo utrzymać. Zużytkowuje dostarczane mu przez naturę akcenty skuteczne, o ile tylko energicznie wyrażają istotę przestrzenną jakiejś formy. Z innej strony też wyzyskuje ograniczoność swego materiału, n. p. płaskość powierzchni płótna lub martwość marmuru, ażeby z tej ograniczonej właściwości swego środka wywołać magicznie wyobrażenia przestrzeni lub ruchu. Takim przetworzeniem natury i pozorną niedostatecznością swej artystycznej techniki użycza nam zamkniętego zresztą przed nami bezpośredniego poznania rzeczy widzialnych“. Również teoria poznania, wychodząca od faktów bezpośrednio i pierwotnie nam danych, uczy, że początkowo w treści naszej świadomości, zapełnionej świeżem wrażeniem, nie odróżniamy składników podmiotowych od przedmiotowych, lecz zaznajemy je jako jedną uchwytną rzeczywistość. Wynikiem tych roztrząsań obiektywnej strony odczuwania i tworzenia jest, że zachodzi w tych przebiegach psychicznych reakcyi na wrażenia ustawiczne fałdowanie między tem stanowiskiem, które bierze mniej, niż rzeczywistość daje, a tem, które dąży do jej dopełnienia, t. j. do zyskania czegoś więcej ponad zmysłowo doświadczalne dane. Mniej o ile tylko powierzchnia rzeczy, do użycia estety-

cznego nagotowana, podaje się nam w plastycznie uchwytnych wrażeniach barwy czy dźwięku — więcej, o ile one nabierają wartości dla nas dopiero wtedy, gdy się z nich narzuca duchowi naszemu jakaś konieczność i ściśłość powiązania, wzajemność, nierozłączność składników jednolitej wizyi, pozwalająca nam przeczuwać „ukrytą istotę świata i życia“. Z tego rodzaju oscylacji, drgań przesuwających się kolejno między powierzchnią a głębią rzeczywistości, wysnuwa D. wniosek, iż można sztukę (a w konsekwencji należałoby dodać: mieszczące się w niej sposoby estetycznego odczuwania) traktować jako fenomen intensywności (Intensitätsphaenomen). Terminem tym chciał zapewne wyrazić, że zachowanie się estetyczne, odbierające i kształtujące wobec świata realnego, polega na przebywaniu całej gammy stopni mniej i więcej natężonego skupiania widzeń z zatrzymywaniem się na biegunowo od siebie oddległych punktach krańcowych, t. j. z jednej strony na czystej powierzchni świata wrażeń rozstrzelonych i udzielających się nam świeżo, surowo, nietkniętych żadną refleksją lub rozbiorem, z drugiej strony na samem dnie, które uwaga jednocząca te wrażenia przyjmuje za wspólne źródło ścisłego związku między ich składnikami, jakoby duszę ich, istotę ożywiającą i organizującą zestrój tych składników a temsamem nadaje temuż znaczenie wyrazu jakiegoś przez nas jeśli nie zrozumieć to przynajmniej przeczuć się dającego życia. Czy to tłumaczenie trochę zbyt zagadkowego i lakonicznego terminu jest trafnem i czy pomysł D. tu tkwiący jest dostatecznie uzasadniony, obaczymy przy omawianiu jego teoryi wrażenia estetycznego.

Przegląd różnych form subiektywizmu estetycznego rozpoczyna autor roztrząsanego tu dzieła od zbadania podstaw, na jakich może się opierać teoria pozoru, mianowicie tłumacząca pozornością przedmiotów odczuwania estetycznego ich charakter i nasze zachowanie się względem nich. Przyznaje, iż ze skreślonym wyżej sensualizmem ten punkt widzenia ma wiele znamion pokrewnych, jak wogóle ułuda z ujęciem rzeczy wyłącznie na ich zmysłom dostępnej powierzchni. Zauważa

wszakże najpierw, że sama bezinteresowność w oglądaniu tworu piękna nie dowodzi jeszcze pozorności i że wystarcza do jej wyjaśnienia fakt możliwości użycia estetycznego bez posiadania przedmiotu. Stan wyzwolenia podmiotu odczuwającego od potrzeby nateżeń woli i jej działania na zewnątrz także nie jest miarodajnym. Wyraża się w nim tylko następstwo znanego objawu, iż w estetycznym użyciu dusza cieszy się i zadawalnia samym przebiegiem rozgrywających się w niej funkcyi oglądania. Natomiast występując przeciw twórcom teoryi uczuć pozornych Kirchmanowi i Hartmanowi, przeczy, jakoby uczucia połączone z wrażeniami estetycznymi były słabsze od innych, wyłącznie za „realne“ uznawanych, z tej rzekomo dostatecznej racyi, iż dają się one łatwiej wypierać przez inne, ściślej z naszym potocznym życiem i jego potrzebami związane. Tę ich słabą wytrzymałość objaśnia nie brakiem realności, tak jak ci, co je uważają za pozorne, ani też słabszym stopniem nateżenia, bo one to właśnie wstrząsają najgłębiej całym człowiekiem, ale tem, iż stanowią dla siebie świat oddzielny, w sobie zamknięty, mający mało łączności z powszednimi zabiegami. Powinienby nam jednak autor przynajmniej uprawdopodobnić, iż tam gdzie kultura estetyczna wielu i silnemi odnogami wkorzeniła się w życie, uczucia estetyczne przedstawiają większą odporność względem innych — a jeżeli tego u nich sprawdzić niepodobna, należy wynaleźć inne wyjaśnienie. Może nasuwa się ono prościej w tym fakcie, że gdzie w pobudkach działania przeważają egoizm i zmysłowość, tam też i kultura estetyczna zachowuje mimo wszelkich przeciwnych oznak cechę powierzchowności, jest taką lekką pianką, która i za słabym podmuchem się zwiewa, gdzie zaś ludźmi poruszają głębiej przenikające etyczne i religijne potęgi, tam głos bezwzględnych nakazów tych potęg albo wciela w swój obręb, asymiluje i pochłania mniej stanowcze oddźwięki uczuć i wymagań estetycznych — albo wprost przygłusza je i tłumi, gdy mu są przeciwne. Dla Witaska teoryi

uczucie fantazyjnych przyjętych za jedną z głównych podstaw uciechy estetycznej nie jest autor sprawiedliwym, nieuwzględnia bowiem kilkakrotnie podkreślonych zastrzeżeń tego estetyka, iż samą uciechę w pięknie uznaje za uczucie najzupełniej realne — a tylko założenia dlań upatruje w uczuciach łączących się z sądami fikcyjnymi, czyli t. zw. suppozycjami, czystymi wyobrażeniami jakichś zajść bez brania pod uwagę ich rzeczywistości, a tem mniej prawdopodobieństwa. Dessoir stara się dowieść, że gdyby istniała osobna grupa uczuć fantazyjnych, powtarzających rzeczywiste jakimś lekkim echem, to byłyby one odrębnymi już pod względem (siły czy też sposobu?) ich strony emocjonalnej (wzruszenia) a nietylko ze względu na wyprzedzający je stan faktyczny w świadomości przez wyobrażenie sobie lub pomyślenie czegoś. Powołuje się na to, że uczucie fantazyjne nie daje się — taksamo, jak każde inne — pogodzić z równoczesnem, przeciwnem mu, a więc już tem objawia cechy prawdziwego, realnego uczucia, że czysta fikcja spowodowuje często uczucia o wielkiej żywości, porywające całą istotę ludzką, że wreszcie uczucia fantazyjne mogą, jak twierdzi, wiązać się także z przekonaniami (nietylko z supozycjami). Przytacza ponadto, iż w granicach wewnętrznego doświadczenia (a na stanowisku subiektywno-idealistycznej teorii poznania i poza obrębem tych granic) niema ściśle wytyczonego przedziału między przekonaniem a supozycją, sądem rzeczywistym a wyobrażonym, ani też przeciwieństwa między niemi. Ta argumentacja a zwłaszcza ostatnia zacierająca dane nam w doświadczeniu różnice między swobodnem bujaniem wyobrażeń a wydawaniem sądów i uznawaniem czegoś za rzeczywiste, nie mają mocy przekonywującej. Wielka siła uczuć wywołanych przez same wyobrażenia może mieć przyczyny uboczne, przygodne, jak niezdawanie sobie sprawy z tego, że przedstawiający nam się obraz nie odpowiada żadnej rzeczywistości albo odwrotnie poczucie, iż jakkolwiek jest on wytworem wyobraźni, wyraża prawdę powszechnego i bardzo doniosłego dla dążeń ludzkich znaczenia. Możliwości

zaś godzenia się ze sobą uczuć fantazyjnych o kierunku przeciwnym, smutnych z wesołemi trudno zaprzeczyć wobec tak bijących faktów jak rozkoszne napawanie się tęskniami a nawet rozpaczynymi nastrojami w muzyce i liryce, jak współczucie z bohaterami tragedyi, które nietylko nie szkodzi jej użyciu estetycznemu w sensie dodatnim, ale je potęguje i t. p. Mogą więc tylko w pewnych szczególnych wypadkach i dla szczególnych powodów zatamowywać się wzajemnie sprzeczne uczucia obudzane samemi wyobrażeniami — a zdaje się to zachodzić wtedy, gdy skutkiem dwoistego w przeciwnych kierunkach równocześnie reagowania uczuć na wyobrażenie przebieg tych ostatnich, ich jasność i jednolitość, ulegają skrępowaniu, względnie przyćmieniu lub rozbiciu. Z sądami rzeczywistymi mogą uczucia fantazyjne powiązać się chyba drogą jakiegoś pośredniego dalszego skojarzenia. D. przyjmuje ze swej strony inne uzasadnienie teoryi, któraby chciała tłumaczyć odrębny sposób działania na nas dzieł sztuki ich pozornością, mianowicie, iż pozornym jest kształt poczęty w wyobraźni, który działa tylko na jeden zmysł n. p. wyłącznie na wzrok, a nie na dotyk i słuch, że brak mu tej pełni wrażeń, jaką mieści w sobie spostrzeżenie. Ale ten sposób tłumaczenia nie dopisuje wobec widzianej i słyszanej gry na scenie osób, o których dotykalności nie mamy powodu powątpiewać, a nawet wobec tańca o wartości estetycznej. Nie widzimy więc, dlaczego wyobrażenie fantazyjne miałoby, jak to utrzymuje D., być przyjemniejszym w znacznej części już dzięki swemu wyzwoleniu od niewygodnych zetknięć i zderzeń z rzeczywistością, tembardziej, że właśnie opanowanie tej rzeczywistości, dobrze odważonej a przynajmniej szczęśliwą intuicyą chwyconej, stanowi w wielu dziełach artyzmu lwia część ich dodatniego skutku.

Krytyka illuzjonistycznej teoryi Konrada Langego o świadomem łudzeniu siebie, ustawicznym i umyślnem mienianiu rzeczywistości i pozorów jest w omawianem tu dziele przeprowadzona obiektywnie i bystro. Podnosi D., iż doświadczenie nie nam nie mówi o tego rodzaju kołysaniu się czy chwianiu treści naszej

świadomości przy oglądaniu estetycznym i że ta dziedzina życia, jako taka, nie zna rozdziału między rzeczywistością i pozorem, będącego dopiero owocem analiz logicznych.

Z punktu widzenia tej pierwotnej zjawiskowej tożsamości i zlania się czującej istoty z przedmiotem odczuwanym występuje D. z zasady przeciwko każdej estetyce uczuciowej, dla której uczucie byłoby tylko subiektywnym stanem. Ma ono bowiem, jego zdaniem, swój przedmiot w sobie acz innym sposobem, aniżeli ma go spostrzeganie. A to dlatego, że bezpośrednio przeżywającemu jakieś uczucie (mianowicie estetyczne) uchodzi uczucie to nie za wewnętrzne spostrzeżenie, jak on sam się oświadcza, ale odnosi je tak żywo i pewnie do przedmiotów, że nie krępowany krytycznymi wątpliwościami pogląd na świat przypisuje jakości uczuciowe z reguły przedmiotom spostrzeżeń a nawet rzeczom w sobie. Tłómaczenie objawów estetycznych zapomocą wczuwania się uważa D. tylko za dalszy krok, za konsekwencję przyjęcia tożsamości między podmiotem czującym i odczuwanym przedmiotem, tak iż źródła dla tej zasady doszukuje się już w filozofii Fichtego, w poglądzie o istnieniu w nas dwóch szeregów, z których jeden oznacza treść naszej świadomości, drugi wiedzę o nim. Nawet bez porównania dalej wstecz widzi zarodki w każdym zapatrywaniu na świat antropomorficznym zapomocą wnoszenia weń mniej lub więcej świadomie podobieństw naszego wewnętrznego życia. A to znów jego przekonaniem stanowi poważne niebezpieczeństwo tej teorii, jako naukowej, podczas gdy sztuka bez szkody, owszem z powodzeniem za wzorem mitycznego Narcyssa, praktykuje to przegłądanie się we własnym odzwierciedlonym obrazie. Przyznaje, iż w działach estetyki, zastosowanych do poszczególnych sztuk, zwłaszcza muzyki dokonano znacznych postępów, mianowicie uczynił to H. Lotze, uwydatniając pokrewieństwo różnych form życia psychicznego z odstopniowaniami w intensywności i chyżości następstwa dźwięków, tak iż w nich to życie bezpośrednio ze wszystkimi swoimi odcieniami, jeżeli nie co do treści, to co do postaci przebiegu swoich poruszeń wyrażać się może. Dalszemu jednak, ogólniejszemu t. j. dla wszystkich sztuk

rozwijaniu i stosowaniu tych założeń, jak je na szeroką skalę stara się przeprowadzić Lipps, wywnioskując z treści świadomych stanów nieświadome procesy duchowe i ich wzajemne oddziaływanie, przeciwstawia D. szereg wątpliwości: zauważa najpierw, że o ile w formach przestrzennych mają się roztaczać w myśl tej teorii określone możliwości działania, to nie okaże się ona bardzo oddaloną od zasad objaśniania w dawnej metafizycznej estetyce. Potrzeba tylko te możliwości nazwać ideami — a różnica tkwić ma tylko w ich rzekomo empirycznym pochodzeniu i w uświadamianiu sobie tych możliwości działań bez pomocy refleksyi. Także tłumaczenie uczucia swobody i szczęśliwości tem, że oglądane cechy przedmiotu zbiegają się z dążeniami naszego „ja“ i im odpowiadają, sprowadzać się ma do uciechy odnoszonej z własnych funkcji psychicznych. Wnoszenie własnego, plastycznie t. j. konkretnie wyobrażonego uczucia w przedmiot uważa D. za niemożliwe, gdyż uczucia bez treści powodującego je przedmiotu a więc bez jakiegoś przedstawienia wyobrażać sobie nie możemy, a gdy usiłujemy to uczynić, pozostaje nam w świadomości tylko sam nagi akt odczuwania. Z tego powodu oświadczą się przeciw próbowanemu przez Witaska odwróceniu pojęcia wczuwać, to znaczy przeciw możliwości ożywiania oglądanego przedmiotu naszymi uczuciami, podczas gdy w przeciwnym kierunku wedle teorii Lippsa mamy z przedmiotów nasze uczucia wyczytywać.

Jeden z głównych argumentów przeciw tej teorii przez D. wysuniętych polega na tem, że nie każde użycie estetyczne wynika z uszczęśliwiającego uczucia sympatyi. Nie może się on dopatrzeć takiego źródła w prostych wzorach ornamentu i w formach architektonicznych. Tylko jakaś ogólna a więc niekonkretna, dla wczucia się w sensie ścisłym niedostępna całość życia psychicznego ma się wyrażać w tego rodzaju twórcach. Nastrój przytem pozostający ma spowodowywać dla nas urok głównie dzięki temu, iż coś działa i przemawia do nas zarówno swem

podobieństwem jak i odmiennością od naszego ducha. Ale najwłaściwszym, podcinającym u podstawy całą teorię wczuwania się zarzutem w oczach D. jest to, iż można zaprzeczyć jakoby uczucia przenosiły się z przedmiotu na podmiot odczuwający czy też odwrotnie, i że należy upatrywać właściwy przebieg psychiczny w czemś zgoła innem, a nie w antropomorficznem ożywianiu się przedmiotu wobec nas, że my tylko padamy ofiarą uwodzących nas wyrażań językowych, gdy staramy się opisać estetyczne działanie przedmiotu i używamy przytem przenośni. Mowa człowieka pierwotnego zawiera wiele takich obrazowych wyrażań, których on z pewnością nie rozumie w sensie ścisłym — ale posługuje się nimi zniewolony do tego niedostatecznymi zasobami językowych form — wiedząc dobrze, że są to tylko porównania. Wynik całego tego krytycznego przeglądu jest negatywny i streszcza się w zdaniu D.: iż wiara w formułę wszystko wyjaśnić mającą jest obłudą. Można, dodaje, wyszukać coś wspólnego wszystkim częściowo uprawnionym zasadom i następnie ten ogólnik wtłoczyć w jedną zasadę, ale tem niczego się nie zyskuje, gdy się ma objaśnić pełnię faktów.

Ta na pozór miażdżąca krytyka teorii wczuwania się estetycznego a to tak w postaci, jaką ta teoria przybrała u Lippsa, jak w znacznie zmodyfikowanej i umiarkowanej u Witaska, okazuje się przy bliższem wglądnięciu zbyt doraźną i sumaryczną. Bo tego nikt dziś nie twierdzi, że uczucia przenoszą się z przedmiotu czującego na jakiś zewnątrz poza nim istniejący przedmiot lub że odwrotnie, wynalezione w takim przedmiocie, przenoszą się na podmiot. „Wczuwanie się“ nie jest ani wychodzeniem z siebie ani realnem wnikaniem w jakąś rzecz samą w sobie, ale we wspólnem rozumieniu nowszych teorii jest to tylko ten akt naszej świadomości, którym w formie i treści przedstawienia, jakie mamy o działającym na nas estetycznym przedmiocie, uchwytywać mamy bezpośrednio, t. j. bez analizy i abstrakcyi pojęciowej, składniki i właściwości podobne z czynnymi i biernymi poruszeniami naszego wnętrza, czyli z naszymi pragnieniami.

mi, dążeniami, uczuciami, emocjami, i pod wrażeniem tego pokrewieństwa czujemy się mniej lub więcej ściśle zjednoczonymi z życiem przedmiotu takim, jakie sobie w nim wyobrażamy, jesteśmy niem, jakoby własnem, przejęci i pochłonięni. Że doświadczenie nasze wewnętrzne stwierdza wypadki takich wczuwań się, temu trudno zaprzeczyć. Można tylko mieć wątpliwości, czy wypadki te obejmują całą dziedzinę odczuwania piękna, t. j. czy niema takich zachowań się estetycznych, w których wczuwanie się nie jest ani jedynym ani naczelnym czynnikiem psychicznym. Można też sobie zadać pytanie i to nawet w razie przyjęcia powszechności tego czynnika, czy on jest zgoła elementarnym i nierozkładalnym na dalsze proste, czy to już jest całkiem zadawalniająca i ostateczna teoria — czy też domaga się rozjaśnienia owych zagadkowych pokrewieństw estetycznego przedmiotu z poruszeniami naszego wnętrza. Dlaczego wczuwanie się musiałoby polegać jedynie na wyobrażeniu sobie uczuć oderwanem od powodujących je form i treści przedstawionych (a w takiej abstrakcyi niewykonalnem) tego D. nie uzasadnił w sposób jasny i zrozumiały.

Kwestyi, jaka metoda powinna być obraną, nie uważa autor dzieła tu roztrząsanego za tak ważną w obrębie jednej poszczegółnej umiejętności, przynajmniej w znacznie niższym stopniu, aniżeli jest nim ogólny problem ścisłego odgraniczenia pod tym względem umiejętności duchowych od przyrodniczych — uważa wszakże, zdaniem podpisanego całkiem trafnie, że estetyka powinna usilnie wystrzegać się jednostronnie subiektywnego kierunku, który ją u wielu nowszych pisarzy redukuje do samej psychologii estetycznego użycia i artystycznego tworzenia. Byłoby to bowiem połączone z wielkiem zubożeniem estetyki, gdyby się ją stanowczo wykluczyło od prawa badania uprawnień sprzecznych sądów smaku i od oceniania dzieł sztuki. Wobec toczącego się w ostatnich czasach sporu, czy estetyka jest umiejętnością wyłącznie opisującą, względnie wyjaśniającą, czy też

głównem jej zadaniem jest przepisywanie norm t. j. prawideł piękności, zajmuje D. stanowisko pośrednie. Mianowicie stara się wykazać z jednej strony, że same konkretne stany świadomości, jej właściwość (*Bewusstsein-beschaffenheit*), plastycznie uzmysłowione kształty spostrzeżeń i wyobrażeń, nie rozstrzygają jeszcze o postaci użycia estetycznego, zwłaszcza utworów poetyckich, w których często samo słowo, (a za jego pośrednictwem ujęcie pewnych stosunków) zastępuje obraz przedmiotu lub czynności — z drugiej strony dowodzi, że i zasadnicze pojęcie wartości w ocenach estetycznych (a służyć musi ono za podstawę przy określaniu norm) da się wyjaśniać psychologicznie. Z tych zatem powodów ściśle oddzielenie estetyki psychologicznie opisującej i wyjaśniającej od normatywnej przedstawia mu się niemożliwem. Zwłaszcza zaś sztuka (którą na podstawie pokrewieństwa etymologicznego wyrazów *können* i *Kunst* pojmuje najogólniej jako możliwość zrobienia czegoś) wymaga jego zdaniem jasnego określenia celów swoich, a w tem się już mieszczą wytknięte obiektywną naturą każdej sztuki warunki jej powodzenia, czyli przepisy, normy. Wreszcie i historia sztuki przedstawia obok wytworów o przemijającej wartości, cenionych tylko przez pewne pokolenia i epoki, takie, które i po wielu wiekach nie tracą uroku, górują ponad czystą historycznością (*über der Geschichtlichkeit stehen* str. 99). Otóż zadaniem teorii piękna i sztuki jest niewątpliwie w myśl słusznych wywodów D. także i wyjaśnienie tej „nadhistoryczności“ pewnych, co prawda bardzo rzadkich, kreacyi ducha ludzkiego w tej dziedzinie. W tych poglądach należy uznać pożądaną i zbawienną reakcyę przeciw jednostronnemu kierunkowi estetyki czasów ostatnich usiłującemu wszystko tłómaczyć psychologicznym mechanizmem i zadawalniającemu się takim tłómaczeniem, a reakcyja ta może być tem skuteczniejszą, że nie popada w skrajność przeciwną, jaką widzieliśmy u Cohna, mianowicie w ograniczanie estetyki do określania wartości estetycznych z góry z pominięciem sposobu powstawania zjawisk, w których się te wartości urzeczywistniają. Trzecią część omawianego tu dzieła zajmuje

traktat „o przedmiocie estetycznym“ — punktem wyjścia jest tu spór dwóch stanowisk, nazwanych przez autora kallikracyą (żądanie, by w dziełach sztuki panowała piękność) i panestetyzmem (t. j. przekonaniem, iż przez odpowiedni sposób ujęcia można we wszystkim, nawet w tem, co jest na pozór obiektywnie brzydkiem, wydobyć na jaw strony cenne dla oglądania i tworzenia). Pierwszy punkt widzenia zdaniem autora prostszy, ale ale też naiwniejszy, łatwiej i przejrzyściej daje się rozwinąć i zastosować, dopuszczając podziały i stopniowania piękna w naturze i w sztuce wedle tychsamyh probierzy i ceniąc sztukę tylko o tyle, o ile nam zbiera i podaje dane skądinąd piękno, bezpośrednią sprawiające nam przyjemność — ale wyrządza wielki uszczerbek znaczeniu i rozległości sił twórczych artystycznej bo prowadzi do cenienia ich tylko wedle natężenia sprawiane, przez ich owoc uciechy. D. zauważa tu, że właśnie jednym z pierwszych kroków do zrozumienia sztuki jest nauczyć się używać czegoś w sobie obojętnego dlatego, że występuje w przedstawieniu artystycznym i nie dawać się uwodzić ani przez rzeczowe piękności zawarte w dziele sztuki ani też odepchnąć przez przedstawione w niem rzeczy brzydkie. Dowodzi dalej, że do uzyskania nieprzerwanej ciągłości w postępie od piękna przyrodzonego do tworzonego przez człowieka potrzeba już pewnego idealistycznego założenia metafizyki, mianowicie, że idee są rodzącemi przyczynami zarówno przedmiotów naturalnych jak dzieł sztuki. Naturalną zaś konsekwencyą tej metafizyki wychodzącej od idei platońskich a kończącej się w systemie Plotyna na pojęciu całości wszechrzeczy, przenikniętej jednym działaniem i myślą Ducha Najwyższego jest wedle D. „panestetyzm“ t. j. właśnie owo przeciwne stanowisko, które każe domyślać się wszędzie śladów Bóstwa, a odnalezienie ich czyni zależnem od sposobu patrzenia na rzeczy, od zachowania się ducha zdolnego w nich przejrzeć ich pierwiastek wieczysty, żywy i kształtujący. Przyznaje jednak D. że i panestetyzm mieści w sobie poważne niebezpieczeństwa dla samodzielności sztuki, jeżeli całe jej zadanie widzi — ku czemu objawia skłonność — wyłącznie w odgadywaniu czy podchwytywaniu i odtwarzaniu ukrytego ale już istnieją-

cego piękna. Między tymi dwoma prądami równie jednostronnymi i mogącymi łatwo zatamować swobodny wytrysk nowych, oryginalnych form twórczości — między wybieraniem i kombinowaniem piękności w przyrodzie odczutyh a wyczuwaniem w niej i odsłanianiem dotąd ukrytych — musi się przewijać droga tworzenia, jeżeli ono ma postęp dziejowy wzbogacać czemś istotnie nowem, korzeniami swymi tkwiącem w duchu indywidualnym i zbiorowym, a nie w przyrodzeniu, które je otacza. W myśl tego poglądu piękno w sztuce, lub raczej mówiąc ogólniej, wartość artystyczna, zasila się nietylko wrażeniami sprawianemi przez bezpośrednio nam podobające się przedmioty w przyrodzie i wydobywaniem z niej drżmiących zarodków piękna drogą odpowiednich skojarzeń, refleksyi lub przeczuwań — ale także czerpie zasoby z wewnętrznych popędów ducha, jak ze skłonności organizatorskiej, czynnej także przy kształtowaniu form społecznych i z ogólnej duchowej potrzeby, ażeby przedmiot oglądania estetycznego miał w sobie, jak się D. wyraża, plastyczną (poglądową) konieczność, (*auschauliche Notwendigkeit* str. 115), t. j. by wszystkie jego części składowe wzajemnie się popierały i wzmacniały przy wywieraniu wrażeń, by przedstawiały się, jako nieodzowne dla całości, t. j. jej integralne człony, wynikłe z ogólnego ujęcia przedmiotu i nawzajem ułatwiające jego przejrzyste i silne na nas działanie. Są to jednakże, jak już oddawna wiadomo, powszechne formalne warunki upodobania estetycznego. Nasuwa się więc wątpliwość, czy właśnie w zadośćczynieniu im ma polegać odrębny charakter wartości artystycznych i powiemy chyba, że dążeniu artystycznemu właściwą jest większa obojętność wobec przyjemnych i nieprzyjemnych „zmysłowo pięknych i brzydkich“ szczegółów w treści, spowodowana zapędem do przeprowadzenia pewnego jednolitego zakroju i nastroju a tylko na podstawie osiągniętego takiego ogólnego rezultatu oceniamy dzieło sztuki jako więcej lub mniej znaczące. Między stosunkami składników wrażenia estetycznego, wzmacniających się wzajemnie i narzucających nam się z tego powodu w swem powiązaniu, jako obdarzone siłą poglądowej konieczności, odróżnia D. sto-

sunki jakościowe, którym odpowiadać ma ogólnie przyjęte miano harmonii, i ilościowe, oparte na jakichś proporcjach. Harmonie zaś bierze pod uwagę tylko dwie: barwną i dźwiękową, pomijając milczeniem kwestyę harmonijności następujących po sobie stanów wewnętrznych jak uczuć i kanwy wyobrażeń. Nie przedstawia się też dość ściśle zdanie, że jedną z istotnych różnic między harmonią barw i dźwięków jest, iż ta ostatnia nadzwyczaj rzadko występuje w naturze. Jestto sam nagi fakt, który nam nie tłumaczy istoty ani jednej, ani drugiej harmonii. Można też powątpiewać o tem, czy, jak twierdzi autor, czy dla wywołania harmonii barwnej koniecznem a więc dla tej harmonii istotnem jest pewne przytłumianie siły nasycenia i blasku poszczególnych tonów barwnych. Owszem bardzo często, chociaż nie zawsze, przywiązujemy wielką wartość do takiej harmonii, która nie sprawia na nas wrażenia, iżby jej składniki były osłabione. Natomiast trafne są uwagi o potrzebie przynajmniej trzech barw dla wywołania przyjemności o zadeklarowanym estetycznym charakterze z ich harmonii — oraz że barwy ściśle dopełniające się (komplementarne) wedle prawideł optyki skutkiem tkwiącego w tym stosunku fizyologicznego przymusu z jego następstwami (jak powstawaniem wrażeń barwy dopełniającej w ciemnych miejscach pola widzenia) nie sprawiają szczególniejszej uciechy estetycznej — a przeciwnie barwy graniczące ze sobą lub niezbyt od siebie odległe, zwłaszcza co do stopnia swej jasności (n. p. jasno i ciemnoczerwona) mogą ze sobą dobrze harmonizować.

Co do proporcji, przez którą rozumie taki stosunek ilościowy między całością i jej częściami lub między częściami zachodzący, iż przedstawia nam się z plastyczną koniecznością i budzi uciechę — podnosi D. jako najprostszy z jej wypadków w zakresie wrażeń wzrokowych symetryę wynikłą z równości podziału za pomocą linii pionowej. Twierdzi, że nawet bardzo regularna, ale mało znamion w sobie zawierająca („w treść uboga“) figura, jaką jest koło, nie sprawia wcale wrażenia swym symetrycznym

podziałem. Zauważył natomiast dodatnie wrażenie z biegnących w pobliżu siebie pionowo i równolegle całkiem dowolnych linii o tymsamym kształcie, gdy n. p. oglądamy jakiś podpis i jego odbitkę na ćwiartce papieru w odpowiednim kierunku trzymanej przed oczyma. Przeczy pogładowi jakoby samem przyzwyczajeniem naszym do widoku istot żywych, symetrycznych po obu bokach (a nie u góry i u dołu) tłómaczył się fakt, iż tylko taka symetria ma dla nas estetyczne znaczenie. Gdyby tylko ten motyw działał, toby równoważyła go w dziełach techniki większa trudność połączona z osiągnięciem symetrii pionowej, aniżeli poziomej. Ale ów objaw powszechny predylekcyi dla symetrii pionowej pochodzi jego zdaniem stąd, że celowość tak ukształtowanych lub obrobionych przedmiotów, n. p. włócznie sprawnej do rzutu, bije bardziej w oczy — podczas gdy równomierności warstw poziomo na sobie leżących nie możemy tak łatwo i trafnie ocenić i skutkiem natężenia wzroku w miarę, jak się tenże zwraca na górę, przedmioty wyżej położone, jakkolwiek faktycznie równej wielkości, wydają nam się większymi. Najprościej ilustrują to przykłady odwróconej litery S i cyfry 8, których górne części muszą być mniejszemi, jeśli mają mieć tęsamą pozorną wielkość. Zresztą każde subtelniejsze, estetycznie bogatsze i cenniejsze działanie symetrii sprowadza się, co już nieraz wykazywano, do równowagi mas, światła, gestów wyrazowych i innych środków artystycznych z pominięciem ścisłej równości wymiarów lub tożsamości konturów. D. nazywa to izodynamią i uwidocznia na dołączonej reprodukcji „niewdzięcznego sługi“ Rembrandta. Przyjmuje zastosowanie tej izodynamii także w tych wypadkach, gdy wysunięta daleko na bok w forsownym ruchu jedna połowa ciała zniewala drugą do zajęcia odwrotnej postawy przeszkadzającej upadkowi i wtedy także, ale już tylko idealnie (w wyobraźni widza), gdy ujrzawszy kogoś nadmiernie zgiętym lub zgarbionym, wczuwamy się w tę nienaturalną i nie-miłą pozycję i wyobrażamy sobie nastawianie się w kierunku przeciwnym, identyfikując się z wewnętrzną potrzebą takiej postaci.

Odmiernym prawom zdaje się podlegać rozcłódkowanie

postaci na części górne i dolne. Dotychczasowemi doświadczeniami stwierdzono tyle, że ani pozorna ani rzeczywista równość części w kierunku pionowym uszykowanych, nie sprawia zadowolenia estetycznego. Przeciwnie podział linii prostopadłych na części, pozostające do siebie w stosunku jak jeden do dwóch, sprawiał prawie wszystkim poddającym się temu eksperymentowi wrażenie przyjemne. Nie zgadzały się jednak te osoby między sobą co do tego, czy większe upodobanie sprawia podwójna wielkość części dolnej czy też górnej. Zależało to już widocznie od przypadkowych skojarzeń danej osoby, n. p. czy w jej myśli górowała większa siła i odporność podstawy, czy też żądanie bardziej lotnej i smuklejszej części ponad podstawą się wznoszącej.

(Dok. nast.)

Dr. Witold Rubczyński

Poglądy i teorye najnowszej fizyki.

II.

Promieniotwórczość.

Kluczem koniecznym do zrozumienia najnowszej fizyki jest znajomość pewnych zjawisk, ujętych już w odrębny dział, zwany promieniotwórczością. Nowa ta gałąź nauk przyrodniczych niezmiernie jeszcze jest młodą, bo jej przyjście na świat przypada nie dalej jak na rok 1896. Dzięki jednak swej olbrzymiej, niedającej się nawet jeszcze objąć i przewidzieć treści wewnętrznej, czarem swym pociągającej do badania najdzielniejsze umysły, doszła już do takiego rozwoju, że na razie przynajmniej przyćmiewa najstarsze i najpopularniejsze dotychczas nauki przyrodnicze, takie jak chemia, mechanika i elektryczność, pod których fundamenta niejednokrotnie się podkopuje, by wystrzeliwszy następnie w górę, kosztem ich i na ich gruzach zbudować nowy, potężniejszy nad wszystkie gmach nauki, nowy dział nauk przyrodniczych, co najmniej równorzędny dotychczasowej fizyce i chemii. Pragnąc więc zdać sprawę z panujących dzisiaj poglądów w fizyce, zacząć musimy koniecznie od przyglądnięcia się bliższego tej dziwnej i tak dotychczas tajemnic pełnej nauce promieniotwórczości; a dodać nawet odrazu należy, że poza nią i poza wnioskami z niej płynącymi, niewiele już istotnie nowego o fizyce najnowszej można powiedzieć.

Wyraz „promieniotwórczość“ niezbyt dokładnie oddaje utarty już termin angielski „radioactivity“ lub francuski „radio-activité“, których jest tłumaczeniem. Fizycy polscy jednak

ulegając panującemu obecnie u nas wstrętowi wcielania żywcem w nasz język wyrazów obcych, chociażby powszechnie przez wszystkie narody wielkie przyjętych, postarali się o utworzenie tej nazwy, oznaczając nią nowy dział nauk przyrodniczych, zajmujący się badaniem substancyi, odznaczających się pewnemi nieznanemi dotychczas własnościami. Ponieważ jedną z najwybitniejszych między temi własnościami jest zdolność wysyłania ze siebie promieni dla oka niewidzialnych, a przenikających przez ciała, dla światła zwykłego nie przeźroczyste, więc substancye te nazwano substancjami promieniotwórczemi (*radioactive substances, corps radioactifs*), a dział nauki, niemi się zajmujący, promieniotwórczością.

Jak każda gałąź nauk przyrodniczych, godna nazwy nauki, promieniotwórczość zbudowaną jest z dwóch elementów, mianowicie z pewnych, ścisłych faktów, zdobytych żmudną metodą badań i poszukiwań doświadczalnych, a po drugie z teoryi, które jakby cement czy plan architekta, ów materiał budulcowy faktów w jeden harmonijny gmach nauki zespalają. By jednak wartość takiego architektonicznego tworu ducha ludzkiego rozpatrzyć i ocenić należyście ze stanowiska filozoficznego, o które właśnie nam tu najbardziej chodzi, rzeczą jest konieczną, chociaż nieraz bardzo trudną, rozróżnić dokładnie między jego materiałem budulcowym, przedstawiającym zawsze wartość realną nawet i wtedy, gdyby z biegiem czasu gmach runął, a planem architekta i spoidłem, czyli innemi słowy, trzeba koniecznie i ściśle odróżnić fakta, zdobyte doświadczeniem a teorią, która je w jeden system naukowy łączy.

O promieniotwórczości pisze się już wiele dzieł tak ściśle fachowych, jak i dla szerszego koła czytelników przeznaczonych, zwykle jednak przedstawia się w nich dotychczas rzecz całą metodą historyczną, mieszając nadto fakta z teoriami, jak to jest zresztą w zwyczaju w naukach przyrodniczych. W obecnem krótkiem przedstawieniu promieniotwórczości będziemy się natomiast starali ograniczyć zupełnie ściśle fakta od teoryi, jakobyśmy teorią lekceważyli, ale wyłącznie w tym celu, by odpowiednio do naszego założenia mózdz swobodnie

i zupełnie bezstronnie zdać sobie sprawę z wartości obiektywnej panujących w tym dziale nauki teorii i hipotez. Pamiętać bowiem należy, że gdy przyrodnik żąda od teorii tylko dwóch rzeczy: najpierw jasnego i ile możności jak najprostszego wytłomaczenia znanych faktów, a po drugie zdolności naprowadzania na odkrycie faktów nowych — to filozof, przyznający rozumowi zdolność odkrywania prawd niepodpadających wprost i bezpośrednio pod zmysły, wymaga nadto od teorii, żeby one prowadząc go głębiej w zrozumienie nie tylko zjawisk ale i ich przyczyn, odkrywały przed nim rąbek tych tajemnic, jakie przyroda we wnętrzu swem i pod osłoną zjawisk niechybnie kryje; by jednym słowem teorie były ile możności prawdziwe, to znaczy, by odpowiadały rzeczywistości.

Ten trzeci postulat odnośnie do teorii i hipotezy stanowi właśnie zasadniczą, chociaż bardzo często nieświadomioną różnicę między sceptykiem przyrodnikiem a realnym filozofem. Ponieważ zaś teorie i hipotezy są tworzone często i może przeważnie przez takich właśnie przyrodników, którzy przeto teorie budują tem śmielej, im mniej wierzą w możliwość wogóle ich prawdziwości, więc tem ściślejszy potem obowiązek spoczywa na przyrodniku filozofie, by celem zbadania wartości teorii ze swego stanowiska, to jest z przydaniem owego trzeciego postulatu, umiał jasną i ostrą przeprowadzić w umyśle swym granicę pomiędzy faktem doświadczalnym, a przypuszczeniem i przyrodniczą teorią. Idąc za tą myślą przewodnią, zbierzemy najpierw pragmatycznie ważniejsze fakta, odnoszące się do promieniotwórczości, a następnie dopiero w drugiej części zajmujemy się ich teoretycznem tłómaczeniem, jak je dzisiejsi najwybitniejsi fizycy podają.

Wszystkie własności ciał w przyrodzie, wspólne tak istotom żywym jak i substancjom nieorganizowanym, dzielono dotychczas na dwie wielkie grupy. Jedne, jak barwa, ciężar, twardość, mniejsza lub większa zdolność przewodzenia elektryczności i ciepła i przepuszczania światła, stanowią przedmiot fizyki. Drugimi, jak powinowactwo, zdolność tworzenia no-

wych, istotnie różnych substancji czyli związków, wartościowość, zajmuje się chemia. Toteż dotychczas te dwie nauki, fizyka i chemia, pod swoim berłem jednoczyły wszystko, co tylko zdolne oddziaływać na nasze zmysły. W ostatnich dopiero latach dostrzeżono, że istnieje jeszcze jedna grupa zjawisk, swoistych, o ile dotychczas sądzić można, tylko niektórym ciałom. Pokazało się mianowicie, że niektóre substancje jak rad, polon, uran, wysyłają ze siebie jakgdyby promienie ciemne, bo niewidzialne dla oka, lecz oddziaływujące z łatwością na ową udoskonaloną siatkówkę, za jaką uważać można płytę fotograficzną, a nadto sprawiające, że gazy, które powszechnie są elektrycznymi izolatorami, to jest wyładowań elektrycznych nie przepuszczają, stają się pod wpływem tych promieni dobrymi przewodnikami elektryczności.

Do tych dwóch własności charakterystycznych dla owych ciał, w biegu badań dołączyć trzeba było jeszcze dwie dalsze, mianowicie zdolność wzbudzania w innych ciałach fosforescencji, czyli fakt, że ciała takie jak szkło, minerały itp. pod wpływem promieni owych świecą żywym nieraz blaskiem, a wreszcie fakt zdumiewający, że ciała owe są nieustannem źródłem ciepła, wywiązują ustawicznie mniejszą lub większą ilość energii cieplnej.

Ciała obdarzone temi czterema własnościami zasadniczymi nazwano właśnie promieniotwórczymi albo krótko czynnymi, w odróżnieniu od substancji innych, nieczynnych, które wszystkich tych czterech własności równocześnie nie posiadają.

Przy poszukiwaniu za substancjami czynnymi pokazało się, że nie można ich sztucznie wytworzyć, lecz mimo to nie wszystkie istnieją w przyrodzie oddawna, niektóre bowiem z nich powstają i giną w naszych oczach, niejako w paru nieraz sekundach, a nawet i rychlej. Gdy więc zwrócono uwagę na ich pochodzenie, przekonano się, że źródłem ich są znowu substancje promieniotwórcze, które chociaż chemicznie są ciałami pojedynczymi, niezłożonymi, czyli pierwiastkami, to jednak ulegają ustawicznym przemianom, przyczem dają często początek innym ciałom, również pojedynczym, czyli pierwiastkom, o całkiem odmiennych własnościach. Zjawiska więc promieniotwórcze nie

są czysto fizyczne, gdyż ma się tu do czynienia ze zmianami istotnymi ciał, nie można ich też jednak objąć dawną klasyczną chemią, bo ta za jedną z podstawowych zasad przyjmowała fakt, że na dnie wszelkich ciał i wszelkich przemian spoczywają pierwiastki, substancje chemicznie proste, niedające się ani zniszczyć, ani wytworzyć, ani też jedno w drugie przeprowadzić. Dalszą i więcej jeszcze zasadniczą różnicę między zjawiskami chemicznymi i promieniotwórczymi, bo różnicę energetyczną, poznamy w części drugiej.

W całej tej sprawie ciekawem jest i to, że substancje promieniotwórcze, nad którymi przeprowadza się badania, występują często w tak znikomą drobną ilość, że nie tylko nie można ich zobaczyć lub zapomocą choćby najdelikatniejszej wagi wykazać, ale nawet ów najczulszy środek analizy, jakim nauka tak słusznie dotychczas się chępiła, analiza widmowa, zapomocą której wykryć można istnienie kilku miligramów soli rozpylonej po obszernej sali, jest jeszcze za mało czułym. Korzystamy tu jednak z drugiej zasadniczej własności ciał promieniotwórczych, to jest tej, że gazy pod wpływem ich stają się dobrymi przewodnikami elektryczności. Jeżeli więc czuły elektrometr naładowany elektrycznością dodatnią czy ujemną, umieścimy w otoczeniu gazowym, podległemu działaniu ciał promieniotwórczych, to będzie się on rozładowywał, wykaże istnienie ciała promieniotwórczego ponad wszelką wątpliwość. I środek ten okazał się miliony razy czulszym od analizy widmowej, tak czułym, że można z jego pomocą wykazać z łatwością istnienie jednej stutysięcznomilionowej części grama radu. Gdybyśmy jednym gramem radu obdzielili wszystkich ludzi, jacy tylko żyją na ziemi, to u każdego z nich moglibyśmy następnie zapomocą elektrometru wysledzić, czy ma przy sobie tę drobinę radu, dla oka już zgoła niewidzialną.

Ale zapomocą elektrometru można iść w badaniach substancji promieniotwórczych jeszcze dalej, bo można nie tylko wykryć ich istnienie, lecz nadto rozróżnić dokładnie jedno od drugich, chociaż są w ilościach zupełnie dla oka niedostrzegalnych. Substancje promieniotwórcze bowiem wydając ze siebie

ustawicznie energię, same ulegają ciągłemu rozkładowi wewnętrznemu i im obficie energię wysyłają, tem rozkład ich jest oczywiście szybszy. Otóż elektrometr, który wskazuje bezpośrednio, jak wielką zdolnością czynienia gaz dobrym przewodnikiem odznacza się dana substancja, pośrednio poucza nas o tem, jak szybko ta substancja się rozkłada. W ten sposób można dokładnie, często na ułamki sekundy określić czas, który musi upłynąć, ażeby połowa danej substancji, nad którą czynimy badania, uległa rozkładowi. Pokazało się jednak, że czas ten stanowi tak charakterystyczną i swoistą cechę dla każdej substancji promieniotwórczej, że z jego pomocą można ściśle i zupełnie pewnie substancje te jedne od drugich odróżniać tak, jak odróżnia się ciała po ich ciężarze właściwym.

Badając w ten sposób ile możności wszystkie ciała, znajdujące się w przyrodzie, tak niezorganizowane, jak i żywe, wykryto istnienie przeszło trzydziestu substancji promieniotwórczych, które są pierwiastkami, przeważnie nieznanymi dotychczas. Udowodniono nadto, że substancje te podzielić należy na trzy grupy, w obrębie których jedne pochodzą od drugich. Poniżej podajemy dokładny spis tych ciał, jak go zestawiają najnowsze prace fizyków¹. W kolumnie pierwszej znajduje się nazwa pierwiastka, w kolumnie drugiej jego t. zw. peryod, czyli czas, który musi upłynąć, by połowa substancji uległa rozkładowi, w kolumnie trzeciej uwidoczniono średni okres istnienia substancji, to znaczy od chwili jej powstania, aż do chwili, gdy tak dalece się rozłoży, iż już najczulszymi środkami wykryć istnienia jej resztek nie można; znaczenie zaś kolumny czwartej będzie później wyjaśnione. Pierwiastki ułożone są w trzech grupach w takim porządku, że w obrębie danej grupy każdy następny powstaje z poprzedniego, na czele zaś każdej grupy stoi jej pierwszy protoplasta. Poza temi grupami umieszcza się potaż i rubid, które także należą do substancji promieniotwórczych, lecz pochodzenia tych dwóch pierwiastków wykryć dotychczas nie zdołano.

¹ Curie *Traité de Radioactivité*, Paris 1910. II. 536. [E. Ruthertford. *Radioactive Substances and their Radiations*, Cambridge 1913 p. 24.]

Spis substancji promieniotwórczych.

Pierwłastek	Peryod	Điugość istnienia	Rodzaj promieni
URAN	6 tysięcy milio- nów lat	około 9 tysięcy milionów lat	alfa
Uran X	24, 6 dni	35, 5 dni	beta i gama
Uran Y	1, 5 dni	ok. 2 dni	beta
Jon	ponad 20.000 lat	ok. 30,000 lat	alfa
Rad	2.000 lat	ok. 2,900 lat	alfa i beta
Emanacya	3, 85 dni	5, 55 dni	alfa
Rad A	3 minuty	4, 3 minut	alfa
Rad B	26, 8 minut	38, 5 minut	beta i gama
Rad C ₁	19, 5 minut	28, 1 minut	alfa, beta i gama
Rad C ₂	1, 4 minut	ok. 2 minut	beta
Rad D (Radio-otów)	16, 5 lat	ok. 21 lat	beta (wolne)
Rad E	5 dni	ok. 7 dni	beta i gama
Rad F (Polon)	136 dni	202 dni	alfa
AKTYN	—	—	nie wydaje promieni
Radio-aktywn	19, 5 dni	28, 1 dni	alfa i beta
Aktywn X	10, 5 dni	15 dni	alfa
Emanacya	3, 9 sekund	5, 6 sekund	alfa
Aktywn A	0, 002 sekundy	—	alfa
Aktywn B	36 minut	ok. 52 minut	beta (wolne)
Aktywn C	2, 1 minut	ok. 3 minuty	alfa
Aktywn D	3, 47 minut	—	beta i gama
TOR	ok. 30 tysięcy milionów lat	ok. 40 tysięcy milionów lat	alfa
Mezotor 1	5, 5 lat	7, 9 lat	promieni nie wydaje
Mezotor 2	6, 2 godziny	8, 9 godzin	beta i gama
Radiotor	2 lata	2, 9 lat	alfa
Tor X	3, 64 dni	5, 25 dni	alfa i beta
Emanacya	54 sekund	76 sekund	alfa
Tor A	0, 14 sekund	—	alfa
Tor B	10, 6 godzin	1b, 3 godzin	beta (wolne)
Tor C ₁	60 minut	ok. 80 minut	alfa
Tor C ₂	b. mały	—	alfa
Tor D	3, 1 minut	4, 5 minut	beta i gama
Potaz	—	—	beta
Rubid	—	—	beta

Wszystkie zestawione w tej tablicy substancje z wyjąt-
kiem aktywnu i mezotoru 1, wydają ze siebie promienie, obda-
rzone wymienionemi wyżej czterema własnościami. Przy bliż-
szem jednak badaniu Becquerel, Curie i Rutherford wykazali,

że promienie te nie są jednorodne, owszem różnią się między sobą zasadniczo. Jeżeli n. p. poddamy badaniu rad taki, jak się go otrzymuje z blendy smołowcowej, to pokaże się, że różnić w jego promieniowaniu można trzy grupy promieni, zupełnie do siebie niepodobne. Celem rozdzielenia takiej wiązki promieni, wychodzącej z radu na owe trzy składowe promienie, przepuszcza się ją przez pewną ilość cienkich płytek aluminiowych. Pokaże się, że natężenie promieniowania radu, które przeszło przez jedną taką płytkę, traci w sposób bardzo widoczny niektóre z owych czterech własności; gdy jednak dalej takie płytki przykładamy, promienie, które przez nie przeszły, nie zmieniają się tak rychło. W ten więc sposób rozdzielić można wiązkę promieni radu na dwie części; jedna z nich, łatwo pochłaniana przez materię, druga natomiast obdarzona własnością wybitnej przenikliwości i zdolna przechodzić bez szwanku przez grubą stosunkowo warstwę. Jednak i tę drugą przenikliwą wiązkę promieni rozłożyć znowu można na dwie grupy, różniące się wybitnie między sobą zdolnością przenikania przez ciała. W ten sposób w promieniowaniu, wychodzącym z ciał czynnych, wykazano istnienie trzech wybitnie różnych od siebie rodzajów promieni, które oznacza się za zgodą ogólną fizyków, przez pierwsze litery alfabetu greckiego α , β , γ ¹. Promienie alfa są najmniej przenikliwe, promienie beta przenikają silniej, zaś promienie gama odznaczają się największą zdolnością przenikania przez ciała. Tak n. p. promienie alfa zostają całkiem prawie pochłonięte przez kartkę cienkiego papieru, lub przez listek aluminiowy zaledwie na dwie setne milimetra gruby, lub przez warstwę kilku centymetrów powietrza; promienie beta przechodzą przez kilkumilimetrową płytkę aluminiową, a Curie wykrywał ich istnienie w powietrzu atmosferycznym, jeszcze w odległości przeszło półtora metra od źródła; wreszcie promienie gama są tak przenikliwe, że przejść zdołają przez płytę żelaza dwadzieścia centymetrów grubą lub przez kilkucenty-

¹ Rozróżniają jeszcze czwartą grupę promieni δ , ich jednak znaczenie na razie nie przedstawia szerszego interesu pod względem teoretycznym.

metrową warstwę ołowiu. Zdolność przenikania jest więc swoistą własnością promieni, natura zaś ciała przenikanego gra tu rolę tylko o tyle, że im gęstość jego większa, tem oczywiście łatwiej absorbuje ono promienie.

Nowe i niesłychanie wydatne pole badań nad promieniotwórczością otwarty odkrycia Giesela, Curie, Becquerela i Rutherforda, odnoszące się do wpływu pola magnetycznego na owe promienie. Pokazało się mianowicie, że gdy promienie beta przepuścimy między dwoma biegunami silnego elektromagnesu, doznają one zboczenia. Zjawisko to poucza nas bezpośrednio, że w promieniach beta mamy do czynienia z elektrycznością. Wiadomo bowiem, że pole magnetyczne oddziaływać jest zdolne tylko albo na magnes, albo na prąd elektryczny, czyli na nabój elektryczny, będący w ruchu. Taki bowiem nabój ruchomy wytwarza koło siebie pole elektromagnetyczne, na które pole innego magnesu może oddziaływać bezpośrednio, wpływając tem samem pośrednio na poruszający się elektryczny ładunek. Otóż poddając promienie beta działaniu pola elektrycznego lub magnetycznego, pokazano, że składają się one z cząstek naładowanych elektrycznością ujemną, biegnących po linii prostej. W r. 1903 wykrył Rutherford podobne oddziaływanie pola magnetycznego na promienie alfa, które pod wpływem pola magnetycznego doznają odchylenia, lecz w kierunku przeciwnym, niż cząstki beta, co jest dowodem, że i promienie alfa są także złożone z cząstek, niosących na sobie ładunki elektryczne, lecz są to ładunki dodatniej elektryczności. Natomiast na promienie gama pole elektromagnetyczne, chociażby najsilniejsze, żadnego nie wywiera wpływu. Ponieważ wszystkie trzy rodzaje promieni oddziałują na płytę fotograficzną, więc gdy wiązkę promieni, wychodzących naprzykład z bromku radu, poddamy działaniu silnego pola magnetycznego, przy odpowiednim urządzeniu doświadczenia zobaczymy na płytce trzy ślady promieni; jedna linia silnie odchylona, to ślad promieni beta, druga odchylona znacznie słabiej i w stronę przeciwną pochodzi od promienia alfa, a w pośrodku widnieje ślad promieni zupełnie nie odchylonych, pochodzący od promieni gama. W ten sposób

pole magnetyczne spełnia niejako taką samą rolę względem niewidzialnych dla oka promieni ciał czynnych, co pryzmat dla promieni świetlnych, rozszczepia je mianowicie, dając widmo-łatwo dostrzegalne zapomocą płyty fotograficznej, a pozwala, jące głębiej iść w badaniu owych tajemniczych promieni. .

Celem lepszego zrozumienia tej metody i płynących wprost z niej wniosków, wyobraźmy sobie, że po gładkiej powierzchni toczy się kula. Ponieważ nie działa na nią żadna siła, więc poruszać się ona będzie po linii prostej. Gdyby jednak po drodze potrafił ją ktoś z lekka w kierunku do jej drogi prostopadłym, to zboczyłaby ona w tej chwili, a zboczenie to byłoby tem większe, im silniejsze było potrącenie, im wolniejszy ruch kuli i im mniejsza jej masa. Gdyby zaś ta siła potrącająca kulę działała bez przerwy, na przykład, gdyby to był podmuch ciągły wiatru, to kula ustawicznie niejako zbaczając, opisywałaby już nie linią prostą, lecz krzywą, zwaną parabolą. I znowu zakrzywienie czyli, mówiąc ściśle, promień krzywizny tej paraboli, zależy będzie od siły wiatru i od masy i prędkości kuli. Wypadek ten znany jest zresztą każdemu z elementarnego szkolnego kursu fizyki. Udowadnia się tam, jak wiadomo, że ciało rzucone swobodnie w kierunku poziomym, spada ku dołowi po paraboli, gdyż droga jego jest wypadkową z dwóch składowych: poziomej, nadanej ciału przez siłę rzucającą i pionowej, wywołanej działaniem ciągłym i jednostajnym siły przyciągania ziemskiego. I wiadomo nam też z swobodnego rzutu ciała, że znając promień krzywizny, czyli mówiąc językiem potocznym, zakrzywienie, a nadto masę i prędkość kuli, możemy obliczyć siłę, która to zakrzywienie wywołała. A na odwrót, znając tę siłę i prędkość początkową kuli, możemy obliczyć masę kuli. Tej właśnie zasady użyto do należytego wyzyskania tego, co nas o ruchu cząstek alfa i beta pouczyć mogą ich widma fotograficzne, czyli owe krzywe, zakreślone przez cząstki alfa i beta, ulegające zboczeniu pod wpływem pola magnetycznego i pola elektrycznego o znanej sile czyli natężeniu.

Zapomocą takich doświadczeń, w zasadzie bardzo prostych, w wykonaniu niezmiernie trudnych i nadzwyczajnej wymaga-

jących sprawności, obliczyć zdołano z wielką ścisłością prędkość, jaką poruszają się cząstki alfa, czyli dodatnie i beta, czyli ujemne, wychodzące z ciał promieniotwórczych, a nadto i drugą jeszcze wielkość, niezmiernie ważną, mianowicie stosunek ładunku elektrycznego, jaki cząstka taka na sobie nosi, do jej masy. Bezwładność bowiem cząstki, czyli opór, jaki ona stawia działaniu pola magnetycznego, pochodzić musi z obu tych czynników. Bo chociaż pole elektryczne lub magnetyczne działa tylko na ładunek elektryczny cząstki, to jednak wielkość tego działania, na zewnątrz objawiająca się przez oddziaływanie mechaniczne na ruch cząstki, czyli przez wielkość krzywizny paraboli, zależeć musi także i od oporu, jaki sile tej stawia mechaniczna masa cząstki.

Z tych badań odsłoniły się przed zdumionemi oczyma fizyków niesłychanie dziwne wyniki. Bo oto najpierw pokazało się, że te cząstki, tworzące promienie alfa i beta, poruszają się szybkością zupełnie w świecie materji dotychczas nieznaną. Ani promienie alfa, ani beta nie są jednorodne, to znaczy w skład wiązki, którą obejmujemy jedną nazwą promieni alfa, wchodzić mogą cząstki o różnej prędkości, tak samo jak i różna jest prędkość cząstek beta. Zawsze jednak cząstki alfa poruszają się wolniej od cząstek beta. Otóż obliczenia pokazały, że n. p. cząstki alfa, wychodzące z substancji promieniotwórczej, zwanej rad C, biegną z zawrotną prędkością 20.600 kilometrów na sekundę, a więc prędkością równą piętnastej części prędkości rozchodzenia się światła, która, jak wiadomo, wynosi 300.000 kilometrów na sekundę. Przykładu takiej, lub tylko zbliżonej do niej prędkości ciał materialnych nie mieliśmy dotychczas ani na naszej ziemi, ani we wszechświecie. Ale promieniotwórczość powie nam o szybkości jeszcze znacznie większej. Bo jak pokazały badania nad cząstkami beta, partykułki te, obdarzone ładunkiem ujemnej elektryczności, biegną z prędkością tego samego rzędu, co prędkość, z jaką rozchodzą się fale świetlne. Najwolniejsze cząstki beta, wychodzące z toru C, przebiegają do 100.000 kilometrów na sekundę, a najszybsze, z uranu X, mają prędkość 276.000 kilometrów na sekundę. I podkreślamy

jeszcze raz, że nie są to jakieś domniemywania bujnej wyobraźni, lecz wyniki najściślejszych pomiarów naukowych, wielokrotnie, rozmaitemi metodami i przez uczonych całego świata stwierdzonych.

Dziwniejsze jeszcze wyniki wydobyto z drugiej części tych doświadczeń, to jest z wartości owego stosunku ładunku elektrycznego, jaki cząstki na sobie noszą do ich mas¹. Dla cząstek alfa wynosi on 6400, dla cząstek beta natomiast około 10,000.000. A więc stosunek ten jest przeszło tysiąc razy większy dla cząstki beta, niż dla cząstki alfa. Wynik taki naprowadza nas na przypuszczenie, że masa cząstki alfa musi być znacznie różną od masy cząstki beta. Aby się przekonać jednak, jak wielka jest ta różnica, trzeba by koniecznie wymierzyć osobno ładunki cząstek beta i cząstek alfa. I tego rzeczywiście dokonano.

Za punkt wyjścia pomiarów tych służy fakt, o którym już może należało wyżej wspomnieć, gdy była mowa o tem, że promienie alfa składają się z pojedynczych cząstek, obdarzonych ładunkiem dodatnim elektryczności, a nie są jakimś ciągiem zaburzenia eteru czy strumieniem płynu. Mianowicie badania nad zjawiskami promieniotwórczymi doszły tak daleko w swej subtelności, że umiemy nietylko wykazywać istnienie pojedynczych cząstek w promieniach alfa, ale możemy te cząstki liczyć i bezpośrednio obserwować i wykazywać działanie każdej cząstki z osobna — i to aż trzema metodami, od siebie niezależnymi, mianowicie okiem, elektrometrem i płytą fotograficzną.

Metoda liczenia cząstek alfa okiem, opiera się na zjawisku, że pod wpływem promieni alfa niektóre ciała żywo świecą. Crookes, a niezależnie od niego Elster i Geitel odkryli (1903 r.), że gdy na ekran powleczone fosforyzującą substancją, mianowicie siarczkiem cynku, a wystawiony na działanie promieni alfa i pod ich wpływem świecącym, spojrzymy przez szkło powiększające, zobaczymy, że światło to składa się z licznych błyszczących punktów, jakby bomb, wybuchających jasnym, migotli-

¹ Wyraża się on krótko ułamkiem $\frac{e}{m}$, gdzie e oznacza ładunek, a m masę cząstki. Dla cząstki α to $\frac{e}{m} = 6400$, zaś dla cząstki β jest $\frac{e}{m} = 10,000.000$.

wym blaskiem i zaraz gasnących. W przypuszczeniu, że każdy taki wybuch spowodowany jest przez jedną cząstkę alfa, wychodzącą z czynnej substancji i uderzającą o siarczek cynku, Regener (1908 r.) policzył liczbę cząstek alfa, wychodzących ze znanej ilości czynnej substancji. Praca ta jednak, jako oparta na przypuszczeniu, nie miałaby dla nas znaczenia tutaj, gdzie chcemy uwzględnić tylko wyłącznie pewne rezultaty badań doświadczalnych. Nabiera go dopiero w połączeniu z metodą liczenia cząstek alfa zapomocą elektrometru, której użyli poraz pierwszy Rutherford i Geiger w r. 1908.

Fizycy ci wyszli znowu z tej własności promieni alfa, że gazy obrzucane tymi promieniami, stają się dobrym przewodnikiem elektryczności. Poprzednio jeszcze Townsend podał metody, zapomocą których można tę ich własność znacznie powiększyć, czyli zdolność przewodzenia takiego gazu potęgować aż tysiąckrotnie. Wystarczy mianowicie gaz ten znacznie rozrzedzić i poddać go pod działanie bardzo silnego pola elektrycznego. Metoda ta okazała się tak czułą, przy użyciu odpowiedniego elektrometru, że z jej pomocą można wykryć istnienie, względnie zjawienie się jednej jedynej cząstki alfa. Naprzykład w jednej takiej seryi badań, doświadczenia czyniono w dwutlenku węgla, rozrzedzonym do 4,2 *cm*, ciśnienia, a więc około ośmnastej części ciśnienia atmosferycznego, a walec metalowy, gaz ten zawierający, do którego miały wchodzić cząstki alfa, wydobywające się z badanej substancji promieniotwórczej, mający średnicy 1,77 *cm*, poddano działaniu pola elektrycznego o napięciu 1320 woltów. W takim urządzeniu igła elektrometru uległa odchyleniu 50 do 100 milimetrów za zjawieniem się w cylindrze jednej tylko cząstki alfa. Ponieważ urządzono wszystko tak, by tylko kilka cząstek zjawiało się w walcu na minutę, więc z ogromną dokładnością można było porachować ilość cząstek alfa, wychodzących z danej, dokładnie przedtem wymierzonej ilości czynnej substancji. Otóż pokazało się tak z tych obliczeń, jak i z badań dwiema innemi metodami, to jest Regenera zapomocą fosforescencji i metodą fotograficzną o której będzie mowa poniżej, że z gramu radu, jak go się otrzy-

muje z blendy, a więc zawierającego rad czysty i jego pochodne substancje, wydobywa się na sekundę poważna liczba 136.000 milionów (136 miliardów) cząstek alfa. Cyfra ta może komuś łatwo wydawać się nieprawdopodobną — pamiętać jednak należy, że jest doświadczalnie stwierdzoną i to niezależnie od jakiegokolwiek teorii. Daje ona nam zarazem niejaki wyobrażenie o wielkości, albo raczej o niezmiernie drobnych rozmiarach cząstek alfa. Chociaż ich bowiem tak olbrzymia ilość wychodzi z radu co sekundę, to jednak niezdolano wykryć ubytku ciężaru radu, który obserwowano w ciągu lat kilku.

Znając liczbę cząstek alfa, wychodzących z danej ilości radu, można już było obliczyć wprost ich ładunek. W tym celu trzeba tylko było wymierzyć zapomocą elektrometru ilość elektryczności, niesioną przez pewną liczbę cząstek i podzielić go przez liczbę cząstek. Dokonali tego Rutherford i Geiger w r. 1908 i pokazali, że jedna cząstka alfa niesie na sobie ładunek, wynoszący 93 stutysięczno-milionowe części elektrostatycznej jednostki elektryczności.

Stosunek ów ładunku elektrycznego cząstki alfa do jej masy, pouczył nas jeszcze o jednym fakcie niepospolitej doniosłości. Gdy mianowicie poddano badaniom i pomiarom prędkości cząstek alfa, jakoteż i ów stosunek w promieniach alfa, wychodzących z rozmaitych substancji promieniotwórczych, pokazało się, że chociaż prędkości tych cząstek alfa z różnych substancji bardzo się różnią, to jednak liczba mierząca ów stosunek ładunku do masy jest dla wszystkich cząstek ta sama, bez względu na ich pochodzenie. Wynikałoby stąd wprost, że cząstki alfa dla tych badanych substancji są zupełnie identyczne, to znaczy, że cząstka alfa, która wyszła z radu C niczem się nie różni od cząstki alfa, pochodzącej n. p. z polonu. Dotychczas na pewne można to twierdzić tylko o tych substancjach, nad którymi rzeczywiście badania przeprowadzono, a są to następujące: rad A, rad C, rad F czyli polon, aktyn C i tor C. Zauważyć wszakże należy, że według przypuszczenia fizyków prawo to rozciąga się na wszystkie ciała promieniotwórcze.

Ładunku, niesionego przez cząstki beta, nie zdołano dotychczas oznaczyć bezpośrednio, gdyż nie można policzyć cząstek beta tak, jak się liczy cząstki alfa; uczyniono to jednak niemniej dokładnie metodą pośrednią. Przypatrując się mianowicie bacznie właściwościom gazów, które pod wpływem promieni, z ciał czynnych wychodzących, stały się dobrymi przewodnikami elektryczności, udowodniono, że w gazach takich powstają dwojako rodzaju cząstki, obdarzone ładunkami elektryczności; jedne mianowicie noszą na sobie ładunki elektryczności dodatniej, a drugie ujemnej. Cząstkom tym nadano nazwę jonów, a ich istnienie uwidocznć można doświadczalnie w sposób bardzo łatwy i prosty. Wilson wykrył mianowicie (w r. 1899), że gdy takie jony wzbudzimy w gazie, zawierającym nieco pary wodnej i następnie gaz ten rozrzedzimy szybko, powstanie w nim mgła, złożona z kuleczek mikroskopicznych skroplonej pary wodnej, które, jak doświadczenia wykazały, noszą w sobie ładunki elektryczne. Wynika stąd, że jony mają tę własność, iż stają się centrami kondenzacyi pary, koło takiego jonu gromadzą się i kondenzują cząstki pary wodnej, istniejącej przedtem w gazie. Faktu tego użył J. J. Thomson, a za nim inni, do obliczenia ładunku, niesionego przez jeden taki jon i pokazało się, że ładunek jonu ujemnego czy dodatniego, jest o połowę mniejszy od ładunku, jaki nosi na sobie cząstka alfa.

Już z opisanych wyżej doświadczeń wynika w sposób oczywisty, że cząstka beta istnieje rzeczywiście, że więc promienie beta składają się z pojedynczych partykułek, naładowanych elektrycznością ujemną. Ale dopiero dwa niespełna lat temu istnienie to pokazano naocznie tak, jak to uczyniono dla cząstek alfa, mianowicie wspomnianą wyżej metodą Wilsona. Cząstka beta, zarówno jak i cząstka alfa, biegnąc przez gaz, wzbudza w nim jony, które ze swej strony stają się centrami kondenzacyi pary. Gdy więc gaz zawarty w naczyniu obrzucimy cząstkami beta, nagle rozrzedzimy i oświecimy w tej samej chwili iskrą elektryczną, to droga każdej pojedynczej cząstki alfa czy beta przedstawi się w kształcie linii czyli smugi, utworzonej przez kropelki skupionej koło jonów wody. Smugi te, silniejsze dla

cząstek alfa, znacznie słabsze w przypadku cząstek beta, Wilson nawet fotografował, a płyta taka to dokument niezbity, że cząstki beta istnieją prawdziwie, rzeczywiście, a nie tylko w naszych teoriach. Wspomniane powyżej oznaczenie stosunku ładunku do masy dla cząstek alfa i beta i ładunku niesionego przez jedną i drugą cząstkę, wskazuje jednak, że masa cząstki beta jest tysiące razy mniejszą od masy cząstki alfa.

Ks. F. Hortyński.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe“.

Wysłaniec Boga.

Za wzgórzami Galilei rozpala niebo pierwszy blask świtu.

W głuchą, otchłanną tajemnicę nocy... wdziera się błysk światła i przesyca mrok perłowymi od wschodu płynącymi tonami.

Światło na szczytach potęguje mrok w dolinach odwiecznym prawem kontrastu... to cienie zdają się kupić do walki...

Zmagają się dwie potęgi.

Przecucie dnia rozchyła kwiatów kielichy... w przestrzeni wonie się ożywcze snują, pachną zroszonych traw kobierce.

Ustępują cienie... cofają się... kryją w wilgotnej głębi lasów, w ulicach miast, w przepaściach parowów... do ziemi lgną... wsiakają w nią... pomiędzy świat a wszechwładze światła, rzucając ostatnią straż swoją... welony niskiej, kłębiącej się mgły...

W małej, dziewiczej komnatce, w kobiecym oddziale świątyni Nazaretu... podniosła się z łoża smukła postać, narzuciła na ramiona szatę białą i z mroku starych murów szła ku arkadom zewnętrznym, wpatrzona w błękit niebios, pierwszą zorzą rozświtu różowy.

Jak biały duch przesunęła się wśród mroków izdebki i w szarym łuku arkady osunęła się na kolana, wyciągając smukłe dłonie ku wschodowi.

— Panie! Panie! Kiedy rozpalisz zorzę świtu w mrokach świata... w otchłaniach ludzkich dusz... kiedy obietnica Twoja

się wypełni... a światło Twojej chwały zmusi do ustąpienia cienie mroku przesycające świat cały... Kiedy Panie... kiedy?

W przeczystym powietrzu płynął jej szept i stawał się wołaniem pełnem tęsknoty gorącej, bezmiernej, świat cały obejmującej miłości.

— Kiedy... Panie? Kiedy!? Co dnia zwycięsko słońce zwalcza tajemnicze otchłanie nocy, co dnia potężna władza światła zmusza do ustąpienia cienie mroku... Państwem dusz ludzkich... odkąd odwróciłeś od nich twarz zagniewaną, władza potęga mroku... Spójrz ile zbrodni, występku kryje noc dusz... i ulituj się... o ulituj.

Ramiona jej wyciągnięte błagalnie ku wschodowi opadły... szeroko rozwarłe złotawo-czarne oczy śledziły zwycięski pochód dnia.

Tonęły w mgłach okolice Nazaretu, w niskich złotem słońca przesyconych mgłach.

Jak dusze ludzkie .w mgłach nieświadomości... jak cały świat w mgłach winy.

I oto... przez mgły przedarł się zwycięsko pierwszy promień słoneczny i objął pełnią światła kłęzącą w łuku arkady postać dziewiczą.

Najpierw złoto jej warkoczy i czoło jasne otoczył głorya potem rozświetlił, oczy głębokie, zadumane, zapatrzone w mistyczne głębie bytu... smutne... smutkiem całego świata, tęskne... tęsknotą pokoleń całych, a pełne wiary cichej, ufnej, pokornej i pokorą swoją... wielkiej!... I usta dziewicze, zarysowane cudnym, miękkim łukiem i spadziste dziewiczych ramion linie.

— O Panie w mrokach zła tułający się Izrael... tęskni do łaski Twojej... Jak zbłąkany w pustyni wędrowiec spalonymi wargami gorączką o wodę błaga... i w snach źródło upragnione widzi... tak i naród Twój nie wiedząc o tem nawet o Tobie marzy i czeka znaku łaski Twojej... Dusze narodu Twego wybranego... całegoś wiata dusze... ratuj... ratuj Panie!

Co dnia o świcie, ta sama modlitwa zrywała się z jej ust rozchylonych i jako pierwsza prośba budzącej się ziemi kołatała

do bram nieba, z wytrwałą siłą olbrzymiej tęsknoty i miłości wielkiej, zapominającej dla innych o sobie.

I słuchał Pan...

A w księgach przeznaczeń cnota dziewicy mazała winę kobiety...

I słuchał Pan...

A gniew Sędziego ustępował miłości Stwórcy.

I oto przed szeroko rozwartymi oczyma Maryi zarysowała się w poświęceniu słonecznej jasna, młodzieńcza postać anioła.

Drgnęła... lęk ją ogarnął... kurczowo drżące spłotły się dłonie... pochyliła głowę obciążoną głową.

W ciszy... w świętej ciszy poranku, płynęły słowa Bożego wysłanca... zwiastujące zejście światła w mrok ludzkich dusz.

Czysty, młodzieńczy głos niósł pozdrowienie Pana duszy wybranej.

„Bądź pozdrowiona łaską udarowana, Pan jest z tobą... błogosławionaś ty między niewiastami.

Spojrzała ku mgłę pokrywającej świat... i ku zjawie anioła... trzepotał się w niej lęk przed czymś przeczuwanem, potężnem, kładnącym wszechwładną dłoń na jej cichem, spokojnem życiu kapłanki-dziewicy... poza promienną zjawą anioła majaczył... krzyż...

„Nie bój się Maryo... znalazłaś łaskę u Boga“. Młodzieńczy głos zabrzmiał pełnią siły, zwiastując przyjście Boga.

„Oto poczniesz w żywocie i porodisz syna, a nazwiesz imię Jego Jezus... a wielkim On będzie i Synem Najwyższego zwany... i da mu Pan Bóg stolicę Dawida ojca Jego... I będzie królował nad domem Jakóbowym na wieki, a królestwu Jego nie będzie końca.

Radość i lęk walczyły w duszy Maryi... błąd róż rumieńca dziewczęcą oblał twarzyczkę... motylowo drgnęły rzęsy... Pochylił się wysłaniec Boga i raczej odczuł aniżeli zrozumiał szept.

„Jakoż to będzie, gdy ja męża nie znam...

— Duch święty zstąpi na cię — słyszała głos anioła — a moc Najwyższego zaćmi cię... i to, co się z ciebie święte narodzi Synem Bożym będzie... Elżbieta krewna twoja...

Słyszała Marya jak przez mgłę dalszy ciąg anielskiego pozdrowienia i lęk zmieniał się w radość... wysłuchaną została prośba jej...

Cisza zaległa komnatkę... woń lilii trzymanej w dłoni anioła siała się po niej.

Marya myślała o słowach Bożego wysłańca... o tem, że ten syn jej byłby łącznikiem między niebem a ziemią, między człowiekiem a Bogiem i nauczyłby ludzkość miłowania... I to ona... biedna Marya została przez Pana powołana za narzędzie tego cudu, tego aktu łaski nad nędzą ludzkości... za miłość swoją. Wzniosła wilgotne pełne łez i uśmiechów źrenice, chyląc złotą głowę z poddawczą pokorą.

„Otom ja służebnica Pańska, niechaj się stanie według słowa twego.

Pełń światła zwalczyła mgły, a jasna postać anioła oddawszy pokłon głęboki oblubienicy i matce Pana, zniknęła w słonecznej poświacie.

Nazaret się budził... świeciły w odblasku domki białe, z ołtarzów świątnicy wzniosły się pierwsze dymy ofiarne ku błękitowi nieba...

Nazaret się budził... jak co dnia gwar przepełniał powietrze, płynęły nawoływania, dźwięczały dzwonki pędzonych na pasze trzód.

W oleandrowych gajach rozbrzmiewały słowicze chóry.

W cichej izdebce klęczała jeszcze Marya pogrążona w modlitwie, ustóp jej leżała precudna, gdzieś w ogrodach raju rozwita lilia biała.

Dziewiczy kwiat... dziewiczej Pani przesłało niebo.

M. Český.

Co to jest scholastyka?

(Dokończenie).

Przejdźmy krótko działy filozofii. Metafizyka Arystotelesa uległa pod piórem scholastyki korzystnej zmianie. Stagiryta traktował szeroko o świecie widzialnym, ale nie zostawił osobnej, rozumnej nauki o Bogu. W metafizyce dowiódł Jego istnienia, jako przyczyny poruszającej i celowej. Lecz nic on nie wie o Bogu, jako przyczynie sprawczej, jego Bóg nie jest Stwórcą, świat z samego siebie jest wieczny. Bóg u Arystotelesa świata nie poznaje, ani się o niego nie troszczy. Jest On tylko przyczyną celową, bo wszystkie byty, nawet martwe Go poznają i do Niego dążą; stąd jedność i harmonia w świecie. Ale ileż tu zagadek niewytłumaczonych! Scholastycy z ułamków myśli utworzyli filozofię o Bogu, w której zamknęli wszystko, co tylko rozum bez objawienia o Bogu wiedzieć może. „Suma przeciw poganom“ św. Tomasza jest największem arcydziełem, w którym młody jeszcze Tomasz usiłuje zbić błędy arabskie o Bogu. Pierwszym twórcą tej nauki był św. Anzelm. Pomijając drobniejsze, trzy najistotniejsze różnice przytaczamy za Wulfem¹. Pierwsza: zamiast obojętnego Boga Arystotelesa scholastycy udowadniają istnienie Boga jako przyczyny wzorowej, który świat poznaje przez samego siebie. Druga: Bóg jest Stwórcą świata t. j. przyczyną sprawczą, a nie tylko początkiem ruchu. Trzecia: Bóg nie tylko

¹ Wulf *Introduction à la phil. neosch.*

jest celem, lecz i rządzą i opatrnością świata. Znajomość Boga zapomocą samego rozumu jest wspaniale rozwinięta. A skąd się ta wiedza bierze? Czy scholastycy snuli pojęcia o Bogu z własnych głów, czy w księdze przyrody czytać nie umieli, ani nie mogli, jak my to dziś czynimy? — Z początku więcej się opierano na dyalektyce, niż na obserwacyi; sławnym tego objawem jest dowód św. Anzelma. Lecz w okresie rozkwitu scholastyki już ze świata zjawisk wznoszono się ku Bogu. Wiedza tak ważna i niezbędna nie mogła czekać na postępy nauki nowożytnej. Czy ludzkość przed wynalezieniem mikroskopu i przed założeniem na oko lunety miała być ślepą na ostatnie przyczyny rzeczy, na Boga? Przecie bez tej wiedzy byłyby nieszczęśliwą. Bóg mówi do nas wyraźniejszymi literami, iżby na ich odczytanie aż mikroskopu potrzeba było. Jasnem jest, że wartość poznania przyczyn ostatnich nie może być większą, jak poznanie przyczyn bezpośrednich, bo z tych tylko do ostatnich dochodzimy. To też scholastyka uwzględniła całą wiedzę, na jaką stać było wieki średnie. To zaś jest szczytem wykształcenia ludzkiego, aby posiadać całą wiedzę swojego czasu i do światopoglądu wcielić. Więcej żaden umysł ludzki nie potrafi. Cenne są i pożądane odkrycia za pomocą przyrządów, ale Bóg dał nam naturalne przyrządy, które do niezbędnej wiedzy o najwyższych zagadnieniach zupełnie wystarczą. W przeciwnym razie nie dałoby się pojąć postępowania dobrego Boga z ludzkością. Otóż mamy jeden punkt prawdziwego postępu scholastyki. Jest to filozofia, a nie teologia, chociaż Boga ma za przedmiot, bo o charakterze nauki rozstrzyga nie tyle przedmiot, ale raczej взгляд, pod którym się go bada, dowody i także założenia jej. Już zaś teologia inne ma dowody, inne założenia; filozofia zaś o Bogu obejdzie się bez objawienia, najwyżej ma je za normę negatywną.

Nauka o duszy na nowe wstąpiła tory. Arystoteles nazwał duszę pierwszym aktem ciała, podał teorię poznania, wykazał istnienie wolnej woli i odpowiedzialności. Lecz teoryami swemi podrażnił tylko chciwy wiedzy umysł filozofów scholastycznych. Czy „rozum czynny“ jest jeden i to wspólny dla wszystkich ludzi? Jak pojąć, że on istnieje po śmierci, a „rozum bierny“ ginie

z ciałem? Jak z fantazmatów przeobrażają się pojęcia przez działanie rozumu czynnego? Jeśli scholastyka jest kopią Stagiryty, to niech ci co ją tak nazywają, otworzą jego księgi i z nich na te pytania odpowiedzą. „Na te problemy tak doniosłe i trudne zarazem Anioł szkoły (św. Tomasz) rzucił rzeczywiście nowe światło. Na tym punkcie jego traktat „O jedności rozumu“ może być uważany za dzieło geniuszu“¹. O stosunku władz duszy do jej istoty, o nieśmiertelności, o pochodzeniu duszy Arystoteles nie pewnego nie zostawił dla scholastyków. Pracowali oni pilnie nad tem i stworzyli cały system psychologii. Wielcy ich wodzowie za Arystotelesem ślepo nie szli. „Kto wierzy, że Arystoteles był Bogiem, ten też powinien wierzyć, że nigdy nie zbłądził. Jeśli zaś kto uznaje go za człowieka tylko, jak i my, to oczywiście przyzna, że mógł błędzić, jak i my“. Tak przestrzegał Albert Wielki współczesnych sobie. Zamiast duchowości rozumu przypisali scholastycy duchowość także samej substancji duszy. Arystoteles widział początek duszy w rodzicach, w nasieniu ojca, scholastycy zaś, odstępując od św. Augustyna i od wygodnej teorii w tłumaczeniu grzechu pierworodnego, którą tenże doktor podał, uczyli niezależnie, że jest ona stwarzana przez Boga bezpośrednio².

Rozjaśnili następnie naturę poznania i wartość pojęć. Walka nominalizmu i realizmu w jednej szkole jest dowodem, że ona zawierała oba kierunki. Kwestya ta sięga do głębi całej filozofii; dlatego chcą niektórzy określić scholastykę, jako naukę o pojęciach powszechnych. Że to ważne, to się pokazuje na filozofii Kanta, która przez zasadniczo różne rozwiązanie tego problemu, poszła na tory zupełnie scholastyce przeciwne. To nie drobnostka, iż scholastyka tego szkopułu unikła i nie rozbiła się, jak Kant w tej wiecznej walce realizmu i idealizmu teoryo-poznawczego. Zasady logiczne Kanta i Hegla skazują na samobójstwo wszelką naukę pozytywną i spekulatywną; przed ich

¹ Clodius Piat *Aristote*, p. 220.

² Cornoldi, *Della creazione ed in specie della creazione dell' anima umana*. L'Accademia Romana di S. T. vol. VII.

trybunałem cała praca naukowa narodu niemieckiego, to jedna wielka illuzya.

W fizyce czyli kosmologii, t. j. w filozofii martwych ciał Arystoteles najsilniej wpłynął na umysły scholastyków. Był on największym filozofem, ale i największym uczonym starożytności. „Sam uczeń Platona, odkrywa i dowodzi więcej prawd, wykonuje więcej prac umiętynnych w 62 latach życia, aniżeli przed nim 20 wieków wydać mogło“, mówi Cuvier ¹. W fizyce przyjął on teorię szkoły jońskiej o 4 elementach, którą nawet w kazaniu Skargi „O zgodzie domowej“ i jeszcze później spotykamy. Sam określał naturę ciał, jako kompozyt z dwu pierwiastków: z biernego t. j. materji i czynnego t. j. formy. Chemii nie znał Arystoteles, dość mu było czterech pierwiastków, które w każdym cielesię łącząc, pod wpływem formy tracą swą istotę. Ciała niebieskie miały inną substancję, szlachetniejszą od ziemskiej i nieśmiertelną. W ruchach nieba panował system Ptolomeusza.—Cóż scholastycy z tem zrobili? „Przyjęli to wszystko *a priori*“, mówi Wulf i dodaje ²: „Wpływ tego błędnego postulatu znajduje się w trzech działach fizyki szczegółowej: w astronomii fizycznej i mechanicznej, w teorii ciał podslonecznych i co do poglądu o wpływie nieba na substancję ziemi“. Odstąpili zaś od Arystotelesa, odrzucając wieczność gwiazd, lecz zatrzymali pogląd, że każda gwiazda stanowi dla siebie gatunek (logiczny nie przyrodniczy). Ruch zaś według św. Tomasza wykonują duchy nie immanentne gwiazdzie, lecz z zewnątrz działające; są to anieli. Siły kosmiczne są u scholastyków przyczyną sprawczą wszelkich zmian na ziemi, niebo gwiazdziste jest pośrednikiem łączenia się formy z materją. „Fizyka, powiada O. Morawski, w ogólności była najsłabszą stroną scholastyków“. W tym zakresie naprzód samodzielnie nie postępowali, jak w innych częściach filozofji i dlatego zostawszy przy Arystotelesie, zatrzymali i jego błędy. Skutki takiej kosmologii, mówi Wulf, były smutne, bo dały powód do zabobonów, magji, która pytała się o tajemnicze siły

¹ „Filozofia i jej zadanie“, ks. Morawski T. J.

² *Introduction à la ph. n.*

nieba—astrologii, która badała moc kierującą gwiazd,—alchemii, szukającej bogactwa. Nie było jednak zastoju zupełnego. Albert W. był znakomitym przyrodnikiem i matematykiem; zapoczątkował chemię, fizyologię i morfologię. Zwiedzał on różne kraje i badał minerały. Po nim Roger Bacon badał indukcyjnie przyrodę. Wyprzedził on swój wiek, iż go za czarodzieja miano. „Późniejsi scholastycy¹, zamiast iść za przykładem Rogera, Alberta i samego Arystotelesa i dalej indukcyjnie badać przyrodę, porzucili na wynikach badań Arystotelesa; w fizyce wzięli kierunek apriorystyczny i oderwany, który oczywiście nie mógł być płodnym, chemię zaś, szczęśliwie rozpoczętą przez Alberta, zostawili pokątnym szperaczom, którzy ją wnet przetworzyli w alchemię“. Zapewne jest to najslabsza strona scholastyki.

W etyce zaś to jest ona szczęśliwszą. Do 13 wieku traktowano ją z punktu widzenia teologicznego. Abelard oparł ją na naturze duszy i sumieniu aż do przesady i niezależności. Kiedy Arystoteles cel człowieka pokładał w szczęściu doczesnem, bo o pośmiertnem nie wiedział, to scholastycy widzieli je w poznaniu i posiadaniu Boga. Fundamentem etyki jest sankcja obowiązku, a tego niema u Arystotelesa. Z niego nie wiemy, jaka jest ostateczna norma dobra moralnego. Objawienie nie tu nie pomaga, bo się pytamy, jak ma postępować człowiek nawet nieznający objawienia. Te zagadnienia najwyższej doniosłości rozwiązała scholastyka. Słowem, w niczem nie pokazuje się tak wyższość scholastyki nad Arystotelesem, jak w etyce. Ze stanowiska czysto rozumowego, niezależnego od objawienia pozytywnie, rozwiązali oni najtrudniejsze zagadnienia. Skarby tej wiedzy złożone są po części w 3-ciej księdze sumy św. Tomasza przeciw poganom. Wzgląd na objawienie jako norma negatywna ich dociekań nie odejmuje im oryginalności, gdyż mówi tylko, jak nie jest, a pozytywną odpowiedź zostawia samej filozofii.

Oto główne rysy scholastycznej myśli. Trudno wehodzić w szczegóły; możnaby o tem tomy pisać, co w każdym systemie jest lepszego, ile postępu w treści i metodzie. Bo zasób myśli, to

¹ Morawski op. cit.

praca wieków, to wysiłek geniuszów chrześcijańskich; nagromadzili oni skarby, którymi karmić się może każda filozofia. Z tych kilku rysów widzimy, że czegoś więcej można się nauczyć od scholastyki, niż tego, ile dyabłów zmieści się na końcu jednej szpilki, lub czy Pan Jezus mógł dla naszego odkupienia przybrać postać osła, jak to na wyrobienie pojęcia scholastyki czasem przytaczać się zwykło. Na tych historycznych faktach oparci, twierdzimy, że scholastyka została stworzona przez największych mistrzów średniowiecza. Nie chodzi nam o to, kto ją stworzył, lecz o to, że jest ona w wielkiej części pracą oryginalną, a nie tylko kopią Arystotelesa. Okres jej zaczyna się w 11 wieku, a kończy się z śmiercią Skota w r. 1308. Okkam, genialny warchoł, Kant średniowieczny, podkopuje starą szkołę, należy do epoki przekwitnięcia jej. W 16 wieku odrodziła się scholastyka, lecz nam chodzi o podanie pojęcia tego, co w średnich wiekach było już skończone. Nie jest też obojętnem dla scholastyki, kto ją stworzył. Bo zarówno można nazwać obojętnem i to, że jej mistrzowie taką, a nie inną treść w niej zawarli, bo z równą przypadkowością mogli co innego w niej uczyć. Jest to obojętne dla filozofii w ogóle, ale nie dla scholastyki. Zdaje nam się, że dla kantyizmu nie jest obojętnem, że Kant go stworzył, ani dla kartezyanizmu osobistość Descartes'a, tak dla scholastyki, że ją scholastycy wydali. Jeśli wszystkie prawie zasadnicze cechy, którymi się określa filozofię scholastyczną w jej treści, są te same, co u Arystotelesa, to jak odróżnić myśl średniowieczną od starożytnej? Muszą przyjść w pomoc cechy poboczne.

Jest wielkiej doniosłości rzeczą znać, co jest w filozofii istotnem, a co nie; stąd bowiem można wnioskować o stopniu pokrewieństwa duchowego. Jeśli filozofię podzielimy na metafizykę ogólną i filozofię drugą, czyli metafizykę szczegółową, to w nauce o bycie istotnem będzie istota bytu i najbliższej tej istoty skutki. O ile twórcy metafizyki scholastycznej z podobnych założeń wychodzą? Otóż wszyscy przyjmują byt za przedmiot metafizyki i zaznaczają mu 4 przyczyny: dwie wewnętrzne i dwie zewnętrzne. Jak historycy jeden i ten sam fakt podają, a każdy inaczej o nim sądzi, inne wnioski wyciąga, tak i w filozofii.

Wszyscy przyjmują podobne założenia, jakby fakty jakie, ale sposób tłumaczenia ich i zastosowania jest różnorodny. Przyczyną sprawczą i celową absolutnie ostatnią jest Bóg. Przyczyny wewnętrzne, bezwzględnie ostatnie, to składniki istoty rzeczy, materya i forma, którą odmiennie pojmuje szkoła tomistyczna, a odmiennie skotyści. Konsekwentnie przeprowadzają te szkoły swój dualizm w całej metafizyce. Potencya i akt, substancya i przypadłość, to podstawowe pojęcia metafizycznej konstrukcyi. Szkoła franciszkańska uczyła, że materya i potencya równy mają zakres, a św. Tomasz utrzymuje, że materya¹ tylko w bytach materyalnych się znajduje, duchy składają się tylko z potencyi i aktu. Tenże doktor twierdzi, że forma jest absolutnym pierwiastkiem jednostkowości istoty, przeciwnie Aleksander z Hales, Albert W., Bonawentura uczą, że w jednym bycie jest wiele form substancjalnych jednocześnie. Może dziwnem się wyda, że my pojęcia najwięcej abstrakcyjne, które są owocem już długiej pracy umysłowej, nazywamy założeniami. Filozofia scholastyczna, o ile była doświadczalną, indukcyjną w powstawaniu pojęć, o tyle była dedukcyjną, apriorystyczną w budowaniu systemów i w posługiwaniu się temi pojęciami. To przeważało w scholastyce; dedukcyja była, że tak powiem, rodzimą metodą scholastyki, chociaż indukcyi zupełnie nie zaniedbano. W teorii poznania przyjmowali przedmiotowość jego w tem znaczeniu, że przedmiot jest poza władzą i od niej realnie różni się. W teoretycznym punkcie wyjścia jest scholastyka filozofią dogmatyczną t. j. przyjmuje za fakt pewny zdolność władz do poznania prawdy. Ogólne założenia stosują do szczegółowych prawd, które swą siłę czerpią z najpowszechniejszych zasad. To co my zowiemy dziś kryterjologią i opieramy na introspekcyi czynności władz poznawczych, to u scholastyków było prawdą metafizyczną. Sprzecznością jest, aby władza jakakolwiek nie osiągnęła swego celu, dla którego istnieje, mówili oni i stosowali tę metafizyczną zasadę do władz poznawczych.

¹ Mowa tu o materji pierwszej, a nie o zwyczajnej ciał.

Wogóle wszyscy są pod przeważnym wpływem Arystotelesa ; to jest przyczyna zewnętrzna ich jedności duchowej. W etyce opierają dobroć moralną na naturze ludzkiej rozumnej. W całej klasycznej scholastyce widać jedność i zwartość myślową. Dlatego tę filozofię nazwano scholastyczną, lub ogólnie „scholą“. Na tych faktach oparci utrzymujemy, że scholastyka to zbiór systemów pokrewnych sobie przez wspólność fundamentalnych założeń.

Oprócz treści mają oni podobne metody, co jest nową scholastyki cechą. Metoda scholastyki jest tak charakterystyczną cechą tej filozofii, iż każdą ścisłą rozprawę z dokładnemi różnieniami i podziałami i terminologią zaraz scholastyczną się nazywa. Jest to strój, w który ta pani się ubiera. W 13 wieku był to strój królewski. Wielu scholastyków w 12 wieku było humanistami, język ich był literacki ; w 13 wieku stracił na polocie, ale był zato treściwy, jasny i wcale poprawny. Dopiero w 14 i 15 wieku, w okresie starości stał się ten strój żebrackim, bo i myśli były chude ; ciemna metoda, język najeżony barbaryzmami sprowadza po dziś dzień hańbę na całą scholę. Filozofia to rzecz subtelna ; potrzebuje wskutek tego ująć w ścisłe formy swe myśli, aby się w subtelnościach nie zgubić. To też scholastyka doprowadziła swe metody i język do wielkiej doskonałości ; żadna inna filozofia nie ma tak wyszkolonej metody. Aby lepiej tę rzecz poznać, zobaczmy, jakie są metody tworzenia systemów, pisania, jaki język filozoficzny i sposób uczenia. Te cechy są ważne, a nie mogą wchodzić w definicyę, któraby niepomrotnie rozszerzyły ; trzeba je zredukować do jednej ogólnej, a potem szczegółowo objaśnić.

Już Arystoteles powiedział, że „niedorzecznością jest szukać nauki i równocześnie sposobu naukowego poznania“. Dlatego w scholastyce metoda jest przedmiotem osobnej nauki ; w logice bowiem podaje sposób naukowego postępowania w szukaniu prawdy. Teoretyczne opracowanie i ustalenie sposobu poznawania naukowego jest tak charakterystycznym dla filozofii scholastycznej, iż niektórzy istotę scholastyki tylko w sposobie filozofowania upatrywali, jak to na początku przytoczyliśmy. Lecz

tak nie jest. Z treścią rozwinęła się metoda i razem z nią zdziczała. Już Boecyusz w 6 wieku wyznaje, że metodą syntetyczną, jak matematyk, usiłuje z pojęć i maksym zbudować umiejętność. Św. Anzelm przypisuje wartość poznania przeważnie wiedzy ścisłej, apriorystycznej; z tej racji przeniósł swój dyalektyczny dowód na istnienie Boga nad dowodzenie z doświadczenia. Pod koniec 12 wieku Alanus ab Insulis posługuje się również metodą matematyczną. Dopiero Abelard, który stronę psychologiczną poznania, jak i całej filozofii zaczął uwzględniać dokładniej, zapoczątkował metodę dyalektyczną. Szczyt jej rozwoju i zastosowanie widzimy w sumach 13 wieku. Tam zlały się obie drogi umysłu ludzkiego od szczegółów do ogółu, a ze szczytu pogląd i uporządkowanie nagromadzonych prawd. Metoda analityczno-syntetyczna zastosowaną została w najlepszych arcydziełach scholastyki. W psychologii, kosmologii i etyce przeważała syntetyczna; zbierano fakty i składano na ogólniejsze pojęcia o danych kwestiach. Zaś w teodycei i filozofii pierwszej, czyli metafizyce ogólnej górę wzięła analityczna, apriorystyczna. Synteza dąży do całości, do zjednoczenia poglądów, analiza rozbiera je, sprowadza do szczegółów i wykazuje podstawy syntezy w rzeczywistym porządku rzeczy. Filozofia scholastyczna szuka prawdy wszystkimi władzami poznawczymi, a nie jedną. Jest to zasada olbrzymiej doniosłości. Różną wartość przypisują pojedynczym władzom, rozmaicie je objaśniają, ale wszystkimi się posługują. Tem różni się scholastyka od wszelkich skrajnych odcieni idealistów i empiryków; jest to kamień węgielny całej filozofii scholastycznej. Władze poznające dzielą na niższe, zmysłowe, organiczne i na wyższe, duchowe, nieorganiczne. Niższymi posługują się materyaliści; to jest jądro materyalizmu wszystkich czasów. Twierdzą oni, że tylko zmysły poznają rzeczywistość i z tego sposobu poznania wnioskuje, że świat i człowiek sam jest tylko materią. Zaś samymi tylko wyższymi władzami posługują się wszyscy idealisci i panteiści. Tu się widzi doniosłość metody w filozofii; sposób poznawania błędny zabarwi wszystko, co się za jego pomocą buduje i tak jednostronność poznania prowadzi do jednostronności przedmio-

tu, do monizmu. Empirycy zmysłami widzą tylko materję i szerzą materyalistyczny monizm, idealisci zmysłom wartości odmawiają, a nie opierając się bezpośrednio na zjawiskach świata zewnętrznego i odmawiając przedmiotowości informacji zmysłów, dochodzą do zaprzeczenia rzeczywistości pozawsobnej. Tymczasem scholastyka w elementarnej logice już te błędy raz na zawsze wykluczyła. To jest główne źródło tej przepaści między nią, a filozofią nowożytną. Idealizm snuje wszystko z pojęć metodą analityczną, a nie pyta o podstawy tych pojęć i ich związków w rzeczywistości, materyalizm zaś same fakty zbiera, a prawd nadzmysłowych nie przyjmuje. Jedna tylko filozofia scholastyczna łączy i wprzęga wszystkie władze do pracy, a owocem jej są systemy zbudowane metodą analityczno-syntetyczną. Taki Kant jest większym pryorystą, niż cała scholastyka, której on dogmatyzm zarzuca. Hegel już do dziwactwa apryoryzm doprowadził, obliczając z pojęcia bytu, ile zboża zbiorą w czasie żniw jego rodacy. Teraz jasnem jest, że nie ma wiernego pojęcia o scholastyce, kto jej metod nie zna ; dlatego podajemy je w definicyi.

Innych władz, któreby prawdę dla rzetelnej nauki zdobywały, nie znamy. Intuicya nie jest źródłem nowego poznania ; najwyżej jest to przejrzenie często genialne, w pewnym kierunku, które naprowadza umysł na nowe prawdy. Takiej intuicyi zawdzięcza scholastyka wiele zdobyczy. O osobnej władzy intuicyi świadomość nie nam nie mówi ; poznanie intuitywne następuje dopiero po zgłębieniu zdobytej prawdy przez rozum. Nic ono nie daje nowego, lecz karmi się zdobyczą rozumu. Intuicya jest bezpośredniem wpatrywaniem się rozumu w jakiś przedmiot ; jest to pewien sposób działalności rozumu, lecz nie jest nową władzą człowieka. Taką intuicyę uznaje i scholastyka ; owszem poznanie intuitywne ogólnych zasad jest punktem wyjścia w pochodzie rozumowania. Rozum zaczyna swą pracę od oczywistych i nie dających się dowieść zasad, które intuicyjnie poznaje. Więc intuicya jest podstawą logiki scholastycznej ; jest to tak zwany „*intellectus principiorum*“. Inna intuicya t. j. kontemplacya mistyczna, o której

pisali teoretycy średniowiecznej mistyki: św. Bernard, Bonaventura, Hugo de St. Victore, nie należy do filozofii, ale jest szczególnym darem Boga. Mistyka przyrodzona, neoplatońska i innych mistrzów nie dała ludzkości nowych naukowych prawd. Ani Plotyn, ani Boehme, ani Swedenborg nie rozszerzyli naszej wiedzy, tylko wzbogacili nas marzycielskimi teoryami. Intuicya, o której słyszy się wiele w ostatnich czasach, wprowadzoną została w obieg przez Bergson'a¹. Ujmuje ona jakoby rzeczywistość samą w sobie, absolutną, nie relatywną, nawet przenika bezpośrednio głębin ducha ludzkiego, jako pierwiastka woli, wolności i czynu. Intuicya jest u niego źródłem metafizyki, nauki bez żadnych symbolów, ujmującą rzecz samą bezpośrednio. Jak u Pascal'a intuicya serca (*sentiment du coeur*) jest promykiem, dosięgającym prawd metafizycznych, tak u Bergson'a intuicya. Przyznajemy, że jest ona podstawą metafizyki, lecz Bergson za wielki zakres jej przyznaje; zresztą jest to teoria nieudowodniona, którą sam czas najlepiej zbije, bo świadomość ludzka jej nie popiera.

Okultyzm, odczucia telepatyczne też roszczą sobie pretensję do godności źródeł poznania. Są to przeważnie anormalne stany psychiczne, które do mądrości nie prowadzą. Jasnowidzenia mogą pochodzić z stanów podświadomych i hyperestezji; przeczucia telepatyczne mogą być wytłumaczone wiedzą zdobytą w zwyczajny sposób, lub przez bystre i przenikliwe domysły, zwłaszcza gdy badacz nie jest dość wprawny w swej pracy². Te wszystkie tajemnicze sposoby poznawania do dziś dnia nie doprowadziły ludzkości do żadnej nowej filozofii, więc scholastyka pomijając je, niewiele na tem straciła; posługiwała się wszystkimi władzami znanymi do zdobycia prawdy.

W pisaniu zwykłą formą scholastyków był komentarz, wykład w osobnych rozdziałach, lub forma dyalektyczna w syllogizmach. Syllogizm w różnych postaciach używany był do do-

¹ *Über die Philosophie* von Henri Bergson, Baumker, *Philosophisches Jahrbuch*, 1. Heft, 1912.

² Whitbridge *Encyclopaedia Britannica* t. 6. word: „clairvoyance“.

wodów; jest w nich żelazna konsekwencya i przejrzystość pomimo pewnej suchości. „Lecz mędrzec nie troszczy się o słowa“, mówi św. Tomasz. Jeśli prawdę uchwyci, karmi nią swój umysł, a styl o tyle jest dobry, o ile do ujęcia prawdy posłużył. Niema tam poetyckich przenośni i zachwyków nad prawdą, lecz za to nie ma też, jak mówi Leibnitz „fantazyi i marzeń, powtarzań, przesady, wykładów nieuzupełnionych lub braków, wałęsania się, opuszczeń dobrowolnych lub nieświadomych, niepozozumień i t. d.“ Ten sposób pisania widzimy w sumach scholastycznych. Uzbrojony ścisłą terminologią i treściwym językiem więcej pomieści filozof scholastyczny w jednej kwestyi i więcej rozstrzygnie wątpliwości, niż dzisiaj w całych dziełach. Na początku stoi pytanie jasne i krótkie; potem daje trudności przeciwi prawdzie traktowanej i racye za nią. Wreszcie objaśnia całą rzecz, podając wszystko, co o tej kwestyi napisać wówczas było można, a na końcu rozwiązuje trudności na początku postawione. Tak wygląda artykuł, najmniejsza jednostka składowa książki. Te składają się na kwestye, kwestye na rozdziały, a z rozdziałów powstają księgi i dzieła. Czytający napis wie zaraz, o co chodzi, trudności zmuszają go do myślenia samodzielnego; wie on, gdzie początek, gdzie koniec, co ważne, a co podrzędne. Jasność panuje wspaniała. Słusznie porównano sumy scholastyczne do owych tumów gotyckich z przedziwną rozmaitością gzymsów i wieżyczek strzelających ku niebu, celujących jasnością linii i dokładnością wykonczenia.

Inna wspólna cecha scholastycznej metody jest ta, że autorowie lubią cytować pewne aksjomata, ogólnie przyjęte, zwłaszcza w tej części artykułów, gdy podają racye przeciw i za. Jest to wspólny arsenał scholastyków, w którym zebrane są zdania Arystotelesa, Augustyna, Boecyusza, Avicenny, Pseudodyonizego i Averroesa i niektórych ojców Kościoła.

Językiem wykładowym była łacina. Nowa nauka stworzyła sobie nową terminologię. Łacina scholastyczna jest osławiona, lecz może niesłusznie. W 12 wieku mamy humanistów scholastyków n. p. Salisbury lub szkoła w Chartres. Wiek 13 posiada styl jasny i ścisły; ma on swoje terminy. Czyż to nowość! Któż

dzisiaj zarzuci naukom przyrodniczym, że używają słów technicznych, jak n. p. mikroskop (a nie drobnowidz, jak chce Nowicki), telegraf, akumulator, chlorofil, i t. d. Wiszniewski zarzuca scholastykom, „że u nich rozum nie rozlewał się w muzycznym słowie“. Lecz przecie utwory scholastyków, jak i dzisiejsze dzieła matematyczne i fizyczne nie miały być śpiewane przez minnesängerów lub trubadurów przy dźwięku muzyki. Dość go rozlał w pieśni Dante, który w Paryżu uczył się filozofii scholastycznej. „Pod względem ścisłości i treściwości, mówi O. Morawski¹, żadna filozofia nie wyrównała scholastycznej. Terminologia scholastyków może być pod względem literackim barbarzyńską, ale pod względem filozoficznym jest ona doskonałą; wszystko w niej akuratnie domierzone do pojęć i wszelkich czynności rozumu filozoficznego; wszelkie odcienie myśli oddaje ona bez długich określeń, jednym technicznym wyrazem; nie tylko wiernie odbija myśl filozofa, ale nawet swą ścisłością zmusza go do myślenia ściśle“. Żałować trzeba, że w naszych czasach jest inaczej. Co filozof, to nowe pojęcia na stare rzeczy wprowadza; jedne i te same wyrazy inaczej ten, a inaczej ów rozumie. Jeśli autor we wstępie się nie umówi, co do terminologii, to przez jego dzieło idzie się, jak przez kilkumilowy tunel, macając w ciemności ściany. Przeciwnie, przyswoiwszy sobie raz dyalektykę scholastyczną rozumie się wszystkie dzieła tej szkoły. Jedno słowo rozstrzyga jasno tam, gdzie drogi się rozchodzą i dzisiaj jeszcze po tylu wiekach, w innem środowisku wiernie można odtworzyć myśl scholastyczną.

Jedną jeszcze jest cechą metody pisania, t. j. że scholastycy traktują w jednych dziełach o filozofii i teologii. Autor nowożytny obraziłby się, gdyby obok badań naukowych musiał stawiać prawdy objawione; nazwałby to brakiem metody i chaosem. Lecz tkwi w tem jedna z najpiękniejszych zasad średniowiecza. Już św. Justyn (w 3 wieku) dążył do poznania „obu stron Słowa“. Ojcowie Kościoła utrzymywali, że tylko filozof chrześcijański, pouczony przez objawienie, ma pełne poznanie Boga. To też św.

¹ „Filozofia i jej zadanie“, wyd. 3. p. 293.

Augustyn łączył filozofię z teologią, a nawet z modlitwą¹. Albert W. ogarnął całą wiedzę swego czasu, iż go „doktorem powszechnym“ nazwano. W 13 wieku, w czasie szczególniejszego polotu ducha ludzkiego ku Bogu i ku ideałom chrześcijańskim inaczej pojmowano mądrość, niżeli dziś. Polegała ona, jak mówi św. Tomasz na tem, aby prawdziwy mędrzec poznał swój ostateczny cel i wszystko inne do tego stosował. Stoi on na szczycie wiedzy swego czasu, ogarnia umysłem wszystkie prawdy tak ludzkie, jak i Boskie; z tej wysokości widzi on i ocenia wszystko we właściwym świetle. Jest to lot orła ku słońcu! Rozum filozofa oświeca. Bóg przez swą majestatyczną mowę cudów przyrody i przez objawienie nadprzyrodzone. Tu jest zupełne wyzwolenie się z więzów, tu spokój sumienia. Tu niema rozdarcia duchowego, szamotania się wiedzy z wiarą, poziomej doczesności z wyższymi porywami, temi ognikami boskości, które każdy wykształcony człowiek w sobie uczuje. Jest tam jasne poznanie dróg życia, harmonia wiedzy a konsekwentnie i czynu. Dlatego średniowieczni uczeni dążyli wszyscy do tego, aby być teologami; to był ideał wykształcenia. Dlatego najwięksi mistrzowie i twórcy scholastyki traktowali filozofię w sumach teologicznych. Trzeba jednak pamiętać, że chociaż traktowali razem filozofię z teologią, jako dążące do jednego celu, to w dziełach teologicznych nie tworzyli dopiero filozofii, ale się nią, jako już wyrobioną, posługiwali. Są to dzieła teologiczne z aparatem filozoficznym. Filozofię zaś wyrobiono i wykończono w komentarzach, zanim ją na usługi wiary wzięto. Tworząc syntezę filozofii i teologii realizowano ideał średnich wieków. Cały świat ma być jedną rodziną pod panowaniem dwu władców, papieża i cesarza, a nad całą praktyką życia świecą dwa słońca, teologia, boska nauka i filozofia, wykwit myśli ludzkiej. Taka harmonia była marzeniem wieków średnich. Nauki przyrodnicze dają podstawę filozofii, filozofia wznosi się o własnych siłach do Boga, ostatniego celu,

¹ Zobacz n. p. rozdział 29. *Meditationes S. Aug.* Cała filozofia o Bogu wyłożona w prześlicznych rozmowach z Bogiem. Modlitwy św. Augustyna w tem dziełku są tak głębokie a pełne dziecięcej prostoty, iż mogą posłużyć za modlitewnik dla najgenialszego myśliciela. Tu modli się geniusz i święty zarazem.

teologia uzupełnia i koronuje wiedzę, czyli porządek spekulatywny; za tem idzie odpowiednie ukształcenie władz pożądanycych t. j. woli i serca, które kochają całą siłą to, co rozum wszechstronnie oświecony poznał. Na koniec postępuje czyn, życie, poświęcenie dla poznanego ideału, zaparcie się chrześcijańskie, aż Bóg już tu na ziemi podnosi do zachwyty, mistycznego tych, co Go tak pilnie szukają. Najwięksi twórcy scholastyki są filozofami, teologami, mistykami i świętymi zarazem. To kres i kryterium prawdziwej filozofii. O czem już marzył Plato, do czego rościli sobie pretensye Neoplatonicy, to osiągnęli filozofowie chrześcijańscy; dzisiejsi chcą wyższego pierwiastka w życiu, lecz szukają go na drogach błędnych panteizmu, ontologizmu i t. p. Bł. Albert Wielki, św. Tomasz i św. Bonawentura to jasne światła i ideały chrześcijańskiej mądrości po wszystkie wieki. Otóż pomimo zlania się tych pierwiastków w duszy myśliciela średniowiecznego nie były one pomieszane w obiektywnej swojej wartości.

Na tych faktach oparci stwierdzamy, że scholastyka to biór systemów pokrewnych sobie przez wspólność metody. Teraz szukać będziemy dalszych jej cech.

Jeśli podobne są podstawy, podobne mogą być i wyniki tychże. Filozofia scholastyczna i na tym punkcie pokazuje pokrewieństwo duchowe. Wszyscy najwięksi scholastycy oparli na Arystotelesie, niektórzy na Platonie, zespoleni duchowo w pracy, jednakowej trzymając się metody analityczno-syntetycznej, a mając wiarę za wskazówkę w szukaniu prawdy, doszli do rezultatów jednym owianych duchem. W zbiorze systemów te będą właściwości najważniejsze, które każdej gałęzi filozoficznej nadają zasadniczy charakter, odróżniający ją od tej samej gałęzi innego systemu. N. p. etyka z wolną wolą a etyka fatalistyczna, psychologia spirytualistyczna, a materyalistyczna — te cechy charakterystyczne trzeba uwydatnić. Wszystkie systemy scholastyki mają te cechy dla głównych działów filozofii podobne. Podaje te zasadnicze właściwości uczony znawca historii scholastyki Wulf. I tak w filozofii o Bogu scholastyka jest dualizmem, bo udawadnia Boga, jako akt czysty, różny od świata, a inne byty

złożone przynajmniej z aktu i potencyi. Tem się różni Stwórca od stworzeń. Przez to rozwiązanie jest scholastyka wiekiustą nieprzyjaciółką wszelkiego panteizmu. W metafizyce zajmuje stanowisko dynamizmu umiarkowanego przez akt i potencję, materję i formę. Są siły, są pierwiastki czynne, energetyczne, ale nie same; jest i materya, jako pierwiastek bierny, ale on nie stanowi wszystkiego; oba te czynniki składają się na każdy byt stworzony. Broni też scholastyka i celowości świata. Psychologia jej jest spirytualizmem umiarkowanym; wykazuje z aktów psychicznych istotę duszy, różnej rzeczowo od ciała, przez co jest przeciwną wszelkiemu materyalizmowi. Nie stawia jednak przepaści między duszą i ciałem, jak przesadni spirytualiści, Plato, Descartes, Leibnitz i t. p. Dusza mimo swej duchowości łączy się z ciałem nie zewnętrznie tylko, jak kość z mięsem, ale ta łączność jest istotna, bo z niej powstaje nowa natura t. j. człowiek. Ani samo ciało nie jest człowiekiem, jak u materyalistów, ani sama dusza, posługująca się ciałem, jak rzemieślnik narzędziem, według spirytualistów, lecz nowa istota, jedna w sobie, choć złożona, stanowi człowieka. Do tych rezultatów dochodzą z badania aktów człowieka, czyli z doświadczenia; jest zatem psychologia scholastyczna w znacznej części doświadczalną. W etyce za cel człowieka kładzie szczęście w osiągnięciu dobra najwyższego, obiektywnego t. j. Boga przez akty wolnej woli. W logice przedmiotowość poznania jest cechą charakterystyczną; tę teorię poznania przeprowadza scholastyka w swoich systemach. Zawsze władza stosuje się do przedmiotu i odkrywa go, a nie tworzy. Przez to wyklucza scholastyka wszelki subiektywizm, zwłaszcza filozofię Kanta. Są to dwa światy nieprzejdne, *der Kampf zweier Welten*, jak mówi Eucken. Pomimo różnic podrzędnych te same cechy charakterystyczne posiadają wszystkie systemy scholastyczne. Sposób rozwiązania jest przegrany, ale duch ogólny jest taki, jak to przedstawiliśmy.

Postępując drogą indukcyjną zbieraliśmy cechy scholastyki, aż się dokładne określenie złożyło. **Filozofia scholastyczna jest to zbiór systemów eklektycznych filozofii chrześcijańskiej, stworzonych przez największych mistrzów średniowiecza, a pokrew-**

nych sobie przez wspólność fundamentalnych założeń, wspólność właściwej sobie metody i przez podobieństwo duchowe w rozwiązywaniu najistotniejszych zagadnień. Taką dajemy odpowiedź na pytanie: Co to jest filozofia scholastyczna. Ta definicya jest ścisła jedynie w związku z całością; trzeba w cechach ogólnych n. p. wspólność metody, lub podobieństwo w rozwiązywaniu istotnych problemów, pytać się o konkretne cechy, swoje i tylko scholastyce właściwe, bo wspólność metody może mieć każda szkoła filozoficzna. Dlatego należy zadać sobie to pytanie i z poprzednich wywodów odpowiedzieć.

* * *

Zda się być prawem pochodzenia kulturalnego ludzkości, iż po okresach świetności i blasku następuje wyczerpanie się i upadek. Tak było w literaturze, sztuce, tak było i w filozofii scholastycznej. Po okresie złotym następuje dekadencja i zupełny upadek. Jakie były objawy i przyczyny tej ruiny? Jako odpowiedź podamy tu w najwierniejszem streszczeniu poglądy Wulfa i O. Morawskiego; wkońcu pozwolimy sobie na wyrażenie osobistych zapatrywań.

Scholastyka upadła. Lecz dlaczego? Czy spróchniała od starości w swej treści, czy sama w swoim łonie i w istocie nauki nosiła zaród śmierci? O. Morawski i Wulf odpowiadają, że nie. Upadła ona w opinii świata uczzonego, tak iż katolicycy filozofowie z politowaniem mówili o zabłąkaniu się wieków średnich. Upadła z winy filozofów, a nie filozofii samej; prawda jej zasad jest niezmienna i chociaż je wyśmiano i zapomniano, nikt jednak nie wykazał w nich sprzeczności. Lecz wina była w filozofach. O. Morawski podaje kilka przyczyn upadku¹. Pierwsza, to nakaz generalnej, dominikańskiej kapituły z r. 1286, aby z powodu napaści na św. Tomasza członkowie zakonu bronili wiernie jego nauki pod karą złożenia z urzędu. Bo chociaż św. Tomasz był olbrzymem, to przecie mógł powstać większy od niego. A choćby i nie było już większego, to następcy, mniejsi od niego, mogli niejedno

¹ O. Morawski op. cit. rozdz. 12.

w tomiźmie ulepszyć. Tymczasem zawrzała walka i rywalizacya nie o prawdę, ale o mistrzów. Franciszkanie oświadcza-
li, że nigdy od Skota nie odstąpią, a jeśli im się to zdarzy, to z nieświadomości. Pisano komentarze polemiczne, trzymając się litery wódzów.

Drugi powód upadku scholastyki widzi O. Morawski w braku poważnych przeciwników. W 13 wieku szło o śmierć lub życie, bo Arabowie trzęśli światem na wojnie i w nauce; ale teraz pokonawszy wrogów scholastycy spoczywali na laurach pod opieką wódzów, jakby w cieniu rozłożystych dębów. „Zamiast¹ myśleć samodzielnie, mówi na poparcie tej samej myśli Wulf, to oni sprowadzili swą pracę do komentowania myśli cudzej. Jest to epoka streszczeń i okres dzieł apokryficznych, a wiele z nich było przypisywanych autorom, z których je skompilowano, a nie samym kompilatorom“. Na chwilę tylko obudził ich Okkam; był to warchoł, który wszystko pomieszał i poburzył i kłótni przyczynił.

Oprócz tego były inne wewnętrzne przyczyny upadku. Jedną z nich była mania obiektywowania odróżnień i abstrakcyj myślnych, czyli uważanie tych płodów myśli za rzeczywistości pozarozumowe. Za wzór takich podaje dystynkcyę realną istoty i istnienia², natury

¹ *Histoire de la philosophie médiévale.*

² Dzisiejsi scholastycy dalej doszli. Zamiast zgłębiać i uzasadniać najdonioslejsze problemy, piszą dzieła o tej dystynkcyi. Nazywają to fundamentem filozofii chrześcijańskiej, n. p. del Prado, który wydał rozprawę *De fundamentalí veritate philosophiae christianae*. Nie obstawiamy ani za realną, ani za myślną różnicą. Lecz uważanie tej różnicy za fundament filozofii św. Tomasza jest niedźwiedzią przysługą dla niego. Bo co to za filozof, który o fundamentalnej kwestyi swego systemu tak pisze, iż przez kilka wieków dysput ludzkość zrozumieć nawet głównej myśli nie może! A przecież sławiona jest jasność Tomasza (*Aeterni Patris* Leo XIII). A jeśli Bóg objawił podwaliny filozofii moralnej, że jest Bóg i to sprawiedliwy, że dusza nieśmiertelna, to między elementarnymi prawdami wypadało umieścić i te o realnej różnicy istoty i istnienia, której przecież biedna ludzkość jeszcze nie poznała. Schindele w swej pracy *Zur Geschichte der U. von Wesenheit und Dasein in der Scholastik* trafnie wykazuje, iż św. Tomasz, Albert W., Aleksander z Hales mówiąc o tej różnicy powołują się na neoplatonskich panteistów i mistyków: Avicennę, Algarela, Alfarabiego, Avicbronę, Pseudodyonizego i Boetiusa eklektyka; wspominają też

i osobowości w rzeczach stworzonych; twierdzili, że przeczenia i braki są osobnymi bytami w świecie rzeczy i t. p. A to wszystko przypisywali św. Tomaszowi i mistrzom 13 wieku.

Nadto wadą scholastyki późniejszej był brak planu. Filozofię zawarto w komentarzach, a uporządkowanej całości nie było. To są powody starości scholastyki w 14 i 15 wieku. Całej zaś scholastyce zarzuca O. Morawski jedno. Jest to zbyt uleganie powagom. Stąd to zamknięcie filozofii w komentarzach, stąd wciąganie teorii nieuzasadnionych do najważniejszych zagadnień, n. p. zasady indywidualności, którą ma być materya indywidualna do teorii poznania i oparcie tejże teorii na tak kruchej hipotezie. W 16 wieku usiłowali Jezuici wyraźnie oddzielić filozofię od teologii w traktowaniu i stworzyli już nie komentarz, lecz jednolity system. Owocem tej pracy to „Roztrzaskanie metafizyczne“ Suareza i dzieła Vasqueza. Lecz i to nie pomogło. Już rozrosła się szkoła empiryczna i biła w brak doświadczeń, a Descartes zarzucał brak jednolitości i metody, a wszyscy wyśmiewali przesadną powagę Arystotelesa, aż w 18 wieku scholastyka runęła.

Wulf podaje ¹ również przyczyny upadku scholastyki, które do trzech zredukować można: wady w metodzie, brak znajomości pierwotnej scholastyki i nieznaną nowych zdobyczy. Braki w metodzie doszły do zdumiewających rozmiarów. Łacina scholastyczna 15 wieku jest barbarzyńska, brak w niej elementarnej gramatyki, a nawet ortografii. Pod pozorem jasności mnożono dystynkcyę i poddystynkcyę, a myśl ginęła w tych szwadrach formuł. Formalizm dyalektyczny zadusił treść do szcze-

Majmonidesa. Że na mętach panteizmu ta kwestya wśliznąć się mogła do scholastyki, to oprócz tych poszlaków i ten jest ważny, że Wilhelm z Auvergne, który pierwszy wyraźnie mówi o tej różnicy, posługuje się wyrażeniami zupełnie panteistycznymi o emanacyi bytu z Boga. Nie trzeba się więc spieszyć z podmurowaniem tego kamienia pod gmach filozofii chrześcijańskiej. O. Morawski trafił w samo jądro rzeczy. Św. Tomasz uczy, że do istoty stworzenia (*ad quidditatem*) nie należy jego istnienie, lecz z tego wynika, że istota i istnienie nie mogą zlać się na jedną realność, jak rozumność i zwierzęcość w człowieku. Przecież dwie istoty (*quidditates*) mogą stanowić jeden byt.

¹ Wulf, *Introduction à la ph. n.*

tu. Drugi powód upadku, to brak znajomości starszej scholastyki. Filozofowie scholastyczni późniejsi nie wiedzieli dobrze, co to jest scholastyka. Mówiono jeszcze o materii i formie w podręcznikach scholastycznych 17-go wieku, lecz ich jedność rozumiano tak, jak stosunek męża do żony, którzy się zalecają, żenią i biorą rozwód, aby się na nowo żenić. Molière kpił z potencji i aktu i słusznie, bo filozofowie przekreślił je nie do poznania i przez to zohydzał, trzeźwą metafizykę 13 wieku. Dzieła tej epoki nazwano „komentarzami komentującymi komentarze“. „Żadna z tych niewiadomości, woła z oburzeniem Wulf, nie jest więcej nie-szczęsną nad ignorancję w zakresie wielkich odkryć, które wstrząsnęły astronomią fizyczną i mechaniczną, fizyką, chemią i biologią zarówno jak naukami dedukcyjnymi i matematyką“. Nauka wstrząsnęła niebem Arystotelesa. Kopernik wykrył obrót ziemi około słońca, Galileusz zaglądnął w przestwory świata i pokazał ruch planet i księżyców, Keppler postawił jasno swe prawa i udowodnił je, Newton odkrył prawo ciężkości, które O. Secchi nazywa ¹ „jednem z najwspanialszych pierwiastków stworzenia“; Toricelli wynalazł termometr i objaśnił naturę ciepła. Świat fizyczny w nowej szacie stanął wobec umysłu. Równocześnie krokiem olbrzyma szła matematyka; Newton, Descartes, Leibnitz wzniesli ją na wyżyny. A cóż wobec tego scholastycy? Jasnem jest, że wobec tych odkryć runęły liczne poglądy scholastyki. Nieruchomość i nieśmiertelność planet, doskonałość ruchu kołowego, teoria ciepła i zimna, wogóle poglądy fizyczne, astronomiczne i chemiczne, które scholastyka do swych teorii wciągnęła, musiały ustąpić; śmiesznością było przy nich się upierać wobec jasnych dowodów. Lecz tu dopiero wina późniejszych scholastyków najjaskrawiej występuje i ośmiesza to wszystko, co nawet w scholastyce było dobrego. Wielu uczonych uważało scholastykę tylko za system astronomiczny i fizyczny, a skoro filozofowie jeszcze uparcie przy nim stali, wystawiali się na sarkazm świata uczonego. Cała ich wina w przekonaniu, że nowe fakty ze starą metafizyką absolutnie pogodzić się nie dadzą.

¹ P. Angelo Secchi S. J., *Le Soleil*.

Gdyby św. Tomasz żył w czasach odkryć, byłby sam swoje poglądy zupełnie inaczej ukształtował. Wiele teoryom kosmologicznym przypisywał on wartość hipotezy, do których tymczasowo niezmiennie zasady metafizyczne stosował; to zaś stosowanie uważał za rzecz zmienną, za kwestyę czasu. Świadczy o tem n. p. taki tekst z księgi „o niebie“: „Chociaż zjawiska opierają się na takich założeniach, to nie trzeba twierdzić, że te suppozycye są prawdziwe, bo może zjawiska w świecie gwieździstym, odbywają się według innego jakiegoś sposobu, jeszcze przez ludzi niepoznanego“. Lecz późniejsi scholastycy o tem zapomnieli, jak wogóle o głębszej znajomości scholastyki i woleli zaprzeczać samych faktów, zauważonych w przyrodzie, niż dopuścić do zmiany w niebie Arystotelesa. Cezar Cremonini zwany „Aristoteles redivivus“, przyjaciel Galileusza, nie chciał patrzeć przez lunetę na niebo, aby czegoś przeciwnego Arystotelesowi nie zobaczyć. „Ci ludzie, powiada Wulf, nie rozróżnili rzeczy zasadniczych od drugorzędnych; nie pojmowali, że można porzucić dowolne stosowanie metafizyki na terenie umiejętności bez porzucenia samej metafizyki. Cóż więc dziwnego, że narazili się na kpiny uczonych. Oni to uczynili scholastykę odpowiedzialną za zbłąkanie się średniowiecznej nauki, którą za niezmienną uważali“. Dotąd Wulf. Uczeni potępiwszy scholastykę, potępiłi wszelką filozofię przeszłą i obrzydziłi sobie nawet Arystotelesa. Od tej epoki zaczyna się rozdział nauki od filozofii, to jest przyczyna dzisiejszej rozłąki t. j. lekceważenie wiedzy pozytywnej, która wówczas takie święciła tryumfy. Scholastycy późniejsi odcieśli się od świata naukowego, a świat odepchnął ich od siebie nawzajem. Tymczasem gdy scholastyka w gruzach leżała, powstały nowe systemy, jej nieprzyjazne i zatrzęsły światem. A scholastycy tak nie znali swego systemu, iż teorię poznania scholastyczną uważali za zgodną z sensualizmem Lockego, nie odróżniając władz duchowych od organicznych. Tak Zallinger, Storchenau, i t. p.

Do przytoczonych zdań wybitnych znawców przedmiotu o przyczynach upadku scholastyki, pozwolimy sobie dodać parę uwag, dotyczących metody scholastycznej. Zarzucają scholastyce

formalizm i jałowość ; my wolimy wskazać na samo źródło tegoż. Jest to, zdaje się nam, osławiony „apryoryzm“. W scholastyce panowała dedukcya, która była jakby rodzimą jej metodą. A każdy apryoryzm musi wyjałowić w bezdusznych abstrakcyach. Scholastyka nie przeprowadzała każdej kwestyi od samych podstaw do szczytu, jak to czynił Arystoteles, nie badała naukowo faktów, aby na nich oprzeć naukową spekulację. Pominąwszy nauki doświadczalne, budowali scholastycy systemy oparte przeważnie na łączliwości idei ; na nowe teorye nie mieli nowych faktów, ale nowe związki idei. Arystoteles najpierw fachowo i gruntownie zbadał poszczególne umiejętności, potem dopiero szukał filozoficznej syntezy. Również nowsi filozofowie piszą gruntowne monografie z zakresu nauk przyrodniczych, zdobywają głębokie, naukowe pojęcia, a potem na końcu życia zbierają rezultaty swych badań i stosują do poparcia swoich filozoficznych poglądów. Scholastyka zaś przeoczyła przykład dany przez Arystotelesa. Budowała systemy nowe na starych faktach oparte. Łączono i kombinowano pojęcia, nie pytając, czy fakty je połączyły. Dowodzono *a priori*. Z przyczyny usiłowano wnioskować o skutkach, opierając się jedynie na związkach ideowych, nie siląc się na doświadczalną kontrolę faktów N. p. gdy św. Tomasz udowadnia istnienie wolnej woli¹ z pojęcia natury rozumnej, niezależnie od tego, czy na świecie były jakie objawy, akty wolnej woli, czy nie, to jest dowód *a priori*. Dość mieć pojęcie natury rozumnej, aby dowieść, że musi istnieć wola. Dowodzenie takie jest powszechniejsze od indukcyjnego. Dlatego nie przyklaskujemy twierdzeniu Wulfa, że psychologia scholastyczna jest doświadczalną ; bo trudno psychologię, która dowodzi najważniejszych prawd jak istnienie woli, nieśmiertelność duszy *a priori*, trudno nazwać doświadczalną. Taki sposób postępowania musiał doprowadzić do formalizmu ; trzeba było znać prawa, według których łączyć się mają idee ; i tak łączono je według abstrakcyjnych formułek, bo oparcia w obserwacyi nie było. Wielcy mistrzowie umieli utrzymać się

¹ P. Backer S. J. *Psychologia* II. thesis XXV.

— — — — —

w mierze i najczęściej przypisywali związkom takim wartość hipotez, lecz ich epigonowie doprowadzili za daleko. I to błąd scholastyki, że nie opierała własnych teorii na własnej obserwacji, lecz sprowadzała je do intelektualnych zasad. Według logiki Arystotelesa i samych scholastyków doświadczenie zmysłowe jest podstawą wiedzy rozumowej. Trzeba więc było ani kroku naprzód nie iść, lecz w­pierw zabrać się do nauk pozytywnych za przykładem Arystotelesa, a potem filozofować. Tak formalizm i apryoryzm jest skutkiem pominięcia doświadczenia naukowego. Nie przeczymy, że Kant, a zwłaszcza Hegel, *ins Blaue philosophieren*, lecz twierdzimy, że w każdej zdrowej filozofii naprzód mają iść uczeni i badacze nauk pozytywnych, a za nimi filozofowie, a nie na odwrót. Ważna to nauka dla neoscholastyki, która przywracając scholastykę, jest narażona na wznowienie również jej błędów t. j. apryoryzmu i formalizmu.

J. Soldrowski.

Z pośmiertnej teki Deotymy.

Królowa Jadwiga czyli Xięga Miłości.

(Dokończenie.)

JADWIGA.

Mów-że mi jeszcze o moich rodzicach.
Dobrzy dla ciebie, bardzo?

WILHELM

po namyśle.

Rozmaicie,
Twój ojciec, bardzo. Ja też go nad życie
Kocham. On sławny w zamorskich stolicach.
Coś cesarskiego ma w swojej osobie,
A przytem chwali wszystko, co ja robię.
A twoja siostra, Maryjka, pocziwa.
I Zygmus nie zły, choć różnie tam bywa . . .
Oj! Bić to lubi, i jeszcze po licach,
Bo wie, żem gładki.

JADWIGA.

To rzecz niegodziwa

Po chwili.

A moja matka, też dobra?

WILHELM.

Tak sobie.

JADWIGA.

Jakto, tak sobie?

WILHELM

z nadqsaniem.

Wszak to wielka chwała

Wejść w dom Habsburgów, — a onaby chciała . . .

Wiesz ona bardzo nas Niemców nie lubi.

O! słyszę nieraz, jak się z królem swarzy,

Chciałaby córki wydać za nędzarzy

Swoich Bośniaków, co to tacy grubi,

Dzicy jak bestje. Boć i ona sama . . .

JADWIGA.

Cicho mężulku! To jest moja mama.

WILHELM.

Prawda, przepraszam. — Ależ to nierzadka

Rzecz, taka mama. Wszak i moja matka,

Chociaż ty jesteś tak dobrą pieczętą,

Nie bardzo z tobą obchodzi się słodko

Ot, tak, po włosku. No, przyznajże sama.

JADWIGA.

Ja nie nie powiem. Dobra twoja mama.

Jak się rozniewa, to już moja wina.

WILHELM.

Tak, mama dobra . . .

Z rozczuleniem.

No, a tyś jedyna.

Chwila milczenia.

Jakże ty długo pleciesz! Jam znudzony.

Czy ty już nigdy nie dasz mi korony?

JADWIGA.

A, bo też ty się niecierpliwisz prędko.

Widzisz, król musi mieć więcej powagi.

Przecież ci nie dam tej łóżyki nagiej?

Wbiegają z hukiem i krzykiem trzej braciszkanie Wilhelma.

LEOPOLD.

A chodźże! Stryjek tam się bawi wędką.

ERNEST.

E! co tam wędka, — nudy stać po cichu.
Ale za psiarnią, widzisz? gdzie ten murek,
Franti wziął młodego sokoła na sznurek,
I precz go uczy. Co zdejmie kapturek,
To ptak głupieje, że pękać od śmiechu.

LEOPOLD.

I w piłkę byśmy zagrali z ochotą,
Ale bez ciebie nie idzie zabawa.

FRYDERYK.

Rok czekaliśmy, a przecież nie po to,
Byś ciągle zmykał.

ERNEST.

Rzecz bardzo ciekawa
Dla chłopca patrzeć, jak się wianki plotą?!

WILHELM

do Jadwigi.

Powiedz, czy zaraz będzie ta korona?

JADWIGA.

Nie zaraz. Przecież muszę spleść i drugą?

WILHELM.

No, to ja pójdę, ale nie na długo.
Spiesz się, bo wrócę. A jak mi skończona
Jeszcze nie będzie . . .

JADWIGA.

To co?

WILHELM.

To niech żona
 Płacze. Ja z kopją i złotą koleczugą,
 Jak błędny rycerz, w świat pojadę sobie.

JADWIGA.

E! tylko nie strasz. Nim wy, z waszą sławną
 Piłką skończycie, już ja tutaj dawno
 Trzy wianki, sto wianków splecę.

Wilhelm i jego bracia wybiegają. Jadwiga zostaje sama.

JADWIGA.

Trzeba się spieszyć, bo on rzeczywiście
 Łatwo się dąsa, i muszę sto razy
 Przepraszać, zanim zapomni urazy.

Przygląda się zaczętemu wiankowi.

Co ja tu włożę? Chyba płaskie liście.

Splata i przyśpiewuje.

„Dzieci zwiążemy . . .“ Jak to było dalej?

Nie mogę ułożyć słów.

A! Już wiem : „Dzieci u żerdzi związali,

„Jak sforę psów“.

Zamyśla się.

Jak ja powinnam dziękować co ranka
 I co wieczora, że ja nie poganka!
 Ależ i tamte nieszczęsne maleństwa,
 Cóż one winny? Zamiast zbrojnych męży,
 Czemuż królowie nie poślą im xięży?
 Po co wyrabiać takie okrucieństwa?
 Że też to ludzie nie boją się Bozi?
 Przecież jak stryjek, lub mama pogrozi
 Niegrecznym dzieciom różeczką, w tej chwili
 Cichną przed strykiem, a zwłaszcza przed mamą :
 Żeby i Bozia chciał zrobić tak samo!
 Żeby tak zesłał nam aniołka z nieba,

Coby nauczył, jak się sprawiać trzeba,
Wszyscyby ludzie zaraz dobrzy byli.

Wzdryga się i przeciera sobie oczy

Co tu za jasność? Ach, jak pachną róże,
Coś szumi . . . Czy to zbiera się na burzę?

Ogląda się z podziwieniem.

Nie, — wszystkie drzewa stoją cichuteńko,
A szumi ciągle, **jakby** tam na górze
Był jakiś Dunaj . . .

Jadwiga wpada w zachwycenie.

*Przed nią pojawia się Serafin, w kształcie prześlicznego, różowo
ubranego dziecka.*

*W głębi pojawia się: Święty Franciszek i Duch Platona jako dwaj
starcowie.*

Poza Jadwigą pokazuje się jej Anioł Stróż.

SERAFIN.

Otom jest, dziewczeczko!

JADWIGA

zdziwiona.

Którędy-żeście tu weszli? A strażę
Jak was puścili, nieznajomych?

SERAFIN.

Drogo

My mamy inną.

JADWIGA.

Jaką?

SERAFIN.

Dziś nie mogę, —
Lecz kiedyś może ją tobie pokażę.

Zbliża się do Jadwigi.

Co tu, panienko, robiłaś, wianeczek?

To ładnie. Kwiatki, to liturgia cała?

Na chwałę Boską.

*Jadwiga przeciera oczy z rosnącym podziwieniem, spoglądając to
na dziecię, to na starców.*

JADWIGA.

Kto to, ten staruszek

Taki milutki?

SERAFIN.

Czyś go nie poznała?

JADWIGA.

Owszem, on takie ma liczko przejryste

Jak ten obrazek Świętego Franciszka

Na złotem denku, co to mi go mniszka

Scholasia dała na Heilige Christe.

SERAFIN.

To on.

JADWIGA.

Doprawdy? I z nieba wychodzi,

Choć mu tam dobrze?

SERAFIN.

A! Bo to dobrodziej.

Ludziom, co mają serca bardzo czyste,

Przynosi dary, jakich nikt nie zgadnie.

JADWIGA

patrzac na wiązanke róż w ręku Św. Franciszka.

Może te róże? One rosną w niebie —

Nieprawdaż? Czyby to było nieładnie

Prosić o jedną, choćby o tę małą?

SERAFIN.

Ha! Może kiedyś i będą i dla ciebie,

Ale nie dzisiaj. Bez jakiejś zasługi

Żądać nagrody, nieładnie.

JADWIGA.

A drugi,
Z takim uśmiechem i z tą brodą białą,
Kto to jest?

SERAFIN.

Na cóżby ci się przydało
Znać jego imię, kiedy go na ziemi
Nie usłyszałaś, ni usłyszysz potem.
Dosyć ci wiedzieć, że pięknym żywotem,
Wyслужиł sobie przyjaźń ze Świętami.
Koło was, ludzie, są nieraz istoty,
Których nie znacie imion, ni kolei,
A które strzegą skarbcza waszej cnoty,
Na pierś wam kładą rynsztunek nadziei,
I myśli waszych zbierają klejnoty.
Ja twoje myśli widzę jak na dłoni.
Mała Jadwinia Bogu się żaliła,
Czemu nie zsyla aniołków, by oni
Rządzili ludźmi?

Z uśmiechem.

A może i zsyla?

JADWIGA.

Czyś ty aniołek?

SERAFIN.

I Jadwinia mała
Nad pogańskimi dziećmi zapłakała.
To bardzo dobrze. Może twoje łezki,
Za chrzest policzy im Ojciec niebieski?
Cóż jeszcze, gdybyś dostrzegła od razu,
I drugą stronę krwawego obrazu!
Bo co zły krzyżak z Litwinami czyni,
Z górą chrześcijanom oddają Litwini.
Ile poganie ci mają sąsiadów,
Tyle co roku drapieżnych napadów.

A już nad wszystkie Polska nieszczęśliwa,
Ziemia twej babki, we krwi od nich pływa.
Gdybyś w dłoń wzięła tę ziemię rozmięklą,
Gdybyś widziała te wioski w pożarze,
Chyba serduszko z żaluby ci pękło.
Ja ci choć jedną taką wieś pokażę.

Serafin wyciąga rękę w stronę gaju, który nagle zmienia się w ciemny, sosnowy las. Pod lasem pokazuje się wieś polska w płomieniach. — W głębi dopalający się kościółek drewniany. — Litwini gonią uciekającą ludność. Jedni porywają dziewczęta i dzieci. Inni pędzą związane niewiasty i pokrwawionych mężów. Inni wynoszą z kościółka ornaty i kielichy. Wszędzie pełno trupów — rabunek — mord — popłoch. Dalekie dzwony i krzyki.

ANIOŁ STRÓŻ JADWIGI

do Serafina.

Na siły dziecka czy to nie za wiele?
Patrz, już jej oczy nieruchomie stoją.
Dość tych obrazów. Aniele,
Litości! Złamiesz mi lilijkę moją.

SERAFIN.

Litości? Ona widzi tylko duszą,
To, ona co inni żywcem patrzeć muszą.
Nie, — ja dla jednej będę niewzruszony,
Bo chcę ratować miljony.

W tej chwili z głębi lasu wybiega wódz litewski konno, w takiej postaci, w jakiej przedstawioną bywa „Pogoń“. — Pędzi z tetentem przez wieś, ogląda się na Jadwigę i znika.

Jadwiga wydaje krzyk przestachu, odwraca głowę i spostrzega swego Anioła Stróża.

JADWIGA.

To ty! Ach weź mię, gdzieś . . . choćby na cmentarz,
Choćby do lochów zamkowych. Oboje

Stąd uciekajmy, ach! bo ja się boję . . .
Weź mię jak dawniej . . .

ANIOŁ STRÓŻ.

Więc ty mię pamiętasz?

JADWIGA.

I jak! Co myśmy robili? Nie mogę
Sobie przypomnieć. . . A! Ty w jakąś drogę
Mnie prowadziłeś. Dróżka była złota,
Potem ciemniejsza . . . czarna

SERAFIN.

Ta dziecina

Jest święta, kiedy sobie przypomina
Dziś jeszcze rajska wigilję żywota.

*Daje znak ręką, wnet las z płonąca wioską niknie, na jego miejsce
pokazuje się znówu gaj, a za nim wesola głęb ogrodu.*

SERAFIN

do Jadwigi.

A cóż, okropność? I czy to jedynie
W tej wiosce myślisz? Sto wiosek się pali.
I czyto tylko w tej jednej godzinie?
To się już dzieje ze sto lat, — i dalej
Znów ze sto lat potem, a może i zawsze,
Jeżeli niebo nie będzie łaskawsze.

JADWIGA.

Aż strach!

SERAFIN.

Nieprawdaż? Dałabyś niemało,
By się nad nimi niebo zmiłowało.
No, i cóżbyś dała na przykład.

JADWIGA.

Ach Boże, —

Kiedy ja mała . . . nic nie mam. Cóż może
Komu się przydać?

Po namyśle.

Pieska? Dam.

Z westchnieniem.

I lalki.

SERAFIN.

Tak, ale gdyby ci też powiedziano,
Że ci poganie wyrzekną się walki,
I chrześcijanami wszyściutcy zostaną,
Jeśli ten jeździec, co przebiegł w pożarze,
Na koń cię weźmie i z sobą uniesie?

JADWIGA.

Co? I ja sama z nim zostanę w lesie?
O, nie chcę! Nie chcę!

ŚW. FRANCISZEK

przystępuje do niej.

Jakto? Bozia każe,

A ty, stworzonko malusie,

Mówisz Mu: „nie chcę“. Otóż pomyśl sobie

O tym najśłodszym Jezusie,

Który krwią płakał w Ogrojcu,

A jednak „nie chcę“ nie powiedział Ojcu.

JADWIGA.

Ach! Co ja teraz nieszczęśliwa zrobię?

ŚW. FRANCISZEK

z uśmiechem pokazując jej różę.

A cóż ci się chciało?

Dałbym ci ja białą,

Dałbym ci ja nawet i szkarlatną różę,

Cóż, kiedy się boję,
O rączęta twoje,
Bo u rajszych kwiatów ciernie bardzo duże.
Podaje Jadwidze jedną różę.
Bierz — tylko powoli!
Jadwiga chwytą różę i zaraz ją puszcza z krzykiem.

JADWIGA.

Ach! jak też to boli.

ŚWIĘTY FRANCISZEK.

A widzisz, tyś na jedno zadraśnięcie czuła —
A Jezunio w żłobie
Cicho leżał sobie,
Chociaż ostra słoma w nożyny go kłuła.
Pomyśl o pieszczotko,
Jak to będzie słodko,
Tyle dusz pogańskich wprowadzić do nieba,
Kiedy Bozia woła
Przez swego anioła,
Tylko jedno „Amen“ wypowiedzieć trzeba.

JADWIGA

ze łkaniem.

A no . . . więc Amen.

ANIOŁ STRÓŻ

schylając się nad nią.

Tak, to grzecznie.

SERAFIN.

Chwała

Bogu i świętym! Przystała.

ŚWIĘTY FRANCISZEK.

Ukój, się dziecińko luba,
Wilki cię nie zjedzą w lesie,

Nikt cię jeszcze nie uniesie,
Nie — to była tylko próba!

Wyciąga nad nią ręce.

Teraz we mgłę się zanurz, i niepostrzeżenie
Zapomnij. Odpoczywaj! Niechaj w duszy młodej,
Zostanie tylko mętne jak ze snu wspomnienie.

Wróć do dziecięcej swobody!

Jadwiga zapada w ostupienie.

ŚWIĘTY FRANCISZEK.

dalej.

Nam już czas, Serafinku, wracać do niebiosów.

Do ducha Platona.

Ale ty, duchu czysty, zostań jeszcze przy niej,
Postój z Aniołem Stróżem na warcie jej losów.
— Anioł niech ciągle chodzi w koło tej świątyni,
I wgląda w każdą bramę, bo przy każdej bramie,
Będą czyhały troski, — gorsze od nich ciosy, —
I najgorsze, złe myśli, pokoju wydzierce,
Te skrzydłem niech odgania, a natrętne łamie.
— Ty strzeż tylko jej serca, bacz, aby to serce

Złym ogniem nie rozplonęło,

Wielkie powierzam ci dzieło!

Bo słuchaj: wiosna szybko nadbiega po wiosnie.

Wkrótce w tem sercu urośnie

Róża ziemskiej miłości, której bujne kwiecie,

Całą pierś jej wypełni, całą myśl przygniecie,

Całą jej istność oplecie.

Mało takich miłości widziano w tym świecie.

Pozwól jej się rozpedzić na groźną pochyłość,

Uczucia, lecz ją trzymaj za rękę **jak** dziecię.

Pozwól, ile chce, kochać, byle ta jej miłość,

Muskając ziemię skrzydły jaskółczemi,

Nie tknęła ziemi.

DUCH PLATONA.

Czemu nie zniszczyć kwiatu zdradzieckiego w ziarnie?
Czemu czekać, aż pożar cały dom ogarnie?
Każ tylko, a ja w pierwszej stłumię go iskierce.

ŚWIĘTY FRANCISZEK.

Nie czyn tego i pojmij Opatrzne zamiary.
Skarb rozkochania musi nappełnić jej serce,
Aby miała co złożyć na ołtarz ofiary,
— Kiedyś my tu wrócimy, by walczyć otwarcie.
Ja cię w dniu owym złuzuję na warcie,
Z piersi jej wyrwę kwiaty wędnące i kruche ...

ANIOŁ STRÓŻ

smutnie.

Jeśli nam się nie wydrze ...

ŚWIĘTY FRANCISZEK.

Już teraz otuchę

Mam dobrą. Wszystko zniesie. Kto raz trzymał w dłoni
Różę Boskiej miłości i zażył jej woni,
Ten już nigdy, przenigdy nie zapomni o niej.
Choćby się nawet zbłąkał za szczęściem zwodniczem,
Będzie marzył o innym, dziwnem tajemniczem,
I w szale namiętności, zapomnieniu samem,
Będzie tęsknił bezwiednie za owym balsamem,
Co nie da się zrównać z niczem.

Święty Franciszek i Serafin znikają.

Duch Platona zbliża się z wahaniem do Anioła Stróża.

DUCH PLATONA.

Słyszysz? On chce, bym został. Lecz ty nie chcesz może?
Nie będę ci natrętny, gdy ręki przyłożę
Do dzieła, gdzie sam dotąd rządziłeś aniele?

ANIOŁ STRÓŻ.

O nie! Na jedne barki ciężkie to zadanie.
Chętnie słodkim ciężarem z tobą się podzielę.

Dla duszy, co ma przebyć tak śliskie otchłanie,
Strażników nigdy za wiele.

*Stychać głosy ludzkie. Wnet, Anioł Stróż i Duch Platona nikną.
Przechadzając się zwolna wchodzą, Xiężna Wiryda i Ojciec Fur-
seusz.*

XIEŻNA WIRYDA.

Więc tak. A co to stało się Jadwidze?
Wstań dziecko. Czego siedzisz jak nieżywa?

Jadwiga siedzi nieruchomie.

OJCIEC FURSEUSZ.

To bardzo dziwne. Często z nią tak bywa.

XIEŻNA WIRYDA.

Nie, po raz pierwszy w tym stanie ją widzę.

Bierze Jadwigę za rękę i wstrząsa.

Wstańże.

JADWIGA

przestraszona.

Przepraszam . . . Czy poszli? Te róże

Wzięli?

XIEŻNA WIRYDA.

Kto taki?

JADWIGA.

A no, te osoby,

Co tutaj ze mną gadały.

XIEŻNA WIRYDA.

Któż to-by

Mógł być? Rycerze?

JADWIGA.

Nie, to byli święci.

Xiężna Wiryda rusza ramionami.

OJCIEC FURSEUSZ.

I cóż mówili?

JADWIGA.

O! ja nie powtórzę.

OJCIEC FURSEUSZ.

Czy ci ich słowa już wyszły z pamięci,

Czy też ci oni mówić zakazali?

JADWIGA

po namyśle.

Przynieśli kwiaty . . . i już nie wiem dalej . . .

OJCIEC FURSEUSZ.

A jak mówili z tobą, po niemiecku?

JADWIGA.

Jakoś tak dziwnie . . . ale zrozumiałam.

XIĘŻNA WIRYDA.

E, co tu gadać? przyśniło się dziecku.

OJCIEC FURSEUSZ.

Ja owszem, xiężno, ciekawością pałam,

Znam się z tem troszkę. Może to ułuda,

Lecz jeszcze prędzej jest tu ręka Boska.

Ten stan podobny bardzo do extazy.

XIĘŻNA WIRYDA.

Extaza, u dziecka?

OJCIEC FURSEUSZ.

Och, ileż to razy

Trafia się dzieciom. Święta Róża włoska,

We czterech latkach już robiła cuda.

Xiężna Wiryda usuwa się z uszanowaniem.

XIEŻNA WIRYDA.

A! To i dla nas wielka będzie chwała,
Jeżeli Świętą sobie wychowamy.

Po chwili chmurnie.

Jednak nie trzeba jej zostawiać samej . . .
Jeszczeby jej się habitu zachciało.

Ogląda się do koła.

Gdzie tu jest Wilhelm?

OJCIEC FURSEUSZ

pokazując głąb ogrodu.

Tam, na środku łąki.

XIEŻNA WIRYDA

podnosi głos.

Wilhelmie! Chodź-że! Ty tam zbijasz bąki,
A tu tymczasem twoja mała żona
Tęskni po tobie.

WILHELM

nadbiega.

Doprawdy? Zmartwiona?

XIEŻNA WIRYDA.

Bawcie się ładnie.

Xieźna Wiryda i Ojciec Furseusz odchodzą.

WILHELM.

Gotowa korona?

Jakto, nie jeszcze? Coś ty tu robiła?
Czego ty, płaczesz? Moja, żonko miła,
Mów! Trzeba wszystko mówić mężulkowi.

Jadwiga milczy.

No, jak panienka prawdy mi nie powie,
To . . . już nie wiem, co zrobię . . .

Po chwili stanowczo.

Na dobre odejdę sobie!

*Jadwiga milczy.**

Wilhelm odchodzi i chowa się za drzewo.

Jadwiga powoli ociera oczy — i zabiera się znowu do plecenia.

JADWIGA.

Nieładne kwiatki . . . O! Te dwa złamane,
Ten nic nie pachnie. Ten ze śmieszną kitką.
Po tamtych wszystkie wyglądają brzydko.
Czy ja też tamtych skąd jeszcze dostanę?

Wilhelm wysuwa się niespodzianie z poza drzewa, zachodzi Jadwigę z tyłu i chwytą ją za ramiona. Jadwiga wybucha srebrnym śmiechem główkę w tył przewraca i patrzy na niego.

JADWIGA.

Teraz to powiem. Ach mnie się zdawało,
Że już ciebie więcej nie zobaczę.

Dobrze, żeś wrócił. Patrz, ja już nie płaczę.

Jadwiga podnosi rączki i stojącemu za nią Wilhelmmowi kładzie niedokończoną koronę z kwiatów na głowę.

W głębi poza nimi ukazuje się duch Platona i Anioł Stróż.

DUCH PLATONA.

Patrz: Amor i Psyche dziećmi.

Tem piękniejsi, że jeszcze najlżejszy cień ziemi

Białego ich czoła nie émi.

ANIOŁ STRÓŻ

smutno.

Jeszcze nie! Lecz niedługo zawiśnie nad nfmí.

DUCH PLATONA.

Tem też baczniej nam trzeba stać na straży cichej,

By lampa nie wypadła z rąk niebieskiej Psychy.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Pamiętny sejm. (1606) *Sobieski Wacław*. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa. 1913.

Sejm otwierający rokosz Zebrzydowskiego, pamiętny grawaminami i odpowiedzią na nie ze strony króla, dwukrotnem poselstwem do Steżyczan króla i senatu, udaremnieniem sejmu, w ostatnich czasach kilkakrotnie był przypominany historykom w niezbyt obiektywnych przedstawieniach i wynikłej stąd polemice, toczącej się głównie obok kwestyi czy sejm doszedł lub też był zerwany i czy Skargę uważać należy za sprawcę zerwania. W jednym z takich artykułów polemicznych (Studia s. 225) zapowiedział prof. Sobieski, że na podstawie paru dyaryuszów tego sejmu, będzie mógł szczegółowo przedstawić genezę tragedyi sejmowej. I dobrze zrobił, gdyż obraz sejmu, jakim nas obdarzył w „Nienawiści wyznaniowej“ jest przygodnie nakreślonym jednostronnym i nie pozwala nawet mieć ogólnego pojęcia o tem, o co właściwie na sejmie chodziło.

Właściwie zna p. S. w dziele o tym sejmie pamiętnym jeden tylko dyaryusz gdański zupełnie nieznany, fragmenty bowiem dyaryusza polskiego, z których także korzysta, były już dawniej znane z wyjątków; dopełnia swe wiadomości listami rezydenta, francuskiego Jana de la Blaque i korespondencyą posłów gdańskich. Do Fundamentu (zbiór prof. Czubka) odnosi się autor sceptycznie, jako do źródła z obozu regalistów.

Autorowi zależy na jak najbardziej obiektywnym przedstawieniu sejmu, zwołanego dla reformy głosowania i obrony (wojska), usuwa przeto poboczne sprawy, jak poselstwo Samozwańca, a przede wszystkim sprawę brandenburską z pod badania i ściśle tylko opowiada sprawy sejmowe. Sejm uważa autor za objaw walki pomiędzy monarchizmem a parlamentaryzmem, widzi w nim analogie do walk na zachodzie i tkwiące w nim dobre ziarno. Wzmocnienia rządu, a tylko gani Zygmunta za sposób przeprowadzenia planu przy pomocy Austrii (s. 9), które to ostatnie twierdzenie wymaga jeszcze dowodu. Opozycję przeciwko planom Zygmunta wyprawdza autor z niechęci ku Rakusom i z czynników osobistych, którym też nie można odmówić wartości, zamiast szukać przyczyn w przeszłości, w bezkrólewicach, we wzroście niepomierным parlamentaryzmu i w dążeniach wolnościowych szlachty kosztem innych stanów. W gruncie rzeczy powtarza się tu dawny sąd, że małżeństwo króla z Konstancją Rakuszą i kamienica krakowska odebrana Zebrzydowskiemu wywołały rękosz, którego wstępem jest sejm pamiętny. Wprawdzie prywatnie te sprawy przedstawia autor w związku z publicznymi, każe się nawet obawiać szlachcie wtargnięcia Austriaków (!), ale i tutaj wskazuje tylko objawy ruchu, a nie sięga do przyczyn, tkwiących głęboko w ówczesnym ustroju, stworzonym w czasach bezkrólewików.

Twierdzenie powtórzone za obozem przeciwników króla, że tenże chcąc przeprowadzić reformę głosowania na sejmie „większością“ i zaprowadzić armię stałą, uciekł się do nielegalnych środków, do sprowadzenia wojsk do Warszawy, jest jednostronnem. Zignorował autor, że wobec zwołanych pod boki sejmu do Stężycy tłumów szlachty, szło też i o bezpieczeństwo sejmu i osoby królewskiej. Na sejmikach wszakże sprzeciwiała się szlachta zamiarom króla, żądała, by obronę sam wziął na siebie, a jeśli chce skarb po województwach założyć, niech nań obróci annaty. Zebrzydowski podżega szlachtę, rzucając insynuacje o rzekomych kon-szachtach króla z Austrią i krytykuje głosowanie większością, lubo i Zamojski swego czasu był za tym sposobem głosowania. Słusznie ocenia autor naczelników opozycji jako różnowierców zagorzałych, pozujących na obrońców ojczyzny, nie dodaje jednak, że i czyn ich nie są bez zarzutów. Naznaczenie bowiem zjazdu w Stężycy „aby obrona i konkluzja sejmu nad wolę szlachty nie stanęła“, było bezprawiem, wprawdzie spotykanem już poprzednio w historii

narodu i Europy ¹, ale tem gorszem, że pociągnęło za sobą i udaremnienie reform i zły przykład na przyszłość. Tego autor nie widzi, że rezultat sejmu był już z góry przez opozycję przesądzony, że bezprawny zjazd stężycki miał na celu udaremnienie zamiarów króla, co bardziej, autor w charakterystyce wodzów opozycji starannie pomija to, co dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że oni przybyli na sejm z góry uplanowanym zamiarem zerwania sejmu. Dowody — przypominamy — zestawiał sam autor w innej pracy (Studia 69 i inn.), że mianowicie przywódcy rokoszu nosili się z myślą detronizowania króla, że szukali kandydata na koronę, że tym celem pozostawali w porozumieniu z Samozwańcem, z Wincentym Gonzagą, z Gabrielem Batorym. Gdy właśnie na ów „sejm pamiętny“ przybyli posłowie Samozwańca z projektem przymierza przeciwko Turcyi, senatorowie przestrzegali przed wdawaniem się z tymże, a Samozwaniec istotnie sposobił się do wojny, by sobie zdobyć polską koronę. Buczyński werbował dlań szlachtę w Polsce, znosił się z Dymitrem co do objęcia tronu polskiego, a jakiś z akademii krakowskiej pisze do Dymitra, wskazując, że teraz najodpowiedniejsza pora do objęcia tronu; Zebrzydowski miał umowy i zobowiązania na piśmie z przyjacielem swym Samozwańcem, a tak samo i inni rokoszanie pozostają w przyjaznych stosunkach z tym, który w czasie poczynającego się ruchu rokoszowego, gotował się z wojskiem wtargnąć do Polski. Wobec tych naukowych zdobyczy autora, nie można dziś wątpić, że losy sejmu pamiętnego były zadecydowane przed jego zwołaniem. A jednakże autor o tych wysoce charakterystycznych stosunkach rokoszan z Samozwańcem nic nie wspomina, lubo wie, że Zebrzydowski nawet na Wawel zamach uplanował, grożąc, że król się wyniesie z królestwa, zapewne myślał, że osadzi na opróżnionym tronie Samozwańca. Wszystko to fakta bezpośrednio przed sejmem odbyte, lub towarzyszące sejmowi i z nim się wiążące, a skoro o nich niema wzmianki w „Sejmie pamiętnym“, musimy omieszkanie to podnieść jako zarzut co do obiektywności autora. Wyływa z tego omieszkania i drugi zarzut traktowania przedmiotu w sposób oderwany, bez związku z poprzednimi i następnymi

¹ H. Schmitt przynajmniej podnosił, że zjazdy pokątne były prawem zabronione — p. Sobieski nad tą kwestyą przechodzi do porządku — o ile że i zabronione zjazdy dadzą się usprawiedliwić przeszłością.

wypadkami. Sejm bowiem 1606 r. stanowi ogniwo w szeregu wypadków, objętych nazwą rokoszu i musi być traktowany w związku z tymże, gdy uchylimy wiązania spajające ogniwa w całość, nie będziemy mieli należytego pojęcia o całości, o ideach przewodnich, dążeniach i skutkach owego sejmu pamiętnego.

Walka opozycji z posłami przychylnymi królowi, konstatuje autor, zaczęła się z samym początkiem sejmu — nie pomogły i listy Żółkiewskiego z kresów o niebezpieczeństwach tatarskich i tureckich, projektu reform nie wniesiono, gdyż opozycja wniosła zażalenia na króla o niedotrzymanie paktów. Na czele uraz stała „konfederacja i jej proces“ z groźbą wypowiedzenia posłuszeństwa królowi, gdyby żądaniom szlachty nie stało się zadość — liczne też zarzuty skierowano przeciwko duchowieństwu. Obiektywnie opisuje autor próby udaremnienia zjazdu Steżyczan, skąd szło zarzewie opozycji na sejmie — ostatecznie zjazd topniał, Ostrogski opuścił Zebrzydowskiego, ale też i czas i sposobność wniesienia projektu reformy minęła, sejm się kończył, już tylko tydzień oddzielał od końca sejmu. Autor przypuszcza, że wtedyto różnowiercy postanowili wytargować ustępstwa i dlatego wysunęli daleko idący projekt konstytucyi, grożący śmiercią gwałtownikom i sprawcom wyznaniowych tumultów, a zarazem domagali się ci tolerancji zniesienia unii brzeskiej. Dnia 10 kwietnia katolicy pod przewodnictwem nuncjusza Rangoniego spisali protestacyę, odczytaną posłom na górze u króla, żądającego od nich zgody na powiększenie armii i na wyjazd do Szwecyi. Na oświadczenie kardynała Maciejowskiego, że konfederacja nigdy nie była prawem, odpowiedział Stadnicki Djabeł okrzykiem: że jest i będzie prawem. Tu jednak autor przedstawia postępowanie innowierców, jakoby ci, widząc, że nie przejdą z swym wnioskiem, zadowolnić się chcieli skromnym, już dawniej na sejmach ponawianym wnioskiem o tumultach. 16 kwietnia — mówi autor — nastąpiło porozumienie senatorów świeckich z duchownymi, że wznowi się konstytucyę o tumultach i że tym sposobem chciano uniknąć wzmianki o konfederacyi 1573 roku. Nazajutrz na przedostatniem posiedzeniu sejmowem posłowie podnieśli zarzut, że król siłami wojskowemi wywiera nacisk na sejm, poczem biskupi radzili odroczyć sprawę konfederacyi, podczas gdy innowiercy obstawali, by przynajmniej proces konfederacyi im przyznano. Wniosek w złagodzonej formie brzmiał w taki sposób, że i biskupi nie dopatrywali

się w nim niebezpieczeństwa¹. De la Blanque donosił do Wenecyi, że konfederacya była bliską zatwierdzenia. Ale tu nastąpił zwrot; król w nocy wysłał sekretnie do Jezuitów zapytanie, czy mogłby na konstytucyę w żądanej formie zezwolić. Skarga wyjaśnił królowi, że nie należy jej zatwierdzać, gdyż konstytucya nie tylko nakazuje heretyków w spokoju zachować, ale także ich bronić. Był to pogląd, który wyrazili już biskupi, a których teraz rankiem obszedł Skarga i przekonał ich, że powinni zaprotestować przeciwko konstytucyi, którą autor uważa tak dobrze jak przyjętą. Postępek ten Skargi uważa autor za niezgodny z duchem patriotycznym jego kazań, w których występował przeciwko zrywaniu sejmu przez mniejszość. Nazajutrz imieniem duchowieństwa zaprotestował kardynał Maciejowski. Ossoliński wzywał, aby innowiercy przestali na konstytucyi rozszerzonej o tumulty, ci zaś żądali dostatecznego upewnienia co do religii. Sprzeczano się — a różnowiercy widząc, że chcą ich z kwitkiem puścić, zaprotestowali przez Radziwiłła i temsamem sejm udaremnił. Późem jeszcze Męciński, poseł krakowski, idąc za przykładem Radziwiłła zaprotestował.

Zwycięstwo w zasadzie odniósł dwór, gdyż król „zwoławszy kupę służebnych, gwardyi przeprowadził uchwałę poborową“. Wtedy Stężyccanie zaprotestowali: że użyciem przemocy zarządził król uchwałę poborową i że wolność elekcyi naruszono w porozumieniu z cudzoziemcami i złożyli zjazd do Lublina na 3 czerwca.

Przytoczyliśmy w skróceniu cały wywód autora o końcu sejmu, ażeby czytelnik mógł osądzić, czy twierdzenia jego o Skardze, rzekomo powodującym rozerwanie sejmu, niemniej jak drugie, że sejm faktycznie z powodu ustawy o tumultach został zerwany są

¹ Brzmienia tego wniosku nie znamy; ostatecznie jednak był to zmodyfikowany wniosek ów daleko idący, znany w dosłownem brzmieniu i publikowany przez autora w dodatkach do „Nienawiści wyznaniowej“, a który to sam autor nazywa skrajnym. Był ten zmodyfikowany wniosek także „procesem konfederacyi“ podciągał bowiem duchownych pod sądy świeckie i nie dozwalał im nawet apelacji do Rzymu. Ale projekt ten złagodzony opozycya tak starannie zrehabilitowała, że, jak mówi Wielewicki, nawet biskupi nie spostrzegli się zrazu, dokąd ta ustawa zmierza (autor zmienia sens Wielewickiego relacji mówiąc, że nawet duchowni nie już przeciwko niej nie mieli). Podstęp został wykryty przez Skargę i objawiony komu należało. Że proces konfederacyi jest równoznaczny w owych czasach z konfederacją i że jest ustawą dalej idącą aniżeli konfederacya, bo stawiającą duchowieństwo pod sądy świeckie, obacz Sobieski „Nienawiść wyznaniowa“ str. 47.

dowiedzione. Co do źródeł z obozu protestanckiego i opozycyjnego, z których czerpie i tutaj głównie autor, nasuwają się uwagi ogólnej natury, że należało się odnosić do nich bardziej krytycznie, a przynajmniej z takim niedowierzaniem, z jakim odnosił się autor do Fundamentu, zwłaszcza, gdy fakta takie, jak sfabrykowanie fałszywej historycznej podstawy do konfederacji 1573 r., co bardziej skomponowanie nieistniejącego rokoszu gliniańskiego i horrendalne kłamstwo, gdy opozycyoniści włożyli w usta Zamojskiego rzekomo przez niego na sejmie 1605 r. wyrzeczoną groźbę, że nie nowina to Polakom, że królów wyganiałi z korony, nakazywały ostrożność do źródeł tego obozu, uważającego każdy środek walki za dobry i dozwolony, byle tylko wiódł do celu. Celem obarczenia winą Skargi twierdzi autor, że różnowiercom nie szło już o konfederację, lecz o ustawę o tumultach. Ale jak już wyżej zaznaczono, sam autor przedstawia, że różnowiercy nie pozostali przy projekcie ustawy o tumultach, skoro wkłada w usta kardynała Maciejowskiego, odpowiadającego na żądania różnowierców słowa (s. 217), że wszyscy duchowni w sprawie konfederacji dadzą się raczej zabić aniżeli złamać. Jeszcze wymowniej wskazuje współczesny Ossoliński, o co istotnie chodziło innowiercom. Nakłaniał on innowierców do poprzesztania na rozszerzonej o tumultach konstytucji, grożąc, że inaczej oni, a nie biskupi ściągną na się odpowiedzialność za zerwanie sejmu (s. 218). Innowiercy dali mu wyjaśnienie, że się na uchwałę podatków i na wojsko łatwo chcą zgodzić, jeśli im się da dostateczne zapewnienie co do religii. Szanowny profesor jest oczywiście przekonany, że w tych ostatnich słowach rozumiało ustawę o tumultach, nie zwracając nawet uwagi, że zapewnienie co do religii jest równoznaczne z procesem konfederacji, czego dowodem przedstawienie w Fundamencie, według którego odpowiedź ewangelików brzmiała: Nie tylko nam tego trzeba do zawarcia sejmu, ale i tego, aby się temu wszystkiemu, co się na piśmie w urazach praw i wolności naszych (proces konfederacji § 12 urazów) i powinności króla IMci dało, we wszystkim dosyć stało. Zresztą i w konstytucji o tumultach, według fundamentu, złożyli innowiercy dwa punkta: aby duchowni do jurysdykcji starościńskiej byli pociągani niemniej, jak i to, aby odwołanie od takiego wyroku starościńskiego nie szło do Rzymu, ale „by się tu zaraz to kończyło“, czyli inaczej zdążyli do najdalej idącego wniosku innowierczego. Dodatki owe z gruntu przeciwne były prawom i prerogatywom duchowieństwa i Kościoła

i Skarga uświadamiając o znaczeniu tych obostrzeń tak króla jak i biskupów, spełniał tylko obowiązek katolika, wiernego syna Kościoła. Jego zasadą było nie pozwolić procesowi konfederacyi, „bo gdy wam pozwolim, a Boga najwyższego zagniewamy, rychlej zginiecie, a my z wami. A gdy nie pozwolim dla ochrony Boskiej i czei Bożej, nie zginie nam ojczyzna nasza“ i jak to trafnie kolega p. Sobieskiego prof. T. Grabowski zaznaczył, stanowisko takie Skargi było godne nie tylko szermierza wiary, ale i miłośnika państwa.

Odstąpił, jak widzimy, autor, od poglądów w Szkicach przedstawionych, że mianowicie regaliści uważali sejm za ważny, Zebrzydowski zaś za zerwany. W sądzie o zerwaniu, należało rozróżnić, że zależy on od stanowiska, z jakiego się kto na koniec sejmu i jego rezultat zapatrywać będzie, czy ze strony formalnej lub też realnego rezultatu. Co do pierwszego stanowiska, sejm podobnie jak poprzedni 1603 r. był zawarty i lubo król nie uwzględnił życzeń, izby opozycya, która nad projektami króla się nie zastanawiała, podobnie jak on jej projekta usunął, nie zdołała tego sejmu rozerwać, jak n. p. rozerwała sejm 1605 r. Inaczej było pod względem faktycznego rezultatu. Sejm 1606 r. nie przyniósł nawet spodziewanego rezultatu podatków, gdyż temu rokoszanie przeszkodzili, przeto mimo, że uniwersał poborowy był ogłoszony i poczęto zbierać podatki¹, sejm uważać należy za udaremniony, jakkolwiek nawet przywódcy opozycyi, jak Djabeł Stadnicki, uważali sejm za doszły, na którym on pobór zezwolił². Ale uchwała poborowa Stężyczan była, sądzimy,

¹ W przemyskiem rozpoczął poborca Andrzej Humiecki czynność swą 14 lipca składając przepisaną przysięgę. *Castr. Prem. Rd.* 322 p. 1, 147.

² Autor odsyła po dowody co do zerwanego sejmu do swych studyów. Tam na str. 204 w uwadze do słów tekstu, że szlachta Rusi Czerwonej już na sejmie przeciwko uchwale podatków protestowała, dodaje w cytacie: „Lauda wiszeńskie“ I N. 72, że ks. Pawelski sam niebacznie zacytował ten ustęp w *Roli* ale po niewczasie przekonawszy się, że ten cytat podkopuje jego wywody, przedrukowując swój artykuł w *Przeglądzie* ten cytat opuścił. Tak się pisze historię woła z tryumfem p. Sobieski. (Najpierw artykuł ten był w *Przeglądzie* a potem uzupełniony cytatami w *Rol. Przyp. Redakcyi.*) Tymczasem mylnym jest wniosek p. Sobieskiego, jako część szlachty ruskiej już na sejmie przeciwko uchwale podatków protestowała, jako opiewa protestacya, Stanisława Stadnickiego. Wszakże na cytowanym miejscu czytamy: „że posłowie naszy (wojew. ruskiego), co i protestacya ich świadczy, nie brali sobie strony poboru do nas, ale pozwolili na obronę rzptej do rąk szafarzów naszych, jako opiewa protestacya IMci p. Stanisława Stadnickiego“. Tej protestacyi Stadnickiego nie znamy, lecz z cytatu powyższego wypływa, że zezwolił on na sejmie na pobory i nie może

powodem, dla którego regaliści odstąpili od ściągania poborów, uchwalonych na sejmie, w obawie, by one z rąk poborców nie przeszły wprost do rokoszan „na potrzeby rzptej“.

W rezultacie ostatni akt tragedji sejmowej, jak ją nazywa autor, jest zaciemniony i opacznie przedstawiony, wobec czego odpada także i zarzut niekonsekwencji w postępowaniu króla, odrzucającego wniosek tolerancyi wyznaniowej, rzekomo poparty przez całą izbę. Wniosek jakoby sejm rozbił się o sprawy wyznaniowe, wymagał dodatkowego objaśnienia, że opozycyi szło o rozbić sejm i każda inna sprawa, a więc i niewyznaniowa — byłaby dała opozycyonistom podstawę do udaremnienia sejm. Gdyby zaś istotnie opozycya czuła się pokrzywdzoną pod względem tolerancyi, jakto przypuszczać się zdaje autor, byłiby Stężyczanie w uniwersale swym nie zaniedbali podnieść ucisku wyznaniowego i byłiby podkreślili tutaj niechęć regalistów do tolerancyi religijnej. Oni zaś podkreślają inne sprawy, a przedewszystkiem wyciśnięcie gwałtem poboru. Zrywaczom sejm. szło bowiem o niedopuszczenie do konkluzji do poboru. Dlatego Kazanowski w Stężycy doradzał rozpisać pobory w województwach, wyznaczyć poborców i zwołać zjazd jak najrychlej, aby tamta strona (regaliści) pobory z województw świeżo zebrane wychwyciwszy, tem się nie wzmocniła. Widoczna stąd, że i na wypadek dojścia sejm. do skutku, byłiby udaremnili opozycyonisci pobory — innemi słowy, że przybyli na sejm i rozłożyli się pod boki sejm, aby sejm nie tak zerwać, jak udaremnąć i rokosz począć, króla detronizować przy pomocy chociażby Samozwańca. Król osiągnął pobór, mówi sam autor, co drażniło innowierców, a że protesta nie wystarczyły do zrzucenia tej uchwały, trzeba było agitować, mówić o detronizacyi, tembardziej, o ile że Skarga „z kazalnicy odważył się sypać gromy na malkontentów“ (239). Zdawałoby się, że główny moment znaczenia sejm. leży w tej kwestyi wyznaniowej, dla której sejm był udaremniony, a drażnieni posuwają się do groźby detronizacyi. Przeczy takiemu pojmowaniu ten wzgląd, że wszakże na czele pracy wyjaśnia autor, że sejm miał na celu reformę parlamentaryzmu i wojskowości, przez zaprowadzenie stałego wojska. Wobec tak wysokich celów, udaremnianie ich

być mowy nawet o tem, aby część szlachty ruskiej przeciwko poborom na sejm protestowała. Protestacya Stądnickiego dotyczy innych grawanimów ale nie poboru.

przez opozycję wszelkimi środkami, a więc zabagnieniem sejmu grawaminami, urządzeniem sejmu stężyckiego pod bokiem sejmu, wreszcie wysunięciem sprawy wyznaniowej w formie tak skrajnej, jakiej podówczas nigdzie w Europie nie było, gdyż wszędy była tolerancya dla jednego wyznania, duchowieństwo pozostawało pod swoim sądownictwem, słowem udaremnianie takie zasługiwało chyba na charakterystykę, tembardziej, gdy zważymy, że opozycja była w zмовie z zagranicą przeciwko własnemu królowi, skoro Skardze autor nie przepuszcza nawet wówczas, gdy tenże obowiązana swą powinność chlubnie spełnił. Autor wprawdzie przyznaje, że rokoszanie podkopali parlamentaryzm, ale dodaje zaraz, bynajmniej nie ze złej woli. Istota bowiem parlamentaryzmu objaśnia szan. profesor, polega na uszanowaniu praw mniejszości. Taką dobrą wolę, zapewnia autor, miał przynajmniej Zebrzydowski, który zwołał zjazd Stężycki w obronie *liberum veto*. Regaliści zwalczając zasadę równości szli zgodnie z duchem czasów dzisiejszych, rokoszanie wywieszając hasło równości co do kwestyi tolerancyi, wyżej stanęli niż regaliści i w tem bliżsi są czasów nowszych. Ogólnikami tymi usuwa się autor od zadania charakterystyki sejmu, od przedstawienia jego znaczenia dziejowego, jego skutków¹.

Antoni Prochaska.

Historya powszechna. Tom II. *Historya średniowieczna.* Dr. *Kazimierz Krotoski.* W Poznaniu, nakładem i czcionkami drukarni św. Wojciecha, 1912, w małej 8-ce, str. 218, (rycyn 24 osobno i 4 mapy).

Jestto podręcznik dla młodzieży w wieku 12—16 lat.

Jakiego trzeba czasu, żeby w pewnym społeczeństwie, w pewnym typie kultury i związanego z nią szkolnictwa powstał naprawę dobry podręcznik historyi? Trzeba na to mniej więcej stu lat! Tak jest, całego wieku, całych trzech pokoleń ludzkich i to licząc na to, że w każdym z nich znajdzie się znaczna stosunkowo ilość autorów poprawiających i udoskonalających się nawzajem, a cała rzesza dobrych, sumiennych, pełnych powołania nauczycieli.

¹ Jeden z historyków, który przyrzekł nam przed rokiem pracę o sejmie 1606 r. prosi nas o zaznaczenie, że zamiaru swego bynajmniej nie porzucił i tylko zewnętrzne przyczyny powodują zwłokę. *Redakcyja.*

Jeżeli w Polsce sto lat wystarczy do tego celu — dokażemy nielada dzieła. Wszak nie mamy czysto narodowego szkolnictwa, a tradycja pisania podręczników rwie się nieustannie. Komitet wysadzony do tego celu przez prawdziwie wiekopomną Komisję edukacyjną stanął pod tym względem nadspodziewanie wysoko, ale prace jego utraciły nazbyt szybko moc żywotną i stały się materiałem historycznym, zamiast „szczeblem do sławy grodu“ dla następców. Przez cały wiek XIX wciąż luki i pauzy, wciąż po latach rozwojowych lata chude, w których niema ni komu ni dla kogo układać podręczników. Tymczasem świat nie spał i trzeba potem nagle doganiać, co zrobiono na Zachodzie, podczas gdy my pracować nie mogliśmy. Naprzemian ugorujemy lub też z całych sił odrabiamy, co się zaniedbało. O kiedyż nam będzie danem pracować normalnie?! A ze wszystkich dziedzin działalności społecznej szkolnictwo potrzebuje bodaj najbardziej — nieprzerwalności.

Dobrem jest wszystko, co lepszem jest od poprzedniego. Kto tego prawidła nie uzna, zostanie zakutym teoretykiem; może zajmującym, pomysłowym nawet, ale... zakutym. Uważając szkołę za klasyczną częstkę życia praktycznego, stwierdzam, że w szkolnictwie średnim galicyjskim za moich czasów dokonano — doganiając forsownie — olbrzymiego postępu co do podręczników do nauki historii. Od Pütza do Zakrzewskiego odległość z pewnością większa, niż od Szajnochy do Balzera!

Mniejsza już atoli odległość od Sawickiego do Semkowicza. Zbiegiem okoliczności mniej kwitnęła sztuka układania podręczników „na klasy niższe szkół średnich“, opierając się wciąż na zgubnej casadzie przemycania nauki pod pozorami zabawy. O mało co nie zofnął się nawet ten dział szkolnictwa u nas i nie zamienił na jakąś nowelistykę szkolarską na tle historyograficznem. Zasadę: „nauka powinna bawić“ zaczynało już rozumieć fałszywie z wielkim niebezpieczeństwem dla rzeczy. „Bawić“ znaczy w tej formule: *delectari*, ale przenigdy *ludere*!!

Dyskusya o jedno- czy dwustopniowości szkoły średniej jeszcze nieukończona, a tymczasem życie (*des Lebens ewig grünender Baum*) wypuściło nowe latorośle i powstały szkoły wśród średnich średnie, takie, które kończąc jest się wyżej od „matury“ seminaryum nauczycielskiego, a niżej od gimnazjalnej, stanowiąc jakby wyższe szkoły wydziałowe!

Gdyby nie przerażająca nieliczność takich, którzy uważają

szkołę za przynależność życia praktycznego, odnosiłby ten nowy typ szkoły tryumfy, boć jest nam właśnie jak najpotrzebniejszy. Ale jeszcze górą teoretycy „ściśli“ i nowy typ, ledwie się pojawił, już niemal uśmiercony jest. Wstanie on i narzuci się następnemu pokoleniu, które nareszcie przestanie może wysiadywać na „ławie szkolnej“ aż do... ożenienia się; zacznie wcześniej żyć sam oddzielnie, a więc przedłuży sobie życie! Tymczasem zaś nowy typ może się rozwijać w szkolnictwie prywatnem, a więc bardziej w żeńskim, niż męskim — co wcale nie stanowi ułatwienia.

Dla takiej szkoły średniej („licealnej“) jest podręcznik dra Krotoskiego. Rutynowany nauczyciel potra i zastosować go do niższego gimnazjum czy szkoły realnej, do seminarium nauczycielskiego, a nawet do szkoły wydziałowej, i to bez trudności.

Jestto podręcznik *par excellence* szkolny; do samouctwa nie bardzo przydatny. Pisany ściśliwie, wymaga nader często objaśnień, które ma dać żywe słowo wykładu nauczycielskiego. A jednak twierdę, że jeszcze on za obszerny i należałoby go skrócić. Czyż nie za dużo jeszcze szczegółów n. p. o Justynianie, o wojnach Karola W., o wszelkich Ottonach i Henrykach i t. d.? Zwłaszcza pierwsze dwa „okresy“ (do wojen krzyżowych) wymagają jeszcze śmiałego, idącego daleko kreślenia. Pamiętać bowiem trzeba, że uczeń zawsze skłonny do „kucia“ nad każdym niepotrzebnym szczegółem marnuje tylko drogi czas i... zniechęca się do nauki historii. Piszący podręcznik powinien sobie wyobrazić ucznia uczącego się, co „zadane“ (a wszak nie zanosi się na koniec pedagogii „zadawania“!!), uczącego się głośno, chodzącego z książką w rękę po przekątni swego pokoiku i popadającego mimowoli nawet raz wraz w „bębnienie“. Czem mniej go coś interesuje, tem mniej rozumuje, tem bardziej „bębni“ i „kuje“; gotów stracić i pół godziny na przyswojenie sobie wiadomości takich n. p., że walczyły z sobą dwie królowe, Brunhilda i Fredegunda (str. 25), których walki samego autora podręcznika oczywiście nie a nic nie obchodzą.

W podręczniku szkolnym powinno być tylko to, co kształci, bo uczy myśleć. O ile dr. Krotoski nie uwolnił się jeszcze od niepotrzebnych, zawadzkających dodatków, o tyle ma tę zasługę, że pomnożył i to znakomicie, ilość materiału pod tym względem pożądanego i dadzącego się doskonale wyzyskać. Jakościowo rozszerzył ramy nauki, wprowadzając do niej pomijane dotychczas na tym stopniu nauki momenty (jak działalność wielkich apostołów

i misjonarzy, stosunki handlowe, kultura rycerska i t. d.) i to dobrze uczynił; przez prostą konsekwencję musi się za to skrócić jeszcze bardziej ilościowo działy przejęte po poprzednich podręcznikach.

Nullus saltus w szkolnictwie! Nie wprowadza dr. Krotoski żadnej rewolucyi w nauczaniu historii; robi krok naprzód, ale nie wyrzeka się tego, co przed nim wciągnano w podręcznik... potrzebnie i niepotrzebnie. Znać, że niejedno uważa za niepotrzebne (i ma doprawdy zawsze w tem słusność), a więc cofa to na drugi plan, ale opuścić całkiem nie może, bo musi mieć na uwadze szkoły istniejące nie w marzeniach, lecz w rzeczywistości. Autor miał na myśli przede wszystkim szkoły rządowe galicyjskie, a więc — chcąc, żeby do nich można było podręcznik wprowadzić, musiał uwzględniać na każdym kroku nie tylko austriackość państwową, ale też austriackość szkolną, t. j. pewne tradycje dydaktyczne, nieodłączne od danego typu szkolnego. Gdyby się z tem nie liczyć zgół, runąłby nagle i dany ów typ — a może, mimo swych wad przedwcześnie — jeżeli wcześniej, nim typ inny, nowy, (lepszy, oby lepszy!) jest i teoretycznie jasno określony i praktycznie wykonalny. Szkolarz bardziej od innych musi się liczyć z rzeczywistością; szkolnictwo — to nie literatura.

Naogół stanowi książka dra Krotoskiego znaczny postęp w sztuce pisanja podręczników, a nadaje się i do szkolnictwa prywatnego wszystkich zaborów doskonale.

Ryciny i mapki nie są jedyną innowacją tej książki. Po raz pierwszy w polskiej literaturze dydaktycznej spotykamy w dodatku „obrazki dziejowe ze źródeł współczesnych“, ustępy roczników i kronik średniowiecznych. Kiedyś, w przyszłości, dobór tego rodzaju ustępów stanie się zapewne główną kanwą podręcznika szkolnego — ale jakżeż biegłych będzie to wymagało nauczycieli, a nie tylko dydaktyków, lecz i... pedagogów (a więc psychologów młodej duszy).

Dr. Feliks Koneczny.

Drożynna. Dr. Edward Strasburger. 1912.

Syn znakomitego obywatela m. Warszawy, byłego dyrektora kolei wiedeńskiej, rodzony brataniec „pierwszego botanika w świecie“, jakim angielscy uczeni nazwali ś. p. Edwarda Strasburgera, pierwotnie docenta b. Szkoły Głównej — debiutuje jako obiecujący

młody uczony w ekonomii społecznej. Gruntowne wykształcenie w tym przedmiocie, nabyte w pierwszorzędných uniwersytetach krajowych i zagranicznych, a zarazem poważne pojmowanie przedmiotu, czyni pracę niniejszą wartościowym przyczynkiem w naszej literaturze społecznej, zasługującym na szczegółową ocenę. Wytłómaczywszy we ściepie istotę drożyzny, autor podaje nieco cyfr ilustrujących wzrost ceny artykułów codziennego użytku oraz mieszkań w miastach zachodnio-europejskich, ze szczególnem uwzględnieniem Krakowa, gdzie ceny wzrosły wyjątkowo w ostatnich paru latach, przyjmując rozmiary nieomal katastrofalne.

Doszedłszy do wniosku na podstawie statystyki cen, że drożyzna jest obecnie zjawiskiem powszechnem, dr. S. zastanawia się nad przyczynami, które ją wywołały. Działają one tak po stronie popytu, jak i podaży. Po stronie popytu występuje ogólna przyczyna w silnym wzroście ludności w ostatnim wieku, spowodowana głównie umniejszającą się śmiertelnością w krajach zachodu. Drugą przyczyną jest podniesienie stopy życiowej szerokich mas ludności wskutek ciągłego rozwoju kultury. Wzrostowi ludności i potrzeb nie dotrzymuje kroku produkcya, zwłaszcza artykułów spożywczych, dlatego też cena ich poszła w górę. Punkt ciężkości wytwórczości krajów zach. Europy przeniósł się z rolnictwa na przemysł. Zastanawiając się nad przyczynami tego objawu, przychodzi autor do wniosku, iż główną przyczyną zgęszczenia ludności, które sprzyja rozwojowi przemysłu i handlu, utrudniając położenie rolnictwa, temsamem wywołując drożyznę. Dalszym czynnikiem drożyzny są również podatki, nakładane na artykuły spożywcze, które producent przerzuca na konsumenta.

Specjalny nacisk kładzie autor na koszt pośrednictwa skutkiem wadliwej organizacyi handlu — tłómacząc zarazem przyczyny tejsze.

Wreszcie wspomina o wpływie karteli i trustów — oraz rozwija teorię wartości pieniędzy, której obniżenie stanowi w różnych krajach ważną przyczynę drożyzny. Dla Galicyi upatruje autor główną przyczynę tego zjawiska w niedostatecznej wytwórczości kraju w stosunku do jej gęstej ludności. Ustrój rolniczy pod wielu względami wadliwy (rozdrobienie i rozrzucenie gruntów) — przy braku energicznej akcyi w zaradzeniu złemu. Warunki społeczne (gęstość zaludnienia) wskazują drogę, którą produkcya krajowa postępować winne. Jest nią przemysł, jak dotąd, z przyczyn

politycznych, jak również z braku przedsiębiorczości słabo rozwinięty.

Omawiając w końcu ujemne skutki drożyzny, dające się najdotkliwiej uczuć pracownikom, pobierającym stałe wynagrodzenie, oraz szerokiej masie robotników najemnych, wskazuje autor parę środków zaradczych przeciwko nadmiernej drożyznie — podnosząc w pierwszym rzędzie — z całą słusznością: kooperacyę — tę niezawodną nadzieję naszego odrodzenia.

Henryk Wielowieyski.

Powieść o duszy polskiej. Maryi Zabojeckiej. Kraków. Spółka nakładowa „Książka“. 1912.

„Głęboko, pod falą, która zatopila wszystkie dotychczasowe loty ku wolności, trwa dusza polska, żyje niezmierzony duch narodu. Słowo, którem trwa, rośnie i uskrzydla się na wieki. Miłość je rodzi, wiara daje mu siłę“.

Snuje się przez karty książki opowieść dziwna, jakiej nie znaleźć w innych dziejach — opowieść krwawa i łzawa — a tak prosta w tragicznej swojej grozie. Z tych kart bije wielkość tak potężna, że choćby nie polskiem czytało się je sercem, z czcią dusza przed niemi przykleknąć pragnie.

Historya to przeszło stuletnia Męki polskiej. Rozpoczynają ją ci, „co u Chrystusa są na ordynansach — słudzy Maryi“ — konfederaci barscy.

Widnieje postać Rejtana, który nastawia pierś za cześć i swobody narodu — przemykają w kibitce dostojne fiolety biskupa Sołtyka.

— A potem inne obrazy... Racławice — ks. Józef — legiony — Kiliński... Wzbogacenie dawnej pieśni rycerskiej, szlacheckiej, o świeżą nutę, co wytrysła z piersi ludu. Ks. Józef Bogu tylko oddaje honor Polaków — szewc Kiliński „jedną ma tylko duszę i tą oddaje na dobro Ojczyzny“. Brzmi pieśń legionów od Somosierry po Moskwę i wbrew wszelkiej nadziei wieści światu: „Jeszcze nie zginęła!“ Trwa dusza polska w mękach wygnania, niewoli, zawsze tylko jednej myśli oddana, „by żyła Ojczyzna“. Z mroku więzień rodzi się Konrad...

„Polsce — światu — sławie“ — śpiewała pieśń listopadowa, zaszumiały sztandary, rwąc ku wolności — i opadły... a co naród

212 PRZEBUDZĄ PISMIENNICZOSTWA
miał najlepszych synów, dwoma szlakami ciągnęli na wygnanie. Jedni, skuci w łańcuchy, na wschód daleki. Drudzy, rzekomo wolni — na zachód, do Francji, unosząc protest przeciw ciemnościom. I znaczą się jeszcze goście trzeci, podziemny... szlak spisków i emisaryuszów. Napelniają się więzienia, staje las szubienic... Konarski, Wiśniowski, Kapuściński — smutna symfonia Grajgóry — „Ojczyzna pole życia słowu Bożemu na ziemi“. Powstają w Polsce miejsca, gdzie niewidzialna ręka kładzie na czoło więźni święte chryzmaty cierpienia. Nieme ściany tam mówią — snują się duchy i szepeją: Bądź silny, mierz i wytrwaj!

Z bojów tych i męki wyrasta rok, o którym powiedziano: *gloria victis*. „Zestrzeli się w nim wszystko, co było lotem, szlachectwem, pięknem duszy polskiej i jej klęską“. Człowiek, któryby w zwykłych warunkach życia był jednostką przeciętną, podnosi się w tej ogólnej atmosferze ofiary do bohaterstwa. Rozbrzmiewają lasy odgłosem walk, wkrótce, niestety, beznadziejnych. Wszystko upadło — zapelnily się na nowo szlaki wygnania i lochy więzień. Ale duch, który wywołał ten protest narodu, chcącego żyć i mającego prawo do życia — trwa i walczy dalej o swoje prawa, choć zdawałoby się czasem, że mu fala grozi zalewem. Żyje jednak i woła: „Kto ma duszę, niech wstanie, bo jest czas żywota dla ludzi silnych“.

Helena Skolimowska.

Z piśmiennictw obcych.

Kurze Geschichte der Weltliteratur mit 82 Bildern. Dr. Karl Holtermann. Freiburg in Br. 1912. Herder. Str. XVI+479.

Profesor gimnazjum a równocześnie realnego gimnazjum w Monasterze powiększył swą pracą liczbę treściwych historii literatury powszechnej.

Zdawałoby się, że praca zbyt duża. Już tyle podręczników; co można powiedzieć nowego w krótkim streszczeniu tam, gdzie tyle materiału, jakiego pominąć nie wolno? Będzie to więc rzecz różna słowami od szeregu już dawno napisanych. A jednak profesor Holtermann daje rzecz nową nie szczegółami, ale punktem widzenia.

Jest to, jak słusznie w przedmowie powiada, pierwsze dzieło w literaturze niemieckiej nie tylko w założeniu ale i w wykonaniu — pierwsze dziełko, przeznaczone dla uczniów i uczennic wyższych klas średnich zakładów naukowych. Takiego było potrzeba. Bez aparatu naukowego, bez wnikania w szczegóły, z którymi uczeń się nie spotyka, daje mu historia literatury powszechnej Holtermanna wystarczającą orientację w prądach i kierunkach literackich, w stanowisku najwybitniejszych osobistości, z którymi imionami spotyka się i w dziejach własnej literatury i w bieżącym piśmiennictwie. To przeznaczenie przeważnie dla szkoły, oto jedna zasługa Holtermanna.

Ale jest druga ważniejsza. Krótki zarys, przezeń wypracowany, staje otwarcie i wyraźnie na stanowisku katolickim. Autor nie lęka się i w dążeniach epoki i u poszczególnych autorów zaznaczyć wyraźnie ich stosunku do chrześcijaństwa i katolicyzmu, czyto pod względem wiary, czy zagadnień moralnych. A przytem, odstawiając nicosć moralną lub antireligijne stanowisko niejednego z potentatów pióra, nie pomija jego wartości literackiej, źródła, z którego tryska wpływ na społeczeństwo.

Dziełko Holtermanna przez to nabiera znaczenia nie tylko dla szkoły i nauczycieli, którzy mogą bezpiecznie je uczniom polecać, ale dla kapłanów, osobliwie spowiedników, potrzebujących nieraz prędkiej a zwięzłej informacji dla porady albo zajęcia odpowiedniego stanowiska w pracy duszpasterskiej.

Świetne są pod tym względem sylwety Wiktora Hugo, Musseta, Heinego i im pokrewnych.

Na szczególną uwagę zasługują rozdziały poświęcone literaturze romańskiej, angielskiej i najlepiej opracowanej niemieckiej. Jednakże nie brak w opracowaniu i polskiej i rosyjskiej.

W polskiej sympatyczne wzmianki poświęcone Kochanowskiemu, Skardze, romantykom wielkim i Ujejskiemu. Szkoda, że jednak autor, który mówi o Przybyszewskim, Kasprowiecu i Wyspiańskim, o Reymoncie i Żeromskim, pomija zupełnie Tetmajera i za największego liryka uważa Kasprowicza, szkoda, że nie mówi nic o Rydlu, z dawniejszych dziejów nie wspomina o Felińskim i całej szkole warszawskiej pseudoklasyków.

Literatura polska wykazuje dużo braków. Znać, że autor oparty na Brücknerze, Nitschmannie i Świtalskim, gdzie brakło tłumaczeń niemieckich z polskich arcydzieł, kierował się w wyborze nazwisk

instynktem nie rzeczywistym znaczeniem autorów w poszczególnych okresach.

To wszakże wartości dzieła nie umniejsza o tyle, by je bezwarunkowo czyniło. Literatury polskiej — Polak nie będzie się uczył z Holtermanna — a do obcych znajdzie orientację potrzebną, znajdzie to, czego niema ani u Gostomskiego, ani u Plenkiewicza, śmiało i otwarte zdanie o stanowisku, jakie autor zajmuje w społeczeństwie katolickim — chrześcijańskim.

Ks. Władysław Rejowicz.

Heortologie oder die geschichtliche Entwicklung des Kirchenjahres und der Heiligenfeste von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart von *Dr. K. A. Heinrich Kellner*, Prof. der kathol. Theologie an der Univ. zu Bonn. 3. verbes. Auflage (XVI+318), Freiburg in Br. 1911.

Heortologią zowie się, jak wiadomo, ta część liturgiki, która zajmuje się rokiem kościelnym, a więc historią zaprowadzenia poszczególnych świąt i uroczystości, powodami ich powstania i okolicznościami, wśród których to nastąpiło, kolejami ich rozwoju, który ma różne fazy: niekiedy kończy się nawet zmniejszeniem ich znaczenia lub zupełnem zniesieniem. Ponieważ dzieło prof. Kellnera jest wyłącznie historycznem, przeto zajmuje się ono świętami nie w porządku roku kościelnego, jedno dzieli je na 2 wielkie grupy: przedmiotem jednej są wyłącznie *Festa Domini*, przedmiot drugiej zaś wszystkie inne. Dzieło to oparte na znajomości kalendarzy i ksiąg liturgicznych, poczynawszy od najstarszych, (których dziejami i znaczeniem zajmuje się specjalnie w III części), oraz autorów najpoważniejszych, odznacza się wielką krytycznością, które w części II dzieła (uroczystości N. M. P. i świętych) przechodzi nawet w hiperkrytycyzm. I tak n. p. Kellner jest wyznawcą hipotezy, że Różaniec nie pochodzi od św. Dominika. A jednak, choć odmawianie modlitw na paciorkach jest o wiele starszem od założyciela zakonu kaznodziejskiego, a podział rozmyślania różańcowego pochodzi od dwóch Kartuzów z Trewiru w XV. w., to jednak ogólnie jest przyjętem, że zasługą św. Dominika jest połączenie odmawiania Modlitwy Pańskiej i Pozdrowienia Anielskiego z rozmyślaniem tajemnic życia Chrystusa Pana i Jego Matki Najśw.¹ Jeszcze bardziej występuje

¹ P. O. Antonin Górniewicz: „O Różańcu w Polsce“ w Księdze Pamiątkowej Maryańskiej, Lwów 1905, t. I.

ten hiperkrytycyzm przy uroczystości św. Katarzyny aleksandryjs. i tu widać jego ujemną stronę: przeczy temu, co dotychczas wiadziano, ale sam nie w to miejsce nie podaje. Bardzo zajmującym jest exkurs o nazwie Mszy św. Całe to dzieło przetłumaczono już na kilka obcych języków. Pożądaniemby było i na polski, ale pod warunkiem, że tłumacz nie przepuści bez zastrzeżeń uwag hiperkrytycznych autora. Wskutek *Motu proprio*: *Supremi disciplinae*, rozdział wstępu wyliczający święta obchodzone w różnych krajach, ulegnie pewnej zmianie; co do Korony i Litwy musi on uleść także i pewnej poprawie, gdyż nie zupełnie dokładnie wyliczono tam dnie u nas świętowane. Styl nader jasny i brak frazeologii ułatwiają podręczny użytek z tego dzieła.

Maryan Bartynowski.

Von Vesuv nach Skagen. Von Johannes Jörgensen. Autorisierte Übersetzung aus dem Dänischen von Henriette Gräfin Holstein Ledreborg. 8^o (VIII+162). Freiburg & Wien 1910, Herdersche Verlagshandlung. K. 2.40; in Leinw. K. 3.60.

Pod tym tytułem wydał duński poeta-filozof J. Jörgensen nowy zbiór swych wrażeń z podróży. Są to szkice między sobą bardzo luźnie albo wcale niezwiązane, w których J. kreśli swoje bystre i trafne spostrzeżenia i uwagi stylem lekkim i obrazowym.

W pierwszych siedmiu rozdziałach maluje autor niszczącą potęgę Wezuwiusza, zaznajamia nas z działalnością tajnego związku neapolitańskiego „Camorra“, udziela nam swoich wrażeń z okazji zwiedzenia starego klasztoru Benedyktynów na Montecassino i audyencyi u papieża Piusa X. Następnie wędrujemy z autorem przez Niemcy, oglądamy olbrzymie fabryki Kruppa, wstępujemy na Wartburg, przechodzimy przez Czarnolesie, aż wreszcie po licznych trudach i niewygodach, przyjemnościach i rozrywkach tej wędrowki stajemy w Skagenie w Jutlandyi. Kończy te opisy głęboką refleksyą nad niewyczerpaną nigdy cierpliwością morza, refleksyą stojącą conajmniej na równi z wizyą Grońskiego w „Wirach“ Sienkiewicza i z najpiękniejszymi opisami morza M. Gorkiego.

Osobliwą jakąś ciepłotę odczuwa się w ustępach o pomnikach i utworach średnich wieków, tak samo tam, gdzie może się rozwinąć nad mistyką czasów tumów gotyckich i wtedy, gdy opowiada nam o ludziach, których spokoju duszy i prostoty serca nie zamięcił nerwowy pęd nowożytniej cywilizacji. Zdaje się nam, iż właśnie pro-

stota i naiwność, pierwotność uczucia i szczerłość, znamionująca mistykę niemiecką wywarła taki pociągający wpływ na naszego konwertytę. Dąży on też do tej prostoty we wszystkich swych dziełach i w obecnem ją zachowuje w formie opowiadania mimo całą swą obrazowość i plastyczność tak widocznie, że może nią nawet zrazić czytelnika, przyzwyczajonego do stylu górnolotnego i formy wyrafinowanej. Ta to szczerłość i prostota, ta równowaga duszy, wszędzie widoczna i dająca się odczuć jest źródłem wielkiego estetycznego zadowolenia.

Tłumaczenie jest gładkie i staranne; bardzo mało jest miejsc, gdzie ucho wprawne odczuje pewną szorstkość języka. J.

Ein Karolingischer Missions-Katechismus. Ratio de Cathechizandis Rudibus und die Taufkatechesen des Maxentius von Aquileia und eines Anonymus im Kodex Emmeram. XXXIII saec. IX. von *Joseph Michael Heer* Doktor der Theol. und Phil. (Biblische und Patristische Forschungen. I. Heft) gr. 8^o (VII+103). Freiburg & Wien 1911. Herdersche Verlagshandlung K. 3-60.

Na ostatnich wiecach katolików w Niemczech zajmowano się bardzo gorliwie kwestyą misyjną. Otworzono nowe pole badań naukowych t. zw. Naukę misyjną (*Missionswissenschaft*). Znalazłszy dość znaczną liczbę pracowników, założono osobny dla tej gałęzi wiedzy organ i katedrę uniwersytecką. Między innemi zagadnieniami poruszono także kwestyę różnych metod w nawracaniu pogan, które postanowiono roztrząsać głębiej i dokładniej niż dotychczas. Zanim się przystąpi do tej pracy, trzeba oczywiście zebrać spory zasób materiału naukowego, jakiego dostarczyć mogą n. p. katechizmy, nauki, obrazy, opisy samych misjonarzy. Materiał bezwątpienia jest nader obfity i różnorodny, lecz trudno zebrać go i ułożyć należycie. Stąd praca nad kwestyą metod misyjnych musi rozciągnąć się na długie lata. Trzeba znosić cegielkę po cegielce, wdzięcznie przyjąć nawet drobne prace, dopóki nie stanie piękny gmach nowej nauki.

Taką cegielką, taką odrobiną budowlaną jest praca dra Heera, umieszczona w pierwszym zeszycie badań biblijnych i patrystycznych, wydanych przez Herdera. Zeszyt ten zawiera oprócz tekstu sześciu katechez z czasów Karola Wielkiego, wydanych według kodeksu Emmerańskiego XXXIII, okólnik Karola w sprawie chrztu, list Maksencyusza z Akwilei do tego cesarza o tym samym

przedmiocie, wyjątki z dzieł Izydora i katechezy jakiegoś nieznanego autora, tyjące się również sakramentu chrztu. Teksty łacińskie poprzedza streszczenie i komentarz, rozprawa krytyczna o źródłach, autorach i języku przytoczonych dokumentów, nadto kilka trafnych uwag o metodzie katechizowania, jaką się w owych czasach posługiwano.

J.

Erster Homiletischer Kurs in Wien 1911. Vorträge und Verhandlungen im Auftrage der Österreichischen Leo-Gesellschaft herausgegeben von *Dr. Heinrich Swoboda*. Verlag von Heinrich Kirsch, Wien—Leipzig. 1911.

Kursy homiletyczne z celem nie tak czysto naukowym, ale naukowo-praktycznym, podobnie jak kursy praktyczne katechetyczne, są niewątpliwie bardzo na czasie. Duchowni, oddani duszpasterstwu, mają tu znakomity, naszej dobie odpowiadający środek powtórzenia i pogłębienia zasad teologii pastoralnej, mają sposobność wymiany myśli, komunikowania własnych doświadczeń innym i korzystania z doświadczenia wielu wybitnych duszpasterzy. Nie mający okazji brania udziału czynnego w tych kursach, a pragnący gorąco podnieść kaznodziejstwo, zwłaszcza jego rodzaj homiletyczny, dzisiaj niestety bardzo zaniedbany, powinni korzystać z tego wydawnictwa. Na zalecenie tego pierwszego kursu wystarczy wskazać autorów i tematy kilku referatów umieszczonych w pierwszej części tego tomiku. (Druga część obejmuje historię i przebieg kursu).

Gatterer: Pismo święte, jako źródło materii do kazań.

Stingeder: Retoryczna forma kazania a Pismo św.

Donders: Pismo św. w kazaniach Doktora Kościoła Grzegorza Nazyańskiego.

Dorfman: Pismo św. w kazaniach Leona Wielkiego.

Zahn: Słowa Pisma w kazaniach mistyków.

Rösler: Kazanie ściśle a homilia...

Swoboda: Samodzielność mowcy a Pismo św.

Somrek: Systematyka wyboru tematów z uwzględnieniem używania Pisma św.

Następują dwa referaty o znaczeniu kaznodziejskiem św. Klementa Hofbauera i X. Veitha. Wreszcie dwa ostatnie o założeniu katedr homiletyki i o czasopismach kaznodziejskich.

Życzyć jeno wypada, by te kursy rozwijały się jak najpomyślniej i by i u nas znalazły szczerých zwolenników — dalby Bóg naśladowców.

Ks. B. Wolnik.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Trudy życia. *Julian Zubczewski.* Tragedya w 10 odsłonach, nakładem autora, druk. L. Borki w Zakopanem, in 8^o. str. 151.

Wierszem pisane są owe „Trudy życia“, a choć tragedya nazwał młody autor swój utwór, to jednak serdecznie można się uśmieć, czytając te 10 odsłon, luźnie ze sobą związanych, tchnących banalnością stylu, jak i banalnością fabuły. Kto chce poznać wiersz bez poezji, niech weźmie do ręki „Trudy życia“, jakich nie umiał pokonać bohater tragedyi Kazimierz, który ukończył studia filozoficzne, ale egzaminu jeszcze nie zdał, zato ożenił się, a los opatrzył go dwojgiem dzieci. Nie był jednak w stanie dać rodzinie utrzymania, więc żona chcąc ulżyć jego doli zabrała dzieciaki i odjechała do swej matki. I oto początek tragedyi. Biedny bohater dostał nareszcie posadę w gimnazjum, ale jest z niej niezadowolony.

„Uczuł jaskrawo:
Co to znaczy być suplentem!
Jest się wśród ludzi wyklętym,
Jakąś gwiazdą — bez kolei,
Jakiemś życiem — bez nadziei!
Zresztą pany biurokraty
Chcą mieć z ludzi automaty:
Traktują ich jak numery!
Szczęśliwsze już guwernery.“

Skoro więc szczęśliwsze, przeto bohater zostaje guwernerem, ale i tu wkrótce się przekonał, że to za niski lot dla jego orlich skrzydeł, poszedł więc do szpitala i umarł na kaszel, który go od dłuższego czasu męczył.

Nie ma wprawdzie ochoty umierać i narzeka:

„Czemu się nie doczekałem,
Że zaszumi orzeł biały!?
Jak to boli... jak to boli...!
Tak szaro i tak codziennie...
Bezsukutecznie... bezimiennie...
Umrzeć samotnie... ze żalu...
W szpitalu...“

Umarł — musiał umrzeć, bo inaczej nie byłoby tragedyi. Gdyby przynajmniej wszystko to było bezpreten syonalne, ale wydaje się tam sąd na społeczeństwo, ale z Bogiem się rozprawia i dysputuje jak z kolegą! Tłumaczy jedynie te wady śmiesznej tragedyi owo znane przysłowie: „Nieszczęście po ludziach chodzi“, do którego dodać trzeba: Ostrożnie z piórem, bo to także niebezpieczny element!

bn.

W ojczyźnie Faraonów. (Z podróży i przechadzek po Egipcie). *Stanisław Bełza.* Kraków, Gebethner i Sp. 1912. Str. 260.

Obrazy i obrazki z Łady. *Stanisław Bełza.* Kraków, Gebethner i Sp. 1912. Str. 173.

Miarę artystyczną oraz myśl głębszą swych pięknych szkiców z podróży, nazwanych skromnie „obrazami i obrazkami“, trafnie określa sam autor: „Lubię systematyczność, ale w opisach podróży utartymi przez szablonowych podróżopisarzy gościńcami chodzić nie lubię...“; a dalej: „Jeżeli opis podróży

ma nietylko zajmować, ale i kształcić, wspomnień historycznych w momentach właściwych... nie należy pokrywać mgłą milczenia. Czy się pisze rzecz lekką, czy poważną, zawsze się powinno dbać o to, aby coś poważniejszego choć w drobnej kropki, pozostawić w umyśle czytających". (W ojczyźnie Faraonów, str. 35 i 42). Słowa godne pilnej uwagi! Toteż autor, kiedy wybiera się w drogę, nie spuszcza się na swój wybitny stan obserwacji, ale wyrusza po studyach przygotowawczych z bogatym zasobem znajomości odnośnego kraju, jego mieszkańców, ich religii i zwyczajów, przeszłości ich oraz obecnych stosunków. Dzięki temu wyjść mogły z pod jego wprawnego pióra opisy tak barwne i zajmujące, tak oryginalne, a tak pouczające. Do szkicowych opisów i obrazków dostraja się styl i sposób pisania; osobliwe zwłaszcza zabarwienie nadają zdania krótkie, urywane nieraz, myślowo niedopowiedziane a stylistycznie napozór niewykończone. Wszystko to, w miarę użyte, jest czemś świeżem i wywołuje swój efekt (porówn. np. „Obrazy z Indji“ str. 103, i i.), wszelako przesada i w tej rzeczy jest wadliwą, sprawia przesyt, a czasem niemiłe wstrzymuje lub rozrywa naturalny wątek opowiadania (n. p. „Obrazy“ str. 40, 77; „W ojczyźnie F.“ str. 80). W piękny język wkradły się dwa wyrazy, zapewne lapsus, jak: „pasuje“ („W ojcz. F.“ str. 56) i „stempel“ (Tamże str. 61). Są to jednak drobnostki, dające się łatwo usunąć.

Warto na jedno jeszcze zwrócić uwagę. W pewnych kołach i u pewnych umysłów współczesnych należy do... mody, rozpylić się w uwielbianiu Buddy, Brahmy, Zoroastra i ich nauki, nie poznawszy wprzód należyte swojej, katolickiej, upatrywać we wschodnich zwłaszcza religiach ideały, podobno niedościgłe i niebotyczne, pod-

czas gdy w katolickiej są daleko wyższe a zawsze prawdziwe; słusznie tedy szan. autor piętnuje niemoc wschodnich wierzeń (np. „Obrazy z Indji“ str. 36, 37 nast.; „W ojcz. Far.“ str. 93 nast.), niejednokrotnie godność ludzką depczących; słusznie też prawdziwą wielkość naszego rodaka, którego zastał w Port Said, zasadza na jego miłości „ojczystego kraju“, nie zaś tyle na jego zamiarze utworzenia po powrocie pod Krakowem ogniska badań metempsychicznych: tworzyć coś podobnego znaczyłoby do gruzów, jakie pozostały z „słabego zaślunku duchowego na drogę życia“, jaki dała mu „młodzieńczość“, — o której mówi nasz rodak w swej smutnej charakterystyce („W ojczyźnie Far.“ str. 180), dosypywać znów... tylko gruzy i popioły.

S.

Jadwiga, święta królowa na polskim tronie. Ks. biskup Władysław Bandurski. Opowieść dziejowa w 3 częściach. Księgarnia Powszechna. Włocławek, 1913. Str. 400.

Dobłą myśl powzięła ruchliwa księgarnia Powszechna w Włocławku umożliwienia popularyzacji powyższego dziełka X. Biskupa Bandurskiego wśród najszerszych warstw społeczeństwa. Pierwotne albumowe wydanie było tak kosztowne, że nie każda rodzina mogła sobie pozwolić na podobny wydatek. A przecież opowieść o świętej królowej na polskim tronie powinna się znaleźć w każdym ognisku domowym, w każdej czytelni młodzieży czy ludu polskiego. Autor żywo i barwnie, oparty na najlepszych, a wiernych opracowaniach historycznych, opowiada w formie powieści życie królowej Jadwigi. Rzecz podzielił na trzy części. W zwiększonych rozdziałach przesuwał się przed oczami rozciekawionego czytelnika coraz to nowe, a coraz bardziej interesujące obrazy, obejmujące

całokształt żywota Jadwigi. Nie złożym tej książki ra stoliku nie tylko bez pojemnych wrażeń, ale bez pouczenia i wewnętrznej nauki. Cena nader przystępna pozwala, by opowieść X. Biskupa Bandurskiego o królowej Jadwidze nie minęła żadnego polskiego progu, stała się upominkiem dni pamiętnych w rodzinach czy nagrodą dla naszej młodzieży.

J. R.

Romua'd Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego 1863—1864. *Maryan Dubiecki.* Kraków, wydanie II powiększone.

„Pisałem w roku 1893...” Przez kilkanaście lat przybyło prac wiele, a więcej pamiętników, wydano nowe studia, nieznane dotąd materiały, jednym słowem zdołano sprostować różne niedokładności. Ale drugie wydanie „Traugutta” niedużo przynosi nowego: nazwisk kilka, dawniej ze względów politycznych zastąpionych kropkami, parę mało znaczących wyjaśnień i — strona dekoracyjna — trzy ilustracje: dwie fotografie Traugutta i jedną domu, który zamieszkiwał za czasów swej dyktatury. Więcej pamiętnik jak studium historyczne lub monografia — autor przeżył to wszystko i w niektórych wypadkach *pars magna fuit* — szkic ten sercem raczej pisany, uczucia ma dużo i nerwów. Nimbem sympatyj owiany Traugutt pozostaje przecież historycznie wiernym, a postać jego jaśnieje i w tym obrazie cnotami, których tak brakło niestety przeważnej części członków Rządu Narodowego: zaparcia siebie i bezinteresowności przedewszystkiem. Jako źródło do badań tego nieszczęsnego okresu pozostaną wspomnienia niniejsze, pomimo drobnych niedokładności, cennym nabytkiem naszej literatury historycznej.

Au. W.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardyi za czasów W. Ks. Konstantego. Z przedmową *prof. dra Stanisława Smolki.* Lwów.

Dział pamiętnikarski z okresu porobiorowego jest bardzo obfity i znakomicie uzupełnia luki, jakie widnieją jeszcze w naukowem obrobieniu tej epoki. Zwłaszcza powstanie r. 1831 posiada bogatą literaturę wspomnień, w znacznej części rękopiśmiennych, bo ze względu na polityczne stosunki trzeba było kryć nazwiska żyjących jeszcze działaczy. Dziś, po ośmdziesięciu latach, ludzie w grobie lub paru może nad grobem, nie boją się zsyłki, a i cenzury zelżały; więc też raz po raz wydaje się nieznane dotąd szerszemu ogółowi notaty i zapiski tych, co przeżywali najwznieślijsze dla Polski w minionem stuleciu chwile: Napoleona i listopadowe powstanie. Zbiorem takich notat jest właśnie pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku gwardyi za W. Ks. Konstantego i syna generała wojsk polskich. Ale długie lata hodowany i pieoszczony w myślach autora, daleko odbiega od typu książek tego rodzaju. Pisany stylem barwnym, niezwykle zajmującym, uplastycznia wydarzenia historyczne i ich aktorów. Chcąc dać wszechstronny pogląd na te ostatnie wielkie zapasy o wolność, autor posuwa się jeszcze dalej: wypadki, przy których nie był obecnym, plany i wyrachowania dowódców, do których jako zwykły oficer nie miał dostępu, uzupełnia wspomnieniami i poglądami innych. Ale tutaj właśnie chroma pamiętnik Sierawskiego: opierając się na kilku zaledwie dziełach (na J. Krasin-skim w pierwszym rzędzie) powtarza rzeczy znane, dzisiaj w wielu miejscach sprostowane lub objaśniane odmiennie. Nie przeszkadza to wcale, że tom ten, jak słusznie zaznacza prof.

Smolka w swej krótkiej przedmowie, wzbudza ogromne zainteresowanie a swym nastrojem podnosi patryotycznego ducha.

Au. W.

Tekst pełny pieśni „Marya, panno szlachetna“. Dr. Franciszek Krćek. Odbitka z „Pamiętnika literackiego“. Lwów.

Znany badacz w zakresie filologii polskiej, Dr. Franciszek Krćek, odnalazł w rękopisach Biblioteki Ossolińskich pełny tekst pieśni staropolskiej, zaczynającej się od słów: „Marya, panno szlachetna“, znanej zresztą już Maciejowskiemu, Bobowskiemu i Nehringowi, ale tylko w urywkach. Wiedział też o jej istnieniu zasłużony Bezenberger ze wzmianki w katechizmie litewskim z r. 1547, gdzie już ją nazwano „dawną“, ale z powodu częstej podówczas zmiany inwokacji (do św. Anny: „O Anno, pani szlachetna“) nie mógł na właściwą drogę trafić. Stąd cała zasługa po stronie Dra Krćeka.

Rozprawka to wcale nie zajmująca dla niespecjalisty; traktowana z punktu czysto naukowego, wyklucza wszelką krytykę strony literackiej, jako w trzech czwartych suchy rozbiór gramatyczny. Ale zaciekawia czem innem: śmiałością hipotez w odgadywaniu i uzupełnianiu zdefektowanego lub fałszywie przekazanego tekstu. Pod tym względem autor zdaje się nie ustępować niezwykle szczęśliwej pomysłowości prof. Brücknera. Warto również zaznaczyć, że pieśń cytowana ma jedną z najkunsztowniejszych, bardzo artystycznych form wersyfikacji i tem się wyróżnia w całej poezji naszej — nietylko może średniowiecznej, zdaniem prof. Nehringa, który się pierwszy poznał na jej doskonałości.

Au. W.

Rękopisy hr. Morstinów w Krakowie.

Czubek Jan, Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności, 8 ka, str. VII+21.

Rzucony przez Akademię Umiejętności przed kilku laty projekt zinventaryzowania zabytków rękopiśmiennych, znajdujących się w zbiorach prywatnych, zaczyna z wolna przybierać kształty realne. Oto po katalogach paru bibliotek prowincjonalnych, z których na pierwszy plan wybiły się biblioteka hr. Branickich w Suchej oraz hr. Tarnowskich w Dzikowie, otrzymujemy inwentarz zbioru hr. Morstinów, zbioru wcale pokaźnego, obfitującego w cenne zabytki w liczbie, przekraczającej setkę numerów. Zarówno dla dziejopisarstwa polskiego, jak niemniej dla historii literatury nie brak tutaj materiałów, pochodzących przeważnie z XVII i XVIII stulecia. Pięć tylko numerów przypada na czasy wcześniejsze, na wiek XIX zaś szesnaście.

Do najdawniejszych należy rękopis, mieszczący *distinctiones* Mikołaja Krakowczyka, rękopis statutów Taszyckiego, wyzyskany już przez dra M. Bobrzyńskiego, w którym to rękopisie mamy pod koniec jakby ciąg dalszy „Tomicianów“ z opisem koronacji Barbary Radziwiłłówny i pogrzebu Zygmunta Starego. Z wieku XVII i XVIII zanotować wypada lauda sejmikowe województwa krakowskiego, akta i broszury z czasów rokoszu Zebrzydowskiego, materiały do wyprawy wiedeńskiej i konfederacyi barskiej. Mamy tu dalej kilkanaście dyaryuszów sejmowych z roku 1831. W „silvach rerum“ zaś na uwagę zasługują dyaryusz wojny moskiewskiej za Władysława IV, materiały do dziejów bezkrólewia po Sobieskim, wiersze Kajetana Węgierskiego i Trembeckiego na koniec. Plon tedy — po pobieżnem rozglądnięciu się — wcale obfity. Co najważniejsza, to, że dzięki katalogowi

zostało niepomniernie ułatwione korzystanie z nieznanych dotąd zbiorów.

Zet.

Biblioteka Ordynacji hr. Kasińskich w Warszawie. *Baranowski J.* Odbitka z „Ziemi”. Warszawa. 1911. 8-ka, str. 8.

Szkic ten informacyjny podaje w wziętym ujęciu historię rozwoju tego znakomitego księgozbioru. Mamy tedy tutaj krótkie charakterystyki wszystkich dotychczasowych bibliotekarzy, wśród których nie brak powag naukowych, żeby tylko wymienić: prof. Kallenbacha, oraz znanych historyków: Fr. Pułaskiego i dra St. Kętrzyńskiego. Rozwój biblioteki uplastycznia się znakomicie w miarę, jak wcielano do niej kolejno zbiory: Leona hr. Łubieńskiego, Ludwika Górskiego, Józefa Wolffa, Włodzimierza Spasowicza, a również archiwa Wielhorskich i Dembowskich. Dość powiedzieć, że kiedy w roku 1860 otrzymano zbiory Świdzińskiego, przewyższały one niepomniernie zarówno ilościowo, jak też jakościowo ówczesne zbiory biblioteki Kasińskich! Stan obecny biblioteki Kasińskich przedstawiają najładniej suche cyfry, które mówią, że zawiera ona obecnie: 72.000 dzieł w stukilkudziesięciu tomach, 700 dyplomów i 7000 rękopisów, nie licząc pokaźnej kolekcji sztychów i 762 okazów, pomieszczonych w zbrojowni. Szkoda tylko, że nie podano tutaj cyfr statystycznych, odnoszących się do ruchu w czytelnictwie i ilości wypożyczonych dzieł.

Z.

Zasady fizjologii. *Thomas H. Hurley.* W opracowaniu Dr I. Rosenthala; z niemieckiego przełożył Dr. Adam Lange (XX i 490 str.) Warszawa, 1912. Centnerszwer i Sp.

Książka powyższa nie tyle potrzebuje krytyki, jak raczej polecenia, aby

szersze koła dowiedziały się o niej, z nią się zaznajomiły i mogły korzystać z bogatego a bardzo przystępnie podanego w niej materiału. Nie bawiać się w żadne domyslniki, teorie lub hipotezy, rozwija w niej autor zasadnicze pojęcia z dziedziny fizjologii krótko a jasno, tak iż każdy, choćby się nie oddawał specjalnie naukom przyrodniczym, przeczytać ją może z pożytkiem, a nawet z pewną przyjemnością. Podnieść należy, że tłumaczenie jest poprawne, a wydanie książki bardzo staranne.

Um.

Euchiridion fontium historiae ecclesiasticae antiquae, quod in usum scholarum collegit *Conradus Kirch S. J.* (XXX+636 str.) Friburgi, Herder.

Wydaniem swego euchiridionu umożliwił autor w studium historii kościelnej iłączonych z nią kwestyi dogmatycznych wglądnięcie do samych źródeł, trudno nieraz dostępnych; w ten sposób nietylko usunął brak dotychczas bardzo odczuwany, ale nadto się przyczynił do żywszego zainteresowania się i dokładniejszego zbadania niejednej kwestyi spornej. Dobór wyjątków jest trafny, a tekst podano możliwie najpoprawniejszy.

K.

Moralphilosophie von *Viktor Cathrein* S. J. Fünfte, neu durchgearbeitete Aufl. Zwei Bde (XVI+628 i XII+769 str.). Freiburg, Herder.

Znane czytelnikom polskim dzieło z przekładu W. Gostomskiego przejrzał, dopełnił i pogłębił autor na jednym miejscu: na wstępie umieścił krótki rys historii filozofii moralnej, przegląd systemów moralnych uzupełnił dołączeniem najświeższych teorii, na nowo opracował kwestyę o istocie i powstaniu religii, rozwinął ustępy

o prywatnej własności, emancypacji kobiet, stosunku kościoła do państwa i t. d. Dzięki temu, dzieło Cathreina jest i pozostanie jedną z najaktualniejszych książek dla naszych czasów.

V. S.

Jacinto Verdaguers Atlantis. Deutsch von Clara Commer. Nebst Bildnis und Schriftprobe von Verdaguer. Zweite und dritte, verbesserte Auflage. 8° (XXXII + 156 str.). Freiburg & Wien 1911. Herdersche Verlagshandlung. K. 3; in Leinw. K. 4-20.

Znakomita epopeja Verdaguera, dzieło klasycznej literatury katalońskiej, zajmuje tak dla niepospolitej swej treści jak dla genialnego natchnienia wybitne miejsce w literaturze światowej. W nader dosadnych rysach maluje kataloński wieszcz historię wielkiej niegdyś wyspy Atlantis i opisuje katastrofę jej zapadnięcia według prastarej tradycji, przechowanej nam przez Platona. Potrafił uchwycić i przedstawić historycznie znaczenie geologiczne podania mitologicznego, nadaje mu treść religijną, łączy z Kolumbem i odświeża dalekie widoki, wskazując jakby w duchu proroczym dziejowe znaczenie Hiszpanii, powstające na zapadłej wyspie. Pierwsze wydanie tego niezwy-

kłego dzieła przyjęła krytyka z ogólnym uznaniem. To drugie i równocześnie trzecie wydanie trzyma się o wiele ściślej tekstu oryginalnego, dając w ten sposób odczuć lepiej piękność pierwowzoru. Język naprawdę giętki, łatwo zrozumiały i poetyczny zarazem.

W.

Jakob Gretser und seine Dramen. Ein Beitrag zur Geschichte des Jesuiten-dramas in Deutschland. Von Dr. Anton Dürnwächter. gr. 8° (VIII + 218). Freiburg & Wien 1912. Herdersche Verlagshandlung. K. 6-48.

Autor, znany w świecie literackim ze swoich monografii o teatrze jezuickich szkół, rozpoczyna z tem dziełem szereg wydawnictw najważniejszych sztuk teatralnych sceny jezuickiej 16 i 17 wieku. Oprócz charakterystyki twórczości dramatycznej O. Gretsera umieścił w tych dwóch pierwszych zeszytach krótki pogląd na twórczość dramatyczną ówczesnych Jezuitów w Niemczech i zestawil najwybitniejszych z ich grona. W dodatku podano w całości: *De Humanitatis regno. Comœdia altera*, jako próbkę twórczości O. Gretsera w zakresie dramatu jezuickiego.

J.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

<sup>Anglo-
katolicy.</sup> Doniosłej wagi wypadek zaszedł w Anglii. Rzymowi poddał się gromadnie liczny zastęp anglikanów, a tuż po nich grono jeszcze liczniejsze anglikanek, jednych i drugich po to właśnie zgromadzonych i poddanych regule benedyktyńskiej, aby nie puszczać do Rzymu, a w anglikanizmie zachować dusze bogomyślne. Sama wprawdzie istota stanu zakonnego sprzeciwia się zasadom anglikańskim, przyjętym z protestantyzmu, ale wielu duszom pobożnym odpowiada i zwraca ich tęsknotę do Rzymu: więc anglikanizm odważa się na ustępstwo: obleka swoich najwierniejszych znienawidzoną kutą, aby ci zastąpili innym drogę do papieskiej owczarni. Ale to ustępstwo wywołuje różne wróżby; katolicy powtarzają słowa dziejopisa Lillego: odlutrzony anglikanizm rozplynie się w Rzymie; wobec świeżego wypadku dostojnik hierarchii anglikańskiej przestrzegał swoje owieczki: aby zachować anglikanizm, trzeba opierać się na protestantyzmie.¹

Do sądu o nagłym wypadku dostarczają osnowy sami nowo-nawróceni, bo książkę o sobie wydali jeszcze jako głosiń po świecie bojownicy o ideał anglikański przeciw rzymskim

¹ Études 1913. str. 271.

pokusom.¹ Praca ta zbiorowa pozwala śledzić krok za krokiem pochod myśli, która w anglikanizm wносиła regułę benedyktyńską, szła tryumfalnie, nie przewidywała gromu, przed którym uchyliła się następnie przez krok oceniany rozmaicie z różnych stanowisk.

Anglikańscy współpracownicy tej książki zajęli stanowisko nie odrazu zrozumiałe dla każdego w Polsce czytelnika: przypisali sobie miano katolików, bo należeli do rytualistów, którzy mówią, że podstawne zasady anglikańskie zgodziłyby się z soborem trydenckim, gdyby król z hierarchią nie rozumiał ich po lutersku. Sami tedy odlutrzają swój anglikanizm przez ów jakiś katolicki wykład, mianują się członkami Kościoła katolickiego, ale nie członkami międzynarodowego ciała Kościelnego z głową duchowną na rzymskiej stolicy, tylko spółwiercami wszystkich katolików albo społeczeństwem katolickim z głową narodową w królewskiej koronie na stolicy londyńskiej. Zatem siebie, jakoby „katolików“ przeciwstawiają papistom, jako „rzymsko-katolikom“.

Na tle tych pojęć wykładają, skąd do anglikanizmu wprowadzili regułę benedyktyńską:

„Od wielu pokoleń Kościół anglikański zapadł był w letarg. Choć reformacya odpowiadała jego potrzebom, bo wyplenila w nim chwast nagromadzonych nadużyć, ale też straszliwie nim wstrząsnęła aż do głębi podwalin, zawisała nad nim w niejednej dobie, jak groźne widmo zagłady. Przecie łaska Boska wywiodła go z zamętu: nie stracił katolickiej jedności, choć jak z choroby wyszedł wątły i nieudolny do pracy sprężystej, jakiej wymagają stosunki i Boski jego charakter. Wprawdzie omdlały, przecie przeżył te trzy ciężkie stulecia, bo miał w sobie żywiołową siłę od Boga, bo mimo upadku był żywym członkiem Kościoła katolickiego, więc przechowywał w sobie bujne nasienie wspaniałej potęgi².

„Po roku, 1820-ym zaczął dowodnie okazywać, że wraca do zdrowia i sił, odzyskiwał właściwy swemu charakterowi

¹ The benedictines of Caldey. Tenby, South Wales. 1 wyd. 1907; 2 wyd. 1912. ² str. 3.

wpływ Boski, odbierał wydarte stanowiska i upominał się o straty. Do strat najdotkliwszych zaliczył zagładę zakonów. Tyrania króla bezecnego naparła się, żeby kościół anglikański cisnął jej pod nogi starodawne klasztory. Anglikanizm struchlały w dzikich stosunkach dał sobie powydzierać siedziby zakonne, nim zdobył się na obronę: nie sam je pozamykał, ani nie z dobrej woli na zabór ich przystał¹.

Dalszy wywód prowadzi wprost do wniosku:

„Anglikanizm, przy stopniowym powrocie do sił, co dzień śmieiej zaznaczał istotny swój katolicyzm, głosił coraz dobitniej wielkie prawdy wspólnej wiary, upominał się najzrozumialej o apostołski charakter sług ołtarza i siedm sakramentów, słowem o swój Boski początek i zakres obowiązków — następnie w dawne swoje drogi wkraczał starym obyczajem, zbyt długo zarzuconym. I zbiegał krokiem coraz rańniejszym te szlaki i coraz głębiej uświadamiał sobie prawdę, że za uczynki dobre albo złe przed Bogiem odpowie każdy człowiek — więc pragnął poświęcić żywot cały Bogu jedynie².

„Ów popęd ducha doczekał się nieustraszonych wskrzesicieli zakonnego stanu — Puseya i jego następców, wiedzionych

¹ str. 4. Tu rzecznik zakonów w Anglikanizmie przeoczył albo spaczył prawdę dziejową, — jak i nieraz w innych wywodach, — aby wbrew świadectwom niewątpliwym dla nikogo, gołostownie uniewinnić sumienie anglikańskie z jego dzieła za Henryka 8-go Tyranie króla, którego pisarz piętnuje tu bezecnym, pobudzili przeciw zakonom anglikanie sami. — Doradcy jego z Cromwellem na czele, zlutrzali w szkołach saskich: ci wyznawali już z częścią parlamentu zasady narzucone przez następców Henryka całej Anglii jako wyznanie państwowe. Nie wyznawała jeszcze tego anglikanizmu przeważna część parlamentu za Henryka 8-go: dała mu się tylko przez odszczepieństwo oderwać od Kościoła powszechnego, ale nie zmieniła nic jeszcze we wierze. Zatem, gdy pod obrady parlamentu przychodziły wnioski anglikańskich doradców króla, przeciwnych zakonom, wtedy anglikańska garść deputowanych długo i burzliwie musiała się ścierać z przewagą głosów w obronie zakonów i podstępami zwyciężać wstręt sumień, które jeszcze po katolicku wierzyły, choć bez oporu przeciw odszczepieństwu. Tak Anglikanizm z luterskiej zasady zniósł zakony w Anglii, wtedy tylko hierarchicznie i tylko o tyle dogmatycznie poróżnionej ze Rzymem. Jak w tym szczególe, tak we wielu innych, książka zdradza brak głębszej nauki tak co do przebiegu dziejów, jak co do dogmatu katolickiego i nawet co do teologii protestanckiej.

dwojakim stąd pożytkiem: zbliżali tysiące dusz do kresu szczęścia niewypowiedzianego i zachowywali te dusze w anglikanizmie, bo gdyby nie mogły w nim się doprosić stanu zakonnego, zaspokoiłby je Rzym ¹. Powstawały z martwych cmentarzy środowiska nabożeństwa i miłosierdzia, jak towarzystwo Janowe ², zakłady Miss Selmon ³, liczne inne związki, nieraz jednodniowe, bo nie należycie obmyśliwane ⁴. Między kobietami zakonny duch odżył już w całej pełni; z różnych powodów mężczyźni nie oglądają się na opuszczone stanowisko, tak, że dziś na łonie kościoła anglikańskiego żyje do czterech tysięcy sióstr cenobitek a braci cenobitów zaledwie do stu ⁵. Jaśniej niż wszyscy Ignacy Lyle pojął, że stan zakonny wymaga reguły całkowicie przyjętej, a nie tylko okrawków ⁶. Doczekał się cenobitów, którzy pod nazwą Oblatów przyjęli regułę benedyktyńską, ale jeszcze nie na bogomyślny żywot, tylko dobroczynny. Otóż jako zwierzchnik cenobitów Lyle w r. 1868-ym spotkał pannę Stewart, gotową z nim otworzyć dom pod wezwaniem św. Brygidy dla panien klauzurowych z regułą benedyktyńską; te już nie rozpraszane pracami na zewnątrz, zapędzają czas wyłącznie modlitwą, chórem, ozdobą świątyni, nauką ⁷. Zakłady czynne na zewnątrz zasługują na wdzięczną cześć, jako wychowawczy czynnik, który przysposabia dla anglikanizmu żywioł bogomyślny ⁸. Do rozwoju tego żywiołu przyczynia się dopiero dom św. Brygidy: jego mieszkanki dobijają do przystani serc, niezdolnych spocząć, aż nie dopłyną do bogomyślnej ciszy. Wszak żywot zakonny nie może, równie w anglikanizmie, jak w Papizmie poprzestać na kresie tylko wzniosłym, jak miłosierdzie, dąży do szczytów możliwie najwyższych ⁹.

Benedy-
ktyzizm
a
papizm. Zasady powyższe, urzeczywistnione dopiero dla panien w domu św. Brygidy, doczekały się także dla mężczyzn wykonawcy w osobie jednego z tych „mocarzy ducha, którzy przetrwają wszystko, w czem słabi upadną — bojownika,

¹ str. 6.

² str. 24, 25.

³ str. 129.

⁴ str. 5.

⁵ str. 72, 73.

⁶ str. 5, 129.

⁷ str. 129.

⁸ str. 6.

⁹ str. 67.

który z walki w walkę szedł i zdobywał dla dzieła swojego moc i bezpieczeństwo“¹.

Tak owa książka zbiorowa rozpisuje się o własnym w pracy swojej przywódcy. Ten to Aelred Carlyle już w dwunastu latach wieku przeczytał o zakonach książkę, w której znalazł dla siebie przewodnią myśl żywota². przeświadczył się, że ma iść drogą zakonną, ściśle i dosłownie benedyktyńską. Z tym ideałem w duszy kończył nauki średnie i zapisał się na wydział lekarski w r. 1892-gim. Zamieszkał przy szpitalu, zajęty nauką i chorymi, z pozostałym światem nie nawiązywał stosunków, aby możliwie najwierniej żyć po benedyktyńsku; tej myśli się poświęcił i z okiem w nią utkwionem pielegnował nadzieje, gotował czyn, tworzył ideały, którymi miał żyć.

Przygodnie zetknięty z domem św. Brygidy i jego kapełanem, dowiedział się o podwładnem mu gronie Oblatów św. Benedykta: zapisał się do nich i założył drugie ich grono, któremu sam przewodniczył przez parę lat i zjeżdżał z niem na walną kapitułę co roku do domu św. Brygidy. Na ostatniej kapitule w r. 1895-ym wezwał towarzyszy na wyższy szczebel żywota benedyktyńskiego: na nowicyat przygotowawczy do ślubów w domu ściśle urządzonym wedle reguły³. Przemówił ognistemi słowami: „Bóg wezwał was, bracia Oblaci, aby każdy rozstrzygnął, czy poniesie krzyż. Bracia! w górę serca! do dzieła dłoń! przed wami czyn! „Oto teraz czas przyjemny“, niech sumienie przemówi: co obierzecie, Bóg z tego was przywiedzie na sąd!“

Słuchali wszyscy z nateżoną uwagą; odpowiedzieli poważną ciszą; uroczyście wstali i gromadnie Aelreda opuścili.

Osamotniony ujrzał się na rozdrożu; wydzwoniła mu doba lęku przed dziełem olbrzyma⁴. Ale dla pionera idei nie istnieje wyraz: „rzecz niemożliwa“ — i Aelred nie zwątpił. Spokojnie i stanowczo poniósł krok na strome wyżyny. Na wielkanoc r. 1896 zjednał dla swoich zamiarów głowę hierarchii anglikańskiej, dra Temple'a: za jego zgodą obłókł się w suknię św. Be-

¹ str. 12.

² str. 12.

³ str. 15, 16.

⁴ str. 18.

nedyktą i na jego regułę ślubował¹, aby po dwu latach odczytać w domu św. Brygidy rotę ślubów, którymi czuł się związanym jako uroczystą profesją². To stanowisko uznanego w anglikańskiej hierarchii benedyktyna pozwoliło mu zbierać ochotników, których słowem i przykładem wprawiał w nowicyacie do ścisłej reguły i zapalał na wzniosłe posłannictwo wobec spółwyznawców: „od nas należy się Bogu nie jakaś pozorna albo wykrętna pół-służba, ale każdy stan jest na swój sposób zawodową, poważną i zupełnie ścisłą służbą Bożą, bo nasz Stwórca, jako Bóg, prawowicie posiada w nas wszystko, czem jesteśmy i rozporządzamy. Raz ustalić trzeba prawdę, że Bóg Wszemmocny nie pochwali nikogo za chrześcijaństwo jakieś wygodne, lekko pojmowane: powinniśmy pojmować obowiązek względem Boga jak najszczytniej³. Jesteśmy cenobitami, jacy zawsze istnieli w katolickim kościele i uważamy żywot taki za potrzebny. Widzimy Kościół anglikański w najruchliwszym rozwoju — dzięki za to Bogu — z Jego pomocą stajemy na uboczu, aby podtrzymywać Anglikanizm modlitwami, aby ofiarować jego wysiłki Bogu w codziennych nabożeństwach, jak Mojżesz na górze podnosił ręce za ludem wśród boju⁴.

„Czyżby można wątpić, że Anglikanizm dlatego przestał unosić w górę umysły i serca, iż właśnie tę klęskę poniósł: stracił zakony! Czyż nie mamy się spodziewać, że ponowny ich rozkwit ożywi i pogłębi pracę naszego Kościoła? Jako katolicy możemy tylko z najgłębszym smutkiem spoglądać na ową ciemną stronicę naszych dziejów wyznaniowych: powinniśmy uznać błędy przeszłe i żwawo brać się do poprawy a jasno widzieć, że tylko żywotna prawda ideału mniskiego odrodzi i umieści na dawnym stanowisku Kościół anglikański⁵.

„W ludzkiej przyrodzie tkwi zaczątek ideału mniskiego⁶, bo człowiek pragnie się samotnie uświęcać: stąd wszelaki rozwój pojęć wyznaniowych wyznacza jakieś miejsce dla mniskich ustrojów; dowodem — i Buddaizm i Islam i starożytne pogań-

¹ str. 20.² str. 22.³ str. 69.⁴ str. 79.⁵ str. 80.⁶ str. 117.

stwo i później Meksyk i Peru. Nie boczył od tej zasady sam protestantyzm: na jego łonie powstałi Bracia czescy, społecznie Lutrowi Precyzianie, dzisiejsi Amanieci (w Stanach Zjednoczonych). Pierwotny Kościół dbał o równowagę między czynnym żywotem a bogomyślnym, ale pod pogańskim wpływem zeświećczały spuścił chorągiew żywota chrześcijańskiego. Zatem dźwignął się mniski duch, aby przywrócić pierwotne chrześcijaństwo¹: zaczął z pustelnikami, z Bazylim wyszedł na zewnątrz, u Benedykta skojarzył zwyczaje egipskie z ustawą bazyliąską. Ustrój benedyktyński nie tworzył jednolitego ciała z ciągłym następstwem rządów, jak nowoczesne zakony na zachodzie: był to żywot niezależny, zatwierdzony władzą dyecezyalną. Tak Wiel. Bada, sam benedyktyn, zawsze mówi o benedyktyńskim żywocie, nigdy o benedyktyńskim zakonie. Musimy w samej rzeczy bardzo dokładnie odróżniać dwojaką postać benedyktynizmu, pierwotną czyli katolicką i późniejszą, czyli rzymsko-katolicką. Benedyktynizm w postaci pierwotnej i katolickiej polegał po prostu na trybie żywota zaprowadzonym za zgodą dyecezyalnego biskupa czy arcybiskupa, choćby nie benedyktyna. Nie było tam spójni, jak między członkami jednego ciała, monasterów zależnych od macierzystego domu. Urzędowo żaden węzeł nie łączył benedyktyńskich domów: jedynem ogniwem była święta reguła. Późniejsza, czyli rzymsko-katolicka postać spoistego ciała albo zakonu nie pochodzi z benedyktynizmu samego, ale nałożona z zewnątrz wywoływała we wielu wypadkach opór samych benedyktynów, kiedy Kościół rzymski zgwałcił ustrój pierwotny i katolicki, pod pozorem, jakoby sam jedynie stanowił Kościół katolicki, jakoby miał zatem monopol nad żywotem mniskim pierwotnego Kościoła i jakoby benedyktynizm w początkach od papieża uzyskał byt prawny i uznany, a inaczej nie mógłby powstać.

„Stopniowo Kościół rzymsko-katolicki nakładał swój monopol na benedyktynizm, aż sparaliżował do szczytu w Trydencie².

¹ str. 118.

² str. 119.

„Łatwo tedy odpowiemy, czy w kościele anglikańskim może się odnowić żywot benedyktyński? Pytać się o to może chyba sofista, bo kościół anglikański, jako katolicki, przez się prawnie może urządzić żywot benedyktyński. Św. Benedykt zgromadził swoich cenobitów zgodnie z Chalcedońskim Soborem Powszechnym, który wymaga tylko dyecezyalnej uchwały dla założyciela monasteru. Inne ustroje mniskie na zachodzie — Dominikanie, Franciszkanie, Jezuici i t. d. mają papieża założycielem, więc tworzą monopole papieskie i rzymsko-katolickie, ale benedyktynizm jest katolickim, więc nie o to trzeba się pytać, czy kościół anglikański może żywot benedyktyński wskrzesić, czy nie może, ale o to pytać się trzeba, czy papież może targać prawo Soboru Powszechnego, targać pierwotną myśl św. Benedykta, targać biskupią uchwałę o żywocie niezależnym, nie związanym w zakon i prowadzonym bez zmiany przez wieki“.

Nie dziw, że Aelred, zdolny tyle niesłychanych wykryć prawd dziejowych i kanonicznych, zasłużył u dra Temple'a na względy zaszczytne, mianowany „opat“ w maju 1902 r., tem samem prawny byt społeczeństwa mniskiego w anglikańskim Kościele zyskał urzędową powagę — pieczęć hierarchii¹. To też radosna дума przejęła wyznawców anglikanizmu, a dostojnicy na jego stolicach pasterskich i arcypasterskich szli w ślady swojego zwierzchnika z objawami przyjaźni i czci dla obrońcy ich owczarń przed ponętą zakonów w monopolu papieskim. Ze stolicy w Argyll przyszedł pierwszy list gratulacyjny². Ze stolicy Fond du Lac zjechał dr. Grafton, wprowadził w uroczystym pochodzie Aelreda na tron opaci wedle obrzędu benedyktyńskiego oraz rozpoczął zabiegi, aby dom dla jego cenobitów otworzyć w Wisconsin³. Ze stolicy Saint Davids zjechał pasterz w odwiedziny w r. 1906-ym, a arcypasterz stolicy Jorkskiej wymownym listem rozniósł po Ameryce sławę odnowiciela anglikanizmu. Oczywiście dom św. Brygidy poddał się temu patriarszemu za zgodą stolicy z Rochester, która upoważniła Ael-

¹ str. 23.

² str. 35.

³ str. 40.

reda, żeby wedle reguły benedyktyńskiej sprawował obowiązki opacie przy wyborze „ksieni“ i „kanonicznych oględzinach“.

Lord Halifax z potężnem stronnictwem bardzo hojną ręką popierali sprawę żywotną dla ich wyznania, a cała Anglia, Ameryka i Kolonie zamorskie rozczytywały się w opisach dzieła oczekiwanego przez lata. Roznosił o niem szczegóły kwartalnik *Pax*, ale nie wystarczał do odpowiedzi na tysiące listów, uwag, rad z obu półkuli. Cenobici wydali w r. 1907-ym apologię staranną w sześciu tysiącach egzemplarzy, rozechwytanych w ciągu trzech lat. Trzeba było wydać ją na nowo w roku ubiegłym.

Bohater
przed-
miotem
podzi-
wu.

Aelred w tej książce błyszczy chwałą bohatera, który natchniony wiekopomną ideą już na wszechniczy w go-
dzinach wolnych od wykładu pracował jako misyonarz
za zgodą duchowieństwa, zwiedzał ubogie dzielnice Londynu, gromadził dzieci na naukę, przemawiał do przechodni po ulicach, korzystał z lekarskiej wiedzy, aby z ulgą spieszyć do ubogich ¹. A kiedy się ujrzał patryarchą cenobitów, nie prędko zdobył dla nich dom własny na południu Walii: długo z miejsca na miejsce uciążliwą odbywał tułaczkę. Przecierpiał wtedy niezmiernie, szczęśliw, kiedy z zastępem młodzieży nie po drewnianych szalasach się krył, ale znalazł ochronę w zrębie murów ocalałych po zagładzie dawnych opactw benedyktyńskich. W niejeden próg zmurszały, przez zamszone, wrosłe w kamień podwoje wprowadzał uradowanych takim schroniskiem towarzyszy, świadków niespożytej siły anglikanizmu ². Niejeden dostojnik odwiedzał ich przejęty czią i podziwem dla siły woli ich niezłomnej wśród braków wszelakich. Lud okoliczny z zachwytem spoglądał na swojego dobroczyńcę, niestrudzonego w dzień żadną usługą, a pozbawionego spoczynku w nocy, bo już przed świtem brnął na czele nowicyuszów przez zasypy śniegowe, aby na wczesne nabożeństwo zdążyć do zboru, odległego o kilka kilometrów ³. Nim zdążył urządzić dom, nakoniec nabyty w Walii, musiał w ogrodzie obozować z towarzyszami; zajęli altankę,

¹ str. 18.

² str. 28.

³ str. 29.

gdzie im się spało nieźle w upały, a pod rozłożystymi konarami drzew miło się zasiadało do zimnej przekąski, która im przy ubóstwie starczyła za dzienny posiłek; ale jesień zachmurzyła im dnie sielankowe; po nocy przespanej wśród chłodu w wilgoci, po ranku w modlitwie, po godzinach pracy na kawałek chleba spoglądali na swojego ojca Aelreda, aby im jakąś kuchnię urządził. Nie zawiódł ich: zapalem serca rozgrzewał im ręce skostniałe z zimna, aby raźniej pracowali i prędzej zarobili kilkanaście szylingów na piec i jakiś sprzęt niezbędny. A tak ich utrzymywał w ochoczym nastroju, że widok ich żywota twardego nie zniechęcał, ale przysparzał im ochotników¹. Słowem, nie mógł już nikt anglikanom zarzucać, że ich wyznanie zlutrzałe umarza ducha przez wiarę bezczynną: dostawał odpowiedź tryumfatorów: „A nasz Aelred Carlyle?”

Nagle dzienniki na obie półkule świata rzuciły grom: Carlyle z podległymi mu obu domami, męskim i żeńskim, wyrzeka się anglikanizmu: wszyscy się gromadnie papieżowi poddają.

A jeszcze któregoś z poprzednich dni mówili: „Pójdziemy za naszym opatem i w ogień i w wodę i wszędzie! oczywiście tylko do Rzymu nie pójdziem!” Tak wychowańce Aelreda czuli się wybrańcami na krzewicieli anglikańskiego stanu mniskiego, nadzieją współwyznawców i przednią ich strażą na przesmykach, którymi kto chciałby się do Rzymu wykładać.

Skądże zwrot najsprzeczniejszy ze zwyczajem pochodem garstki doborowej?

Carlyle stracił zgodliwego na wszelkie jego zamysły zwierzchnika ze śmiercią dra Temple'a. Powitał tedy następcę jego dra Davidsona listem pełnym czci dla nowej głowy kościoła narodowego i zaprosił w odwiedziny do pierwszej przystani bogomyślnego anglikanizmu, aby naocznie mógł sprawdzić i ocenić dzieło wzbudzone na dobro jego owczarni. Dostojnik, według słów Messenger², jak dworak grzeczny i jak dworak zręczny, zapewnił Aelreda, że przystanie na sąd któregoś z przedstawicieli hierarchii: niech go Aelred w odwiedziny zaprosi.

¹ str. 30.

² 1913, str. 254.

Zaproszony dr. Gore ze stolicy w Oxfordzie również sam nie zjechał, tylko wyprawił dwu rzeczoznawców, którzy odkryli parę braków, a zwłaszcza ten, że benedyktyńskie obrzędy i księgi liturgiczne wprowadzają przeciwną anglikanizmowi wiarę w Przenajświętszy Sakrament i cześć dla Matki Boskiej. Wobec takiego świadectwa rzeczoznawców stolica oxfordzka przeprosiła Aelreda, że nie może zatwierdzić jego dzieła. Uwiadomieni o ujemnym sądzie anglikańskiego zwierzchnika, cenobici dali na jego list odpowiedzi pisemne, odczytane wspólnie 18-go lutego 1913 r.: wszystkie wypadły zgodne we wniosku ¹, że odrzuceni od kościoła anglikańskiego, mają się czempredziej poddać Rzymowi. Carlyle oświadczył, że nad tymi, którzy się poddają papieżowi, czuje się z tą chwilą pozbawionym władzy, ale dodał: „jestem pewny, że mój żywot dalszy zależy od tego, żebym szczerze i bezwzględnie poddał się rzymskiej stolicy“. I niezwłocznie rozpoczął kroki.

Wymiana listów zajęła kilka dni. W dzień św. Kazimierza przedstawiciel stolicy apostolskiej, biskup z Menevia, przyjmował od Aelreda z przeszło dwudziestoma podwładnymi wyznanie wiary trydenckiej: wnet w dzień św. Tomasza dom św. Brygidy z trzydziestu kilku cenobitkami poszedł śladem Aelreda.

Czy godzi się sądzić, jak anglikanie w *Church Times*, że Aelred wziął na kiel? jakoby upojony rozgłosem światowym, twórca idealnej zapory przeciw rzymskim pokusom, śmiertelnie obraził się urzędowym wyrokiem władzy niewdzięcznej i bez wystrzału wywiesił z twierdzy białą chorągiew.

Katolickie głosy nie zaprzeczają, (n. p. *Messenger* r. 1913 str. 253), że Carlyle ze swoimi wychowañcami okazywali się gotowymi przyjmować oklaski i radzi ze swojego dzieła ubiegali się dla niego o sławę. Mimo to żadne z pism katolickich nie wątpi o najlepszych chęciach tego męża o woli nieugiętej: nie draśniętą w nim dumę widzą, ale zmianę znaną z niezliczonych w Kościele przykładów, kiedy jego prześladowcy z Szawłów zostawali apostołami narodów.

Ks. K. Czaykowski.

¹ Pèlerin Nr. 1894 str. 19.

Episkopat polski w Galicyi wobec reformy wyborczej.

Dnia 3 z.m. ogłoszono znane oświadczenie Episkopatu polskiego w sprawie reformy wyborczej. Z tego powodu Stanisław Tarnowski sformułował na posiedzeniu Koła sejmowego dnia 4 z.m. stanowisko konserwatystów wobec tej enuncyacji i oświadczył: „Enuncyację księży biskupów uważamy za nadzwyczaj poważną, albowiem zasadą i podstawą kierunku, w jakim idziemy zawsze w życiu politycznem, społecznem i duchowem, jest bezwzględna wierność dla kościoła katolickiego i uszanowanie dla naszych arcybiskupów. Jeżeli ci nasi arcybiskupowie dzisiaj oświadczają, że co do projektowanej reformy wyborczej mają pewne wątpliwości, to jest naszym obowiązkiem do nich się odnieść, zapytać, jakie to są te punkty, które im wątpliwości nasuwają i dążyć zgodnie do ich usunięcia“.

W odpowiedzi na to Episkopat polski ogłosił oświadczenie, które w całości podajemy. Wyrazić należy nadzieję, że doniosła ta enuncyacja sprawy, iż postulaty religii i etyki będą w ordynacji wyborczej uwzględnione.

Redakcja.

Ekscelencyo!

Na interpelację publicznie ku nam zwróconą mamy zaszczyt odpowiedzieć co następuje:

Episkopat polski stanął przed bardzo trudnym i bardzo ważnym problemem. Przy uchwale bowiem nowego ustroju prawa wyborczego głosy Episkopatu polskiego według wszelkiego prawdopodobieństwa przechylić mogą szalę na tę czy na tamtą stronę. Jesliby tedy skutki nowego ustroju prawa wyborczego okazały się dla Kościoła i kraju złe, znaczną część odpowiedzialności ponosiłby właśnie Episkopat tak wobec własnego sumienia, jak i wobec społeczeństwa.

W poczuciu tej odpowiedzialności za krok swój Episkopat zebrał się na wspólną naradę i po sumiennem rozpatrzeniu zasad projektu oświadczył się przeciw niemu. Uważaliśmy za nasz moralny obowiązek postarać się o to, aby opinia w kraju była o tem powiadomiona. Inaczej bowiem mógłby nas spotkać słuszny zarzut od tych, co by radzi byli pójść za nami, że nic o naszym kroku nie wiedzieli, albo dowiedzieli się już zapóźno.

Z drugiej atoli strony nie naszą było rzeczą rzucać się w wir walk politycznych i układać szczegółowe projekty.

Lecz oto zaskoczeni zostaliśmy zapytaniem Waszej Ekscelencyi, publicznie do nas skierowanem, a więc domagającym się odpowiedzi także publicznej i głębiej w istotę rzeczy wchodzącej.

W wyłuszczeniu naszego stanowiska musimy przedewszystkiem stwierdzić, że nie kierowały nami żadne względy natury politycznej.

Jakkolwiek reforma wyborcza jest aktem politycznym, nie jest nim jednak wyłącznie. Nowy bowiem ustrój prawa wyborczego wy-
daje ze siebie prawodawców, którzy za pomocą władzy ustawodaw-
czej wpływać mogą i wpływać będą na wszystkie dziedziny życia
kościelnego, narodowego, kulturalnego, społecznego i moralnego,
a szczególnie na przyszły kierunek wychowania publicznego. Tem-
samem reforma wyborcza w te wszystkie dziedziny wkracza i z nimi
się łączy. Do nas więc, jako do stróżów prawd wiary w tych dziedzi-
nach życia należy pytać i badać, o ile do ich zdrowego rozwoju pro-
ponowany ustrój prawa wyborczego dopomaga, albo też w uprawn-
ionym rozwoju przeszkadza, lub go nawet niszczy.

I ten взгляд ostatni wpłynął wyłącznie na nasze stanowisko
w odniesieniu do projektu nowego ustroju prawa wyborczego.

Musimy też przede wszystkim zaznaczyć, że dalecy jesteśmy
od zamiaru ukrócania jakichkolwiek praw politycznych ludu.

Jesteśmy najgorliwszymi rzecznikami zdemokratyzowania na-
szego społeczeństwa, a temsamem przypuszczenia naszego ludu do
większego niż dotąd udziału w prawach politycznych. Niejedno-
krotnie też dawaliśmy publicznie w decydujących chwilach wyraz
naszym w tej mierze zapatrywaniom. I jeżeli czego żałujemy, to
chyba tylko tego, że czynniki powołane zbyt późno zaczęły się liczyć
z upragnionym ruchem ludowym i stąd, jak zwykle w takich ra-
zach bywa, często skazywane są następnie na to, aby przejściowy
interes konstelacji politycznych już identyfikować z interesem ludu.
Nie oświadczając się tedy za ustępstwami, którychby wymagały
same tylko przelotne chwilowe względy, rozumiemy nagłą potrzebę,
ażeby dać co rychlej ludowi to, co mu się słusznie należy.

My ufamy naszemu ludowi. My wiemy, jaki skarb i klejnot
jest w jego duszy. Jaka żywa wiara, jakie przywiązanie do Kościoła
nasz lud ożywia! Ksiądz Antoniewicz mawiał, że niebo zapełnione
polskim chłopem — mybyśmy sercami naszego ludu także i ziemię
zapełnić radzi. W ciężkich chwilach naszego życia kościelnego i na-
rodowego lud nasz stawał niejednokrotnie, by dźwigać i ratować.
W Podlaskiem krew swą przelewał dla wiary. W Poznańskim chłop
polski przyczynił się do zwycięstwa w kulturkampfie, a dziś broni
on kościelnego i z nim ściśle złączonego narodowego ustroju. Jak-
żebyśmy tedy mogli nie chcieć, by taki lud nie został wyposażony
w pełnię należnych mu praw. Ale właśnie dlatego, że mu ich z serca
życzymy i z duszy ich pragniemy, chcemy i żądamy dla niego ta-

kiego ustroju prawa wyborczego, przez który zdrowa dusza ludu znajdzie ujście, by temu, co czuje i temu, co kocha, mogła dać także wyraz w życiu publicznem i w życiu społecznem.

Pragniemy też, ażeby prawa posiadania politycznego ludności chrześcijańskiej nie były nadwężone. Jest to zasadniczy postulat sprawiedliwości społecznej.

Nie myślimy bynajmniej naruszać zasady równouprawnienia narodowości niechrześcijańskich, ale właśnie wychodząc z tej zasady, musimy uważać sztuczne osłabienie chrześcijańskiego elementu w naszych miastach i miasteczkach przez wydzielenie z nich jednej części wyborców chrześcijańskich i skupienie ich w osobnych okręgach wyborczych i przez pozostawienie drugiej części tych wyborców bez słusznej ochrony ich prawa wyborczego, za naruszenie praw politycznego posiadania chrześcijańskiej ludności, do którego w imię swej chrześcijańskiej kultury ludność ta ma pełne prawo.

Kto zaś wie, czem są dla nas miasta i miasteczka, te prawdziwie twierdze naszej chrześcijańskiej kultury, ten zrozumie, jak niesprawiedliwą i jak szkodliwą jest rzeczą podobne wywłaszczenie chrześcijańskiej ludności z jej politycznego stanu posiadania.

Stanowisko nasze wobec reformy wyborczej nie jest też podyktowane żadnym partykularyzmem narodowym, wrogim narodowości drugiej — narodowości ruskiej. Dawaliśmy tego niejednokrotnie dowody, jak szanujemy i kochamy wszędzie bratni obrządek, jak w tej mierze pojmujemy szeroko myśl Kościoła i jak szczerze życzymy sobie uprawnionego rozwoju narodowości ruskiej. Rozumiemy też potrzebę uwzględniania słusznych praw politycznych narodowości ruskiej. W celu zabezpieczenia jednak zgody i jedności obu narodów, sądzimy, że do trwałej harmonii może tylko poprowadzić taki ustrój nowego prawa wyborczego, który równomiernie uwzględnia obie narodowości, zamieszkujące wspólnie tę ziemię, a który przystosowuje się do warunków wzajemnego ich współżycia.

Tym zaś punktem wyjścia dla takiego ustroju politycznego winna być wedle zdania naszego rodzina, w której żyją razem obie narodowości, ruska i polska.

Wprawdzie zupełnie co innego jest życie rodzinne, a co innego życie polityczne, to jednak oddziałują wzajemnie na siebie. Kto wie, jak każdy akt wyborczy łączy się ściśle z mnóstwem czynników także moralnych i duchowych, ten zrozumie, jak szerokie jest oddziaływanie

aktu wyborczego, jak daleko sięgający proces psychiczny go poprzedza i po nim następuje.

Zdaje się więc nam, że wspólność w rodzinie winna być zatwierdzoną przez wspólność w gminie, a potem przez wspólny udział urny wyborczej. Sądzymy też, że każda petryfikacja separatyzmu politycznego, czy w samym Sejmie, czy w rozdziale obu narodowości między dwie osobne urny wyborcze, jest czemś przeciwnem charakterowi i naturze wzajemnego współżycia i stąd bodaj czy zamiast spodziewanej i pożądaney zgody, nie wniesie rozdziału w to wszystko, co stosunki i życie złączyły i zespoliły.

Nie chcemy wchodzić w polityczną stronę odnośnego projektu. To do nas nie należy — ale sądzymy, że obowiązkiem jest naszym choćby tylko przedstawić obawy i przypuszczenia pod względem moralnym i duchowym.

Mając po tych wstępnych uwagach wskutek interpelacji Wszech Ełkscelencyi podać motywa naszego zasadniczego stanowiska, nie możemy wchodzić w szczegóły.

Bo jakkolwiek my sami właśnie szczegóły tego projektowanego prawa wyborczego sumiennej poddaliśmy dyskusyi i rozpatrzeniu, to ogłaszanie publiczne w takiej sprawie uważamy za niewskazane. Jakże bowiem łatwo w chwili takiego napięcia różnych interesów i politycznych namiętności moglibyśmy być pomówieni o sprzyjanie tej, czy owej politycznej partyi dlatego już samego, iż z nią przypadkiem mamy wspólne obawy co do jakiegoś konkretnego punktu.

Nam zaś, którzy stoimy na stanowisku nadpartyjnym, zależy bardzo na tem, aby nawet pozorów na siebie nie ściągać, że się powodujemy jakimiś innemi względami ubocznymi, a nie jedynie i wyłącznie względem na dobro ogólne. Dlatego też ograniczamy się do jaknajogólniejszego określenia naszego zasadniczego stanowiska.

Nasz sąd o projekcie reformy wyborczej streszczamy w jednym zdaniu: ten projekt reformy wyborczej budzi najpoważniejsze, zasadnicze obawy i zagraża zalewem radykalizmu zarówno niebezpiecznego dla praw religii i etyki, jak i dla związanej z niemi nierozdzielnie kultury narodowej.

Wszelki radykalizm czy to polityczny, nie cofający się przed zdeptaniem choćby najświętszej zasady etycznej, byleby jeno dojść do swego celu, czy też społeczny, idący pod sztandarem waśni kla-

sowych i nienawiści, godzi w same podstawy ustroju społecznego i moralności publicznej.

I niechaj nikt nam nie mówi, że to się nie sprzeciwia zasadzie katolickiej. Wszystko, co nadwiera etykę publiczną w taktyce czy w zasadach, tem samem nadwiera ustrój wszelki religijny, który tylko na zdrowej moralności publicznej wspierać się może.

Nasze zaś obawy w odniesieniu do tego właśnie projektu prawa wyborczego są tem silniejsze, o ile mniejszości, mające zdolność i prawo w imię swej kultury moralnej, czy chrześcijańskiej, aby być równoważnikiem ustroju życia publicznego w różnych organizacjach wyborczych, częścią zupełnie, częścią niedostatecznie są w tym projekcie chronione.

Im gorętszymi jesteśmy zwolennikami demokratyzacji społeczeństwa, tembardziej zwalczać będziemy jego radykalizowanie.

Demokratyzacja społeczeństwa powołuje nowe pierwiastki świeże i nieużyte do służby społecznej, radykalizm zaś wnosi zarzewie waśni i nienawiści, a zdrowe elementa osłabia, rozkłada i usuwa.

Demokratyzacja społeczeństwa odnawia i odmładza duchowo zdrową krew narodu, podczas gdy radykalizm zatruwa ją i niszczy.

Zdrowa demokratyzacja społeczeństwa jest zawsze pożądana, widmo zaś radykalizmu jest największem niebezpieczeństwem właśnie dla samej demokratyzacji społeczeństwa, to też zwalczanie go jest powszechnym obowiązkiem.

Obowiązek zaś ten jest podyktowany także samym instynktem zachowawczym społeczeństwa.

Spółeczeństwo nasze wyszło z pierwiastków kultury chrześcijańskiej, na niej się urobiło, z jej soków ssało, z niej cały ustrój dla swych podwalin społecznych wzięło.

W takim zespoleniu pierwiastka chrześcijańskiego i ustroju społecznego, społeczeństwo, które się broni przed radykalizmem, broni tem samem swojego rozwoju, życia.

Łączymy dla Waszej Ekscelencji wyrazy winnego szacunku i poważania.

† *Józef Bilczewski*, arcybiskup lwowski, † *Józef Pelczar*, biskup przemyski, † *Adam Sapieha*, książę-biskup krakowski; † *Józef Teodorowicz*, arcybiskup lwowski, ob. orm.; † *Leon Wałęga*, biskup tarnowski.

Dwudziestolecie Tow. dziennikarzy polskich.

— „Czasy nasze wymagają znacznie więcej obrońców prawdy piórem, niż głosicieli prawdy na ambonie“ — wyrzekł słusznie Ojciec św. Pius IX., skoro były prezes ministrów francuskich Combes, wybitny filar wolnomularstwa wyznał w artykule, drukowanym w wiedeńskiej *Neue Freie Presse* (z dnia 29 marca 1907 r.) najzupełniej, otwarcie, a jest u panów tego autoramentu rzadkością niebywałą szczerzość taka, że „religia katolicka, którą w XVIII wieku zwalczała tylko filozofia w salonach i w kosztownych wydawnictwach, jest teraz zwalczana codziennie przez liberalizm w ludowych jednocentowych pismach... Można rzec śmiało, że dwie trzecie, może trzy czwarte narodu francuskiego oderwała od Kościoła prasa radykalna i socjalistyczna“...

Dwadzieścia lat stać równie wytrwale na straży godności i czystości prasy polskiej, a zarazem troskać się nieustannie o byt szary pracowników pióra, których imiona zaginą w niepamięci, choć dawali oni dzień w dzień strawę, pożądaną dziś zarówno w pałacu, jak też w suterrenach, lat dwadzieścia wysiłków żmudnych nad konsolidacją *irritabilis generis*, jakim jest każdy dziennikarz, toć to chyba niemały tytuł do zasługi rzetelnej, której podniesienie uważamy równocześnie za obowiązek serca, ale też i sumienia. Tem śmielej wolno mnie to uczynić, jako że nie mam zaszczytu należenia do Towarzystwa dziennikarzy polskich, więc chyba o stronniczość posądzony nie będę.

Naruszewiczowski „Chudy literat“ pozostał po dziś dzień nie tyle przysłowiowym, ile najrealniejszym w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Jakby na ironię losu, dziennikarz, trzymający rękę na pulsie organizmu narodu, tak niezdrowego, jak polski, zdany jest, nawet dzisiaj jeszcze, na byt nietrwały, na życie z dnia na dzień, na życie bez jutra. To też kiedy w roku 1893 garstka śmiałków, ale świadomych celu i rozporządzających wydatną sumą energii, zamierzyła powołać do życia stowarzyszenie zawodowe ściśle z wybitnym celem humanitarnym w progranie; nie brakło puszczyków, nie wróżących inicytorom powodzenia. Ci jednak, nie zrażeni apatją powszechną, objawianą u nas wobec nowych przedsięwzięć, zakasali rękawy i zabrali się raźnie do dzieła, pracowali zaś z taką niepowszednią wydatnością, że już w roku 1896 okazała się potrzeba konieczna rozszerzenia statutu Tow. na sprawy dotąd nieprzewi-

dziane, posiadające znaczenie ogólne. Głos jego w sprawie zniesienia stempla dziennikarskiego zaważył bądź co bądź na szali, przez delegację zaś na IV międzynarodowym kongresie prasy w Budapeszcie zadokumentowano wyraźnie samodzielność prasy polskiej, dotąd nie zastępywanej oficjalnie na zjazdach. Niemalże też przyczynił się do podniesienia i utrwalenia powagi dziennikarstwa polskiego odbyty w roku 1899 w Krakowie kongres dziennikarzy słowiańskich.

Z niczego też napozór, bo tylko z wkładek członkowskich i udanych nadzwyczaj przedsiębiorstw, zaczęto ciuć kapitał, ale to w sposób dowodzący, że „panowie od pióra“ niesłusznie nazywani bywają lekkoduchami, skoro przeciętnie rok rocznie można było wzmoć fundusz żelazny Tow. kwotą weale poważną, wynoszącą bowiem przeciętnie 20.000 koron rocznie. Co prawda — nie jest to tyle, ile uczynić potrafiło analogiczne stowarzyszenie, *Concordia* wiedeńska, ale trzeba, przy chęci wszelkich porównań i zestawień, wziąć pod uwagę liczbę członków i ich siłę finansową.

Zarazem zaś pamiętać należy, że z roku na rok wzmagaly się stale zobowiązania Tow. wobec członków swoich i świadczenia dobrowolne na rzecz nawet nieczłonków. Toć już w dziesięć lat od założenia Tow. umiało ono spełnić obowiązki, zastrzeżone statutem, przez płacenie pensyi emerytalnych członkom w łącznej sumie 2850 kor., która to kwota podskoczyła w roku następnym od razu do wysokości 4895 kor. Łatwo zrozumiałe jest chyba, że każdy rok następny podwyższał sumę wymienioną.

W sprawach zawodowych dziennikarstwa polskiego stało się Tow. areopagiem, przed którego sądem korzyli się wszyscy i poddawali mu chętnie. Wystarczy, jeśli dla ilustracyi przytoczę, że nie mogąc, nawet sądownie, wy dostać honorarium mnie należnego, z pewnego dziennika zakordonowego, zawiadomiłem stronę interesowaną, iż sprawę podam do wiadomości wydziału Tow. dziennikarzy polskich, a w terminie przezemnie wyznaczonym otrzymałem nietylko pretensyę moją pieniężną, ale zarazem liścik słodziutki, jak cukier, byle tylko milczeć o „nieporozumieniu“, nie zaszłem z winy podpisanego.

Jednakowoż nie tylko samego zawodu dziennikarskiego broniło zawsze Tow. Jako wyraźnie polskie stowarzyszenie nie omieszkalo nigdy zabrać głosu, gdy sprawa narodowa, wagi ogólnej, była kiedykolwiek zagrożona. Wystarczy przypomnieć, że na międzynaro-

dowym kongresie prasy w Wiedniu w roku 1904 wystąpiło Tow. w sposób stanowczy przeciwko wydaleniu obcopoddanych dziennikarzy polskich przez władze pruskie, a niemniej też przeciwko odbieraniu debiutu pocztowego pismom proskrybowanym przez „hakatę“. Równie poważne były odezwania się Tow. w sprawie wrzesińskiej, awantur ruskich na wszechnicy lwowskiej i osławionego paszkwilu Björnsona na naród polski. Nie godzi się też pominać w tej krótkiej notatce doprowadzenia do skutku wydania w porozumieniu z Radą narodową głośniejszą w swoim czasie broszury p. t.: 170 *proces de presse*, która wywarła powszechnie duże wrażenie. A jak doniosłą była enuncyacya, którą Towarzystwo uchyliło się od udziału w międzynarodowym kongresie dziennikarskim w Rzymie, mającym uświetnić antypapieskie obchody Włoch. Enuncyacya ta pełna godności, a uzasadniona katolickim charakterem narodu polskiego, nie tylko, że zwróciła na siebie powszechną uwagę europejskiej prasy, ale i sławioną była za granicą, jako wzór konsekwencji i szlachetnej odwagi przekonań.

Nie dziw tedy, jeśli działalność zbożna wydaje plony obfite a zdrowe, że zyska uznanie społeczeństwa, nawet tak niezamożnego, jak galicyjskie. Bo oto — w roku ubiegłym zostało przy Tow. stworzone pierwsze przez dziennikarza polskiego stypendyum. Pp. Stanisław i Konstanty Wojnarowscy złożyli Tow. 10.000 koron z przeznaczeniem procentów od tej kwoty na stypendyum imienia dra. Feliksa Strzemię Woynarowskiego dla sierót obojga płeć po literatach i dziennikarzach polskich.

Bardzo smutnie świadczyłoby o społeczeństwie, gdyby nie miało u niego zyskać zaufania stowarzyszenie, które w r. ub. z 44.395 koron ogólnego dochodu przelało do funduszu żelaznego 31.669 koron, który obecnie dosięgnął sumy pokaźnej 386.223 koron. A przecież na pensye wdowie, zaopatrzenia sierocy i pensye emerytalne wydatkowano w r. ub. 10.390 kor., na zapomogi zaś doraźne 1440 kor. I — dodać należy — wszystkiego tego dokonano, licząc jedynie 52 członków wspierających, 12 uczestników i 64 zwyczajnych.

Wresze nie mogą zamilczeć faktu, iż Tow. poprzec umiało materialnie dziennikarzy i publicystów chorych, jakkolwiek oni wcale nie należeli do Tow., ba, nie byli nawet narodowości polskiej. Samarytanizm ten trudno chyba nazwać nową krzywdą... ruską.

Ojciec św. Pius X pobłogosławił pióro dziennikarza i wręczając mu je, wypowiedział pamiętne słowa :

— „Niemasz żadnej szlachetniejszej misji od misji dziennikarza. Błogosławię ten symbol twego powołania. Moi poprzednicy błogosławili miecze i oręż rycerzy chrześcijańskich, ja wolę ubłagać błogosławieństwo dla pióra dziennikarza katolickiego“...

Za niestrudzoną straż rubieży interesów polsko-katolickich, za utrzymanie etyki dziennikarstwa polskiego na stopniu najwyższym, za pracę wytrwałą a owocną w kierunku zabezpieczenia bytu szeregowi całemu pracowników pióra, za serce poczciwe winniśmy Tow. część, z której wyrazami załączamy życzenie z serca pochodzące :
Vivat, crescat, floreat!... Dr. Stanisław Zdziarski.

Kurs katechetyczny w Krakowie.

Związek galicyjskich XX. Katechetów, zachęcony przykładem i powodzeniem ostatniego kursu katechetycznego we Wiedniu, postanowił urządzić takowy dla polskich kapłanów, którzy nauczają religii w szkołach. Kurs ten odbędzie się w pierwszej połowie listopada 1913 r. w Krakowie i potrwa 4 dni. Omawiane będą zarówno sprawy nauczania jak wychowania religijnego w szkołach średnich, ludowych, wydziałowych i dopełniających. Tymczasowy komitet porozumiał się już z Kołami katechetycznymi w Galicyi, Królestwie i Poznańskiem, ułożył tematy do dyskusji i zapewnił sobie referentów. Prace przygotowawcze jeszcze przed wakacjami będą ukończone i niebawem ogłoszony zostanie dokładniejszy termin zjazdu, szczegółowy program, warunki i udogodnienia dla uczestników. Komitet nie wątpi, że kurs, którego sami XX. Profesorowie się domagali, odczuwając jego potrzebę, obudzi powszechne zainteresowanie i sprowadzi do duchowej stolicy Polski mnogich uczestników z kraju i z poza kordonu.

Konkursy Akademii Umiejętności w Krakowie.

Akademia Umiejętności przedłuża następujące konkursy :

1. Konkurs z zapisu ś. p. generała Oktawiusza Augustynowicza :

„Dzieje zniesienia zależności poddańczej i włączenia włościan w kraja, które niegdyś w skład byłej Rzeczypospolitej Polskiej wcho-

dzily, poprzedzone historycznym poglądem na wytworzenie się klasy włościańskiej w dawnej Polsce, jej rozwój i stopniowy upadek, z uwzględnieniem wszelkich objawów tak w literaturze naszej, jak i w samem społeczeństwie, mających na celu polepszenie losu tej klasy“.

Temat powyższy rozdziela się na następujących pięć części:

1) Dzieje ludności włościańskiej w dawnej Polsce Piastowskiej, mianowicie w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu, Kujawach i na Śląsku;

2) Dzieje ludności włościańskiej na Rusi i Litwie;

3) Dzieje zniesienia zależności poddańczej w krajach byłej Rzeczypospolitej, przyłączonych do cesarstwa rosyjskiego z uwzględnieniem także Inflant i Kurlandyi;

4) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do królestwa pruskiego, mianowicie w Prusach Królewskich i w W. Ks. Poznańskiem; wreszcie

5) Dzieje zniesienia tejże zależności w krajach przyłączonych do cesarstwa austriackiego.

W części czwartej i piątej należy uwzględnić także Śląsk jako integralną część Polski Piastowskiej.

W części pierwszej i drugiej, obejmującej historię ludności wieśniaczej w dawnej Polsce, winny być dokładnie wyjaśnione fakty, z których wywodziła się zależność poddańcza, oraz stosunek wieśniaka do gruntu przezeń posiadanego, jaki istniał pierwotnie. Literaturę, odnoszącą się do kwestyi rozwiązania i uregulowania stosunków włościańskich, należy uwzględnić w trzech ostatnich częściach.

Temat powyższy może być opracowany bądź w całości, bądź też każda część osobno. Jednolite opracowania bądź całego tematu, bądź też pierwszych dwóch, lub trzech ostatnich części razem, przedewszystkiem zaś pierwszych dwóch razem, będą miały pierwszeństwo do nagrody przed równie dobrymi opracowaniami osobnymi pojedynczych części.

Za najlepsze opracowania uznane będą tylko takie, które nie tylko celować będą między innymi pracami nadesłanymi, ale nadto będą odpowiadały dzisiejszym wymaganiom nauki.

Nagrody ustanawia się, jak następuje:

a) za część 1 i 2-gą po 2.000 koron;

b) za część 3-cią 3.200 koron;

c) za część 4-tą 2.400 koron;

d) za część 5-tą 2.800 koron.

Nagrodzone opracowania winny być ogłoszone drukiem. Na ten cel przeznaczają się fundusz 2.600 koron; gdyby ten fundusz nie wystarczał na pokrycie kosztów druku, autorowie winni pokryć nadwyżkę ze swego w stosunku do objętości swoich prac.

Opracowania należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najdalej do końca grudnia 1913. (Nr. Dz. pod. 60/10, 35/12, 61/13).

2. Akademia Umiejętności przedłuża niniejszem **konkurs im. Juliana Ursyna Niemcewicza** na trzy następujące tematy:

1) „*Historja ustroju Królestwa Kongresowego (1815—1830)*“.

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1913 roku.

2) „*Historja obyczajów społeczeństwa szlacheckiego w Polsce w końcu XVI i na początku XVII w. w obrębie obranego terytorjum (co najmniej województwa Rzeczypospolitej)*“.

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1913 roku.

3) „*Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii lubelskiej*“.

Nagroda 2.500 franków.

Termin: 31 grudnia 1913 roku.

Nagrody mogą być podzielone na dwie, niekoniecznie równe części. (Nr. Dz. podaw. 2944/03, 120/08, 391/09, 63/10, 36/12 i 65/13).

3. W celu uczczenia 60-letniego Jubileuszu Najjaśniejszego Cesarza Franciszka Józefa, Akademia Umiejętności w Krakowie rozpisuje niniejszem konkurs na napisanie „**Historji Galicyi w okresie lat 1848—1908**“.

Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1913.

Nagroda wynosi 1200 koron; objętość dzieła co najmniej 20 arkuszy druku.

Akademia Umiejętności zastrzega sobie prawo własności nagrodzonego rękopisu. Po wydrukowaniu autor otrzyma jako honorarium — oprócz nagrody — dalsze 1.200 koron.

Autor winien zwrócić przedewszystkiem uwagę na rozwój wewnętrznych stosunków Galicyi i wszechstronnie przedstawić wszystko, co w tym kierunku w czasie 60-letniego okresu do skutku przyszło.

Uczeni, zamierzający podjąć się tej pracy, mogą po bliższe informacje zgłaszać się do Sekretaryatu Generalnego Akademii (Nr. Dz. p. 338/08, 37/12 i 66/13).

4. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem **konkurs z fun. Ks. Adama Jakubowskiego** na następujące dwa tematy :

- 1) „*Historya ustroju Księstwa Warszawskiego*“.
- 2) „*Monografia jednej z wybitnych osobistości polskich z epoki porzobiorowej*“.

Nagroda wynosi 1.400 koron i może być podzielona na dwie niekoniecznie równe części.

Termin konkursu 31 grudnia 1913 (Nr. Dz. pod. 121/08, 392/09, 64/10, 38/12 i 67/13).

5. Akademia Umiejętności w Krakowie przedłuża niniejszem **konkurs im. Czerwińskiego** na napisanie „*Historyi sztuki w Polsce*“.

Warunki konkursu są następujące :

1) Historya sztuki w Polsce ma uwzględnić wszystkie Ziemie dawnej Polski łącznie z Litwą i Rusią.

2) Powinna objąć czas od przyjęcia chrześcijaństwa przez Polskę aż po koniec stylu empire.

3) Ma być syntezą dotychczasowych badań na tem polu ; samodzielnych rezultatów się nie wymaga, są jednak pożądane.

4) Układ i rozmiary dzieła pozostawia się autorowi.

5) Fotografii ani rysunków autor nie jest obowiązany dołączyć do rękopisu.

6) Do konkursu dopuszczone mogą być prace zbiorowe, ewentualnie przez kilku autorów wykonane, jednakże jednolitej redakcyi.

7) Termin konkursu upływa dnia 31 grudnia 1913 r.

Nagroda wynosi 1.000 rubli.

(Nr. Dz. p. 2828/04, 119/08, 390/09, 558/10, 39/12 i 68/13).

Przypomina się nadto konkursy ogłoszone dawniej, których termin upływa z 31 grudnia 1913 :

6. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza niniejszem **konkurs im. Józefa Majera** na następujący temat :

„*Stosunki mineralogiczno-petrograficzne północnego trzonu Tatr*“.

Nagroda wynosi 2.000 koron.

Termin konkursu upływa 31 grudnia 1913 r. (Nr. Dz. pod. 96/12, 63/13).

7. Akademia Umiejętności ogłasza niniejszem **konkurs im. Mikołaja Kopernika**, a mianowicie :

„*Opracować stosunki klimatyczne jednej z większych dzielnic*“

Ziem Polskich, albo porównać pod względem klimatycznym którąkolwiek z kolonii zamorskich, do których emigruje gromadnie ludność polska, z klimatem rodzimym“.

Nagroda wynosi 1.200 koron.

Termin konkursu 31 grudnia 1913. (Nr. Dz. pod. 388/07, 98/08, 410/09 i 64/13).

Autor pracy uwieńczonej nagrodą zatrzymuje jej własność. Gdyby jednak w przeciągu roku od wypłacenia mu nagrody pracy uwieńczonej drukiem nie ogłosił, natenczas uczynić to może sama Akademia, ale autor traci prawo własności swej pracy na rzecz Akademii.

Zarówno autor, jak i Akademia, składają po cztery egzemplarze wydrukowanej pracy Gminie miasta Krakowa.

Ogłasza się na nowo :

8. Akademia Umiejętności ogłasza **konkurs im. Lindego**.

Do konkursu tego dopuszcza się prace z zakresu języka polskiego a mianowicie: prace leksykograficzne z zakresu gramatyki, historii języka i dyalektologii polskiej, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi, mogące w jakibądź sposób służyć za dopełnienie Słownika Lindego. Prace te mogą być według aktu fundacyi drukowane lub też w rękopisie nadesłane do Akademii; powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić zaokrągloną i skończoną całość.

Nagroda 675 rubli.

Termin konkursu upływa 31 grudnia 1915. (Nr. Dz. pod. 62/13).

9. Zarząd Akademii Umiejętności ogłasza na mocy statutu fundacyi ś. p. **Dra Michała Zieleniewskiego**, zatwierdzonego przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie reskryptem z dnia 25 stycznia 1913 Nr. XIII b 86/1, dwa konkursy:

Konkurs pierwszy z terminem po koniec roku 1920 na uzupełnienie „*Słownika bibliograficzno-balneologicznego polskich zakładów zdrojowo-kąpielowych*“, wydanego przez ś. p. Dra Michała Zieleniewskiego w r. 1891. Rękopisy należy nadsyłać do Kancelaryi Akademii Umiejętności najpóźniej do 31 grudnia 1920 roku.

Autor obowiązany jest dostarczyć zupełnie wykonanego rękopisu i nie ma prawa żądać zaliczek; po przyjęciu uzupełnienia „Słownika“ otrzyma autor honorarium wedle arkusza, w wysokości przez Akademię ustanowionej.

Nadesłano do Redakcji następujące książki:

Katalog dokumentów i papierów rodzinnych, pozostałych po ś. p. Ad. Ant. Kosińskim, a będących do nabycia u D. Kosińskiej. Warszawa. Czcionkami drukarni „Przeglądu katolickiego“. 1913. Str. 24.

List otwarty do JW. Pana Tadeusza Cieńskiego, prezesa Rady Narodowej. (Podpisał Jerzy Moszyński). Nakładem autora. Druk „Czasu“ w Krakowie. 1912. Str. 26.

Gallus i Kadłubek przez dra Zygmunta Bujakowskiego (zeszyt I. studyów filozoficzno-literackich). Odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“. Druk A. Ginsa. Warszawa. 1913. Str. 32.

Judas z Kariothu. Dramat w pięciu aktach, napisał Karol Hubert Rostworowski. Nakład G. Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków. 1913. Str. 206.

Lucifer. (Gwiazdka w Baedekerze. Pastele: Kto on; w otchłań; jak liście z drzew stracone). Napisał Jan Łada. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków. 1913. Str. 302.

Trzy pokolenia. Powieść. Napisała Emma Jeleńska. Nakład Gebethnera i Wolffa. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków. 1913. Str. 278.

Tomasz a Kempis. Poemat przez Kazimierza Kosińskiego. Nakład autora. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. 1913. Str. 52.

Słowianoznawstwo a słowianofilstwo. Przemówienie dra Feliksa Konecznego na założenie Towarzystwa Słowiańskiego w Krakowie. (Wydawnictwo Tow. Słowiańskiego w Krakowie. Biblioteka Słowiańska. Dział I: Popularno naukowy. T. 1). Nakładem Towarzystwa Słowiańskiego. Czcionkami drukarni Literackiej. Kraków. 1913. Str. 24 + 8.

Miscellanea archiwalne. Wydał Alexander Kraushar. T. III. Memorabilia z czasów powstania listopadowego 1830—1831. I. Nakład Gebethnera i Wolffa. Z drukarni Wł. Łozińskiego. Warszawa—Kraków. 1913. Str. 250.

Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Życiorysy, streszczenia, wyjątki pod redakcją Bronisława Chlebowskiego, Ignacego Chrzastowskiego, Henryka Gallego, Gabryela Korbuta, Manfreda Kridla, Stanisława Krzemińskiego. Tom VII. Wypisy Nr. 798—880. Nakład Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków. 1913. Str. VII + 515.

Marysia i Róża. Wesoły szkic z życia małuczkich. Napisał Staszko Maradźow. Wolny przekład z bułgarskiego. Nakład księgarni Spółki Wydawniczej. Czcionkami drukarni Literackiej. Kraków. 1913. Str. 48.

Królowej Anielskiej śpiewajmy. Czytania na maj lub październik, osnute na tle pieśni kościelnych do Najśw. Panny Maryi. Napisał ks. Tadeusz Marekowski. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. Brody. 1913. Str. 107.

Ustawy Sodalicyi Maryańskich. Wydawnictwo Chyrowskiego Koła Towarzystwa im. Piotra Skargi. Druk F. Westa w Brodach. Chyrów. 1913. Str. 38.

Słowa Pisma świętego podane do rozmyślenia. II. Exodus: Księga wyjścia. Drukowane jako manuskrypt. Zakład Kornicki. Str. 232 + 17.

Stronnictwo demokratyczno-narodowe w świetle nauki katolickiej przez ks. F. Kujawińskiego. Nakładem autora. Czcionkami św. Wojciecha. Poznań. 1913. Str. 106.

Kościół Chrystusowy do Konstantyna Wielkiego. Nr. 12 wydawnictwa „Za Prawdę“. Nakładem i czcionkami św. Wojciecha. Poznań. 1913. Str. 34.

Ks. Tomasz Wall T. J. Nekrolog napisany przez ks. Jarosława Rejowicza T. J. Drukiem „Czasu“. Kraków. 1913. Str. 11.

Z przeszłości i teraźniejszości robotnika czyli powody ruchu robotniczego, skreślił A. M., słuchacz wydziału nauk ekonomiczno-społecznych na uniwersytecie w Monachium. Nakładem autora. Czcionkami drukarni „Głosu Narodu“. Kraków. 1913. Str. 62.

List otwarty do Jaśnie Wielmożnego Pana Henryka Dembińskiego, prezesa stronnictwa polityki realnej w Królestwie Polskiem. Napisał Jerzy Moszyński. Nakładem autora. Czcionkami drukarni „Czasu“. Kraków. 1913. Str. 107.

Pierwotna kaplica Serca Jezusowego w Krakowie na Wesołej. Napisał X. Jarosław Rejowicz T. J. Nakładem kolegium OO. Jezuitów na Wesołej. Czcionkami drukarni „Czasu“. Kraków. 1913. Str. 22.

Ze studyów nad epoką Saską. Napisał Kazimierz Maryan Morawski. Odbitka z „Przeglądu Polskiego“. Nakładem autora. Odbito w drukarni „Czasu“. Kraków. 1913. Str. 45.

1863—1913 napisał Stanisław Tarnowski. Nakładem W. D. Drukarnia „Polonia“. Lwów. 1913. Str. 8.

Kilka słów prawdy. Czytania rekolekcyjne I. Napisał ks. Alexander Mohl T. J. Nakładem i drukiem św. Wojciecha w Poznaniu. 1913. Str. 240.

Jobsiada. Epos komiczne doktora Karola Arnolda Kortuma, przekładania Maryi Konopnickiej. Sumptem Gebethnera i Wolffa. W tłoczni Wł. L. Anczyca i Sp. w Krakowie. 1913. Str. 152.

Na grani szczęścia. Lakryma. Nakład Gebethnera i Sp. Z drukarni „Sztuka“ w Krakowie. 1913. Str. 56.

Eliza Orzeszkowa przez Aurelego Drogoszewskiego. Nakład Gebethnera i Sp. Druk Wł. L. Anczyca i Sp. Kraków. 1913. Str. 95.

Swojskie małpy napisał Klewe. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. Brody. 1913. Str. 194.

Jezus Król, Marya Królowa. Kazanie w dniu koronacji obrazu Najśw. Panny w Kochawinie X. Arcybiskupa J. Bilczewskiego. Z drukarni Józefa Chęcińskiego. Lwów. 1913. Str. 16.

Boski poemat. Fra Silvio. Nakład i druk Mikołajtysa. Łódź. 1913. Str. 233.

Przełomowy moment w życiu publicznem Galicyi.

Na pierwszym planie naszego życia publicznego stanęły dwie enuncyacye Episkopatu w Galicyi. Zstały w sam środek ruchu i walki i w silną dłoń ujęły tak doniosłe sprawy, jak reforma wyborcza i zbliżające się wybory do Sejmu, jak ukształtowanie się politycznych stronnictw.

Kto wie, jak przedstawiciele hierarchii katolickiej w ogólności są oszczędni w korzystaniu z politycznych przywilejów, kto w szczególności uprzytomni sobie analogiczną rolę Episkopatu w naszym kraju, ten zrozumie, że zajęć musiały głębokie i nazbyt doniosłe przyczyny, które to wystąpienie spowodowały ten wie przedewszystkiem, że pod formą tego wystąpienia kryć się musi jakaś istotna idea, jedna z tych, które patrzą na drobne zabiegi ziemskie z wyżyny wieczności.

Dokoła tych dwu enuncyacji powstał rozgwar, ścisk i tłum. Jak zwykle tak i tu usiłują ludzie dostosować rzecz wysoką do swego poziomu; jedni kują z enuncyacji Episkopatu broń polityczną dla siebie; drudzy, czując się zagrożonymi w swoim stanie posiadania, nie przebierają w środkach celem jej zwalczania; inni wreszcie, nie mogąc wyznać się w położeniu, milczą i czekają. Wszyscy mają na oku interesy tak konkretne, że wystarczy przeciąg jednego miesiąca, żeby je rozstrzygnąć.

Wszyscy ci nie doceniają znaczenia biskupich enuncyacji.

Oczywiście, enuncyacye Episkopatu spowodowane były wypadkami konkretnymi i tymi wypadkami się zajmują. Minąłby

się z rzeczywistością ten, kto znaczenie enuncyacyj chciałby zamknąć granicami ogólnej idei. Sama idea ogólna, najważniejsza nawet i najprawdziwsza, przesłaby bez wrażenia; to, że enuncyacye poruszają i roznamiętniają umysły, to najlepszym dowodem, że dotyczą spraw piekących i żywotnych, w tem też tkwi aktualność, doniosłość i obywatelska zasługa tych enuncyacyj. Ale, z drugiej strony, mijają się z rzeczywistością ci, co poza przypadłością bieżących interesów nie umieją w niej dopatrzyć się dalszej racyi stanu, co wąż się nawet stawiać list Biskupów na równi ze zwykłymi sposobami agitacyi wyborczej. Można też, z całą słusnością, na pogroźkę, że lud przy urnie wyborczej odpowie na enuncyacyę Episkopatu, dać następującą odpowiedź: Sądzić należy, że społeczeństwo katolickie już przy akcyi wyborczej pójdzie za wskazaniem swoich Arcypasterzy, kresem jednak ostatecznym tych wskazań bynajmniej nie jest akcyja wyborcza. Wrzawa wyborów zagłusza tylko właściwy sens listu Biskupów i dopiero kiedy ta wrzawa umilknie, głos Episkopatu w całej pełni może być zrozumianym. Dzień po skończeniu wyborów będzie pierwszym dniem, w którym list Biskupi zaczną spełniać swe właściwe posłannictwo.

Jaką jest osnowa tego posłannictwa?

* * *

Nie potrzeba głębokiej historyzofii, żeby zrozumieć, że krok tak wyjątkowy i tak doniosły, jak jednogłówna enuncyacyja Episkopatu, odnosząca się do całego życia publicznego kraju, nie jest dziełem jednego dnia ani wynikiem jednej sytuacji. Poprzedzić ją musiały długie szeregi lat, cały łańcuch doświadczeń, cały cykl faz rozwojowych.

Że ruch polityczny w Galicji już od dawna nie rościł sobie pretensyi do tego, by być wzorem urzeczywistniania się zasady chrześcijańskiej w życiu publicznym, niema chyba dwu zdań. Owszem, dość poważna jest opinia, że polityczne życie, krok po kroku, dzień po dniu, znaczy się coraz większem oddalaniem się od tej zasady.

Rzut oka wstecz uprzytomnia to aż nadto wymownie.

Różnorakie stronnictwa demokratyczne, rekrutujące się z miast, pozostawały zawsze mniej lub więcej pod panowaniem zasad liberalnych, niektóre z nich nawet, jak demokracja postępową, stały wprost na stanowisku antychrześcijańskim. W szczególniej jaskrawy sposób stało na tem samem stanowisku stronnictwo socjalistyczne.

Tak miasto! a wieś! Rozwój ruchu ludowego, od Stojałowskiego aż po Stapińskiego, zbyt jasno jest w pamięci ogółu, żeby dłuższe uzasadnienie było potrzebne. Rozwój ten w samych zaczątkach swoich zepchnięty z wielkiego gościńca tradycyi narodowo-katolickiej przemienił się w ruch klasowy, rozwijający się stale poza obrębem zasady chrześcijańskiej w życiu publicznem. I tu należy jeszcze rozróżnić chwile pokoju i jakgdyby cichego rozejmu z Kościołem i chwile otwartej z tymże Kościołem walki. Chwile tej walki, zbyt liczne i zbyt natarczywe, miały zwolna ze zmianą sytuacji politycznej ale nigdy nie miały tak, żeby niebezpieczeństwo ich powrotu w każdej chwili nie groziło. Cichy rozejm kończył się zawsze — co i w tej chwili widzimy — ilekroć przewodcy stronnictwa ludowego przestawał być wygodnym; wtedyto pod rozmaitymi pozorami, pod hasłem, że co innego religia a co innego klerykalizm, zwalczało się najbardziej katolickie zasady. Chwile jednak tej walki miały przynajmniej tę dobrą stronę, że stawiały sytuację jasno; za dużo gorszy stan uważać należy chwile pokoju. Stan ten pokojowy był jednym ciągiem znieczulania wrażliwości na zasadę chrześcijańską tak w całym życiu publicznem kraju, jak w pojęciach ludu. Polityka stronnictwa ludowego był to tylko interes klasowy, oderwany w zupełności od etyki i religii. Religii i etyki chrześcijańskiej w chwilach pokoju nie zwalczało się, ale też i nie brało się ich w rachubę, nie wciągało się ich w światopogląd, jaki wszczepiało się ludowi. Już zaś amoralność i areligijność w życiu publicznem, uprawiana przez czas dłuższy, jako system polityczny, konsekwencyą psychologiczną prowadzić musi nieodzownie do znieczulenia wrażliwości na zasadę chrześcijańską, w końcu do rozdziału między życiem publicznem a etyką i religią. Ten smutny smutek taktyki tej politycznej jest już zbyt jaskrawo w naszym życiu publi-

cznem widoczny. Podwójna etyka, jedna dla życia prywatnego, druga dla życia publicznego, a raczej zasada, że etyka i religia wiążą tylko życie prywatne, nie mają zaś nic do czynienia w polityce, zasada ta już od dawna cieszy się prawem obywatelstwa w Galicyi. Nie samo stronnictwo ludowe na ten stan opinii wpłynęło, skutecznie jednak do ustalenia się tej opinii współdziałało; samo zaś ponosi odpowiedzialność za rozszerzenie się tych przekonań wśród ludu.

Tak przedstawiają się warstwy mieszczańskie i wieś. Pozostaje jeszcze przegląd tych sfer, z których tworzy się stronnictwo konserwatywne. Mamy tu w tej chwili na myśli szkołę krakowską.

Zbyt długo stronnictwo konserwatywne było w opinii ogółu równoznaczne ze stronnictwem katolickiem, zbyt wielu liczyło i liczy w swoim łonie zdecydowanych katolików, żeby, mówiąc o stosunku stronnictw do zasady chrześcijańskiej, nie mówić o tem stronnictwie z tym respektem, jaki jego przeszłości się należy. Świeżo, sam fakt poddania się tego stronnictwa pierwszej enuncyacji Episkopatu, skutkiem czego nastąpiła zmiana rządów krajowych i rozwiązanie Sejmu, jest nowym wawrzynem, jakim stronnictwo to poszczycić się może.

Jako moment przełomowy w dziejach tego stronnictwa, w stosunku do zasady chrześcijańskiej, stawianą jest powszechnie chwila, w której zawarło ono przymierze ze stronnictwem ludowem. Przymierze doszło do skutku z politycznych względów, ażeby przy pomocy stronnictwa ludowego utrzymać się przy władzy, rekompensatą zaś dla stanowiska katolickiego miało być to, że sojusz obowiązywał ludowców do wstrzymania się od walki z Kościołem. Rekompensata ta nawet w dosłownem brzmieniu paktu, widocznie małą dawała gwarancję, bo w rzeczywistości, samych konserwatystów nie chronił sojusz od ciągłych ataków i pogroźek przewódcy stronnictwa ludowego, tem mniej zatem chronionym był katolicyzm. Pomijając jednak tę stronę sprawy, wystarczy przypomnieć powyższy nasz wywód, z którego dość jasno wynika, że od postawy wojennej ludowców dużo niebezpieczniejszą była postawa pokojowa, rozkładająca

stale pierwiastki etyczne i religijne w duszy ludu. I to jest pierwsza ujemna strona tego sojuszu. Ci, których istotą być winna obrona tradycji narodowej i religijnej, którzy przedstawiać mają zdrowy opór przeciw radykalnym kierunkom, dają milczące przyzwolenie na powolne unicestwianie zasady narodowej i chrześcijańskiej w publicznym życiu. Drugą zaś ujemną stroną tego sojuszu jest to, że niespokojnego sojusznika trzeba ustawicznie zaspakajać coraz to nowymi koncesjami, czasem nawet bardzo ryzykownymi, koncesye zaś te sięgnąć mogą do sfery zasad tak, że mogłaby powstać uzasadniona dość silnymi dowodami kwestya, co do właściwego programu stronnictwa.

Oto obraz sytuacji, jaką zajmuje zasada chrześcijańska w naszym politycznym życiu. I to nie od dzisiaj, ale od szeregu lat, nie z przypadku i nie z nieporozumienia, ale stałem, zasadniczym cofaniem się wstecz. Wewnętrzna niemoc, zesłabnięcie zasad moralnych, bez których rozwój życia publicznego nietylko przestaje mieć sens, ale i przestaje istnieć, doszły do tego stopnia, że nieodzownym prawem reakcji historycznej, ta część społeczeństwa, która pozostała zdrową, musi zabrać głos i wystąpić na widownię. Idei antychrześcijańskiej, amoralnej czy niemoralnej, idei oportunistu politycznego, który właściwie przestaje być ideą, przeciwstawić się musi idea polityczna narodowa, na zasadzie chrześcijańskiej oparta. I oto posłannictwo doniosłe, jakie bierze na swoje ramiona Episkopat polski w tej dzielnicy.

Nie jest to więc wynik jednej sytuacji, choćby nawet takiej, jaką stworzyła kwestya reformy wyborczej, ale skutek długiego pasma faktów. Swoją drogą, ostatnia sytuacja zespoliła w sobie tak wyjątkowe znamiona i zaostrzyła sprawę do tego stopnia, że, jeżeli dotąd można było wstrzymać się z ostatecznym wystąpieniem, to teraz nadeszła ostatnia chwila. Jakie są te wyjątkowe znamiona, określa to wymownie list Episkopatu.

Dopiero w tem oświeceniu rozumie się, na których słowach listu Biskupiego położyć należy największy nacisk. Oto te słowa :

„W chwilach wielkiego wzburzenia, w chwilach zamącenia poglądów i pojęć, pożądanem jest i potrzebnem, abyście posłuchali głosu, który nie wychodzi z partyjnych walk i zapasów ;

idzie on ze sere, w które złożona jest troska i piecza o dobro Wasze wiekuiste i doczesne. Tu już nie dosięga zgiełk namiętności i stronnich sporów. Jeżeli zaś z wyżyn Chrystusowej zasady zstępujemy do naszych ziemskich potrzeb, to kierujemy się tylko najbezinteresowniejszą i najczystsza miłością. Chcemy i pragniemy jednego, to jest, żeby w kraju naszym i w Ojczyźnie naszej, w szczególności w ustawodawstwie naszym, panowała i rządziła chrześcijańska zasada“.

Jest jeszcze druga strona tej kwestyi. Kto zaskoczony enuncyacyą Episkopatu przeciera oczy ze zdziwienia i, nie mogąc wyznać się w tej sytuacji, składa ją na karb intrygi politycznej i agitacyjnych sztuczek, ten najlepszy składa dowód, że przeoczył cały szereg faktów, których przeoczać nie wolno. Bankructwo zasad w polityce to jedna z przyczyn obecnego stanowiska Episkopatu, druga przyczyna to samowiedza katolicka społeczeństwa, od szeregu lat zbudzona i zdala od politycznego gwaru z latami wciąż się rozwijająca. Katolicyzm przed laty tak u nas, jak i w innych krajach, zdał cały mandat publicznego życia stronnictwu konserwatywnemu, jako jednemu stronnictwu, które w swoim programie głosiło zasadę chrześcijańską. Zaufanie to, za którem szła cała siła wpływów katolickich i poparcia, zwłaszcza w warstwach ludowych, z biegiem czasu zaczęło się chwiać. Obok szeregu dodatnich następstw tego zaufania notować zaczęto i zawody. Stronnictwo konserwatywne, mające prócz innych celów także cel utrzymania swego stanu posiadania, umiało zawsze narzucać katolikom swoje postulaty, nie przyjmowało jednak zawsze do swego programu żądań katolickich. Żądania te nazywało się niepolitycznemi, inną razą określało się je jako nietolerancyę lub klerykalizm, w rezultacie przechodziło się nad niemi do porządku dziennego. Tak, na przykład, było przy tak doniosłej kwestyi, jak kwestya szkoły wyznaniowej. Stawiało to katolicyzm w położeniu trudnem. Wobec rozwijającego się wciąż ruchu demokratycznego i ludowego i idącej za tem niechęci ku konserwatywnym klasom przewodnim, brał katolicyzm na siebie cały ciężar niepopularności, z drugiej zaś strony trzymany na wodzy przez konser-

watyzm nie mógł rozwijać się tak, jak po temu miał prawo i obowiązek. Wywołało to sytuację, w której rozbudzić się musiała samodzielna samowiedza katolicka.

Nietylko te praktyczne względy rozbudzały tę samowiedzę. Niejednokrotnie wykrywano ze strony katolickiej w konserwatyzmie brak chrześcijańskiej zasady. Zasadę tę głosi wyraźnie program konserwatywny, ale jako naczelne wskazanie, jako istotę swoją stawia hasło, by przez rozum polityczny i społeczny łąd dążyć do rozwoju oświaty i dobrobytu, do zabezpieczenia i wzmocnienia polskiej siły, znaczenia, przyszłości. Określenie to dawało niekiedy konserwatywnym czynnikom *assumpt* do takiej interpretacji, że względ na katolicką zasadę schodził na dalszy plan, a istota programu konserwatywnego utożsamiała się tylko z taktyką postępowania. Łatwemu prawie trzydzieści, jak toczyła się polemika pomiędzy „Przeglądem polskim“ a „Przeglądem powszechnym“ o „nową doktrynę“. Tę nową doktrynę, z okazji dyskusji o stosunek społeczeństwa do wszechwładzy państwa, zarzucił „Przeglądowi powszechnemu“ „Przegląd polski“. W toku polemiki oświadcza współpracownik „Przeglądu polskiego“, że główną istotą stronnictwa konserwatywnego jest tylko taktyka, taktyka zaś ta zależy na tem, że „nie pytamy się kto nam daje polityczną koncesję, nie pytamy, czy ona odpowiada tym lub owym ideałom, lecz pytamy się, jaki z niej społeczeństwo polskie może odnieść pożytek“. Dopelnąć należy tło obrazu tem, że „nową doktrynę“, która niczem innem nie jest, jak stara nauka chrześcijańska i integralną częścią społecznego światopoglądu katolickiego, odsuwa na bok ów autor, dlatego, że „choć występuje pod konserwatywną szatą, jednak tworzy rozdział w obozie konserwatywnym“ i sprzyja pseudo-liberałom, bo „że jedna doktryna jest liberalną, druga konserwatywną, to rzecz mniejszej wagi; istotnem jest to, że obie są doktryną, która stawia się ponad rzeczywistość“. Ks. Maryan Morawski, który na te zarzuty odpowiada w „Przeglądzie powszechnym“, kończy swój wywód następującem zdaniem: „Nie podobna było jaśniej się wyrazić; istota konserwatyzmu jest taktyką, nowa doktryna tworzy rozdział temsamem, że jest doktryną“.

Te i tym podobne objawy nie sprowadzały rozłamu, ale kazały katolicyzmowi myśleć o samodzielnej przyszłości. Żywotność katolicyzmu zaczęła się wzmacniać, przyszedł ruch chrześcijańsko-społeczny i chrześcijańsko-ludowy, zaczęła się akcja o organizację katolicką i prasę katolicką; wszystko to objawy, którym towarzyszyły, jeżeli nie niechęć, to brak poparcia ze strony konserwatywnej. A szkoda, bo, gdyby tym wysiłkom użyty było tego poparcia, jakiego udzieliło się stronnictwu ludowemu, miałoby się dzisiaj silnego i wiernego sojusznika. Ten взгляд przed oczyma dziś jeszcze mamy, poświęcając najwięcej stosunkowo uwagi stronnictwu konserwatywnemu. Dalszy bieg wydarzeń wchodzi w naszą sprawę tylko o tyle, że stwierdza ciągle i wciąż rosnący rozwój samowiedzy katolickiej w kraju. Kto patrzył na wzrost akcji katolickiej, kto obecny był na katolickich wiecach, kto czytał ankietę „Przeglądu powszechnego“ o dzisiejszych zadaniach katolicyzmu w Polsce, kto słyszał na ostatnim zjeździe Skargowskim, jak społeczeństwo katolickie domagało się, by w życiu publicznym wrócił obywatelski duch Skargi, niezłomny i nieulekny i nieznający w sprawie zasady chrześcijańskiej kompromisu, ten wie, że enuncyacja Episkopatu jest tylko wykwitem i koroną samodzielnej i samowiednej żywotności katolicyzmu w naszym kraju, żywotności przychodzącej na szczęście w chwili, gdy w życiu politycznym zanikać zaczęła zasada chrześcijańska.

* * *

Cokolwiek przyniosą najbliższe dni, enuncyacja Episkopatu spełnia swoje zadanie. Biję z nich ta miłość kraju i ludu, która pociąga samodzielne umysły, promienieje w nich ta apostołska niezłomność i odwaga, która daje rękojmię wytrwałości w dążeniu do dalekiego celu, wieje wreszcie ten szczerzy duch polski i katolicki, do którego przyszłość w naszym kraju należeć musi. Nie są to oczywiście losy jednego dnia, nie są to plony, które dałyby się zebrać bez trudu i walki, ale bez walki niema zwycięstwa, bez zwycięstwa niema takiej nagrody, jaką dla polskiego i katolickiego serca jest panowanie zasady chrześcijańskiej w Polsce.

Ks. J. Pawelski.

Konkurs drugi na pracę poświęconą ściśle naukowemu badaniu i opisowi rodzimych wód mineralnych polskich, a to na temat dowolnie przez autora obrany, byleby tylko autor ubiegający się o nagrodę przedłożył ją w właściwym czasie Akademii Umiejętności, a to bądź w druku, bądź w rękopisie.

Przedmiotem prac, mogących ubiegać się o nagrodę, będzie naukowe zbadanie i opis nie pojedynczych źródeł naszych wód mineralnych, ale całych działów wód lekarskich polskich i ich działania leczniczego, jakoto: szeczaw, wód siarczanych, żelazistych, uzdrowisk klimatycznych i t. d.

Zaliczki na zamierzone tego rodzaju badania, na podróże w tym celu przedsiębrać się mające i t. p. wydatki, nie mogą być udzielane z niniejszego funduszu. Jedynie dokonane i gotowe opracowania będą wynagradzane.

Gdyby którego roku żadnej pracy do nagrody nie przedłożono, lub żadna z przedłożonych na nagrodę nie zasługiwała, może Akademia Umiejętności albo przenieść tę nagrodę na lata dalsze w ten sposób, że nagrodę stanowić będzie dwu-, trzechletni i t. d. dochód fundacyjny, albo zarządzić dodanie nieużytej kwoty premiowej do kapitału fundacyi (§ 1, ustęp a).

Nagroda nie może nigdy wynosić więcej jak pięcioletnie odsetki.

Jednoroczny dochód fundacyjny przeznaczony na nagrodę wynosi około 780 K.

Prace na konkurs niniejszy należy nadsyłać do Kancelaryi Akademii najpóźniej do 31 grudnia 1913 r. (Nr. Dz. pod 205/13).

Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności w Krakowie bezimiennie, pod godłem, obranem przez autora, z dołączeniem koperty opieczętowanej, zawierającej wewnątrz nazwisko autora i jego adres, a opatrzonej tem samem godłem.

Według § 18 Regulaminu Akademii wypłata wszelkich nagród konkursowych następuje dopiero po ogłoszeniu drukiem pracy uwieńczonej nagrodą.

Główne zasady etyki Kanta a etyka chrześcijańska.

Kant wywiera po dziśdzień przemożny wpływ na nowoczesne kierunki filozoficzne, nie tyle szczegółami swego systemu, ile przewodniami jego ideami. Od szczegółów odstąpiono, ale myśli przewodnie systemu Kanta stanowią i dziś punkt wyjścia dla filozofii. Niewielu pewnie dziś zechce przysięgać na kategorie Kanta, ale większość filozofów wychodzi z kantowskiego założenia, że umysł ludzki nie jest zdolny poznać metafizycznej strony rzeczy — *das Ding an sich* — czyli co na jedno wyjdzie, że metafizyki nie można na serio uznawać za prawdziwą umiejętność. Zwłaszcza gdy idzie o Boga, o duszę nieśmiertelną, to bezowocny trud zabierać się do tych kwestyj, gdyż one leżą całkowicie poza sferą ludzkiego poznania.

Nie inaczej jak z metafizyką Kanta ma się rzecz i z jego etyką. Znowu niewielu godzi się na kantowskie postulaty praktycznego rozumu, niewielu na uzasadnienia systemu, ale niemal wszystkie poza katolickimi systemy etyczne — a jest ich legion — stoją na stanowisku kantowskiem emancypacji etyki od Boga, wszystkie czerpią siłę obowiązującą dla swych etycznych postulatów nie z Boga ale z człowieka, z kategorycznego imperatywu rozumu ludzkiego, we wszystkich ostatecznym celem etycznego działania nie jest Bóg ale człowiek.

Kant spodziewał się swą etyką na nowo przywrócić religii podwaliny jak: istnienie Boga, nieśmiertelność duszy, wolność

woli, które był zburzył w metafizyce. Usiłowania były chwalebne, niestety prawa logiki okazały się silniejszymi od dobrej woli Kanta. Co w „krytyce czystego rozumu“ uznano się za nieprawdziwe, lub leżące poza sferą ludzkiego poznania, to nie mogło w „krytyce praktycznego rozumu“ stać się znowu prawdziwym i być przystępnem dla rozumu ludzkiego. Wszak ten sam rozum, który okazał się tak nieudolnym w rozwiązywaniu metafizycznych problemów; ten sam jest czynnym i w etyce: tu i tam posługuje się temi samemi prawami logiki, jakżeżby mógł do wprost przeciwnych dochodzić konkluzyj? Chyba przez niekonsekwencje. Te niekonsekwencje etyki Kanta stały się widocznymi dla jego następców i dlatego, kiedy Kant cieniuchną jak pajęczyna nitką wiązał jeszcze swą etykę z Bogiem, następcy tę nitkę przecięli i etykę od Boga oderwali. Dla całego ruchu etyki bez Boga, Kant, mimowoli ale faktycznie, stał się patronem i ojcem duchowym. Nie trzeba szeroko się rozwodzić, ile złego przyniosła etyka Kanta religii, której chciała się stać podpora. Podkopała same zasady wszelkiej etyki; etykę, której celem ostatecznym zawsze było dotąd niebo i Bóg, zaprzęгла do wyłącznej służby celom ziemskim, doczesnym, postawiła na miejscu Boga człowieka, z etyki wieczności uczyniła etykę doczesności. Dla tych brzemiennych następstw etyki Kanta, podziśdzień aktualnych, nie od rzeczy może będzie poznać główne zasady tej etyki i zestawić je z odpowiedniami zasadami etyki chrześcijańskiej.

* * *

W każdym systemie etycznym szukamy odpowiedzi na trzy pytania: co w danym systemie jest normą odróżniającą czyn moralnie dobry od złego, od kogo prawo moralne ma moc obowiązującą i wreszcie czy system posiada sankcję praw moralnych i jaką? Przypatrzmy się, jakie odpowiedzi daje etyka Kanta na te trzy pytania.

1. Norma moralności w etyce Kanta.

Za normę etycznego postępowania przyjmuje Kant sądy praktycznego rozumu, powszechnie za etyczne uznane. Dlatego

zastrzega się stanowczo przeciw posądzeniu, jakoby w swej etyce nowe jakieś zasady stwarzał. „Któż śmiałyby, mówi, choćby tylko jedną nową zasadę moralności wprowadzać, jako wynalezioną poraz pierwszy przez siebie? tak jakby przed nim świat nie wiedział, co to jest obowiązek, albo był na tym punkcie w błędzie“.¹

Skąd się biorą te zasady? Rozum ludzki je tworzy. Wysznuwa je sam ze siebie jak pajak swą nitkę. Wszystko, co leży poza nami jest zmienne, względnie tylko dobre, gdy tymczasem zasady moralne są niezienne, mają bezwzględną wartość moralną. Nie mogą tedy być wzięte — tak utrzymuje Kant — ze świata nas otaczającego, ale są nam z naturą dane, są sądami syntetycznymi *a priori*. W umyśle muszą być kategorie etyczne na wzór kategorii metafizycznych, które pozwalają człowiekowi intuicyjnie, z koniecznością, choć na ślepo, uznać pewne czynności za dobre, inne za złe.

Nie będziemy zastanawiali się nad owymi sądami syntetycznymi *a priori* w etyce — rzeczą filozofii rozprawić się z nimi — nam wystarczy tutaj tylko stwierdzić, że według Kanta rozum ludzki jest ostatecznym i jedynym twórcą praw moralnych. Nie normy moralności stanowią oryginalność etyki Kanta ani tu tkwi jej błędność. Nie zatrzymując się przeto dłużej nad tym punktem przechodzimy do dalszego pytania, mianowicie, co w etyce Kanta daje prawom moralnym moc obowiązującą?

2. Obowiązek w etyce Kanta.

Nie dość w systemie etycznym znaleźć normy etycznego postępowania, trzeba jeszcze wyjaśnić, skąd one czerpią moc obowiązującą. Bo, że taką moc posiadają prawa moralne, nie ulega wątpliwości. Nikt może tak entuzjastycznie i dobitnie, jak właśnie Kant, nie podkreśla obowiązku, jaki na nas nakładają prawa moralne. „Obowiązk! wzniosłe i wielkie imię, który nie zawierasz w sobie nic dla nas ponętnego i schlebającego

¹ *Kritik der prakt. Vernunft* 103. A. w Cathreina *Moralphilosophie* 5. str. 240.

nam, ale żądasz bezwzględnej uległości dla siebie... wobec którego milkną wszelkie popędy, choć może skrycie ci się opierają, jaki jest twój początek, gdzie się znajduje źródło twego szlachetnego pochodzenia, który wszelkie paktowanie z namiętnością dumnie odtrącasz...¹ Kant ze wszech miar godzien jest pochwały, że tak uwydatnia moc obowiązującą prawa moralnego. Ale skąd prawo moralne czerpie tę moc?

Zdaniem Kanta tę moc mu daje znowu rozum, zwany w tym wypadku praktycznym, iż do życia praktycznego się odnosi. Rozum rozkazuje apodyktycznie człowiekowi: musisz ten czyn wykonać, tamtego zaniechać — innemi słowy: rozum nakłada człowiekowi obowiązek moralny. Rozkaz ten to ów sławny kantowski „kategoryczny imperatyw“. Według etyki Kanta sam sobie człowiek nakłada obowiązek tak jak sam prawo tworzy; sam jest prawodawcą i sam swoim podwładnym. Na tem polega kantowska zasada „autonomii moralnej“. Tylko te czyny, zdaniem Kanta, są moralne, które są wykonane na rozkaz własnego prawa, stąd autonomicznem zwanego, pod wpływem kategorycznego imperatywu własnego rozumu. Prawo nie odemnie pochodzące jest „heteronomią“ t. j. prawem wydanem przez obcą mi osobę, czy nią będzie Bóg czy człowiek — wszystko jedno. Kto jest posłuszny tego rodzaju prawu, spełnia wprawdzie uczynek legalny, ale nie jest to jeszcze uczynek moralny. Autonomia jest osią systemu Kanta.

Lecz nie dość tego. By uczynek był etycznym, nie dość, by był autonomicznym, trzeba jeszcze, by był spełniony nie z innego motywu jak tylko z poczucia obowiązku. Dobro winno się spełniać jedynie z obowiązku, z szacunku dla rozkazu prawa. Wszelki inny motyw, jak miłość Boga, miłość rodziców, bliźnich wogóle, odbiera uczynkowi wartość moralną. O miłości bliźniego tak się wyraża Kant: „Pięknie to z miłości do ludzi i z życzliwości dla nich dobrze im czynić, albo być sprawiedliwym dla zachowania porządku, ale to jeszcze nie jest prawdziwą moralną zasadą“.²

¹ *Kritik der prakt. Vern.* 200.

² *Kritik der prakt. Vern.* 195.

Dwa tedy zasadnicze punkta zauważyliśmy dotąd w etyce Kanta: źródłem prawa moralnego to kategoriyczny imperatyw praktycznego rozumu czyli autonomia, motywem zaś to poczucie obowiązku. Przypatrzmy się bliżej obydwom zasadom.

a) Autonomia w etyce Kanta.

Autonomia moralna w etyce Kanta polega, jak już wyżej zaznaczyliśmy, na tem, że człowiek jest sam sobie prawodawcą t. j. sam sobie tworzy normy moralności, sam też sobie nakłada obowiązek spełnienia prawa.

Od czasu Kanta stało się w kołach uczonych modnem twierdzenie, że w etyce tylko autonomia ma wartość, heteronomia żadnej wartości nie posiada. Hartmann nazywa spełnianie cudzej woli objawionej w formie rozkazu tylko „zewnątrznem, mechanicznem działaniem, którego rezultatem może być najwyżej zewnętrzna, mechaniczna legalność, ale nie wewnętrzna moralność“.¹ Gdzieindziej dość trywialnie powiada, że chcieć przez spełnienie cudzej woli wykonać uczynek moralny „jest równie niemożliwem, jak chcieć utyć przez to, że drugi się nasycy“.² Herrmann nazywa katolicką moralną „nauką legalności“. Prawo moralne u katolików „nie jest, zdaniem H., wyrazem ich wewnętrznego usposobienia. Katolik uważa prawo moralne za więzy mu narzucone, które dźwiga, bo musi, ale chętnieby się ich pozbył.“³ A przecież człowiek działa etycznie tylko wtedy „gdy temu jest posłuszny — słowa Hermanna — co sam uzna za koniecznie potrzebne“. Prawo boże, aby nas obowiązywało musi wprzód przez nas za słuszne być uznane. „Człowiek działa tylko wtedy moralnie, gdy temu tylko jest posłuszny, co sam uzna jako uprawnione“.⁴ A więc najwyżej te przykazania Boże nas obowiązują, które my zaprobujemy, które trafią do naszego przekonania, których moralny przymus w sobie odczuwamy. Nie dlatego słuchamy, że Bóg tak rozkazuje, ale, że to naszemu odpowiada przeko-

¹ *Ausgewählte Werke* Bd. II.: *das sittliche Bewusstsein* str. 86. ² *ibid.* 89.

³ *Römische und evangelische Sittlichkeit* ³, str. 35.

⁴ *ibid.* 16. 29.

naniu, w przeciwnym bowiem razie byłoby rzeczą niemoralną być posłusznym prawom bożym. Prawo boże nie dlatego nas wiąże, mówi Herrmann na innem miejscu, iż jest pawem bożem, „ale iż jest prawdziwem“,¹ t. j. przez nas za takie uznaniem.

Jeszcze więcej heteronomicznymi są, zdaniem naszych przeciwników, przykazania kościelne, przeto posłuszeństwo dla nich tem mniej może być czynem moralnym. Tschackert utrzymuje: „Moralność katolicka polega na posłuszeństwie Kościołowi... Prawo moralnego postępowania leży całkiem poza osobą działającego, wola katolicka jest uległa obcemu prawu, jest heteronomiczna. Moralność rzymskiego katolicyzmu polega, na braku własnej woli; brak woli znowu jest zniszczeniem osobowości. A tak rzymski katolicyzm jest w najgłębszem słowa znaczeniu niemoralnym“.²

Co sądzić o etycznej autonomii Kanta?

Twierdźmy z całą stanowczością, iż wcale nie tłómaczy onej bezwzględnej powinności, jakiej się domaga od nas prawo moralne.

Prawo moralne, jak wiadomo, nakłada na nas za pośrednictwem sumienia przymus moralny, mówi: masz obowiązek to zrobić, tamto zaniechać. I nie jest w stanie wpłynąć na sumienie, by zmieniło swe sądy. Sumienie nie da się przekupić. Można uniknąć ludzkiej kary za występki, można nieraz zyskać od społeczeństwa uznanie, poklask dla swego złego czynu, dojść do zaszczytów, bogactw, sumienie mimo wszystko zły czyn potępi. Przeciwnie, można doznać za dobry uczynek ze strony ludzi prześladowania, stracić cześć, majątek, pójść do więzienia, na wygnanie, a przytem zasłużyć sobie na największe pochwały sumienia. Od spełnienia obowiązku, jaki na nas nakłada prawo moralne, nie zwalnia nas ani wiek, ani miejsce pobytu, ani przynależność do pewnej narodowości, ani zdolności, zaszczyty, dostojęstwa, choćby królewskie, jak znowu ani ubóstwo, najniższe choćby stanowisko w społeczeństwie, nie zgola, zawsze i wszędzie domaga się prawo moralne przez głos

¹ ib. 5. 16.

² *Evangelische Polemik*, Gotha 1885. str. 164.

sumienia kategorycznie posłuszeństwa dla siebie. Jakiś majestat królewski bije od dobra moralnego, które nie znosi żadnych wymówek, żąda dla siebie i największych ofiar, chce całego człowieka wziąć w swe posiadanie. Sumienie stoi na straży tego dobra, niewzruszone jak skała, którą napróżno starają się rozbić, wyzłobić, zamulić fale namiętności ludzkich, popieranych pseudo-nauką, bogactwami, siłą, przemocą, często prawodawstwem ludzkim.

W jakim sposobie autonomiczna etyka Kanta tłumaczy ów wolny a przecież bezwzględny przymus, jaki idzie od prawa moralnego? Oto t. zw. kategorycznym imperatywem praktycznego rozumu. Rozum nakłada woli powinność bezwzględną.

Kant utożsamia miejscami w swych dziełach rozum praktyczny z wolą człowieka, nie tą, która jest bezpośrednio źródłem czynu, ale, mówiąc językiem dzisiejszych, z prawolą (*Urville*, *Grundwille*)¹. Ponieważ Kant nie wszędzie konsekwentnie w tym względzie postępuje, oprzemy naszą argumentację najpierw na przypuszczeniu, że rozum praktyczny jest władzą odrębną od woli, a później przyjmiemy i to drugie założenie, iż identyfikuje się z wolą. Zobaczymy, iż w jednym i drugim razie ów kategoryczny imperatyw nie może sprowadzić bezwzględnego zobowiązania.

Skąd rozum ma prawo wydawać woli kategoryczny rozkaz? Wszak rozum, o ile jest władzą różną od woli, ma za jedyne zadanie podawać pobudki skłaniające wolę do takiego lub innego postępowania. Rozkaz może mi wydać tylko inna wola, jeśli rozum wykaże, że ta inna wola ma prawo nakładać mi obowiązek. Widział Kant te niczem nieuzasadnione pretensje rozumu nakładania bezwzględnego obowiązku woli i dlatego na pytanie skąd rozum ma prawo do wydawania woli owego kategorycznego imperatywu, albo utożsamia rozum praktyczny z wolą — wola tylko woli może coś rozkazywać — albo odpowiada, iż kategorycznego imperatywu już dalej analizować

¹ „Der Wille ist nichts anders als praktischer Vernunft“. (*Grundlegung zur Metaphysik der Sitten* 33).

nie można. Rozkaz ów „płyń ze źródeł nie dających się nigdy odkryć“. „Pytanie — mówi gdzieindziej — w jaki sposób możliwym jest kategoryczny imperatyw, nie da się przez żaden ludzki rozum pojąć“.¹ I znowu: „Wyjaśnić, w jaki sposób czysty rozum może się stać praktycznym, nie potrafi żaden umysł ludzki i wszelki trud i praca stracona szukać rozwiązania tej zagadki“.² Pociesza się atoli tem, że wprawdzie „nie pojmujemy bezwarunkowej konieczności moralnego imperatywu, ale pojmujemy jego niepojętość“.³ A więc ucieczka do tajemnic wynalazku ludzkiego!

Ów kategoryczny imperatyw jest to jedna z owych słynnych kategorii kantowskich, są to owe sądy syntetyczne *a priori*, których istnienie przyjmuje się na słowo mistrza. Tem mniej można w etyce tego rodzaju kategorię przyjąć, że wtedy wolna wola, a tem samem moralność byłaby na szwank narażona. Bo ów przymus, pochodzący od kategorycznego imperatywu, byłby chyba jakąś fizyczną koniecznością, wywieraną na wolę, bez podawania racyi, któremu znowu z konieczności, nie wiedząc dlaczego, ulega wola. Byłoby to zniesieniem wolnej woli i zapoznaniem natury woli ludzkiej. Wola bez racyi ani nie musi słuchać danego rozkazu ani nawet nie powinna. Wola z natury swej jest wolną i tylko przez racye, przedstawiające jej pewne dobro, może zezwolić na uszczuplenie swej wolności. Bez dostatecznej racyi posłuszeństwo woli byłoby bez moralnej wartości, a nawet nierozumnem, lekkomyślnem i niemoralnem. Wola wystawiałaby się w każdym wypadku takiego posłuszeństwa na niebezpieczeństwo popełnienia niemoralnego czynu, a tem samem działałaby niemoralnie. To samo trzeba powiedzieć w hipotezie, w której rozum praktyczny identyfikuje się z wolną wolą i wola wydaje sobie bezwzględny rozkaz, niepodając racyi, to samo także, gdyby była jakaś prawola z koniecznością i bez racyi wywierająca przymus na wolę. Ani rozum ludzki nie jest nieomylnym, ani wola nie jest samą świętością, żeby ich rozkazom można bezpiecznie zaufać, nie pytając o etyczną wartość rozkazów.

¹ *ibid.* 90.

² *ibid.* 91.

³ *ibid.* 93.

Ale przypuśćmy, że rozum praktyczny czy wola rozumna podaje racye swego kategorycznego rozkazu. Jakież te racye mogą być, jeśli się wyklucza Boga od wpływu na obowiązek moralny? W kantowskiej etyce tylko takie: Czyn to, bo to zgodne z rozumem, bo inaczej ubliżałbyś swej ludzkiej godności, bo byłbyś w sprzeczności z powszechnie przyjętymi sądami ludzkości i t. p. Czy te i tym podobne motywa mogą mi pewną czynność nakazać jako obowiązek bezwzględny, nieznający żadnych kompromisów? Nakaz ów może być tylko warunkowy: jeśli chcesz rozumnie postępować, jeśli chcesz swą ludzką godność szanować, jeśli nie chcesz działać wbrew opinii całej ludzkości i t. d. to czyn tak lub tak, lub zaniechaj tego czynu. Ale kto mnie zobowiąże rozumnie działać, cenić swą godność ludzką, iść z prądem opinii publicznej, zwłaszcza jeśli przestrzeganie tych względów dużo wymagałoby odemnie zaparcia? A jeśli ja dla dogodzenia swej namiętności wolę zrezygnować z wszystkich korzyści materyalnych czy moralnych, jakie daje postępowanie rozumne, to kto mi i na jakiej podstawie powie: nie spełniasz swoich obowiązków? Motywy zdolne są tylko wykazać racjonalność normy etycznej, ale nigdy same przez się nie sprowadzą obowiązku. Tylko wtenczas czułaby się wola związana bezwzględnie rozkazem, gdyby jej rozum dowiódł, że ten rozkaz wychodzi od osoby mającej bezwzględne prawo rozkazywania, a więc od osoby posiadającej nad wolą bezwzględną władzę i prawo domagania się bezwzględnego posłuszeństwa, od osoby, której rozum nieomylny a wola samą świętością, a więc która daje gwarancję, iż jej przepisy tylko świętością tchnąć będą, a zatem posiadają ten majestat świętości, któremu oprzeć się byłoby niegodziwością, od osoby, która jest dobrem bezwzględnej wartości, którego nie pożądać jest dla woli do dobra stworzonej niemożliwością. Czy godność natury ludzkiej ma taką bezwzględną wartość, taką świętość bez skazy cześć budzącą, władzę posłuch nakazującą? Nic z tego wszystkiego. Człowiek jest zbyt marnem stworzeniem, z tysiącami wad, ułomności, braków fizycznych i moralnych, by mógł woli kategoryczne stawiać imperatywy, zniewalające ją do

posłuchu. „Moralny obowiązek może mieć swą ostateczną rację tylko w bezwzględnie czci godnem dobru, które staje przed moją duszą jako władza prawodawcza i przed którą wszystko inne musi zamilknąć. Człowiek nie może być tą ostateczną racją. Prawo moralne wznosi się w niepokalanym swym majestacie wysoko ponad niego, nie jest pod nim, trzyma nad nim tarczę świetlaną, która osłania jego ludzką godność, daje mu siłę bohaterską nad samym sobą, niesie go wysoko ku słonecznej wyżynie moralnego ideału, idzie za człowiekiem, gdy się mu ten chce wymknąć, oskarża go i zniża go do swych stóp, gdy prawo przekroczył“.¹

W teorii Kanta człowiek sam sobie nakłada obowiązki. Sam jest prawodawcą i sam jest swym prawom posłuszny. Czy to możliwe? Wszak być prawodawcą jest pojęciem relatywnym, wymagającym przynajmniej dwóch osób, z których jedna jest przełożoną a druga podwładną.

Ale przypuśćmy, że człowiek może siebie samego zobowiązać, to zaraz nasuwa się pytanie, czy zobowiązuje się dobrowolnie, czy jakąś fatalną koniecznością jest do tego zmuszony? Jeśli dobrowolnie, to tak samo dobrowolnie może się zwolnić od zobowiązania, co jest wbrew naturze etycznego obowiązku, który nas wiąże bezwzględnie, nawet wbrew naszej woli — jeśli z konieczności, a tak musi Kant utrzymywać, to gdzie jest źródło tej konieczności, co się stanie wtedy z wolną wolą, czemu wola musi ulegać temu zobowiązaniu? Nie można powiedzieć, że konieczność z obowiązku pochodzi od motywów, które rozum podaje człowiekowi. Już widzieliśmy, że motywy, z wyjątkiem rozkazu Bożego, mogą tylko warunkowe spowodować zobowiązanie.

Jeśli znowu kto rozum praktyczny utożsamia z wolą, wtedy oprócz już poruszonych trudności, powstaje jeszcze ta nowa, dlaczego w takim razie wola nieraz opiera się rozkazowi, jeśli ten rozkaz z niej samej wychodzi? Tem bardziej, jeśli ten rozkaz płynie z koniecznością z natury samej woli, to jak może ta sama wola mu się opierać?

¹ Esser. *Religion, Christentum, Kirche I.* str. 100.

Nie podobna zatem kategorycznym imperatywem Kanta wytłómaczyć obowiązku moralnego, trzeba koniecznie odnieść się do osobowego prawodawcy Boga.

Ależ to heteronomia, wołają przeciwnicy, a ta może sprowadzić najwyżej legalność, a nie moralność. Rozpatrzmy ten zarzut.

* * *

Heteronomia w rozumieniu Kanta oznacza prawo od obcego pochodzące, nie z nas ale z poza nas, od prawodawcy stojącego poza nami, a także, iż takie prawo jest naszej naturze obce, gwałtem jej narzucone, nie znajdujące w niej podkładu ani oddźwięku. Czy w rzeczy samej prawo boże jest nam w tem znaczeniu obcem? A najprzód czy Bóg może się nazwać osobą nam obcą?

Obcym nam jest ten, kogo nie łączą z nami żadne ściślejsze węzły ani pokrewieństwa, ani przyjaźni, ani stosunek dobrodzieja do obdarowanych, ani pana dobrego do swych poddanych. Czy Bóg jest nam takim obcym?

Czy Stwórca — Kant był wierzącym — może być dla swego stworzenia obcym? Od niego mamy wszystko: naturę, byt, opiekę, w „nim żyjemy, ruszamy się i jesteśmy“. Dusza nasza jest podobizną Jego i już z tego tytułu jesteśmy dziećmi Jego, bardziej jeszcze i ściślej przez łaskę. Bóg nas odkupił, uświęcił, kiedyś ma być naszą zapłatą zbytnie wielką, a więc nieporównanie ściślejsze nas łączą węzły z Bogiem niż dzieci z ojcem ziemskim. Czy ojciec jest dla swych dzieci obcym?

A prawo boże czy jest naszej naturze obcem, t. j. nie mającem z nią nic wspólnego, więzami gwałtem jej narzuconymi, nie odpowiedniem naturze ludzkiej?

Dwojakie jest prawo boże: naturalne i objawione. Czy prawo boże naturalne jest nam obce? Tak jak nie obcą nam jest nasza natura, tak też nie obcem nam jest i prawo naturalne. Wszak prawo naturalne na naszej się opiera naturze i z niej wypływa. To jest zgodnem z prawem naturalnem, co jest zgodnem z rozumną naturą ludzką. Natura ludzka jest najbliższą miarą moralności. Praktyczny rozum ludzki, zwany sumieniem, jest

bezpośrednim sędzią tego, co dobre a co złe. Także i wola nasza już z natury swej ma dążność ku dobru, pewne odczucie i oddźwięk dobra moralnego. W duszy ludzkiej jest już z natury pewien nastrój do dobra moralnego, tak, że ono czy w drugich czy w nas spotkane, wywołuje w niej miłe uczucie, pewien jakby ton przyjemny, sympatyę, pochwałę, przeciwnie zło moralne sprawia niesmak, przykre uczucie, boleść i reakcyę. Jest w duszy ludzkiej już z natury pewne przystosowanie jej do dobra moralnego, jest w niej podkład moralny. Prawa tedy boskie naturalne nie są czemś naturze ludzkiej zewnątrz tylko narzuconem, niedostrojonem do jej potrzeb, ale raczej są jej czemś wrodzonym, do niej z natury należą, są jej uzupełnieniem, są jej prawami. Rozum, uczucie i wola „razem pracują z ciągłością, stałością i wytrwałością dla jednego wspólnego celu, dla zapanowania dobra moralnego w człowieku. Stoją w służbie i na żołdzie wysokiego majestatu moralności“.¹ A więc prawo boże naturalne nie jest obce naszej naturze. Ono jest potencjonalnie w nas, choć nie od nas pochodzi, ale z naturą od Stwórcy nam jest dane. Przez nie uczestniczy nasza natura w świętości bożej. Boska wola znajduje swój wyraz w naszej duchowej naturze. Prawo boże jest więc i naszym prawem, jest dostosowane do naszej natury, jest *lex homogenea*, jak powiada św. Tomasz a nie *heterogenea*.² Rozum ludzki jako odbłask rozumu boskiego razem z obudzeniem się myśli rozpoznaje i pierwsze zasady moralności. Dobrze mówi Schneider: „Nawet świat materyalny nie bywa poruszany prawami poza nim leżącemi, ale wewnętrznemi, których pierwowzór znajduje się w Bogu. Jeszcze ściślej musi człowiek być złączony z wolą Stwórcy, a przeto musi tę wolę znajdować mieszkającą i działającą w swej naturze. Jest tedy o tyle sam sobie prawem, że porządek moralny nie jest dla niego normą martwą, obcą jego naturze, ale żywą, w nim mieszkającą i z nim spokrewnioną“.³ Oczywiście prawo naturalne tak jest prawem naszym, że my nie jesteśmy jego twórcami,

¹ Kneib, *die Jenseitsmoral* str. 29.

² Św. Tomasz 1—2 g. 71. a. b.

³ *Göttliche Weltordnung und religionslose Sittlichkeit* str. 502.

ani mu też mocy obowiązującej nie dajemy. Widzieliśmy już powyżej, że autonomia eliminująca Boga z etyki jest bezsilną.

Oprócz praw naturalnych są jeszcze prawa boże pozytywne, objawione. Właściwie i prawa naturalne są faktycznie objawionymi, ale przez objawienie nie przestały być naturalnymi, dlatego nie straciły w nas natury praw autonomicznych, w znaczeniu dopiero co wyłożonym.

Są atoli nadto prawa objawione, o których tylko z objawienia wiedzieć możemy i które nam Bóg pozytywnie nadał n. p. obowiązek przyjmowania Sakramentów św. Czy te prawa są nam obce, heteronomiczne? Na to pytanie odpowiada Mausbach: „Także i pozytywne prawa, które Chrystus przydał, nie są samowolnymi przepisami; one łączą się z prawem naturalnem najpierw przez to, że się mu nigdy nie sprzeciwiają a nadto, bo, jak n. p. przyjmowanie Sakramentów, pobudzają do ćwiczenia się w cnotach i podnoszą stan naszego życia duchowego. Taki też jest cel wogóle objawienia: podnieść życie duchowe przez wskazanie nadprzyrodzonych celów, ale w ten sposób, by to co naturalne było włączone w to co nadprzyrodzone a niewyrugowane z niego”.¹ Prawa nadprzyrodzone nie są obce naszej naturze tak jak łaska boża nie jest jej obcą. Łaska bywa zaszczepiona na naturze jak szlachetna latorośl na pniu dziczki, aby naturę oczyścić, podnieść do wyższego stanu i uszlachetnić. Natura nie traci nic z tego, co jest w niej dobrego, ale pod wpływem łaski rozwija wszystkie swe naturalne zdolności, rośnie duchowo pod wpływem łaski jak roślina pod wpływem rosy i promieni słonecznych. Pod wpływem łaski człowiek nie zatracą swej indywidualności — rozwój indywidualności jest dla wielu dzisiejszych etyków bez Boga normą moralności — ale tę indywidualność w najszlachetniejszy sposób rozwija, chroniony od fałszywych kierunków, od narośli szkodliwych jak egoizm, zmysłowość i t. p. Dość przyjrzeć się świętym katolickim, by się przekonać, jak pięknie rozkwitły pod wpływem łaski naturalne ich do cnoty zdolności. Miłość Boga,

¹ Mausbach. *Die Katholische Moral* 1911, str. 135.

ludzi, bezinteresowność, poświęcenie dla drugich jedna im cześć i podziw nawet u niechętnych. Łaska wydobyła z ich duszy wszystkie dobre skłonności natury, uszlachetniła je, dała im wzrost i rozkwit. Ich indywidualność nie przez łaskę nie straciła, bo jakżeż różnorodne są charaktery między świętymi, jak wybitne indywidualności! A więc i prawo objawione, które nam każe czerpać z nadprzyrodzonych źródeł łaskę, dającą taki cudowny wzrost naturalnym przymiotom duszy, nie może się przecie nazywać obcem dla tej duszy, jej naturze przeciwnem, narzuconem jej, czemś dla niej szkodliwem.

Przeciwnicy etyki chrześcijańskiej, mówiąc o heteronomii prawa bożego, widocznie wychodzą z fałszywego założenia, lub podsuwają je niesłusznie nauce katolickiej, że Bóg narzuca samowolnie przepisy swym rozumnym stworzeniom. Nie to jest dobre, co z natury rzeczy jest takim, ale, co Bóg chce, aby było dobrem tak, że gdyby Bóg chciał, to morderstwo mogłoby być czemś dobrem, a miłość rodziców czemś złem.

Tego rodzaju zapatrywanie jest zgola fałszywem, bo kwestyonuje świętość bożą. Bóg nie może chcieć czynności z natury swej złej, tak jak nie może jego wola nie miłować świętości, z którą się całkiem jednoczy. Świętość jest regulatorem dla woli Bożej. Świętość Boża to nie innego tylko natura boża z całą pełnią doskonałości. Tak jak w naturze bożej nie może być najmniejszego braku, tak i w świętości bożej nie może być nic zła moralnego. Otóż owa najświętsza natura boża przedstawia rozumowi i woli bożej całe dobro moralne, cały ideał doskonałości i świętości. Wtedy wola boża nie samowolnie, ale według tego ideału świętości, w sobie widzianego, stanowi prawa moralne, określa co dobre a co złe. Taką jest nauka katolicka. Tyle co do praw bożych. A prawa kościelne czy są dla nas heteronomiczne? Tak mówią nasi przeciwnicy — zobaczmy.

Kościół trzeba uważać pod dwojakim względem. Odnośnie do praw bożych Kościół jest tylko tych praw nieomylnym głosem i tłumaczem. Tutaj posłuszeństwo Kościołowi jest posłuszeństwem Bogu i wszystkie powyższe uwagi co do heteronomii prawa bożego mają i tu swe zastosowanie.

Kościół jest też prawodawcą we własnym zakresie. W prawodawstwie swoim Kościół jest związany prawem bożem tak naturalnem jak i pozytywnem: nie może nakazać, co by się prawu bożemu sprzeciwiało. „Wszelkie prawo ludzkie, mówi św. Tomasz, o tyle jest prawem, o ile się opiera na prawie naturalnem, jeśli zaś odstępuje w czemś od prawa naturalnego, już nie będzie prawem, ale zepsuciem prawa“.¹ A i to z Mausbachem należy zauważyć, że „obowiązki uregulowane przez przykazania kościelne zajmują bardzo mało miejsca w życiu katolika i w katolickiej nauce moralnej. W teologicznej sumie św. Tomasza brak osobnego artykułu traktującego o przykazaniach kościelnych; na 1000 stron etycznego materiału u św. Tomasza, może 5 stron odnosi się do przykazań kościelnych. Katechizm rzymski traktuje w ustępie poświęconym moralności tylko o 10 przykazaniach boskich; nowsze katechizmy mówią także o przykazaniach kościelnych, ale tylko jako o rzeczy dodatkowej do przykazań boskich“.² Tylko tam, gdzie potrzeba bliższego objaśnienia i praktycznego zastosowania prawa bożego do życia, tam Kościół występuje ze swemi prawami. Kościół przez swe prawa nie stawia też najwyższych norm moralności, tylko uczy kiedy i jak uczynek, skądinąd moralny, ma być w praktyce życia wykonany.

Zdaniem kantystów prawo pochodzące z zewnątrz — heteronomia — wytwarza tylko legalność a nie moralność, bo przychodzi do mnie w formie cudzego nakazu, bez podania motywów, nie pozwala mi wglądać w cel, treść prawa, w jego wewnętrzną wartość tak, że ja spełniam prawo nie przez cześć dla świętości prawa, nie z umiłowania przedmiotu prawa, a może nawet wbrew memu przekonaniu o rzeczywistej jego wartości. Stąd w prawie, w ten sposób mi narzuconem, możliwem jest tylko samo zewnętrzne zastosowanie się do prawa, jako wyrazu woli prawodawcy, bez cenienia samego prawa — a to jest przecie czystą legalnością.

Tak nie jest. Przedewszystkiem świętość boża gwarantuje nam, że prawo przez nią wydane musi być święte, cenne, godne

¹ S. Thomas 1—2 q. 95. a. 2.

² Mausbach, l. c. str. 136.

wszelkiej czci i uległości. Przykazanie boże daje mi pośrednio poznać i świętość rozkazu. Bo Bóg, świętość i dobroć sama, nie może nakazywać zła moralnego. Kto tedy spełnia prawo przez wzgląd na wolę bożą, ten ubocznie ceni i czci samo prawo i przedmiot jego nakazu. Powtóre, prawa boże naturalne są, jak widzieliśmy, wypisane w sercu naszym. Człowiek znajduje w sobie już z natury zrozumienie dla ich wartości, niektóre budzą wprost naturalny pociąg ku sobie n. p. prawo: czcij ojca i matkę swoją. Prawa takie zniewalają nas do czci dla siebie. Ten sam Bóg, który włożył w serce dzieci miłość ku rodzicom, włożył także w serce i w rozum zdolność do poznania wartości prawa i obowiązku względem niego. Dlatego wszystkie katolickie etyki, dzieła pedagogiczne i naukowe przywodzą na udowodnienie swych etycznych postulatów wszystkie, ale to wszystkie, motywy przytaczane w niezależnej etyce jak: piękność cnoty, szacunek dla siebie, udoskonalenie własne, sprawiedliwość, słuszość i t. p.

To samo trzeba powiedzieć o prawie nadprzyrodzonym, objawionem. Ono wprawdzie dotyczy przedmiotu leżącego w sferze nadprzyrodzoności, ale Bóg w Piśmie św., Kościół w swem nauczaniu, teologowie w swych uczonych dziełach, asceci w swych głębokich pismach, mistycy w swych intuicyjnych podpatrzeniach rzeczy bożych dają nam dostateczne zrozumienie wartości rzeczy nadprzyrodzonych, rozbudzają miłość, cześć ku nim tak, że treść i wartość prawa moralnego odnoszącego się do rzeczy nadprzyrodzonych jest nam aż nadto dobrze znana.

Przez te uwagi daną jest także odpowiedź na zarzut, często ze strony protestantów podnoszony, niesamodzielnosci sądu u katolików w rzeczach moralnych. Za katolików, powiadają, myśli jego spowiednik, kaznodzieja, doradca duchowny i t. p.

Oczywiście, że Kościół poucza swych wiernych czy to w kazaniach, czy w konfesyonale o obowiązkach moralnych, ale nie broni nikomu wglądać samemu w treść nauki; przytem podaje motywa z rozumu także zaczerpnięte, przez co pomaga do wnikięcia w prawdy nauczane. Tak postępuje cały świat

przy nauczaniu drugich tak i protestancy pastory wobec swych owieczek. Wielu nie byłoby w stanie bez pomocy drugich poznać wartości czynu moralnego i obowiązku, wskutek tego samym sobie zostawieni popadliby łącno w błąd, a tak bezwzględna samodzielność stałaby się dla nich szkodliwą. Własna miłość zaślepia, że łatwo człowiek uważa za dobre to, co dogadza jego egoizmowi i schlebia namiętnościom. W tym wypadku jest rzeczą wielce wskazaną, zostawić ocenę czynu drugiemu, do którego się ma uzasadnione zaufanie. „Samodzielność, dobrze mówi Kneib, nie jest znowu takim absolutnem dobrem, żeby jej bronić nawet z narażeniem się przez to na pobłądzenie i nawet wtedy także, gdy się najwidoczniej nie jest w stanie mieć własnego sądu o danej sprawie“.¹ Autorytet kościelny nie występuje przeciw samodzielności nieprzyjaźnie, ale ją uzupełnia i chroni przed zejściem na bezdroża. Oczywiście zdarzyć się może, że bądźto spowiednik, bądź katecheta za nadto arbitralnie swój urząd wykonuje tak, że tłumi rozwój moralnych sądów w swym pupilu, ale to już wina osób a nie zasad katolickiej etyki. Usterki w zastosowaniu zasad są nieuniknione. „Zasadniczo samodzielność nie powinna być tłumiona, ale budzona, popierana i rozwijana“.

Może będzie tu na miejscu dotknąć jeszcze zarzutu tak często powtarzanego, że praktyki religijne Kościoła katolickiego wytwarzają zewnętrzną i wysuszają życie wewnętrzne.

W rzeczy samej może się zdarzyć, że ktoś, przywiązujący wielką wagę do pewnych praktyk kościelnych, stoi, mimo to, nisko moralnie. Nieraz może się mieć za świętego właśnie dlatego, że skrupulatnie zachowuje praktyki kościelne. To wszystko może się zdarzyć, ale czy temu winny praktyki kościelne? Czy Kościół nie kładzie głównego nacisku na ducha praktyk religijnych, czy nie tłumaczy wiernym ich znaczenia, celu, związku z przykazaniami boskimi, by wierni mogli wejść w myśl Kościoła ustanawiającego pewne praktyki religijne, zrozumieć ich wartość, potrzebę? Czy Kościół zalecając praktyki religijne, nie podkreśla przytem, że główna rzecz wiodąca do uświęcenia

¹ Kneib. I. c. str. 72.

to spełnienie przykazań bożych? Kościół zawsze potępiał pobożność zewnętrzną przy równoczesnem zaniedbaniu pracy nad uświęceniem wewnętrznem. „Nigdy w Kościele nie zastępowała zewnętrzna poprawność wewnętrznej świętości i cnoty. Wstrętny typ bigota nie świadczy przeciw prawdziwej pobożności“.¹ Tysiącom nie przeszkodziły przykazania kościelne i praktyki religijne do gruntownego i wysokiego udoskonalenia się — widać, że przyczyna zewnętrzności religijnej nie leży w naturze samych przepisów i praktyk, ale gdzieindziej jej szukać należy n. p. w lekkomyślności danego osobnika, w jego płytkości duchowej i t. p. Mimo braków, jakich okazują dla jednostek mogą się stać prawa czy praktyki kościelne, są one dla ogółu katolików prawdziwym dobrodziejstwem: wskazują, jak należy prawo boże rozumieć i w praktyce stosować, podtrzymują słabą wolę ludzką, przynaglają do powstania z upadków, do spełniania praw bożych, podpierają i rozwijają życie wewnętrzne.

¹ Mausbach l. c. str. 147.

(Dok. nast.).

X. dr. M. Sieniatycki.

Spółeczna i narodowa doniosłość drobnego kredytu ziemskiego.

W szeregu artykułów¹ będących w ścisłym związku z referatem o emigracyi, oddanym mi przez Koło polskie wiedeńskie w r. 1891, przedstawiłem w r. 1897 zasadniczy program opieki nad kolonizacją częściową obszarów dworskich w Galicyi z wyraźnym celem zapobieżenia rozdrobnieniu gruntów i głodowi ziemi, jaki wobec wyraźnego już napływu zarobków naszego ludu poza granicami kraju i monarchii a nawet Europy² się zaznaczał. Argumentacja była już wtenczas dość stanowcza i zdawało się piszącemu, iż głos jego w organie narodowym, będącym w najbliższej styczności z ziemiaństwem Galicyi wschodniej, więc znającym jego potrzeby, a zarazem umiejącym odczuć interesa najszerszych warstw ludu polskiego³, którego kuryalni wówczas reprezentanci z grona ziemiaństwa uważali się za naturalnych sojuszników i opiekunów — przyczyni się do tego przynajmniej rezultatu, iżby w najżywotniejszych kwestiach nie popełniono błędów lub choćby tylko zaniedbań, za któreby społeczeństwo w przyszłości mogło pokutować.

Parcelacya przedstawiała mi się już wówczas jako fakt elementarny, wynikły z naturalnego przyrostu ludności

¹ H. W. Kredyt parcelacyjny. (Gaz. Narodowa 1897).

² H. W. Emigracya ludu i nasze wobec niej zadanie. (Gaz. Narodowa 1892—3). H. W. Dwie mowy w parlamencie wiedeńskim w r. 1894 i 1896 i inne publikacye.

³ Z naszego programu. (Gaz. Narodowa 23 marca 1894).

wiejskiej zachodnich powiatów i rozdrobnienia gruntów przy rozwiniętej zarobkowości poza krajem a nawet za oceanami z jednej — a ciężkich stosunków większej własności powiatów wschodnich, gdzie obszary duże, znacznie zadłużone a niedość intensywnie zagospodarowane (już choćby dla chronicznego braku robocizny) potrzebują ulżenia ciężarów a także zasilenia rękami zdolnymi do pracy. Ten zatem tak ważny proces społeczny wymagał już wtenczas bacznej uwagi sfer decydujących — które wzywałem do podjęcia specjalnej ankiety i wystudowania na innych terenach wypróbowanych procederów — a tymczasem sformułowałem parę tez zasadniczych, około których można już było zbudować dzieło pożądane a przynajmniej właściwe mu dać zapoczątkowanie.

Taką to była już z powyższego wynikała teza, iż parcelację należało za czasu ująć w karby planowej, częściowej kolonizacji folwarków zbyt rozległych na drodze zakładania osad ludnością sprowadzoną z powiatów przeludnionych, cierpiących na rozdrobnienie gruntów, których mieszkańcy powoli oswajali się z przepłacaniem tychże w sposób wprost niebywały, przeocząc w swojej bezradności obfitość najlepszej ziemi czekającej na nich w Galicyi wschodniej po cenach o $\frac{1}{2}$ do $\frac{2}{3}$ niższych. Przeprowadzona tam była również w tych artykułach teza, iż ten proceder, jeśli ma być dla obu stron pożytecznym, winien być chronionym od wszelkiej spekulacji i wyzysku — natomiast ujętym w organizację umiejętną, która, zamiast się bawić marzeniami o ograniczeniu podzielnosci gruntów, stworzyła obfity, tani kredyt parcelacyjny na wzorach np. pruskich włości rentowych,¹ (których ustrój w cytowanych artykułach referowałem), przyczem można było jako *junctim* dyktować wszelkie racjonalne zastrzeżenia przeciw rozdrobnieniu (jak to się stało później w ustawie rentowej galicyjskiej — ale dla „adjacentów“....) — wreszcie : skonsta-

¹ W niedawno otrzymanym liście redakcyi „Ziemianina“ w Poznaniu, znajduję potwierdzenie dopuszczalności transakcyj na podstawie renty wieczystej, (ustawa pruska z r. 1890) — z wykluczeniem jednakże Polaków, „ponieważ to się sprzeciwia ustawie kolonizacyjnej“... dlaczego taka renta wieczysta niedopuszczalna w Galicyi?...

towawszy, iż sprawa parcelacyjna nie powinna być spekulacyjnym interesem bankowym, ale poważną reformą ustroju agrarnego o olbrzymiej społecznej i narodowej doniosłości — wysuwałem ideę przyjętą już dawno wśród ziemiaństwa w Królestwie polskim, iż sprawę tę winna w ręce uchwycić już istniejąca zasłużona i funduszami rezerwowymi uzbrojona organizacja agrarna polska, jaką jest Towarzystwo kredytowe ziemskie z programu swego¹ do tego powołana. Na tej drodze — na gruncie polskiej własności tabularnej można było już dawno stworzyć zdrową i potężną kolonizację włościańską, któraby od razu podniosła wartość całego kompleksu zadłużeniem i bezrobociem zdewaluowanych folwarków i wzmocniła położenie narodu tej części kraju.

Jaką żywotność miały powyższe tezy, dowodem fakt, iż w Królestwie polskim z nastaniem pierwszych nadziei politycznego odrodzenia, podniesiono odrzuconą poprzednio w Petersburgu reformę statutu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, z nadzieją uzyskania wreszcie jej zatwierdzenia i przekonaniem, iż takowa stanie się jednym z najdzielniejszych środków uzdrowienia całego społeczeństwa, rujnowanego materialnie i moralnie nieszczęsną, wszczepioną sztucznie waśnią dworu polskiego z polską chatą. Że z programu rosyjskich rządów i tą razą wynikło odrzucenie tej ponownej uchwały — jest tylko wyrazem wymownym uznania jej narodowej doniosłości.

Natomiast w Galicyi *succès d'estime* dotyczącego programu objawił się w różnych zdarzeniach, które pokierowały sprawę właśnie na najgorszą drogę.

W rok po wspomnianych rozważaniach zawiązano „Polski bank parcelacyjny“ o hasłach tak doniosłych i tak wykluczających podejrzenie o jakąkolwiek spekulację, iż zarówno bank krajowy, jak nawet i Gal. Tow. kredytowe ziemskie wydelegowało do jego zarządu najlepsze siły swoje, o tem tylko nie pomnąc, iż zadawałnając się głosem doradczym w owej

¹ H. W. Parcelacya a T. K. Z. (Głos Narod. 1906).

instytucyi, podkopuje od razu to wszystko, czego bronić było powinno, i że autoryzując zarobkowanie na drodze rozbijania warsztatów zasługujących na ratowanie — które uratowałoby z pewnością — przyłożyło nietylko rękę do skrzywdzenia zarówno ziemian jak i włościan polskich, dzisiejszym dotkniętych ciosem¹ — ale i siekiere do swego pnia własnego, deklarując oczywistą likwidacyę właśnie w chwili, w której mogło nie dopuścić do utworzenia spekulacyjnego geszeftu w miejscu organicznej i... bezinteresownej, duchem obywatelskim owianej, a o wypróbowaną i najlepszym kredytem cieszącą się instytucyę opartej działalności.

Co więcej! Nie dość było fermentu spekulacyjnego wprowadzonego w obrót ziemią przez bank parcelacyjny — trzeba było uchwalić ustawę sejmową o włościach rentowych i oddać ją wraz z 10 milionowym funduszem w ręce komisji rentowej, która jako instytucja publiczna i krajowa, związana zresztą instrukcyami forytującemi interesa adjacentów, jest stanowczo niebezpiecznym czynnikiem likwidującym naszą dotychczasową organizacyę kredytu agrarnego, która mocą swoich statutów i przywilejów mogłaby zarówno w obecnej chwili stanowić potężny czynnik obrony naszego narodowego posiadania lecz i pozostać nim na całą przyszłość. Stałoby to się było z pewnością, gdyby ta instytucja zerwała z dotychczasową — może na ustawach, a może raczej na uprzedzeniach opartą rutyną wycofywania pożyczek z parcelowanych gruntów, które skutkiem tego ulegają znacznie wyższemu obciążeniu, nie licząc kosztów manipulacyi i zysków spekulacyjnych, jakie opłacać muszą ich nowonabywcy.

Nieszczęście narodowe i społeczne, wywołane powstaniem i likwidacyą „Polskiego banku parcelacyjnego“ byłoby z pewnością nie nastąpiło, gdyby istniejąca organizacja agrarna większej własności w Galicyi poszła była we właściwej chwili za przykładem bratniej instytucyi w Król. polskiem, która pomimo-

¹ sc. likwidacyą i procesem polskiego banku parcelacyjnego, który oświadczył reklamował wpływowy jego twórca i członek zarządu, zarówno w kraju jak w Ameryce, skąd rzeczywiście znaczne wpłynęły wkładki oszczędnościowe!

a może właśnie celem niedopuszczenia źle zrozumianych uprzedzeń stanowych gotową była stać się instytucją generalnym polskiego kredytu ziemskiego i pośrednikiem organizacyjnym pomiędzy obiema kategoriami własności ziemskiej tyle wspólnych mającemi interesów.¹

Jako odgłos owych artykułów Gaz. Nar. z r. 1897² możnaby chyba poczytać świeżo założone Towarzystwo pod firmą „Ziemia polska“, z prezydencją JE. b. ministra Głębińskiego...

Czytając odezwę, zawierającą prócz haseł tak elementarnych, że nie nadają się do publikacji jako nowy program, albo też w powyższej publikacji zawartych, czułem po prostu żal do jej twórców, iż nie spytali mię o przyczynę, dla której po ogłoszeniu owych wywodów, zaprzestałem dalszych podobnych publikacji na wschodzie kraju, gdyż byłbym im wyjaśnił, iż nie mając tam nic nowego w tej mierze do powiedzenia — postanowiłem raczej działać skutecznie i bez rozgłosu w celu przeprowadzenia tych postulatów w praktyce i wyrobienia dla nich uznania i współdziałania w tych sferach społeczeństwa polskiego, które po ich sformułowaniu przysły do władzy i że działanie w tej mierze skoncentrowałem wśród ludności polskiej zachodniej części kraju, którą sukcesu polityczne i uświadomienie narodowe zobowiązują już

¹ Gal. Tow. kred. ziemskie obejmowało w r. 1901 obszar 2,274.715 morgów — w r. 1911 obszar 1,761.949 morgów, ubytek w 10 latach wynosi zatem 449.316 morgów t. j. 19·9%! W jakim zaś tempie postępuje ten ubytek, dowodem 3 lata ostatnie: W r. 1909 wynosi 80.608 morgów

„ 1910	„	61.480	„
„ 1911	„	72.956	„

w roku 1912 wynosi ubytek ten 104.000 morgów! Ile zostanie po nowych latach 10-ciu? Dla kogo się buduje wspaniały pałac przy ul. Kościuszki? Co się stanie z 14-sto milionowym majątkiem tej likwidacji, który miał służyć ku obronie rodzinnej ziemi, a nie wystarcza nawet do podtrzymania kursu listów, stojących najniżej ze wszystkich pupilarnych walorów pomimo tak znacznego zapotrzebowania na spłatę tych 80.000 czy 104.000 morgów, tak skrupulatnie przez Dyрекcyę poświęcanych na cześć niewzruszonego „Koranu“ — jakim, tak dowcipnie, nazwano zabójczy statut w najkompetentniejszym miejscu i bardzo poważnej chwili?

² a także artykułów emigracyjnych (Gaz. Nar. 1892—3) gdzie już wtenczas z naciskiem wskazywałem na częściową parcelację i kolonizację polską w Gal. wschodniej.

dzisiaj do podjęcia konkretnej w tej mierze akcji.¹ Natomiast przewidywany przezemnie skutek nastąpił zbyt rychło w tym duchu, iż prasa ruska pochwyciła wymowną odezwę zawiązanego Towarzystwa, i bez względu na śmieszność obawy, iż instytucja o 4 kor. wkładki rocznej, i funduszu zakładowym 700 koron może zaszkodzić Ukrainie — wypowiedziała na zawołanie swój wielkanocny program polityczny,² w którym, imputując ludności polskiej hakatystyczne dążenia wytępienia Rusinów przy pomocy „Komisyi kolonizacyjnej“ na wzór pruski założonej („Z. polska!!“), wzywa naród ruski do uczynienia gospodarstwa na gruntach polskich nierentownem a to celem obrony Rusinów przeciwko całkowitemu wytępieniu i t. p.

Jeżeli do tej nowej enuncyacji politycznej dodamy całą bibliotekę interpelacji parlamentarnych immunizujących gorsze jeszcze nawoływanie do strejków i bojkotów lub innych rzeczy, zawartych w bardzo autentycznych refleksjach na temat Irlandyi³ (o coby się zapewne katolicycy Irlandczycy mocno obrażili) — możemy skonstatować, że zasługą główną inicjatorów nowej organizacji jest raczej sprowokowanie owych hajdamackich effuzji, na które odpowiedział wiec ludowy kościuszkowski 14/4 1902 w Krakowie protestem przeciwko owym zjadliwym podejrzeniom i przypomnieniem, iż wobec obowiązującej konstytucyi Lud polski zastrzega teraz i nadal wszelkie prawa zachowania narodowej własności w narodowych rękach a tem samem prawo posiadania i nabywania ziemi na całym obszarze tego kraju.

Fakt, iż nowo zawiązana organizacja lwowska nie zwróciła

¹ Tu należą konferencye odbywane z mojej inicjatywy przez niektórych członków Koła polskiego wiedeńskiego z posłami ludowymi jeszcze przed ich wstąpieniem do Koła np. narada z 4 grudnia 1902, odbyta pod przewodnictwem ś. p. ks. Pastora, ze współudziałem posłów centrum katolickiego oraz ludowców pp. Bojki, Krempey, Olszewskiego i Kubika, zakończona uchwałą propagowania wśród włościan polskich osadnictwa we wschodnich powiatach jakoteż utworzenia stałego komitetu mężów zaufania dla pośrednictwa w kolonizacji polskich włościan w tym samym kraju.

² „Diło“ z 7 kwietnia 1912. Historyczny artykuł p. t.: *Ausrotten...*

³ immunizowane broszury Wityka, Budzynowskiego i i.

uwagi na konieczność ratowania starej obywatelskiej organizacyi, obejmującej kraj cały od lat 62 i oddania jej kierownictwa polskiej polityki agrarnej, może uspokoić Rusinów najzupełniej co do skuteczności agresywnych nawet dążeń „Ziemi polskiej“ (gdyby takowe wogóle były zamierzone), skoro zaś jednak organizacya nowa już istnieje i tak wspaniały ogłosiła program — prosiłbym, by raczyła swoim prawnikom i ekonomistom polecić zbadanie memoriału wniesionego pod datą 7. stycznia 1910 do Dyrekcyi Gal. Tow. kredytowego ziemskiego *ex re* katastrofy banku parcelacyjnego oraz inne postulaty, które tejże Dyrekcyi przedłożyłem.

II.

Ciekawe refleksye wywołuje odnaleziona w moich papierach broszura z r. 1905 p. t. „W obronie lwowskiego banku parcelacyjnego“ — w której s. p. Dr. Tadeusz Sołowij, zdeklarowany Rusin, wyjaśniał swoje wstąpienie do rady nadzorczej tej instytucyi potrzebą przeciwdziałania nacyonalistycznym wpływom narodowej demokracji. Jak podzielam jego zdanie, że instytucyi opartej o fundusze banku krajowego, nie wolno używać na cele jednej narodowości lub stanu — dowodem cały mój odnośny program, ogłoszony jeszcze w r. 1897 a wyraźnie sformułowany w „Głosie narodu“ r. 1905, w opozycyi mojej przeciwko sposobowi wprowadzenia w życie instytucyi włości rentowych opartych właśnie o fundusze krajowe.

Że nie podzielam wielu opinii „Słowa polskiego“ dowodzi całe moje stanowisko w sprawie uniwersytetu ruskiego, który jeszcze w r. 1884 uważałem za potrzebny (p. Kurjer lwowski 19/5 1884) jako środek kulturalny przeciwko rozwojowi pajdokracji i hajdamactwa w Galicyi wschodniej — a także odezwanie się w „Świecie słowiańskim“ (1908) w duchu „Stronnictwa krajowego“ na Litwie i Rusi¹ — jeżeli jednak autor tak skutecznie zwalczył jednostronność „polskiego“ banku parcelacyjnego (bo takim go mieć chcieli ludowcy polscy, a stwier-

¹ H. W. W sprawie uczelni ruskiej. („Świat Słowiański“, październik 1912).
H. W. Społeczeństwo polskie na Rusi halickiej. (Świat Słow. 1908).

dził p. Stapiński na zgromadzeniu Koła sejmowego w r. 1905, zaprzeczając zarazem, jakoby bank parcelował dla Rusinów) to niekonsekwencją jest chyba popieranie „ruskoho agrarnoho banku“, jakiego firma zdołał jeden z domów sąsiadujących z wioską cerkwią oraz usuwanie się Rusinów od Kółek rolniczych, gdyż to właśnie podnieca, tak u nas szkodliwy, a za kordonem tak niebezpieczny nacjonalizm.¹ Wynika stąd słuszny żal do tak wpływowych działaczy ludowych, którzy wiedząc dobrze, jak ważnym jest dla ludu polskiego tani kredyt parcelacyjny, dla stworzenia go założyli instytucję spekulacyjną, która, by istnieć, musiała brać kredyt w instytucji krajowej dla obu przeznaczonych narodowości, a temsamem musiała przyjąć członków zarządu, prowadzących do likwidowania polskich majątków ziemskich na rzecz „adjacentów“.....

Zapewne tylko brak kultury finansowej i politycznej był powodem, iż nie poszli raczej na drogę żądania od starszej braci, zorganizowanej w gal. Tow. kredytowym ziemskim, by elementarnym potrzebom ludu polskiego świadomie i programowo uczyniła zadość przez stworzenie działu parcelacyjnego w swoich biurach, który, siłami wyrobionemi w długiej służbie fachowej i nie potrzebującami prawie uzupełnienia — z ominięciem wszystkich kosztów i uciążliwości pośrednictwa w wyrabianiu pożyczek włościańskich na terenie kredytu hipotecznego — byłby stworzył taką samą organizację ziemiaństwa drobnego, jaką była dotąd ta — likwidująca dziś — organizacja własności tabularnej — byłby takowej zapewnił przyszłość, jako twierdzy narodowego posiadania odziedziczonej skiby i jej utrzymanie w polskich rękach!

I dziś jeszcze — nawet po tylu stratach ziemi i potu czoła polskiego chleboroba — możliwem jest powstrzymanie fatalnego procesu — lecz na to potrzeba likwidacyi roboty spekulacyjnej na terenie agrarnym przez organizację,

¹ Zupełnie świeży ukaz J. Ekscełlencyi Metropolity Szeptyckiego o lokowanie funduszów cerkiewnych tylko w ruskich instytucjach jest wymownem wprowadzeniem w życie zasady „swój k'swemu“, którą wypowiedział program „Ziemi polskiej“ ku takiemu oburzeniu sprawiedliwego „Diła“ i t. p. (p. słynny artykuł wielkanocny tego pisma p. t. *Ausrotten!*)

która była i pozostać musi narodową, i która żyć będzie... nie lat 500 — jak mię uspakajano... w starej rutynie — ale zapewni sobie wieczną niespożytość, jak to wszystko, co się opiera na niespożytym żywiole całego narodu pod wodzą intelligencji świadomej współczesnych celów i obowiązków.....¹

III.

Niezwykłej uprzejmości jednego z dawnych współpracowników Dziennika Poznańskiego zawdzięczam wycinek z tego organu, obejmujący doniosłe informacye co do zastosowania w praktyce powyższych propozycji organizacji włościańskiego kredytu ziemskiego na terenie W. Ks. Poznańskiego.

Cytuję tu odnośne ustępy artykułu Dz. Pozn. z 10 lutego 1884, Nr. 34, pióra p. A. W. Wolniewicza.

„Warto jest rozpatrzyć się, jakie błogie skutki założenia towarzystwa kredytowego dla włościan, acz bardzo spóźnione, na stosunki finansowe tychże wywarło; szczególnie dla przekonania tych przeciwników pomiędzy właścicielami większych posiadłości, którzy się tak długo opierali przypuszczeniu włościan do wspólnego towarzystwa o przystępach rocznych. Wiadomo, że ze wszystkich towarzystw hipotecznych, na posiadłości wiejskie udzielających pożyczki, Towarzystwo kredytowe ziemskie (czyli tak zwana u nas z niemiecka „landschaft“) jest najkorzystniejsze i pod najmniej uciążliwymi warunkami udziela pożyczek. Włościanie od dawna potrzebowali takiego źródła kredytu, może nawet jeszcze gwałtowniej, aniżeli właściciele większych włości, albowiem stan gospodarstwa i budynków, niepodzielność gruntów przy podziale spadku po rodzicach pomiędzy zwykle dosyć licznem rodzeństwem zmuszały tego spadkobiercę, który po rodzicach obejmował całkowite gospodarstwo, do zaciągania pożyczki dla spłacenia gotówką reszty spadkobierców. Właściciele

¹ p. HW. „Z naszego programu“. Gaz. Narod. 24 marca 1894 (Nr. Kościuszkowski).

200
STOLECZNA I KRAJOWA DOMOSŁOŚĆ

większych posiadłości mieli do zaspokojenia powyższych potrzeb już przeszło od pół wieku założone Towarzystwa kredytowe, a oprócz tego mieli dla wyrównania podziału między dzieci sukcesye, lasy i częstokroć kilka folwarków, do podziału się nadających. Gdy więc włościanie po uregulowaniu ich własności pozostawieni byli bez żadnego źródła kredytu — znuszeni byli za-
ciągając pożyczki chociaż pod uciążliwymi warunkami. Banki akcyj-
ne hipoteczne, których po r. 1866 tyle się pod protekcją rządu namnożyło, z korzyścią dla kapitalistów i lichwiarzy, a z uciąż-
leniem dla właścicieli ziemskich — stały się i stać się musiały dla włościan jedynem źródłem kredytu, ponieważ ustawa
nowego Towarzystwa kredytowego z r. 1857 i późniejszych
towarzystw rocznych dopuszczała do swego związku tylko takie
włości, które podług bardzo jeszcze niskich zasad taksacyjnych
miały wartość szacunkową 5000 tal.; wszystkie mniejszej war-
tości były wykluczone. Trzeba sobie uprzytomnić, że własności
mające wartość 5000 tal. podług ówczesnej taksy wcale nie
należały do kategorii gospodarstw włościańskich; były to
folwarki 300 do 400 morgów magd. obejmujące albo z dawnych
czasów istniejące, albo z nabycia i połączenia kilku gospodarstw
włościańskich w jedną całość powstałe. Gospodarstwa włościań-
skie, jak wiadomo, są obciążone w rubryce II hipotecznej li-
stami rentowymi na spłacenie czynszów ustanowionymi; kwota
rentów zmniejsza przeto wartość szacunkową gospodarstwa
włościańskiego do taksy landszaftowej.

Tak więc gospodarstwa włościańskie skazane zostały na
kredyt lichwiarski banków hipotecznych, które zwykle $5\frac{1}{2}$
do 6 proc. pobierają, zagarniając przy tem zwykle pierwsze
siedm lat amortyzacyi na swoje dobro i amortyzując pożyczkę
dopiero w 60 lat bez względu, że amortyzacya zwykłym biegiem
idąca rzeczywiście prędzej kapitał umorzy; tak więc właściciele
mniejszych włości pod tak uciążliwymi warunkami zostawszy
dłużnikami banków hipotecznych, przebywają w każdym roku
nieurodzażu lub przy jakiegokolwiek klęsce gospodarskiej okropną
kryzys finansową i stąd powstają subhastacye, parcelacye
gospodarstw i wogóle zubożenie całej tej klasy — nie mówiąc

już o innych lichwiarskich pożyczkach, które przy istniejącej do niedawnego czasu wolności pobierania wyższego procentu nad sześć od sta — gospodarzy włościańskich do kija żebraczego doprowadzały i doprowadzić musiały.

Rząd zamiast równocześnie z spłaceniem czynszów przez listy rentowe ustanowić towarzystwo kredytowe ziemskie dla włościan, pozostawił tę ważną i liczną klasę pracowników dla dobra kraju bez żadnej opieki i traktował tę ważną sprawę obojętnie, po macoszemu, a schlebając wówczas kapitalistom, których pomocy do przeprowadzenia niektórych praw w sejmie potrzebował, nadał tymże przy ustanowieniu banków hipotecznych nadzwyczajne prerogatywy i przywilej wydawania listów hipotecznych procent przynoszących w wysokości pożyczki na posiadłości ziemskie udzielonej.

Gdy później rząd uznał potrzebę kredytu dla włościan, założył kasy pożyczkowe zasiłkowe prowincjonalne (*Provincial-Hilfs-Kasse*), których przeznaczeniem jest udzielać pożyczek na grunta ziemskie, na domy i kamienice w mieście, na różne przedsięwzięcia melioracyjne, jako to osuszanie gruntów, łąk, kanalizowanie rzek, na budowę szkół, kościołów i tp., których gminy obowiązane do budowl, nie są w możności wyłożyć od razu potrzebny kapitał i t. d. i t. d.

Z tych różnorodnych przeznaczeń tej kasy pożyczkowej okazuje się, że rząd nie miał na celu wyłącznie i przede wszystkim przyjsia w pomoc właścicielom pomniejszych włości, ale obok tylu innych celów także i ten kredyt dla włościan nadzwyczajnie niedostateczny utworzył. Był to półśrodek do zaspokojenia potrzeby kredytu dla włościan, a także wielki błąd finansowy chcieć zastąpić kapitałem w gotówce niedostatecznym, raz dla mnogości różnorodnych jego użytków, powtóre dlatego, że rząd zawsze cierpi w budżecie brak gotówki, chcieć zastąpić gotówką taki uznany i ogólne zaufanie w świecie finansowym posiadający papier publiczny, jakim są listy zastawne, nie tylko posiadające bezpieczeństwo hipoteczne zupełne, ale poręczone i zagwarantowane solidarnie majątkiem wszystkich członków towarzystwa kredytowego i samą

organizacją towarzystwa.¹ To też ta kasa zasiłkowa prowincjonalna, posiadająca wogóle milion talarów na W. Ks. Poznańskie w homeopatyczny sposób tylko udzielała pożyczek jako tymczasowe lekarstwo pod uciążliwymi warunkami włościanom, albowiem warunki były następujące: wysokość pożyczki unormowana przez czysty dochód do podatku gruntowego pomnożony przez 20; pierwsze miejsce hipoteczne w rubryce III; wszelkie zapisy dożywotnie dla rodziców lub rodzeństwa zapisane w rubryce II skapitalizowane odciągają się od pożyczki; amortyzacya z początku na 10 do 15 lat oznaczona, później rozszerzona na 28 lat, ale w każdym razie wysoki procent wynosząca, gdyż procent od pożyczki wynosi po 5 pct.

Takie niedostateczne i uciążliwe źródło kredytu dla włościan nie mogło w żaden sposób zastąpić obszernego i nieograniczonego kredytu jakimkolwiek brakiem gotówki, jaki kredytowe towarzystwo ziemskie jest w możności ciągle i ciągle udzielać swoim członkom w miarę ich przystępowania.

W sąsiednich prowincjach W. Księstwa Poznańskiego o wiele wcześniej rząd zezwolił na założenie towarzystwa kredytowego rustykalnego aniżeli w naszej prowincyi; jak wiadomo W. Ks. Poznańskie zawsze najpóźniej uwzględnione bywa.

Znany jest czytelnikom naszych dzienników przebieg inicjatywy, petycyonowania, przeprowadzenia tej petycji w sejmie prowincjonalnym W. Ks. Poznańskiego, i wniosku o założenie towarzystwa kredytowego dla włościan, i takiegoż samego wniosku na walnem zebraniu Towarzystwa kredytowego itd.; nim nareszcie po wielu przeszkodach uzyskało to Towarzystwo kredytowe większość na walnem zebraniu stowarzyszonych, gdy na poprzednim walnem zebraniu w roku 1883 wniosek ten przepadł.

Zastanović się jednak wypada nad niedojrzałością naszego społeczeństwa, nad tym smutnym objawem, że gdy petycyja w sejmie prowincjonalnym do Jego Królewskiej Mości

¹ Ta uwaga odnosi się także i do naszych stosunków, gdzie gal. T. K. Z. zmusza parcelowane grunta do zamiany 4%⁰/-owych solidarnie zagwarantowanych pożyczek na wierzytelności banków zarobkowych.

- 1) o założenie towarzystwa kredytowego dla włościan ;
- 2) o przekazanie 200,000 talarów, udzielonych w r. 1821 przez króla Fryderyka Wilhelma III bez procentu pierwotnej landszafcie, — a obecnie się rozwiązującej i kończącej, — jako fundusz zakładowy dla utworzyć się mającej landszafty dla włościan

jednogłośnie w sejmie prowincjonalnym została przyjęta, gdy więc najważniejszy krok w tej sprawie szczęśliwie przyszedł do skutku, a wiadomości od władz naczelnych utwierdzały przekonanie, że petycja ta uzyska sankcyą królewską, natenczas walne zebranie Towarzystwa kredytowego z r. 1877, złożone w przeważnej części z delegowanych Polaków wniosek o założenie Towarzystwa kredytowego dla posiadłości oszacowanych na 6000 marek i przyłączenie takowego do towarzystwa kredytowego większych posiadłości odrzuciło i wniosek ten tak daleko posunięty przepadł na tem walnem zebraniu wprawdzie małą większością, ale przykro jest stwierdzić, że tę nieznaczną większość stanowili właśnie delegowani Polacy, gdyż delegowani Niemcy w znacznej większości głosowali za wnioskiem.

Zastanović się wypada, jakie powody tych delegowanych skłoniły do odmówienia uboższej i opieki potrzebującej klasie naszych braci młodszych tej radykalnej pomocy w ich smutnem położeniu finansowem? Oto obawy nieczem nieuzasadnione i nie wytrzymujące żadnej krytyki.

Lękano się solidarnej odpowiedzialności wobec przewidywanych bankructw gospodarzy chłopów! *Risum teneatis amici!*

Najprzód z powodu nieznajomości statutów towarzystwa kredytowego nie wiedziano, że ci członkowie tylko w pierwszej linii odpowiadają za jakikolwiek niedobór i stratę, którzy do tego samego rocznika należą, to jest, którzyby równocześnie w tym samym roku, jak tu w tym przypadku równocześnie z włościanami pożyczkę landszaftową zaciągnęli; ponieważ tak delegowani z r. 1877, jak ci, którzy ich wybrali, już wówczas byli członkami towarzystwa, przeto nie byli wystawieni na odpowiedzialność za tych członków (w tym przypadku za włościan),

którzy dopiero w następnym i w późniejszych latach pożyczkę zaciągnąć musieli. Oprócz tego na przypadek tak rzadkiego wypadku, że przy jakiej sprzedaży na subhaście gospodarstwa włościańskiego istotnie jakie kilkaset marek miałoby przepaść towarzystwu kredytowemu, to najprzód tę stratę pokrywa fundusz rezerwowy tego rocznika towarzystwa kredytowego, w którym ten włościanin pożyczkę zaciągnął, a przy wzięciu pożyczki podług § 8 statutów złożyć musiał dwa procent od sumy pożyczonej do owego funduszu rezerwowego i przez cztery lata opłacać ćwierć procentu do funduszu rezerwowego. Napróżno dyrektor towarzystwa kredytowego i inni członkowie dyrekeyi zapewniali, że najmniejszej niema obawy o jakieś straty, przypuszczając włościan do towarzystwa kredytowego, 1) ponieważ dwudziestoletnie doświadczenie wykazało, że najregularniej i najpункtualniej wypłacali się przez te 20 lat posiedziciele włości tylko na 5000 tal. oszacowanych; 2) ponieważ organizacya towarzystwa zabezpiecza członków poprzednich roczników od odpowiedzialności za straty wynikłe w późniejszych rocznikach; nie to nie pomogło, obawa oparta na niczem, chyba na nieznajomości statutów, wzięła górę i wniosek przepadł.

Najdziwaczniejszy zarzut przeciwników towarzystwa kredytowego dla włościan był następujący: „że skoro posiadłości mniejsze zostaną przypuszczone do towarzystwa kredytowego, listy zastawne w kursie spadną! Zarzut czyniony przez członków, a zatem przez dłużników towarzystwa! Wiadomo zaś, że niski kurs listów zastawnych przynosi stratę wierzycielom towarzystwa, to jest posiadaczom listów zastawnych; a również niski kurs listów zastawnych przynosi zysk i korzyść dla członków czyli dla dłużników towarzystwa. Jeżeli ktoś nieobeznany z statutami zapyta się jakim sposobem niski kurs listów zastawnych może członkom, którzy już dawniej pożyczkę zaciągnęli przynieść zysk, to mu objaśnimy: że rezerwowy fundusz musi wynosić dziesiątą część wszystkich wydanych w świat listów zastawnych i być aserwowany w listach zastawnych; ile razy przy półrocznem loso-

waniu listów zastawnych wylosowane listy zastawne trafiają na numera w funduszu rezerwowym złożone, tyle razy fundusz rezerwowo zamienia swoje listy zastawne wylosowane na gotówkę *al pari*, a natychmiast kupuje w ich miejsce inne listy zastawne, które im taniej są kupione, tem większy zysk przynoszą, który to zysk idzie na przyspieszenie, amortyzacji czyli na umorzenie długu. W r. 1878 czyli wtenczas, kiedy miała być uchwalona landszafta dla włościan, wynosił fundusz rezerwowo 17 milionów marek, jakżeby to było korzystnie, gdyby ówczesny kurs listów zastawnych. circa 94% do 95% był się utrzymał, ale na przekór przepowiedniom przeciwników landszafty włościańskiej, że kurs listów zastawnych po założeniu takowej spadnie, owszem poszedł w górę i trzyma się ciągle około 101% i teraz fundusz rezerwowo przy losowaniu swoich listów zastawnych traci jeden procent, a amortyzacya przez to nam się opóźnia.

Z powyższego przedstawienia każdy się przekona, jak lekkomyślnie i niesumiennie działali na ówczesnem walnem zebraniu przeciwnicy landszafty włościańskiej, opóźniając przez swoje błahie i nieuzasadnione obawy założenie tejsze o lat dwa. Dopiero na zebraniu komitetu ściślejszego, komitetu w r. 1878 p. Buchowski, który od samego początku gorliwie popierał założenie landszafty włościańskiej, postawił na nowo wniosek o zwołanie powtórnego walnego zebrania celem założenia towarzystwa kredytowego dla włościan; wniosek ten został przyjęty, ponieważ na przeszłym walnem zebraniu takowy tylko małą większością przepadł, a gwałtowna potrzeba utworzenia takowego coraz bardziej między włościanami czuć się dawała.

Jaka była gwałtowna potrzeba przypuszczenia włościan do towarzystwa kredytowego i jak skwapliwie włościanie z tego dobrodziejstwa korzystali, okazuje się ze sprawozdania kredytowego z r. 1879. Gdy bowiem utworzenie tegoż reskryptem królewskim z dnia 28 kwietnia 1879 r. zostało zatwierdzone, już do końca r. 1879 a zatem przez siedm miesięcy zgłosiło się 206 właścicieli gospodarstw mających wartości

szacunkowej 6000 marek i otrzymali pożyczkę w ilości 445,000 marek. Do końca r. 1883 przystąpiło 1238 właścicieli tych mniejszych włości do tow. kredytowego i rozdzielają się podług powiatów, jak następuje: Poznań 65, Oborniki 101, Śrem 93, Środa 160, Września 75, Pleszew 32, Odalanów 8, Ostrzeszów 6, Krotoszyn 31, Krobia 19, Wschowa 25, Kościan 42, Buk 28, Międzyrzecz 19, Babimost 21, Szamotuły 44, Międzychód 18, Czarnków 29, Chodzież 58, Bydgoszcz 24, Wyżysk 23, Szubin 31, Mogilno 38, Inowrocław 17, Gniezno 107, Wągrówiec 114 — 1238 członków.

Pożyczka, która wogóle na gospodarstwa niżej wartości 15,000 marek wydaną została od roku 1879 aż do końca r. 1883 wynosi w odebranych listach zastawnych 5,748,600 marek. Przez ten czas sprzedano przez subhastę siedm gospodarstw; podania gospodarstw na subhastę z powodu niezapłaconych procentów zdarzają się, lecz zwykle właściciele niszczą się z należitości po skardze — to jest przed subhastą.

Wykaz powyższy członków należących do towarzystwa kredytowego i sumy pożyczki zaciągniętej na małe posiadłości jest dostateczną odpowiedzią na wszelkie zarzuty i wątpliwości przeciwników towarzystwa kredytowego dla włości. Dodać do tego trzeba, że listy zastawne od czasu przyłączenia landszafty włościąńskiej do towarzystw rocznych wbrew przepowiedniom pessimistów poszły w górę od lat kilku; a chociaż inne przyczyny wpływają na podwyższenie ich kursu nawet nad 101%, to przynajmniej to skonstatować należy, że przyłączenie landszafty włościąńskiej nie stanęło temu podwyższeniu na przeszkodzie. Sprawozdanie towarzystwa kredytowego z r. 1882 nie wspomina ani słowem, żeby którykolwiek z członków włości zaległ z zaplaceniem procentów od pożyczki; natomiast przytacza, że 89 właścicieli większych posiadłości zadłużyli się z zaplaceniem procentów w sumie 196,396 marek“.

Do słów powyższych niema już chyba nic do dodania.

Wspaniały rozwój działu włościąńskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego (Landszaftu) W. Ks. Poznańskiego już

w pierwszych latach odnośnego rozszerzenia statutów — oto skutek społeczny i narodowy tego doniosłego czynu! A skutek finansowy wprost zdumiewający, bijący wymownie wszystkie pesymistyczne przewidywania — leży w podwyżce kursu listów zastawnych $3\frac{1}{2}\%$ -owych skutkiem tej zmiany!...

Czy nie podziwiać tylko flegmę obecnych leaderów naszej krajowej instytucji, że nawet wobec powyższego przykładu (który dla mnie był dotychczas nieznanym — ale który przecież tacy fachowi finansisci i dygnitarze znać powinni!) — nie zdecydowali się choćby na bliższe rozpatrzenie propozycji i choćby tylko na dyskusję nad kilkoma w tym kierunku wydaniami publikacyami, a także wprost do nich zaadresowanym memoryałem (7. I. 1910)!

Że zaś stworzenie oddziału dla własności drobnej w Tow. kred. ziemskim mogłoby się raczej przyczynić do podniesienia kursu listów, najlepszym symptomem fakt, iż gdy wraz z p. A. Schützem odbywałem w r. 1895 misję finansowania listów zastawnych gal. Tow. K. Z. w Berlinie i Wiedniu, otrzymywaliśmy zawsze — a także i z Paryża — odpowiedź, iż ilość listów rocznie wydawanych jest zbyt małą, by warto było ze strony np. berl. Handelsgesellschaft lub braci Meyerów podejmować kroki ku ich wprowadzeniu na odnośny rynek efektów, i że zatem i wówczas przy większej ilości listów (skoro grunta parcelowane dozwoliłyby odrazu, skutkiem wyżki cen szacunkowych na ich wypuszczenie) można było, nie bez trudności wprowadzić, o których w r. 1897 lekko wspomniałem, uzyskać szerszy dla nich targ zbytu.

Wobec tak wymownego przykładu na terenie W. Ks. Poznańskiego, wydaje mi się droga dalszego rozwoju tej instytucji dla dobra całej polskiej własności ziemskiej naszego kraju tak jasno wskazaną, iż chyba nie o jej likwidacji, lecz o wzmocnieniu i rozszerzeniu winną być otwarta dyskusja.

P. S. Od czasu napisania słów powyższych zaszły różne epizody, które rzucają światło na tę ważną sprawę.

Pierwszym jest oficjalne zobowiązanie się wybranego ponownie delegata horodeńskiego przy akcji wyborczym

do gal. T. K. Z. dnia 28. X. 1912, iż przeprowadzi zupełnie przez niego uznane postulaty odnoszące się do reformy statutu tej instytucji na punkcie 1) rozszerzenia jej na grunta parcelowane (§ 2), 2) zmiany przepisów § 63, 89 i 91 celem usunięcia tak groźnej ingerencji osób z poza sfery dłużników czyli właściwych członków przy wyborach delegatów, jakoteż ewentualnej likwidacji Towarzystwa — co jest anomalią nieznaną we wszystkich finansowych instytucjach świata.

Wobec zobowiązania się tegoż delegata, iż w razie trudności przeprowadzenia tych tak doniosłych życzeń, odniesie się z odnośnem sprawozdaniem do swych wyborców — oczekiwano w tej sprawie zasadniczej choćby poufnej na zgromadzeniu delegatów dyskusyi. . . .

Co było powodem, iż wszystko zostało po dawnemu, nie tłumaczy dostatecznie list p. delegata i posła z 8. marca b. r. donoszący mi, iż „badając nastrój delegatów przyszedłem do przekonania, że obecnie jeszcze nie jest na czasie postawienie wniosku o zmianę statutu, bo tenże absolutnieby się nie utrzymał“. Domyśleć się można tylko związku z podniosłym nastrojem sukcesu uproszenia JE. Prezesa dyrekcji do pozostania nadal na tem tak zasłużonem stanowisku — pomimo najniższego na kontynencie kursu 4% listów, któremu nie zapobiegło nawet przymusowe wykupno ilości odpowiadającej uwolnienia 104 tysięcy morgów ze związku naszej narodowej na solidarności obywatelskiej opartej instytucji!

Że wobec wielkiego prawdopodobieństwa, iż kryzys finansowy przyspieszy już w roku bieżącym samolikwidację tejże o jakie 200 tysięcy morgów — należy chyba bezzwłocznie zdecydować się na jakieś środki zaradcze, któreby ten fatalny proces powstrzymać mogły — to rzecz oczywista! Jednym środkiem byłoby obejście parcelacyi a temsamem spłaty pożyczek gal. Tow. kred. ziem. na drodze kolonizacyi dzierżawnej,¹ omawianej zarówno na niedawnym zjeździe Kółek

¹ p. „Ziemni dla chłopów!“ *Rola*, dwutygodnik włościański. Kraków 25-go maja 1913.

Ziemią w Krakowie, jakoteż na wiecu oświatowym Kościuszkowskim Tow. Szkoły Ludowej.¹

Drugim zaś środkiem — radykalnym zapewne, ale wynikającym z grozy położenia, byłaby ryczałtowa likwidacja gal. Tow. kred. ziemskiego i użycie odnośnych funduszy na cele odpowiadające intencjom założycieli tegoż — póki ci ostatni posiadają w składzie głosujących tę (malejącą ciągle) przewagę, któraby w zastosowaniu § 91. statutu (powołanie wszystkich właścicieli tabularnych) wystarczała do przeprowadzenia odnośnej uchwały.

¹ Rezolucja odnośna brzmi jak następuje: „Ze względu na niezmierną doniosłość zapobieżenia skutkom rozdrobnienia gruntów włościańskich oraz potrzeby rozszerzenia posiadania ziemi w rękach ludu polskiego na podstawie praw obowiązujących, przypomina Zgromadzenie jednomyślną uchwałę wiecu oświatowego krakowskiego z dnia 14 kwietnia 1912, w której naród polski zastrzega sobie prawo nabywania i posiadania ziemi na całym obszarze naszego kraju i postanawia w myśl uchwały posłów ludowych we Wiedniu z dnia 4-go grudnia 1902:

Stworzenie komisji złożonej z mężów zaufania ludu, któraby doprowadziła do sformułowania warunków nabywania lub dzierżawienia ziemi w Galicji wschodniej, jakoteż poczyniła kroki ku uzdrowieniu kredytu hipotecznego i parcelacyjnego włościańskiego a przede wszystkim usunięciu kosztownego i rujnującego pośrednictwa działającego na szkodę zarówno strony sprzedającej, jak zwłaszcza kupującej, t. j. włościan potrzebujących ziemi dla korzystnego zużytkowania swej pracy“.

H. Wielowieyski.

Cerkiew rosyjska w ostatnich latach.

Lat temu siedm — sześć obserwowaliśmy w cerkwi urzędowej rosyjskiej intensywny ruch reformatorski, po którym spodziewano się odrodzenia życia religijnego w państwie carów i oswobodzenia cerkwi z zależności od państwa i polityki rządowej. Pamiętamy, że przez kilka miesięcy obradowała zwołana z rozkazu cesarskiego komisya specyalna, złożona z biskupów, teologów i kanonistów prawosławnych, gotując materiały dla mającego być zwołanym wszechrosyjskiego Soboru cerkiewnego. Reformy zakreslono na szeroką skalę: nie było dziedziny życia religijnego i kościelnego, którego by nie dotknięto w pracach tej komisyi. Projektowano „odrodzenie parafii“, mającej się prze- tworzyć z pojęcia terytoryalnego w żywy do pewnego stopnia autonomiczny organizm. Zakreślano reformę szeroką prawa małżeńskiego, wychowania kleru, reorganizację zarządów dyce- czyalnych. Koroną tych reform miała być reorganizacya za- rządu centralnego: miał on być zbliżonym bardziej do norm kanonicznych i cerkiew miała otrzymać głowę widomą w pa- tryarsze Wszechrosyi. Wszystkich tych reform, jak również wyboru patryarchy miał dokonać Sobór.

Na projektach się skończyło. Poszły one do aprobaty naj- wyższej aktualnej cerkiewnej zarazem jak i państwowej władzy: cesarz wyraził swe wielkie zadowolenie z rezultatów prac ko- misyi i jej uchwał, lecz termin zwołania Soboru zastrzegł sobie samemu: zwoła go w chwili, kiedy uzna to za korzystne dla państwa i cerkwi.

Chwila taka dotąd jeszcze nie nadeszła. To, że nie prędko ona nastąpi, przewidywano odrazu. Konserwatywne koła w samej cerkwi były nawet rade, że ta chwila się odwlecze, obawiały się bowiem alternatywy: albo Sobór rzeczywiście przeprowadzi daleko idące reformy w kierunku demokratyzacji życia i rządów cerkiewnych, a w takim razie straci na znaczeniu kasta „czarnego kleru“, w którego rękach niepodzielnie te rządy spoczywały, — albo odtrąci wszelkie liberalno-protestanckie zakusy reformatorów, a wtedy sam może zostać odtrąconym przez wielką część „duchowieństwa białego“ i społeczeństwa świeckiego, co wywołałoby nową schizmę. Niechaj więc raczej pozostanie wszystko *in statu quo*, a reformatorzy niech się pocieszają nadzieją, że kiedyś Sobór będzie. Że dla interesów państwa, jako takiego, chwila zwołania Soboru nie nadeszła, nie w tem dziwnego. Jakiegokolwiek rozszerzenie prerogatyw cerkwi, jakakolwiek jej autonomia pociąga za sobą z konieczności zmniejszenie ingerencyi państwa w rzeczach kościelnych, wypuszczenie z rąk tak silnego narzędzia polityki rządowej, jakim była i jest cerkiew synodalna.

Po odłożeniu więc kwestyi Soboru *ad calendas graecas* wszystko wróciło do dawnego stanu i życie cerkwi wyłobionym od wieków dalej płynie korytem. Nad myślą teologiczną i słowem napowrót rozciągnięto surową cenzurę, pisma cerkiewne o liberalnych i reformatorskich tendencyach, jakie powstawały za „dni wolności“, poupadały, oficjalne zaś wydawnictwa przebąkiwały wprawdzie o żądanych zmianach, ale coraz rzadziej, coraz ciszej i nieśmielej. Reformy na siebie wziął Synod, dziecię żelaznej ręki Piotra W., i przeprowadza te reformy po swojemu, sposobem biurokratycznym; przewodnią zasadą w nich zduszenie wszelkich tendencyi liberalniejszych. Robi się jednak wciąż coś nowego, by dać znak, że Synod żyje i pracuje, że i bez Soboru obejść się można. Rosną stosy projektów, nowych przepisów, cyrkularzy: w przeciągu paru lat zdołano aż dwa razy zmienić ustawy akademii duchownych i seminarjów, nie tykając zresztą wcale ich ducha ani charakteru wychowania kleru. Na stanowisku nadprokuratora Synodu, fak-

tycznego kierownika nawy cerkiewnej, zmieniali się często ludzie : od dymisji Pobiedonoscewa przesunęło się ich już czterech : Szyzynskij, Szychmatow, Obolenski, Izwolski Łukjanow, doktor psychiatrii, aż wreszcie, jak się zdaje, w stałe posiadanie objął stolec prokuratorski Sabler, wierny uczeń i współpracownik długoletni Pobiedonoscewa. Ta nominacja i trwała pozycja p. Sablera daje najlepszą rękojmię, że cerkwi nie grozi w bliższej przyszłości żadne liberalne niebezpieczeństwo. Złośliwi lubią stosować do niej przepowiednię, skierowaną kiedyś do św. Piotra Apostoła : „kto inny cię przepasze i poprowadzi tam, dokąd iść nie chcesz“, a jeszcze bardziej złośliwi zauważają, że dobrym obserwatorem był Dostojewskij, kiedy mówił, że cerkiew od Piotra Wielkiego „zostaje w paraliżu“. Wielki ten pisarz byłby może dodał do swych słów coś więcej, gdyby żył jeszcze w czasach „reformatorskich“ lat 1905—1907 : ruch, jaki „w paralityku“ obserwowano wtedy, niekoniecznie był dowodem, że duch wewnętrzny się zbudził w nim, że odzyskuje władzę nad sparaliżowanymi członkami ; była to raczej sztuczna zewnętrzna galwanizacja przez prądy wolnościowe w polityce spowodowana. Skoro przzerwano te ostatnie, znikły również w paralityku sztuczne objawy życia.

Nie można atoli powiedzieć, by cerkiew synodalną pozostawiono zupełnie w spokoju. Jedni dokuczają jej przez nienawiść, inni trwożą jej sen przez optymizm, że przecież da się ją zbudzić i na nowe pchnąć tory. Bądź co bądź istnieje w Rosyi Duma, w której wielu jest takich, co uważają za swe prawo interesowanie się cerkwią i życiem religijnem. Oficjalne przedstawicielstwo cerkwi broni się zwykle przed taką ingerencją. Synod, instytucja z natury swej państwowa, przez usta nadprokuratorów swoich już niejednokrotnie zastrzegala się przeciwko rozstrzyganiu w Dumie kwestyi cerkiewnych i wyznaniowych, i to w imię idei niezależności Kościoła od państwa i religii od polityki. Podnoszono nawet takie żądania, by wszelkie projekty praw wyznaniowych przesyłano najpierw do opinii Synodu i z tą opinią liczono się. Stanowisko takie Synodu, noszące pewne cechy słuszności, w rzeczy samej jest nieszczerem.

Nietrudno się przekonać, iż tu chodzi o zasadę niezależności cerkwi, chociaż ją wysuwają: też samą zasadę wysuwał już Pobiedonoscew w. ostatnim roku swego urzędowania, kiedy dzięki poparciu Wittego zaczął mówić o reformach w Cerkwi. Żelazny prokurator, przed którym drżeli metropolici, udawał, że władze państwowe nie są kompetentne do zajmowania się temi sprawami. W rzeczy samej chodziło o to, by Cerkwi z „opieki“ państwa nie wypuścić. Podobnie i dzisiaj, kiedy Dumie zaprzecza się prawa zajmowania się kwestyami religijnymi, chodzi o to, by w pewnej dziedzinie, którą zresztą zawsze uważano za jedną z dziedzin życia politycznego poddaną kontroli państwa, ograniczyć prawa Dumy na rzecz nie Cerkwi — ta jako osobny organizm nie istnieje wcale — ale na rzecz dotychczasowej samowładzy monarszej, albo konkretniej biorąc, na *benefis* jednego z biurokratycznych urzędów państwa, jednego z „wiedomstw“, jakim jest właśnie Synod rządzący. Przytem Synod ten nie krępuje się wcale zasadą odrębności Kościoła od państwa, kiedy chce coś od Dumy wytargować; wnosi sam, na równi z innemi ministeryami, projekty ustaw, żądając tylko, by je ciała prawodawcze akceptowały w całości.

Jeśli tak Synod postępuje, jeśli Soboru, który teoretycznie ma być władzą prawodawczą w Cerkwi, nie zwołuje się wcale, nie dziwnego, że ciała prawodawcze, zwłaszcza niższe — Duma, nie zawsze dają się prowadzić na pasku nadprokuratora Synodu. Rok temu przy omawianiu budżetu cerkiewnego zainterpelowano Synod, kiedy wreszcie zostanie zwołanym ów zapowiedziany Sobór, mający usunąć rozmaite braki w życiu cerkiewnem. Sabler czuł się zmuszonym poczynić pewne obietnice, w rezultacie których powołano do życia nową komisję przedsoborową, już nie z wielu jak pierwsza duchownych i świeckich złożoną, ale z kilku tylko członków samego Synodu składającą się i polecono tej nowej „nieustającej komisji“ przeglądać materiały pozostawione przez pierwszą. Czytając sprawozdania, jakie do pism się przedostają, odnosi się wrażenie, że powołanie tej nowej komisji nastąpiło dla zamydlenia oczu tych, co się Soboru domagali, i że cała jej działalność jest przelewaniem ciągłej tej

samej wody. Jeżeli bowiem komisya pierwsza, złożona ze specjalistów w każdym kierunku, nie dosyć wywiązała się ze swego zadania, co daje gwarancję, że komisya nowa, złożona z paru osób, i zostająca pod okiem p. Sablera, wywiąże się lepiej? Że zaś p. Sabler, umiejący w Dumie bronić „samodzielności“ Cerkwi, potrafi w Synodzie i w komisyi przedsoborowej stać na straży *status quo* i interesów rządu, to dowodzi najlepiej posiedzenie wzmiankowanej komisyi z dnia 29 listopada roku ubiegłego. Rozpatrywano kwestye zasadnicze z punktu widzenia tak dogmatycznego jak i kanonicznego: ustrój Kościoła i jego stosunek do państwa. Plan sesyi, wypracowany przez Sergiusza arcybiskupa Finlandyi, streszczał się w 17 punktach; z tych punktów rozpatrzono i przyjęto sześć: stwierdzono, że głową Cerkwi jest Jezus Chrystus, określono stosunek Cerkwi rosyjskiej do innych cerkwi autokefalnych, rozciągnęła terytoryalną pierwszej, uchwalono wreszcie, że rządem centralnym Cerkwi w Rosyi „jest Synod z patriarchą na czele“. Kiedy przyszło do debat nad stosunkiem Cerkwi do państwa, dziewięć przygotowanych punktów, na żądanie Sablera, zdjęto z porządku dziennego, jako sprzeciwiające się zasadniczemu prawom cesarstwa. „Przepasze cię kto inny i poprowadzi, dokąd nie chcesz“ sprawdziło się po raz nie wiadomo który na przedstawicielach Cerkwi urzędowej. Dano do poznania, że o radykalnej reformie stosunków kościelno-politycznych w Rosyi nie można myśleć. Choćby zwołano Sobór, kwestye te drażliwe usunięte będą z jego kompetencyi, jak usunięte zostały z kompetencyi przedsoborowej. Od czasu do czasu przebąkują o wskrzeszeniu patriarchatu: niedawno ułożono cały ceremoniał wyborów i instalacyi tego nowego dostojnika; nie zgadzają się tylko co do kwestyi, kto ma wybrać pierwszego patriarchę. Czy Synod? ale trudność jest ta, że wielu uważa tę magistraturę, dopóki nie ma patriarchy, za niekanoniczną; jakże więc mógłby on dokonać tak zasadniczego znaczenia aktu, jakim jest wybór patriarchy. Czy przyszły Sobór? ależ właśnie trzeba najpierw mieć patriarchę, bo bez niego Sobór będzie również nieprawy. Pozostaje więc trzecie wyjście: pierwszego patriarchę zambia-

nuje monarcha tą samą władzą, jaką Piotr Wielki skasował patryarchat... Ależ nie będzie trzeba lepszego dowodu na stwierdzenie supremacji tronu nad ołtarzem ! Sceptycy dodają, że patryarchat będzie tylko dekoracją — niczem więcej, że charakteru cerkwi ani panujących w niej stosunków nie zmieni. I ci, zdaje się, mają słuszość.

Jednak nawet na „dekoracyę“ sfery decydujące każą długo czekać. Spodziewano się wskrzeszenia patryarchatu w dniu jubileuszu 300-lecia panowania domu Romanowych, atoli nadzieje zawiodły. Dla „dekoracyi“ sprowadzono na uroczystości jubileuszowe z Damaszkum patryarchę antyochijskiego, Araba Grzegorza IV, który dotąd jeszcze Rosyi nie opuścił.

Nie mogąc ruszyć z miejsca ciężkiego wozu urzędowej cerkwi, Duma czyni niekiedy pewne wstręty „duchownemu wiadomstwu“, a właściwie nadprokuratorowi Synodu. Ostatniem dziełem trzeciej Dumy było uchylenie kredytów na szkoły cerkiewne. Nie poprawiła się i Duma czwarta, jakkolwiek, czy też właśnie dlatego, że p. Sabler zbyt czynny brał udział w kierownictwie wyborów do niej. W jesiennej sesyi dano odczuć kierownikowi polityki cerkiewnej brak zaufania w sposób bardzo dotkliwy. Wniesionem było do Dumy przez Synod przedłożenie o zatwierdzenie wydatków na „kursa pasterskie“ w Moskwie, poczynionych przez Synod prowizorycznie z jakiegoś funduszu rezerwowego, i o zwrot odnośnej sumy z funduszu państwa. Większość Dumy, pomimo wysiłków retorycznych p. Sablera i innych zwolenników przedłożenia, stanowczo oparła się. Przytoczono rzeczowe argumenty. Kursa pasterskie założono w celu wychowania kleru dla kolonii syberyjskich i są prowadzone dotąd w Moskwie przez głośnego protojereja Wostorgowa, człowieka o ciemnej przeszłości, znienawidzonego przez samoż duchowieństwo, lecz posiadającego jedną wielką „zaletę“, że jest skrajnym prawicowcem i wrogiem nieubłaganym wszelkiej „kramoły“. Nie daje ta nowa szkoła ani koniecznego minimum wykształcenia teologicznego, ani nie wychowuje odpowiednio charakterów przyszłych sług ołtarza ; jest to raczej uproszczona fabrykacja batiuszek dla odległych kątów w Sy-

beryi, ludzi bez żadnych kwalifikacyi, moralnie marnych, grubych i nieokrzesanych, za to w wysokim stopniu „patryotów“. Lepsze elementa w Dumie zaprotestowały przeciwko subsydiowaniu podobnej szkoły. Nie można powiedzieć, żeby działała tu zasadnicza niechęć do kleru prawosławnego, nie, rozmaite partye dumskie, nie wyłączając lewicy myślą i projektują podniesienie utrzymania duchowieństwa: w tym razie protestowano ogromną większością przeciw popieraniu „patryotycznego“ nieuctwa i moralnej nicości. Wysunięto nadto powód formalny: dano do poznania p. Sablerowi, że Duma nie jest na jego usługi, by akceptowała jego „prowizoryczne“ zarządzenia i płaciła nielegalnie zaciągnięte pożyczki. Rozległy się głosy, że nadprokurator dopuścił się przestępstwa, nadwierżając kapitały bez należytego upoważnienia ciał prawodawczych. Żądanej akceptacyi kredytu odmówiono i Synodowi pozostawiono zadanie wyjścia o własnych siłach z sytuacji, w jakiej się sam postawił. W ostatnich czasach również wotum nieufności dla polityki cerkiewnej dano w Dumie, odmawiając zasiłku pieniężnego klasztorowi żeńskiemu w Leśnej na Podlasiu, który to klasztor uważa się za ostoję prawosławia wśród unitów i za pioniera cywilizacyi rosyjskiej i ducha nacjonalizmu rosyjskiego.

Kiedy tyle trudności ma cerkiew, a raczej wydział duchowny z przedstawicielstwem narodu, wewnętrzne życie również nie zbyt różowo się przedstawia. O poważnych reformach – widzieliśmy to już – nie może być mowy w tych warunkach. Zamiast oczekiwanego soboru, zwołano przed kilku laty „zjazd misyonarski“ do Kijowa, by zwrócić wszystkie żadne czyny siły w kierunku walki z herezjami i z „inorodcami“ wszelakimi. Po seminariach dotąd bunty i zgorszenia; wychowawcy szkół duchownych tłumnie uciekają przed ziątą, chwytając się innych zawodów; rzednące szeregi duchowieństwa trzeba zapelniać rozmaitymi niedouczkami, djakami, wiejskimi nauczycielami, wskutek czego poziom kleru intelektualny i moralny coraz bardziej się obniża. Konsystorze po dawnemu są ciężkimi maszynami biurokratycznymi, gdzie rządzą i sądzą sprzedajni czynownicy; rewizye ich są na porządku dziennym, nie wywołują wcale zgorszenia,

ani oburzenia, jakie wywołały zarządzone przed dwoma laty rewizye konsystorzy katolickich. Czasem o nie starają się sami archiereje, jak to miało miejsce niedawno w samej Moskwie. Wykrywają się przytem rozmaite nadużycia i malwersacye pieniężne. Podobne rewizye w klasztorach prawosławnych również nie należą do rzadkości.

Nie te wszystkie braki stanowią główną troskę sfer synodalnych, ale walka z różnowierstwem, a na pierwszym miejscu z katolicyzmem i pod tym względem Synod znajduje niemałe poparcie nietylko w ministeryum spraw wewnętrznych, ale i w większości Dumy, w jej nacyonalistycznych elementach. Synod posuwa się aż do tego, że przywłaszcza sobie prawo interpretowania i ograniczania tolerancyjnego ukazu z roku 1905. Głośną była niedawno sprawa kaplicy grecko-katolickiej w Petersburgu. Że istnienie takiej kaplicy było nie na rękę cerkwi urzędowej, to rzecz zupełnie zrozumiała. Że biskup Nikander wkroczył do świątyni obcego wyznania, by wywołać podczas nabożeństwa zamieszanie i skandal, to się dało jeszcze upozorować nieroztropnością ks. Deubnera, który nazwał swój obrządek „prawosławno-katolickim“. Ale żeby twierdzić, że katolicy wschodniego obrządku nie mogą w Rosyi korzystać z dobrodziejstw ukazu tolerancyjnego, który żadnych wyznań ani obrządków nie wyklucza, dlatego tylko, że ich obrządek podobnym jest do prawosławnego, — to już czysta ze strony Synodu uzurpacya. A takiej uzurpacyi dopuszczono się i władze cywilne, zdaje się, liczą się z nią, skoro dotąd grupa katolików-Rosyan wschodniego obrządku nie otrzymała pozwolenia na ponowne otwarcie zamkniętej świątyni.

Trudniej przychodzi walka z różnorodnem sekciarstwem. Do dawnych sekt przybywają nowe, oficjalne zaś misyonarstwo wojuje z nimi starą metodą: jałowemi dysputami i represyami policyjnemi. Sekciarstwo rosyjskie przybiera często cechy masowego obłędu, dostarczając różnym ciemnym indywiduom okazji do kryminalnej wprost eksploatacyi uczuć i zbroceń religijnych. Wiemy, że taka sekta utworzyła się pod nazwą Joannitów, którzy entuzjazm dla kronsztadzkiego „cudo-

twórcy“ posuwali do tego stopnia, że widzieli w nim wcielenie Bóstwa. Wyparł się tych niezdrowych adoratorów sam Jan, potępił ich Synod; nie przeszkadza to jednak różnym okazom wyzyskiwać łatwowierne, ciemne tłumy, wyłudzając od nich kolosalne sumy, rzekomo niepotrzebne już wobec zbliżającego się końca świata. Wiele faktów tego rodzaju oparło się już o sady. Innym eksploatorem tłumów był słynny Heliodor, mnich długi czas protegowany przez wysokie sfery z racji swego „patriotyzmu“. Jakiś czas podburzał lud Wołynia przeciw „inorodcom“; potem przeniósł swą działalność do Carycyna nad Wołgą. Tam stworzył silny zastęp swych zwolenników, fanatyków na pół religijnych, na pół politycznych i przed tą falangą musiały się korzyć nawet władze miejscowe, nie wyjmując gubernatora. Kiedy wreszcie w burdach przebrał wszelką miarę i zwłaszcza kiedy wystąpił w obronie biskupa Hermogena, który był wpadł w niełaskę sfer najwyższych, zesłano go do odległego klasztoru na pokutę. Nie ugiął się jednak; do więzienia ciągnęły zdaleka formalne pielgrzymki; skończyło się wreszcie na pozbawieniu awanturnika charakteru zakonnego, na co on odpowiedział porzuceniem prawosławia i założeniem nowej sekty.

Podobny awanturnik znalazł się również w osobie mnicha Innocentego w Bessarabii. Jakiś czas pisano o nim cuda i chlubiło się nim: panował nad tłumami, które ślepo szły za nim; lecz zaczęły się masowe widzenia i halucynacye, przepowiednie końca świata i t. d. i trzeba było dla uspokojenia tłumów uprzątnąć „cudotwórcę“, kryjąc go w odległym klasztorze w ołonieckiej gubernii. I to nie pomogło. Tysiące sfanatyzowanego pospólstwa porzucały swe pola i chaty, lub sprzedawały je za bezcen i wśród zimy, o głodzie i chłodzie partykami wędrowały na północ za swym prorokiem. Policja całemi setkami odsyłała takich pielgrzymów z odmrożonemi rękami i nogami z powrotem do domu, gdzie ich już tylko nędza spotkać miała. Oto jakie skutki rodzi egzaltacya religijna, skoro w urzędowej cerkwi brak zaspokojenia głodu religijnego.

Sekty powstają nie tylko między ciemnymi tłumami ludu.

Najnowszy wytwór sekciarski to są nowi sekciarze mnisi rosyjscy na górze Atos. Dał im początek niejaki Hilarion, mnich klasztoru św. Panteleimona na „świętej górze“. Jakiś czas przebywał on na Kaukazie, oddając się kontemplacyi, owocem której stała się książka p. t. „Na górach Kaukazu“, ogłoszona drukiem w roku 1910. W książce tej między innemi rzeczami udowadnia, że imię Jezus, a sam Jezus to jedno i to samo, „gdyż w imieniu sam Jezus przebywa“ i oto powstaje herezya polegająca na ubóstwieniu samego dźwięku imienia, przypisaniu mu wszechmocy. Książka ta znalazła na górze Atos wielu zwolenników, wśród których najwybitniejszą rolę odgrywa mnich Antoni Bułatowicz, Rusin, były oficer gwardyi rosyjskiej. Naukę tę potępił zmarły niedawno patriarcha carogrodzki Joachim III, mimo to znaczna część mnichów atoskich stanęła w jej obronie; nastąpiły najpierw wzajemne wyklinania się dwóch partyi, potem już w styczniu bieżącego roku doszło do bójki aż na noże. Herezya przerzuciła się już i do Rosyi i obecnie Synod petersburski zajęty jest poważną dogmatyczną kwestyą, czy imię Jezus jest samym Bogiem, czy nie. Gazety rosyjskie donoszą, może złośliwie, że po stronie książki Hilariona stanął i jeden z członków Synodu, biskup Nikon.

Od tej smutnej rzeczywistości zwraca Cerkiew urzędowa uwagę swych dzieci na przeszłość. Właśnie w tej chwili, kiedy piszemy ten przegląd, odbywa się w Moskwie przy współudziale patriarchy Antyochii Grzegorza IV kanonizacya Hermogenesa męczennika. Za obecnego panowania, o ile wiemy, jest to już czwarta kanonizacya. Po Serafinie Sarowskim kanonizowano, a razej wznowiono skasowany niegdyś kult Anny Kaszyńskiej, w roku ubiegłym kanonizowano Joasafa Gortenko, biskupa Biełgorodzkiego (um. w 18 stuleciu), wreszcie teraz poruszono pamięć Hermogenesa. Kim był ten nowy święty? Był to patriarcha Moskwy, wyniesiony na to dostojęństwo przez cara Bazylego Szujskiego po strąceniu z tronu Dymitra Samozwańca. Patriarchowie zmieniali się wtedy razem z carami. Patriarchą Borysa Godunowa był Job; Pseudodymitr wyniósł na to dostojęństwo Ignacego, po upadku uzurpatora

i jego patriarcha musiał ustąpić (umarł potem u Bazylianów unickich w Wilnie). Szujski powołał na to miejsce Hermogenesa, przy życiu obydwóch jego poprzedników. Współczesne świadectwa niepochlebnie o Hermogenesie wyrażają się: przyznają mu wprawdzie uczoność (ówczesną), ale dodają, że był charakteru twardego, nieprzystępnego (urawom grub), że był dostępny dla pochlebców i t. d.¹ Z carem Szujskim często był grubiańskim. Po zajęciu Moskwy przez Polaków pod Gąsiewskim, kiedy bojarzy powoływali na tron carów królewicza Władysława, Hermogenes stał na czele tych, co za warunek konieczny kładli przyjęcie przez elekta prawosławnej wiary, Internowany przez załogę Gąsiewskiego, miał być głodem umorzony w roku 1611. Przypomniano sobie teraz męczennika z przed trzystu lat w chwili obchodzenia jubileuszu domu panującego; zebrano świadectwa o cudach, jakie dzieć się mają przy grobie jego i synod przedstawił cesarzowi swój wniosek o zaliczenie Hermogenesa w poczet świętych. 4 kwietnia st. st. położoną została najwyższa rezolucya, a dzień uroczystej kanonizacyi wyznaczono na 11 (24) maja. Rosya nacyonalistyczna zyskała patrona szczególnego dla swej walki z inorodcami wogóle, a z Polakami, sprawcami przypuszczalnymi śmierci Hermogenesa, w szczególności.

Takie są plusy i minusy w bilansie życia cerkiewnego w Rosyi. Nie zapowiadają one bynajmniej tego rychłego odrodzenia, jakiego spodziewano się lat temu kilka. Ręka Piotra Wielkiego umiała mocno przywiązać łódź kościelną do okrętu państwa i odtąd płyną one i płynąć będą razem poprzez fale czasu. Niezamaćeni niczem optymiści pomiędzy Rosyanami widzą w tej zgodzie cerkwi z rządem i z polityką rządową dowód wyższości prawosławia nad wojującym wiecznie ze wszystkimi rządami katolicyzmem.

¹ Zob. *Istoria Rossii*, Sołowiowa, wyd. 3, tom 8, str. 809.

Estetyka Maksa Dessoir'a.

(Dokończenie.)

Wobec stosunku złotego cięcia (część mniejsza do większej jak większa do całości), tylekrotnie omawianego w estetyce XIX wieku, zachowuje się D. ze sceptyczną rezerwą, spowodowaną tem, że i w świetle najnowszych doświadczeń, miarkujących nieco ujemne w tym względzie wyniki, uzyskane przez Fechnera, przeciętnie podoba się najwięcej taka proporcya, która trochę jakkolwiek nieznacznie — odbiega od owego stosunku. Słusznie argumentuje autor, że gdyby stosunek matematyczny był podstawą naszej uciechy znajdowanej w formach, to musiałby obowiązywać z całą ścisłością i dokładnie jemu odpowiadające rozczłonkowania byłyby najprzyjemniejszymi estetycznie. Pominął wszakże tę ewentualność, że mogłaby to być tylko jedna z podstaw, obiektywnie ważna, ale nie jedyna, do której mogłyby się przyłączać inne natury psychologicznej, subiektywne w porównaniu z tamtą, lecz niemniej realne i powszechnym prawom podległe. Sam zresztą zauważył trafnie, że ujęcie stosunków długości jest łatwiejszem, t. j. gdy linie biegną w tych samych kierunkach — natomiast znacznie trudniej jest porównać długość z szerokością i wogóle linie mające różne kierunki. Od przychylniejszych zatem i mniej przychylnych warunków porównania mogłoby w znacznej mierze zależeć, czy podobające się stosunki wymiarów zbliżają się mniej lub więcej do matematycznej proporcji złotego cięcia.

Z innych formalnych czynników wrażenia estetycznego, podpadających pod kategorię ilości w przestrzeni uważa D.

jeszcze za ważne: 1. Powtarzanie się kształtów, połączone z ich odstopniowaniem wedle jakiejś jednej widocznej zasady rośnięciem, względnie maleniem (co ilustruje za pomocą kąta obejmującego w sobie coraz mniejsze koła, budowy kręgosłupów i żeber). 2. Odpowiadanie członów czy to organicznej, czy architektonicznej całości, ich rozmiarami w sposób przejrzysty pełnionym przez nie funkcyom. 3. Zamknięcie konturów figury i objęcie nim jakiejś części przestrzeni, gdy przeciwnie każda luka w ich wypełnieniu sprawia wedle doświadczeń autora wyraźnie przykre uczucie. 4. Lekko zagięte krzywizny, jako lepiej odpowiadające naturalnemu ruchowi oka aniżeli linie matematycznie proste, co jednakże nie wyklucza estetycznego działania długich, prostych linii w architekturze z osobnych powodów. Samą tedy większą lub mniejszą łatwością ruchów ocznych nie można jego przekonaniem wytłómaczyć, dlaczego pewien kontur podoba się lub nie.

Grupy zjawisk, zaznaczonych temi uwagami, usiłowano już sprowadzić do ogólniejszych praw i sam autor gdzieindziej stara się o ich powiązanie. Nie można mu natomiast przytaknąć, gdy nawiasowo zaledwie, a po części tylko w odsyłaczach wspominając o różnych próbach skonstruowania normalnych proporcji ciała ludzkiego, powiada, że konstrukcye te mogą być pożytecznymi dla artysty i pouczającymi dla poznania przyrodniczego ale... iż „nikt nie może wykazać, jaki zachodzi związek między nadzwyczajnie zmiennymi i skomplikowanymi stosunkami wymiarów a naszą uciechą płynącą z widoku form, nikt nie zdoła poznać jej prawdziwie z owych stosunków“ (str. 127). Jestto twierdzenie zbyt stanowcze i zbyt ogólnikowe. Nie mówiąc już o poważnych usiłowaniach, (jak w ostatnich czasach Jana Bochenka w *Gesetz der Formenschönheit* 1903) które zmierzają do wykazania, iż w proporcjach ciała ludzkiego ma zastosowanie stosunek złotego cięcia — nie godzi się estetykowi przechodzić w taki uprzejmy, ale sumaryczny, sposób do porządku nad zgodnymi wynikami badaczy jak C. Carus, G. Fritsch, Richer, (i inni p. ed.: zbior p. t. *Schönheit des menschlichen Körpers* Stuttgart 1904 u Klemma) nad ich ustaleniem

normalnie podobających się stosunków między liniami poziomymi stawów barkowych i biodrowych, a dolnym brzegiem nosa i środkami wypukłości piersi, z których to stosunków po przeprowadzeniu odpowiednich przekątni uzyskano także podobające się najwięcej wymiary twarzy, rąk i nóg — w szczególności długość ramienia, przedramienia, dłoni, uda i goleni okazała się równą różnym odległościom stawów od środków piersi po tej samej i przeciwległej stronie, względnie stawów i środków piersi od pępka położonego normalnie w punkcie przecięcia się przekątni. Widzimy tu bądźco bądź stwierdzenie faktu, iż piękne — przynajmniej w oczach wielkiej liczby ludzi, wymiary członków uwarunkowane są stosunkami oddalenia ich nasady tudzież długością tułowia wziętego wraz z szyją i dolną częścią twarzy aż po nos, oraz, że położenie normalne środków piersiowych i pępka da się również ściśle wytyczyć liniami łączącymi owe nasady, tak iż tylko co do większej smukłości lub przeciwnie większej przysadzistości całej postaci mogłaby zachodzić w pewnych niezbyt wielkich granicach swoboda proporcji. Skoro, jak te kanony piękności ludzkich proporcji zgodnie ustalają, normalna długość ramienia równą jest oddaleniu stawu ramiennego od środka wypukłości piersi po przeciwnej stronie, zaś normalna długość uda równa oddaleniu tegoż środka od przeciwległego stawu biodrowego a zarazem sumie długości przedramienia i dłoni (których osobne długości ma wskazywać położenie pępka) a wreszcie długość łydki równa się oddaleniu stawu biodrowego od środka wypukłości piersiowej po tej samej stronie, musimy przyjąć jako prawo ogólne, że o naszych upodobaniach w proporcjach członków ciała ludzkiego decydują pewne skośne (a więc ani poziome ani dokładnie pionowe) linie tułowia wytyczone położeniem piersi, stawów i pępka, że linie te tworzą ramiona dwóch trójkątów przeciwległych sobie wierzchołkami (z tych większy przecięty poziomą linią piersi). Estetycznie dodatnie działanie linii pochyłych, w połączeniu z lekko zaokrąglonemi falistościami, jest widoczne także w innych szczegółach n. p. z reguły podoba nam się więcej pochyła linia ramion, aniżeli pozioma, także linie zbiegających się łuków brwi, raczej niż po-

ziome; pochyle linie owalu twarzy, zwłaszcza kobiecych, uważamy za piękniejsze od linii obejmujących twarz, zbliżoną swym konturem do koła lub kwadratu. Z tych zestawień wynika, że pięknie proporcye części ciała ludzkiego są uwarunkowane — przynajmniej w swem działaniu estetycznem na nas, kierunkami linii części te łączących lub (o ile one są mniej od innych ruchome, jak kontur twarzy i tułowia) także linii części te ograniczających. Jeżeli te kierunki są w swych dominujących zarysach taką wypadkową linii poziomych i pionowych, że wrażenie żywego ruchu i zbiegania się linii ku górze równoważy się z wrażeniem dostatecznego rozpostarcia poziomego i siły podpór i organów ruchu dowolnego, wtedy postać określona tymi kierunkami przedstawia nam się zbudowaną wedle odpowiednich proporcji i harmonijną, w przeciwnym razie odczuwamy intuicyjnie, że albo braknie jej możności lekkich i zwinnych ruchów skutkiem zbytnej przysadzi stości kształtów i przewagi linii poziomych nad pionowymi, albo że nie może ruchom swym nadać niezbędnego natężenia siły i widocznych podstaw oparcia skutkiem zbytnej watości i znikania wymiarów poziomych przy linii pionowej. Gdy od kobiety znacznie mniej wymagamy siły niż od mężczyzny, piękne proporcye jej kształtów są znacznie przesunięte w kierunku pionowym, t. j. większej smukłości. Ale pewien stosunek długości rąk i nóg i ich części składowych do długości i szerokości tułowia, a niemniej długości głowy i szyi, musi być i tu zachowanym. Przekątnie przeprowadzone przez główne, t. j. najbardziej w oczy bijące punkty tułowia są jakby długimi szalami wagi dla członków odnóży i w ten sposób powstają dwie pary trójkątów równoramiennych sprzęgających się z trójkątami, zbudowanymi z owych przekątni.

Potrzeba jeszcze wielu doświadczeń, aby wyjaśnić, jak się urabiają sady o należytych proporcjach ciała ludzkiego i jaki udział przy ich powstaniu ma ów schemat geometryczny powiązanych ze sobą trójkątów — to można już dziś powiedzieć, że nie należy tej kwestyi całej, jak to czyni D., lekce-

ważyć, bo wrażenie, jakie na nas sprawiają kształty istot nam podobnych, zdaje się należeć do najwcześniejszych i najsilniejszych, a czynniki, które się na nie składają, skojarzenia własnych, zaznanych, lub według analogii z zaznanymi wyobrażeniami, przejść życiowych z określonymi stosunkami wielkości i kierunków, dają się odnaleźć gdzieindziej tylko w związkach znacznie skomplikowanych, na dnie mnóstwa innych uciech estetycznych. O rytmie i stopie metrycznej, względnie o takcie muzycznym rozprawia D. w osobnym rozdziale, dowodząc, że jednostki rytmiczne nie są ściśle związane jednostkami czasu, t. j. taktów, w których ramy wpadają, ale że właśnie najcenniejsze zalety rytmów, ich żywość, bogactwo, różnorodność, objawiają się przy częściowem, synkopami zwłaszcza unormowaniem, ale także przy pomocy przyspieszeń i zwolnień tempa uskutecznianem, wykraczaniu poza jednostajność czasowej miary taktów w muzyce i wśród analogicznych formacji metrum wierszowego w poezji.

Zwalcza dalej M. Dessoir pogląd, jakoby wielkość i stopień wrażeń estetycznych, względnie wywołującego je przedmiotu, polegały wyłącznie na relacjach i jakoby bezwzględne ilości, wymiary, natężenia, były, przy dojściu do skutku użycia estetycznego obojętnymi. Stara się odeprzeć zarzut, iż maksymalne i minimalne granice wymiarów i natężeń zależą od t. zw. progu pobudliwości, a w obrębie tych granic oceniamy wielkość i siłę przedmiotów już tylko porównywaniem ich. Opiera się na tem, że specjalny charakter pewnych wrażeń n. p. odnoszonych z dzieł sztuki monumentalnej lub na odwrót z wyrobów filigranowych, polega na bezwzględnej wielkości lub małości przedmiotu, przytacza także okoliczność, iż model dzieła architektury o znacznych rozmiarach nigdy nie działa na nas tak samo, jak jego oryginał (n. p. katedry kolońskiej). Zarówno samo bezpośrednie wrażenie, jak podsuwana przez nie treść skojarzeń, są zgola odmiennej natury — a nadto dzieła sztuki, posiadające wielkie wymiary, wymagają odrębnej techniki, która też nadaje odrębne cechy ich wyglądowni.

Najważniejszą częścią estetyki D. jest czwarta zatytułowana: „wrażenie estetyczne“, w której czterech po sobie następujących rozdziałach omawia z kolei „przebieg czasowy i ogólny charakter (wrażenia estetycznego)“, „uczucia zmysłowe“, „uczucia formalne“ i „uczucia treściowe“ (czyli z treści nasuwających się pod wrażeniem przedmiotu pięknego myśli wynikłe). Autor na podstawie wielu doświadczeń (opisanych w *Beiträge zur Ästhetik, Archiv für systematische Philosophie* 1899—1902) doszedł do wyniku, że wrażenie estetyczne ulega wielkim zmianom w ciągu swego trwania, że jeżeli uda nam się odpowiednio skrócić lub przedłużyć czas wypełniony tem wrażeniem, okazują się inne składniki i inny charakter jego całości, tudzież, iż te nowe przyłączające się składniki występują w pewnem prawidłowem po sobie następstwie. W pierwszych mianowicie chwilach przeważają a raczej niemal wyłącznie powstawać mają wedle D. uczucia przyjemności z dostrzeżonych cech zmysłowych, jak barwa, jasność oświetlenia, dźwięk i t. p. i łączą się z fizyologiczną reakcją organizmu w formie mimowolnego refleksu, objawiającą się zatrzymaniem lub przyspieszeniem oddechu, mrowieniem, przechodzącą po plecach, rumienieniem się lub blednięciem — a w wypadkach szczególnie silnego wrażenia lekkim kurczem lub omdleniem. Towarzyszące tym stanom uczucia organiczne, t. j. świadomość tych doznawanych zakłóceń funkcyi życiowych, wyciskają też piętno na całym początkowem stadyum wrażenia estetycznego i nadają mu dominujący charakter biernego poddania się, nieuchronnego wstrząśnięcia. Także zaczynające się budzić od pierwszej chwili, zwłaszcza przy dziełach sztuki dramatycznej, napięcie interesu, oczekiwanie, miewa takie znamiona żywiołowego opanowania. Tylko przy czytaniu utworów poetyckich zaczyna się nasze wrażenie estetyczne od tego, iż usiłujemy je zrozumieć i pod wpływem tego dążenia powstają najpierw uczucia umysłowe.

Poza tym wyjątkiem, spowodowanym przez odrębny sposób przyjmowania do duszy piękna poetyckiego, ma się dalszy postęp

wrażenia estetycznego odbywać w tym kierunku, iż po uczuciach zmysłowej przyjemności z elementarnych wrażeń wzrokowych i słuchowych wywiązują się uciechy w formach, t. j. w połączeniach tych wrażeń, a po nich dopiero przychodzą z kolei uczucia obudzone przez treść, t. j. przez przedmioty skojarzeń idei rodzących się pod działaniem form pięknych. Niezależnie zaś od tych różnic między bodźcami odczuwania estetycznego w jego następujących po sobie fazach, mając zdaniem D., w ciągu trwania wrażenia estetycznego (czy od samego początku, tego stanowczo nie wyjaśnia) zachodzi wahania się w duszy, gdy — zwłaszcza wobec dzieł sztuki — czuje się spotęgowaną i czynną, przyswajając sobie ich życie i idealnie przynajmniej wspólnie z artystą, a właściwie w ślad za nim, opanowując materiały i formy — i gdy znów z tego poczucia wzmożonej siły czynnej przerzuca się ustawnie w stan biernego folgowania owładającej ją grze wyobraźni i ma to uczucie, jak gdyby dzieło sztuki unosząc ją, porwało ze sobą część jej własnej istoty (*wie wenn das Kunstwerk ein Stück von uns weggreisse* — str. 159). Oprócz tego chwiania się między poczuciem czynności i bierności, uchodzi autorowi za pewnik jeszcze inny fakt, że mianowicie wyobrażenia i kierunki uczuć dążą do osiągnięcia szczytu swej intensywności i o ile udaje im się przełamać stojące na tej drodze przeszkody, energia ich aż do owego punktu rośnie — w razie napotkania jednakże przeszkód przekraczających ich możność, zbaczają z swej drogi, t. j. z czysto estetycznej postawy, a uwaga zwracać się ma wtedy ku własnemu „ja“ i powstają uczucia, które autor nazywa autopathycznymi (mimowiedne zasklepienie się w sobie). Same przypomnienia własnych przeżyć nie muszą jeszcze wywoływać tej zatury estetyczno-przedmiotowego charakteru uczuć. Daje się tu uczuć brak konkretnego przykładu. Można by zarzucić, iż takie zachowanie się lubownika sztuki i piękna, którego zraziły przeszkody w zrozumieniu i odczuciu przedmiotu, nie jest regułą i ludzie więcej panujący nad swymi uczuciami urabiają sobie

w takich wypadkach sąd sceptyczny i odwracają uwagę ku innym przedmiotom. Gdy uczucia dosięgły bez przeszkód swego możliwego zenitu, jest rzeczą zupełnie naturalną, że zaczynają słabnąć, o czem autor niepotrzebnie rozwodzi się. Natomiast byłoby godnem zastanowienia, czy zdobyty ich najwyższy szczybel mimo chwilowego znużenia lub stopienia wrażliwości nie zachowuje się przecież dla dalszego życia duchowego jednostki, o ile pozostawia w niej dyspozycję do coraz bogatszych, silniejszych i skomplikowanych odczuwań. To, co napozór przywiedło, pozostaje w utajeniu jako siła zapalna dla nowych formacji. Bądź co bądź jednak wrażenie aktualne ma czas trwania ograniczony i w tych jeszcze granicach jego jasność i natężenie ulegają ciągłym zmianom.

Z powodu tych ustawicznych fluktuacji, a zarazem wobec różnorodnych elementów, składających się na pobudki i treść wrażenia estetycznego, przekłada D. pogląd o wielości (*Vielheitslehre*) i wielkiej złożoności stanowiącego to wrażenie procesu psychicznego nad wszystkie usiłowania by w niem wykazać, czy to ściślejszą, czy też luźniejszą (t. j. t. zw. w rozmaitości) jedność. Cytuje słynnego autora *Italienische Forschungen*, Karola Rumohra, jako pierwszego torownika tej prawdy, iż uczucia estetyczne są trojakie, zmysłowe, formalne i assocyacyjno-umysłowe. Połączenia powstałe z tak różnych żywiołów mają być spojone tylko tem, że dusza w nich urzeczywistnia pewne jednolite kierunki swej działalności, że doznaje jednej ogólnej uciechy z swych funkcji i nawet przykre poszczególnie uczucia mogą, wcielone w całokształt wrażenia, powodować ogólny wynik dla niej przyjemny, byle tylko czuła się czynną w ich wiązaniu i przetapianiu. Nie podzielając stanowiska tych psychologów, którzy duszę sprowadzają do wiązanki wyobrażeń, ani też tych, dla których ona jest ogniskiem zbiegających się samoistnych władz, zdaje się ją pojmować jako centrum siły duchowej i taka jej jedność umożliwia widocznie w jego oczach odniesienia między tak odległymi od siebie czynnikami uciech

estetycznych. Skoro wszakże już raz przechylił się do tego stanowiska i uważa za konieczne przyjąć jeden środkowy punkt wyjścia działalności psychicznej wszelkich kategorii, nie jest konsekwentnem z jego strony takie kategoryczne i bezwzględne oddzielanie uczuć estetycznych zmysłowych od formalnych, a tych ostatnich znów od uczuć łączących się z wyobrażoną treścią. Słusznie wprowadzie rozróżnia je, bo nie da się zaprzeczyć, iż przedstawiają one odmienny między sobą jakościowy charakter. Stwierdzają też powołane przez niego doświadczenia, że w poszczególnych fazach odczuwania estetycznego jedne z tych uczuć bardzo widocznie i stanowczo przeważają nad innemi. Nie dowiódł jednak bynajmniej, iżby uczucie zmysłowo - estetyczne mogło istnieć bez wszelkich zgoła pierwiastków formalnych, t. j. ujmowania wrażeń w jakąś formę i nieodłącznego upodobania w tej funkcji psychicznej ani też, byśmy się mogli lubować w jakiegokolwiek formie, nie dodając do niej ani z wewnętrznego ani też z zewnętrznego naszego doświadczenia absolutnie żadnej treści. Byłoby rzeczą niepojętą, jak świadomość dochodzi do zespolenia i przetopienia w ścisłą jedność tak odległych od siebie składników wrażenia estetycznego, gdyby — mimo wszelkich między nimi różnic — nie objawiała się żadna wcale przedmiotowa ich przynależność do siebie, gdyby naprawdę były jedne drugim całkiem obcymi, gdyby w wrażeniach zmysłowych nie tkwiły zarodkowo ich strony formalne, a formy mogły nie wyrażać żadnej, chociażby tylko ogólnej, bliżej nieokreślonej treści naszych zaznawań życiowych.

Nie jest też ani jasnym ani przekonywującym sposob, w jaki autor wykazuje ów rzekomo czystozmysłowy charakter przyjemności odczuwanej w pierwszej chwili wrażenia estetycznego. Nie da się wprowadzić zaprzeczyć, że, jak to D. podnosi, rozpoczynają się często takie wrażenia od wstrząśnięć fizyologicznych, jak n. p. od tego, iż nas przechodzi mrowie, skurcz mięśni twarzowych, zatrzymanie lub naodwrot rozszerzenie oddechu — ale autor

sam występuje przeciw zdaniu, jakoby jakikolwiek afekt a tem mniej estetyczny, mógł powstawać z samych wrażeń organicznych. Dodaje, iż musi się jeszcze bardzo wiele innych rzeczy do nich przyłączyć i czyni nieco niżej trafną uwagę, że postawiłoby się sztukę na równym stopniu ze środkami żywności i leczniczymi, gdyby się (jak Vernon Lee i Anstruther Thomas w artykule o pięknie i brzydocie w *Emtemporory Review* z r. 1897) przypisywało jakąś biologiczną pożyteczność jej dziełom rzekomo dlatego, że podniecają i regulują pewne uczucia organiczne. Zdawałoby się więc z tych wyrażen, iż sam autor zbija możliwość uczuć estetycznych czysto-zmysłowych. Jednakże w najbliższem sąsiedztwie (str. 166, 168) znajdujemy całkiem odmiennie brzmiące twierdzenia, jak iż twórczość artystyczna ma korzenie (*wurzelt*) w cielesnych stanach, przeczuciach (*Vorahnungen*, jak gdyby można było tym niejasnym procesom psychicznym przyznawać tak stanowczo czysto-fizjologiczne źródło i bodźce) podnieceniach, głosach, obrazach. Jestto wszakże opieraniem przypuszczeń na zbyt ogólnikowych, skomplikowanych i niedość zanalizowanych objawach. Konkretniejszym jest inny fakt, przez niego przytoczony, z którego jednak wyciąga zbyt pośpiesznie konsekwencye. Wiadomo powszechnie, że wszyscy, jedni mniej, drudzy więcej, żywo odczuwamy skłonność do reagowania ruchami na wywołujące w nas dodatnie lub ujemne uczucia wrażenia wzrokowe i słuchowe. Autor wnosi stąd, iż zmysł mięśniowy jest ważnym czynnikiem w pierwszym, początkowem stadyum wrażenia estetycznego. Z równem a może większem prawem możnaby tego rodzaju reakcyę tłumaczyć silną emocyą uczuciową, która zyskuje bezpośredni oddźwięk w ruchach organizmu.

Także to, co dalej mówi o działaniu poezyi, przy której czytaniu lub słuchaniu nie mamy wprost czasu na uzmysławianie sobie nasuwanych przez słowa wyobrażeń, wcale nie dowodzi, by pierwsze odniesione wrażenia były czysto zmysłowemi. Owszem ów pęd wyobrażeń, który napina naszą uwagę

i rodzi nastroje uczuciowe, udzielać się nam może jedynie dzięki temu, iż uświadamiamy sobie, chociażby nie całkiem jasno i wyraźnie, ideową (pomyślaną) jedność i ciągłość kierunku w tem następstwie i ona nas zupełnie odszkodowuje za brak plastyczności wyobrażeń poszczególnych.

Także faktyczny wynik rozstrząsania uczuć „formalnych“ (*Formgefühle*), wywoływanych przez proporcje i harmonie kształtów przestrzennych i czasowych (czyli form muzycznych i wierszowych) nie potwierdza zasadniczego poglądu D., iż uczucia te są wcześniejsze i niezależne od treści świadomości wkładanej w formę. Że formy, aby mogły się podobać, muszą odpowiadać swoim składnikom, to jest całkiem zrozumiałem i naturalnem. Autorowi wystarczyło powołać się na fakt, iż prawa harmonii widzialnej (barw) są zgoła odmienne od praw harmonii słyszalnej (tonów) — na to, iż bardzo do siebie zbliżone barwy zgadzają się ze sobą zazwyczaj, podczas gdy przeciwnie ma się rzecz z takimiż dźwiękami — a także niemile działają małe nawet ale dostrzegalne uchybienia w proporcjach. Ale o taki ścisły związek między formą a materiałem sporu być nie może, a nie dowodzi on jeszcze bynajmniej, ażeby uciecha, płynąca z pięknej formy była niezależną od treści wewnętrz nego życia rodzącego się równocześnie z obejmowaniem tej formy przez akt świadomości. Sam autor trafnymi argumentami czerpanymi z doświadczenia zwalcza skutecznie teorię od czasów Lotzego przez wielu podzielaną, wedle której estetyczna przyjemność kształtów miałyby być zawisłą od większej lub mniejszej łatwości ruchów oka, zauważając, że w takim razie każda linia prostopadła byłaby brzydszą od pionowej, a przyzwyczajonym do pisania od lewej strony ku prawej każdy w tym kierunku biegnący kontur musiałby się przedstawiać piękniejszym. A więc — tak konkluduje — nie o wykonane ruchy oczne chodzi, ale o kierunki uwagi lub ogólniej: o kierunki czynności obejmującej (psychicznej). Fakt eksperymentalnie stwierdzony, iż największej liczbie osób podobają się prostokąty o stosunku złotego cięcia

(w przybliżeniu) między dłuższym a krótszym bokiem, nie wyklucza upodobań dla bardziej wydłużonych, ujmujących swą smukłością lub rozpostarciem podstawy, gdy je widzimy leżącymi. Inny także ciekawy podniesiony przez autora szczegół dowodzi wbrew jego zasadniczemu stanowisku, że nasze upodobania dla form — przestrzennych przynajmniej — zależą od dołączających się do ich widzenia myśli. Figura prostolinijna, wpisana w koło, podoba się zawsze mniej, aniżeli tażsama na kole opisana, co widocznie pochodzi stąd, że pierwsza rozcina koło, rozluźnia jego jedność i ciągłość, podczas gdy w drugim wypadku wpisane koło przeciwnie uwydatnia wewnętrzną jedność i regularność figury. Badania naszego ziomka Segala (w *Archiv. für ges. Psychologie* t. VII. — streszczone także w warszawskim *Przeglądzie filozoficznym* z r. 1907) wykazują znów zależność naszych upodobań w liniach pochyłych od tego, co sobie przy nich pomyślano, wypuszczoną strzałę, czy nieudanie się linii poziomej, że całkowite wyzwolenie uczuć formalnych od wpływu wyrazu jest bardzo wątpliwym a może nieziszczalnym ideałem pewnego kierunku estetycznego, którego czystym przedstawicielem zresztą D. nie jest, dowodzi także i jego analiza rytmu. Stwierdza wprawdzie niezaprzeczalną stronę działania rytmu jako formy w tem, iż „niewątpliwie dla uczucia rytmicznego jest bardzo istotną okoliczność, iż porządek bezpiecznie ujmujemy mimo nierównego rozdziału uwagi“ (str. 180). Uwzględnia jednak także głos naszego doświadczenia, któremu w falowaniach rytmów objawiają się bezpośrednio podniesienia i opady jakiejś akcji wewnętrznej, a tak zmienność nateżeń życia duchowego wyraża się, jakkolwiek ujęta w regularne ramy, podległe zresztą nadto przesuwaniom w miarę, jak się przyspiesza lub zwalnia tempo i jak wzmacnia się lub słabnie ogólna intonacja. Tem mniej może być mowy o wyrugowaniu elementów wyrazowych tam, gdzie się komplikuje więcej uczuć formalnych, jak wywoływane przez rytmy, harmonie i proporcye kształtów społem (w pantominie i tańcu), jakkolwiek treść wyrażana może być

bardzo ogólnikową i nieokreśloną. (Dlatego nie można zgodzić się ze zdaniem autora: *ein solcher Reigen oder Tanz gefüllt, ohne dass er Seelenvorgänge, zumal Affekte zum Ausdruck bringt* str. 182). Także przyznawane przez D. istnienie sądów porównawczych, przy ujmowaniu różnych jakości, n. p. barw, jednym przedstawieniem, dowodziłoby, że forma bez ścisłego związku z treścią, ze znaczeniem jej, działać na uczucia, względnie wywoływać ich nie może. Nie jestto postawienie kwestyi zgodne z zasadniczem przeciwieństwem estetyki formalistycznej i wyrazowej, gdy D. zwolennikom tej ostatniej podsuwa zdanie, iż formy podobają się tylko przez treść, która się w nich wyraża. Jest to tylko stanowisko skrajne, podczas gdy najpoważniejsi przedstawiciele tego kierunku twierdzą jedynie, że forma bez treści podobać się nie może, gdyż w formie pięknej musi być dana jakaś treść znacząca, chociażby nieokreślona bliżej, chociażby nią był tylko jednolity, żywy akt osobowości duchowej, a formę samą oceniamy tem wyżej pod względem estetycznym, im bogatsza i głębiej ugruntowana w swym wytrysku z życia duchowego jest, przy równych zresztą innych danych, jedność i zgodność objawów z przeczuwaną lub domyslaną na ich dnie istotą.

W rozdziale o uczuciach sprawianych przez treść przedmiotu estetycznego (*Inhaltsgeföhle*: treściowe?) objaśnia D. przykładami zachodzące między niemi różnice pod tym względem, iż jedne z tych uczuć wywołuje bezpośrednio nasuwający się sens pewnych form, n. p. kontur „dumnego“ czoła, „śmiało“ występującego nosa, „melancholijnego“ oka, innych zaś powiązanie z kształtami jest mniej lub więcej luźne, n. p. na widok brzytwy i wagi, trzymanyh w ręku alegorycznej postaci Lizyppa „Sposobność“, mało który laik w rzeczach archeologii obudzi w sobie myśli i nastrój uczuciowy zamierzone przez artystę i raczej nasuną mu się prozaiczne zawody balwierza i kramarza. Do tej ostatniej kategorii niekoniecznych związków między formą a treścią należy też zdaniem D. dziedzina wrażeń estetycznych, wyszczególniona przez Lippsa, jako dla jego teoryi osobliwie doniosła, mianowicie dziedzina ogólnych geometrycznych

kształtów, mających wyrażać grę sił. Wskazuje, że i kształty tego rodzaju są zbyt oderwane i działalność sił mogąca się w nich objawiać i wreszcie formy napięć i zatamowań woli, podkładanej pod to działanie. W rezultacie takie ogólne formy geometryczne nie mogą uchodzić za jednoznaczny wyraz stanów duchowych, względnie poruszeń, tembardziej, iż w sądach o ich rzeczywistości nigdy nie twierdzimy na serio, jakoby te formy same się układały, wznosiły, trzymały razem, dążyły ku jakimś celom. A przecież przyznaje D., że w wyobrażaniu sobie nieruchomych form przestrzennych ożywionemi jakimś wewnętrznym ruchem, tkwi pewien rys, dający oparcie tego rodzaju opisom życia form. Ma nim być uczuciowość nasza (*Das Gefühlsmäßige*) wogóle i odniesienie uczucia do jakiegoś przedmiotu. Przytaczając analogiczne poglądy Schleiermacha o istocie pobożności i życia religijnego, czyni piękną uwagę, że także w służbie piękna i sztuki oddanie się przedmiotowi oznacza podniesienie się (wywyższenie: *Erhöhung* str. 187) naszego „ja”. Wobec uznania tej ważnej prawdy, iż nasze zachowanie się estetyczne polega na uczuciowem opanowaniu ducha przez wyobrazony przedmiot, (który zgoła beztreściowym dla nas nawet w czysto zmysłowem wyobrażeniu być nie może) trudno zrozumieć uporeczywe obstawanie autora przy poglądzie, iż wyrażająca się w przedmiocie pięknym treść jest dla formy samej w sobie obojętną i w następstwie uczucia wywołane przez pierwszą i przez drugą biegną obok siebie równolegle, tak, jak gdyby się nawzajem ustawicznie nie przenikały i nie stapiały w jedność. Że treść naszych zaznań estetycznych bywa często bardzo nieokreśloną, to jeszcze nie dowodzi możliwości działania form nieożywionych żadną treścią i niczego nam nieoznaczających. Uzasadnione są tylko zastrzeżenia, jakie czyni D. przeciw sposobowi, jak sobie przedstawia Lipps przebieg wczuwania się, i w związku z tem podniesienie słabych stron Fechnerowskiego rozróżnienia między prostem (bezpośredniem) a assocyacyjnem wrażeniem estetycznem.

Żąda mianowicie ścisłego określenia, jakie wczuwanie się w poruszenia duchowe za śladem (ustalonych również jak zmieniających się) rysów w powierzchowności istot czujących ma mieć charakter estetyczny, skoro jest bardzo wiele wypadków takich odgadywań bez znajdowania uciechy w samej postaci wyrazu i zarzuca dalej, że wielka część skojarzeń, nasuwających się nam na widok jakiejś rzeczy, jest zgoła obojętną dla oceny, czy ta rzecz jest piękną. Wobec tego wykazuje potrzebę ścisłych odgraniczeń z jednej strony między wczuwaniem się wogóle, a wczuwaniem estetycznym, z drugiej między wczuwaniem się niezachwianem (*feste Einfühlung*) t. j. w pewne dla nas jądro życia psychicznego a swobodną assocjacyą, która może bardzo daleko odbiegać od rzeczy istotnych przy wyrażaniu się danej treści. Przebieg wczuwania się w cudzy affekt i jego wyraz przedstawia się D-owi o tyle inaczej, iż nie zachodzi w nas bezpośredni oddźwięk lub powtórzenie się emocyi psychicznej, wyczytanej w twarzy, postawie lub gestach, ale że ulegamy najpierw mimowolnym, czysto fizycznym odruchom, a te dopiero drogą organicznych czuć i skojarzonych z nimi wyobrażeń wytwarzają w duszy naszej przejścia stanów podobnych z wyrażającymi się na czyjejś powierzchowności. Na „trywialnym ale pouczającym“ przykładzie ziewania i nudy ułatwił sobie krytyk zadanie, dowodząc, iż uczucie znudzenia udziela nam się nie przez sam widok człowieka ziewającego, ale dopiero gdy sami zaczynamy ziewać lub uczuwamy silny popęd ku temu, z trudnością tłumiony i powiadamy sobie, że to jest rzeczą „rozpaczliwie nudną“. Wątpliwem jest jednakże, czy ten przykład drastyczny da się użyć do zailustrowania wypadków subtelniejszych wzruszeń i wyrazów, w których nie znajdujemy takiej siły odruchowej ani też tak ścisłego związania zjawiska organicznego, konkretnie określonego, z odpowiedniem, psychicznem. W tem można przyznać autorowi słuszość, że jak się wyraża, skojarzenia są istotne (miarodajne) dla wrażenia i użycia — ale nie dla przedmiotu i sądu (estetycznego) rzeczo-

wego. Skojarzenia mianowicie w sensie odpowiadającym etymologii słowa *assocyacya*, t. j. przyłączenia się i zespolenia elementów świadomości pod wpływem jej indywidualnych warunków, a podległe ogólnym prawom przyciągania się pokrewnych i wzajemnego wzmacniania kontrastujących wyobrażeń — nie dają, a przynajmniej nie muszą dawać czystej od przymieszek ubocznych treści przedmiotu, jaka nam się odsłania w jego wyglądzie i jaką mamy prawo uważać za jego siłę ożywczą i przewodnią. Nieuzasadnione natomiast założenie Dessoira, jakoby treść przedmiotu estetycznego i sprawione przez nią uczucia były wogóle obcym i obojętnym dla formy i uczuć formalnych żywiołem, wynika z niedostatecznego uświadomienia sobie radykalnego przedziału między treścią skojarzoną, przydaną, a treścią tkwiącą na dnie samej formy, odczuwaną i odgadywaną jako jej organizacyjny, duchowy pierwiastek.

Kończową część omawianej tu estetyki zajmuje roztrząsanie estetycznych kategorii, a w szczególności różnic charakterystycznych, oddzielających piękność, jako dyаметralnie przeciwną brzydocie, z jednej strony od wzniosłości i umieszczonej między tą ostatnią a brzydotą (na obwodzie uzmysławiającego te stosunki koła) tragiczności, z drugiej zaś strony od tego, co jest tylko ładnem (*Niedlichkeit*) i od komiczności, której autor wyznacza miejsce na biegunie przeciwnym wzniosłości, a w sąsiedztwie brzydoty, nie dzielając widocznie utartego zdania, że od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok. W tym układzie uderza przedewszystkiem stanowcze odróżnienie tragizmu od wzniosłości. Opiera się to na odrębnem pojęciu tragiczności, w którym wedle D. nie góruje ani wielkość winy, ani cierpienia, ani porządku rzeczy moralnego lub przyrodzonego mszczącego się za wykroczenia — ale konflikt jako taki: walka jednej lub więcej jednostek (bo nawet i jednego bohatera nie wymaga autor, powołując się na przykład „*Tkaczy*“ Hauptmanna) z nieubłaganymi, wrogimi ludzkim dążeniom, potęgami. Obiektywną treść tragizmu stanowić ma napięcie przeciwieństw między ludzkim „ja“

a światem a to nawet w głębi samej ludzkiej jaźni. Rzeczywistość ze strony tragicznej widziana odsłania nam coś na podobieństwo potwornego wyobrażenia ducha ludzkiego, zamkniętego w zwierzęcem ciele. „Czujemy naszą słabość, a zrządzenie losu (*Verhängniss*) nie pozwala nam nigdy przekroczyć granicy. Ani zewnętrzne położenie, ani ustrój psychiczny nie dają dążącemu w górę rozwinąć działalności w sposób pełny“ (*sich völlig auszuwirken* str. 211). Kto wypatruje z upragnieniem powszechnej harmonii w świecie, temu, przekonaniem autora, czyste odczucie prawdziwego tragizmu jest niedostępnem, musi w sobie wrażliwość nań zniszczyć. Jeszcze paradoksalniejsze zdanie napotykamy dalej: „Z ideałem Kultury i Ludzkości, który przyświeca najwytworniejszym, zdaje się być tragedia nie do pogodzenia“. Ten pogląd poucza, jak i dzisiejsza estetyka chcąc być umiejętnością od założeń metafizycznych wolną, podlega im przecież. Jeżeli się wątpi o tem, czy prawa i potęgi moralne są najwyższymi z tych, co rządzą ludzką dolą i niedolą, jeżeli się ze znakiem zapytania łączy istnienie Opatrzności wytykającej cele zarówno jednostkom jak zbiorowiskom duchowym, natenczas wszelki konflikt obowiązków i dążeń musi się zamienić w nieprzejezdny rozłam, każde niepowodzenie wysiłków bez względu na ich stosunek do prawa moralnego nabiera cech niewytłomaczonego fatalizmu, a odwrotnie zaciera się to przeciwieństwo, w którym zdrowy instynkt samowychowawczy społeczeństw ludzkich nie może dopuszczać kompromisów, walka dobra ze złem, idei ładu powszechnego z wszelką wyłączością i jednostronnością. Dlaczego miałaby wykluczać tragizm ekspiacja zła (jak w Edypie w Kolonos) lub sprawiedliwe ukaranie go (jak Kreona w Antygonie) i dlaczego miałyby być mniej w naszych oczach tragicznym cierpiący niewinnie bohater, nad którym wiara w ostateczne zwycięstwo dobra, roztacza aureolę męczennika i pioniera królestwa Bożego, chociażby w odległej przyszłości? Takie jednostronne ujęcie tragizmu, jakie znajdujemy u Dessoir'a, prowadzi do dwojakiej konsekwencji. Albo wszystko, co tragiczne, jako w sobie

rozdwojone i żadną wyższą ideą nie sprzaglięte, należy do kategorii niższorzędných, połowicznych, niezaokrąglonych wartości z punktu widzenia estetycznego, albo też ma prawo i do wysokiej oceny, stosownie do pomysłu i przeprowadzenia, a w takim razie coś, co ma być z istoty swej tylko dyssonansem, zaspokajałoby najwybredniejszy smak. Przyznawane przez D. istnienie „okrutnej sprawiedliwości“ w świecie jest znowu czemś innem, niż ów nagi dyssonans, bo gdyby takiej Nemezis dla pewnych pogwałceń praw odwiecznych nie było, zaginąłby wszelki rozumny porządek. W poglądach o różnicy między pięknoscią (w znaczeniu ścisłym) a wzniosłoscią mniej się oddala autor od zdań wyrażanych w tej kwestyi przez większość estetyków. Kładzie nacisk na to, że uczucia niezmaconej przyjemności, sprawiane przez pięknosć, łączą się z ogólnym jej charakterem odpowiedności do przyjmowanych norm lub typów gatunkowych — z tem zastrzeżeniem jednak, że nie przeciętne ale pełne urzeczywistnienie typu przedstawia nam się w przedmiocie pięknym — dalej z nieprzekraczaniem pewnych granic wielkości, z ogólnem wrażeniem celowości bez uświadamiania sobie jej szczegółów o skuteczności obiektywnej (Kantowska „celowość bez celu“ t. j. dla naszych władz spostrzegawczych). Idzie nawet dość daleko w kierunku utylitaryzmu, twierdząc, iż bardzo często poczucie piękności rzeczy wytwarza się z zaznania jej użyteczności i że odwrotną drogą piękno powszednieje w miarę zaprzęgania go w służbę potrzeb życiowych, wrastania w nie i utraty znamienia bezinteresowności w upodobaniu go sobie. Gdy jednak zdaje mu się nie być rzeczą wykluczoną, że pięknosć ludzkiej postaci ma coś do czynienia z celami utrzymania gatunku i w tej oględnej formie uznaje współdziałanie żądz zupełnie samolubnych i zmysłowych przy wyrabianiu się poczucia piękna, można mu na to odpowiedzieć, iż t. zw. pięknosć drażniąca zmysły, nie ma w swem działaniu na spostrzegacza nic z owego charakteru, niezmaconej przyjemności i swobodnego ruchu psychicznego, charakteru uznawanego za istotny dla czystej

piękności przez samego D. i że prawdziwa estetyczna postawa ducha polega właśnie na wzniesieniu się ponad tego rodzaju motywy, na wywiązywaniu z siebie zapasów energii zwalczającej i tłumiącej te zwierzęce pociągi w imię rozmiłowania się i uwielbienia dla niezależnej wartości formy i wyrazu, a z takim odpowiednim nastrojem oglądana postać (n. p. Wenus z Melos lub z Knidos Praksytelesa) może nawet sprawiać wrażenie wzniosłej. Utkwiło mi na zawsze w pamięci piękne zdanie ks. Kalinki przed dwudziestu kilku laty usłyszane, że siła natchnienia i polotu duchowego wlewana przez postać osób drugiej płci zależy od stopnia napięcia, z jakim duch nasz owłada w sobie, trawi i na szlachetniejszy kruszec miłości z innego świata przetapia żuźle ziemskich namiętności.

I z tego i z innych jeszcze powodów niemożliwem zdaje się być takie odgraniczenie między pięknnością a wzniosłością, któreby wykluczało całą skalę powolnych, nieznaczących przejść od jednej do drugiej. Była to jedna z szczęśliwych intuicji Arystotelesa, iż do znamion piękna zaliczał pewną wielkość i w istocie piękność pozbawiona zgoła takich pierwiastków, któreby uprawniały nas do cenięcia jej, chociażby cokolwiek ponad miarę przeciętnych, tuzinkowych objawów nie da się wyobrazić. Jeżeli mówimy, że coś jest mało znaczącem, że jest tylko „ładnem“ i dołączamy w ten sposób odcień lekceważenia, już nasz sąd estetyczny nie jest wtedy czysto dodatnim. Nie należy tu oczywiście mieć na myśli przedmiotów jedynie rozmiarami drobnych, gdyż niejednen filigranowy wyrób może być dziełem wysokiego artyzmu i postacie w naturze, które nazywamy „ślicznymi“ bez żadnej domieszki sądu ujemnego, bywają zazwyczaj niewielkie. Interesujące jest u D. podkreślenie osobnego odcienia piękności, który nazywa wytwornością (*Vornehmheit*), i uważa za szczególnie odpowiedni nowożytnemu smakowi. Znamionować ją mają pewna rezerwa, t. j. unikanie patosu, jaskrawości i narzucań się, pewność siebie, nietroszcząca się o efekt i w naturalnym związku z temi cechami brak pretensyi. Wyrażająca się w tem wszystkim samodzielność życia estetycznego pozwala się też radować takimi rysami

artystycznymi, które w sposób niezwykle (*apart*), a przecież wewnętrznie konieczny, czynią kształt ujmującym. Wido-
cznem jest z tych określeń, że tak rozumiana wytworność ogra-
nicza się do piękna w sztuce.

Między odczuciem wzniosłości a piękności upatruje D. stanowczy przedział w tem, iż pierwsza „porywa“ nas wido-
kiem siły i walki, podczas gdy przyjmowanie piękna jest łagodne,
uszczęśliwiające (*beglückendes Hinnehmen*). Za ważną za-
sługę poczytuje Burkemu wykrycie prawdy, iż w uczuciu wznio-
słości mieści się zawsze zdumienie i lęk, a więc stany przykre,
jednakże zdolne podnieść ducha. Zastrzega się wszakże, iż ten
lęk nie powinien być osobistym, samolubnym. „Wzniosłość
oznacza taką przewagę przedmiotu i tak powiedzmy, iż ma-
łostkowe wrażenia osobistej obawy znikają z duszy i jest rzeczą
wyrażną, że to sprawione siłą przedmiotu zapomnienie o sobie
samym może wystąpić najłatwiej i najpewniej wobec wzniosłych
utworów sztuki. Negatywnym bowiem warunkiem jest przecie
zawsze poczucie bezpieczeństwa, więcej lub mniej nieświadome,
przed przemożną potęgą. Sama roztropność, którą bronimy się
od małych i wielkich niebezpieczeństw życia, niedokazałaby tu
niczego. Zasadniczy więc nastrój (wobec rzeczy wzniosłych) jest
więc nie tylko stanem przemożenia gwałtownego (*Überwältigung*)
ale i otuchy (*Vertrauen*) i dlatego musi łatwiej, jak wyżej po-
wiedziano, występować wobec dzieła sztuki niż wobec piękna
w naturze“ (str. 206—7).

Ten wstęp poucza najlepiej, jak trudno jest obiektywnemu
badaczowi, jak omawiany tu autor, pociągnąć ścisłą granicę
między wzniosłym a pięknem w przyrodzie, co też i w dalszym
ciągu przyznaje wbrew swemu założeniu o jakimś stanowczym
przedziale. Jakkolwiek na początku poświęconego tej kwestyi
rozdziału twierdził, że przejście od czegoś małego do wielkości
nie jest nieznacznem i ciągłym, ale, iż może się odbywać jednym
skokiem, n. p. jedno ziarnko, dodane do pięciu innych, stwarza
już nową jakość „kupy“, a setny centymetr przyłączony do
99-ciu nową miarę metra — to jednak już na stronie następnej
nie przemilcza faktu, iż wszelkie poczucie wielkości jest względne

dla ludzkiego sposobu ujęcia i zmienia się ono w miarę oswojania się z widokiem rzeczy bardzo wielkich (morze, Alpy), a często sam materyał, n. p. najpotężniejszych konstrukcyi żelaznych, przeszkadza doznaniu wrażenia wzniosłości wobec ich rozmiarów (pod wpływem różnych skojarzeń o sposobie dojścia do skutku takiej budowy, o ścisłych obliczeniach wytrzymałości, o mozolnem skuwaniu części i t. p.), tasama konstrukcyja wykuta w jednolitym granicie jużby działała inaczej. Skutkiem tych refleksyi jest D. zniewolony zmodyfikować w gruncie swój pogląd o wielkościach absolutnych, działających jako wzniosłe, gdy powiada, że przedmiot wzniosły musi być tak wielkim, ażeby graniczył z nieskończonością. Wyciągając ścisłe konsekwencye z tego stanowiska, należałoby powiedzieć, iż wzniosłość różni się od piękności w ścisłym znaczeniu większem lub mniejszem wyzwoleniem od stron formalnych, od proporcyi i harmonii, na korzyść treści działającej swoją niezmiernością już w zmysłowych wrażeniach masy, chyżości i rozciągłości, a obudzającej w duchu ludzkim poczucie jego nieskończonych ideałów i możności rozwoju. Musi więc zająć potężny rozmach naszych władz spostrzegawczych i stanowcza przewaga ideowej treści nad formą wraz z rozsadzaniem jej jedności i uchwytności, ale zawsze tylko do pewnej granicy, poza którą rozpoczęłaby się zupełna mroczność i nieokreśloność przedmiotu niezdolna sprawić dodatniego estetycznego wrażenia. Najśmielsza, choćby logicznie całkiem uzasadniona, abstrakcyja nie porwie nas i nie podniesie, gdyż nie zdołamy w nią włożyć całego naszego „ja“ z dążeniami do pełnej doskonałości i jej przeczuciami. Musi zatem przedmiot wzniosły nietylko w treści swych cech, ale i w formie ich, przedstawiać jakąś odpowiedniość do naszej organizacyi duchowej, ażeby mógł nadać jej zapęd ku nieskończoności, mogą kształty jego być szorstkimi, mogą obrażać naszą potrzebę harmonii, ciągłości, zaokrąglenia, proporcyi przejrzystych — ale pewne istotne rysy piękna, wyrażanie się treści w stosownej dla niej formie, ześrodkowanie jednej i drugiej, objęcie lub przynajmniej wyraźne, żywo do uczucia przemawiające, zaznaczenie się jakiejś całości sił musi być i w przed-

miocie wzniosłym: i on też z tego szerszego punktu widzenia musi być pięknym. Naodwrot zaś widzieliśmy już wyżej, iż piękno przestaje być pięknem i zamienia się w mdłą, może po-
błażliwie, ale mniej lub więcej lekceważącą oglądaną „ładność“, gdy w niem do ostatka zatarły się perspektywy ku głębinom bytu, gdy forma tak się wygładziła, a treść tak zszarzała, że nie można w nich dojrzeć wytrysku odwiecznych twórczych sił i prawd, ani odblasków światowładczej myśli.

Zamykający właściwą estetykę (odróżnianą przez D. od wiedzy sztuki *Kunstwissenschaft*) rozdział o brzydocie i komizmie zawiera obok wielu uwag bystrych i trafnych wnioski ze zjawisk całkiem wykraczających poza zakres estetycznie cennych i doniosłych przedmiotów, którym też trudno przypisać jakąś wagę dla komizmu odpowiadającego wymaganiom smaku, chyba tę jedną, że w dziedzinie śmieszności istnieje rozległa skala przejść prawie niedostrzegalnych od całkiem płaskich i pospolitych efektów do subtelniejszych niespodzianek i sprzeczności w ludzkiej naturze. Autor zbyt może wyłącznie ilustruje komizm przykładami z najniższej kategorii zjawisk graniczących z bezmyślnością i ogólnem stopieniem wszystkiego, co stanowi wartość człowieczeństwa.

Słuszne jest, co mówi o różnicy między objawami estetycznie obojętnymi a brzydotą pod jakimkolwiek względem wybitną, która może służyć artyście za środek do wywołania kontrastu dodatnich wrażeń estetycznych, do stworzenia piękna wyrazu lub charakteru (n. p. w postaciach ascetów lub t. zw. suchotniczych piękności), do oddania nawet piękności duszy, ulatniającej się z ponad skazanego na rychłą śmierć ciała. Pominął jednakże istnienie brzydoty, którą sztuka nowoczesna zbyt śmiało szafuje, a która bez skutków ujemnych nie daje się wprowadzić jako składnik w ramy całości artystycznych, a mianowicie wszystkiego, co jest fizycznie wstrętne lub tak doszczętnie zwyrodniałem i odrażającym duchowo, że nie ma nic wspólnego z żadną wartością, nawet zdeklarowaną w sensie wybitnie ujemnym, demonicznym, ale mającą przynajmniej urok jakiejś siły. Że są takie ohydy, poziome, niczem, nawet

grozą zła do siebie nieprzykuwające, trudno zaprzeczyć i do nich zdaje się mieć w życiu estetycznym wieczysty walor dantejskie *guarda e passa*, a tylko szlachetny pionier naprawy obyczajowej może tu mieć wdzięczny teren dla studyów i działalności z zaparciem się potrzeb smaku. Z zakresu komizmu podnosi D. znane fakta, świadczące, iż jest mnóstwo objawów śmiesznych tylko w oczach ludzi o niskiej inteligencji i przytępionej zdolności współczucia z cierpieniami i kalectwem. Rzeczy dla tłumów zabawne stają się w ten sposób ludziom delikatniej czującym podwójnie bolesnemi przez widowisko takiego naiwnego okrucieństwa. To jest sfera zjawisk, leżąca już zgoła poza estetyką. Natomiast komizm polegający na działaniu niespodzianek, na raptownem wyjawianiu się dysproporcji między tem czemś większem, za co się jakiś człowiek lub przedmiot jego oczekiwań wydaje, a istotną bląhostką, jaką okazuje się w danym wypadku, jest już ogólniej związany z właściwościami i skłonnościami w ludzkiej organizacyi duchowej. Tu przechyla się autor do wyników badań estetycznych Heymannsa (w *Zeitschrift für Psychologie* z r. 1896) jako tych, które jego zdaniem uzupełniają teorię Lippsa. Mianowicie specyficzne uczucie komizmu polegać ma na chwianiu się intensywności z jednej strony uwagi naszej, z drugiej strony obrazu samej rzeczy śmiesznej, gdy po znacznem natężeniu oczekiwania następuje nagle wyswobodenie energii psychicznej skutkiem spostrzeżenia, iż rzecz na taką uwagę nie zasługiwała. Te szybkie oscyllacje stanów psychicznych wyrażają się też i fizycznym drganiem muskularnych, t. j. śmiechem. Stopniowe posuwanie się ku wyższym formom komizmu wykazuje następnie D. na zaletach dowcipu, karykatury i humoru. Niespodziewane połączenia rzeczy od siebie bardzo odległych uchodziły już dawno za znamienne dla wyskoków dowcipu. D. kładzie nacisk na pozorną przypadkowość, w gruncie głębszą, ukrytą rację każdego dobrego dowcipu, a ten kontrast pozorów z istotą miałby zdaniem jego stanowić główną podstawę zadowolenia — dodajmy — raczej umysłowej, niż estetycznej natury. Czy karykaturę, która, jak autor słusznie dowodzi, powinna mieć jakieś uzasadnienie

w prawdziwych rysach powierzchowności lub charakteru, można zaliczać do wyższych rodzajów komizmu — o tem godzi się powątpiewać. Przez humor rozumie ten nastrój ducha, w którym człowiek jest zarówno świadom swego znaczenia jak i swojej skromnej roli we wszechświecie. Porównuje go z tego względu z religijnością, która również łączy poczucie wielkiej godności człowieka, ze związku z Bogiem płynące, z uznaniem zależności od niego. W istocie pogoda skojarzona z rezygnacją cechują niemniej ludzi prawdziwie religijnych, jak i obdarzonych humorem w najdodatniejsem znaczeniu tego słowa, z tą różnicą, że w przejawach tego ostatniego obserwacya i krytyka, wspierane odpowiednią grą wyobraźni, są na pierwszym planie przed życiem uczuć a zwłaszcza woli. Bardzo trafną i o ile mi wiadomo, oryginalną jest uwaga D., że humoru nie może być tam, gdzie albo nędze żywota nie mają zgoła żadnej przeciwwagi, albo gdzie w szalonej żądzy używania trawi się cała egzystencya.

Cała estetyka Dessoira niemniej, jak uzupełniająca ją (w drugiej części przytoczonego u wstępu dzieła) teoria sztuki jest energicznym i względnie uprawnionym protestem przeciwko skrajnie monistycznym próbom i przedwczesnym na wielu punktach hipotezom, które bądź to idealistycznie, bądź w duchu naturalistycznym, usiłowały z jednego źródła wyprowadzić upodobanie w pięknie i jego przedmiotowe podstawy wartości. Przekonanie o wielości i różnorodności czynników kultury estetycznej wyraża się z tą samą krańcowością w poglądach tegoż autora na powstawanie i rozwój twórczości artystycznej. Rzucając rękawicę tym, co za warunek dodatniej produktywności duchowej uważają zdrowie fizyczne, odróżnia dwojaki typ człowieka: rozplodnika (*Zeugungsmensch*) i działacza (*Leistungsmensch*). Pierwszy z tych typów obejmować ma ogromną większość ludzi, dbałych o zachowanie jednostkowego i gatunkowego dobrobytu przeważnie materialnej natury, ludzi, wyrażając się językiem św. Pawła „cielesnych“, dla których ideałem jest być „zdrowymi“, normalnymi fizycznie i duchowo i pozo-

stawić po sobie także potomstwo. Natomiast człowiekowi drugiego typu reprezentowanego najlepiej przez prawdziwego artystę, mało lub nie zależy na tem, jakim uformuje i zachowa siebie lub ród swój, ale chodzi mu o to głównie, czego dokona. Taki człowiek wkłada cały swój egoizm, o ile w nim jeszcze pozostał, w swoje dzieło, bywa w dokonaniu tego, co uważa za swą misję, niemniej bezwzględny dla siebie, jak dla drugich, a już najmniej kłopotuje się o to, czy skutkiem oddania wszystkich swoich sił spełnieniu dzieła nie zwichnie swojej równowagi fizycznej i duchowej, czy przez steranie się w usługach przyswiecającego mu posłannictwa lub owocu twórczości nie wyjdzie sam z tej walki osobnikiem zwyrodniałym, okaleczonym, nadal już do niczego niezdolnym — bo pociesza go a raczej so-
wicie wynagradza za te wszystkie możliwości otucha, iż pozostanie po nim twór niespożyty. Niewątpliwie dotknął autor myślami temi prawd niezmiernego znaczenia dla duchowego, ludzkiego, rozwoju. Królestwo ducha „nie jest z tego świata“, jak to D. w kilku miejscach, z odwagą do słów Ewangelii nawiązując, podkreśla. Wielkie kreacye i wielkie zdobycze nie są udziałem spokojnie używających życia, ale przychodzą do skutku wśród nateżeń, walk i cierpień. Pełne poczucie wartości ludzkiego życia i działania, wytworów umysłu i wyobraźni, nabywa się dopiero w miarę świadomości tego, co postawiono na kartę, co w sobie stłumiono i czego się wyrzeczono. Jak rozbiorem, odrywaniem i nowemi połączeniami postępuje wszelka praca umysłowa — a podobnież społeczna podziałem i specjalizacją czynności, tak wogóle duch ludzki łamie się z tem, co mu jest dane w świecie zmysłowym i wszędzie, gdzie dostrzega rozdźwięk z swemi przeczuciami i potrzebami większej stałości i szerszego ładu, woli rozbić całość wrażeń i doświadczeń życiowych w nadziei złożenia z odłamów jakiejś lepiej odpowiadającej mu budowy, aniżeli zadawałniać się przyrodzoną wielostronnością darów życia, nie czyniącą zadość pewnym, szczególnie silnym, jego żądaniom. I nie powstałaby istotnie żadna wybitna indywidualność, nie zaszedłby żaden epokowy przełom w rozwoju kultury, gdyby energia ludzka nie wytykała sobie innych celów,

jak zachowanie i pomnożenie bytu wziętego w konkretnej, dotykanej całości, w jego typowej rzekomo normalnej postaci, gdyby nie było fanatyków idei usiłujących wcielić lub przynajmniej w dostępny zmysłom lub wyobraźni kształt przyoblec coś dotychczas niesłychanego albo niewidzianego, gdyby każdego odstraszała od szukania nowości, od przebijania się przez gąszcze tajemnic, od głoszenia surowych, ogółowi niedościgłych, żądań etycznych, myśl o trudach i cierpieniach, o czekającym przesładowaniu lub szyderstwie i politowaniu. Ta niezbędność rozłamu między kulturą czysto materyalną lub ceniącą na równi zdrowie ciała i siłę ducha, a dreszczem pogoni w zaświaty, pokonywania przynajmniej w peryodycznych odstępach człowieka-zwierzęcia przez człowieka przeczuwającego i miłującego Boską nieskończoność — niezbędność niczem niedająca się zastąpić, jeżeli pochod cywilizacyi ma zmierzać w górę, ona to jest główną pobudką wierzeń, że duch istnieje odrębnie od materyi, względnie od nagromadzonych w przyrodzie energii, i że biegiem wszechrzeczy kieruje nieskończenie doskonała, duchowa Istota zaświatowa, acz świat do dna swem działaniem przenikająca. Ale wykopywanie takiego przepastnego przedziału, jaki czyni Dessoir między rozplodzicielami ciał a twórcami postępów duchowych, nie zdaje się być uzasadnionem. I szare tłumy, żyjące troską o chleb powszedni, gdy się je odpowiednio wychowa, gdy się im pozostawi jakiś pokarm niebieski, gdy się im otworzy okienko ku najwyższemu blaskom prawdy i dobra, nie wydrze się im lub nie spłaszcy tej jedynej poezyi maluczkich, jaką jest etycznie czysta religia z uczuciami narodowemi niebezpieconemi przez chciwość lub nienawiść, zdolne są do najwznioślejszych porywów poświęcenia, do czynów takiego masowego bohaterstwa, że wobec nich zblednie niejeden wybrany osobnik, który chociaż na ogół oddany jest tylko upatrzonemu zadaniu swego życia, miewa jednak często przystępy wielkiej słabości i bardzo marnemi w szczegółowych wypadkach nieraz powoduje się pobudkami, któremu zawiść lub przydeptanie słabszego nie budziły odrazy na drodze do wysokich celów. A wkońcu i to tak lekceważone przez D. „zdrowie“ ciała i duszy, ta ceniona nietylko

w oczach największych Hellenów, nie wyjmując szczytnego idealisty Platona, ale także wielkich nowożytnych mistrzów artyzmu (jak Göthe) harmonijność stosunku dwóch stron natury ludzkiej i różnych władz duszy między sobą, normalność polegająca na pełnem rozwinięciu osobistości — jeżeli ona tylko nie jest celem sama w sobie — ale zrozumiana i pożądana jako środek do zrealizowania najwyższej sumy możliwości przez daną jednostkę w jej dziełach — nie da się uważać za cechę niższo-rzędnej organizacyi duchowej już z powodu czynnego, **determi-**nującego wpływu, jaki właśnie takim zdrowiem obdarzone jednostki wywarły na rozwój artystyczny i umysłowy.

Wejście w szczegóły „ogólnej umiejętności sztuki“ rozmiarami swymi (str. 229—462) przewyższającej estetykę D., spowodowałoby nieproporcjonalny rozrost poświęconego temu autorowi studyum w stosunku do poprzednich. Dlatego wypada ograniczyć się w tem przedstawieniu do kilku najciekawszych i najważniejszych rysów. D. nie przyjmuje jednego wspólnego źródła wszystkich sztuk pięknych, które dziś wielu badaczy początku sztuki upatruje w tańcu i w mimice z nim połączonej. Zgodnie ze swoim także na tym punkcie objawiającym się pluralizmem klasyfikuje sztuki wedle dwóch zasad podziału — mianowicie wedle oddawna już utartej zasady na przestrzenne i czasowe (do ostatnich liczy oprócz poezyi i muzyki także mimikę, obejmującą sztukę sceniczną, działającą i na wzrok — tak, iż ten podział nie schodzi się z podziałem sztuk na wzrokowe i słuchowe) — obok tego zaś dzieli sztuki na naśladownicze, wywołujące określone skojarzenia poddaniem realnych form i na wolne, dające formy nierealne i sprawiające skojarzenia nieokreślone, jak w dziedzinie sztuk przestrzennych architektura, a czasowych muzyka. Ujemną stroną tego podziału jest niewyświecone jego zasadami stanowisko malarstwa wobec rzeźby a poezyi wobec mimiki, tak, iż nie jest on kompletną klasyfikacją tembardziej, że w dalszym ciągu wyróżnia jeszcze autor grafikę od malarstwa, jako zupełnie udzielną sztukę odtwarzania na powierzchni bez pomocy kolorytu. Nie można też zgodzić się z nim w tem, iż uważa architekturę za sztukę działającą jedynie

zapomocą oderwanych' stosunków przestrzennych, a pomija w niej działanie wypełnionych mas (w ciążeniach, podpieraniach, wyrastaniach) w widocznym przeciwieństwie do Lippsa — a tak nie tylko konstrukcyjny, ale i dekoracyjny moment w budownictwie usuwają się u niego na nieuchwytny plan dalszy. Także odgraniczenie poezji od „sztuki opowiadania“ (powieści i noweli) z jednej strony, zaś od wymowy, także przez autora za sztukę piękną uznawanej i gorąco w tym czysto artystycznym charakterze bronionej, z drugiej strony, jest niejasne. Autor stara się z szczególną usilnością i naciskiem dowieść, że poezja niema na celu wywołania żywych poglądowych (plastycznych) wyobrażeń, ale, że jest przedewszystkiem sztuką słowa, tak, iż obudzenie się uczuć naturalnie związanych z pewnemi słownemi oznaczeniami, z łączeniem, podkreślaniem, uszykowaniem wyrazów, ma samo przez się, niezależnie od powstających obrazów, sprawiać wrażenie piękna poetyckiego. Ale to właśnie utrudnia bardzo odróżnienie poezji od wymowy, mającej także swoje rytmy, jak również od innych rodzajów piśmiennictwa pięknego niezasadzających swego powodzenia na żywych wyobrażeniach wzrokowych i słuchowych. Że mowa dzięki odpowiedniemu doborowi swych środków, tak ściśle zrosłych z naszym życiem uczuciowem i umysłowem, z naszymi pragnieniami i dążeniami może działać wstrząsająco, to nie ulega wątpliwości. A jednak do pełnego efektu artystycznego poezji niezbędnem zdaje się być, by nasz widnokrąg wewnętrzny, pole wyobraźni odbierającej, zajęło się jakimiś przedmiotami, na które moglibyśmy reagować uczuciem i myślą, gdyż inaczej grozi ocenianemu poematowi jeden z najcięższych zarzutów: że jest tylko grą dźwięcznych słów i że nie można poza niemi doszukać się niczego.

W tych poglądach przebijają się konsekwencye braków wyżej podniesionych, mianowicie stąd wynikłe, iż D. tak radykalnie przedziela uczucia wywoływane przez formę przedmiotów od sprawianych ich treścią, że nie może w następstwie wynaleźć między niemi łącznika i musi potem z temi (z jego punktu widzenia) niewymiernemi względem siebie wielkościami prowadzić podwójną rachunkowość, raz jednym, a raz drugim, przyznając

przeważny teren w różnych sferach odczuwań estetycznych — czego byłby uniknął, zdawszy sobie od początku stanowczo sprawę z tego, że estetycznie cenna forma bez jakiejś choćby najogólniej uświadomionej i wysnutej treści pomyśleć się nie da — a odwrotnie treść bez odpowiedniej formy jest estetycznie bezwartościową.

W II tomie *Zeitschrift für allgemeine Aesthetik und Kunstwissenschaft*, wydawanem w Stuttgarcie począwszy od r. 1906 przez Dessoira, sam ten wydawca ciekawym artykułem *Skepticismus in der Ästhetik* broni się od zarzutów, jakie mu uczyniono o brak decyzji i połowiczność, tudzież o za mało ściśle myślenie. Na przykładach wielkich, a w minimalnej części dotąd ziszczo-nych nadziei w pomoc psychologii i ludoznawstwa uwidacznia, jak wiele jeszcze potrzeba do tego, aby estetyka nabrała ściśle naukowego charakteru i dlaczego tak słabe są na bliższą metę widoki prawdziwie wszechstronnego i zadawalniającego jej systemu. W psychologii zwłaszcza roi się dziś od zbyt zasadniczych kwestyi spornych, by mogła ona nam dziś dać takie wyjaśnienie jednolite zjawisk estetycznych, a przedewszystkiem stosunków trwalszych i mniej trwałych wartości, któreby nie przykrawywało ich do teorii, nie mającej w dodatku powszechnego uznania. Dlatego zdaniem jego na długi jeszcze czas z większym pożytkiem dla estetyki będzie postępująca analiza, rozdzielająca rzeczy na pozór identyczne lub sobie pokrewne, aniżeli porywczą syntezą, sprowadzającą łatwo zamęt a, w miejsce rzekomego uproszczenia, zubożenie i przekręcenie faktów estetycznych, którymi rozporządzają ich znawcy i twórcy. Sam autor obstaje przy przyjmowaniu za podstawę dla takich dalszych badań jednolitego bytu psychicznego z dwiema klasami własności, które nazywa własnościami stanów i przebiegów (*Zustands- u. Vorgangs-eigenschaften*), a nadto przy tem, że za najwyższą i najdelikatniejszą „potencję“ stanów możliwych w duszy trzeba uznać to, co w świecie duchowym przedstawia się jako stałe i nadindywidualne, jako treść ducha przedmiotowego (*objectiver Geist*). Ma to odpowiadać według D. temu, co inni nazywają obiektywem, wytworem (*Gebilde*) lub stanem

rzeczowym (*Sachverhalt*). Inny znów artykuł D. w t. V tegoż czasopisma z r. 1910, zatytułowany *Objektivismus in der Aesthetik* określa jako taki obiektywizm naukę, że dziedzina estetycznej przyrody, kultury i sztuki razem ujętych, posiada pewne odrębne przedmiotowe znamiona, czyli, że zjawiska o określonych właściwościach nadają się szczególnie silnie do tego, żeby wywoływać estetyczne pochwały lub nagany. Wynik własnych rozstrząsań w kwestyi, czy takie zjawiska względnie rodzące je przedmioty istnieją, streszcza w zdaniu, iż ogół (*Inbegriff*) estetycznych przedmiotów jest jedną z grup lub stopni rzeczywistości (*Realität*), klasą z rzeczowymi cechami i znamienami regułami, a więc, że nie jest ani światem pozorów (*Scheinwelt*) ani wytworem samowoli subiektywnej.

Dr. Witold Rubczyński.

Polityka bałkańska Austro-Węgier.

Wiedeńscy mężowie stanu postanowili wyjaśnić sytuację prawną, zanim Turcja wzmoże się na siłach, ogłosić przyłączenie (aneksję) Bośni i Hercegowiny do monarchii i uzyskać od Turcyi oraz od innych państw, których pełnomocnicy podpisali traktat berliński, uznanie przyłączenia. Zapomnieli tylko o różnicy między prawami międzynarodowemi, a prywatnemi. Zawarcie przez dwóch ludzi prywatnych umowy, która każdemu z nich przyznaje pewne prawa wobec drugiego, czerpie swe właściwe znaczenie z istnienia władzy państwowej chętniej i zdolnej do zabezpieczenia praw należycie nabytych przez prywatnych, gotowej umożliwić ich wykonywanie przez zmuszenie opornych do poszanowania tychże praw. Inaczej przedstawia się sprawa w stosunkach międzynarodowych, ponieważ niema władzy ponad państwami, któraby chciała i mogła zmusić je do poszanowania praw nabytych przez inne państwa. Zapomniano we Wiedniu, że uznanie przyłączenia Bośni i Hercegowiny przez Turcyę jest kawałkiem papieru, który nie przeszkodzi Turcyi i Serbii podjąć próbę wyparcia Austrii z Bośni i Hercegowiny w chwili, gdy poczują się na siłach. Wówczas znajdą się powody, uzasadniające ich żądania. Póki zaś będą zdania, że nie stać ich na walkę z Austryą, póty jej nie zaczepią, choćby Turcja mogła powołać się na to, że nie zrzekła się raz na zawsze Bośni i Hercegowiny. Wobec istniejącego stosunku sił wszelkie wystąpienie Turcyi przeciw Austrii z powodu Bośni

było na długi czas zupełnie wykluczone, z czego niestety we Wiedniu nie zdawano sobie sprawy. Kierownicy przecenili siły Turków, jak obaczymy, nie docenili Serbów, a co najgorsze, nie docenili własnych. W Anglii nikomu na myśl nie przyszło przyłączać Egipt. Stanowisko prawne Anglii w Egipcie nie opiera się na żadnym traktacie międzynarodowym, uznanym przez Turcję, było więc znacznie słabsze, niż ówczesne Austrii w Bośni. Poprawiło się w r. 1904 przez umowę z Francją, w której Francja obiecała zaniechać sprzeciwu dotychczasowego przeciwko obecności wojsk angielskich w Egipcie. Silni zrzeczeniem się Francji, Anglicy mogli żądać od Turcyi w r. 1908 wyraźnego uznania ich stanowiska w Egipcie. Ale nie popełnili tego błędu. Nie widzieli w zmianie tureckiego ustroju państwowego wzmożenia sił tureckich, zagrażającego Egiptowi, a choćby żywili obawy, wiedzieli, że świstkiem papieru nie zażegnają niebezpieczeństwa.

We Wiedniu zwyciężyła inna myśl polityczna, wyrosła z mniejszej znajomości rzeczywistych stosunków i z braku zaufania we własne siły, zupełnie obcego angielskiemu Foreign Office. Rząd austro-węgierski miał sposobność zaznaczenia wobec Europy i wobec ludności krajów zajętych w r. 1878, że je dzierży nieodwołalnie bez użycia słowa : „aneksya“, a więc bez formalnego naruszenia traktatu berlińskiego. W Turcyi zaistniała konstytucja i parlament. Słusznie sobie powiedział rząd państwa austro-węgierskiego, że Bośnia i Hercegowina nie może być jedynym krajem w Europie, pozbawionym przedstawicielstwa ludowego. Cesarz nadając konstytucję, byłby stwierdził przed całym światem, że uważa się za władcę Bośni i nie myśli z niej ustępować. Niestety formalistyka kancelaryjna stanęła na przeszkodzie wybraniu najprostszego i najtrafniejszego rozwiązania. Jak może cesarz austriacki nadawać konstytucję ludziom, których sułtan uważa za swych poddanych? Zwyciężyła myśl przyłączenia formalnego i opartego na nim nadania konstytucyi, aczkolwiek przeto monarchia naruszyła wprawdzie nie ducha, ale literę traktatu berlińskiego. I ten wzgląd nie powstrzymał rozstrzygających czynników we Wiedniu, co się zaraz srodze zemściło. Podobno, jak twierdziły zazwyczaj dobrze

poinformowane czynniki, cesarz Franciszek Józef, czując zbliżający się kres dni swoich, chciał przez formalną aneksję przypomnieć ludom zamieszkującym Austro-Węgry i całemu światu, że przysporzył monarchii Bośnię i Hercegowinę, chciał przypomnieć i utrwalić dzieło, które słusznie uważał za tryumf polityczny, wynagradzający w pewnej mierze niepowodzenia doznane w początkach długiego panowania, dzieło, które mu właśnie dlatego szczególnie leżało na sercu. Wbrew nadziejom aneksya stała się uszczupleniem, a nie wzmożeniem zdobyczy, osiągniętych przed trzydziestu laty. Błędem była sama myśl przyłączenia, jeszcze większym sposobu jej wykonania.

Była błędem, ponieważ istotę jej stanowiła polityka *prestige'u*. Zwycięskie wojny i zręczne ich wyzyskanie najskuteczniej zapewniają państwu poważanie wobec innych, którego wyrazem liczenie się z jego życzeniami w międzynarodowej polityce. Dnie Sadowy i Sedanę umożliwiły Bismarckowi odgrywanie roli rozjemcy poważnionej Europy w r. 1878. Ten, kto okazuje zrozumienie i umiejętność skutecznej obrony swych żywotnych interesów, może być pewnym, że usłyszą go, gdy się odezwie. Grand hiszpański, choć w łachmanach, zwraca uwagę uroczystym i eleganckim gestem. Zdobywa nim cenne zadowolenie wewnętrzne, które starczyć mu musi za wiele innych dóbr, ponieważ nie zdobędzie tym sposobem niczego więcej. Polityka *prestige'u* jest niepotrzebną siłnemu, dla innych najczęściej szkodliwą, bo wyzywającą. Zyskując zgodę sułtana na budowę linii kolejowej Uvac-Mitrowica, Austria podjęła trafną politykę obrony swych żywotnych interesów. Nie zadawałniała się ochroną stanowisk już nabytych. Zapraagnęła rozszerzyć ich koło. Aneksya była przeciwieństwem tej polityki i unicestwieniem jej zdobyczy, tem cenniejszych, że od dawien dawna Austria nie osiągnęła żadnych innych. Była jej przeciwieństwem, ponieważ tkwiło w niej porzucenie 1) polityki obrony żywotnych interesów na rzecz polityki *prestige'u*; 2) inicjatywy w sprawach bałkańskich i zastąpienie jej ochroną stanowisk już nabytych; 3) myśli umocnienia się w sandżaku i wycofanie się zeń, równoznaczne z faktycznem unicestwieniem budowy kolei Uvac-

Mitrowica i wszystkich nadziei z nią związanych. Po bitwie pod Liaojanem nagle zmiana celów i metod politycznych narzucała się siłą wypadków. Przeprowadziła inną Austrya po rewolucyi młodotureckiej ku własnej, wielkiej szkodzi.

Przewidywał bar. Aehrenthal burzę z powodu przyłączenia. Nie docenił rozmiarów, które przybierze. Zabezpieczył się przed nią w kilku kierunkach. Austrya, ogłaszając 5-go października 1908 r. dokonanie aneksyi w formie enuncyacji cesarza, skierowanej do naczelników państw, podpisanych na traktacie berlińskim, równocześnie podała do powszechnej wiadomości wycofanie z trzech miasteczek sandżaku jednej brygady austriackiej, która gościła w ich murach obok wojsk tureckich od r. 1878. Wiadomy program kolejowy wywołał wrzenie na Bałkanach i w Rosyi. Widziano w nim zapowiedź owładnięcia sandżakiem. Posądzano Austryę w dobrej lub w złej wierze o zamiary dalej sięgające. Aneksya nie przyczyniała Austrii niczego istotnego. Atoli samowolne naruszenie litery traktatu berlińskiego można było uważać za wyraz wielkiego poczucia siły, za chęć okazania jej ludom bałkańskim w zamiarze bardziej realnego wykorzystania tego wrażenia przy sposobności późniejszego urzeczywistnienia zamiarów rzekomo związanych z zapowiedzianą budową kolei. We Wiedniu postanowiono uspokoić Europę jaskrawem zaznaczeniem, że polityka austriacka jest pokojową w najgłębszej swej istocie, że nie ma w sobie nic zaczepnego. W ten sposób oddała Austrya sandżak Turcyi, nie przypuszczając, że w cztery lata później opanują go Serbia i Czarnogóra. Zapatrzona we własną pokojowość nie liczyła się z bardziej wojowniczym usposobieniem współzawodników.

Położenie Austrii w sandżaku było wówczas niewątpliwie trudne. Właściwą chwilą silnego usadowienia się w sandżaku było zajęcie Bośni. Pod bezpośrednim wrażeniem uchwał kongresu berlińskiego, nikt nie byłby się sprzeciwiał ich zupełnemu wykorzystaniu przez Austryę. W roku 1908 trzeba było się z góry liczyć z małoprawdopodobną, ale możliwą wojną. Na ten wypadek należało albo wzmocnić i posunąć dalej załogi na południowy wschód, albo cofnąć się ku Bośni. Wybór trudny, ale

można było uniknąć trudności wybierania przez porzucenie zamiaru aneksyi. Ogłaszając ją, można było pozostawić małe posterunki jedynie dla zaznaczenia swych praw, a w każdym razie nie należało spieszyć się z zapowiedzią opuszczenia sandżaku bez zamiaru powrotu, celem uzyskania wzamian za nie uznania aneksyi ze strony Turcyi lub inne korzyści. Austria usunęła się z sandżaku bez upewnienia się z góry, czy Turcyja uzna to ustępstwo za wystarczające zadosyćuczynienie za aneksyę! obrońcy bar. Aehrenthala twierdzą, że także ustąpienie z sandżaku wyszło z inicjatywy władzy najwyższej w państwie, ale bar. Aehrenthal podjął się przeprowadzenia tej myśli.

W porozumieniu z Bułgaryą widział dostateczny środek zabezpieczenia się przeciwko ewentualnym protestom Turcyi. Ks. Ferdynand ogłosił się carem Bułgarii w Tirnowo w dawnej stolicy carów bułgarskich w trzy dni po ogłoszeniu aneksyi Bośni i Hercegowiny, niemal bezpośrednio po powrocie z Budapesztu, gdzie odwiedził cesarza Franciszka Józefa. Przyjmując tytuł cara ogłosił się zarazem zupełnie niezależnym władcą Bułgarii. Przedtem był lennikiem sułtana w charakterze władcy Rumelii wschodniej. Na jej przyłączenie do Bułgarii w r. 1885 zgodził się sułtan bez wojny, zastrzegając sobie czysto nominalne zwierzchnictwo. Bułgarzy uważali wybuch rewolucyi młodotureckiej za chwilę sposobną do wywołania zatargu wojennego i znowu — po raz drugi w ciągu lat kilku — chcieli działać w porozumieniu z Austryą. Sądzili, że jednostronne zerwanie umowy, mocą której sułtanowi przysługiwało zwierzchnictwo, kto wie, czy nie wywoła wojny? Szukali poparcia w Austrii i rozpoczęli przygotowania wojenne. W chwili podpisywania traktatu berlińskiego wyobrażano sobie, że Bułgaria będzie stanowiła sferę wpływów rosyjskich, a Serbia austriackich. Wkrótce wyszła na jaw sprzeczność tej kombinacyi z istotą stosunków, geograficznie i historycznie wytworzonych. Austrii trudno żyć w zgodzie z Serbią. Sam fakt bezpośredniego sąsiedzowania mieści w sobie zarodki zatargów. Austria nie umiała uniknąć starć o cła, zamiast ustępstwami w tym kierunku wzmocnić swój polityczny wpływ w Serbii i przeciwdziałać jej dążnościom tery-

toryalnego rozszerzenia się kosztem Turcyi, a nawet Austrii. Serbowie rozwijali oddawna agitacyę między pobratymcami, osiadłymi w Austrii. Nie kryli się z zamiarem opanowania t. zw. Starej Serbii t. j. Macedonii, zamieszkałej przez Serbów i połączenia się z Czarnogórcami, z którymi łączy ich wspólność wiary i języka, umożliwiającego dotarcie do morza. Dążności zaborcze serbskie stanowiły oczywiste niebezpieczeństwo dla Austrii, czego nie można powiedzieć o dążnościach zaborszych bułgarskich, wzbudzających obawy w Rosyi, ale nie w Austrii. Rosya nie traciła nadziei opanowania Konstantynopola. Zamiaty bułgarskie wcielenia choćby częściowego Tracyi i Macedonii w razie urzeczywistnienia były równoznaczne z przesunięciem granicy bułgarskiej pod mury Konstantynopola. Gdyby przynajmniej Bułgarzy stanowili straż przednią rosyjskiej potęgi. Wbrew przewidywaniom poczuł się odrazu samodzielnem państwem, szukającym oparcia w Austrii przeciw Rosyi, którego im Austria nie poskapiła, chcąc w ten sposób stworzyć przeciwwagę Serbii i Rosyi. Utrzymywanie jaknajlepszych stosunków z Bułgaryą odpowiadało dobrze zrozumianym interesom Austrii. Kierujący mężowie stanu we Wiedniu okazywali niejednokrotnie chęć wstąpienia na tę drogę, atoli nie zdawali sobie sprawy z żywiołowych sił, czynnych w społeczeństwie bułgarskiem, a popychających rząd z nieprzepartą mocą do wojny z Turcyą. Nie doceniali bułgarskiej potęgi wojskowej. Przeceniali turecką. Wierzyli, że potrafią utrzymać jeszcze przez długie lata terytoryalny *status quo* na Bałkanach. Nie pojmowali, że niezbędnym warunkiem trwałego i owocnego współdziałania z Bułgaryą było silne, ewentualnie nawet zbrojne poparcie Bułgarii przeciw Turcyi. W r. 1908 bar. Aehrenthal porozumiewał się z ks. Ferdynandem w myśli politycznego zbliżenia obu państw. Ale równocześnie wycofał się z sandzaku w zamiarze utrzymania pokojowych stosunków z Turcyą za każdą cenę. Nie spostrzegł się, że cele jego działalności wykluczają się nawzajem. Osiągnął drugi z nich, ale równocześnie zniszczył zawiązki współdziałania z Bułgaryą w kwestyi mace-

dońskiej. Popchnął ją w ramiona Rosyi i Serbii, co natychmiast wyszło na jaw aż nadto jasno i wyraźnie.

Wycofując się z sandzaku, bar. Aehrenthal nie uzyskał wzamian uznania aneksyi ze strony Turcyi. Nie wiadomo, czy starał się o poufne przyrzeczenia późniejszego uznania. Widocznie nie spodziewał się wielkich trudności ze strony Turcyi. Może liczył na to, że zwróci się przedewszystkiem przeciwko Bułgaryi. Natomiast pragnął z góry pozyskać sobie zgodę Rosyi. Usiłowań nie uwieńczył pomyślny skutek. W pierwszych dniach września 1908 r. na miesiąc przed ogłoszeniem aneksyi zjechali się Izwolski z Aehrenthalem na Morawach w zamku Buchlau hr. Berchtolda, ówczesnego ambasadora austriackiego w Petersburgu. Aehrenthal zawiadomił Izwolskiego o zamiarze ogłoszenia aneksyi wraz z równoczesnem wycofaniem się z sandzaku. Izwolski później przyznawał fakt ustnego zawiadomienia, ale twierdził, że nie było mowy o chwili ogłoszenia i że nie wyraził swej zgody. Zaraz po ogłoszeniu aneksyi rozpoczął kampanię dyplomatyczną. Udało mu się w krótkim czasie zapobiedz wybuchowi wojny bułgarsko-tureckiej, doprowadzić do uznania przez Turcyę zupełnej niezależności Bułgaryi i unicestwić zbliżenie bułgarsko-austriackie. W pierwszej chwili postępowanie ks. Ferdynanda wywołało niezadowolenie w Petersburgu. Działał w porozumieniu z Austryą bez zawiadomienia rosyjskiego dworu i ministerstwa spraw zewnętrznych. Przyjął tytuł cara, skutkiem czego przybył Słowiańszczyźnie drugi car. Przedtem rosyjski był jedynym. Rosyjscy dyplomaci przewyciężyli pierwszy odruch niechęci wobec Bułgaryi. Gdyby byli puścili mu wodze, byłiby zacieśnili zbliżenie bułgarsko-austriackie, które trzeba było jaknajrychlej zerwać. Bułgarzy widząc, że Austrya nie poprze ich w wojnie z Turcyą, a Rosya choćby chciała, na razie nie może, bo jeszcze jest osłabioną wojskowo po wojnie z Japonią, pogodzili się z Turcyą za inicjatywą i współdziałaniem Rosyi. Turcyą żądała znacznego odszkodowania pieniężnego, Rosya przejęła na siebie wypłatę wielu milionów, którą uskuteczniła, nie tracąc ani kopiejki. Turcyą w r. 1878 zobowiązała się zapłacić Rosyi wielki okup wojenny. W rzeczywistości uiszczała na jego rachunek bardzo

drobne kwoty, nie miała bowiem z czego płacić. Rosya przypominała zaległe raty wtedy, gdy chciała coś wytargować od Turcyi. Rosya w r. 1908 zapłaciła Turcyi odszkodowanie w zastępstwie Bułgaryi przez odpisanie znacznej części zaległego długu tureckiego, *de facto* nieściągalnego. Młodoturcy wyobrażali sobie, że przez to pozbawią Rosyę skutecznego środka nacisku, uszczuplającego niezależność i swobodę ruchów rządu tureckiego.

Izwolski nie zadowolnił się tem wielkiem powodzeniem. Odmawiał uznania aneksyi, a nawet protestował przeciw niej i pobudzał inne państwa do współdziałania w tym kierunku. Dał się unieść temperamentowi. Nie dostrzegł słabości swego stanowiska. Rosya w umowach z Austryą, zawartych przed kongresem berlińskim i wybuchem wojny rosyjsko-tureckiej zgodziła się na bezwarunkowe zajęcie Bośni i Hercegowiny przez Austryę. Aneksya sprzeciwiała się literze, ale była zgodną z duchem traktatu berlińskiego, wszyscy wówczas rozumieli, że Austrya zajmuje Bośnię i Hercegowinę nieodwołalnie. Izwołski w Buchlau conajmniej milcząco godził się na aneksyę. Właściwie nikt niczego nie stracił przy sposobności aneksyi. Rosya i Turcyja otrzymywały niewątpliwe korzyści. Zamiar budowy kolei Uvac-Mitrowica został milcząco pogrzebany. Austrya wycofała się z sandzaku. Oczywiście można było wywołać wojnę przy tej sposobności, ale tego Rosya nie chciała, bo jeszcze nie czuła się do niej przygotowaną. Protestowała bez zamiaru orężnego poparcia sprzeciwu na wypadek jego bezskuteczności, co oczywiście osłabiało jej stanowisko. Mimo tego podjęła próbę zeseregowania jaknajsilniejszej grupy państw przeciw Austryi pod hasłem konferencyi międzynarodowej, któraby miała ustalić nowy stan rzeczy na Bałkanach. Anglia poparła Rosyę. W ciągu roku 1908 Edward VII odwiedził cesarza Franciszka Józefa w Ischlu. Podobno starał się bez powodzenia o rozluźnienie przymierza niemiecko-austriackiego zgodnie ze swą przewodnią myślą polityczną odosobnienia Niemiec. Doznał rozczarowania. Przy sposobności aneksyi zwrócił się przeciwko sprzymierzeńcowi Niemiec. Francya poparła Rosyę, ale dość chłodno. Nie

chciała sobie zbytńo narazić początkowo Austrii, a potem Niemiec. W chwili aneksyi toczyły się rokowania o Marokko między Niemcami a Francją, ze współudziałem innych państw, które brały udział w konferencji obradującej nad tą samą sprawą w Algesiras (1906). Chodziło Francji przedewszystkiem o pomyslnie załatwienie tej sprawy. Chodziło jej o to, żeby Austria nie popierała Niemiec zbyt stanowczo. Nie chciała doprowadzić do zaostżenia swego stosunku z Austrią. Silne poparcie Rosyi byłoby podrażniło Austrię i Niemcy, a przez to utrudniło umowę o Marokko, (jedną z wielu), którą Francja chciała uzyskać, o ile możności bez wojny. Umowa doszła do skutku 8-go lutego 1909 r.

Po okresie naprężenia stosunków niemiecko - francuskich nastąpiła chwila, w której mogło nastąpić niejaki złagodzenie ostrego przeciwieństwa Niemiec i Francji. Nastąpiła zarazem chwila wyzyskania najnowszej umowy celem umocnienia francuskiego stanowiska w Marokko. Wówczas opinia publiczna we Francji bardziej pokojowa, niż dziś, nie życzyła sobie nowego zatargu z Niemcami bezpośrednio po zawarciu umowy marokańskiej. Najzupełniejsze, daleko sięgające poparcie znalazła Rosja we Włoszech, zaniepokojonych inicjatywą austriacką, w której dopatrywano się szczyrze albo chciano dopatrywać się zapowiedzi zaczepnej polityki na Bałkanach. Naczelny komitet młodoturecki „jedności i postępu“ zorganizował po ogłoszeniu aneksyi bojkot towarów austro-węgierskich, głównie w portach. Wielu dziwiło się, dlaczego Austria nie wysłała swej eskadry na wody tureckie celem wywarcia nacisku na władze tureckie? Czytałem rozprawę jednego z wysokich wojskowych austriackich, który twierdzi, że trzeba było zatrzymać okręty na wodach rodzimych z obawy napadu floty włoskiej na wybrzeża austriackie. Z gwałtownymi pogrózkami wojennymi wystąpiła Serbia, licząc oczywiście na zbrojną pomoc Rosyi na wypadek, gdyby naprawdę dojsć miało do wojny. Żądała kompensat za utracone nadzieje pozyskania choć części Bośni. W ten sposób w aktach dyplomatycznych uzasadniała swój sprzeciw, zwrócony do państw, podpisanych na traktacie berlińskim.

Austria nie zgodziła się na obesłanie konferencji, której

żądała Rosya. Poczyniła znaczne przygotowania wojskowe na granicy serbskiej i dalsze ustępstwa gwoli oderwania Turcyi i Czarnogóry od grupy państw, występujących przeciw Austryi. W traktacie berlińskim Czarnogóra zyskała dostęp do morza Adryatyckiego, a mianowicie osady Antivari i Dulcigno, ale nie stała się zupełnie niezależnym panem obu przystani. Art. 29-ty traktatu berlińskiego zapewniał Austryi pewne przywileje, jak-gdyby prawo wykonywania służebności w obu przystaniach, które utrudniały Czarnogórze ich wojskowe wykorzystanie. Austrya z początkiem roku 1909 zgodziła się na zmianę art. 29-go w duchu życzeń czarnogórskich — znowu cofnęła się o krok jeden na Bałkanie, znowu straciła jedną ze zdobyczy, uzyskanych podczas kongresu berlińskiego. Turcyja dostała przeszło 50 milionów koron rzekomo tytułem odszkodowania za domeny państwa tureckiego, przejęte ongi na rzecz Austryi. Bojkot młodoturecki opłacił się. Różstrzygnęła sprawę pomoc Niemiec. Po zawarciu ugody z Francją o Marokko, Niemcy odzyskawszy swobodę ruchów na Zachodzie, wystąpiły w Petersburgu stanowczo na korzyść Austryi. Wiedziały, że nie narażą sobie trwale Rosyi, czego od dawna usilnie unikają, mimo, a poniekąd także i z powodu przymierza francusko-rosyjskiego, wzmacniającego stanowisko Rosyi. Aneksya nie wyrządziła Rosyi żadnej rzeczywistej szkody. Broniąc jej, niczego Rosyi nie pozbawiały. Wiedziano w Berlinie z wszelką pewnością o niedostatecznem pogotowiu wojennem Rosyi i o silnym zamiarze unikania wojny. O wynagrodzenie za przyjacielską usługę Niemcy i Austrya porozumiały się łatwo. Niemcom chodziło o wzmocnienie ich stanowiska na morzu wobec Anglii. Anglia zaniepokojona przyspieszoną budową okrętów wojennych w Niemczech, skupiała swą flotę na morzu Północnem, wycofując część okrętów z morza Śródziemnego. Niemcy postanowiły utrudnić im wycofywanie przez budowę austriackich okrętów. Silniejsza flota Austryi sprzymierzonej z Niemcami zmuszała Anglików do ostrożności na morzu Śródziemnem. Austrya zgodziła się chętnie ze względu na stosunek do Włoch, powiększających swą flotę znacznie szybciej, niż Austrya i zachowujących się niezawsze życzliwie

wobec niej. Rząd uznał budowę wielkich pancerników za sprawę nagłą. Rozpoczął ją wbrew ustawom bez upoważnień budżetowych. 23-go marca 1909 r. ambasador niemiecki w Petersburgu hr. Pourtales odwiedził ministra spraw zagranicznych i udzielił „przyjacielskiej rady (*avis amical*)“ uznania aneksyi, dając wyraźnie do zrozumienia, że ewentualną wojnę musiałaby Rosya prowadzić nie tylko z Austryą, ale także z Niemcami. W kilka dni później Rosya aneksyę uznała.

Wielu ludzi dopatrywało się wówczas w przebiegu wypadków zwycięstwa Austrii. Cesarz zamianował barona Aehrenthala hrabią. Car przyjął prośbę Izwolskiego o uwolnienie od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych. Hr. Berchtold umieścił tablicę pamiątkową na zamku w Buchlau w pokoju, w którym Aehrenthal zawiadomił Izwolskiego o aneksyi. Już wtedy nie brakło głosów, zapytujących, jakie to właściwie rzeczywiste korzyści odniosła Austrya w zamian za swe znaczne ustępstwa? Na to pytanie niejeden odpowiadał, że Austrya poniosła tylko straty rzeczywiste, a zyskała formalne uznanie przynależności Bośni i Hercegowiny do Austrii, bezwartościowe, ponieważ nikt jej nie miał zamiaru naprawę naruszyć. Dziś wszyscy widzimy w ówczesnych pochlebnych sądach o aneksyi złudzenie optyczne, wywołane bezskutecznością protestu Izwolskiego, który wówczas okazany zbyt gorliwości Rosyi i sobie wynagrodził stokrotnie przez wybitny współudział w ukształtowaniu najnowszych wypadków. Tablica w Buchlau miała upamiętnić zwycięstwo Austrii. Dziś widzimy w niej symbol złudzeń i błędów, które doprowadziły do wojny bałkańskiej w warunkach dla Austrii niekorzystnych. Znajdują wiarę wieści, rozsiewane przez złośliwych, że hr. Berchtold ma zamiar jej usunięcia. —

Rosya z końcem marca 1909 roku uznała aneksyę Bośni i Hercegowiny. Izwolski jeszcze przez kilka miesięcy pozostawał na stanowisku ministra spraw zewnętrznych. Zużył je na próby utrzymania i wzmocnienia łączności z państwami, które zwróciły się przeciwko Austrii po ogłoszeniu aneksyi. Wówczas stały po stronie Rosyi Włochy, Turcja, Serbia, Czarnogóra i Buł-

garya. Rosyjscy mężowie stanu odtąd dążyli usilnie i wytrwale do zamiany tego związku chwilowego na stały w myśli, że zrodzony z przeciwieństwa do Austrii będzie nadal popierał politykę rosyjską, skierowaną ku pozbawieniu Austrii wpływów na Bałkanie i zastąpieniu ich rosyjskimi. Umizgi rosyjskie do Włoch skończyły się niepowodzeniem. We wrześniu 1909 roku car pojechał w towarzystwie Izwołskiego do Racconigi gwoli zacieśnienia przez osobiste odwiedziny włoskiego dworu królewskiego przyjaźni politycznej Rosji z Włochami, poczętej na tle zatargu o aneksję. Droga najbliższa z Petersburga do Racconigi wiodła przez kraje podległe berłu Habsburgów. Car nie wahał się demonstracyjnie objechać pół Europy, byleby uniknąć przejazdu przez Austro-Węgry. Odwiedziny nie wywołały następstw, które przewidywali rosyjscy mężowie stanu. Przy sposobności wojny trypolitańskiej, nastąpiła poprawa stosunków austriacko-włoskich, skutkiem czego oziębiły się włosko-rosyjskie, ponieważ polityka rosyjska pozostała nadal wierną chęci szukania odwetu na Austrii za aneksję. Wojna dała powód do zatargów między Włochami a Francją, co także, choć tylko pośrednio, ujemnie wpłynęło na stosunek Włoch do Rosji, związanej przymierzem z Francją.

Oryginalny przebieg wojny trypolitańskiej tłumaczy się śpiewem łabędzim usiłowań, skierowanych ku utrzymaniu na Bałkanach stanu rzeczy, stworzonego na kongresie berlińskim. Wzamian za Marocco Francya i Anglia przyrzekły Włochom nie przeszkadzać im w opanowaniu Tripolisu, ale chodziło im o utrzymanie nietykalności reszty Turcyi. Zgodziły się ciężkiem sercem na zajęcie Tripolisu przez Włochy. Dalsze wzmożenie się Włoch kosztem Turcyi byłoby im nie na rękę wogóle, a także i z tego powodu, że mogło dać początek dalszym zawikłaniom, których końca trudno było przewidzieć. Zapatrywania francusko-angielskie godziły się z poglądami Austrii i Niemiec. Państwo niemieckie od szeregu lat odgrywało w Konstantynopolu rolę obrońcy nietykalności tureckiej. Wyprawa włoska do Tripolis osłabiała stanowisko Niemiec w Konstantynopolu, ponieważ przy tej sposobności okazało się, że pomoc Niemiec nie zabezpie-

cza Turcyi przed najazdem wrogów. Mimo tego Niemcy nie sprzeciwiły się wyprawie swego sprzymierzeńca do Tripolis, nie chciały bowiem popełnić Włoch w objęcia trójporozumienia. Natomiast, chcąc przynajmniej w pewnej mierze przyjść w pomoc Turcyi, oświadczyły się za ograniczeniem operacji wojennych włoskich do zaboru Tripolisu z wykluczeniem działań wojennych przeciwko innym częściom Turcyi, co oznaczało umiejscowienie wojny w Tripolisie, ponieważ Turcyja wobec zupełnej przewagi Włoch na morzu nie mogła swych wojsk przewieźć ani do Tripolisu, ani do Włoch. Wprawdzie Włochy mogły przerzucić swoje wojska morzem do Turcyi, ale pod naciskiem innych państw europejskich dały do zrozumienia, że będą unikały tej ostateczności. Austria działała w tym samym duchu. Powołując się na dawne umowy austriacko-włoskie, które zobowiązywały oba państwa do popierania autonomii Albanii z wykluczeniem jej opanowania przez jedno z nich, wymogła przyrzeczenie nie przedsięwzięcia żadnych działań wojennych na wybrzeżach albańskich, w zamian za co Austria nie robiła dalszych trudności polityce włoskiej.

Lepszem powodzeniem były uwięnczone usiłowania Rosyi utworzenia związku bałkańskiego pod jej opiekuńczemi skrzydłami. Coprawda początkowe zamiary uległy z biegiem czasu znacznym zmianom. Pierwotnie chodziło o zbliżenie serbsko-bułgarsko-tureckie. Na wiosnę 1910 r. królowie Serbii i Bułgaryi odwiedzili cara w Peterhofie, a stamtąd pojechali do Konstantynopola, do Mahmuda V-go, osadzonego na tronie w kwietniu 1909 r. przez Młodoturków. Odwiedziny w Peterhofie były płodne w następstwa. Konstantynopolikańskie — epizodem bez jutra. Wyrazem chwilowych złudzeń, wywołanych rewolucją młodo-turecką. Zdawało się wówczas, że nowy rząd w Turcyi doprowadzi do skutku ugodę z chrześcijanami, zamieszkującymi Macedonię i utrwali tym sposobem ich związek z Turcyją. Innym był dalszy przebieg wypadków. Antagonizm bułgarsko-turecki, przez krótką chwilę uspiony, odżył na nowo ze zdwojoną siłą. Rozluźniły się także stosunki Turcyi z Rosyją. Powodem nieporozumienia był podział Persyi, na który Turcyja godziła się,

ale tylko pod warunkiem, że będzie w nim uczestniczyć, Rosya niechętnie przystała na zabór Urmii przez Turcyę, stosunkowo niewielkiej prowincyi, stanowiącej część północnej Persyi. Jej przejście w ręce tureckie było utratą tego kraju dla Rosyi, ponieważ, jak wiemy, podział Persyi między Anglię i Rosyę polegał na uznaniu Persyi północnej za strefę wpływów rosyjskich, a południowej — angielskich. Ta sprawa przyczyniła się do pogorszenia stosunków rosyjsko-tureckich.

Nie naprawiło ich widoczne oparcie się Turcyi o trójprzymierze, a zwłaszcza o Niemcy. Pod tym względem Młodoturcy nie zerwali z polityką Abdul-Hamida. Wytrwali na drodze przez niego wskazanej. Kto wie, czy Abdul-Hamid byłby się na niej zapędził równie daleko, jak oni? Poprzedni sułtan szukał oparcia w Berlinie, ale starał się o utrzymanie dobrych stosunków z trójporozumieniem. Młodoturcy zaniedbali starań w tym kierunku. W roku 1910 próbowali nawet finansowo zerwać z Paryżem. Chodziło o pożyczkę. Młodoturkom wydawało się, że warunki kapitalistów francuskich, skierowane ku zapewnieniu ich przedstawicielom pewnego nadzoru nad gospodarką skarbową państwa tureckiego nie nadają się do przyjęcia, ponieważ są sprzeczne z zasadą niezawisłości Turcyi od czynników postronnych. Woleli zaciągnąć pożyczkę na finansowo znacznie gorszych warunkach w Berlinie. Przeoczyli, że targ berliński nie jest w stanie dostarczyć im stale funduszy w wystarczającej ilości i że, odrzucając warunki kapitalistów francuskich, ułożone w porozumieniu z rządem francuskim, utrudniali sobie nawiązanie przyjaznych stosunków z trójporozumieniem. W Paryżu i w Londynie wielu przypuszczało, że Młodoturcy zerwą także i z zagraniczną polityką Abdul-Hamida. W pierwszej chwili po objęciu przez nich władzy popierały ich Francya i Anglia w myśli przeciągnięcia Turcyi ku trójporozumieniu, co już od dawna było celem zabiegów angielsko-francuskiej dyplomacyi. Usiłowania te były bezskuteczne. Młodoturcy uważali przyjaźń trójprzymierza za wystarczającą. René Pinon przytacza mowę Talaat beja, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych, wygłoszoną 6-go sierpnia 1910 r. w Salonice na tajnem posiedzeniu

Komitetu jedności i postępu. Mowca zwalczał podnoszone przez zgromadzonych obawy wojny z państwami bałkańskimi, któreby mogła przerwać dzieło odrodzenia wewnętrznego, podjęte przez Młodoturków. „Austria przyrzekła nam zapobiedz wszelkiemu związkowi państw bałkańskich, zwróconemu przeciwko nam i jest w stanie dotrzymać przyrzeczenia“. Mowa może nie jest autentyczną, ale zdaje mi się, że trafnie oddaje nastrój młodotureckich kół rządzących, zapatrzonych w odrodzenie wewnętrzne, zupełnie nieobznajomionych z arkanami polityki zagranicznej, ożywionych naiwną wiarą w ludzkość, która przecież nie przeszkodzi im w chwili, gdy podejmują wielkie dzieło uszczęśliwienia Turcyi dobrodziejstwami nowoczesnego postępu. Tym sposobem stało się, że stosunki z trójporozumieniem były nieszczególne.

Także grecko-tureckie nie były zadawalniające. Chodziło o Kretę. W roku 1909 nastąpiła aneksya Bośni i Hercegowiny przez Austryę, Rumelii Wschodniej przez Bułgarię, dwóch krajów już tylko nominalnie przynależnych do Turcyi, faktycznie stanowiących oddawna część Austrii, względnie Bułgarii. Grecya pragnęła wówczas przyłączyć Kretę, powołując się na to, że Kreta już posiada niemal zupełny samorząd, chroniony przez sześć wielkich mocarstw, i że jej ludność pragnie połączenia z Grecyą. Jeżeli Turcyja uznała aneksyę Bośni i Hercegowiny oraz Rumelii, może zgodzić się na utratę Krety, którą również faktycznie nie włada. Grecy powoływali się na analogię, częściowo tylko prawdziwą. Prawda, że związek państwowy Krety z Turcyą był luźny, ale Grecya jej także nie posiadała. Turcyja nie chciała wdać się w żadne rokowania o Kretę z Grecyą. W jesieni roku 1910 ścigała nawet wojska na granicy tureckiej pod wodzą Szeftket Torgud baszy. Do wojny nie przyszło, ponieważ mocarstwa wywierały zgodnie nacisk na Grecyę w imię konieczności utrzymania *status quo*. Grecy kreteńscy wybrali posłów do Izby poselskiej w Atenach. Mocarstwa oświadczyły, że ewentualnie

¹ René Pinon: *L'Europe et la jeune Turquie*, Paris 1911, str. 101 i nast. Jestto przedruk artykułów, przeważnie ogłoszonych w *Revue des deux mondes*.

siłą przeszkodzą ich wyjazdowi do Aten. Gdyby Turcyja przeczuwała, co ją czeka, byłaby może starała się o dobre stosunki z Grecyą, choćby kosztem Krety, która i tak była dla niej straconą. Byłaby zapewne dbała o utrzymanie lepszych stosunków z trójjporozumieniem. Byłaby także przyspieszyła zawarcie pokoju z Włochami.

Wojna trypolitańska, rozpoczęta w październiku 1911 roku, przeciągała się. Zastała Turcyę najzupełniej nieprzygotowaną. Wróble na dachu świergotały o przyrzeczeniu, udzielonem Włochom przez Francyę i Anglię, nieprzeszkadzania im w opanowaniu Tripolisu. Mimo tego Turcyja nie przedsięwzięła żadnych kroków celem wzmocnienia swego stanowiska wojskowego. W chwili wybuchu wojny było w Tripolis kilkanaście setek żołnierzy źle uzbrojonych, rozmieszczonych w miastach nadbrzeżnych, zupełnie pozbawionych nowoczesnych fortyfikacyi. Włosi opanowali morze bez bitwy i uniemożliwili dowóz posiłków tą drogą. Oficerowie tureccy przekradali się przez Egipt i Tunis granicą, niestrzeżoną zbyt pilnie ze strony Anglików i Francuzów. Zorganizowali pospolite ruszenie Arabów, którym wypłacali stały żołd i którzy przez szereg miesięcy uniemożliwili Włochom wydalanie się poza obręb, utwierdzonych przez nich, miast i osad nadbrzeżnych. Włosi początkowo czuli się bezpieczni tylko tam, gdzie sięgały działa wielkich okrętów włoskich, krążących nad brzegiem. W ciągu pierwszych miesięcy wojny, Włosi nie rozpoczęli działań wojennych w innych częściach państwa tureckiego. Gdy jednak Turcyja nie przestawała podsycać oporu plemion arabskich, Włochy opanowały wyspę Rodos i kilka innych ku wielkiemu niezadowoleniu Francyi i Anglii. W połowie roku 1912 objęli rządy w Konstantynopolu przeciwnicy Młodoturków, którzy jeszcze za czasów przedkonstytucyjnych zajmowali naczelne stanowiska. Nowy gabinet okazał się skłonniejszym do zawarcia pokoju. Po długich rokowaniach ostatecznie doszedł do skutku pokój we wrześniu 1912 roku. Włochy zyskiwały Tripolis. Uznano, że Włochy, zagarniając Tripolis, powinny uczestniczyć w zapłacie tej części państwowego długu tureckiego, który przypada na Tripolis. Na tej podstawie Włochy zobowią-

zały się uścić kilkadziesiąt milionów franków na rzecz Turcyi. Zobowiązały się oddać jej Rodos i inne wyspy po wycofaniu nie-licznej załogi tureckiej z Tripolis. Turcy dopełnili warunków. A jednak włoskie wojska po dziś dzień obozują na wyspach nie bez cichej zgody Turcyi, działającej pod przymusem wypadków wojennych na Bałkanach. Włochy nie zajęły całego Tripolis. Zaraz na początku wojny włosko-tureckiej egipskie wojska opanowały przystań Solum. Anglicy uzyskali zgodę Włoch na ustalenie nowej granicy egipsko-tripolitańskiej, równoznaczne z pozyskaniem dla Egiptu, a więc także i dla Anglii, nowych obszarów, położonych nad brzegiem morza i przedstawiających wartość strategiczną. Podczas wojny rosyjsko-tureckiej w r. 1878 Anglia zyskała Cypr, nie biorąc w niej zbrojnego udziału. Pozostała wierną tej tradycyi w r. 1912 (Solum) i w roku następnym. Jak obaczymy, uzyskała znaczne korzyści terytoryalne także w ciągu wojny Turcyi ze związkiem bałkańskim.

Już przed podpisaniem pokoju, rząd turecki przystąpił do rozbrojenia, nie licząc się z możliwością nowej wojny. Mahmud Szeftket pasza, minister wojny w gabinecie młodotureckim, zgromadził znaczną armię w okolicach Smyrny, obawiał się bowiem wyładowania Włochów. Goltz twierdzi, że zgromadził te wojska nie tylko przeciw Włochom, ale uważał ich przygotowanie i skupienie za potrzebne, celem zabezpieczenia się przed napadem państw bałkańskich. Nowy gabinet rozpuścił do domów znaczną część tego wojska niemal w przeddzień wybuchu wojny bałkańskiej.¹ Młodoturcy mieli zatargi z Albańczykami, toteż ich gabinet utrzymywał w Albanii i Macedonii stosunkowo znaczną liczbę wojska pod bronią. Nowy rząd po zawarciu ugody z Albańczykami uznał za wskazane zmniejszyć stan wojska. Zaniepokoiły go jednak przygotowania wojskowe w Bułgarii. Pod pozorem manewrów przystąpił do zgromadzenia większej liczby wojska w okolicach Adrianopola. Wówczas jedno z państw europejskich, podobno Rosya, zapewniła Turcyę, że Bułgarya o wojnie nie myśli, że jednak odbycie manewrów mogłoby być

¹ Freiherr von der Goltz, Generalfeldmarschall: *Der jungen Türkei Niederlage u. die Möglichkeit ihrer Wiedererhebung*. Berlin 1913, str. 70.

uważane za krok wyzywający i popełnić Bułgarię do wojny. Na tej podstawie doradzało zaniechania manewrów. Rząd turecki uwierzył podstępnej radzie i zastosował się do niej. Rozpuszczał wojska. Nie miał czasu zasilić skarbu, którego zasoby uszczupliła wojna z Włochami. Turcja podczas wojny z Włochami nie mogła zaciągnąć pożyczki długoterminowej. Musiała ograniczyć się do długów bieżących, stosunkowo wysoko oprocentowanych, krótkoterminowych w łącznej wysokości około 300-tu milionów franków. Nie zdążyła przed wybuchem nowej wojny skutecznie ich zamiany na długi stałe, skutkiem czego dalsze zaciąganie bieżących długów było utrudnione.

Wypadki wojenne ponownie zaskoczyły Turcję zupełnie nieprzygotowaną dyplomatycznie, finansowo i militarnie.

Wojna bałkańska rozpoczęła się w październiku 1912 roku. Zdaje się, że wcześniej, niż początkowo chrześcijańskie państwa bałkańskie zamierzały. Myśl zawarcia związku państw bałkańskich w zamiarze wyparcia Turcji z Europy, przyoblekła się w konkretne kształty dopiero pod wpływem wojny włosko-tureckiej. Naruszenie przez Włochów *status quo* dodało i innym odwagi pójścia tą samą drogą. Wojna z Włochami osłabiła siłę odporną Turcji, a więc stawała się zachętą do wyzyskania tego stanu rzeczy. Bułgarzy od pierwszej chwili uzyskania niezawisłości państwowej przygotowywali się wytrwale i systematycznie do wojny z Turcją. Minęło jednak sporo lat, zanim nadarzyła się sposobność urzeczywistnienia zamiarów. Bułgaria, aczkolwiek świadoma swej siły moralnej i wojskowej, czuła się za słabą do podjęcia walki na własną rękę. Zwraçała się kilkakrotnie o pomoc do Austrii. Gdy jednak okazało się, że Austria nawet w warunkach najbardziej dla niej sprzyjających nie jest w stanie zdobyć się na czyn, postanowiła wejść w porozumienie z innymi państwami bałkańskimi, sąsiadującymi z Turcją. Byłaby wolała współdziałać z Austrią. Porozumienie z Serbią i Grecją mogło dojść do skutku jedynie pod egidą, niemal pod protektorem Rosyi, a więc musiało się zwracać przeciw Austrii, od której doznała kilkakrotnie poparcia, gdy chodziło o uwolnienie się z pod zbyt uciążliwej opieki, narzucanej przez Rosyę w pierwszych latach

po uzyskaniu bytu państwowego. Przymierze z Serbią i Grecją było uwarunkowane zgodą na zabór przez te państwa znacznych przestrzeni, które Bułgarzy pragnęli wcielić do swego państwa. Współdziałanie z Austrią byłoby im zapewniło większe terytorjalne korzyści, ale wobec bezczynności Austrii nie było wyboru. Z końcem lutego 1912 roku doszła do skutku pierwsza umowa z Serbią, uzupełniona pięciu dodatkowemi. Umowy serbsko-bułgarskie zawierały szczegółowy projekt podziału ewentualnych przyszłych zdobyczy terytorjalnych. Późniejsza umowa z Grecją nie przewidywała rozstrzygnięcia tej kwestyi. Była więc niezupełną. Najprostsza przezorność powinna była skłonić oba państwa do rozstrzygnięcia z góry tej kwestyi, celem zapobieżenia przyszłym zatargom, których zarzewie krył w sobie brak porozumienia w tej sprawie. Bułgarzy wiedzieli, że jest to wskazane nie tylko w stosunku do Serbii, ale także do Grecyi. Nie doszło do skutku poprostu z braku czasu, potrzebnego do zawarcia ugody o podział przyszłych zdobyczy. W sierpniu Austrija rozpoczęła akcyę celem zapobieżenia wybuchowi wojny. Także i Turcyja powoli zaczęła domyślać się częściowo prawdy. Trzeba było działać bez zwłoki.

Państwa sprzymierzone zawiadomiły poufnie o zawarciu przymierza Rosyę zaraz po podpisaniu pierwszego układu serbsko-bułgarskiego. Postawiły Rosyę w położeniu niemal przymusowem, ale które kryło w sobie możność uzyskania znacznych korzyści dla Rosyi. Dyplomacya rosyjska zrozumiała położenie i umiała je wyzyskać w całej pełni. Rosya musiała nie tylko zgodzić się na rozbiór Turcyi europejskiej przez związek bałkański, musiała pójść o krok dalej i poprzeć związek w wojnie z Turcyą. Trudno było być biernym widzem wypadków. Równałoby się to oddaniu sprawy w obce ręce. Walka z zamiarami związku bałkańskiego była sprzeczną z dobrze zrozumianymi interesami Rosyi. Była niemal niemożliwa w danych warunkach. Związek bałkański był plodem po części rosyjskiej działalności, zapewne urzędownie niepoczęty w myśli wojny z Turcyą. Ale od samego początku istniała dążność pokierowania nim w tym duchu nie tylko wśród bałkańskich mężów stanu. Obiecywano sobie, że przy sposobności wspólnej wojny z Turcyą związek chrześci-

jańskich państw bałkańskich, dotąd dość luźny, przemieni się w instytucję trwałą, w rodzaj państwa związkowego, silnie spójonego wspomnieniami krwi wspólnie przelanej w zwycięskiej walce z odwiecznym wrogiem. W tej myśli działali posłowie rosyjscy w Konstantynopolu, Zofii i Belgradzie. Ambasador w Konstantynopolu Carykow był podobno szczególnie czynnym w tym kierunku. Rosya musiałaby więc wyprzeć się własnego dzieła, pomyślanego jako odwet za aneksję i to zapewne w porozumieniu z Austryą, a co najmniej na jej korzyść. Walka z zamiarami wojennymi związku byłaby równoznaczna z popchnięciem Serbii i Bułgarii w objęcia Austrii. Podczas przesilenia aneksyjnego Rosya właściwie opuściła Serbię w chwili decydującej. Serbia protestowała. Posuwała się nawet do pogroźek wojennych oczywiście nie w myśli prowadzenia na własną rękę wojny z Austryą, lecz w nadziei uzyskania w razie, gdyby do niej przyszło, czynnego poparcia rosyjskiego. Ostatecznie okazało się, że Rosya wojny nie chce. Serbia musiała wystosować do rządu austriackiego rodzaj listu przeproszającego — jedna z papierowych satysfakcyi, w których zdobywaniu austriacy dyplomaci celują i którymi, zdaje im się, że okupują wycofanie się z sandzaku lub inne rzeczywiste straty. Jeżeli Rosya nie chciała utracić swojego wpływu w Serbii na rzecz Austrii, musiała wystrzegać się zrażenia jej po raz drugi, a nawet musiała myśleć o wynagrodzeniu jej ówczesnego zawodu. Stosunki Rosyi z Bułgaryą były oddawien dawna mniej przyjazne niż z Serbią. W chwili, gdy Bułgarya zwracała się ku Rosyi, trzeba było dbać o utrzymanie jej w tym nastroju. Osiągnięcie celu ze wszechmiar pożądanego byłoby uniemożliwione odmówieniem jej poparcia przeciw Turcyi. Kto wie, czy nie udzieliłoby go trójprzymierze? Już w roku 1902 i 1903, a także przy innych sposobnościach Bułgarya rwała się do wojny z Turcyą. Zapobiegło jej pokojowe współdziałanie Austrii z Rosyą. Także i teraz skuteczne powstrzymanie związku bałkańskiego od wojny wymagałoby prawdopodobnie porozumienia z Austryą. Kroki pokojowe Rosyi w Belgradzie i w Sofii mogłyby pozostać bezskutecznymi, gdyby ich Austria nie poparła, na co oczywiście Rosya narazić się nie chciała. Nie chciała

także po aneksyi przyłożyć ręki do porozumienia z Austryą. Nie pozostawało jej nic innego, jeno poprzeć wojowniczy związek bałkański, aczkolwiek poparcie zdawałoby się mogło na pierwszy rzut oka sprzeczne z interesami Rosyi.

Rozbiór Turcyi europejskiej miał się dokonać bez współudziału w nim Rosyi. Żadna częśćka ziem tureckich nie miała jej przypaść w udziale. Opanowanie Konstantynopola było od wieków upragnionym celem rosyjskich zabiegów. Zastrzegła sobie Rosya, że Turcyi pozostanie Konstantynopol, Bosfor i Dardanele. Mając zupełną przewagę na morzu Czarném, posiadając Kaukaz, Rosya zachowuje nadal możność wywarcia nacisku wojennego na Turcyę, możność podjęcia w stosownej chwili starań o owiadnięcie Konstantynopolem i Dardanelami, a więc o zamknięcie dostępu do morza Czarnego, któreby wykluczyło ewentualność ponowienia się wojny krymskiej i o zajęcie silnego stanowiska na morzu Śródziemnem. Prawda, ale z chwilą, gdy bułgarska granica będzie sięgała tuż pod mury Konstantynopola, Bułgarya będzie groźniejszym niż przedtem współzawodnikiem w przyszłej walce o Konstantynopol. Czyż więc Rosya nie powinna była wziąć sama bezpośredniego udziału w rozbiórze Turcyi gwoili poddania berłu carskiemu części krain tureckich? Związek bałkański miał na celu opanowanie Turcyi europejskiej z pozostawieniem jej Konstantynopola. Współudział Rosyi w rozbiórze pociągnąłby za sobą postawienie na porządku dziennym rozbioru całej Turcyi, a więc także azyatyckiej. Rosya musiałaby podjąć wojnę nie tylko z Turcyą. Można było przypuszczać nie całkiem bezzasadnie, że Austrya i Niemcy dopuszczą do rozbioru Turcyi europejskiej między chrześcijańskie państwa bałkańskie, ale daleko mniej było prawdopodobne uniknięcie wojny z Austryą i Niemcami, gdyby Rosya chciała opanować część Turcyi azyatyckiej lub Konstantynopol, a może nawet jedno i drugie. Zabór Turcyi europejskiej bez Konstantynopola był przede wszystkim dotkliwy dla Austrii. Byłby nim w wyższym stopniu, gdyby się miał dokonać, choćby częściowo na korzyść Rosyi. Wkroczenie Rosyi do Turcyi azyatyckiej byłoby prawie na pewne uważane w Berlinie za *casus belli*. Zaborcze kroki Rosyi

byłyby prawdopodobnie rozbiły trójporozumienie. Opanowanie Konstantynopola przez Rosyę byłoby zaniepokoiło w wysokim stopniu Anglię. Rosya musiałaby podjąć wojnę z Austryą i Niemcami, nie będąc pewną stanowiska Anglii, kto wie nawet, czy poparcia Francyi? Należałoby chyba pomyśleć o rozbiórce Turcyi azyatyckiej przez mocarstwa trójporozumienia. Ten problem stanie na porządku dziennym zapewne prędzej, niż wielu przypuszcza. Sądzę, że wyparcie Turków z Afryki i Europy nie zabezpieczy im panowania w Azji, że oddziałą wprost przeciwnie, a mianowicie przyspieszy walkę o te kraje. Ale w chwili, gdy związek bałkański się tworzył i żądał pomocy rosyjskiej, trudny problem podziału Turcyi azyatyckiej był jeszcze całkiem niedojrzały. Gdyby nawet *per maxime inconcessum* ugoda o podział Turcyi azyatyckiej między mocarstwa trójporozumienia mogła naprędce dojść do skutku, nie wykluczałaby bynajmniej wielkiej wojny. Jej wybuch byłby także i w tym wypadku wielce prawdopodobnym. Otóż to właśnie utrudniało wybranie tej drogi. Dążenia wojenne w żadnem z państw trójporozumienia nie były dość silne, ażeby doprowadzić do zwycięstwa polityki wprost i bezpośrednio obliczonej na zmuszenie trójprzymierza do wojny. Mocarstwa trójporozumienia nie cofnęłyby się w pewnych warunkach przed wojną, ale nie chciały jej narzucać. Miały w sobie dużo sił odpornych, ale mniej rozpędu zaczepnego.

Rosya postanowiła wybrać drogę bardziej pokojową, na której mogła być pewną poparcia Anglii i Francyi, tem więcej, że oczywiście wyboru nie dokonała bez wiedzy i porady francuskich mężów stanu, a zapewne także angielskich. Rosya postanowiła nie żądać niczego bezpośrednio dla siebie. Oddawna leżało jej na sercu uzyskanie prawa wolnego wyjazdu dla swych okrętów wojennych z morza Czarnego na morze Śródziemne¹. wzbronionego istniejącymi międzynarodowemi umowami. Wielu przypuszczało, że Rosya podczas wojny bałkańskiej wysunie naprzód kwestyę otwarcia Dardanel. Obawy francuskie, nadzieje niemiecko-austriackie rozbić tym sposobem trójpo-

¹ Opanowanie Konstantynopola, Bosforu i Dardanel dawałoby jej nadto możność zamknięcia morza Czarnego dla obcych okrętów wojennych.

rozumienia okazały się płonne. Rosya, nie chcąc wywoływać niezadowolenia Anglii, nie porusza otwarcia Dardanel. Za poradą Francyi poniosła jeszcze i tę ofiarę gwoli utrzymania w mocy trójporozumienia. Słowem nie żądała niczego dla siebie, ale w takim razie czyż nie ponosiła strat?

Turcya europejska była właściwie dla niej stracona już od dawna. Chcąc się usadowić silnie na Bałkanach, trzeba było przede wszystkim opanować Dunaj, którego nadzieje owdładnięcia utraciła Rosya w wojnie krymskiej, którego brzeg bliższy Rosyi jest dziś w ręku Rumunii, ciężącej od szeregu lat ku trójpriymierzu. Oile by Turcya nie zdołała utrzymać w swym ręku resztek swych posiadłości europejskich, wchodziłyby w grę z natury rzeczy w charakterze spadkobierców państwa bliższe geograficznie i narodowo. Prawda, że Bułgarya miała rozszerzyć swe granice aż po sam Konstantynopol, ale Rosya nie traciła możliwości dotarcia doń. Bułgarya stawiała się silniejszym współzawodnikiem, ale Austrii stanowisko w ich szeregu stawało się słabsze. Malały jej widoki współuczestniczenia kiedykolwiek w rozbiórce Turcyi. Trudno było Rosyi owdładnąć krajami europejskimi, które pozostały w rękach Turcyi po kongresie berlińskim. Nie leżało może nawet w jej interesie narażać się o to na zatarg z państwami bałkańskimi. Ale nie było jej obojętnem, kto będzie spadkobiercą Turcyi? Zależało jej wielce na tem, żeby nim nie była Austria. Ten cel osiągała, popierając związek bałkański. Zrzekając się korzyści bezpośrednich wprost dla siebie, mogła z tym większym naciskiem żądać wyrzeczenia się przez inne wielkie mocarstwa zamiarów zaborczych, wszelkiego przeszkadzania związkowi bałkańskiemu w prowadzeniu wojny i wyzyskaniu ewentualnego zwycięstwa. Rosya obiecywała sobie uzyskanie zdobyczy pośrednich, polegających na osłabieniu Austrii, wywalczonych przez sprzymierzone państwa bałkańskie. Trafnie obliczyła, że znacznie przeważają straty, złączone z rozszerzeniem się granic bułgarskich. Miały się rozszerzyć równocześnie serbskie i czarnogórskie z oczywistą szkodą Austrii.

(C. d. n.).

A. Krzyżanowski.

Życie nadprzyrodzone duszy ludzkiej.

I.

Jest zasadą zdrowej filozofii, że w każdej rzeczy trzeba patrzeć na jej kres. Stwórca, postanawiając dać byt jakiejś istocie, nakreśla jej cel i do jego osiągnięcia odpowiednie daje jej środki. Istota działająca, cel i środki do celu — to trzy składniki wszelkiego porządku. Odnajdujemy je wszędzie: w grawitacyi atomów czy elektronów, w kiełkowaniu ziarnka, w życiu robaczka, — najwidoczniej ujawniają się one w ekonomii mikrokosmosu, jakim jest człowiek. Jesteśmy z natury istotami czynnymi, dążymy do celu. Prawda i dobro — to pokarm codzienny, którym się karmimy, dopóki, udoskonaleni i uszczęśliwieni, nie posiadziemy ich w pełni, która nasyci nasze pragnienia. Dla poznania prawdy jesteśmy wyposażeni umysłem; dla kochania dobra — wolną wolą. Atoli, jakkolwiek wielkie są nasze postępy w poznawaniu i w miłowaniu, one nas nie zadawalają, bo pełność, do której wzdychamy, znajduje się tylko w źródle prawdy i dobra, w Bogu. Dziś idziemy, postępujemy; a teozofia słusznie nasz stan obecny pielgrzymką nazwała. Kiedy dojdziemy do źródła prawdy i dobra, Bóg wypełni przepaść żądz naszych i tam spoczniemy, tam będziemy uszczęśliwieni.

Ale w jakich warunkach dopełni się ostateczne nasze z Bogiem zespolenie? Oczywiście w warunkach, które utrzymują stosunek pomiędzy tymi trzema składnikami wszelkiego porządku. Jesteśmy czynnikami naturalnymi, używamy środ-

ków naturalnych za pośrednictwem stworzeń, choćby najbardziej zbliżonych do wiekuistej Piękności, ale zawsze nieskończenie oddalonych od istoty Bożej, — poznajemy Boga tylko w sposób naturalny, w sposób niedoskonały; ani Go nie widzimy, ani posiadamy. Taki jest porządek naturalny, porządek konieczny we wszystkich swych składnikach; Bóg nie może stworzyć istoty rozumnej, nie kierując jej ku Sobie przez poznanie i miłość.

Otóż ten porządek naturalny nie jest całkowitem Boga dziełem; to dopiero zarys, materyał i podścielisko wyższego porządku, w którym Stwórca sprawdza stworzenia do zupełnego ze Sobą zjednoczenia. Wiara bowiem nas uczy, że Bóg w niezmiernej swej dobroci przeznaczył nas do życia istotnie nadprzyrodzonego, polegającego na niewysłowionem uczestniczeniu w życiu właściwem Boskiej Istocie. Zatem my do nadprzyrodzonego wyniesieni porządku. Zrozumiemy ten wyraz: porządek nadprzyrodzony, nadnaturalny. Wszelka natura ma swe prawa rdzenne, istotne, w moc których istnieje, działa, i ponad które nie jest w możności wzbić się o własnych siłach. Kiedy atoli za pomocą wyższej siły ta natura przekształcona otrzymuje byt szlachetniejszy, spełnia czyn wyższego porządku, aniżeli są jej władze pierwotne: taka natura jest unadnaturalniona. Tak materya nieorganiczna jest unadnaturalniona przez życie roślinne; życie roślinne przez życie zwierzęce; to zaś przez życie umysłowe. W tem znaczeniu można powiedzieć, że cały świat jest nadnaturalizowany przez człowieka jako łącznika i spójnię wszystkich niższych natur. Ale czyż jest jaka siła stworzona, zdolna uchwycić, przekształcić unadnaturalnić istotę ludzką? Możemy sobie wyobrazić w niezmiernym łańcuchu stworzeń nieskończony szereg sił jednej wyższej od drugiej, z których jedne byłyby nadnaturalne odnośnie do drugih. Wszelako nie w tem względem znaczeniu rozumiemy supernaturale. Nadnaturalne jest to coś bezwzględnego, co przechodzi nieskończenie wszelką istotę stworzoną, nawet możliwą. Słowem istotą prawdziwie nadnaturalną stojącą ponad naturą jest Bóg. Żadna

istota stworzona nie może się zbliżyć, chyba tylko nieskończenie odlegle, do tej Istoty bezwzględnej, koniecznej. Bóg jest Sam przez się ; jego celem bezpośrednim, najwyższym jest On Sam ; Bóg działa z Siebie i w Sobie ; osiąga Siebie przez Siebie Samego.. On jest Sobie Sam celem, środkiem, działaczem ; jest to cały zamknięty w sobie porządek Boży, porządek, któremu w najcenniejszych nazwach składamy hołdy.

Ten porządek sam sobie wystarczający, wystarcza też wszystkiemu. Z niego wszelka tryska natura, potrzeba zatem wejść w Boga, by być unadnaturalizowanym w całym tego słowa znaczeniu. Cóż to znaczy? Tutaj trzeba nam przekroczyć przepaści, dzielące skończoność od nieskończoności. Czyż my mielibyśmy żyć w tym oceanie nieprzystępnym doskonałości i szczęścia? Ależ wtedy bylibyśmy istotami Boskimi! Tak jest, Bóg tego chciał, taki jest plan Boży. Cisza spokojna, z jaką w Siebie się wpatruje, Siebie podziwia, kocha, uwielbia, wystarczała dla Jego szczęścia ; ale dobroć Go zniewoliła, do rozlania na zewnątrz Siebie i swego życia. W akcie twórczym tyle wlał miłości, że istota, wyrwana z wnętrza nicości powinnaby uleść sile atrakcyi, która ją porywa do ostatecznego celu ; powinnaby przyjść, połączyć się z Istotą Bożą.

Bóg nas uczynił dla Siebie tak, że dusza nasza jest dręczona, dopóki w Nim nie spocznie. Otóż tego spoczynku mogłaby doznać, wpatrując się w Boga przez pryzmat doskonałości stworzonych, tych odbłasków doskonałości niestworzonych ; tego jedynie domagała się nasza natura. Ale Bóg uznał, że natura cała, jest zbyt nędzną mamką, iżby mogła dać umiłowanemu przezeń stworzeniu mleko szczęśliwości. Przytula więc nas do swego łona, by nas żywić swą własną Istotą. Wiara nam powiada, że Go ujrzymy twarzą w twarz tak, jak jest : Istotę bez przyczyny, Przyczynę przyczyn ; Pojedynczość i Pełność ; Jedność niepodzielną i tajemniczą Rozmaitość : Ojca Syna i Ducha św. Widzieć Go będziemy i miłować ; będzie On w nas istotą w istocie. Nareszcie Bóg chce być naszym kresem, jakim jest dla siebie, z tą tylko różnicą, że jest swym celem z natury, z konieczności, nie może zaś być naszym celem, jak

tylko przez dar niezasłużony. Oto zasadnicza prawda porządku nadprzyrodzonego.

Trzeba teraz zastosować filozoficzną zasadę, że: cel nakazuje środki. Szczęście nasze nie tkwi w żadnym stworzeniu, choćby ono było najdoskonalszym odbłaskiem doskonałości nieskończoności. Jak wiórami, powiada Skarga, nie napelnisz szklanki, bo ani dla niej ona uczyniona, tak i serca ludzkiego ziemskimi rzeczami. Szczęśliwość nasza jest w Niestworzonym, w Nieskończonym. Nasz cel jest bezwzględnie nadprzyrodzony, zatem środek do osiągnięcia go musi być bezwzględnie nadprzyrodzony. Ludzie uczeni sądzą nieraz, że można osiągnąć ten cel bez żadnej przemiany w naturze bez przebóstwienia człowieka. To błąd! błądzą, bo zapominają o naszej przyrodzie. Otóż jeden rzut oka na nasze władze wystarcza, by poznać niezmierną dysproporcję pomiędzy wizją intuitywną Istoty Bożej, a naszym naturalnym sposobem poznawania. Nasz naturalny sposób poznawania przedmiotów polega na tem, iż pracą abstrahowania naszego umysłu tworzymy sobie ideowe przedstawienie z obrazów zmysłowych. Otóż pominąwszy to, iż Bóg jest nieuchwytny przez zmysły, — nie stworzonego nie może z całą dokładnością przedstawić Jego nieskończonej Istoty. Gdyby był stosunek naturalny pomiędzy naszymi władzami a widzeniem bezpośrednim Boga, powinniśmy już teraz je posiadać, jako przedmiot naturalny naszego umysłu, jak to błędnie utrzymywali Ontologisci.

Dalej wizja naturalna Istoty Boskiej suponowałaby stosunek konieczny między Stwórcą a stworzeniem, zatem czyniłaby nas istotami koniecznymi, jak Bóg; wszystko bowiem obracałoby się w nieskończoność: cel, środki i działacz.

Nasz cel jest absolutnie nadnaturalny, zatem środek do osiągnięcia go musi być bezwzględnie nadnaturalny. Liczyć tu na naturę, jest to więcej niż biedz, by dojść do słońca. Środki muszą być zastosowane proporcjonalnie do celu, t. j. być tej samej jakości, albowiem do tegoż samego odnoszą się porządku.

Jakiż jest ten środek dostosowany do błogowidzenia i posiadania Istoty Bożej jako przedmiotu naszego uszczęśliwienia? Nie znam innego, jak tylko samą Boską Istotę. Bóg się widzi, posiada, naturalnie się uszczęśliwia przez Siebie Samego, bo jest swoim bytem. Jego Istota jest przedmiotem Jego wizyi, posiadania, szczęśliwości, bo to Jego środek i znowu to jego środek, bo to Jego przedmiot. Cel i środek są jedną i tą samą rzeczą, jedną i tą samą istotą. Stąd wynika, że, jeśli my jesteśmy powołani do widzenia i posiadania Boga, do szczęśliwości z Nim i z Niego płynącej, tedy może się to uskuteczyć tylko przez przekształcenie naszej natury, biorącej udział w Istocie, w naturze i w życiu Boga — czyli w światłości, jaką Bóg sam Siebie widzi.

Ale kiedyż nastąpi to przekształcenie? Czy tylko w ostatniej chwili, gdy zwycięzcy czasu przekroczymy próg wieczności i zbierzemy owoce na niwie świata wyłożonej pracy? Nie. Cel, zanim go uchwycimy ostatnim aktem, ma być wysłużony aktami spełnionymi w dniach próby, inaczej mądrość Boża byłaby niedoskonałą: nie byłoby bowiem harmonii pomiędzy życiem ludzkim, a jego kresowem uwieńczeniem.

Wszelako natura swemi siłami nie jest zdolną wysłużyć celu nadnaturalnego, ani jest zdolną go osiąść. Bez wątpienia, może ona coś uskuteczyć w tym zakresie, ale nie wszystko. Jak woda może coś zdziałać, by wstrząsnąć i poruszyć potężne maszyny, które przebiegają świat od krańca do krańca ziemi,— bez niej ogień napróżnoby się pożerał w swem ognisku; ale sama woda nie może wszystkiego dokonać, — potrzeba, by ogień ją przeniknął, rozprężył, i zamienił w parę; a wtedy ściśniona w spiżowej piersi, popycha potężne koła olbrzyma, który wszystko porusza.

Natura może coś działać: ona wyłania z siebie akt wolny, pierwszy i niezbędny warunek zasługi. Następnie daje czyn dobry wedle sumienia, zgodny z wymogami praw odwiecznych, który Bóg może wynagrodzić. Ona się niejako wywłaszcza, by swój akt poddać pod najwyższą władzę Bożą i skierować go

ku Jego chwale. Oto cały wysiłek i dążenie natury; ale to wszystko za mało odnośnie do celu, który potrzeba koniecznie osiągnąć. Tak naucza Kościół, tak uczy rozum przez usta Doktora anielskiego św. Tomasza: „Człowiek — mówi on — nie może wysłużyć życia wiecznego przez czyny naturalne, bo zasługa człowieka zależy od ustanowienia Bożego (*a praeordinatione divina*). Czyn zaś jakiejś rzeczy nie jest uporządkowany i przeznaczony od Boga do czegoś, co przechodzi stosunek władzy, która jest czynu przyczyną. Według postanowienia Opatrzności nic nie działa ponad swą władzę. Życie zaś wieczne jest dobrem, przekraczającym proporcję natury stworzonej, bo przechodzi jej poznanie i pragnienie, według Apostoła a oko nie widziało.... Stąd żadna natura stworzona nie jest dostateczną przyczyną aktu, wysługującego żywot wieczny, chyba że jej przydany będzie dar nadprzyrodzony, który się nazywa łaską.“

Stąd wynika konieczność naszego przekształcenia w tem życiu, byśmy osiągnąć mogli cel nasz nadprzyrodzony. Jeśli po bożemu chcemy być szczęśliwymi — mówi Apostoł — czynimy dzieła godne Boga, działajmy po bożemu.¹ Lecz, by działać po bożemu, potrzeba w tem narodzin Boskich, potrzeba bytu Bożego, stanu Bożego, z któregoby wypływało w nas działanie Boskie. Potrzeba, byśmy byli połączeni w najściślejszy sposób z Bogiem, które to połączenie odpowiada ostatecznemu zjednoczeniu. Potrzeba uczestniczyć w tej tajemniczej władzy, którą Bóg Siebie samego naturalnie i bezpośrednio osiąga, a przez którą stworzenie jest wyniesione poniekąd aż do istoty Bożej i staje się uczestnikiem natury Bożej. Potrzeba, iżby w nas życie było Boże, jako pierwiastek nowej istoty; by to życie było w nas podstawą i korzeniem wszelkiego działania nadprzyrodzonego, jak natura jest podstawą i korzeniem działania naturalnego, by to życie usposabiało nas do wszelkiego dobra nadnaturalnego, jak natura nas usposabia do wszelkiego dobra naturalnego; by podtrzymywało

¹ Kolos I. 10.

wszystkie władze nadnaturalne, jak natura podtrzymuje naturalne; by działało w nas jako pierwiastek Boski i czyniło nas boskimi — słowem, aby nas przebóstwiała.

Postawmy zatem pytanie: Do czego się odnosi w planie Bożym udzielenie nam Jego życia? Odpowiedź teraz łatwa. W planie Boskim udzielenie życia Bożego jest jednym z pierwiastków porządku nadprzyrodzonego. Jestto środek do celu Boskiego, obiecanego rozumnym istotom; jest ono spowodowane siłą atrakcyi, jaką Nieskończona Dobroć udzieliła aktowi twórczemu; jest ono niezbędnem dla aniołów i ludzi; jestto tajemnica udoskonalenia dzieła Bożego. Kto nie zna tej tajemnicy, nie jest w stanie zrozumieć piękności realnej rozumnego świata. Stworzenie rozumne inaczej pozostałoby bez ukończenia, bez uwieńczenia. To przekształcenie czyli ubóstwienie nasze wieńczące istoty rozumne uskutecznia się przez łaskę.

II.

Udzielenie życia Bożego stworzeniu to łaska t. j. dar tak darmo dany dobroci Bożej, że przezeń wszystko możemy wysłużyć, ale którego niczem po raz pierwszy wysłużyć nie jesteśmy zdolni.¹ Genialny Augustyn św. nie waha się twierdzić, że nieskończona godność Matki Bożej, mało znaczy w porównaniu z wywyższeniem, jakie nadaje nam łaska.² Ten dar łaski może być poruszeniem przechodniem (łaska posiłkująca). Ale łaska, o której obecnie mówię, nie jest tylko nawiedzającym, przejściowem działaniem Najwyższego w naturze człowieka, lecz, według wyrażenia św. Augustyna, jest samą obecnością w nas Jego Majestatu.³

Powiemy: Bóg jest wszędzie: niema istoty, ani jej odmiany, którejby Jego wola nie postanowiła, mądrość nie знаła. Jego Istota jest wszędzie bez podziału; Ona utrzymuje i zachowuje

¹ Summa. I. II. qu. 113 a 5.

² De Virgin. C. 3.

³ Serm. 1. in fer. 2 Pentec.

wszystko.¹ Atoli Bóg chce czegoś więcej ; On powiedział : *Przyjdziemy i mieszkanie w człowieku założymy.*² Nie byłby tego powiedział, gdyby się miał zadowolić swą obecnością naturalną. Jego obecność naturalna w stworzeniu jest konieczną ; a że jeszcze ma przyjść i to z czystej łaskowości, chce więc być obecnym duszy w sposób nadprzyrodzony. Jego obecność naturalna nie nie przydaje naszej istocie ; obecnością zaś nadprzyrodzoną chce ją przemienić. Obecność naturalna pozostawia władzom rodzimą działalność ; obecnością zaś nadprzyrodzoną chce udzielić naszym władzom sposobu swego Boskiego działania. Obecność naturalna daje byt stworzeniu ; obecnością nadprzyrodzoną czyni dar z swego Boskiego bytu, z swej Boskiej natury, z swego Boskiego życia.

Wniknijmy więcej w tajemnicze głębie łaski. Cóż to jest ten dar Boży, który nazywamy łaską ? Co to łaska ? Przedewszystkiem z Doktorami Kościoła wyznać musimy, że sposób uczestniczenia duszy ludzkiej w naturze Bożej przez łaskę jest tajemnicą nieprzystępną dla wszelakiego stworzonego rozumu.

Wszelako z danych Objawienia teologia katolicka wysnuwa pewne wnioski i usiłuje określić pewne właściwości łaski uświęcającej, które ujawniają bezmierne jej wielkości i korzyści.

Podstawową jej właściwością jest rzeczywiste zjednoczenie substancji duszy naszej z Duchem Św. tak, że Osoba Boska staje się dla niej pierwiastkiem życia wyższego nad wszelkie życie możliwej istoty.

To zjednoczenie nie jest moralne czyli przenośne, jakie wykwita z zgodności pojęć i uczuć dwóch istot rozumnych. lecz jest zjednoczeniem rzeczywistem, fizycznym³ tak, że dusza sprawiedliwa posiada w sobie Boską naturę jako jej przynależną, zatem posiada znamię Boskie, doskonałość porządku Boskiego, piękność Boską, wyższą nad wszelką piękność stworzoną i możliwą.

¹ Dziej. Ap. XVII. 28.

² Jan XIV. 23.

³ Suarez. *De Gratia* l. VI. c. II. u. 1.

Co to jest łaska? Czy to substancya? Czy przymiot *qualitas*?

Niektórzy teologowie, mając na względzie, raczej przyczynę niż skutek, nauczają, że łaska to sama Istota Boża, łącząca się z nami i działająca w nas w sposób niewysłowiony. Inni, uwzględniając więcej skutek, łaski łaska sprawia, uczą, że łaska jest przymiotem (*qualitas*) porządku Bożego, która tem jest dla duszy, czem dusza dla ciała t. j. jakby formą, która czyni duszę istotą nadnaturalną, jak dusza czyni ciało istotą ludzką. Ciało bez duszy — to licha materya, to posąg bezduszny, bez ciepła, bez zachowawczego pierwiastka, bez życia. Atoli niech dusza uchwyci ten posąg, już on stoi, tchnie, tryska życiem, naprawia jego ruiny, zwraca królewskie jego oblicze ku niebu, daje mu udział w wzniosłości jej myśli, w honorze jej cnoty. Podobnie dzieje się w duszy. Bez łaski to duch rozumny i wolny, ale ograniczony naturą, patrzący tylko wedle natury, chcący, kochający tylko według natury, żyjący tylko życiem naturalnem. Ale kiedy łaska wstępuje, dusza jest cała przekształcona; wtedy wpatruje się ona w wyższe prawdy, pożąda i kocha Dobro niewysłowione, pływa w oceanie światła i miłości, którego przedtem nie знаła — żyje innem życiem, życiem, które, mieszając się z potokami naturalnego życia, oczyszcza jego fale i unosi je w kierunku świata Bożego. To jest życie nadprzyrodzone.

Chociaż w myśl św. Tomasza i katechizmu Soboru Trydenc. sądzę, że łaska jest przymiotem *qualitas divina*,¹ która w duszy wypełnia funkcję formy (*formae supernaturalis*), nie myślę spierać się z tymi, którzy twierdzą, że łaska jest samą Istotą Bożą;² byle przyznali dwie rzeczy: że Istota Boża nie jest z nami tak złączona, by z nas i z Boga jedną czyniła osobę; i że nie jest w nas, jak motor odłączony, którego my bylibyśmy ślepymi i całkiem biernymi narzędziami. Istota Boża jest z nami

¹ Concil. Trid. de Bapt. Gratia est divina qualitas animae inhaerens nr. 49. *Summ. Theol.* I. II. p. q. 110 a. 2.

² *Petavius de Trinitate* lib. VIII. c. IV.

złączona, przez łaskę działa w nas, ale w każdej czynności nadprzyrodzonej my jesteśmy współdziałaczami — czynnymi i wysługującymi.

Pomińmy odmienne te poglądy na naturę łaski, które w niczem nie obchodzą naszej wiary. Mało na tem zależy, czy łaska jest substancją czy przymiotem. Wiemy atoli z pewnością, że to dar stały (*donum permanens*), który zmienia istotę naszej duszy, czyni ją rzeczywiście uczestniczką natury i życia Bożego, człowieka przemienia w syna Bożego, udziela mu niewysłowionej piękności i nieskończonej wielkości. Łaska, mówię, jest darem stałym, *donum permanens*. Bez wątpienia doznaliśmy nieraz w życiu tajemniczych wstrząśnień, które nas nakłaniały ku dobrym czynom, przestrzegały o złem, którego mieliśmy się dopuścić, oświecały w badaniu prawdy, rozszerzały dusze, napawały ją radością; — był to Bóg, który przechodził jak powiew pomyślny, jak piorun mściwy, jak promień słoneczny, jak fala wonności, jak dźwięk harmonijny. Wtedy Bóg udzielał łask, ale nie dał jeszcze łaski; bo gdy daje łaskę, Bóg pozostaje: przyjdziemy i mieszkanie uczynimy. Łaska to dar stały; — jestto życie nowe, które Bóg stwarza swą skuteczną obecnością; własnością zaś życia jest, być pierwiastkiem stałym, jaką jest istota żyjąca. Nie powinniśmy bowiem być mniej wyposażeni w porządku nadnaturalnym, jak w porządku naturalnym, tak iżby w tym była stała podstawa, źródło i podścielisko aktów ludzkich, a w tamtym czyny nasze zależały tylko od przejściowego poruszenia.

Bóg mieszka zatem w nas przez łaskę, ale gdzie przebywa? Czy tylko we władzach duszy, które ma pchnąć do czynu, i czy łaskę można wziąć za jedno z władzami nadprzyrodzonymi, albo przynajmniej z oną władzą, o której mówi św. Paweł: Gdybym miłości nie miał, nicem nie jest.¹ Czy miłość i łaska jest jedną i tą samą rzeczą? Można to twierdzić lub temu przeczyć; ale wszyscy się zgadzają na ich nierozdzielne złączenie; jedna nie idzie nigdy bez drugiej. Gdzie jest łaska, tam kwitnie miłość; gdzie kwitnie miłość, spotykamy łaskę. Wszelako,

¹ 1. Cor. XIII. 2.

zgodniejszym jest z wskazówkami Pisma św. i z nauką Kościoła, by nie mieszać tych świętych darów. Łaska uprzedza miłość — mówi genialny Augustyn św.,¹ uprzedza ją, jak istota uprzedza działanie, jak natura uprzedza wszelaką władzę. Przed działaniem, trzeba być czemś. Niema aktu ani nałogu, enoty lub występku, któryby nie suponował istoty uprzednio istniejącej; niema więc działania, ani władz nadprzyrodzonych, któreby nie suponowały istoty unadnaturalnionej. Kiedy więc Bóg mi mówi: „Przyjdę i w tobie zamieszkać“, rozumiem, że naprzód przemienia istotę mej duszy, a potem rozpromienia ją we wszystkich jej władzach, wprowadza w nie szlachetny enót orszak, jak naucza Kościół św.

Jakież to enoty łaska do duszy wprowadza? i jakie skutki wytwarza?

III.

Teologia katolicka zaznacza pięć przedziwnych skutków, jakie łaska poświęcająca w duszy wytwarza.

Sprawia ona najpierw to, iż Bóg duszę sprawiedliwą miłuje miłością przyjaźni, jako przedmiot godny tej przyjaźni.²

Bóg może miłować miłością przyjaźni tylko istotę promieniącą doskonałością Bożego porządku, właściwą Jego Boskiej naturze. Ale też z konieczności miłuje przedmiot godny Swej przyjaźni. Otóż ta doskonałość znajduje się w nas wskutek zjednoczenia, jakie łaska uświęcająca wytwarza pomiędzy duszą naszą i Boską naturą.

Dalej, łaska poświęcająca czyni nas prawdziwemi dziećmi Boga, co objawienie najjaśniej zaznacza. Którzykolwiek Duchem Bożym rządzeni są, ci są synami Bożymi. Ten Duch świadectwo daje duchowi naszemu, iż jesteśmy synami Bożymi.³

Wprawdzie jesteśmy Synami Bożymi tylko przez przywłaszczenie: ale to przywłaszczenie Boże wielce się różni od

¹ *De perseverantia* cap. 16.

² Suarez. *De Gratia* l. VI. c. XIII u. 2.

³ Rzym VIII. 14 i 16.

ludzkiego; to nie zmienia istoty dziecka przywłaszczonego, Boskie zaś iści się przez rzeczywiste udzielenie doskonałości Bożej naturze właściwej.

Łaska uświęcająca nadaje nam ściśle prawo do niebiańskiej szczęśliwości, t. j. do rodzaju szczęśliwości, która z natury swej jest właściwa Bogu samemu. To nasze prawo wynika z tytułu synów Bożych. A jeśliśmy Synami, tedyć i dziedzicami, dziedzicami Bożymi, a spóldziedzicami Chrystusowymi.¹ To niewysłowione, wiekiste dziedzictwo odpowiada naszemu uczestniczeniu w Boskiej naturze przez łaskę uświęcającą.

Łaska poświęcająca przekształca nas w przybytek Boży, w sanctuaryum Ducha św., jak zaznacza Pismo św.²

Wprawdzie, jakem wyżej zauważył, Bóg na mocy swej niezmierzoności jest wszędzie; atoli łaska wytwarza pomiędzy Nim a nami ściślejszy węzeł tak, że w osobliwszy i w doskonałszy sposób jest nam obecny.

Nareszcie łaska uświęcająca wprowadza cudny orszak cnót nadnaturalnych, które służą do rozwijania w nas życia nadprzyrodzonego, jakiego źródłem jest w nas łaska poświęcająca.

Te pięć skutków w dalszym toku rozprawy więcej rozwinę.

Natura może być roztropną, ale łaska udziela jej rad nadziemskiej światłości, które ją chronią od lenistwa, zarozumiałości, zuchwalstwa, płochości, wad, których ślady mniej więcej głębokie napotykamy w naturze ludzkiej. Natura może być sprawiedliwą; ale łaska podnosi ją na szczyty, z których, odkrywając całokształt swych obowiązków, czuje się więcej usposobioną do wypełnienia wszelkiej sprawiedliwości czy względem Boga czy ludzi. Natura może być silną; ale łaska chroni ją od tych dziwnych słabości, którym i najpotężniejsze dusze podlegają i każe jej w najcięższych pracach, trudach, w uciskach, wobec śmierci samej przynosić owoce cierpliwości,

¹ Rzym VIII. 17.

² Rzym VII; 1 Kor. III. 16.

—
ZŁOŻE NADPRZYRODZONE BOŻA MIŁOŚĆ

wspaniałomyślności i wytrwania. Natura może być wstrze-
mięźliwą, ale łaska z taką siłą wdraża w nią bojaźń i obrzy-
dzenie wszystkiego, co może przysłonić rozum i opanować wolę,
że czyni z niej świątynię wszelkich cnót: czystości, prawości,
słodkości, łagodności, pokory i skromności.

Tak więc łaska udoskonala cnoty naturalne. Ale to
udoskonalenie nie jest bezpośrednim wynikiem naszego nad-
przyrodzonego przemienienia obecnością Bożą; lecz ono wy-
pływa z udoskonalenia naszych władz, w które łaska wkorzenia
nałogi wyższe, jakich natura sama nie jest w stanie wytworzyć.

Umysł zawiera ogólne zasady, według których rozum działa
czy spekulatywnie czy praktycznie; ale, ażeby rozum skierować
ku szczęśliwości nadprzyrodzonej, łaska dodaje umysłowi pewne
zasady niebiańskie i każe mu do nich przystać wiarą, wzno-
szącą się ponad rozum — wierzy on dlatego, że Bóg mówił. Wola
przywołuje dobro nadmysłowe, które rozum odnajduje; ale,
by wolę skierować ku szczęśliwości wiekuistej, jaką wiara wska-
zuje, łaska przydaje woli dążności tak czyste, tak szlachetne,
tak wzniosłe, że one niszczą pragnienia ziemskie; jestto święta
nadzieja. Wola naturalnie usiłuje dostroić się do swego dobra,
do swego celu przez miłość; ale, ażeby się dostosowała do
dobra nadprzyrodzonego, łaska dodaje woli miłość tak wielką,
tak szczytną, tak czystą, tak szlachetną, że wszelka miłość na-
turalna staje się oczyszczoną, przekształconą w zniczu, jakim
jest Boża miłość. Cnota iście królewska, cnót rodzicielka,
w której do tego stopnia schodzą się wszystkie wpływy nad-
przyrodzone, że bez niej wszelka inna cnota słabnie i zamiera,
jak zamiera kwiat pozbawiony powietrza, światła, ciepła i rosy.¹

Łaska pozostaje więc w naszej istocie i w jej władzach.
Przedziwna to tajemnica! My jesteśmy na wskrósł przesiąknięci
Bogiem, po prawdzie uczestnicy Jego natury i życia. Jego siła
rodzicielska jest we mnie — mówi Jan św. On mnie zrodził
dobrowolnie. Jego siła rodząca zachowuje mnie. Taka jest po-
tęga miłości, która chwyta naszą duszę, że przez nią jesteśmy

¹ Summ. I. II. p. q. 114. a 3.

całkowicie zmienieni. Nie nazywamy się już Jego stworzeniami, lecz synami. „Patrzcie, jaką miłość dał nam Ojciec, że nazwani jesteśmy Synami Bożymi i jesteśmy“.¹

Nie jesteście Synami, jak Słowo Przedwieczne, Syn Boży, bo On zrodzony z konieczności, my z samej łaskawości. On Synem z natury, my z przybrania; (wszelako wielka zachodzi różnica pomiędzy Boskiem a ludzkim przywłaszczeniem). Wszelka tkliwość serca ludzkiego nic nie może zdziałać w naturze dziecka przybranego; zachowuje ono krew rodzicielską; można mu tylko dać swój tytuł z swemi prawami. Ale przybranie Boże idzie do głębi duszy, działa na jej istotę; rodzi nas nadprzyrodzenie, udzielając nam swej Natury przez udział w najdoskońszem podobieństwie. Nazywamy się Jego Synami, bo nimi w rzeczy samej jesteśmy.

Ale czyż to możliwe? Wszak wiemy, że Istota nieskończona może być udziałem tylko Boskich Osób? Bezsprzecznie; to też nie rościmy sobie prawa zrównać się z Bogiem, ale ponieważ Bóg jasno powiedział, że Jego dary czynią nas uczestnikami Jego Natury, staliśmy się uczestnikami Boskiego przyrodzenia,² wierzymy w to uczestnictwo, odmienne wprawdzie od tego, jakie jest w Boskich Osobach, ale prawdziwe i skuteczne tak, że nadaje nam tytuł prawdziwych Synów Bożych, a przez ten tytuł nazwę bogów. Jam powiedział, bogami jesteście i Synami Najwyższego, mówi Psalmista.

Ale czem jest to uczestnictwo w naturze Bożej przez łaskę? Trudno, powtarzam, dać jasne o tem pojęcie. Jeżeli łaska nie jest Istotą Bożą w swej pełności, tedy jestto coś, co się do Niej zbliża, co jest tego samego rodzaju; oto wszystko, co teologowie mówią. Ale to za mało, lepiej nam trzymać się wyrażen Pisma św. i wsłuchać się we wzniosłe tłumaczenia łaski Ojców i Doktorów Kościoła, którzy, pomijając jej naturę t. j. jakim sposobem Bóg się nam udziela, a bacząc na jej cel t. j. Boga, udzielonego

¹ I. Jan III. 1.

² 2 Piotr I. 4.

i złączonego z człowiekiem, opiewają przecudne piękności i wzniosłości łaski.

Łaska, to Bóg, co przychodzi do nas, jak ogień wchodzi w żelazo, które rozpala, przenika i czyni do siebie podobne. Łaska to Bóg, co przychodzi do nas, jak światło wnikające w ciało przeźroczyste, któremu udziela swych własności. Łaska, to Bóg, który w nas wyraża Swe podobieństwo, jak pieczęć podobiznę swą zostawia w wosku ; czyli lepiej jak artysta wyraża charakter swych myśli w materyi, którą obrabia, z tą różnicą, że charakter Boski, który się nam udziela jest żywy i czyni nas żywymi obrazami Istoty Bożej. Łaska, to Bóg, nadający duszy naszej formę Boską¹. Bóg żyje w duszy jak dusza w ciele. Dusza, mówi św. Augustyn, jest życiem ciała, a życiem duszy jest Bóg. ² Łaska to Trójca Najśw. w nas mieszkająca.³ Ojciec nas rodzi i swym aktem rodzicielskim święci zaręczyny nasze z Przedwiecznem Słowem. Słowo nas zaślubia w światłości i schodzi aż do głębin naszej istoty, którą kojarzy z swem życiem. Duch św. daje nam namaszczenie swej Osoby, znamię swych doskonałości, zadatek wiekuistej szczęśliwości i rozlewa w nas jakby rzekę wszystko użyźniającą — świętą miłość.⁴ Bóg! Bóg w nas i Jego nieskończona natura i niewysłowny prąd Jego życia : Oto łaska.

Taki jest grunt tajemnicy łaski. A oto jej rozwój. Uczestnicy natury i życia Bożego, przebóstwieni łaską, my działamy w sposób Boski, bo działanie odpowiada bytowi. *Operari sequitur esse*. Myśli, pragnienia, czyny, wszystko w nas przybiera rozmiary nieskończone, bo wszystko jest przesiąknięte siłą Najwyższego, przekształcone zarodami Boskimi. Patrzmy na drzewo okryte białym jak śnieg kwiatem ; jak ono piękne w swym wiosennym stroju, jakie robi obietnice w porze owoców! Lato je żywiło swem światłem, ciepłem, karmiło swym deszczem ; nadchodzi jesień, czas zbiorów. Lecz oto nadzieja zawiodła : kwiaty wy-

¹ S. Basil. contra Eman.

² S. Aug. serm. 13. de Verbis D-ni cap. 6.

³ S. Tom. 1 p. q. 43. 5.

⁴ Rom. cap. 5. 5.

dały tylko dzikie jagody. Nie wycinajmy go jeszcze, to drzewo jest dobre! Przetnijmy gałęzie dziczka, wszczepmy w nie lato-rośl szlachetną, skupmy w oczku szczepienia wszystkie soki, które z korzenia pędzą do wierzchołka i czekajmy. Diczek wysila się, jakby zrozumiał czynność, która mu nowe nadała życie. Szczep przyswaja sobie soki, doń napływające, przejmując je swą siłą nową, wieńczy się koroną, z której niebawem zbierać będziemy owoce słodkie i smaczne, owoce godne stołu królewskiego. A jednak to ten sam pień, te same korzenie, te same konary. Pierwotna działalność natury pozostaje ta sama, ale przemieniona. Mamy tu uderzający obraz przeistoczenia czynności naszych przez łaskę. Wydaje je natura, ale moc Najwyższego zaćmiła jej i Duch św. zstąpił na nią; pierwotna działalność nasza miesza się z potokiem życia Bożego i to, co się rodzi z nas, jest święte i godne być nazwanem dziełem Bożem.

A zatem łaska w duszy, to stan nad pojęcie wzniosły, którego następstw nigdy należycie ocenić nie zdołamy.

Człowiek przez łaskę jest ubóstwiony (*deificatus*). Stąd słusznie powiedzieć musimy z Doktorem anielskim: „Dobro jednej łaski przewyższa dobra całej przyrody“;¹ bo dobro mierzy się miłością prawą, z jaką się do niego odnosimy. Otóż, jak ojciec więcej miłuje swego syna aniżeli dom, pole, trzody, tak i Bóg więcej kocha sprawiedliwego, aniżeli wszystkie stworzenia razem. Niebiosą są wspaniałe, wszechświat arcydziełem, geniusz ludzki tworzy dziwy; ale blask niebios, harmonia świata, chwała geniuszu — wszystko niknie wobec duszy prostaczka, żebraka, który może powiedzieć z apostołem: „Z łaski Bożej jestem to, com jest“.²

Człowiek przez łaskę czyni dzieła Boskie. A zatem te czyny nieskończenie więcej warte, aniżeli te, których przyczyną jest natura, albo w których natura jest narzędziem odłączonem od Bóstwa. Uchwyćmy tajemnice przyrody, sprzęgnijmy ku naszym celom siły wszechświata, wzniesmy potężne pań-

¹ Summ. I. II. p. q 113 a 9. ad 2.

² I. Cor. XV. 10.

stwa, rządźmy ludami, oznajmiamy przyszłość, czynmy cuda,¹ wszystko to jest nieskończenie mniejsze, aniżeli wykonanie czynu rękodzielnika, który ofiaruje Bogu swą pracę, uświęconą łaską. Oby to dobrze zrozumieli uczeni, politycy, którzy się chętnie chwycili do rozgłoszenia czynów. Niechaj ostateczne czynią wysiłki, nigdy nie przerzucają oni dzieł swoich poza rubież czasu i natury; podczas gdy nikły z siebie czyn robotnika, ubóstwiony łaską jest wiekuiłą brzemienią szczęśliwością.

Natura rozumna jest podniesiona do chwały natury i życia nieskończonego; a tak świat jest dziełem wykończonym, w którym promienieje najwyższa, jaką pojąć można, doskonałość stworzenia. Stworzenie — mówi Grzegorz Nazar. (*orat.* 12) to Bóg objawiony i złączony z bogami.²

Nie sądźmy, że w tem jest przesada. Słyszę i w naturze ludzkiej i w Istocie Bożej głosy wezwania, które chociaż nie tłumaczają mi tajemnicy łaski, usprawiedliwiają naukę, którą nam przedkłada wiara.

Bóg — mówi św. Tomasz jest najwyższym przedmiotem poznania i przyczyną wszelkiego poznawania; nie jest więc obcym naszej naturze, jak dźwięk jest obcy władzy widzenia. Wprawdzie my za słabi, by Go widzieć naturalnie, jak oko nie-toperza za słabe, by znieść światło dzienne. Ale jest prawdą, że my posiadamy pierwszy zaród wizji Bożej t. j. władzę, która, wydoskonalona działaniem nadprzyrodzonym, może się stać zdolną wpatrywać się w najwyższy przedmiot poznawania, jak przemienione oko sowy byłoby w stanie, jak orle wpatrywać się w słońca blaski.³

Do tego uzdolnienia naszego umysłu dodajmy to święte udręczenie, które od sześćdziesięciu wieków usiłuje zbliżyć człowieka do Bóstwa. Dawid wyraził je w tych gorących, melancholijnych słowach: „Jako pragnie jelenź do źródeł wodnych i tak pragnie dusza moja do Ciebie, Boże“.⁴

¹ Sum. I. II. p. q. 111 a 5.

² Orat. 42.

³ Cf. Sum. Contra Gentes I. III. cap. 54.

⁴ Ps. XL. 1.

Mniej czyste, ale nie mniej gwałtowne były aspiracje ludzkości pogrążonej w cieniach śmierci. Chciała ona widzieć Boga, posiadać Go, uczestniczyć w Jego życiu, a zwątpiwszy w możliwość dośnięcia Go, tak dalece zaślepiała się w swych występkach, że usiłowała rozlicznymi iluzjami uspić swą religijną skłonność. Przywołała bóstwo pod postaciami zmysłowemi, nieraz ohydny i postawiła je nad swemi polami, miastami, zaciszami domowemi; pod jego opiekę poddała swe cnoty i występki; w swym obłądzeniu poszła jeszcze dalej, przyznała nieskończoną doskonałość życia temu, co widziała, czego się dotykała, bo to łatwy środek do ubóstwienia siebie: bo gdy wszystko było bogiem, człowiek nie mógł omieszkąć stać się istotą boską. Ale niestety! bałwochwalstwo i panteizm to błędy potworne, które poniżały bóstwo, nie odejmując człowiekowi nic z jego nędzy, mieszając rzeczy boskie i ludzkie ze szkodą jednych, bez pożytku dla drugich. „Nie człowiek — mówi św. Tomasz, może się uczynić bogiem, ale Bóg Sam jest mocen go ubóstwić, udzielając mu współudziału w swej naturze przez uczestnictwo podobieństwa”¹.

Cała kwestya tkwi w tem, że nasze ubóstwienie jest zależne od mocy i woli Boga, z naszej atoli strony natura jest usposobioną do tego rodzimem swem uzdolnieniem i swemi dążnościami. Otóż, że Bóg może i chce nas uczcić swą obecnością, swem wewnętrznem przeniknięciem przez łaskę, to łatwo pojmie, kto porówna naukę wiary z nieskończonemi doskonałościami, od których zależy wylanie wszelkiego dobra.

Bóg może w najwyższy sposób skutecznić to, co mogą stworzenia; jak mówi przez Proroka: Ja daję życie, a Sambym nie żył? Ja daję moc rodzenia, a sambym nie rodził? Stworzenia oddają się wzajemnie, a Jaby się nie udzielał? Materye się przenikają, duch przenika ciało, a Ja, Duch najczystszy, wszechmocny, nie przeniknąłbym duszy? Dlaczego nie przywłaszczyłbym sobie praw, których udziela natura? Najwyższe Dobro jest

¹ Cf. I. II. q. 112. a 1.

z natury swej w najwyższy sposób udzielające się. *Summum bonum est summe diffusivum sui.*

Bóg może, nadto chce się udzielać. Dążności ludzkie świadczą o Jego woli, bo Jego miłość nie pozwala Mu dręczyć serca bezprzedmiotowemi pragnieniami. W tych pragnieniach widzę przejaw i wskazówkę Jego miłości. Kocha stworzenie swoje, a w jego skończonej naturze nie widzi go dość podobnego do Siebie; chce je więc ukształcić według tego pięknego prawa miłości: miłość szuka sobie równych, a gdy ich nie znajduje, czyni je takimi. *Amicitia aut pares invenit aut facit.*¹ Odwołuję się tu do serc ojcowskich. Czyż to nie jest najdroższą i największą ich ambicyą, by synowie byli im podobnymi? Ojciec niebieski nie wahał się toż samo uczynić! Tym samym aktem wszechmocy, którym dał człowiekowi życie umysłowe, dał mu życie łaski t. j. współudział w swej naturze: w czym się przedewszystkiem ujawnia Jego dobroć i mądrość. Dobrym jest, bo nas najwyższem obdarzył dobrem; mądrym, bo zachowując rdzenną różnicę między skończonem a Nieskończonym, posunął do ostatnich granic prawo stopniowania, które do Niego zbliża istoty rozumne; a tak dał Swemu dziełu właściwą moc, ostateczną doskonałość.

Wyjaśniłem, jak mogłem, tajemnicę łaski i naszej iście Boskiej wielkości. Pozostawiam czytelnika wobec tej tajemnicy, którą z radością przyjąć mamy, czekając zupełnego jej wyświecenia, jakie będzie nam dane później, w nagrodę wiary. Nie chcemy przeniknąć tajników Boga, ale przystańmy stałe do następstw praktycznych, które z nich wypływają. Łaska przemienia naszą naturę, udoskonala ją i ubóstwia.

Łaska, kończąc wydoskonalenie istot rozumnych, wykończyła udoskonalenie wszechświata, który przez nie bierze udział w życiu Bożem. Z wyzyn tej tajemnicy trzeba patrzeć na całość dzieł Bożych, jeśli chcemy poznać ich stosunki i piękności. Zestawmy istoty i ich prawa, królestwa i ich harmonie — z tą wielką katolicką prawdą, która roztacza światło na ca-

¹ Seneka.

łość kreacyi: Ojciec wszechmocny, Stwórca nieba i ziemi udzielił swego życia dziełu rąk swoich, świat uszlachetniony, przekształcony łaską jest w całej sile tego wyrazu dziełem Boskiem, odbłaskiem dobroci i miłości nieskończonej.

Ks. J. St. Adamski.

Z cyklu: „Opowieści Chrystusowe“.

U progu życia.

Gościńcem prowadzącym do Betlehem, wśród ciemnej, żywej zieleni uprawnych pól, zdązał mężczyzna w sile wieku, z długą po pas brodą, wiodąc za uździenicę osiołka, na którego grzbiecie rysowała się szarą sylwetką postać kobieca.

Znać daleką drogę mieli już poza sobą, bo wyraziste rysy mężczyzny zaostrzyło znużenie, do zniszczonych sandałów przylgnęło błoto, a sierść zwierzęcia lepila się potem i pyłem. Od czasu do czasu, dreszcz znużenia wstrząsał osiołkiem, wtedy z szarych chust wysuwała się smukła, biała ręka i głaskała kark zwierzęcia, jakgdyby mu sił dodać pragnęła i wytrwania...

Ciemne oczy mężczyzny spoglądały w mglistą dal przed sobą i pełne obawy i troski wracały zawsze, jak dwa wierne psy do pana, do postaci kobiety.

— Maryo... zmęczonaś bardzo?... prawda?...

— Nie... — z otoczenia szarej chusty, wyłoniła się widmowo blada, cudna twarz dziewczęca, łagodny pół uśmiech rozchylił usta... — Wiesz Józefie... mam wrażenie, że nie do Betlehem, dążę ale na spotkanie Pana mego... i tęsknotę mam w duszy taką i... lęk... Jakby szła ku mnie jakaś radość wielka i... ból olbrzymi, szczęścia bezmiar niepojęty i... lzy. A taki mam w duszy nastrój świąteczny, jakgdybym Jerozolimską świątynią była w święto poświęcenia... tyle uczuć dziś we mnie płonie... jak w niej światel w owym dniu pamiętnym.

Bo pomyśl Józefie, że w ten słoneczny zachód Bóg zdąży z nami do ludzi... niestraszny, niegroźny, ale małeńki, uśmiechnięty, kochający świat cały... Bóg-człowiek! Bóg-dziecko!

Głos jej stłumiło wzruszenie... w pobladłej, szczupłej twarzy płonęły oczy, wpatrzone w wychylającą się z przestrzeni wizję miasta... Wznosiło się na wzgórzu terasami, wśród ciemnej winnic zieleni, gąszczy srebrzystych fig i plantacyi oliwek złocistych. Na wschodnim wzgórzu rysowały się białe mury świątyni.

— Betlehem! — wyrwało się okrzykiem radosnym z piersi Józefa — Nareszcie...!

Rozsunęły się zwały chmur na chwilę i słońce zachodzące rzuciło królewską purpurę na domki białe, tulące się do wzgórza.

— Królewska purpura spłynęła na miasto Dawidowe... — uśmiechnęła się Marya, splatając drobne dłonie. — Czas nadchodzi... czuję to... i wypełnią się słowa proroctwa... Syn Dawida w miejscu dawnej władzy ojców zejdzie do ludu...

Z zachwytem spoczęły jej rozszerzone źrenice, na fioletowych teraz zwałach chmur, drogą sunęła się rozedrgana fala błasków aż objęła i ją krwawą poświatą... jakgdyby Bóg oblubienicy swojej, szkarłat pod stopy słał.

— Z drogi! — rozległo się wołanie dalekie, zmieszane z pospiesznym tętentem kopyt. — Z drogi! — ostro, nakazująco powtórzono bliżej.

Usunął się Józef na brzeg gościńca... i czekał w milczeniu.

Zbliżał się barwny orszak, w lunie zachodu mieniły się jedwabie, błyskały hafty złociste, kamienie drogie. Orszak wyprzedzał szereg jeźdźców, stalowe rzymskie hełmy, białe, krótkie tuniki zdawały się opływać krwią w słonecznej posoce. Za nimi niosło lektykę, czterech jakgdyby z bronzu odlanych Nubijczyków, od bioder powiewały im fartuszki błękitne perłami tkane. Na poduszkach lektyki niedbale rozparty spoczywał człowiek w średnim wieku, smukły, szponom sępa podobne palce przeciągało złoto pierścieni, kosztowna szata wierzchnia ze szkarłatu układała się w malownicze fałdy. Był to jeden z książąt Dawidowego rodu, członek sekty Faryzeuszów. Obok lektyki na dziel-

nym, gniadym ogierze jechał Marek Liwiusz, rasowa głowa stepowego orła pochylała się od czasu do czasu ku towarzyszowi, na silnej, opalonej ręce, stworzonej do władania połyskiwało złoto sygnetu. Jego spiżowy głos dźwięczał w przestrzeni, gdy opowiadał księciu o ćwiczeniach rzymskiego żołnierza, z których powracał właśnie.

Faryzeusz słuchał, uśmiechając się kątami ust, czasem przerywał szeptem, który, by dosłyszeć, Marek Liwiusz musiał pochylać się w siodle, albo zwracając nieco głowę spoglądał na dążący za lektyką szereg juczych zwierząt... a wtedy płał mu pod przymkniętymi powiekami błysk zadowolenia.

Nagle umilkli obaj... Spojrzenie ich równocześnie zawisło na grupie, którą ich orszak zepchnął na brzeg gościńca, na silnej kurzem pokrytej postaci Józefa i na bladej, rozmodłonej twarzyczce Maryi, dla której teraz nie istniał świat, ludzie... bo dusza jej szła po purpurze słonecznych blasków do Boga.

Rzymianin drgnął... dziwne jakieś wrażenie przejęło mu duszę... Powstrzymać się musiał siłą woli, by pozdrawiającym ruchem nie wyciągnąć prawicy.

— Kobieta z ludu! — szepnął Faryzeusz, pragnąc zgłuszyć ten nieuzasadniony lęk, jak przed czymś olbrzymiem, świętem a jeszcze wrogiem.

— Miała jednak w sobie majestat królowej! — rzucił oglądając się Rzymianin.

* * *

Józef, zatrzymał osiołka na pustym placu... do koła panował mrok, snuły się cienie. Na pięknej twarzy Józefa znać było głęboką troskę... do tyłu drzwi pukał już prosząc noclegu... szorstko lub grzecznie ale wszędzie odprawiono go od progu. Oberże i domy prywatne przepełnione były ludnością zamieszkową, a noc słała się dokoła coraz ciemniejsza, ogarniając wszystko mrokiem szarym.

Z troską głęboką spoczęły oczy jego na smukłej postaci Maryi... jakże jej przebyć tę noc pod gołem niebem?...

Nie dla siebie, ale dla niej pragnął wypoczynku... on przygnałby gdziekolwiek do wilgotnej ziemi i znalazł sen... ale

ona? ... ale dzieciątko jej? ... Sam czuł się znużonym bezmier-
nie ... nogi przybrały wagę ołowiu, bolały ramiona ... a cóż
dopiero ona? ... jak jej być musi? ...

Mimowolna gorycz przejęła mu duszę ...

Nikt nie przeczuwa obecności Boga w tej smukłej, dziewczę-
cej postaci ... drzwi się zamykają przed niemi wszędzie ...
wszędzie.

I niebo samo! ... bezlitośnie rzuca pył deszczu ... zimno
przejmuje do głębi ...

I niebo samo!

— Józefie ... — spłynął cichy, łagodny głos w jego duszę
wąpiącą ... a w głosie dźwięczał wyrzut. — Józefie ... jeżeli
drzwi zamykają się przed Panem, czyż serca nasze nie powinny
otwierać się tem szerzej na Jego przyjęcie? ...

Wskazał bezsłownie na niebo chmurne i pozamykane bramy
domów ... Uśmiechnęła się :

— Nie wątp ... Bóg jest z nami ... w nas ... Nie przyjdzie
On w bogactwie i rozkoszy ... bo nie rozkosz i bogactwo dawać
przychodzi ... Nie trzeba Mu złotogłowiu, ni jedwabi, ni nawet
izby wytwornej ... jeno serc ... Józefie! wierzących, kochają-
cych ... serc jeno ...

Siła wiary olbrzymiej leżała w jej głosie i do bladej, znużo-
nej twarzy Józefa uderzyła fala krwi ... wstyd go było owego
chwilowego wahania, goryczy owej ...

Zdecydowanym ruchem ujął uźdźmienię osiołka i wiódł go
przez ciche już ulice miasteczka, przypomniała mu się bowiem
grota za miastem przeznaczona dla bydła ... był to w każdym
razie dach, osłona i spoczynek, którego pragnęli oboje.

— Beznadziejnie ciemno jest — szeptał Józef.

— Bo świat w ciemności win od wieków tonie — rzuciła
Marya.

Zatrzymali się przed grota, wejście jej zasłaniały bluszczów
sploty i dzikich róż pęcze ... wiekowe drzewo cedrowe gwarzyło
jakąś baśń bez końca, za każdym wiatru powiewem. Błady błysk
ogniska przedzierał się na zewnątrz, a dym smolnych szczep snuł
się w przestrzeni.

— I tu są ludzie! — wyrwało się westchnienie z piersi Józefa.

— Tu może są właśnie ludzie ... — uśmiechnęła się Marya, zsiadając lekko z grzbietu osiołka. — Najbiedniejsi z biednych nie odmówią gościny Panu, który dla nich przychodzi.

Uwiązał Józef osiołka u pnia cedrowego i weszli ... Jasny blask ogniska otoczył ich aureolą światła ...

Porwali się pasterze ... dwóch ich było, starzec w baranich skór okryciu i młodzieniec o postaci olbrzyma i pogodnej, dziecięcej twarzy. Z podziwem niemym zawisły jego źrenice na bladej, cudnej twarzyczce Maryi, starzec dłonią krótkowzroczne przesłonił oczy, mruczeniem odpowiadając na słowa pozdrowienia.

— Szukaliśmy wszędzie próżno noclegu — rwało się z piersi Józefa urywanie — miasto przepelnione ludnością obcą ... od wszystkich progów odegnano nas ... Niewiasta ta jest chorą ... a na polu deszcz.

Starzec bez wahania dłonią ognisko wskazał zapraszającym gestem.

— Psia pogoda! ... przemokliście? ... zawsze lepiej nocować w grocie jak na dworze ... wilgotna wprawdzie jest a niewiasta wasza delikatna ... aleć zawsze lepiej pod dachem jak w polu ... Usiądźcie ... przyszliście pieszo? ...

— Ja pieszo ... Marya na osiołku przybyła.

— Wprowadź bydlę swoje i u żłobu postaw człowiecze, znajdzie się obrok i dla niego ... Niewiasta wasza niech zdejmie płaszcz a nakryje się derką naszą ... toć przemoknięta być musi.

Rzucił się młody, derki przyniósł, rozesał przy ognisku baranice a przed Maryą rozłożył skromne zapasy chleba i sera owczego duży, biały płat.

Starzec z pod oka patrzył na znużoną twarz Józefa przywiązującego osiołka do szeregu żłobów.

— Z dalekaście? — pytał a sięć zmarszczek na zwiedłej twarzy drgała w uśmiechu, jak tafla jeziora za podmuchem wiatru. — Bydle wasze zmęczone zda się bardzo, a i na was daleką drogę znać.

— Z Nazaretu przyszedliśmy do Betlehem dla spisu ludności. Jak wiecie cesarz August...

— Ach komu innemu praw — machnął ręką stary — nie rozumiem się na tem... mnie życiem zielony step i błękit niebios... co ja o świecie wiem?... co z niego rozumiem?... Ale niewiedzieć twojej snu potrzeba... zbieraj się Natanaelu... nijakoby było nocować razem... prości z nas ludzie.

— Chcecie odejść? — pytała Marya a jej wielkie złotawo-czarne oczy ogarniały ich błogosławieństwem spojrzenia. Starzec w twarz się jej wpatrzył i do nóg pōchylił.

— Przenocujemy przy trzodzie w polu... nie pierwszyć raz

— Bóg z wami... za gościnę... gościną odpłaci — szedł za wychodzącymi szept cichy.

— Wielkać pani być musi, chociaż na jednym tylko ośle jeździ... — mrucał stary — nigdy w życiu nie widziałem podobnej twarzy.

— Cudna, cudna... pani — szeptał młody — jakgdyby anioł na ziemię zszedł.

— Może i anioł...

Z daleko błyskało ognisko pasterza czuwającego nad trzodą. Rozpalili ogień trochę bliżej i starzec zasnął niedługo, młody dłonie na kolanach wsparł, patrzył w złocący się w dali otwór groty... czuwał.

Pierwszy raz sen uciekał od powiek...

Czuł, że w cichej, ozłoconej ogniem grocie spełnia się coś, czego nie pojmował jego rozum a przeczuwało serce.

Cisza... cisza...

Woń kwiatów rozsnęła się w przestrzeni, jakgdyby tysiące kadzielnic żywych poruszały niewidzialne dłonie.

Czarne zwały chmur rozwarły się, jakgdyby rozcięte mieczem, a na ciemnym lazurze nieba weszła gwiazda dziwnie duża i swój tajemniczy, rozedrgany blask rzuciła w mroki nocy.

W głębi duszy pasterz odczuł jakąś bezmierną radość... ciszę spokoju nieznanego. Po jego młodej, wpół dziecinnej twarzy stoczyły się dwie łzy... nieświadomego szczęścia... głębokiej, nieznaniej rozkoszy.

To poczucie spokoju było tak silnem, że nawet wtedy, gdy blask gwiazdy zaczął się snuć po wilgotnych, mrocznych polach ku niemu, nawet wtedy, gdy w poświacie zarysowały się kształty smukłej postaci... było w nim tylko zdziwienie wielkie.

Patrzył na jasną twarz Bożego wysłańca z dziecinnym uśmiechem radości... jakgdyby znaną mu była z jakichś innych bytów... kochaną zdawną.

Ale blask rozbudził starca... Zerwał się, dłońmi przesłaniając oczy... lęk go ogarnął, bo całe życie oddzielało go już od Bożego pierwowzoru... więc na kolana padł i oczy ukrył.

— „Nie bójcie się“ — płynął łagodny, niski głos w mroki otaczające ich — „oto zwiastuję wam radość wielką... radość ludzkości całej... Narodził się wam Zbawiciel w mieście Dawidowem... Chrystus Pan. A przyszedł do was jako niemowlętko, znajdziecie Go uwinionego w pieluszki... leżącego w żłobie“.

W blasku gwiazdy widział teraz Natanael zjawy twarzy, mgliste, zjawiskowe kształty postaci wielu wielu... Wszechświat przepełniały głosy.

„Chwała Bogu na wysokościach a pokój ludziom dobrej woli na ziemi“.

Po zmarszczkami pokrytej twarzy starego pasterza płynęły niepowstrzymanie łzy... było mu tak jak w dziecięce dni u łona matki... jakgdyby zdjęto z niego przekleństwo trosk, win, utrapień, wykreślono z życia szeregi lat.

Młodego szeroko rozwarte, uszczęśliwione oczy spoczęły na wnętrzu groty zdaleka widocznem, z którego blask padał teraz taki silny, że cedr u wejścia złotym się zdawał...

Zrozumienie wstało mu w duszy... opalona dłoń na ramię starca opadła.

— To tam Ojciec... to w grocie... to Bogu daliśmy goścień... — rwało mu się z piersi urywanie, podczas gdy drżącymi rękoma zbierał dery rozrzucone... — Pójdźmy ojciec... może tam Panu zimno... może pomocy tam trzeba.

— Czekaj chwilę — starzec w dal posłał wołanie, od dalekiego ogniska odpowiedziały głosy... — Widzisz, mleka utoczyć trzeba od białki, ciepłego, świeżuteńkiego.

Gnał przez pola, jakgdyby młodzieńcem był... Natanael się modlił... duszą... bo słów nie nauczyło go życie.

W chwilę potem szli wszyscy... każdy coś niósł wysokie, rosłe postacie z jagnięcą skórą u ramion sunęły ku grocie, na opalonych twarzach było dziecięce zaleknienie...

W otworze groty wstrzymali się zdjęci nieśmiałością wielką, nad złobem zarzuconym słomą, chyliła się, białej lilii podobna postać dziewicza, kładąc maleńkie dzieciątko w głąb...

Osunęli się na kolana... a serca ich miłości pełne witały Boga u progu życia... dając Mu w darze wszystko, co zawierały ich szalaśy biedne i serca bogate.

Dziecię zwróciło na nich ciemny błękit oczu miłości pełnych...

Marya Czeska
(M. Český.)



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Historya Rusi południowej do upadku Rzeczypospolitej polskiej.

Aleksander Jabłonowski. W Krakowie, Akademia Umiejętności, 1912, str. XV, 366.

Pisać krytykę książki Jabłonowskiego, poświęconej dziejom Rusi? Przedstawiać jej zalety i wady? Wskazywać, co z niej przyjąć należy, a co wymaga rewizyi i dalszego badania, co zaś odrzucić wypada? Badać metodę autora i może dać jej swe *placet* lub odmówić go? — W całej Polsce niema krytyka dla Jabłonowskiego, dla tej prostej przyczyny, że niema drugiego takiego, równego mu znawcy przedmiotu. Mówiąc to, nie staję się panegirystą Czcigodnego naszego Nestora, boć w stwierdzeniu tego faktu mieści się bądźco bądź mniej chwały dla p. Jabłonowskiego, a więcej potępienia dla stosunków w polskim cechu historycznym. Rozumiem, że może gdzieś nie być drugiego, równego komuś, znawcy pisma klinowego; ale cobyśmy powiedzieli, gdyby n. p. nauka angielska jednego tylko miała mistrza do spraw Szkocyi, mistrza wyższego, przez to, ponad wszelką krytykę? Ruś zespolona jest z naszymi dziejami również ściśle, jak historia szkocka z angielską, a my... obchodzimy się bez badań nad dziejami Rusi i gdyby nie p. Jabłonowski, ruch w zakresie tego przedmiotu z ostatnich dwóch pokoleń wydałby plon nieznaczny. On tutaj twórcą przewodnikiem, największą powagą. Póki poprzestawał na monografiach zakresłonych ściśle i terytoryalnie i chronologicznie, a cały aparat naukowy, swą własność wyłączną podawał w zupełności, szczegółowo do wiadomości publicznej — można było jeszcze mówić o krytycznem

zapatrywaniu i studyowaniu tych prac, — ale gdy występuje z książką obejmującą całokształt dziejów Rusi, któż mu będzie sekundował?

Inaczej, inną metodą i w innym celu w książce tej rozpatrzyć się trzeba. Pojawienie się tego dzieła, to egzamin dla nauki polskiej: Jaki jest stan badań ruskich u nas, co wiemy, a czego nie wiemy o przeszłości Rusi; jakie kwestye nauka polska może już podnieść wobec swej Klio, a jakie jeszcze dla niej nawet . . . nie istnieją?

Z przedmowy prof. Smolki dowiadujemy się, że „Historya Rusi“ miała wejść do wydawanej przez Akademię „Encyklopedyi Polskiej“, na co przeznaczono tam pięć arkuszy druku. Autor nasz pragnął wypisać się tak krótko, zwięźle, ale . . . nie dał rady! Wiadomo, że pisać dobrze, a krótko, da się o tych tylko rzeczach, które się zna na wylot. Znamstwo największego naszego znawcy nie dochodzi jeszcze do tego stopnia! Cofnijmy się o szczebel niżej, niż byliśmy we własnem mniemaniu — jeszcze Polak nie potrafi napisać dziejów Rusi.

Jak tu potrafić, skoro — niema z czego?! Znaczna część książki opiera się na własnych badaniach Czcigodnego autora i ta część jest po prostu znakomitą, podając na każdej ćwiartce rzeczy pewne, należycie umotywowane, a po większej części nowe, istne dorobki naukowe. Ale nie pisze nikt podręcznika, na podstawie wyłącznie własnych badań źródłowych, boć musiałby przedtem żyć kilkaset lat! Wiadomo też, że p. J. nie jest medioaevista, nie mógł się tedy zrobić nim na prędce do dziejów Rusi. Skazany na korzystanie z prac cudzych, znalazł się wśród takiego chaosu wykluczających się wzajemnie mniemań, że nie łatwo domysleć się, czem kierował się przy wyborze zapatrywania naukowego na daną kwestyę. Chyba jakimś zgola indywidualnem poczuciem prawdopodobieństwa? Chcąc bowiem w tej dziedzinie nauki mieć własne zdanie, trzeba . . . samemu zabrać się do źródeł, gdyż niema ani jednej monografii, której rezultaty naukowe byłyby pewne, już uznane i przyjęte.

Wobec tego podjął się p. J. zadania na teraz dla nauki polskiej niewykonalnego.

In magnis voluisse sat est. Nie postąpił lekkomyślnie uczony tej miary, takich zasług naukowych Nestor! Poświęcił się, żeby napisać coś, o czem on sam wiedział najlepiej zgóry, że się dobrze napisać nie da — a wydawszy dzieło niedostateczne, przysłużył się wielce rozwojowi naszej nauki. Powiem więcej: on dopiero teraz rozwój ten i postęp systematyczny uczynił możliwym. W nauce bowiem idzie się

ad astra po linii ogromnie łamanej, zygzakowatej i nie na to poradzić nie można. Każde zaś pokolenie powinno sobie zdawać sprawę ze stanu nauki, ażeby obmyśleć najkrótsze sposoby uzupełnienia jej braków. Tem się tłumaczy nie tylko dopuszczalność, ale wręcz konieczność spisywania podręczników w każdym pokoleniu. Czyż będzie kto tak zarozumiałym, żeby myśleć, że następcy nie zdołają go poprawić? Ale następcy zrobią tem więcej i tem lepiej, im bardziej utoruje im się drogę. Spisanie podręcznika, z którego laik dowie się o pewnej a przeciętnej naukowej, znawca zaś zobaczy, co nauka wie, czego się dowiaduje, a czego dowiedzieć się nie ma jeszcze sposobu — to ustawianie drogowskazów dla następnego pokolenia uczonych, a więc praca jaknajbardziej zasłużona, gdy tylko wykonana sumiennie.

Z tego stanowiska pragnąłbym zastanowić się nad dziełem p. Jabłonowskiego. Odtąd bowiem każdy, ktokolwiek będzie miał do czynienia z badaniem dziejów Rusi południowej, zacznie od tego, że sięgnie do tej książki. Oto jest nasz *terminus a quo*. Wszyscy będą odtąd zaczynać tam, gdzie p. J. skończył, wdzięczni za wskazanie i pozytywnych stron i luk, w studyach nad Rusią. Teraz wiemy — co robić!

Zawstydz się tedy najpierw, o Klio krajowa, że dotychczas jeszcze nie wiesz na pewno gdzie Polska, gdzie Ruś? Nauka polska nie wie bowiem, co począć z kwestyą Grodów Czerwieńskich, kto tam autochtonem, kto późniejszym przybyszem? Sam p. Jabłonowski do tego stopnia jest niezdecydowanym, że pisze wprawdzie o Lachach, jako o obcych na tym terenie, ale zapatrywania tego nie przeprowadza konsekwentnie w dziejach średniowiecznych tej krainy, jakby się wahał, raz uważając tę ziemię za ruską od początku, to znów za pierwotnie polską. Jeżeli zaś nauka polska nie rozstrzygnęła jeszcze kwestyi takiej, od której winnaby zacząć swą pracę dziejopisarską, musimy jej już wybaczyć, gdy się okaże, że w kwestyi „Prawdy Ruskiej“, kwestyi bądźco bądź dalszej, nie ma ona własnego zdania, a w cudzych nie bardzo się orientuje. Prawdę rzekłszy, z książki p. Jabłonowskiego wynika, że aż do początków XVI wieku nauka polska niewiele ma do powiedzenia w sprawie dziejów Rusi; nawet tego nie zdążyliśmy wy badać i opracować porządnie, w jakito sposób Ruś Czerwona przeszła pod berło Kazimierza W. Źle widocznie z nami, skoro p. Jabłonowski w opowiadaniu wieku XV, staje się często zależnym od prof. Hruszewskiego!

Jest więc w zakresie ruskiego średniowiecza wszystko jeszcze do zrobienia!! Poprzednie pokolenie było wprawdzie pracowitszem na tem polu i pozostawiło po sobie niejedną sumienną pracę (zwłaszcza do XII i XIII w.), ale na dziś są to już rzeczy poniekąd przestarzałe, a nowych opracowań brak. Jeżeli wolno wypowiedzieć mi własne zdanie o polskich pracach nad dziejami Rusi, miały i mają one jeszcze cechę prac syzyfowych, które w nauce na nic się nie zdadzą, a to dlatego, że wdajemy się w szczegóły (zwabieni tem, że dotyczą one bezpośrednio stosunków polsko-ruskich), których zrozumieć nie podobna, nie zbadawszy wprzód zasadniczych momentów ruskiego średniowiecza. Badacze polscy nie oryentują się w sprawach ruskich, bo nie znają tła ogólnego Rusi. Należy rozstrzygnąć wpierw szereg czysto-ruskich zagadnień zasadniczych, a potem dopiero można będzie przystąpić do krytycznego opracowania stosunków polsko-ruskich i wyjaśnienia rozmaitych z nich szczegółów.

Z momentów takich zasadniczych podniosła nauka polska jedno tylko zagadnienie, a mianowicie kwestyę składu etnicznego ludności południoworuskiej. Zapytano po prostu: gdzie się podzieli owi Polowcy, Kumanowie, Torcy, Berendeje, Czarne Kłobuki itp. o których tak gęsto w rocznikach? Czyż tylko tyle pozostało ich w mieszaninie ukraińskiej, ile grodów obsadzili nimi niektórzy książęta? Gdzie reszta? Wyginęliż, czy wyemigrowali do Azji z powrotem? Wielu wyginęło, część wyemigrowała na Bałkan i Węgry, ale czyżby nic nie zostało? To zwrócenie uwagi na fakt, że dawno już przed najazdem tatarskim ludność Rusi południowej była mieszana, tursko-słowiańska i że nawet nie mogło być inaczej, stanowi znaczny dorobek naukowy, dopomagając walcie do wyjaśnienia wielu zagadkowych dotychczas zjawisk dziejowych. Jakżeż małe będzie też odtąd „fińskość“ Rusi północnej, moskiewskiej! Czy naprawdę Moskal mniej słowiańskim jest od Rusina, pokażą dopiero dalsze, umyślnie w tym celu podejmowane badania. Nie dotyka tej kwestyi p. Jabłowski, ale wyłania się ona wprost przymusowo z jego pracy.

Od końca XV wieku staje się autor coraz pewniejszym siebie, czując pod sobą coraz bezpieczniejszy grunt... własnych badań. Wiadomo powszechnie, że p. J. pierwszy opracował krytycznie dzieje osadnictwa Ukrainy, a przez to rzucił wiele światła na genezę kozaczyzny. Nazwa „Kozak“ występuje poraz pierwszy na Ukrainie w r. 1492, a z r. 1503 pochodzi pierwsza wiadomość o dokonanym przez kozaków rabunku.

Tu znowu zasługa nauki polskiej, a w tym wypadku wyłączna Czcigodnego autora. Ażeby jednak móc wyzyskać należyte jego odkrycia do konstrukcyi dziejowej, musimy wiedzieć więcej i to znacznie więcej, niż dotychczas, o materyalnej stronie życia południowego wschodu. Trzeba zbadać przedewszystkiem dokładnie historię handlu z jednej strony zamorskiego, z którego ledwie pewne epizody dochodzą do naszej wiadomości — z drugiej zaś strony karawanowego kazańsko-sybirskiego, o którym kto co w Polsce wie? Zmiany dróg handlowych oddziaływały na sposoby walki o byt kilka razy w ciągu historii równin sarmackich, zwłaszcza zaś na Podnieprzu wybijały za każdym razem potężne piętno. Były czasy, że Ukraina żywiła lepiej i gorzej, a sposobem zmiennym, rozmaitym — stosownie do tego, jakim była w danym okresie ogniem w łańcuchu handlu orientalnego. Czyż Kozaczyzna jest czemś innem, jak po prostu sposobem walki o byt, którego się jęto, gdy inne zawiodły?

A więc nie wyjaśnimy sobie należyte spraw, których zewnętrzne objawy spotykamy dopiero w XVI wieku, jeżeli nie cofnie się nauka polska w badaniach swych znacznie wstecz i nie obejmie całokształtu przejawów ruskiego życia dziejowego! A że tu handel rozstrzygał (z czego ani „Historya Rusi południowej“ nie zdaje sobie jeszcze należyte sprawy), a więc nie można, nie znając historii handlu opracować należyte ani tej kwestyi, jakim sposobem książęta litewscy rugowali tak łatwo Rurykowiczów i jak powstała t. zw. „Rus litewska“, nie tracąca nic a nic na swej ruskości, a nawet nabierająca coraz większego wpływu na Litwę? Podawano przyczyny rozmaite i zdobyto się na niejedną trafną uwagę — ale gdy się nie zna należyte handlu nowogrodzkiego i smoleńskiego — znowu brak tła.

Zaczyna być wreszcie górą nauka polska, gdy chodzi o ruchy religijne XVI wieku i wynikłe stąd zmiany wyznania na Rusi. W jakim stanie znajdowało się duchowieństwo ruskie, wiedziano już dawniej, ale dorobkiem nowszych czasów jest stwierdzenie faktu, że intelligencya ruska, unikając rozprzężonej a ciemnej Cerkwi, nie na katolicyzm przechodziła, lecz na protestantyzm, lub na arianizm i dopiero z „reformy“ na „łaciństwo“. Sam p. Jabłonowski ma w tej dziedzinie badań wiele zasługi, dzięki jemu wiemy np., że w Chełmszczyźnie już za Zygmunta I. wyznanie greckie ograniczone było do ludu.

Nauka polska dokonała tu szeregu ważnych odkryć naukowych, które zainicjowane przez Juliana Bartoszewicza utknęły, postąpiły o walny krok naprzód dzięki ks. biskupowi Likowskiemu

i znowu (polskim trybem!) utknęły, aż wkońcu p. Jabłonowski udzielił im impulsu takiego, że chyba już nie będzie przerwy w tym rozwoju pierwszorzędno zagadnienia naukowego. Mamy tu bowiem do czynienia z wielkim zagadnieniem z historyi powszechnej, rozgrywającej się na tle ogólnie europejskiem; sądzono, że pomiędzy Londynem a Wilnem — a z polskich badań okazuje się, że sprawa sięgała aż poza Dniepr i tyczyła Kościoła wschodniego niemniej niż zachodniego. Zdważa się tedy zakres i przestrzeń dziejów reformacyi, a niejeden fakt przybiera przeto postać zasadniczo odmienną.

Nie katolicyzm, lecz protestantyzm polonizował Rusinów! Katolicyzm bowiem nieczego nie pragnął goręcej, jak utrzymania wschodniego obrządku i nigdy nie myślano w Rzymie wobec Cerkwi o niczem innem, jak tylko o unii. Pod tym względem jednak sądzono w Watykanie o tych sprawach w wieku XV, XVI, XVII... i XX. Z książki p. Jabłonowskiego możnaby śmiało ułożyć „dyspozycyę“ do rozprawy na temat: Jak Kościół rzymsko-katolicki urabiał i konserwował narodowość ruską...

Szerzyła się więc wbrew popom, ale też i przeciw „papistom“ polskość na ziemiach ruskich. Już w r. 1570 jest w Kijowie wójtem Polak. Przysparza się polskości przez osadnictwo, ale dalej na wschód od Podola nie umie się ono utrzymać przy swej narodowości, tonąc w cerkwi. Już za Batorego mieliśmy „walkę o duszę“! Już wtenczas, hierarchia katolicka musiała prosić króla o formalny uniwersał do władcyków, żeby popi nie wdawali się w nieswoje rzeczy, w wewnętrzne sprawy katolicyzmu. Odnosi się z tego wrażenie, że Cerkiew ustępowała przed arianizmem i protestantyzmem, ale czuła się tam silniejszą od wpływów katolickich. Misye tedy katolickie były bez znaczenia, a raczej nie było ich niemal całkiem, a może wogóle całkiem? Tu mamy jedną kartę z dziejów Kościoła polskiego — jeszcze niezbadaną.

Zaraz następna karta znana za to wcale dobrze: Za Zygmunta III-go tryumfalny postęp rzymskiego katolicyzmu w obrządku łacińskim, wstrzymany nagle unią brzeską, która dała Rusi „hasło przebudzenia się ogólnego“. W tej sprawie — jak dotychczas — tylko polskie badania mają wartość naukową. Śmieszne są wyrzekania rosyjskich autorów, jakoby unia jako taka polonizowała. Rzeczy miały się wręcz przeciwnie, a książka p. Jabłonowskiego dostarcza nowych refleksyj na ten temat.

Drugiem walnem zagadnieniem tej epoki jest: sprawa stosunku

kozactwa do prawosławia. Zapatrywaniu, że kozaczyzna — o której taki gorliwiec, jak metropolita Mohyla (1632—1647) powiedział wyraźnie, że jest *religionis nullius* — nie miała zrazu nic wspólnego z kwestyami religijnymi, nadaje dzieło p. J. ostateczną sankcję. Akt tajnego wyświęcenia hierarchii dyzunickiej w r. 1620 był i dla Kozaków tajnym, bo ukrywano to przed nimi jak najstaranniej, nie mając do nich zaufania — i nawzajem Kozacy w r. 1637 i 1638 taili projekty swych wypraw najbardziej przed popami prawosławnymi

Jest też prawdziwe kozactwo daty młodszej, niż się powszechnie nawet w Polsce sądzi. Dopiero w r. 1652 powstała pierwsza trwała, „sicz“ (t. zw. „Sirkowa“), a wyodrębnienie Zaporozża nastąpiło dopiero po śmierci Chmielnickiego (um. 1657).

Przy badaniu ruchów kozackich ma nauka do spełnienia jeszcze bardzo wiele, a mianowicie w dwóch kierunkach, w których stan nauki stwierdzany dziełem p. J., udziela słabych zaledwie wskazówek i niewyraźne tylko stawia drogowskazy. A mianowicie należy zważyć i rozważyć owe t. zw. buntury kozackie: 1) jako zjawiska ekonomiczne po prostu ze stanowiska najpospolitszej walki o byt; 2) jako dzieło polityki tureckiej (tu pierwszych wskazówek udzielił Kubala ale (polskim trybem!) badania utknęły!).

Zdecydowanych natomiast udziela p. J. wskazówek i silne ustawa drogowskazy swym kontynuatorom (oby badania znów nie tknęły) w kwestyi, jak oddziaływała rewolucya kozacka na dalsze rozprzestrzenienie kultury polskiej. Otóż wpływ jej był korzystny dla pochodów kultury łacińsko-polskiej! Wcale jej nie ograniczyły wojny kozackie, skoro nawet prawobrzeżna Ukraina tę tylko uznawała, nie wyobrażając sobie nawet istnienia innej! Prawosławie łączy się z kulturą polską... Jak przedtem sławny Piotr Mohyla i jego kijowska „akademia mohylańska“, najlojalniejsi zawsze wobec Rzpltej, lgnęli do polskiej kultury, książek do nauki używali tylko łacińskich i polskich, jak za ich przykładem cała hierarchia prawosławna przejęta była na dobitkę raczej „duchem szlacheckości, niż równouprawnienia społecznego, jakie, choć nieszczerze, zwykli byli wywieszać na swych chorągwiach Kozacy“ — podobnież w następnym pokoleniu, w r. 1679 archiepiskop czernihowski, Łazarz Baranowicz, uprasza cara Piotra o hramotę na drukarnię „polską“ w Czernihowie. Hetmanowie i wszyscy dostojnicy kozaccy pod panowaniem moskiewskim mieli w tem swoją ambicję, żeby naśladować w życiu, w ogładzie i zamięłowaniach... panów polskich, a dzieci swe posyłali na dokończenie edukacyi do Lwo-

wa. Już car Piotr gospodarował na dobre nawet na lewobrzeżnej Ukrainie, rozdając tam nawet dobra prywatne, gdy kultura polska przenikała coraz bardziej prawobrzeżną, a za tem szły i polityczne tendencje. Zdaniem p. J. „wszystko wiodło ku powrotowi do Rzpltej i gdyby nie Połtawa...“.

Bitwa połtawska (1709) jest granicznikiem... A jednak „aż do połowy XVIII w. przynajmniej wpływ kultury polskiej przeważał nad rosyjskim stanowczo na Zadnieprzu“, a gdy w r. 1763 organizowano tam sądownictwo, uczyniono to „podług polskich wzorów, ze statutem litewskim — długo w redakcyi polskiej jedynie“.

Gdyby nie Połtawa, nie byłoby Maciejowic. Oto uwaga, nasuwająca się natrętnie podczas lektury dzieła Czcigodnego naszego Nestora, a w takim razie inną też koleją rozwijałyby się stosunki społeczne. Wszak już w r. 1768 wystąpił publicznie ruch za uwolnieniem z poddaństwa ludu wiejskiego, ruch, który zrodził się wśród szlachty polskiej na Rusi, a któremu przeciwstawiła się ostro Rosya zaraz od samego początku (t. zw. delegacya repninowska; Roch Jabłonowski a Repnin). Zanim ogłoszono w Paryżu „prawa człowieka“, już w starostwie korsuńskim chłopcy byli wyzwoleni i oczynszowani (1777 r.) Nie ze wszystkiem więc i nie zawsze prowincje ruskie odznaczały się konserwatyzmem; wszak też w Żytomierzu na sejmiku 1791 r. oświadczyło się za utrzymaniem elekcyjności tronu tylko 47 głosów, a za dziedziczną koroną tysiąc kilkaset...

Szczegółów niezmiernie ciekawych, podniosłych i smutnych, chwalebnych i haniebnych (bo autor nie zakrywa niczego), możnaby czerpać z tej książki bez końca. Istna to kopalnia nowych wiadomości dla wieku XVII i XVIII. Oby lektura tej książki zachęcała do czytania monografii autora, w których w omawianem tu dziele zbiera tylko ogólne rezultaty. Tam dopiero obfitość wiadomości, wprawiająca w zdumienie. A właśnie wychodzi w Warszawie zbiorowe wydanie pism Aleksandra Jabłonowskiego...

Dr. Feliks Koneczny.

Biskupstwo Wileńskie, od jego założenia aż do dni obecnych...

Ks. Jan Kurczewski. Wilno 1912, in 8°, str. 614.

O Wilnie, tej prastarej stolicy Gedymina, Olgerda i Jagiełły, pisali dawniej obszernie: Narbutt, Kraszewski, Kirkor, Przyalowski

i inni jeszcze, z tego powodu książka ks. Kurczewskiego niewiele nowości przynieść nam mogła. Mimo to nie jest ona bez wartości i znaczenia. Nie każdy bowiem mieć może pod ręką doraźnie to wszystko, co dawniejsi autorowie ogłosili o Wilnie, bo ich dzieła albo są już rzadkie, albo wycofane z księgarskiego obiegu. To też skrzętny autor, chcąc zaradzić temu brakowi, zebrał i wydał obszerniej swą pracę, podaną w streszczeniu przedtem, w tomie 31 Encyklopedyi Kościelnej. Znajdzie w niej czytelnik krótko a zwięźle skreśloną historję Wilna, biskupstwa wileńskiego i życiorysy biskupów, poczynawszy od XIV wieku aż do najnowszych czasów. Dużo miejsca poświęcił autor opisowi kościołów i kaplic, istniejących i zniesionych, wreszcie rozmaitych zgromadzeń zakonnych, dobroczynnych zakładów i szkół, między któremi figuruje na czele Akademia Wileńska, uprzywilejowana i nadana Jezuitom przez króla Stefana Batorego w r. 1578. Dzieło swoje dedykował ks. Kurczewski, jako hołd i daninę: „Ku uczczeniu pamięci trzechsetletniej rocznicy od śmierci Wielebnego O. Piotra Skargi, który pracą swoją apostolską współdziałał rozwojowi biskupstwa wileńskiego“. Wartość całego dzieła podnosi niemało wykaz osób, miejscowości i rzeczy, a tym sposobem ułatwia czytelnikowi odszukanie odpowiednich i pożądaných szczegółów. Podał nam więc autor *vetera et nonnulla nova* z kapitulnych aktów, co razem z jego poprzednio wydanem dziełem,¹ stanowi niby skarbniczkę historyczną, archeologiczną i geograficzną rozległej dyciezyi wileńskiej, a pod wielu względami i samej Litwy. Zakradły się jednak tu i ówdzie większe pomyłki, niesprostowane wcale na końcu książki. Na niektóre tylko zwracam uwagę, wszystkich bowiem niepodobna wyliczać. Tak n. p. na str. 38 powiedziano, że Jerzy Radziwiłł założył seminarjum dla księży świeckich w r. 1682, zamiast 1582. Na stronie znów 39 czytamy, że w r. 1583 zostaje tenże Radziwiłł naznaczonym przez Batorego na namiestnika inflanckiego, gdy tymczasem stało się to już 1 maja 1582.² Na str. 211 wymieniony prowincyał Jezuitów Mareli, który wcale nie istniał; był natomiast w tym czasie prowincyałem O. Ludwik Maselli (1591—1594). Na str. 367 powiada autor,

¹ Kościół Zamkowy czyli Katedra Wileńska, część I—II. Wilno 1908, 1910.

² *Instructio literae Regis Stephani Bathorii, quibus Georgius Radivilius, Eppus Vilmensis, totius Livoniae praefectus constituitur, datae Rigae 1 Maii 1582, cf. Livoniae Commentarius Gregoria XIII ab Antonio Possevino scriptus, e codice Bibl. Vatie. edidit Napiersky, Rigae 1852. Zob. także listy Piotra Skargi, pisane w Rydze 21 kwietnia, 17 czerwca i 24 października 1582.*

że Bractwo Bożego Ciała przy kościele św. Jana w Wilnie, założone przez Skargę w r. 1579, lecz mylnie, bo już w r. 1574 przez niego związane zostało, jak świadczą listy ks. Stanisława Warszewickiego, rektora wileńskiego kolegium, niewydane dotąd.

Ks. Jan Sygański.

Tu es Petrus! *Ksiądz Piotr Mańkowski.* Rozważania dla kapłanów. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp. 1913 r. str. XII. 240. 8°.

Rodzima nasza ascetyczna literatura zubożoną została przez ks. Piotra Mańkowskiego pracą niepośledniej wartości.

Jest nią szereg rozważań dla kapłanów p. t. *Tu es Petrus!* które Autor opiera na tekstach Ewangelii i Dziejów Apostolskich wybraawszy z nich te ustępy, które odnoszą się w szczególności do św. Piotra.

Wychodząc z założenia, iż każdemu z kapłanów przypada w udziale jakaś część niezrównanej godności Piotrowej, Autor pragnie wszczepić w swoich współbraci przekonanie, że świętym obowiązkom i szczytnym zadaniom swego posłannictwa odpowiedzieć snadnie potrafią wzorując się na cnotach i rozglądając się w życiu Księcia Apostołów. — *Tu es Petrus!* Bądźże zatem jemu podobny nie tylko w piastowaniu godności, ale również w postępowaniu i w czynach. Podobnyś mu niechybnie w jego błędach i ułomnościach, naśladowałeś go nawet może w jego upadku: niechże ci to będzie nauką i ostrzeżeniem; natomiast patrz, iż jako cienie wobec jasnych promieni słonecznych rozwiewają ci się one, gdy je porównasz z jego zasługami, gorliwością, miłością ku Chrystusowi i sprawom Bożym: w tem tedy idź za nim!

„Rozważania“ podają chronologicznie wszystkie, bez wyjątku przekazane nam przez Ewangelistów szczegóły życia Piotra Apostoła i najważniejsze z tych, jakie Łukasz św. o nim zostawił w „Dziejach“. I tak otwieramy książkę na 40 wierszu I-go rozdziału Ewang. św. Jana t. j. na opowieści o powołaniu Szymona syna Jana, a zamykamy na 11 wierszu rozdziału XII-go dziejów Apostolskich, gdzie czytamy szczegóły wyswobodzenia go przez Anioła z Herodowego więzienia.

Pierwszy punkt każdego rozważania wypełnia rozwinięcie podane go na wstępie tekstu; punkta następne służą do wysnucia praktycznych wniosków i wprowadzenia ich w tok codziennego życia i obowią-

ków, jakie stan kapłański niesie ze sobą. Przenikliwie i z niezwykłą zręcznością umie Autor uchwycić i uwydatnić najwybitniejsze rysy charakterystyczne św. Piotra, wyzyskując w ten sposób naturalnie i bez najmniejszego wysiłku cytowane przez siebie teksty. Również nie uchodzi bacznej jego uwagi żaden ważniejszy szczegół kapłańskiego życia i prac kapłańskich, które nawiązuje co chwila umiejętnie do osnowy swoich „Rozważań”. Wystarczy nam przytoczyć niektóre ich tytuły, by zoryentować się z łatwością, iż praca ks. Mańkowskiego, w niewielkich stosunkowo ramach, zamyka całokształt, nieledwie kapłańskiej ascezy. Idą więc kolejno tematy: o powołaniu kapłańskim i o pokorze kapłańskiej; o wierze w życiu kapłana; o wielkości stanu kapłańskiego; o szczęściu kapłana; o unikaniu zgorszenia; o duchu zgody; o potrzebie doskonałości w życiu kapłana; o pragnieniu zjednoczenia z Jezusem; o potrzebie wytrwałości; o przeszkodach do wytrwałości; o środkach do osiągnięcia wytrwałości; o bronieniu sprawy Bożej; o przyczynach upadków; o powstaniu z grzechów; o gorliwości kapłańskiej; o miłości P. Jezusa do kapłana; o pracy i stanowisku społecznem kapłana; o zewnętrznej czci Boga; o badaniu własnego sumienia; o miłości kapłana ku Jezusowi Chrystusowi; o miłości dusz ludzkich; o obowiązkach pasterskich kapłana; o zgadzaniu się z wolą Bożą; o niepodzielnem służeniu Bogu; o roztropności i prostocie ducha w życiu kapłana; o głoszeniu słowa Bożego; o unikaniu samolubstwa; o męstwie w postępowaniu; o stanowczości charakteru; o bezinteresowności kapłańskiej; o słuchaniu spowiedzi; o równości w postępowaniu; o ufności w Bogu.

Pracę cechuje bogaćstwo myśli połączone z wielką swobodą i prostotą. Styl jędrny i zwięzły. Rzecz cała wolna od wszelkiej rozwlekłości i powtarzań, owiana urokiem świeżości i nawskróś oryginalna. Nie wątpimy, iż przyniesie czytelnikom swym wiele pożytku i dlatego kończymy życzeniem, by się mogła znaleźć w ręku każdego kapłana.

Dodajmy, iż forma zewnętrzna książki nie pozostawia nic do życzenia.

Listy z podróży: I. Podróż do Ziemi Świętej. II. Włochy. *Adam hr. Sierakowski.* Warszawa. Biblioteka dzieł wyborowych. T. 784—785. str. 143 i 262.

Niektóre książki przyrównywała pani de Sévigné do pięknych, świeżo zerwanych wisien. Stawiają przed nami cały ich koszyk i nie siamy je do ust, jedną po drugiej, niemal bezwiednie, spostrzegłszy się

wówczas dopiero, że ich zabrakło, gdy ręka, zamiast z rozkosznym owocem, spotka się z pustem dnem koszyka albo talerza.

Porównanie to da się najsluszniej zastosować do „Listów“ Adama Sierakowskiego. Czyta się je jednym tchem, bez znużenia, niosą jakieś orzeźwienie i wypoczynek, i z żalem spotyka się oko z kartonem okładki, przeczytawszy ostatnią stronicę.

Tom pierwszy obejmuje listy z podróży do Ziemi Świętej — tom drugi z podróży do Włoch.

I tu, i tam zarówno natura, jak sztuka znajdują w Adamie Sierakowskim zmysł wrażliwy na piękno, umysł, któremu niedość jest ślizgać się po powierzchni spotykanych ludzi i rzeczy: chwilowy ich kontakt obudza w nim głębsze refleksye, niejednokrotnie skryształizowane w krótkim, jędrnym, pełnym szczerzego przekonania i dojrzałej obserwacji zdaniu. Tak pisze pod wrażeniem etruskiego grobu Voluminów koło Perugii: „Jaka to blaga, kiedy się rozprawia o stopniowym postępie ludzkości w sferze nauki i sztuki. Nie postęp, ale ciągle kręcenie się się w przód i w tył w ciasnem kole, zakreśloneb biednej ludzkiej naturze przez odwiecznego Pana wszechświata!“ (t. II. str. 200).

Obok wysokiej kultury umysłowej w „Listach z podróży“ przebija na każdym kroku wysoka kultura serca. To nadaje im charakter *intime*, ciepły i naturalny, prosty a szlachetny, daleki od pozy i ugania się za sztucznym efektem takich, choćby, koryfeuszów, jak filozof-poeta z Weimaru, lub Henryk Heine. Pisze je człowiek żywo wierzący, któremu przyjęta u Świętego Grobu Komunia jest „chwilą najważniejszą całej pielgrzymki“ (t. I. str. 125.) a w niebezpieczeństwie życia na okręcie, wśród rozszalałej burzy morskiej towarzyszy błogie uczucie, iż w sam dzień wyjazdu przystępował do Stołu Pańskiego (t. II. str. 206). Pisze je do ukochanej towarzyszki życia, więc wszystkie listy przewiewa jakby jedno tchnienie tęsknoty, jakby powracająca ustawicznie zwrotka Mickiewiczowskiego „Wezwania do Neapolu“: — Znaszli ten kraj? . . . — Tu byłby raj, — Gdybyś ty ze mną była! . . . Opisując widok kopuły świętej Zofii i Złotego Rogu przy wjeździe do Konstantynopola woła: „Tak to było piękne, żem już nie mógł się tem cieszyć, bo zbyt boleśnie mi było, że ty tego widzieć nie możesz!“ (t. I. str. 35).

Wdzięczność należy się hr. Adamowej Sierakowskiej, iż podzieliła się z szerszem kołem czytelników tą drogą dla niej po Zmarłym spuści-

zną, której zapowiedzianego nam dalszego ciągu oczekujemy z upragnieniem.

Piękna przedmowa profesora Kazimierza Morawskiego starczy za najlepszą recenzję.

Ks. Józef Tuszwowski.

Z piśmiennictw obcych.

Geschichte der Weltliteratur. VI. Die italienische Literatur. Baumgartner Alex. S. J. Str. XXIII. 944. Freiburg im Breisgau. Herdersche Verlagshandlung. 1911.

Literatura włoska ks. Baumgartnera jedną wybitną a niezaprzeczalną posiada zaletę, którą przedewszystkiem zaznaczyć wypada: jest jasno i przejrzysto napisana. Styl prosty a nadzwyczaj miły stanowi ważną rolę w popularyzacyi książki, i staje się łatwym tłumaczem myśli autora.

Całość ujęta w cztery główne epoki, pozostawia pewną wątpliwość co do odpowiedniego podziału. Wogólności literatura włoska przedstawia oczom badacza trzy główne fazy: odrodzenie i humanizm, powolne obniżanie się poziomu i — romantyzm wykwitły pod budzącem się hasłem „miłości ojczyzny“ na nowe życie: *vita nuova*. W podziale Baumgartnera epoka pierwsza zwie się *Mittelalter und Frührenaissance* a obejmuje poezję przeddantejską z Dantem, a potem Boccaciem, Lorenzem di Medici, z Pulcim i z Bojardem; część druga: *Hochrenaissance und Spätrenaissance* (1500—1750) z Aryostem, Castiglionem, Wictorią Colonną i Michałem Aniołem, z Machiavellem, Qui-ciardinim, Torquatem Tassesem i, co najdziwniejsze, z Marinim oraz poetami tzw. „Arcadii“; część trzecia p. t. *Neuzeit* (1750—1870.) kończy się słusznie zjednoczeniem Włoch; księga zaś IV nosi tytuł *Das geeinte Neu-Italien* (1870-1910). — Widać z powyższego podziału, że najbogatsza epoka literatury to jest epoka odrodzenia, **wymyka** się u Baumgartnera ze stałych ram, zaczepiając początkami o średniowiecze i wciągnięta zbyt głęboko w XVII a nawet XVIII wiek, nie daje odrębnej całości. Taki Marini i Arcadia, wetknięte w epokę choćby nawet późnego renesansu, nie dają odczucia tych różnic, jakie zachodziły między

Michałem Aniołem a Marinim. Z jednej strony podział wydaje się za szeroki, z drugiej niepotrzebnie rozdwa ja tak wybitnie znamieną epokę jak renesans.

W technicznej budowie książki daje się odczuwać pewna nierównomierność w ocenach czasów i ludzi. Literatura upadku, a potem romantyczna, więcej miejsca zajmują, jak ściśnięta na 300 stronach czterowiekowa literatura odrodzenia. Prawda, że w romantycznej szczególnie epoce, dzięki patryotycznym prądom niejednem światłem zajaśnieje literatura Włoch, przecież jednak darmo tam szukać ludzi tej miary co Dante, Petrarca lub Tasso i cały szereg z epoki odrodzenia.

Te dwa zarzuty możemy zrobić dziełu Baumgartnera. Bynajmniej nie zdołają one ni trochę przyćmić zasług niepospolitego erudyty i niestrudzonego badacza kultury umysłowej. Jest w książce wiele rozdziałów, n. p. o Dantem, Boccaciu, lub Castiglione a dalej Alfierim, Leopardim, Manzoniem, które dają wrażenie niesłychanie zręcznych i zwiezłych monografii, jest wiele rozdziałów zamykających dzieje tragedji, opery, dramatu muzycznego, wymagających specjalnych ocen, jest jednak nade wszystko silny a zdecydowany kierunek i punkt, na którym stanął badacz, spoglądający na całość literatury włoskiej i na kulturę w okresie renesansowym z punktu ściśle i wybitnie katolickiego. Prócz tego jest jeszcze Baumgartner wybitnym krytykiem i bystrym spostrzegaczem.

Literaturę włoską widzi zawsze ściśle spojeną z życiem politycznem i społecznem całego włoskiego narodu. Literaturę widzi, jako jeden z potężnych przejawów bujnej a potężnej kultury Włoch i dzięki temu tłumaczy nam znakomicie zjawiska uderzające na pierwszy rzut oka odosobnieniem i fenomenalnością. Dzięki tej orientacyi potrafi naprawiać te wszystkie braki, które powoduje u niego dziwna jakaś nierównomierność w rozpatrywaniu materyale. Oto przez rozwlekłe, a kosztem innych ważniejszych, ze stanowiska literackiego zjawisk, rozpatrywanie *Religiöse Literatur in der Volkssprache und Franciskanerpoesie* przygotowuje jednak wspaniałe grunt pod budowę dantejskiej „Boskiej komedyi“ i wyjaśnia nam, dlaczego przeważała u Danta chęć pisanja w *dolce stil nuovo* i skąd wzięło się u niego to zeszyntetyzowanie mistycyzmu współczesnego życia, jakie jest w *La divina Comedia*. Słusznie przeto żałować trzeba, że brak

jest autorowi tej równomierności w traktowaniu materiału, bo ileżby skorzystała mogła na tem synteza i to szczególnie renesansu włoskiego. Prawda, iż prześliczne kwiatki „św. Franciszka z Assyżu“ godne są dłuższego zastanowienia, ale na cóż to czynić, kosztem takiego na przykład: Brunetta Latini, zbytego na kilku stronicach. Ten Brunetto Latini, postać niezmiernie doniosła w dziejach „Trecenta“, jest przecież pierwszym zjawiskiem uniwersalnych ludzi odrodzenia włoskiego; przy badaniach epoki, wysuwa on się ustawicznie jako pisarz, poeta, dyplomata i urzędnik państwa, który bynajmniej nietylko dlatego ma sławę światową zapewnioną, że go Dante zwał swym nauczycielem, lecz chyba przez to — jak słusznie potem Baumgartner zaznacza, że był Dantego i odrodzenia *Vorläufer und Pfadbereiter*. On to swą uniwersalnością jest jakby zapowiedzią tego rodzaju zjawisk jak Leonardo da Vinci, Michał Anioł lub taki Leon Batista Alberti, którego sam autor nazwie *vielseitiger Mann*. Alberti słynął istotnie jako malarz, architekt i matematyk, a zajmował się jeszcze gimnastyką, filozofią i prorokowaniem i był jakby wcieleniem tego, co wówczas w ogólnej pogoni za zdobyciem wiedzy zwano *homo universale*.

Także źle czyni Baumgartner, poświęcając Leonardowi da Vinci jedynie małą wzmiankę przy opisywaniu dworu Ludwika il Moro w Medyolanie. Waldemar v. Seidlitz, autor w r. 1909 w Berlinie wydanej monografii o Leonardzie da Vincim, słusznie powiada, że Leonardo jest tak ściśle spojony z kulturą i umysłowością ówczesnych Włoch, iż jego życie to dzieje kultury włoskiej w owym czasie. Leonardo jest człowiekiem ogniskującym w sobie najlepiej ten pęd do wiedzy ludzi odrodzenia i ze względu na stanowisko w kulturze włoskiej, powinien otrzymać kilka rysów choćby ogólnych.

Poza tymi brakami, zrodzonymi częściowo stanowiskiem autora oraz ogromem przedmiotu, jako cecha dodatnia jego umysłu krytycznego i spostrzegawczego rzucają się w oczy jego znakomite charakterystyki i syntezy. Baumgartner przeciwstawia się w swej charakterystyce odrodzenia, mimowoli krytykom protestanckim, którzy wolnomysłność i indywidualizm włoski tej epoki poczytywali za bezwzględne źródło reformacji Lutra, a Savonarolę uważali za jednego z poprzedników w rodzaju Husa. Baumgartner wyraźnie podkreślił katolickie i zgodne

z dogmatami życie ogółu włoskiego w epoce odrodzenia, albowiem jestto czas, w którym Kościół przez umiłowanie wraz z całym społeczeństwem nauki i sztuki, spaja się z nim w głównej idei patrzenia na świat a dzięki temu przy całym indywidualizmie jednostek rzadkie są wypadki wystąpienia w dogmatycznym znaczeniu. Przeciwnie, u najbardziej indywidualistycznie usposobionych jednostek, spotykamy się z obroną Kościoła i stolicy Apostolskiej a najzagorzalsi humaniści, a co więcej, jednostki skądinąd stojące moralnie dość nisko, piszą apologię na cześć papieża, a wszelkie filozoficzne traktaty o duszy lub wolnej woli kończą zawsze poddaniem się nauce Kościoła. Ni Collucio Salutati ni Savonarola w niczem nie zasługują na miano poprzedników Lutra. Jeżeli zaś ktoś zarzucił, że wiara i prawomyślność tych wybitniejszych jednostek jest raczej zewnętrzna, to będzie ona z pewnością wprost płynącą z serca u ogółu; lud bowiem włoski i społeczeństwo stoi mocno przy dogmatycznych zasadach stolicy. Na tę zasadniczą cechę włoskiego humanizmu, zdaje się nie zwracać uwagi nawet najwybitniejszy jego historyk niemiecki: Burchkardt.

Niemniej znakomicie odczuwa Baumgartner podstawy kultury humanistycznej, *Was der italienischen Literatur übrigens von Anfang an ein anderes Gepräge gab, als es die französische oder provensalische hatte, das waren die politischen Verhältnisse, unter welchen sie hervorwuchs. Königtum und Rittertum waren hier nicht das beherrschende Eins und Alles.* Społeczeństwo podzielone na republiki z konsulami i senatorami na czele pozwalało na rozrost i wykształcenie mieszczaństwa i zapewniało rozbujały indywidualizm, podobnie jak w dawnej Grecyi. *Sie sind* — powiada Baumgartner — *die eigentliche Wiege der neuen europäischen Demokratie.* Rządy zresztą ciągle się zmieniały, nawet t. zw. tyranie były niepewne a ta ciągła zmiana odpowiednio wpływa na rozpolitykowanie mas i mieszczaństwa. Życie koncentruje się na dworach, względny spokój i mecenasostwo zapewnia rozwój kulturze i sztuce, literatura rośnie na dworach możnych, życie upływa wśród elegancji, zbytków i pięknych form, jest to życie „dworzanina“ Baltazara Castigliona, którego Baumgartner wziął słusznie za obraz ówczesnej epoki w życiu prywatnem. Podobnym obrazem wartości moralnej politycznego życia odrodzenia, jest bezsprzecznie nakład Machiavellego „Książę“,

którego doniosłość jako wyrazu epoki zdaje się jednak autor nie doceniać.

W dalszej części dzieła, stanowczo nieproporcjonalnie wielkiej w stosunku do epoki renesansu, omawia Baumgartner w nieco przydługich, jak dla przeciętnego czytelnika rozdziałach, objawy upadającej literatury. W XVII wieku odbłaskami dawnej świetności narzuca ona przemożny swój wpływ w formie zepsutego smaku całej Europie współczesnej, wydaje Alfieri'ego, Monti i Algarotti'ego, ale już widać w nich przejmowanie się wzorami obcymi, szczególnie francuskiego klasycyzmu i Woltairem.

Romantyzm dopiero uczyni literaturę włoską oryginalną, jednak już nie nada jej dawnej świetności.

Ogólny pogląd na romantyczną epokę słuszny i znakomicie uchwyciony; wybitnie zaznacza Baumgartner kierunek narodowy literatury i ścisłą zależność od wypadków politycznych. Ukazanie ogromnie budzącego się kultu Danta zamyka szereg śmiałych i trafnych definicji.

Całość czyni ogromem materiału wrażenie bardzo wielkie, jasność jest jej cechą dodatnią, razi jedynie ta nieproporcjonalność w rozkładzie materiału, którą starałem się zaznaczyć.

Maryan Albiński.

„Le Vieillard“ — La vie montante — Penées du soir. *Mgr. Baunard.* Paris. 1913.

Czyje życie zbliża się ku zachodowi — brzemieniem lat znuzone ramiona pochylają się, a serce, pełne tęsknot i żaloby odwraca się ku minionym wspomnieniom dni jaśniejszych — niechaj otworzy karty tej książki. Powiedzą mu one, że starość, to nie zstępowanie w dół — to postęp — to zbliżanie się do szczytu — to jasność, coraz bliżej oglądana.

A komu czas nie pobiełił jeszcze głowy, serce tętni żywo, a pełne siły dłonie wyciągają się ochotnie po radość życia i jego trud — niechaj czyta ją także. Znajdzie tam myśli, które go pouczą, jak żyć, aby mieć taką starość, która nie zachodem jest, ale świtem. Treścią tej książki to życie — jego światło i prawda — wiara i wiedza — Bóg, Objawienie, Kościół.

A dalej znowu życie: obecna doba, postęp i walka — trudy

i obowiązki — radość i smutek — wreszcie szczyt żywota: wieczność w Bogu.

„Oto przeciąga się bieg mego życia, a strumień dni moich blizkim już jest oceanu. Oto dlatego poniosę prawdę obficie i dalej tym wszystkim, którzy pokładają nadzieję w Panu. I nie spocznę, aż u dni ostatka. Bo nie pracowałem tylko dla siebie, ale dla tych wszystkich, którzy miłują prawdę i szukają jej“. (Ekkł. XXIV).

To są naczelne myśli tej książki — jej treść i cel. Rozpoczyna ją hymn uwielbienia dla Stwórcy, którego ojcowskie dłonie „niosą“ chrześcijanina ponad falami życia ziemskiego. A potem — spojrzenie rzucone wstecz na drogę postępu — stwierdzenie olbrzymich zdobyczy nauki i kultury materialnej. I zapytanie: czy zwiększyły sumę szczęścia na ziemi? Filozofia nicości zrodziła poezję nicości — po apostołach wolnej myśli, przyszli wyznawcy wolnej etyki — a jako rezultat, dusza ludzkości smutna i rozczerwiona.

Autor wskazuje nam opatrne drogi, któremi szły w górę dusze myślicieli, co tęsknili do prawdy — i powtarza ich słowa otatnie, jakimi witali zdobytą prawdę: *Verae voces!* Przesuwają nam się przed oczyma wielkie postacie konwertytów — i świetlane rysy mocarzy wiedzy ludzkiej, dla których prawda Boża była jasną i z pokornem oddaniem umiłowaną.

Ale są umysły, które oczy ducha przed nią zamykają — tak jak Samson, pozbawieni wzroku, dla Filistynów obracają żarna nauki — na usługi fałszu — nie prawdy. Ci, którzy jej szukają umysłem i sercem, — znajdują ścieżki do niej wiodące. Ta sama ręka, która zawiesiła gwiazdy na niebieskim stropie, stworzyła i najdrobniejszy kwiat, ukryty w trawie. Ci, którzy patrzą z pokorą i miłością, ślady tej ręki ojcowskiej umieją dopatrzeć — geniusz myśli ludzkiej. Zdobycze nauki — nie przeszkodą im tu są — lecz pomocą. Każde wielkie odkrycie — wynalazek naukowy — winny nosić na czole imię tego, który jest źródłem, początkiem i końcem wszechrzeczy. „Pojęcie Boga jest tym punktem środkowym, o który opiera się wszechświat“ — powiedział Fryderyk Ozanam. Ale dziś — targają się zuchwale na tę podwalinę — i wtedy myśl ludzką ogarniają ciemności. Cierpią serca milionów — leją się potoki łez i krwi, aż z tego chaosu zabrzmi znów zwycięskie: *Credo in unum Deum!*

Znużony racjonalizm pragnie oparcia i chroni się pod wieczysty autorytet Kościoła. Potężna postać Leona XIII bierze w ramiona rzesze pracującego ludu i światłem niebieskiem rozświeca mroki stulecia — wszak nosił nazwę *Lumen de coelo*. Ale ciemności nie dają za wygraną. Czasy dzisiejsze są dobą wulkanicznych wstrząśnień — my, którzy mamy wiarę, wiemy, że z pozornych gruzów nowe wyrasta życie.

W drugiej części dzieła swego — autor kreśli cenę i urok uczuć, które z latami coraz silniejsze zapuszczały korzenie. Kreśli pełen poważnego wdzięku obraz dwojga starców, którzy z miłością szli przez życie — a kochając się coraz lepiej, doszli do brzegu mogiły. Myśli ich i uczucia bieleją jak igłowy — coraz czystsze i jaśniejsze. To wieniec starości chrześcijańskiej. Kwitną w nim uczucia słodkie i odmładzające — miłość do wnuków. Czoło starca — chrześcijanina wieńczy korona ojcostwa i kapłaństwa niemal, gdy drżącą dłonią błogosławi tych, co są krwią z jego krwi — duchem z jego ducha.

Ostatnie lata życia, to lata żałoby, znaczone coraz nowymi grobami. Wspomnienia tworzą obecność tych, którzy odeszli, ale żyją w pamięci serc kochających. Miarą siły ducha, to trwałość i głębia prawdziwej boleści. Ale ostatnie kroki wiodą do nieba, gdzie w radości powitają się ci, którzy rozstawali się ze łzami. W Bogu pocieszenie — w Bogu żywot prawdziwy na wieki.

Starość jest Wielką Sobotą życia — jutrem po męce krzyża — wigilią niekończącego się szczęścia zmartwychwstania ... czy słyszysz, starcze chrześcijański, jak brzmią już wielkanoce dzwony? jak rozlega się wieczne Alleluja?! ...

Helena Skolimowska.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Dzieła dramatyczne w XII. t. z portretem autora *William Shakespeare*. Nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie in 8-o.

Potężny twórca angielski doczekał krytycznego wydania swych dzieł. Dokonał go prof. R. Dyboski, który całość poprzedził wyczerpującym wstępem o życiu i twórczości Shakespeara.

Cennym jest przede wszystkim rozdział drugi wstępu, w którym prof. Dyboski zamieścił naukowe dane o tekście dzieł Shakespeara, o rozwoju teatrów angielskich z czasów drugiej połowy XVI. a pierwszej XVII wieku; przedstawił postępy na każdym polu literatury, której rozwojowi sprzyjała historia,

tak, jak w żadnem innem ze współczesnych państw. Trzeci rozdział wstępu poświęcił jego autor trwałym i nieustającym wpływom, jakie Shakespeare wywierał i wywiera na najwięcej nawet indywidualne jednostki twórcze wszelkich narodowości. Jak całość poprzedza wstęp, tak każdy z poszczególnych dramatów ma osobne krytyczne omówienie również pióra prof. Dyboskiego. Jeżeli się zaś doda, że przekładów dokonali tacy ludzie, jak J. Kasprowicz, J. Korzeniowski, St. Koźmian, K. Ostrowski, A. Pajgert, J. Paszkowski, E. Porębowicz i L. Ulrich, to całość nabiera wielkich wartości, jakich dla naszej literatury jak najwięcej życzyćby należało.

bn.

Jezus nas woła.... Misteryum eucharystyczne w dwudziestu trzech scenach.
Ks. Paweł Wieczorek. Tarnów. 1913 r.

Autor w roku eucharystycznego kongresu w Wiedniu stworzył piękne w swoim rodzaju misteryum eucharystyczne, w dwudziestu trzech scenicznych obrazach zamykające ważniejsze przejawy żywej Eucharystyi na ziemiach zwłaszcza polskich. „Jezus nas woła...” oto hasło wzięte z życia obecnej doby katolickich prądów w najgłębszej jego rzeczywistości. To nie wywód ascetyczny, ani moralna rozprawa, ale fakt stwierdzony w życiu społecznym, jak i w życiu każdej chrześcijańskiej duszy.

W kaplicy papieskiej przed Sanctissimum modli się Pius X., papież Eucharystyi, i prosi o ratunek dla swej owczarni, dla „synów upadłego ducha”. Jezus wysłuchuje głosu Kościoła i głosu Polski niewolnej i rozsyła „radosną wieść” — „bierzcie i jedzcie” — oto oręż — ciepło — światło — pokarm. Płynie więc z Watykanu. papieskie orędzie, płynie z ołtarzy pro-

ba „Więznia miłości”, rozlega się głos: „Wodza do kapłanów polskich hufców” i brzmi łagodnie wezwanie Ojca do ojca, matki, by w tabernakulum szukały siły, pociechy... Ukazują się następnie trzy piękne sylwetki: dziewicy dziewicze zawiązującej przymierze z Eucharystycznym Oblubieńcem, studenta na wzgórku pod krzyżem walczącego z duchem świata, widmem, głodem, rozpaczą i sumieniem własnem, a wreszcie mędrca, co „jak mistrz stanął nad głupotą tłumu”.

Oto owoce, oto dzieło Eucharystyi; ona przyciska ich do swego ożywczego łona i do wzniosłych prowadzi ich przeznaczeń. Jezus eucharystyczny wszystkich ogarnia. — Najmilsze mu jest dziecię, dopuszcza je do siebie, by je popieścić i do swego przytulić serca. Woła bogacza, marnotrawcę, nad grobem stojącego już grzesznika, co zwątpił nawet w wieczne szczęście swoje, co przeszedł życie zdala od Boga. Wszystkich Jezus nawraca, uspokaja i do siebie serdecznie przytula. Nie zapomina i o ubogim i chorobą złożonym nędzarzu. Oto obecne: „przeszedł dobrze czyniąc”, oto terazniejsze „i widzieliśmy cuda jego”, oto „droga, prawda i żywot” w objawach eucharystycznych.

Dalsze obrazy przedstawiają nam eucharystyczny powiew nad emigrantów tłumem. W pożegnaniu rodzinnej ziemi, we „Wigilii”, fragmencie z myśli i uczuć wychodźców za morzem, w powrocie do ojczyzny, powitaniu i przyjęciu na rekolekcyjnej uczcie jedno słychać echo: „Jezus nas woła...” Chleb eucharystyczny i eucharystyczna uczta są najlepszem lekarstwem na rany naszej emigracyi. Obrazek ostatni, to scena z kongresu eucharystycznego w Wiedniu, przedstawiająca nam procesję z N. Sakramentem przez ulice stolicy wśród przeslicznych chorów wszelkiego stanu i wieku, a wszyst-

ko kończy błogosławieństwo Jezusa z monstrencyi.

Oto tak mniej więcej przedstawia się pięknie ujęte i z uczuciem napisane eucharystyczne misterium. Są tu i ówdzie jakieś braki, rzecz do arcydzieła pretensyi sobie rościć nie może, ale wszystko równoważy aktualność, zrozumienie rzeczy i odczucie aktualnej prawdy w naszych eucharystycznych czasach. Oby literatura polska, teraz zwłaszcza wśród rozgłosu Eucharystyi, wzorowała się prawdą i duchem „Ukrytego Boga“; oby eucharystyczny wiek wydał Eucharystyi wieszczów.

J. P.

Krasiński a Norwid. Dr. Stanisław Kossowski. Lwów, 1912. Nakładem księgarni L. Chmielewskiego.

„Odkryty“ przez Miriamą, niezwykły poeta Cyprian Norwid, nabiera coraz wyraźniejszych kształtów, dzięki zwróceniu nań uwagi poważnej krytyki naszych historyków literatury. Odkrył go i wiele faktów, dotyczących się jego osoby, przeczuł Miriam, a obecnie wydając trzeci tom jego utworów (u Morkowicza w Warszawie) uprzystępniał poznanie tego poety ogółowi polskiemu. Wielu jednakże spraw i kwestyi, odnoszących się do Norwida, musiał się Miriam domyślać, zastanawiając się nad życiem jego i indywidualnością, brakowało mu bowiem materiałów biograficznych, niezbędnych do bliższego scharakteryzowania umiłowanej przez siebie postaci.

Dopiero dwutomowa praca Adama Krechowieckiego (O Cyprianie Norwidzie. Lwów 1909) oparta na nieznanych dotąd źródłach, dzięki sumienności i bystrości krytycznej autora tej pracy, przyniosła podstawowe dane do poważnej oceny i określenia charakteru Norwida. I skutkiem tego

stał przed oczyma czytelnika Cyprian Norwid w głównych zarysach taki, jakim był, uwolniony od brudu, szyderstw i zawiści, jakich nie szczędzili mu współcześni, ale też i pozbawiony niesmacznej aureoli operetkowego zachwytu i entuzjazmu nieszczerzego, jaki poczęli najdawniej rozglądać ci, którzy go najmniej znali, rozumieć i czytać.

Na fundamencie pracy Krechowieckiego mogła już bezpiecznie stanąć postać Cypriana Norwida, zarysowana konturami światłymi i pewnymi w głównych swych, zasadniczych liniach. Teraz można było przystąpić do szczegółów, tembardziej, że pojawiły się nowe źródła, dotąd nieznane, w listach Krasińskiego do Koźmiana i Cieszkowskiego (wyd. prof. dr. J. Kallenbacha).

Taką pracą poważną w tym rodzaju jest publikacja: *Krasiński a Norwid* dra St. Kossowskiego. W głównych zarysach wyniki tej pracy zgodne są z oświeceniem stosunku Krasińskiego i Norwida w książce Adama Krechowieckiego, z tą różnicą, że określenie tego stosunku, oparte na skąpem materiale biograficznym, a zarysowane śmiało, bystro i pewnie przez autora, teraz u Kossowskiego staje się ściślej szmem z powodu wyzyskania nowych materiałów i prawie w całości rozjaśnionem.

Skutkiem tego czytając studium dra Kossowskiego, przeżywamy niejako sami czasy zajęcia się Krasińskiego działalnością literacką Norwida, ich wspólnego pobytu w Rzymie, kiedy to Norwid, pomimo swej wybitnej indywidualności, ulegał w części wpływowi i przewadze umysłowej genialnego i starszego poety; czas ich wzajemnej ku sobie niechęci, ich pojednania i wreszcie głosów uznania, jakich nie szczędził Norwid Krasińskiemu tuż po jego zgonie.

Wszystkie te momenty ocenia i określa dr. Kossowski na podstawie dokładnego przemyślenia dostępnych mu materyałów biograficznych; w ustępach zaś, gdzie musi stawiać hipotezy, czyni to tak umiejętnie i oględnie, że hipotezy te stają się niemal pewnikami.

Podkreślając tę wybitną, pierwszorzędną wartość publikacji dra Kossowskiego, wyrażamy słuszne życzenie, by i nadal swą pracą, sumiennością i bystrością zechciał poświęcić wyjaśnieniu innych kwestyi z życia Norwida.

A. S.

Powinszowania dla młodzieży i wiersze pamiątkowe dla starszych osób.
Franciszek Habura. Wydanie nowe. Tarnów. Nakładem księgarni Zygmunta Jelenia.

Znany przyjaciel młodzieży, jej profesor, inspektor, a wreszcie c. k. radca szkolny, bardzo dobrze zrozumiał, jak wielkie znaczenie dla młodzieńczego wieku mają powinszowania. Widział on, że ten tak ważny z wychowawczych względów dział piśmiennictwa naszego leży zaniedbany, „stanowi najlichszą, wcale nieuprawnioną grządkę na niwie literatury dla młodzieńczego wieku“, a jeżeli jest zasilany, to przeważnie dla interesu tylko i senszacyi obliczonemi wierszydkami bez myśli i bez formy. By złemu zaradzić wybrał co najlepsze ze wszystkich podręczników i dodał do swoich, tak trafnych i do młodzieńczego zastosowanych wieku wierszyków, i wydał już na nowo zbiór powinszowań dla młodzieży i pamiątkowych wierszy dla dojrzałych osób. Młodzież zwłaszcza znajdzie tu bardzo piękne, proste, a serdeczne formy powinszowań nie tylko na dzień imienin rodziców, krewnych, znajomych i t. d., lecz także i na Nowy Rok, a wszystko to tak

ułożone, jak gdyby z dziecięcego wypłynęło serca. Piękne są także wiersze pamiątkowe na jubileusze, uroczystości domowe i szkolne, wiersze dedykacyjne i wreszcie wiersze do imionnika. Książeczka więc ta powinna spotkać się z uznaniem, a autor doznać wdzięczności, zwłaszcza od młodzieży, którą tak ukochał.

J. P...a.

Wiara chrześcijanina jaką być powinna.

X. Zygmunt Stachenau T. J. Przełożył z niemieckiego X. Franciszek Starowieyski. W Brodach, 8-o, str. 168.

Co jest przedmiotem wiary? Cała nauka Chrystusowa, bo Bóg-Człowiek nie robił żadnej różnicy między prawdami swojej nauki. Co jest pobudką wiary? Kościół nic innego nie robi, jak tylko upewnia, że artykuł wiary należy do prawd objawionych, ale dlatego nie stanowi Kościół właściwej pobudki wiary, — a chrześcijanin, gdy mówi: „wierzę w ten artykuł, albowiem Kościół tak podaje“, — słowami temi oznacza tylko powód, dla którego uznaje artykuł za objawiony, ale nie powiada, dlaczego uznaje prawdę nieomylną w słowie Chrystusowem: prawdziwą pobudką jest Boska powaga, której wierzymy. — Tu szanowny tłumacz zauważył najśluszej, że byłoby więcej wskazaniem w tem miejscu wobec niedowiarków, mówić o Bóstwie Chrystusowem; autor potrafił ledwo pobieźnie wypadek Zmartwychwstania i cuda, które okazują Boską powagę słów Chrystusowych, nie do niedowiarka przemawia, tylko do innowiercy, który uznawał Boską powagę Chrystusowych słów, ale o nich wątpił, czy przechowują się czyste w Kościele powszechnym. Przeciw takiemu czytelnikowi autor wywodzi, że nauka Kościoła zgadza się z prawami rozumu. Zaznacza przy tem, że wiara wymaga ofiary z rozumu, i w tym szczególe nie

wyraża się jasno; znowu szanowny tłumacz świetną dodaje uwagę, na czem ta ofiara polega: albowiem Objawienie Boże jest dla nas wprawdzie pewnem, ale nie oczywiście, — a niedowiarek, lękliwy wobec tej ofiary, składa ofiarę z rozumu przed duchem czasu i powagą książek, pisanych dla łatwowiernego ogółu. Autor przechodzi do prawdy równie ważnej, jak głębszej, że wiara jest darem łaski a nie zdobyczą przyrodzonego rozumu; tu znowu tłumacz spostrzegł, że nowoczesny czytelnik polski potrzebuje ścisłego wywodu tej prawdy: znajduje znakomite dopiski tłumacza. Tak samo szanowny tłumacz wielce przyczynił ceny książce przez swoje psychologiczne uwagi o „Stałości Wiary“ i „Wątpliwościach we Wierze“. Po rozdziałach o „Czystości Wiary“ i jej „Potrzebie“ następują rozdziały już nie tyle apologetyczne, ile moralne — nie przeciw niedowiarstwu wymierzone ale przeznaczone dla wiernych, jako zasady żywota z wiary. Tu w rozdziale o „Uczynkach z Wiary“ znowu kilka ciemnych myśli autora mogło naprowadzić na wnioski przesadne: tłumacz zapobiegł temu przez jędrne a przejrzyste wyrażone przestrogi. Względ na nowoczesne stosunki państwowe i społeczne wpłynął szczęśliwie na tłumacza, iż przy rozdziałach o „Szczęściu“ i „Pociesze Wiary“ uprzedził zarzuty czytelnika, któremu dziś nie mógł wystarczyć widnokrąg myśli autora z przed lat stu z górą. Jak książkę autora do dziś cenią apologetci, tak społeczeństwo nasze oceni jej przekład. zaopatrzonego w bardzo pożądane uwagi.

K. C.

Z dziejów duszy. *Marcelina Kulikowska.* Spółka nakładowa „Książka“ Kraków. 1911. (8-ka; kt. nłb. 3, str. 224).

Żal życia człowieka, rozbitego o mury przesądów przeróżnych, praw-

dziwych i urojonych, ale stokroć więcej żal duszy człowieczej, zabłąkanej w mroczne opary tumanów, co nad rozdrożami snują się zwykle, duszy, co zwątpiła nie tylko o wszystkim, ale nawet o sobie...

Bo zwątpiła o wszystkim można bardzo łatwo — w chwili słabości melancholijnej, ale — skoro kto zwątpi o sobie — dla tego niema już nadziei polepszenia, ten musi zginąć! To też tragicznie skończyła autorka omawianej książki, ale śmierć ta nie przyszła ku niej sama, dobroczynnie ukończyła na spoczynek wieczny, jak to czynić zwykła z tymi cierpiącymi, co ją o wyzwoleńie duszy z ciała proszą. Kula rewolwerowa pozbawiła życia nieszczęsną...

Ale po co wydano majaczenia chorej na duszy i na ciele istoty, majaczenia wprost godzące w młode umysły, któreby je przetrawić chciały; po co wydano fantasmagorye świata, jakiego nigdy być nie może? Dlatego poważono się podać publiczności strawę, trującą na ogół starego czy młodego, bo zatrutą nihilizmem najskrajniejszym?...

Wszakżeż w naszym młodem pokoleniu tak niewiele siły do borykania się z przeciwnościami, tyle indywidualizmu wybujałego, ale nie dającego uzasadnić się niczem, tyle apatyi i rezygnacyi, że wprost za występki przeciw moralności społecznej należy poczytać wy dawnictwo omawiane, skoro nie skarg, nie zwątpienia, ale o stalowych, granitowych nerwach natur i charakterów nam potrzeba! Gdybyż jeszcze Kulikowska posiadała talent prawdziwy — grzech byłby do wybaczenia. Aleć tu w całej książce mamy do czynienia z umysłem niezrównoważonym, z umysłem tak płytko sądzącym, iż nie jest w stanie usprawiedliwić wydania tej książki. Bo jeśli chodziło o przysłużenie się pamięci zmarłej, to wyda-

niem tem sprawiono jej przysługę, ale — niedźwiedzią.

— „Oj doło, moja doło, w wykrzyknikach i zapytaniach cała! Jasnego nic... pewnego nic... Czy wszystkie życia tymże torem biegną!...”

I po cóż było tak pytać, skoro wiedziało się to, o czem geniuszom jeszcze nie śniło się, a mianowicie, że „celu wyraźnego nie ma ludzkość, a jednak biedz musi po drodze ciernistej, by, złożwszy głowę w mogile, ani dowiedzieć się, gdzie szła i poco... Wszystkie drogi ludzkości są bezcelowe, a siły, zużyte na pracę, która w rezultacie płonną okazuje się“...

Zamiast tak pytać, lepiej trzeba było poszukać odpowiedzi w samej sobie.

Odpowiedź zaś ta, wyrażona nieco później, brzmi następująco: „Życie nie umiem, czy nie chcę, jak inni, a ze mnie samej nie tryska źródło, któreby mnie odświeżyć mogło“...

A już całkiem niesmaczne są gromy papierowe ciskane w Rydla za to, że zdemokratyzował swoje życie prywatne, a Wyspiańskiego znowu za to, że, ożeniwszy się z chłopką, drukował swoje utwory w „Czasie“ i „Przeglądzie powszechnym“... Gdzież je miał drukować? — w „Przyjacielu ludu?“... Chyba ani jedno pismo ludowe byłoby ich nie zamieściło, bo i który chłop byłby co z tego zrozumiał?...

Dr. S. Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Jubileusz i uroczystości konstantyńskie Rok bieżący w życiu Kościoła zaznacza się otwarciem jubileuszu ogólnego dla całego katolickiego świata. Jubileusz ten, ogłoszony 8 marca pismem apostolskim Jego Świątobł. Piusa X. ma za podstawę fakt pierwszorzędnej wagi dla chrześcijaństwa, kultury i całych dziejów świata. Po zwycięstwie odniesionem nad zaborczym Maksencyzmem, które Konstantyn Wielki słusznie przypisał nadprzyrodzonej interwencji Ukrzyżowanego Boga, — przez wdzięczność za otrzymaną pomoc, jak również, aby położyć kres wprost nieznosnym stosunkom, które chrześcijan wyjmowały z pod opieki prawa, a nie mogąc ich wygubić, pozostawiały ogromną i najlepszą część obywateli w jakimś niejasnym, bezprawnym, nienaturalnym stanie bytu, — postanowił on zdobyć się wreszcie na krok stanowczy i w porozumieniu z Licyniuszem wydał w Medyolanie edykt, który normował te oplakane stosunki w państwie, a normował dla chrześcijan korzystnie. Nietylko dawał im tolerancję dla ich religijnych przekonań i kultu, ale tolerancya udzielona zawierała w sobie pewne momenta, które wskazywały niedwuznacznie na przychyłność cesarza ku nim, a nawet ich uprzywilejowanie, które z biegiem czasu wnet się poczynąło urzeczywistniać.

Była to chwila przełomowa dla imperyum rzymskiego a zarazem dla całej kultury. Religia, która siłą, przemocą, z największymi wysiłkami administracyjnymi duszona nie ginęła, tylko rosła — pod ziemią rosła, rozszerzała się, wdzierała się wszędzie i rozsadzała same podstawy prawnego ustroju pogańskiego państwa, — po zdjęciu z niej przygniatającego ciężaru, nagle wystąpiła całą mocą długo hamowanych sił swych żywotnych i przerostem swych pojęć, zwyczajów, instytucji już wnet dokonała pokojowego podboju świata dla kultury chrześcijańskiej. Rok bieżący, jako 1600 rocznica medyolańskiego edyktu, wywołał w całym świecie katolickim żywe wspomnienie i odczucie owego brzemiennego w skutki dziejowego zwrotu, serca zabity radością, a jubileusz ogłoszony przez Ojca św. jest jakby pochwaleniem tej radości, oraz wskazaniem, jak po chrześcijańsku święcić błogie wspomnienie wielkiego tryumfu Kościoła.

Oczywiście centrem uroczystości jubileuszowych jest Rzym, *aeterna Roma*, stolica chrześcijańska. Ale prócz tego, że się tak wyrazimy — urzędowego charakteru **Rzymu**, daje on najwłaściwsze, naturalne i historyczne tło tym uroczystościom, których jest centrem. Wszak w jego obszarze, w jego murach i podziemiach odbywały się te dziejowe zapasy chrystyanizmu z pogaństwem, które skończyły się zatknięciem krzyża na wszystkich szczytach tej stolicy świata. Rzym, dzisiejszy nawet, jest pełen pamiątek owych czasów: zarówno ciemne korytarze podziemnych nor katakumbowych jak i zabytki starych, wspaniałych kościołów, wszak to naoczne a żyjące dotychczas świadki zarówno bólów prześladowania i potoków krwi męczeńskiej, jak też i tryumfu i potężnego porywu życiowego tryumfującego Kościoła, który ślady swego życiowego pochodzenia obficie w Rzymie zostawia.

Toteż z doskonałym zrozumieniem i odczuciem nastroju rozpoczęto obchody konstantyńskie obchodem w katakumbach św. Kaliksta. Dnia 30 marca Mgr. Waal prefekt Kollegium *Cultores Martyrum* odprawił wobec tłumnie zebranej publiczności Mszę św. w kaplicy papieża św. Miltiadesa, na którego rządy przypadł edykt medyolański. Późem następnie już

w górnej bazylice św. Sykstusa wygłosił prof. Marucchi piękny odczyt o starych pamiątkach drogi Appijskiej, jako zbioru rozlicznych pomników trzech pierwszych wieków, aż do grobu Miltiadesa papieża. Na popołudniowym nabożeństwie rozwinęła się wspaniała procesya z bazyliki Nereusza i Achilleja, która gromadząc liczne duchowieństwo różnych obrządków oraz liczne korporacje katolickie, przeszła przez *Via Appia* i rozwiązała się przy bazylice św. Sebastjana, gdzie chór odśpiewał *Te Deum*, a lud dając upust swej ekspressywnej wierze, zanucił sobie po włosku marsz „My chcemy Boga“ i ze śpiewem rozszedł się do domu.

Nabożeństwo 30 marca było niejako wstępem do właściwych uroczystości, które odbywały się przez całą oktawę, poczynawszy od 6 do 14 kwietnia, w bazylice laterańskiej. Według z góry określonego programu codziennie przybywały do tej świątyni procesye licznych stowarzyszeń i pielgrzymek katolickich — i tu odprawiały się nabożeństwa, uczestniczyły we Mszy św. pontyfikowanej przez różnych dygnitarzy kościelnych oraz słuchały wygłaszanych tam kazań. Lecz oczywiście dzień pierwszy i ostatni wypadły najuroczyściej. Pierwszego dnia niezwykle wrażenie wywołało rzadko widywane uroczyste nabożeństwo w obrządku wschodnim, w którym brał udział chór złożony ze stu Benedyktynów i liczna a różnobarwna asystencya seminarzystów różnych wschodnich rytów. Czarujący śpiew Benedyktynów, odpowiadających po grecku na wezwania celebrującego arcybiskupa Papadopolosa, dziwnie łączył i jednoczył ofiarującego i przytomnych wszystkich w jakąś odczuwalną jedność.

W ostatni dzień t. j. w niedzielę 13 kwietnia uroczystości wypadły najokazalej. Kościół, cały przybrany w purpurowe adamaszki, roziskrzony tysiącem światelelektrycznych, od wczesnego rana wypełniały masy ludzi przybyłych pod swymi znakami i sztandarami. Nabożeństwa odprawiały się jedne po drugich a ostatnią Mszę uroczystą odprawił przy ołtarzu papieskim kardynał Vanutelli w zastępstwie Ojca świętego, który mu to porучzył osobnem brevem. Breve to, umocowane na złotej szarfie, wisiało

na kolumnie ołtarzowej. Trybuny wzniesione przy ołtarzu, z boku, zajęli przedstawiciele ciała dyplomatycznego, z przodu zaś komitetowi obchodów konstantyńskich. Kardynałowie, w liczbie piętnastu, zajęli miejsca w osobno dla nich przygotowanych i przybranych odpowiednio ławkach. Na wieczornem nabożeństwie przemawiał przed publicznością wypełniającą szczerlnie świątynię po brzegi Mgr. Lafontaine, sekretarz Kongregacyi Obrzędów, który nakreśliwszy obraz ustawicznych walk, jakie wierzący staczać muszą dla sprawy Bóżej, wezwał wszystkich do publicznego, głośnego wyznania wiary, w obronie której męczennicy krew przelewali, która ma stać się najbardziej osobistą własnością, podstawą, treścią duszy dla każdego.

Potężnem, masowem, wyznaniem wiary, głośnem wspólnem odmówieniem *Credo* i błogosławieństwem Najśw. Sakr. zakończyły się te uroczystości w Rzymie, a spodziewać się należy, że i cały rok jubileuszowy odpowie intencjom Ojca św. i zaznaczy się spotęgowaniem wiary wśród wiernych — a wspomnienie owych chwil tryumfu Kościoła, może i będącym poza Kościołem nasunie poważne myśli i pytania: w jakiej społeczności chrześcijańskiej szukać w dzisiejszych czasach tego Kościoła, który cierpiał długo, ale żył, ale rósł nawet gnębiony i w końcu, bez buntu, pokojowo zwyciężył. Odpowiedź nie będzie zbyt trudna.

Kongres eucharystyczny na Malcie. Wiek XIII i XIV wyprowadził procesye eucharystyczne z murów kościelnych na ulice i place miejskie, wiek XIX i XX wprowadza je na forum świata we formie międzynarodowych kongresów eucharystycznych. Od r. 1881, w którym po raz pierwszy urządzono Kongres eucharystyczny w Lille, frekwencya ich ciągle wzrasta; a gromadząc każdego roku wielkie tłumy ludzi w coraz to innem mieście, stają się one jakąś olbrzymią eucharystyczną procesją światową, ze stacyami w różnych częściach ziemi. W tym roku wypadło tej procesyi zatrzymać się na Malcie, wyspie, na której niegdyś bawił św.

Paweł. Później była ona własnością zakonu, który ją przekształcił na potężną warownię przeciw najazdom nieprzyjaciół krzyża, a do dziś dnia zachowała charakter głęboko katolicki.

Po wielkich uroczystościach w Londynie, Montrealu, Madrycie, Wiedniu, Kongres na Malcie wydaje się jakby jakimś przystankiem tej olbrzymiej procesyi eucharystycznej pośród pól, przy wiejskim kościółku, pomiędzy dobrym ludem, zdala od wielkomiejskiej sztywności. Nie oznacza to, żeby na Malcie, nie było wspaniałych budowli, kościołów, — owszem jest ich tam więcej, aniżeli by przypuszczać było można — ale ta mała wysepka, nie mogąca nawet pomieścić wygodnie w swych murach przybyłych gości i umieszczająca ich na statkach, co stały u jej brzegów, czemże innem była w dniach Kongresu, jak nie bogato przybraną świątynią, cudnie wzniesioną nad lazurowymi toniami morza po to tylko, aby do niej przyjechać, wstąpić, pomodlić się w jej pełnem świętych wspomnień wnętrzu i odjechać skrzepionym świeżymi powiewami podniosłych przeżyć?

Trudno dopatrywać się w uroczystościach eucharystycznych na Malcie jakichś głęboko planowanych, tajemniczych celów i znaczeń, jak to czasem robiono z okazji innych kongresów. Była to uroczystość niejako domowa, wśród swoich i dla swoich. Lud na Malcie katolicki i głęboko religijny (niekatolików jest tylko 1%), duchowieństwa zarówno świeckiego jak i zakonnego wiele, więcej stosunkowo niż gdziekolwiek indziej, w prawodawstwie i zwyczajach duch katolicki. W takich warunkach, wśród samych swoich, zdala od innowierców i bez obcych świadków, chciano urządzić tę uroczystość. Zjechał na nią znany już Maltańczykom z dawniejszego u nich pobytu i sympatyczny dla nich kardynał Ferrata, jako legat papieski; prócz niego czterech innych kardynałów, 60 arcybiskupów i biskupów, wielka liczba księży z różnych stron świata i nadszpiewanie wielu gości — wszyscy swoi, wszyscy jedną złączeni wiarą, wspólnem uczuciem przywiązania i hołdu dla Tego, który ich rozprószonych po całym obszarze ziemi, zbliża i spaja ustawicznie własnem Ciałem w Eucharystyi.

To też uroczystość miała na sobie wszelkie cechy uroczystości w rodzinie — tyle w niej było prostoty i serdeczności. Maltańczycy okazywali przybywającym gościom nieklamana życzliwość, która odrazu ujmowała za serce i wytwarzała tę atmosferę ciepłą, która przy całej podniosłości chwili mile umiała łagodzić poważny jej nastrój. Nawet rząd angielski z właściwym sobie taktem umiał się do niej dostroić, wysyłając, mimo odezwania się paru głosów niechętnych po legata papieskiego wspinały krążownik Hussar. Uprzedzająca ta. grzeczność oraz względy, jakich doznawał legat ze strony przedstawicieli rządu i za które w serdecznych słowach telegraficznie dziękował królowi Jerzemu, były też oczywiście przyjęte przez uczestników kongresu z uznaniem i jednały rządowi angielskiemu ogólną sympatyę.

Słowa Mgr. Bitellego wyrzeczone na pierwszym zebraniu w kościele w Musta przy powitaniu przybyłych gości: „Nie jesteście gośćmi i przybyszami, ale obywatelami i domownikami naszymi“, dawały tylko wyraz temu uczuciu i nastrójowi, który panował przez cały czas trwania kongresu.

Uroczystości trwały od środy 23 do niedzieli t. j. 27 kwietnia. Ludność miejscowa przygotowała się do nich misyami, które urządzono po kościołach maltańskich. Kościołów tych na Malcie jest wiele; liczą ich przeszło 300. Niemal co krok spotyka się nowy kościół. Wszystkie one zostały wspaniale przystrojone, jak również i ulice, nad którymi z wielkim smakiem porozwieszano wieńce z zieleni i kwiatów. Wszędzie trzepotały się barwne chorągwie ze znaczną przewagą barw papieskich. Nadzwyczaj sympatycznie działały poumieszczane w kwiatowych obramieniach godła i tarcze z rozmaitych zakątków wyspy, na których wierząca ludność wypisuje prosto a serdecznie: „Nasze miejsce poleca się opiece Najświętszego Zbawiciela“. Miasto tonęło w dekoracyach.

Prócz nabożeństw, które się odbywały w różnych kościołach, urządzano, jak zwykle na kongresach, zebrania, na których wybitni mowcy zabierali głos w tematach związanych z kultem i znaczeniem Eucharystyi. Główne zebrania odbywały

się w olbrzymim kościele w Musta, który się chlubi, że co do wielkości zajmuje trzecie miejsce wśród kościołów świata. Tu odbyło się przywitanie gości, tu najgłośniejsze wygłoszono mowy. Wspaniałą miała być procesya, choć stosunkowo bardzo szczupłą liczbę osób do niej dopuszczono, z powodu wąskości starych ulic, które większej liczby osób nie mogłyby zmieścić — co psuło i zakłócało cały porządek pochodu.

Niezapomniane wrażenie zrobiła na obecnych rzecz niebywała dotychczas na obchodach eucharystycznych — błogosławieństwo morza. Na najwyższym miejscu La Valetty, skąd roztaczał się przecudny widok na cały port i na te szeregi statków, które przygotowały się na uroczysty akt, stanął na wzniesionej trybunie, pięknie udekorowanej, kardynał Ferrata w przepysznym stroju z błyszczącą monstrancją w dłoni. Kilkudziesięcioletnie tłumy zaległy wszystkie przedmurza, szan-ce potężnej twierdzy; przed nimi w dole lazurowe, nieprzejrzanie morze — i stado okrętów wielkich i mniejszych — zbrojnych krążowników i przewozowych, oczekujących, kiedy Chrystus wzniesie się nad nimi — i uczyni znak swego błogosławieństwa. Aż oto na trybunie, wśród najdosłowniejszego otoczenia stojący kardynał — podniósł monstrancję i robi ją trzykrotnie wielki znak krzyża. I z murów twierdzy grzmia armaty, syreny okrętowe swym donośnym, przenikliwym głosem rozdzierają powietrze, a z ust tych rzesz, które obsiadły bastiony i szan-ce warowni, wrywają się niemilknące okrzyki entuzjastycznej radości. Była to chwila nie do opisania — po której procesya wróciła do miasta.

Na ostatniem posiedzeniu w kościele w Musta wniósł Mgr. Heylen, biskup z Namur, prezes komitetu obchodów eucharystycznych, energiczny protest przeciw międzynarodowemu kongresowi wolnomyślnych, który ma się zebrać 17 września b. r. w Lizbonie.

Co dało powód do protestu?

Oto wolnomyślnie koła, które początkowo chciały bagatelizować kongresy eucharystyczne, dziś, widząc ich doniosłe znaczenie dla podnoszenia uśpionej wiary w społeczeństwie, zlekły

się i zaczęły występować agresywnie przeciw kongresom. Taktyka bagatelizowania i milczenia nie powiodła się. Kongresy nie potrzebują dbać o reklamę wolnomyślnych, one mają swój głos, który wiele mówi. Już sam zlot tych stutysięcznych rzesz, rokrocznie coraz to w inne miejsce, sprawia taki szum, że zmusza świat do zwrócenia uwagi na siebie; takie wywołuje ruchy w atmosferze, że siłą swego rozpędu porywa za sobą niezdecydowane, bierne elementa. Wobec tego bagatelizować tych ruchów i milczeć dalej nie można. Wolnomyślni obecnie postanowili krzyczeć i żeby ten krzyk wojenny głośniejszym uczynić, żeby groźniejszym się wydał, postanowili się zjechać w Lizbonie, aby tam wspólnie dać wyraz oburzeniu i przeciwdziałać „tyranii, jaką kongresy eucharystyczne wywierają na wolną myśl człowieka“.

Kongresy eucharystyczne niewiele się troszczą o wiece wolnomyślnych, ale atak, wprost przeciw nim wymierzony, musiał być odparty stanowczo i wyraźnie. One nie wywierają tyranii, a że wstrząsną i poruszą stęchlą atmosferę obojętności religijnej, która się wywiązuje nad terenem destrukcyjnej działalności wolnej myśli, to nie jest ich hańbą, ale zasługą wielką i chlubą.

Ks. L. Rudnicki.

Duchowieństwo a praca społeczna w metrop. warszawskiej.

Kronika dyecezyi sandomierskiej przestrzega przed drogami. w pracy społecznej obranemi ze szkodą, może niepowetowaną dla sprawy Bożej, dla Kościoła i nawet dla kraju. Towarzystwo imienia Staszica, kierowane przez postępową demokrację, ma już, jak wyznał p. Malinowski, redaktor *Zarania* — 90 kółek rolniczych. Gdyby się te kółka zajmowały tylko podniesieniem kultury rolnej, nicby przeciwko nim nie można mieć — ale w nich uprawia się propaganda bezwyznaniowości i nienawiści przeciw Kościołowi i religii objawionej. Oto lista pism, jakie się tam czytają: *Zaranie*, *Myśl Niepodległa*, *Prawda (warszawska)*, *Izraelita*, *Wolne Słowo*, *Kuryer Lubelski* i *Kul-*

tura Polska. Przeciwno złej robocie lekarstwem jest udział czynny i jak najliczniejszy duchowieństwa w pracy społecznej. W dyecezyi kujawsko-kaliskiej pod tym względem przedstawia się sprawa pomyślnie: księża dzielni w kółkach uczestniczą. W dyecezyi sandomierskiej, oprócz znakomitych pracowników, — księży: Adameczyka i Majewskiego, — mamy jeszcze kilkunastu księży, którzy bardzo wydatnio, a kilkudziesięciu, którzy w ten lub ów sposób w pracy społecznej udział biorą. Gdzieindziej księża mniej cenią wszelką pracę inną prócz duchownej usługi po kościołach, choć liczą między sobą chlubne wyjątki, jak księży Roguskiego, Kowalskiego i innych.

Do najzasłużeńszych w tej mierze pracowników głos powszechny zalicza proboszcza w kujawsko-kaliskiej parafii, Liskowie i ks. Wacława Blizińskiego. Sprawozdawca *Wiadomości Arch. Warsz.*¹ opisuje, jak naocznie sprawdził świadectwo dostojnika dyecezyi płockiej, że proboszcz z Liskowa, dzielny społecznik ludowy — może służyć za przykład, jak i niejeden pasterz wiejski szybko (boć zaledwie w 11-letnim okresie) zdziałać może w parafii i w jakich ją rozmiarach zdołał przeobrazić co do stanu i rozwoju gospodarczego. Przedewszystkiem zauważył sprawozdawca, że Lisków nie doznał najmniejszego uszczerbku w opiece duszpasterskiej, choć znalazł na swoim probostwie niezwyklego opiekuna w potrzebach doczesnych. Skądże zdrowie i czas na pracę równoczesną w dwu zakresach, a w każdym zakresie wzorową? Tajemnicę rozwiązał ks. Bliziński, bo zachęcał tylko, służył radą i zwierzchnim zarządem, objął stanowiska koła rozpędowego i duszy ożywczej całego ustroju prac, a porucił ich przebieg i zaslugę wykonawczą ochotnym pomocnikom, których sobie wyrobił. Dlatego ponad drogę postępu w dobrobycie wyżej zdołał wznieść parafię w postępie duchowym: ustało pijaństwo, przedtem w niej rozpowszechnione, wzmógł się napływ pobożnych na codzienne nabożeństwo, rosły święte skutki Komunii coraz częstszej.

Pierwszych do pomocy dobrał sobie ks. Bliziński w pracy społecznej, miejscowych ochotników: wikarego i nauczyciela. Uradzili na początek zawiązać Spółkę handlowo-rolniczą oraz założyć sklep. Do spółki ściągnęli na razie 35 członków z kapitałem zakładowym 500 rubli. Po roku zebrane zyski zwiększyły półtora raza wartość sklepu a po dwu latach udział 10-rublowy przynosił półtrzecia rubla dywidendy. Pomyślny początek dodał członkom otuchy na parę

¹ Rok II. Wr. 9, 11.

lat następnych, kiedy ciężkie przygody przyprawiały członków o stratę. Wytrzymali; ustalony przecie był przedsięwzięcia przyczyniał mu zwolenników i dociąga już liczbę członków do stu. Wnet spółka szerzej pojęła swój zakres: użyczyła członkom pośrednictwa do tańszego zakupu narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych i nasion, a do wynajmu dla nich nabyła droższe maszyny. Spólne narady członków rozszerzały coraz pożyteczniej widnokrąg ich myśli: zobowiążali się czytać czasopisma; dawniej ledwo dwaj gospodarze składali przedpłatę, dziś znacznie wyżej nad stu. Uchwalili zawiązać się w straż od ognia; uzyskali zgodę władz i niebawem znaleźli się w sile 206 ochotników. Zauważyli, że mogą pożytecznie obracać zapasowymi pieniędzmi ze sklepu: więc otworzyli kasę pożyczkową na potrzeby rolnicze, a następnie kasę pożyczkowo-oszczędnościową. Wszystkie te przedsięwzięcia, prowadzone najogólniej za radą przeczornego przewodnika, wykazywały wzrost dochodów umiarkowany ale tak pewny, że wywołał nową myśl u członków: postawmy własny dla spółki dom.

Stanął za 11000 rubli piętrowy budynek, i od pięciu lat opowiada, czego na wsi u nas mogą dokazać tacy jak proboszcz w Liskowie. Mieści w sobie prócz sklepu i kasy pożyczkowo-oszczędnościowej także ochronkę z mieszkaniem nauczycielki. Ochronka ma co o sobie opowiedzieć. Urządził ją ks. Bliziński i utrzymuje własnym nakładem, — ale naumyślnie dla części ledwo małej dzieci we wsi rozległej: uczęszcza ich tam siedmdziesięcioro. Pożytek nauki tak przypadł do serca wieśniakom, że chcieliby ją rozszerzyć choćby w trójnasób i przyczynić się do wydatków. Ksiądz nie pozwolił, spokojnie tylko przedstawił, że kiedy go stać było na ochronkę jedną, tedy na drugą i choćby na trzecią stać będzie samych parafian. Zbudowali sześć prócz owej pierwszej w domu spółki. Na tę pierwszą przeznaczili pokój wspaniałych rozmiarów, aby służył do wielorakiego użytku. W robocze dni uczą się wcześniej dzieci, wieczorami ochotnicy z młodzieży i starszych niepiśmiennych; niedziela i święto zmienia ochronkę na czytelnię, do której zaprasza przyboczny księgozbiór i zapas czasopism; osobne godziny wypraszają czytelników, bo miejscowa orkiestra ćwiczy się w muzyce, albo wieść się schodzi na odczyt czy pogadankę; co miesiąc przedstawienie amatorskie, co kilka miesięcy zabawa z tańcami przynosi nie tylko umysłową rozrywkę, ale i pieniężną zapomogę na dobre dzieła.

Na piętrze założono tkactwo. Od dwu warsztatów przedsięwzię-

stwo wzrosło do 25-ciu, z których powierzyło część robotnikom po wsiach. Tygodniowy wyrób dostarcza towaru za 400 rb. Odbiorcy zgłaszają się po płócienna z dalszych okolic, i z Kaukazu i z Petersburga. Następuje sypialnia dla chłopców, przysyłanych z dalszych wsi na cały tydzień do szkoły. Nadto towarzystwo opieki nad dziećmi przysłało tu na stały pobyt dziesięciu chłopców na naukę w ochronce i w tkactwie.

Ten rozwój przemysłu przeszedł pierwotne nadzieje; rozmiary piętrowej budowlu okazały się za szczupłe przy rozwoju nowych przedsiębiorstw. Trzeba było po drugiej stronie gościńca szukać miejsca na wyrób zabawek, pamiętać o herbaciarni i znów osobno zakrzętnąć się przy budowie łaźni...

Ale czy ks. Bliziński nie przetwarza wioski polskiej na ognisko przemysłu wraz z miejskimi wygodami? — Nie! Lisków wsią był i pozostaje siedzibą wieśniaków. Dziewczynka bardzo dobrze wychowana w ochronce pozostaje dzieckiem z wiejskiej chaty. Chłopak, czysto odziany ale po wiejsku bosi wzorowo prowadzi księgi w kasie jako skarbnik i buchalter. Ks. Bliziński uważa za konieczne wyrabiać z ludu samego uczestników w pracy nad nim społecznej, przekonywać tym dowodem lud sam o zdrowym jego rozumie chłopskim, aby nie plótl, że jakby od Boga opuszczony musiał czekać, aż panowie z miasta uradzą mądre sposoby i chłopu do głowy je włożą.

Kiedy przybysze wnoszą w lud wolnomyślnie zasady przy skrzętnych zabiegach o rozwój dobrobytu, dowiadujemy się, że pasterze ludu stawiają im opór, że z chrześcijańskich zasad i chrześcijańskich zabiegów o dobro owiec zaczynają słynąć jeden po drugim naśladowcy ks. Blizińskiego i nawet już jego współzawodnicy: za hasło wzięli słowa francuskiego biskupa, któremi sprawozdawca *Wiadomości Archidiecezjalnych* kończy swój opis odwiedzin Liskowa: „Wtedy tylko religia stanie się najpierwszą potrzebą ludu, kiedy potrzeby ludu staną się potrzebami sług ołtarza“.

Ks. K. Czaykowski.

Ze świata nauk i wynalazków.

Światowa produkcja zboża. — Z kinetyki organizmu ludzkiego.

Wobec wzmagającej się ustawicznie drożyzny najpotrzebniejszych artykułów żywności, wielce interesujące są dane, jakie o produkcji wszechświatowej zboża ogłasza świeżo francuskie ministerstwo rol-

nictwa. Na wstępie uderza fakt, że produkcya ta w ostatnich latach trzydziestu wzmogła się olbrzymio i to znacznie szybciej, aniżeli przyrost ludności, notowany w tym samym przeciągu czasu. I tak ówieré wieku temu całkowita produkcya zboża na ziemi wynosiła około 600 milionów centnarów metrycznych, zaś obecnie dochodzi już miliarda (w r. 1910 statystyka wykazuje 979.866.591 centnarów metr.). Gdy więc produkcya ta podniosła się w tym okresie o 66%, to ludność zbożodajnych krajów wzmaga się w tymże samym czasie tylko o 29% bo z 770.738.000 na 993.584.000 mieszkańców. Wzrost produkcji zboża pochodzi przedewszystkiem z tej przyczyny, że pod uprawę podciągnięto nowe szmaty ziemi, a powierzchnia roli uprawionej pod zboże wzmaga się z 62 milionów hektarów, na 100 milionów. Zauważyć jednak trzeba, że w latach ostatnich w krajach najbardziej cywilizowanych, jak Stany Zjednoczone, Anglia, Belgia, Holandia, Dania, pod tym względem dostrzedz można ruch wsteczny, ilość roli pod zboże przeznaczanej zmniejsza się. Mimo to nie zmniejsza się proporcjonalnie całkowita produkcya, dzięki zwiększonej wydatności gleby, spowodowanej umiejętną uprawą, opartą na naukowych badaniach. Przykładem jaskrawym, do czego doprowadzić może umiejętna agronomia, jest owe sławne *dry farming*, kultura intensywna olbrzymich płatów ziemi, które dawniej, z powodu zbyt małej ilości wody, uważano prawie za nieużytki.

Co do wydatności roli panuje między krajami pojedynczymi olbrzymia różnica. Podczas gdy w Danii średni plon z hektara, obliczony w ciągu ostatniego dziesięciolecia, wynosi 27·8 metrycznych centnarów rocznie, to w Rosyi dochodzi on tylko do 6·7 centnarów metr. Po Danii pierwsze miejsce co do wydatności zajmuje Belgia z cyfrą 23·6 centnarów metrycznych z hektara, następnie z krajów ważniejszych Anglia 21·4, Niemcy 19·6, Francya 13·6, Kanada 13·1, monarchia Austriacko-węgierska 11·6, Włochy 9·1.

Ogólny obraz zdolności produktywnej zboża pojedynczych krajów wytworzyć sobie można z następujących cyfr podających, ile centnarów metrycznych kraj dany wyprodukował w r. 1911.

Stany Zjednoczone	169,100.554 cent. metr.
Rosya (europejska i azyatycka)	138,663.935 „ „
Indye angielskie	102,016.199 „ „
Francya	87,727.100 „ „
Austro-Węgry	67,805.628 „ „
Kanada	58,456.008 „ „

Włochy	52,362.000	cent.	metr.
Niemcy	40,663.350	„	„
Hiszpania	40,414.186	„	„
Argentyna	37,100.000	„	„
Australia	25,885.000	„	„
Rumunia	25,033.561	„	„

Sprawozdanie powyższe zwraca uwagę dalej na tę ciekawą okoliczność, że w miarę wzrostu dobrobytu ludności, wzrasta się, co jest rzeczą naturalną, popyt za pszenicą, a natomiast słabnie konsumpcya żyta i kukurydzy. Równocześnie jednak maleje też konsumpcya chleba, mąkę zaś konsumuje się w postaci potraw mącznych.

W konstrukcyach inżynierskich ważną bardzo odgrywa rolę poznanie dokładne ciśnienia, jakie człowiek pojedynczy i tłumy, wywierają na podstawę. Oczywiście ciśnienie człowieka w spoczynku będącego równa się dokładnie jego ciężarowi. Ale w największej liczbie przypadków ma się do czynienia z ciśnieniem, pochodzącem od ludzi poruszających się w różny sposób. Budując mosty, balkony, siedzenia amfiteatralne, musi się koniecznie wziąć pod uwagę działanie mechaniczne ruchów ludzkich. Ostatnimi czasy inżynierzy amerykańscy przedmiotowi temu poświęcili baczność uwagę, zapewne pod wpływem wypadków ciągłych, jakie w Ameryce się zdarzają. Oczywiście przedmiot tego rodzaju rozstrzygnąć można tylko przy pomocy doświadczeń, które zacząć trzeba od pojedynczych osobników.

Człowiekowi, ważącemu 155 funtów, kazano na pomoście wagi przykucnąć, a następnie nagle się wyprostować. Przesuwając odpowiednio dodatkowy ciężar wagi, zbadano, że przy ruchu prostującym człowiek ten wywierał na podstawę ciśnienie 275 funtów, a więc 77% ponad tak zwane ciśnienie statyczne czyli ponad wagę własnego ciała. Doświadczenia czynione z siedzeniem dały jeszcze ciekawsze rezultaty. Bo najpierw pokazało się, że człowiek, wstający szybko z krzesła, wywiera ciśnienie dodatkowe większe, niż człowiek powstający z kuczek i ciśnienie to dochodzi do 80%. Prócz tego jednak wywiera człowiek taki jeszcze inne działanie mechaniczne, mianowicie w kierunku poziomym. Gdy bowiem wstajemy z krzesła, przenosimy gwałtownie środek ciężkości ciała ku przodowi, a więc równa się to takiemu samemu ciśnieniu, jakiegoby potrzeba użyć, by nas o tę samą odległość pchnąć naprzód. Wiemy jednak, że na mocy znanego newtonow-

skiego prawa akcji i reakcji, ciało popychane z pewną siłą w jednym kierunku, wywiera w kierunku przeciwnym także samo ciśnienie o tej samej sile. N. p. w armacie siła wybuchowa prochu działa na kulę, tak, że ją gwałtownie wyrzuca w jednym kierunku, armata natomiast doznaje dokładnie takiego samego pchnięcia w kierunku przeciwnym. Podobnie tedy człowiek wstaj, rzucając swem ciałem ku przodowi, na stółek zaś lub podstawę wywiera takie samo ciśnienie w kierunku przeciwnym. A to pchnięcie w kierunku poziomym podstawy, na której człowiek się znajduje, jest wcale znaczne, bo dochodzi do połowy ciężaru człowieka. Zjawisko to uwzględniane być musi przy obliczaniach odporności mostów, poręczy, ławek w teatrach. Przypuśćmy na przykład, że na moście zbierze się wiele ludzi, patrzących na jakiś przedmiot, statek, pływaka, znajdującego się na rzece. Gdy przedmiot podziwu przepływa pod mostem, tłum całym pędem rzuca się do poręczy na drugiej stronie mostu, a więc wywiera ogromny nacisk wsteczny na bok mostu, który przed chwilą opuścił. Ciśnienie to tak wielkie, że jak inżynierzy amerykańscy obliczają przewyższyc może siłę wiatru, dmącego gwałtownie na most i dochodzi ono, jak okazały doświadczenia, do wielkości ciężaru tych ludzi. Albo znówu w sali podczas widowiska nagle wstaje równocześnie kilkadziesiąt lub nawet kilkaset osób, znajdujących się na tem samym podyum — ruch ten wywołać musi gwałtowne pchnięcie całego podyum w kierunku poziomym, przeciwnym do kierunku ruchu wstających ludzi. Dotychczas to poziome ciśnienie poruszającego się tłumu za mało lub wcale nie było uwzględniane, i być może, że tu jest źródło niektórych niespodziewanych katastrof.

Z oddziaływań tłumu ruchomego najenergiczniejszym jednak pozostanie znane już od dawna ciśnienie ludzi idących równym krokiem. Najryzykowniejszą próbą na wytrzymałość mostu stanowi zawsze przemaszerowanie przezeń oddziału wojska, idącego jednym krokiem. Jak pokazały pomiary, most pod takim działaniem ugina się o wiele silniej, niż pod równie wielkim oddziaływaniem kawaleryi lub pod gestym tłumem, posuwającym się zwolna.

Dotychczas ciśnienie statyczne tłumu zbitego nieruchomie przyjmowano w projektach wytrzymałości mostów na 100 funtów na kwadratową stopę, obecnie dokładne doświadczenia Johnsona i innych, czynione od lat dziesięciu, podają, że możliwe jest obciążenie dochodzące do 183 funtów na stopę kwadratową. Tak jest, gdy tłum stoi; gdy siedzi, wypada tylko około 55 funtów na

stopę, licząc trzy stopy na siedzenie. Przy wstawaniu jednak trzeba liczyć jak widzieliśmy, około 70% ciśnienia dodatkowego w kierunku pionowym, a nadto pehnięcie silne w kierunku poziomym, wynoszące mniej więcej 70 do 80 funtów na każde siedzenie.

Co do przemarszu krokiem miarowym, to jestto zawsze eksperyment bardzo niebezpieczny, gdyż tu działania pojedynczych jednostek się sumują. Ochroną pewną, jest tylko ta okoliczność, że to sumowanie się nie jest dokładne. Zauważyć bowiem trzeba, że przy średnio szybkim chodzie jeden ruch składowy kroku trwa mniej więcej dwudziestą część sekundy, a więc jest rzeczą na szczęście niemożliwą, by uderzenia nogami następowały u wszystkich równocześnie.

A uderzenia te są silne. Przy chodzie bowiem, jak to już dawno udowodnił Weber, środek ciężkości ciała zostaje ustawicznie za każdym krokiem podnoszony o kilka centymetrów i następnie opuszczany gwałtownie. Według praw fizyki poruszanie się poziome, czyli chodzenie po równej drodze, nie wymaga żadnej pracy; tymczasem z powodu tego obniżania i podwyższania punktu ciężkości, praca ta jest znaczną. Ržiha podaje dla człowieka średniej wagi, wynoszącej 64 kg., następujące bardzo ciekawe cyfry: przechadzając się krokiem wolnym, wykonuje taki człowiek pracę trzy i pół metrokilograma na sekundę, to znaczy taką, jakgdyby co sekundę podnosił 3 i pół kilo na wysokość jednego metra. Dla średnio szybkiego turystycznego chodu, praca ta podnosi się już do 5·46 metrokilograma, gdy zaś krok jest ostry, do 7·87 metrokil. Cyfry te i tak już znaczne, wzrastają gwałtownie w wypadku biegu. Przy biegu powolnym zrobić trzeba 21·87 metro kilograma na sekundę, przy średnim 42·87, zaś przy szybkim pędzie aż do 87·5 metro kilograma na sekundę, więc więcej niż praca jednego konia parowego, która, jak wiadomo, wynosi 75 metrokilogramów na sekundę.

Z cyfr tych, gdy je zanalizujemy bliżej, wyciągnąć możemy wiele bardzo ciekawych wniosków. Najpierw mówią nam one, jak znacznie nogi, co do siły, mają przewagę nad rękami. Wiemy na przykład z własnego doświadczenia, że człowiek o średnich siłach nie tylko bez zmęczenia, ale z przyjemnością wykona przechadzkę dwugodziną, średnim, nie zbyt wolnym krokiem. Według dat wyższych równa się to 39·312 metrokilogramom, a więc okrągiło pracy takiej, jaką potrzeba zużyć, by 400 kilo węgla czyli ośm wielkich koszu, po centarze cłowym każdy, wywindować na drugie piętro. Oczywiście na taki wysiłek nie zdobyłby się łatwo codziennie zdrowy mężczyzna, a cóż dopiero

mówić o delikatnych organizmach pięknej połowy ludzkości, które jednak z łatwością i przyjemnością nie tylko chodzą, lecz biegają całymi godzinami!

Mówiąc o bieganiu pominiemy już wysiłek szybkobiegów zawodowych, a zwrócimy się z cyframi powyższymi do — tańca. Przypuśćmy, że osoba ważąca średnio 64 kg., bawiąc się doskonale na balu, raz szybszem, raz wolniejszym tempem tańczy wszystkiego tylko przez pięć godzin. Oceniając nisko średnią jej pracę na 30 metrokilogramów na sekundę, otrzymamy przez ciąg pięciu godzin dokładnie 540.000 czyli przeszło pół miliona metrokilogramów. Wyrażając to obrazowo, równać się ona będzie wyciągnięciu 180 plecných kosztów węgla na wieżę maryacką, albo czterech wielkich ładownych wozów węgla z piwnicy na drugie piętro. Każdy widzi, że dziesiąta część takiego wysiłku przyprawiłaby każdą pannę o atak histeryczny, a połowa spowodziłaby śmierć niechybną. A jednak średnich sił osoba dokonuje jej w podnieceniu nerwowem, przy dźwiękach muzyki, wśród widzów, z przyjemnością.

Mamy tu przykład naoczny, jak niezmierny wpływ na wydajność naszych mięśni mają czynniki psychiczne — lecz zarazem i ostrzeżenie. Jasną bowiem jest rzeczą, że wysiłek taki zwyczajnie przewyższa siły organizmu i jak doświadczenie często uczy, powoduje on ciężkie zaburzenia a nawet i śmierć. To zaś, że wykonany został narazie bez uczucia wielkiego zmęczenia, na jego szkodliwość niewielki tylko wpływ wywiera.

Pouczające pod tym względem są wyniki nowszych badań psychologii doświadczalnej. Pokazują one, że organizm w zwykłych warunkach pracując, ma w zmęczeniu jakgdyby przyrząd, który go ostrzega, jak daleko w wysiłku iść można. Gdy na palcu uwiążemy ciężarek i rytmicznie go podnosimy, palec wkrótce tak się zmęczy, iż żadnego ruchu wykonać nie zdoła. Gdy jednak w takim stadium drażnimy go prądem elektrycznym, mięsień wykonuje dalej jeszcze pracę — jednak ta praca przechodzi poza próg wydajności normalnej. Otóż co w tem doświadczeniu sprawia prąd, to na balu lub forsownej wycieczce towarzyskiej działa muzyka, otoczenie, próżność; niszczą one hamulec naturalny, organizm nie uczuwa znużenia, chociaż dawno już przeszedł granice normalnej swej siły i tej pracy, jaką bez szkody dla siebie mógł wykonać. Jaskrawy przykład takiego nadmiernego wysiłku widać także n. p. u ciężko chorych na tyfus; osobnik zupełnie osłabiony, pod wpływem halucynacji gorączkowych nabiera nagle sił olbrzymich.

mich, tak, że tylko z trudem poskromić go można — jednak taki wysiłek kończy się potem nieraz zgonem. Kto więc chce organizm utrzymać w zdrowiu i siłach, niechże unika wszelkich sztucznych podnieceń, czy psychicznych czy innych, jak n. p. owych płynów tonicznych, które teraz niestety tak bardzo się rozpowszechniają.

Wyniki badań Ržihegi tłómaczą nam dalej, dlaczego to chód ludzi słabych lub starych, jest powłóczysty, podczas gdy człowiek rzeźki i młody idąc wspina się na palcach i nogi podnosi wysoko. Główna część bowiem wysiłku fizyologicznego przy chodzeniu pochodzi stąd, że środek ciężkości ciała raz się podwyższa, raz obniża. Przy chodzie sprężystym, te wahania środka ciężkości są większe; by je zmniejszyć, ludzie słabi mimowoli i wiedzy takowych unikają przez chód ile możności jaknajrówniejszy. Tak samo organizm słaby poruszać się może naprzód tylko powoli, bo nie jest w możności wydawać takiej ilości pracy na sekundę, jakiej wymaga chód szybki lub bieg.

Obliczania i badania ściśle nad ruchem bicyklistów, których już szczegółowo nie będziemy podawali, wykazują, że bicyklista przy średnim biegu zużywa dwa razy mniejszy wysiłek i połowę tego czasu, jakiego potrzebuje piechur na przebycie tej samej przestrzeni.

Ks. F. Horthyński.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
LISTY ZE WSI. I. Stronnictwo arystokracji narodowej. Przez <i>Jana Mańkowskiego</i>	1*—12*
Z POŚMIERTNEJ TEKI ORZESZKOWEJ. Trzy uderzenia dzwonu	13*—14*
WOJNA BALKAŃSKA W R. 1912/13: Przez <i>dr. Adama Krzyżanowskiego</i>	1
NAJNOWSZA BIOGRAFIA LUTRA. Przez <i>ks. A. Starkera T. J.</i>	25
ESTETYKA COHNA. Przez <i>dr. Witolda Rubczyńskiego</i>	36
CO TO JEST SCHOLASTYKA? Przez <i>ks. J. Soldrowskiego T. J.</i>	58 218
Z POŚMIERTNEJ TEKI DEOTYMY. Królowa Jadwiga czyli Xiega Miłości	79 241
POLITYKA BALKAŃSKA AUSTRO-WĘGIER. Przez <i>dra Adama Krzyżanowskiego</i>	151 387
ESTETYKA MAXA DESSOIR'A. Przez <i>dr. Witolda Rubczyńskiego</i>	176 357
POGLĄDY I TEORYE NAJNOWSZEJ FIZYKI. Przez <i>ks. F. Hortyńskiego T. J.</i>	198
Z cyklu „Opowieści Chrystusowe”. WYSLANIEC BOGA. Przez <i>M. Český</i>	214
PRZEŁOMOWY MOMENT W ŻYCIU PUBLICZNEM GALICYI. Przez <i>ks. J. Pawelskiego T. J.</i>	1*—8*
GŁÓWNE ZASADY ETYKI KANTA A ETYKA CHRZEŚCIJAŃSKA. Przez <i>ks. dr. M. Sieniatyckiego</i>	309
SPOŁECZNA I NARODOWA DONIOSŁOŚĆ DROBNEGO KREDYTU ZIEMSKIEGO. Przez <i>H. Wielowieyskiego</i>	327
CERKIEW ROSYJSKA W OSTATNICH LATACH. Przez <i>ks. Jana Urbana T. J.</i>	346
ŻYCIE NADPRZYRODZONE DUSZY LUDZKIEJ. Przez <i>ks. J. St. Adamskiego T. J.</i>	410
Z cyklu „Opowieści Chrystusowe”. U PROGU ŻYCIA. Przez <i>Maryę Czeską (M. Český)</i>	430

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

WACŁAW MICHAŁ ZALESKI, przez K. Ostaszewskiego-Barańskiego. (<i>Ks. Konstanty Cząykowski T. J.</i>)	102
KONFERENCYE PASYJNE. Ks. Jan Tarnkowski. (<i>Ks. Dr. A. Jougan</i>)	112
KAZANIA NA NIEDZIELE CAŁEGO ROKU KOŚCIELNEGO. Ks. Józef Adamski (<i>Ks. Dr. A. Jougan</i>)	116
Ostatnie powieści Artura Gruszeckiego: MARYAWITA. — KRÓLEWIACY. (<i>Adam Stodor</i>)	119
PAMIĘTNY SEJM (1606). Sobieski Wacław. (<i>Antoni Prohaska</i>)	258
HISTORIA POWSZECHNA. Dr. Kazimierz Krotoski. (<i>Dr. Feliks Koneczny</i>)	266
DROŻYZNA. Dr. Edward Strasburger. (<i>Dr. Henryk Wielowieyski</i>)	269
POWIEŚĆ O DUSZY POLSKIEJ. Marya Zabojecka. (<i>Helena Skolimowska</i>)	271
HISTORIA RUSI POŁUDNIOWEJ DO UPADKU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ. Aleksander Jabłonowski. (<i>Dr. Feliks Koneczny</i>)	438
BISKUPSTWO WILEŃSKIE, OD JEGO ZAŁOŻENIA AŻ DO DNI OBECNYCH... Ks. Jan Kurczewski. (<i>Ks. Jan Sygański T. J.</i>)	445
TU ES PETRUS! Ksiądz Piotr Mańkowski. (<i>Ks. Józef Tuszwowski T. J.</i>)	447
LISTY Z PODRÓŻY: I. PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ. II. WŁOCHY. Adam hr. Siemakowski. (<i>Ks. Józef Tuszwowski T. J.</i>)	448

Z piśmiennictw obcych.

BEATI PETRI CANISII SOC. JESU EPISTULAE ET ACTA. Collegit et adnotationibus illustravit Otto Braunsberger S. I. (<i>Ks. Jan Sygański T. J.</i>)	121
GESCHICHTE DER JESUITEN IN DEN LÄNDERN DEUTSCHER ZUNGE. Bernard Duhr S. I. I. Band: Geschichte im XVI Jahrhundert. II. Band: Geschichte in der ersten Hälfte des XVII Jahrhunderts. (<i>Ks. Jan Sygański T. J.</i>)	123
LEXICON DER PÄDAGOGIK im Verein mit Fachmännern und unter besonderer Mitwirkung von Hofrat Professor Dr. Otto Willmann, herausgegeben von Ernst M. Roloff, Latainschuldirektor a. D. (<i>Ks. Stanisław Podoleński T. J.</i>)	127
KURZE GESCHICHTE DER WELTLITERATUR. Dr. Karl Holtermann. (<i>Ks. Władysław Rejowicz T. J.</i>)	272
HEORTOLOGIE ODER DIE GESCHICHTLICHE ENTWICKELUNG DES KIRCHENJAHRES UND DER HEILIGENFESTE VON DEN ÄLTESTEN ZEITEN BIS ZUR GEGENWART von Dr. K. A. Heinrich Kellner, Prof. der kathol. Theologie. (<i>Maryan Bartynowski</i>)	274
VON VESUV NACH SKAGEN. Von Johannes Jørgensen. (<i>J.</i>)	275
EIN KAROLINGISCHER MISSIONS-KATECHISMUS. Von Joseph Michael Heer. Doktor der Theol. und Phil. (<i>J.</i>)	276
ERSTER HOMILITISCHER KURS IN WIEN 1911. Vorträge und Verhandlungen im Auftrage der Österreichischen Leo-Gesellschaft herausgegeben von Dr. Heinrich Swoboda. (<i>Ks. B. Wolnik T. J.</i>)	277
GESCHICHTE DER WELTLITERATUR. VI. DIE ITALIENISCHE LITERATUR. Baumgartner Alex. S. J. (<i>Maryan Albiński</i>)	450
„LE VIEILARD“ Mgr. Baunard. (<i>Helena Skolimowska</i>)	454

Zapiski bibliograficzne.

MOWA PRZY ROZPOCZĘCIU OBCHODU KONSTYTUCYI 3-GO MAJA. Ks. Kazimierz Zimmermann. (<i>Ks. Dr. A. Jougan</i>)	130
KAZANIA HOMILETYCZNE O SYNU MARNOTRAWNYM. Ks. K. Smogór. (<i>Ks. Dr. A. Jougan</i>)	131

CIAŁO PAŃSKIE A CIAŁA ZMARTWYCHWSTANIE. Ks. Dr. Antoni Szlagowski. (<i>Ks. Dr. A. Jougan</i>)	132
CZASOPIŚMIENICTWO POLSKIE WIEKU XIX W KRÓLESTWIE, NA LITWIE I RUSI, ORAZ NA EMIGRACYI. Jan Kucharzewski. (<i>Dr. A. B.</i>)	132
NA OBU PÓLKULACH. Wrażenia i listy z podróży. Antoni Stadnicki. (<i>Dr. B.</i>)	133
PAMIĘCI SYROKOMLI. Litwa i Ruś. (<i>Ad. Str.</i>)	133
PLANTY KRAKOWSKIE. Franciszek Klein. (<i>K. G.</i>)	134
ASTRONOMIA DLA WSZYSTKICH. Simon Newcomb. Przełożył z angielskiego i według drugiego wydania niemieckiego uzupełnił R. Merecki. (<i>A.</i>)	134
TRUDY ŻYCIA. Julian Zubczewski. (<i>bn.</i>)	278
W OJCZYŹNIE FARAONÓW. — OBRAZY I OBRAZKI Z INDYI. Stanisław Betza. (<i>S.</i>)	278
JADWIGA, ŚWIĘTA KRÓLOWA NA POLSKIM TRONIE. Ks. biskup Władysław Bandurski. (<i>J. R.</i>)	279
ROMUALD TRAUGUTT I JEGO DYKTATURA PODCZAS POWSTANIA STYCZNIOWEGO 1863—1864. Marian Dubiecki. (<i>Au. W.</i>)	280
PAMIĘTNIK NAPOLEONA SIĘRAWSKIEGO, OFICERA KONNEGO PUŁKU GWARDYI, ZA CZASÓW W. Ks. KONSTANTEGO. Z przedmową prof. dra Stanisława Smolki. (<i>Au. W.</i>)	280
TEKST PEŁNY PIĘŚNI »MARYA, PANNÓ SZLACHETNA«. Dr. Franciszek Krček. (<i>Au. W.</i>)	281
RĘKOPISY HR. MORSTINÓW W KRAKOWIE. Czubek Jan. (<i>Zet.</i>)	281
BIBLIOTEKA ORDYNACYI HR. KRASIŃSKICH W WARSZAWIE. Bałanowski J. (<i>Z.</i>)	282
ZASADY FIZYOLOGII. Thomas H. Huxley. (<i>Um.</i>)	282
ENCHIRIDION FONTIUM HISTORIAE ECCLESIASTICAE ANTIQUAE, collegit Conradus Kirch S. J. (<i>K.</i>)	282
MORALPHILOSOPHIE von Viktor Cathrein S. J. (<i>V. S.</i>)	282
IACINTO VERDAGUERS ATLANTIS. Deutsch von Clara Commer. (<i>W.</i>)	283
JAKOB GRETSER UND SEINE DRAMEN. Von Dr. Anton Dürnwächter. (<i>J.</i>)	283
DZIEŁA DRAMATYCZNE. Wiliam Shakespeare. (<i>bn.</i>)	456
JEZUS NAS WOŁA... Ks. Paweł Wieczorek. (<i>J. P.</i>)	457
KRASIŃSKI A NORWID. Dr. Stanisław Kossowski. (<i>A. S.</i>)	458
POWINSZOWANIA DLA MŁODZIEŻY I WIERŠE PAMIĄTKOWE DLA STARSZYCH OSÓB. Franciszek Habura. (<i>J. P...a</i>)	459
WIARA CHRZEŚCJANINA JAKĄ BYĆ POWINNA. Ks. Zygmunt Stachenau T. J. Przełożył z niemieckiego ks. Franciszek Starowieyski. (<i>K. C.</i>)	459
Z DZIEJÓW DUSZY. Marcelina Kulikowska. (<i>Dr. S. Z.</i>)	460

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Uważnione małżeństwa mieszane. — Pielgrzymki na Jasną Górę. — Ciche tętna katolickiego serca nad Dnieprem. Przez ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.	135
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE P. T. »ZA PRAWDĘ«. Przez ks. Romualda Koppensa T. J.	142
NOWA BIBLIOTEKA KAZNODZIEJSKA. Przez ks. Dr. A. Jougana	148
ERRATA.	150

MAJ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Anglikatolicy. — Benedyktynizm a papizm. — Bohater przedmiotem podziwu. Przez ks. Konstantego Czaykowskiego T. J.	284
EPISKOPAT POLSKI W GALICYI WOBEC REFORMY WYBORCZEJ.	295

	Strona
DWUDZIESTOLECIE TOWARZYSTWA DZIENNIKARZY POLSKICH. Przez dra <i>Stanisława Żdziarskiego</i>	300
KURS KATECHETYCZNY W KRAKOWIE.	303
KONKURSY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.	303

CZERWIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Jubileusz i uroczystości konstantyńskie. — Kongres eucharystyczny na Malcie. Przez ks. <i>L. Rudnickiego T. J.</i>	462
DUCHOWIEŃSTWO A PRACA SPOŁECZNA W METROP. WARSZAWSKIEJ. Przez ks. <i>K. Czaykowskiego T. J.</i>	469
ZE ŚWIATA NAUK I WYNAŁAZKÓW. Przez ks. <i>F. Hortyńskiego T. J.</i> . . .	472

